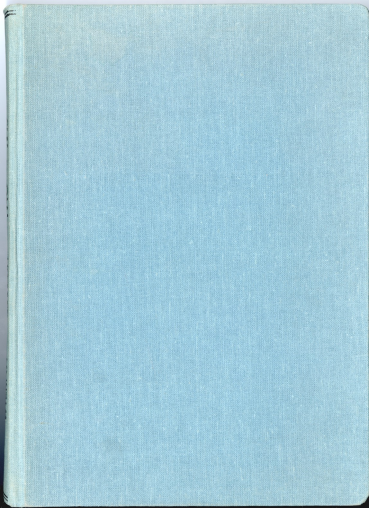
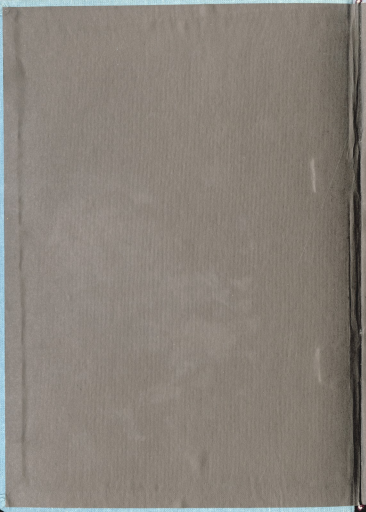
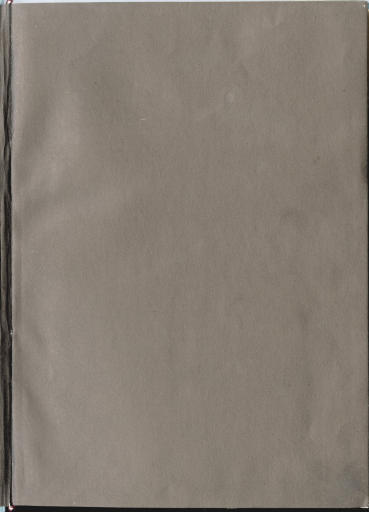
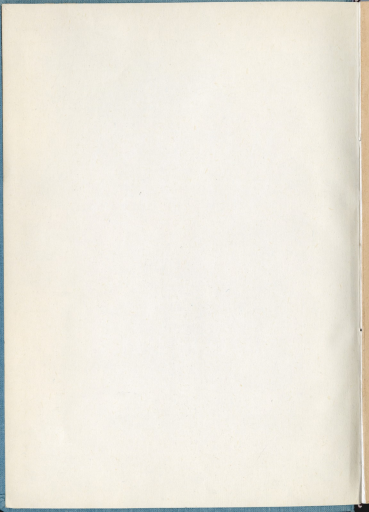










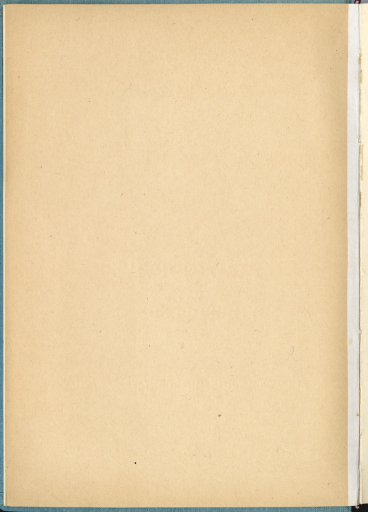
WIERNA
SŁUŻBA

WSPOMNIENIA
UCZESTNICZEK
WALK
O NIEPODLEGŁOŚĆ

1910-1915

POD REDAKCJĄ
AL. PIŁSUDSKIEJ · M. RYCHTERÓWNY · W. PEŁCZYŃSKIEJ
M. DĄBROWSKIEJ

WARSZAWA 1927
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA



WIERNA SŁUŻBA

WSPOMNIENIA UCZESTNICZEK WALK
O NIEPODLEGŁOŚĆ
1910 — 1915

WIERNA SŁUŻBA.

POD REDAKCJĄ

AL. PRZĄDZIKIEL, M. RYCHTERGOWSKI, W. PRZYBYLSKI,
M. GABROWSKI.

W A R S Z A W A 1925

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WILKÓWA

WIRNA SIBRA.

DRUK. M. S. WOJSE.

WIERNA SŁUŻBA



WSPOMNIENIA UCZESTNICZEK WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ 1910—1915

STRASZNYM DŁGIM DŁA KALDOCO ZIMNIEJ
MOMENT PRZEWROTU NIE... WY NIE ZNAĆ
TEGO DZIŚ, ALE WŁOŚCI DŁA NIE PRZ
RAMIENI W OTWARTY DŁA NA MOJĄ SWIŁ
A WY... KROCIŁ RAMIENI WŁOŚCI OŚCIEŻ WAM
LUDZI I NARAŻAŁ NIE NA CIĘŻAR, NIE ŻOŁ
NIEKŁA ŚMIEĆ

POD REDAKCJĄ: Z RAMIENI JAKA DŁA
AL. PIŁSUDSKIEJ, M. RYCHTERÓWNY, W. PEŁCZYŃSKIEJ,
M. DĄBROWSKIEJ.

SŁOWA WYPOMNIENIA PRZE
JOZEPA PIŁSUDSKIEGO
W CLASE DEPARTY OCHRONY
WYKŁADOWO 1 KRYZYS

ZAGÓRZ, 1915 K.

W A R S Z A W A 1 9 2 7
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

WIERNA SŁUŻBA



1912

4 z.

94(428). 07. 929-055.2 (438) 4/31

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.

Wyd. 1. 1912.

Wyd. 1. 1912.
AL. PIŁSUDSKI, M. RICHTEROWY, W. PIŁCZYŃSKI
M. DĄBROWSKI

W A R S A W A 1 9 1 2
OKŁADKĘ ZAPROJEKTOWAŁ E. RISK.

OD REDAKCJI

Książka niniejsza ma za cel zestawienie danych o pracy kobiet. Kobiety były bezpośredni udział w ostatniej wojnie o niepodległość. Przystępując do tego wydawnictwa, podjęliśmy wielki trud, by zbliżyć wasze w domach własnej społeczności. Pragnęlibyśmy odzwierciedlać ten wielki wkład, którego tradycje przekazały nam powołanie wojny naszych...

W pracy tej...
... STRASZNYM JEST DLA KAŻDEGO ŻOŁNIERZA
MOMENT PIERWSZEGO BOJU... WY NIE ZNACIE
TEGO UCZUCIA, ALE CHŁOPCY IDĄ RAMIĘ PRZY
RAMIENIU W OTWARTY BÓJ, SĄ MIĘDZY SWYMI,
A WY... IDZIECIK SAMOTNE WŚRÓD OBCYCH WAM
LUDZI I NARAŻACIE SIĘ NA CIĘŻSZĄ, NIŻ ŻOŁ-
NIERSKA ŚMIERĆ.

Nie jest to historia...
I NIGDY NIE ZAZNACIE RADOŚCI, JAKĄ DAJE

Niechaj to ma...
WIELKIE MASOWE ZWYCIĘSTWO...
być dla waszymi...
wzięcia w sprawę i Wódza.

SŁOWA WYPOWIEDZIANE PRZEZ
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W CZASIE ODPRawy ODZIAŁU
WYWIADOWCZEGO I BRIGADY.

ZAGÓRZE, 1915 R.

Zamierzamy w tym też odzwierciedlać pracę kobiet w całym okresie wojny o niepodległość Polski, t. j. w latach 1910 — 1920. „Wierna służba” obejmie okres lat głodu (1910 — 1915), zakończony zajęciem Warszawy przez Niemców.

Na książkę składają się trzy działy: pierwszy, stanowiący wielką wartość, mówi o pracy Żołnierzy i Duszyn Strzeleckich; drugi zawiera powstanie wojska. Dział ten, będący to samodzielnym, rozpada się na dwie części według rodzaju rodzaju wojny, walczących na swoim stanowisku.



... STANOWIŁBYŚ TYŁO DLA KĄCZYSTOŚCI
MOMENT NIEWIDZIANO BOU... WY MIĘ ZNACIE
TEGO UCIECIA, ALE CIECZY NA KAMIE PRZY
KAMIE W OTWARTY BÓJ, ZA KĄCZYSTOŚCI
A WY... DZIECIE ZAMOTNE WŁOCH ODCZY WAM
LUDU I KARACIE SIĘ NA CIECZY, NIŻ JOK-
NIERKA ŚMIEC.
I NIGDZ NIŻ KARACIE KARACIE JAKA DĄŻ
WIELKIE KARACIE TYCZYSTO...

WŁOCH WŁOCHOWIE DĄŻ
JOKIEK WŁOCHOWIE
W CIECZY KARACIE DĄŻ
WŁOCHOWIE I DĄŻ

WŁOCHOWIE DĄŻ

Obecnie zajęty przez wojska polskie terenem pracy
 (wraz z częścią byłej ziemie nie będącej pod władzą Niemców)
 stanowiły obojętne prace gospodarcze. Istniał po obu stronach
 linia do tego samego celu, używano jednak innych metod pracy.
 co wskazywało na konieczność takiego podziału pracy. Trzeba
 było zjednoczenia zabiegów, stworzenia wspólnoty o nowych
 metodach.

Część II (historia) ma charakterystyczny charakter mobil-
 nych strzeleckich prac w trudnych warunkach wojennych i politycz-
 nych w warunkach wojennych. Istniał i istnieje, oraz prace
 w warunkach politycznych dla wojny.

Część 3 (historia) ma charakterystyczny charakter mobil-
 nych strzeleckich prac w trudnych warunkach wojennych i politycz-
 nych w warunkach wojennych. Istniał i istnieje, oraz prace

OD REDAKCJI

Książka niniejsza ma na celu zestawienie danych o pracy kobiet,
 które brały bezpośredni udział w ostatniej walce o niepodległość.
 Przystępując do tego wydawnictwa, podjęliśmy zadanie trudne, bo
 nie mające wzorów w literaturze własnej, ani obcej. Pragnęłybyśmy
 zobrazować tutaj wysiłki, których tradycje przekazały nam powstań-
 cze walki naszych dziadów, a które tak niedawno jeszcze wypełniały
 całkowicie życie wszystkich nas, porwanych rozkazem Józefa Pił-
 sudskego do walki o wolność Ojczyzny.

W pracy tej, wykonywanej w entuzjastycznym porywie serc,
 szliśmy najczęściej przebojem, zdobywając sobie placówki od służby
 w kantynach i kuchniach aż do służby frontowej lub kurierskiej na
 terenach zajętych przez wojska nieprzyjacielskie.

Nie jest to historia. Są to osobiste wspomnienia uczestniczek waż-
 nych wypadków dziejowych, ujęte wszakże w ramy ciągłości histo-
 rycznej.

Niechaj ta mała karta w wielkiej księdze walki o życie Narodu
 będzie świadectwem konkretnego czynu, podejmowanego z radosną
 wiarą w sprawę i Wodza.

Zamiarem naszym jest obrazowanie pracy kobiet w całym okresie
 walki o niepodległość Polski, t. j. w latach 1910 — 1920. „Wierna
 służba" obejmuje okres lat pięciu (1910 — 1915), zakończony zaję-
 ciem Warszawy przez Niemców.

Na książkę składają się trzy działy: pierwszy, stanowiący niejako
 wstęp, mówi o pracy Związków i Drużyn Strzeleckich; drugi zawiera
 przeżycia wojenne. Dział ten, będący tu zasadniczym, rozpada się na
 dwie części według linii kordonu wojsk, walczących na naszej ziemi.

Obszar zajęty przez wojska państw centralnych był terenem pracy jawnej, a raczej pół jawnej, ziemie zaś będące pod władzą Moskali stanowiły ośrodek pracy konspiracyjnej. Dążąc po obu stronach frontu do tego samego celu, używano jednak innych metod pracy, co właśnie spowodowało konieczność takiego podziału treści. Trzeci dział, a jednocześnie zakończenie, stanowią wspomnienia o naszych zmarłych.

Część 1 działu II (legionowa) ma następujące rozdziały: mobilizacje strzeleckie, prace na froncie, Oddział Wywiadowczy I Brygady, prace w instytucjach zafrontowych, jak biura i szpitale, oraz prace w organizacjach politycznych i pomocniczych dla wojska.

Część 2 działu II, dotycząca pracy konspiracyjnej zawiera dane o: Polskiej Organizacji Wojskowej, Oddziale Lotnym Wojsk Polskich, Lidze Kobiet Pogotowia Wojennego, pracy stronnictw niepodległościowych oraz działach wschodni, zawierający wiadomości o ruchu, który przyjął później wielkie rozmiary i świadczył o rozwijaniu się idei walki zbrojnej o Polskę na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej.

W wydawnictwie, obejmującym tak szeroką skalę wypadków, nie podobna było ustrzec się braków i luk; do tych ostatnich zaliczamy przede wszystkim nader ułamkowe wspomnienia, dotyczące pracy koleżanek w II Brygadzie Legionów, oraz brak wiadomości o pracy skautek, które wiernie dotrzymywały nam kroku. Uzupełnienie tych braków będzie jednym z zadań następnego tomu.

Redakcja „Wiernej służby” w składzie:

ALEKSANDRA PIŁSUDSKA,
MARJA RYCHTERÓWNA,
WANDA PELCZYŃSKA i
MARJA DĄBROWSKA

wyłoniła się z szerszego Komitetu w którym pracowały:

JADWIGA BARTHEL DE WEYDENTHAL,
HALINA JAROSZEWICZOWA,
STEFANJA KUDELSKA,
HANNA ŁUKASZEWICZOWA,
ZOFJA MORACZEWSKA,
MARJA STEFANOWSKA i
ZOFJA ZAWISZA-KERNOWA.

Redakcja czuje się w obowiązku podziękować P. Gen. Stachiewiczowi oraz P. Mjr. Thunowi i wszystkim tym, którzy w jakibądź sposób przyczynili się do wydania niniejszej książki.

SPIS RZECZY.

OKRES PRZYGOTOWAWCZY.

	Str.
Praca kobiet w Związku Strzeleckim przed wojną	3
Nasz oddział macierzysty we Lwowie	6
Początkowa praca kobiet w „Strzelcu” krakowskim	15
Manewry	16
Ostatnie ćwiczenia	21
Sekcja żeńska Związku Strzeleckiego w Warszawie 1912—1914	23
Polskie Drużyny Strzeleckie	28
Zaprzęgnięcie	33
Pierwsze czasy Drużyn Strzeleckich w Krakowie	34
WOJNA 1914—1915.	
Legiony	39
Mobilizacje	41
Mobilizacja Oddziału Żeńskiego Związku Strzeleckiego w Krakowie	41
Oddział żeński lwowskiego Związku Strzeleckiego w czasie mobilizacji	46
Mobilizacja Związku Strzeleckiego w Belgii	51
Wspomnienia z Zurychu (1914)	53
Na froncie	58
Moja służba w Legionach	58
Wspomnienia ze szpitala polowego	68
Sanitariuszka Karpackiej Brygady	70
Sierżant przejażdżowy I Brygady	72
Oddział Wywiadowczy I Brygady	81
Oddział Wywiadowczy I Brygady	81
Na posterunku	84
Przed frontem strzelców	86
Z Kielc do Zagłębia	89
Listopad w Zagłęziu	95
Za Bug	102
Z raportem do Komendanta	105
Według rozkazu	113
Ostatnia wyprawa	121
Wywiad w Karpackiej Brygadzie	125

Obraz życia przez wojsko polskie centralnych był terenem	Str.
Praca frontem	132
Czasy Polskiej Organizacji Narodowej	132
Szpital w Jahlensowie	136
Opas w szpitalu	142
Mój udział w Intendenturze Wojsk Polskich	146
Na etapie w Jędrzejowie	150
Praca kobiet w Departamencie Wojskowym N. K. N.	154
Kurjerka Biera Praszowego Departamentu Wojskowego	157
W służbie kuriersko-dyplomatycznej	161
Działalność Ligii Kobiót Galicji i Śląska	169
Kronika Ligii kieleckiej	172
Na placówkach	178
Praca niepodległościowa w Łodzi	178
W Płocku	182
Moje wspomnienia z zagłębia	186
Zdala od frontu	193
Przy nowym warsztacie	198
NA ZIEMIACH ZAJĘTYCH PRZEZ ROSJAN	203
Polska Organizacja Wojskowa	205
Oddział Żelazki P. O. W.	205
Urywki z pamiętnika	209
Sekcja wywiadowcza P. O. W.	212
Wspomnienia ze służby wywiadowczej	216
Przez pobojowisko	219
Na terenie rosyjskiego szpitala	224
Sekcja kolportażu	231
Składy pociski	232
Sekcja intendentury	235
Gurty wspomnień	238
Przed wyznaczeniem batalionu warszawskiego	242
Oddział Lotny Wojsk Polskich	248
Prace Oddziału Lotnego W. P.	248
Moje wspomnienia z Oddziału Lotnego	251
Pierwsza podróże po dynamit	259
Jeden z przejazdów po broń	262
Fragmenty wspomnień	264
Liga Kobiót Pogotowia Wojennego	271
Z pracy stronnictw niepodległościowych	275
P. P. S. w akcji niepodległościowej	275
Wspomnienia z czasów „Zaranka”	279
Szlakiem na Wschód	283
Wspomnienia wileńskie	283
Na wschodniej rubieży Kijów—Żytomierz	286
Na obczyźnie Petersburg (1910—14)	294

TE, KTÓRE ODESZŁY.

	Str.
.....	299
Jaświę Kadył-Kwiatkowska	301
Wanda Martynowiczówna	303
Maria z Nawickich Borowska	303
Zofia Kosmuth-Lorensowa	304
Stanisława Waroczewska	306
„Ohrzeżowa”	308
Maria z Bitnerów Różycka	310



OKRES PRZYGOTOWAWCZY.

OKRES PRZYGOTOWAWCZY.

Henia-Syrena Kiedzińska.

PRACA KOBIET W ZWIĄZKU STRZELECKIM PRZED WOJNĄ.

Gdy na terenie Małopolski zaczęły powstawać i rozwijać się organizacje, mające na celu przygotowanie młodzieży do walki zbrojnej i utworzenie przyszłej armii powstańczej — kobiety stanęły również do pracy przygotowawczej. Związki Strzeleckie początkowo organizowały tylko młodzież męską, lecz już w roku 1912 zaczęła się w tych stowarzyszeniach praca kobiet. Prowadziły ją narazie nieliczne jednostki, później praca objęła szersze kręgi, lecz do samego wybuchu wojny należały tu przeważnie niewiasty ze sfer t. zw. inteligenckich. Rzecz to zupełnie zrozumiała: praca wojskowa kobiet rozpoczęła się w tych właśnie środowiskach i poprostu nie miała czasu rozszerzyć się dalej.

W pracy wojskowej szło nie tyle o propagandę idei walki zbrojnej, propagandę taką prowadziły przecież różne inne organizacje ideowe, ile o faktyczne wyszkolenie szeregu jednostek i przygotowanie ich do wzięcia udziału w razie wybuchu wojny o niepodległość w całym szeregu prac, związanych z akcją wojenną. Stanowiło to charakterystyczną cechę naszej pracy i powodowało łączność z zajęciami oddziałów męskich. Ta przyszła wojna, według przewidywań władz organizacyjnych, mogła mieć w dużej mierze charakter t. zw. małej wojny, partyzanckiej, więc też i programy naszych prac dostosowywane były do potrzeb takiej wojny. Stąd duży nacisk w programach na przygotowanie do służby kuriersko-wywiadowczej i dywersyjnej; stąd w zakresie służby sanitarnej — szkolenie do pracy w szpitalach polowych; w zakresie służby gospodarczej — przygotowywanie do prowadzenia gospodarki bezpośredniej w oddziałach w charakterze podoficerów żywnościowych.

Praca prowadzona była przez naszych instruktorów naogół solidnie, dała nam dość duży zasób wiedzy wojskowej i gruntowne przygotowanie w zakresie pewnych specjalności.

Praca kobiet w Związku Strzeleckim zapoczątkowana została w Krakowie na wiosnę 1912 r. z inicjatywy kilku członkiń „Promienia”. Na jesieni praca ta zyskała aprobatę władz organizacyjnych, t. j. uchwałą ordynacji Rady Oficerskiej Związku. Wtedy to, t. j. w listopadzie, przybrała formy systematycznej szkoły. Pod względem organizacyjnym członkinie Związku tworzyły odrębny oddział, zwany we Lwowie Oddziałem żeńskim, w Krakowie zaś — Kołem kobiet. Na czele oddziału stał kierownik, jeden z oficerów strzeleckich, wyznaczony przez Komendę Związku. Kierownikami oddziałów byli: we Lwowie od listopada 1912 r. do stycznia 1913 r. kol. Stanisław Krynicki¹⁾, od stycznia zaś do lipca 1913 r. — Jan Kawiński; w 1913/14 był kierownikiem kol. Adam Skwarczyński. W Krakowie w pierwszym roku pracy kierownikiem był ob. Sarmat (Mikołaj Syczowski²⁾), zastępczynią jego wyznaczoną została ob. Wanda Popławska-Jastrzębiec. W drugim roku ob. Jastrzębiec pozostała nadal komendantką oddziału, oddział zaś jako całość podporządkowano komendzie Szkoły Podoficerskiej, której dowódcą był Tadeusz Wyrwa-Furgalski³⁾.

Wewnętrznie oddziały dzieliły się na sekcje w składzie 10—14 członkiń każda, pod kierownictwem sekcycjnej. Następnie, w miarę rozrostu organizacji, następował podział na plutony. Przyjmowanie nowych członkiń odbywało się w pierwszym roku przez komisję werbunkową, wspólną dla męskiej i żeńskiej organizacji. W ostatnim roku oddziały uzyskiwały w tym zakresie większą samodzielność, prawo bowiem przyjmowania członków miał już kierownik (w Krakowie komendantka za aprobatą komendy Szkoły).

Koła kobiet miały za zadanie: obok pracy szkolnej prowadzenie propagandy, której celem było przysparzanie nowych członków organizacji, oraz — pracy skarbowej, a więc między innymi, zbieranie funduszy dla Polskiego Skarbu Wojskowego. W miarę rozwoju organizacji nastąpił jej podział (już w r. szk. 1913/14). Te członkinie, które nie decydowały się na udział w pracy ćwiczebnej, bardzo skądinąd absorbującej, tworzyły oddzielną grupkę, dość luźno związaną z resztą oddziału — coś na wzór Koła sympatyków (w Krakowie prowadziła je ob. Tor).

W pierwszym roku pracy styczność oddziałów żeńskich z organizacją męską była dość luźna. Wykłady i ćwiczenia odbywały się tylko

¹⁾ Stanisław Tymkiewicz-Krynicki, pierwszy z poległych oficerów strzeleckich. Utonął, szukając brody dla oddziału we wrześniu 1919 r.

²⁾ Mikołaj Syczowski-Sarmat. Zginął w bitwie pod Konarami, obok m. ob.

³⁾ Tadeusz Wyrwa-Furgalski poległ w bitwie pod Kostuchówką, lipiec 1916.

częściowo w lokalu Związku; zbiórki były najczęściej w lokalach prywatnych. Sekcje, przez większą część roku, pracowały każda oddzielnie; dopiero na wiosnę 1913 r. rozpoczęły się wykłady wspólne dla wszystkich sekcji razem. Program wykładów i ćwiczeń obejmował następujące przedmioty: nauka o broni, organizacja i dyzlokacja wojska rosyjskiego, organizacja intendentury, terenoznawstwo, łączność i służba polowa, materiały wybuchowe i technika dywersyjna, oraz taktyka; ponadto we Lwowie były wykładane: geografia i korespondencja wojskowa. Poza tem organizowane były kursy sanitarne, obejmujące ratownictwo i pielęgniarstwo chirurgiczne. W zakresie ćwiczeń była sygnalizacja optyczna, terenoznawstwo praktyczne oraz strzelanie. W Krakowie kilka członkiń — na ochotnika — pracowało stale w zbrojowni.

W Krakowie w marcu 1913 r. oddział żeński wziął po raz pierwszy udział w ćwiczeniach polowych. Były to raczej lekcje poglądowe, celem dania ogólnego pojęcia o wyszkoleniu bojowym. Potem już, gdy przeprowadzono specjalizację w różnych działach, oba oddziały żeńskie: krakowski i lwowski brały udział w ćwiczeniach jako patroli wywiadowcze, sanitarne lub... jako kucharze oddziałowi.

Liczebność oddziałów żeńskich przedstawiała się jak następuje: we Lwowie były dwa plutony, z których każdy posiadał trzy sekcje — razem około 64 członkiń. Kierowniczką pierwszego plutonu była Anna Prądryńska, drugiego M. Litwinowiczowa. Kraków w styczniu 1913 r. miał trzy sekcje. Sekcyjną pierwszą była Maryla Sawicka, drugiej — Nora Sładkowska, trzeciej — Zofja Szumowska. Zaraz w następnym miesiącu powstały dwie nowe sekcje, które powierzono Wandzie Smolikównie i Stefanji Kudelskiej. W maju oddział krakowski liczył już 55 członków.

Programy szkolenia, podane wyżej, nie odpowiadały ani programom szkoły żołnierskiej ani podoficerskiej, bo niektóre działy stały niżej niż w szkole żołnierskiej, np. wyszkolenie strzeleckie, inne znów, np. terenoznawstwo i organizacja wojska rosyjskiego — ze względu na przyszłe nasze zadania kurjersko-wywiadowcze — miały szerszy zakres niż szkoła podoficerska.

Po wakacjach 1913 r. nastąpiły warunki trochę odmienne. Część dawnych członkiń wycofała się z oddziału czynnego. Z tego powodu liczebność drugiego plutonu we Lwowie zredukowała się do jednej sekcji, zaś sekcje I plutonu pozostały w swym komplecie. W Krakowie zato przybyło dość dużo nowych członkiń. Przyczyniła się do tego znacznie uchwała „Promienia”, iż wszyscy jego członkowie zobowiązani są brać udział w pracach „Strzelca”. Począły też napływać członkinie z poza uniwersytetu. Pod względem organizacyj-

nym krakowski oddział podzielono na dwa plutony po trzy sekcje. Komendantką pierwszego plutonu wyznaczono Halinę Chelmińską, drugiego zaś — Stefanję Kudelską. Oddział ten liczył około 80 członków¹⁾. W młodszych organizacjach sekcjach prowadzona była praca według programu ogólnego przeważnie przez tych samych instruktorów. Prócz tych wykładów zorganizowany został trzymiesięczny kurs sanitarny pod kierownictwem ob. Kościuszki, oraz wykłady historii wojskowości w Polsce Michała Sokolnickiego, na które i strzelczynie obowiązane były uczęszczać. Poza pracą szkolną oddział krakowski prowadził strzelecką kantinę w parku Krakowskim.

Koniec roku szkolnego 1913/14 zamknął drugi etap naszej pracy organizacyjnej; kończyliśmy go, szując różne plany na przyszłość. Przedewszystkiem szło nam o wiedzę, o wciągnięcie do pracy kobiet ze sfery robotniczej. Chciałyśmy pracą strzelecką rozszerzyć. Myślałyśmy też o jej pogłębieniu i o oficerskich kursach dla kobiet. Tymczasem przyszła wojna. Na dalszą naukę czasu już zabrakło. Trzeba było zdać — egzamin praktyczny.

Janina Benedyktońska (Stara)

NASZ ODDZIAŁ MACIERZYSTY WE LWOWIE.

I.

Przyjechałam na studia uniwersyteckie do Lwowa jesienią 1911 r. W parę tygodni później byłam już członkinią „Życia”, z którego ideologią związana byłam już od czasów gimnazjalnych.

22 stycznia 1912 r. urządzono w „Życiu”, jak corocznie, obchód rocznicy powstania. W programie był odczyt Józefa Piłsudskiego. Nawisło to wówczas nie jeszcze mi się powiedziało, Mój Boże!

Na odczyt spóźniłam się. Sala była przepelniona. Zająłam stojące miejsce tuż przy stołiku mówcy. I — odrazu znalazłam się pod władczym wpływem Jego słów. Po krytycznym przebiegu dziejów powstania, Komendant powiedział: „Rocznice święcić należy nie tylko wspomnieniem, lecz postanawianiem nowych czynów”. Zdanie to głęboko zapadło mi w duszę. Potem mówił o potrzebie walki zbrojnej z najedźcami. Intuicją wyczułam jakiś związek między mówcą i słuchaczami, — jakąś tajemnicę im tylko wiadomą.

¹⁾ Poza wymienionymi oddziałami funkcjonował oddział w Włocławku liczący 12 członkin i zależny od okręgu krakowskiego. O innych oddziałach seńskich brak konkretnych danych.

Gdy jeden z obowiązkowych w pracy kolegów zaczął spóźniać się na niedzielne zebrania robotnicze w Uniwersytecie Ludowym i rebiłam mu z tego powodu wymówki, odpowiadał mi krótko: „Jesteście nieprawdliwi, pójdąmy po zebraniu przepić się, to się wytłumaczę”.

I wtedy dopiero, słowo za słowem, odsłaniała mi się tajemnica zakonspirowanego jeszcze „Strzelca”. Przyszło to jakby od niechcía. Postanowiłam wtedy za wszelką cenę uczestniczyć w przygotowawczych pracach. Rozumiałam bowiem wagę tych potrzeb i uwierzyłam w nie głęboko.

Dowiedziałam się jednak prędko, że niewiasty do „Strzelca” narażenie dopuszczane nie będą i pomimo usilnych starań członkini sekcji P. P. S. — projekt ten upadł na Redzie Oficerskiej.

Na początku letniego semestru kol. Rychterówna zapytała mnie, czy nie chciałabym tymczasowo szkolić się w Drużynach Strzeleckich, grupujących młodzież zarzewiającą. Warunki ewentualnej przynależności naszej do drużyn omówiła już bowiem z kom. kursu rekruckiego, kol. Kadyjówną. Zgodziłyśmy się na tę propozycję razem z kol. J. Tołkaczówną.

Nie przestawaliśmy jednak, oczywiście, kołować w dalszym ciągu do Komendy Związku Strzeleckiego. I wreszcie — jesienią 1912 r. Rada Oficerska postanowiła powołać do życia tak upragniony przez nas oddział żeński. Na kierownika tego oddziału wyznaczono kol. St. Krynickiego, który w szybkim czasie zjednał sobie naszą najżywszą sympatię i głęboki szacunek.

Na pierwszym zebraniu organizacyjnym było nas kilkanaście zaledwie. W tydzień potem zwołane zostało drugie, liczniejse, na którym podzielono nas organizacyjnie na plutony i sekcje. Pierwszy pluton grupował większą ilość studentek, w drugim były „panie z miasta”. Pierwsza sekcja I plutonu dostała się mnie. Należały tu: Biernacka A., Buszówna W., Konówna H., Kukielowa St., Prądzyska A., Rutkowska St., Rychterówna M. i Sokółska J.

Już na pierwszym zebraniu ob. Krynicki, mówiąc o zakresie naszych prac, zaznaczył, że praca ta będzie miała narazie charakter próbny, że program kursu może się czasem zmieniać i uzupełniać, lecz w każdym razie przygotowywane będziemy nie do służby linowej, lecz — pozalotkowej i pomocniczej. Zgadzałyśmy się na wszystko bez dyskusji, rade, że wchodzimy w zaczerpnięty krąg sposobnościach się do walki o niepodległość i inne, że życie samo najlepszy nam program wykreśli.

Tematem pierwszych wykładów było zapoznanie się z bronią. Niektóre z nas znały już broń potrosze, a wszystkie miały tyle dobrej

woli i zapachu, że ładowanie i rozładowywanie, składanie i czyszczenie broni, karabinów, czy karabinów szło nam szybko i składnie.

Większość instruktorów naszych stanowili przeszkoleni już strzelcy, niektórzy tylko przedmioty, jak służba transportowa, materiały wybuchowe i terenoznawstwo miały nasze strzelczynie: ob. Olszowski, A. Zagórska i R. Danyszówna. Bardzo duży nacisk położony był na organizację wojska rosyjskiego. Musiałśmy solidnie wysłuchać całego cyklu wykładów ob. Aleksandrowicza, a potem poddać się jednemu z najtrudniejszych bodaj egzaminów.

Wyleżdżając na święta do Kongresówki, miałymy się stawić do Głównej Komendy po specjalne zlecenia. Przyjął mnie wtedy w cztery oczy ob. Ludwik. Zameldowałam mu, że jadę do Płocka. Wskutek tego oświadczenia otrzymałam zadanie praktyczne, wykład, dotyczący magazynów intendentury tamtejszego garnizonu, poczynając od rozplanowania budynków, a kończąc na charakterystyce ich komendanta. Wykonałam to skrupulatnie, rozumiejąc, że posiadanie tego rodzaju wiadomości przyszłego terenu walk — to atut w naszych rękach.

Z innych zadań wakacyjnych miałymy opracować w formie instrukcji ekwipunek szeregowca piechoty i kawalerji, oczywiście, na podstawie wysłuchanych przedtem wykładów. Zadanie to dostaliśmy od ob. Kostka-Biernackiego. (Przypominał on nam często, że żołnierz polski, jako inteligentniejszy od rosyjskiego, musi posiadać w bluzie mundurowej na piersiach kleśzenie do notosu i ołówka. Ten zatem ołówek figurować musiał koniecznie w spisie ekwipunkowym). Wykłady ob. Kostka były bardzo ciekawe, dawały nam dużo materiału faktycznego; wymagający był też bardzo. Nie zapomnę chyba nigdy generalnej naszej wyprawy podczas jednego z pisemnych egzaminów. Miałymy wtedy na zasadzie rozkazu ogólnego, dotyczącego wymarszu pułku na godzinę 7-a rano, wypisać rozkazy dla dowódców poszczególnych kompanij, podając drogę i czas. I oto — wszystkie prawie — napisałyśmy godzinę 7-a. Dostaliśmy za to wielką burę. „Ładny porządek, gdy człowiek na człowieka wpadnie”, — powiedział nam instruktor. Zadanie było o wiele więcej skomplikowane, niż nam się na pierwszy rzut oka zdawało. Należało bowiem wyliczyć, ile czasu potrzebuje na wymarsz każda kolumna i po upływie tego terminu należało dopiero puszcząć następną.

Ach te wykłady i egzaminy! Ilekżo waruszeń przekrzyłyśmy, ile naszałyśmy rzeczy tak bardzo później przydatnych.

Pamiętam też dobrze, jak podczas wykładu ob. Olszowskiego o służbie transportowej, przymierzaliśmy różne spodniczki, szelki i t. p. części gar-

deroby, uszyte specjalnie do przeważenia na sobie nabojęw, materiałów wybuchowych, oraz bibuły. A nauka konspiracyjnego robienia notatek, adresów, planów! Nie było w tem teorii, lecz żywa praktyka, zdobyta ciężkimi doświadczeniami naszych poprzedników.

Ogółem biorąc, wykłady strzelców miały charakter tak swoisty, że trudno nam je było porównać z jakimiś innemi. Obok wiadomości fachowych, padały tam myśli, idee, zasady, które tak głęboko zapadały w umysły i serca, że zostawiły ślad na całe życie.

Czyż można zapomnieć naprzykład wykład Komendanta? Mówił nam wtedy: „Wycwiczenie fachowe opiera się na karności, dyscyplinie, mustrze i odwadze. Karność — to cecha charakteru, która pozwala bez protestu poddać się cudzej woli we wszelkich warunkach. Warunki polowe miejscami są tak ciężkie, wytwarza się taki specjalny kąt widzenia, że ani dawniej złożone przysięgi, ani obietnice nie działają. Trzeba nad sobą pracować, ćwiczyć się, przezwyciężać”.

Czyż ten krótki wyjątek nie mówi więcej, niż rozprawy historyczne o tem, co nam dał „Strzelec” dla przyszłej walki o wolność?

Marja Rychterowa.

II.

Ze wszystkich stowarzyszeń, do których należałam kiedykolwiek, stanowczo najbardziej pochłaniał mnie — w pamiętne lata przedwojenne — Związek Strzelecki. To przywiązanie, jakie wówczas rekrutowywał w sobie oddział lwowski, łączyło się z entuzjazmem moim dla ideologii Polskiej Partji Socjalistycznej, stawiającej jako swe hasło naczelne walkę o niepodległość Polski. Dlatego też bardzo pragnęłam utworzenia oddziału żeńskiego przy Komendzie Strzelca. Patrzyłam przytem trochę zazdrosnym okiem na organizujące się już od paru lat kolektanki w Drużynach Strzeleckich. Były mi one sympatyczne i dość bliskie, ale ideologia drużyn, wiążąca się z „Zarzewiem” odchyliła się nieraz znacznie od ideologii młodzieży „promienistej”, grupującej się w „Życie”.

Wiosną 1912 r. zaproponowano mi, abym odbyła przeszkolenie w organizującym się kursie przy Drużynach Strzeleckich. W pierwszej chwili propozycja ta dotknęła mnie nieco. Dowodziła ona jasno okapaności dobrze zorganizowanego oddziału, który sięgał już do sfer mało mi dostępnych: miałam wszak opinię dość zaangażowanej poli-

tycznie. Po namyśle jednak ze względów praktycznych propozycję przyjąłem. Udałem się więc do komendantki kursu. Była nią Jadzia Kadyjówna. Pamiętam tę chwilę doskonale. Zastukałam do drzwi jej pokoju przy ul. Zamajskiego. Wewnątrz rozszalałam się trochę zdziwiona. Uderzyły mnie nagie, białone wapnem ściany, wąskie, jakby żołnierskie, łóżko, nad nim duży krucyfik i dwa skrzyżowane karabiny. Miałam wrażenie pokoju powstańca, jakdybym patrzyła wstecz... Pod oknem kwitły wielkie gałęzie różowego kwiecina jabłoni. Miślowoli przemknęły mi przez myśl marzenia, jakie tu snuć musiała o przyszłej wojnie... Uśmieknęłyśmy się do siebie i krótko omówiłyśmy obustronne warunki, na jakich mogę uczęszczać na kurs rekrucki. Muszę tu przyznać, że Jadzia swą serdecznością, dobrocią i taktem, ułatwiła mi dość trudną rolę. W Drużynach pozostałam do końca roku akadem. i wraz z wprowadzonymi przeze mnie dwiema koleżankami zdałam latem egzamin do szkoły podoficerskiej.

Jesienią powitałam radośnie powstanie oddziału żeńskiego jako III-ciego oddziału Związku Strzeleckiego. Przyjechać do Lwowa mogłam dopiero w styczniu, ale przez te parę miesięcy zarzucałam koleżanki pełnymi radości listami. Znalazłam się wreszcie w ich gronie i do tego w pierwszej sekcji I plutonu, sekcji, którą trochę żartobliwie nazywałyśmy „gwardją”. Równocześnie z tem samozwańczeniem mianem, brałyśmy na siebie obowiązki nie opuszczania „żaby tam nie wiem co” żadnych wykładów ani ćwiczeń, nie opóźniania się i jak najlepiej, w pierwszym terminie składania wszelkich wyznaczonych egzaminów.

Pierwszy egzamin miał się odbyć na wiosnę 1913 r. Zbierałyśmy się wtedy całą sekcją w moim pokoju przy ul. Wągliwicza i uczyły całemi godzinami, zapominając w czasie tej „szkoły” o uniwersytecie, pracowniach i wiszących nad nami kollokwjach. Wszystko to musiało trochę poczekać. Zdałyśmy wtedy: materiały wybuchowe, organizację armii i geografię militarną, według wykładów: Jura-Gorzechowskiego, Aleksandrowicza i T. Pasmicki.

Zajęcia praktyczne Związku ograniczały się początkowo do gimnastyki i nauki strzelania. Pierwszy wykład prowadziła dr. Tołkoczówna. Ćwiczenia odbywały się głównie w „Żywie” i — we wtorki, ku mojej rozpaczy, gdyż w te dni prof. Askenazy miewał swe posiedzenia seminaryjne, na których zależało mi bardzo. A jednak czasami wyrывałam się przed ich końcem ku zgorszeniu wszystkich słuchaczy, aby się tylko nie spóźnić... a pierwsza sekcja wypatrywała mnie wtedy swemi czujnymi oczyma. W sobotę około południa chodziłyśmy czasem na strzelnicę, aby wprawiać się w strzelaniu z mausera i bruninga. Było przytem obecnych zwykle kilku instruktorów, któ-

rzy dawali nam wskazówki. Strzelanie to zwykle przyczyniało nam wiele zmartwienia:

....bo mimowoli kule niecnoty

Nie nazbyt wprawna wysłane Błonia,

Najchętniej zwykle idą — we ploty...

A „gwardja” tylko w zera metryczek

Patrzy z rosnącym wciąż niepokojem...

Pamiętam, że wyróżniały się z nas: Wanda Borszówna¹⁾ i ze starszego plutonu Maria Dulębianka, nieźle także strzelała Anka Biersnacka.

Wiosną urządzono nam ćwiczenia terenoznawcze, prowadzone przez instruktora Nilskiego²⁾, oraz musztrę i ćwiczenia sygnalizacyjne pod kierunkiem Kordjana Manasterskiego³⁾. Uczyliśmy się też komendy.

Też wiosną wprowadziliśmy do „Strzelca” kol. Marię Salingerównę, naleającą do Młodzieży Narodowej, gdyż to ugrupowanie nie dawało koleżankom możliwości przygotowywania się do walki zbrojnej.

Jesienią 1913 r. nie mogłam znowu przyjechać do Lwowa. Wiedziałam jednak z listów koleżanek, że zwołane zostało uroczyste zebranie inauguracyjne, na które przyszedł sam Komendant. Och, jakże im zazdrościłam z odległości tylu kilometrów! Komendant mówił o przygotowaniach kobiet do wojskowej służby pomocniczej, zakreślając w ten sposób ramy programu. Wspominał także o przyszłej służbie kuriersko-wywiadowczej. Na kierownika oddziału żeńskiego r. ok. 1913/14 wyznaczony został kol. Adam Skwarczyński, t. zw. ob. „Stary”.

Jesienią odbyły się egzamina z przedmiotów, których nie zdawałyśmy wiosną.

Na letni semestr wróciłam do Lwowa. Zająłam po dawnemu swe miejsce w pierwszej sekcji, którą teraz prowadziła St. Rutkowska.

¹⁾ Już w chwili druku dowiedziałam się o śmierci. Braknie więc miejsca na serdeczne wspomnienie koleżanki, z którą prawie niezłapanie spędziłam ostatni rok studiów we Lwowie. Wanda z Borszów Liwońska zmarła w Zakopanem latem 1928 roku.

²⁾ Por. Łopitaki-Nilski, zmarł.

³⁾ Por. Kordjan-Manasterski zmarł z ran otrzymanych w bitwie pod Marciakowizami.

Pierwszy „występ publiczny” naszego oddziału miał miejsce na początku r. 1913-go. Było to w czasie pogrzebu kol. Mozołowskiego, który, jak powiadano, padł ofiarą dość forsownych ćwiczeń. Zebraliśmy się wcześniej w „Życiu”. Było nas niewiele, przeważnie studenci, gdyż pozostali, zatrudnieni pracą zawodową, nie mogli stać się o tak wczesnej popołudniowej godzinie. Bez komendy, ustawiliśmy się dwójkami. Nie łamiąc szyku, mówiliśmy w drodze ze sobą, że i nam trzeba będzie pożegnać zmarłego kolegę. Ale która z nas? Z brzozy była Anka Pr. jako plutonowa, ale nie chciała. Naradzamy się z Janką B. i G. Kosłóską. Wcisnęła mi wreszcie jakąś kartkę. Wzięc ja?... Mam wielką treść, ale cóż robić...

Znaleźliśmy się wszyscy na cmentarzu. Był wczesny zimowy zmierzch. Na tle białego nieba ciemnymi plamami odbijają się mundury stojących w szeregu strzelców. Dowodzi Marjan Kukiel. Padają mocne słowa pożegnania, naszego pierwszego pożegnania... za chwilę dowódca rzuca badawcze spojrzenie na nasz oddziałek i krótkim, nakazującym ruchem, wzywa do siebie Ankę. W zasknieniu powiedziała nad otwartym grobem kilka słów. Potem zaśpiewaliśmy wszyscy równo i mocno:

Śpij kolego w zimnym grobie,

Niech się Polska przyśni tobie.

Na początku maja kierownik zarządził dla nas półdniową wycieczkę terenoznawczą. Zapowiedział ją nam na rano niedzielny, naznaczając punkt zborny na placu Powystawowym. Miałymy zabrać ze sobą mapę okolic Lwowa. Ćwiczenie polegało na tem, aby oddział, podzielony na trzy sekcje, dotarł trzema różnymi drogami, według mapy, do leśniczówki w Kosielnikach. Zapowiedziano nam przylem, że sekcje nie mają się ze sobą spotkać; możemy więc, jak to zaznaczył ob. Stary, łatwo sprawdzić, czy nie schodzimy z wyznaczonej nam drogi. Ćwiczenie to wykonaliśmy dość dobrze, a o nastroju wycieczki świadczą fragmenty ówczesnego wierszyka:

„Stary” troskliwie i drobiazgowo

Wyznacza sekcjom „drogę krzyżową”...

...lecz koło krzyża,

Jakaś się sekcja ku nam przybliży,

Wzięc też zwiewamy, nim, ku rozpęczy.

„Stary” przestępstwo nasze zobaczy...

Klniemy na słońce palące głowy,
I napelniamy błockiem rowy.

Ale już koniec naszej młotgi,
Wchodzimy bowiem w lasy okręgi:
W lewo i w prawo za rzutem oka
Wyrasta wszędzie paproć wysoka.

I tylko „Sokół” twierdzi spezzony,
Że tu powinny być trzy „plutony”,
I leśniczówka, kierownik „Stary”.
A są paprocie, krzewy i jary.

Kulminacyjnym punktem życia naszego oddziału były wielkie do-
roczne ćwiczenia.

W Zielone Świątki, w czasie ćwiczeń dwudniowych, Komendant
pozwolił nam przybyć drugiego dnia na miejsce „walki”. Miałymy
być w roli obserwatorów, nie biorących żadnego udziału w ogólnej
akcji. Marzyliśmy wprowadzić o czemś innem, ale i tak byłymy rade
z otrzymanego pozwolenia. Wyszliśmy z domu wczesnym rankiem
do odległego dworca kolejowego. Dzień był cudowny — radoś-
nie słoneczny. Niewielka przestroń, oddzielająca stację kolejową
od miejsca ćwiczeń, jak i wogóle całą podroś, odbyliśmy wesoło.
Idąc, śpiewaliśmy żołnierskie pieśni i cieszyliśmy się bardzo, że po
raz pierwszy będziemy razem z „nimi”.

Strzelcy, szukający się do „ataku”, przywitali nas wesołemi okrzy-
kami. Komendant uśmiechnął się serdecznie, spoglądając ku nam swo-
mi dobrmi, rozweselonemi teraz oczyma. Odkomenderował też za-
raz ob. Starogo, zalecając mu, abyśmy skorzystali jak najwięcej.
Umieszczono nas na wysokiej grupce kamieni nawprost rowu, w któ-
rym już rozłożyli się tyralierą chłopcy. Komendant przystał nam swój
namiot, który przyjeżdżymy trochę nie miało. Oczy nasze pobiegły za
chłopcami, idącymi do ataku. Nagle, niespodzianie dla wszystkich,
lunał wielki deszcz. Zalały się szeregi: ten i ów skrył się w rowie.
Ale Komendant wśród największej ulewę szedł bez wahania, wołając
trochę niecierpliwie: „Naprzód, chłopcy! boicie się deszczu?” — po-
skutkowało odrzucenie. A i my, nie chcąc być od nich gorsze, wyszliśmy
z pod namiotu i z poza strug deszczu patrzyliśmy na „walczących”.
Kierownik był trochę zgorzchniony, ale machnął tylko ręką...

O zachodzie, po krótkim żołnierskim posiłku, wracaliśmy do mia-
sta. Słyszmy znów same, zmoczone do ostatniej nitki. Pomimo zmę-
czenia i niespodziewanej kąpieli byłymy wesołe i rade ze spędzo-

nego słanie dnia. Droga była piękna wśród bujnej roślinności lasu i rozkwitu pól, mieniących się fioletowo w zachodniej zorzy. Raz po raz wracaliśmy myślą do naszych strzelców, którzy mieli wracać tegoż wieczora.

ostatnie ćwiczenia w Michałowicach odbyłyśmy już oficjalnie jako oddział, ubrane w jednokolorowe szaro-niebieskie czapczki, zrobione z tego samego materiału co mundury chłopców. Stawiliśmy się na rogatce Zamarstynowskiej o 8-ej rano, w liczbie około trzydziestu.

Mam jeszcze w pamięci znużającą wędrówkę po gliniastej i nieco górzyściej drodze. Chłopcy wyszli już przed nami, szliśmy więc sami. Na miejscu podzielono nas na patroli wywiadowcze, zbierające wieści o „nieprzyjacieli”. Naszliśmy też raporty do poszczególnych dowódców. Po krótkich ćwiczeniach, w czasie przerwy obiadowej zebrał nas ob. Fleszar¹⁾ na musztrę plutonu. Trzymaliśmy się ostro, aby nie powstydić się przed nowym dowódcą, bo dotychczas musztrę prowadził u nas ob. Kordjan.

Nad wieczorem było omówienie ćwiczeń. Stanęliśmy w zwartym szaro-niebieskim czworoboku, którego jedno ze skrzydeł stanowił nasz oddział, stojący w dwuszeręgu. Na środek wyszedł Komendant ze sztabem. Padły szybkie pytania, żądające krótkich, rzeczowych odpowiedzi. Czekaliśmy naszej kolei trwócznie, jak podczas egzaminu w średniej szkole. Nagle Komendant zwraca się ku nam i, patrząc badawczo na cały oddział, wywołuje jedną z nas. Nie spuszczaemy z niej oka. Milczymy, ale ze wszystkich stron płynie ku niej prąd serdeczny, braterski. Komendant zapytuje o nazwę formacji. Milczy w nagłym pomieszczeniu, boć przecie mówi do niej sam Komendant i to po raz pierwszy w życiu. Od strony chłopców idzie ledwodośledzany szept: „tyraljera”. Ale Komendant gniewa się bardzo: — Nie podpowiadać — mówi ostro — tu nie szkoła! — Pyta ją w dalszym ciągu łagodnie i wszystko jest dobrze. Mimo to wraca do nas jak ścięta. „Nie martw się, kochanie!”, szepta do niej, korzystając z lekkiego poruszenia.

Ale oto Komendant zaczyna mówić. Mówi o zdobyciach roku ubiegłego, o tem, czegośmy się już nauczyli, o planach na jesień, o przyszłej roli „Strzelca”.
Stoiśmy wszyscy zaskłuchani w Jego słowa, gotowi pójść za Nim na jedno skinienie, gdy tylko powie, że przyszedł owa oczekiwana chwila.

1) Mjr. Albert Fleszar, zmarł tragicznie 2 listopada 1917 r. w czasie ćwiczeń w Michałowicach.

POCZĄTKOWA PRACA KOBIEY W „STRZELCU” KRAKOWSKIM.

Z początkiem roku 1912 organizacja strzelecka w Krakowie nie była jeszcze silnie rozwinięta; liczyła zaledwie kilkudziesięciu członków, prawie wyłącznie słuchacze wyższych zakładów naukowych. Jest to okres, w którym rozpoczyna się na szerszą skalę agitacja za pracę wojskową, przygotowującą młodzież do walki zbrojnej o niepodległość Polski.

W końcu grudnia 1911 roku odbył się w Krakowie doroczny zjazd Unji Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej, jednoczącej wszystkie organizacje młodzieży polskiej w Europie. Na zjeździe tym zapadła obowiązująca uchwała szerzenia idei przygotowania do walki z Rosją. Siedzibą Głównego Zarządu Unji na rok 1912 został ustanowiony Kraków, to też z natury rzeczy tam przez cały rok za pośrednictwem miejscowej organizacji postępowo-niepodległościowej, t. j. „Promienia” znajdował się ośrodek propagandy pracy wojskowej. Liczne na ten temat dyskusje, spory, programowe rozważania odbijały się wdzięcznem echem w całym niepodległościowem społeczeństwie akademickim i nie pozostały też bez wpływu na licznie w „Promieniu” krakowskim reprezentowaną młodzież żeńską. Dotychczas bowiem praca wojskowa obejmowała tylko chłopców.

Wiosną 1912 r. kilka z pośród nas zapragnęło również wziąć udział w praktycznej pracy wojskowej. Utworzyłyśmy tedy nieoficjalną komórkę organizacyjną (Halina Sawicka, Zofia Strzałkowska, Czesława Grünbaumówna, Marja Dylańska i ja) i, namówiwszy kolegę z „Promienia” i jednocześnie czynnego pracownika w „Strzelcu” J. Sta-chiewiczą do pokierowania naszą pracą, rozpoczęłyśmy zajęcia praktyczne. Został ułożony program, na którego podstawie miałyśmy nauczyć się rzeczy niezbędnych w przyszłej służbie wywiadowczej. A więc uczyłyśmy się: terenoznawstwa, organizacji wojska rosyjskiego, miałyśmy też rysowanie szkiców i naukę o broni krótkiej. Zajęcia te odbywały się wieczorami w naszych mieszkaniach raz na tydzień. W ten sposób pracowałyśmy do wakacji 1912 r. Wyjeżdżając na lato, otrzymałyśmy pewne drobne zadania wywiadowcze.

Po powrocie z wakacji letnich zastałyśmy sytuację bardzo zmienioną. Wojna bałkańska i groźba wojny rosyjsko-austriackiej wywarła ogromny wpływ na organizacje strzeleckie. Hasła walki zbrojnej z najcięższymi od szeregu miesięcy systematycznie i pomimo wszelkich trudności uporczywie rozmięcane spowodowały, że orga-

nizacja strzelecka zaczęła się rozrastać w sposób wprost żywiołowy. Władze strzeleckie rozszerzyły ramy organizacji w bardzo wydatny sposób i wówczas znalazło się miejsce w pracy wojskowej także i dla kobiet. W listopadzie 1913 r. jednocześnie we Lwowie i Krakowie utworzono przy Związkach Strzeleckich oddziały kobiece. Charakter pracy tych oddziałów ustalono jako przygotowanie sił pomocniczych do przyszłej służby wojskowej; do programu więc wchodziły głównie przedmioty ważne dla służby wywiadowczej, sanitarniej i gospodarczej.

Pierwsza sekcja powstała natychmiast po ogłoszeniu werbunku. Weszło do niej dziewięć koleżanek — wszystko słuchaczki uniwersytetu i należące do „Promienia”. Były to: Halina Chelwicka, Dylańska, Bronisława i Zofia Kozłowskie, Kiersnowska, Mostowska, Puternicka, Halina i Maria Sawickie. W grudniu 1913 r. oddział żeński liczył już 21 członkiń. Praca w ogólnej atmosferze podniecenia i ogromnego rozmachu rozwijała się dobrze, a kierownik nasz, ob. Sarmat, utrzymywał ją na wysokim poziomie ideowym, zdobywając swem oddaniem się i kryształową wzniosłością swego charakteru ogromne z naszej strony zaufanie.

W roku 1913, wiosną, weszły do programu naszych zajęć także ćwiczenia praktyczne. Po wakacjach, pomimo że ustały alarmy wojenne, pracę w organizacji kobiecej wznowiono z niezmiennym zapalem, co więcej zwiększały się nasze szeregi...

Gdy w połowie lipca 1914 r. rozjeżdżałyśmy się na letnie ferie, nie przypuszczaliśmy, że nie powrócimy już do dawnej pracy strzeleckiej i, że wojna, do której przygotowujemy się razem, zaśle nas rozproszoną i zaprzęgnię do swego warsztatu pracy w najróżnorodniejszych warunkach i środowiskach po obu stronach frontu.

Na wiosnę 1914 r., w Zielone Świątki, naznaczono ćwiczenia strzeleckie. Hura, hura! i oddziały żeńskie też pójda: „I niewiasty pójda z nami — będą walczyć z Moskalami” — śpiewa rozgłośnie jeden z plutonów strzeleckich na wiadomości o kobietach.

W drewnianym pawilonie, w parku Krakowskim, aż wroć od domów: które pójda? czy wszystkie? jak będzie?

— Zbiórka, odlicz! — rozlega się komenda.

W minutę szeregi stają, łamie się, formuje — z nieodłącznem szepcaniem niewieleściem, którego najsurowszy komendant nie jest w stanie poskromić odrazu.

— Baczność! Obywatelka Marysia, Wanda, Nike... idą jako sanitariuszki. Obywatelki: Szczegana, Hanna, Sonka, Szara, Iwa — przydzielone do kuchni.

Sanitariuszki z dumą spoglądają na te „od kotłów“. Te zaś nadrabiają mimą, nie chcąc się wydać ze swym zawodem; toż zaszczytniej iść jako sanitariuszka, niż zaś: „A za strzelcami — baby z garstkami“... Ot dola kobieca!

Ale posłuch! karność! żadna nie protestuje ani głośno, ani mruczeniem. Przed wydaniem rozkazu komendant (nazw nieodwołany Wyrwa) był uprzedzony, które wogóle niewiasty decydują się na pieszą drogę; z plutonowemi podzielił je na grupy.

— O 4 i pół rano, punkt zborny w parku Krakowskim... ob. Pandor ma komendę... powrót za 2 dni. Rozejść się!

Prędko trzeba plecaki dopasować, wziąć koc, jakąś okrywającą, bućki wygodne, masć na nogi, byleby tylko nie spóźnić się rano.

Mimo wczesnej pory są wszystkie — cała dwumasika i jada kolejną z Pandorem i plutonową Hanną; narazie nierozmowne (komendant może być zadowolony), trochę rozspane, odrobinę zasmerowane: jak będzie na ćwiczeniach.

Jakaś mała stacyjka... „Wysiąść“... Stoją w szeregu bez plecaków, które jada, na furze. Piękny rzeźki ranek, i dobra droga wiedzie ścieżkami wśród opłotków, w gęstej trawie, pod pochylonemi gałęziami śliw i jabłoni. Kręte drożyny polne schodzą do brzegu Wisły: wąska w tem miejscu, spleciona, hałaśliwa. Brzeg wysoki, stromy. Chwila jeszcze, a cały oddział żeński jest już umieszczony w długiej wąziutkiej łodzi, pierwszego oddziału wojskowego przyczółek polskiej floty!łł. Muskularne ramiona „biorą“ łódź na wiosła i czołmo mkną przeciw prądowi, z którym walczyć trzeba aż do liniającego potu na barkach. Ukosem pędzi łódź do Czernihowa, mimo oporu prądu, bulgoczącego pod burtami i bryzającego znowła kaskadą rozpylonych kropel. Jak dziwnie: mowa o polskiej marynarce, o tem, jakie ten pierwszy oddział może na wojnie oddać usługi.

Hej, gdzie wojna? Toż o niej nie mówi. Mówią może tylko baby ze wsi, które spotkawszy oddział na drodze już na przeciwnym brzegu i zmlarkowawszy, że to te „kobiety-żołnierki“, co to w Krakowie ucza się „maszerunku“, wołają do nas radośnie i z mocą: — A wywojajcie że nam Polskę! — Niedługo! — odpowiadamy ochotczo, nie myśląc wtedy w żartach, że istotnie będzie to... niedługo.

Stara, rozwalona fabryka, opuszczone kamieniołomy wśród wysokich, niemal prostopadłych skał, olbrzymia płaska przestrzeń — tu będzie obóz. Z cegieł buduje się piece; jak to mówią: 4 cegły nakryć i piec gotowy. Zajęddza z wodami ob. Tulacz — to intendentura: są kotły, warzачwio, polana na opał; arżuczają z wozów słoninę, mięso, warzywa. Ob. Hanna obejmuje energicznie zarząd. Robota wre.

Część niewłaściw przyprowadza do porządku jakiś zaniedbany, murywany dawny kantor, a jeszcze dawniej — kaplicę, co widać po wewnętrznej strukturze. Opuszczony, niezamieszkały budynek, pełen pajęczyn, pyłu i dzwonej, zagłuszonej cichości. Pozostałe strzelczy nie skwerzą słoninę, krają mięso — pod bezpośrednią, dobitną komendą jedynego na świecie kuchmistrza ob. Tulacza, który hamuje swój rozpuszczony język ze względu na „obywatelki”. A obywatelki mają już oczy pomowite i zakławione od gryzącego dymu z ognisk; słabsze i niewytrwalsze odchodzą; jedne biegną do Wisły płókać załalą, rude, że mogą same obmyć się i wypocząć, inne stroją w riekę ów kantor, gdyż tu zakwateruje się sztab. Szkoda tylko, że Komendanta nie będzie.

A dym gryzie oczy pozostałych przy ognisku, lry biegną bez planu, ręce od taru i ciężkich warzачwio nabrzmiewają i czerwienią.

Godziny mijają — nawet kasza zdążyła się przypalić (ale kasza to już „musi się” zawsze przypalić w kotłach). Nareszcie słychać trąbki, sygnały... nadchodzą.

Biegniemy nad brzeg urwiska, skąd widać kawał drogi, ginącej w skrętach między kępami drzew. Widac ich, jak idą równomi oddziałami, w błękitno-szarych mundurach, w zakurczonych sztylpach, z karabinami. Bezmi potężna, rozkołysana pieśń.

— Hej, strzelcy wraż, nad nami Orzeł Biały...

Plutony wchodzą na plac, kolumny zginają się, łamią, pieśń słabnie i cichnie; na odgłos komendy wszystko się równa i szmer nóg natychmiast się urywa; słychać głuchy, charakterystyczny stukot karabinów — i całe wojsko jest już w obozie. Rozstawione warty; granica obozu zakreślona.

— Jeste, jeste! podchodzą szeregiem do kotłów, podają mienaki. Przy stołach i kotłach stoją obywatelki; najmiłsza, najradośniejzawa chwila w dniu kuchennym: nalewają zupę, dają mięso, kaszę i chleb. Przechodzi cały szereg: od najmłodszego ordynansa aż do oficerów. Sanitarjuszki opatrują jeszcze nogi biednych piechurów (i swoje własne) — byli to jedyni „ranni” w obozie. Śladają sanitariuszki zdaleka od kuchni, manifestując swoją nieprzynależność do garaków. Później dopiero przychodzą zjeść przy stołach.

Po obiedzie szorowanie kotłów; nie przydzielono „smolucha” do kuchni, szorować musimy same pękami trawy, piaskiem, aż do zdarcia paznogi i do krwi na palcach.

Strzelcy wracają oddziałami na podwieczorek, a później na kolację. Zmordowani ćwiczeniami, zgłodnieli — lecz mimo to przy posiłku chórem rzekim płyną piosenki za piosnkami...

Już noc. W szerokiej kotlinie-obozie, obramowanej czernią nie-rochomych urwisk, błyszczą ogniska; w niewyraźnym półświatle widać kontury żołnierzy, siedzących na kłodach. Tem czarniejsza, poza migotliwym światłem ognisk, wydaje się noc, która już tłoczy się o kilka kroków od ogniska. Tylko w górze mrok nie taki gęsty, widać jasne drobne gwiazdy. Obóz na dnie doliny szumi i gwarzy. Co raz to kłóśnięcie ogniska błyska żywiej, to znów w gwarze ogólnym słyszeć wyraźniej spory o wynik ćwiczeń, wzajemne zarzuty, usprawiedliwienia, pochwały...

Gwary cichną, ogniska przycisają — rozleniwienie ognia zmęczone członki — czas iść spać.

Oddział nasz pod dowództwem Hanny pnie się ścieżynką w górę, idzie przez las — tam na skraju urwiska będzie nocleg. W lesie czarno, tak czarno, że nawet drzew nie widać; wszystko jedno, czy otczy zamknąć czy otworzyć; brniemy poomacku, kierując się głosem nawoływań.

A potem noc... jedyna, niezapomniana noc w służbie obozowej, pod gołem niebem, na niemożliwie twardych kamieniach, czy korzeniach, przy dochodzącym z dołu i powoli cichnącym gwarze obozowiska.

Jeszcze trochę błądania nad zgubionym i znalezionym plecakiem (trzeba było dlatego schodzić jeszcze raz do obozu), nawoływania komendantki o spokój — i cisza: — względna cisza; słyszeć to głębokie westchnienia tych, które nie mogą ułożyć się wygodnie na szyszkach i kamieniach, to szmer rozpoczynanej rozmowy — wrzescie powoli każda usypia. Las szumi — z jego niewyraźnym pogwarem spleta się pracowity oddech kilkudziesięciu piersi...

O 2-ą w nocy wstawać. Nawet bez komendy kości nie wytrzymałyby dłużej takiego mądziejowego łoża. Z ziewaniem i zaspaniem oczyma ruszają się niewiasty, schodzą wódł; toaleta szybko gotowa, gdyż przy studni można tylko obmyć się nieco — i trzeba zaraz do kotłów. Brawo! śniadanie będzie na 3-cią rano gotowe; już o 4-ej oddziały mają wyruszyć. Długie z tarcie stoły jakoś weselej wyglądają w świetle dziennej; rozlewamy herbatę, mleko i kawę.

Potem wymaraz dziarski, wesoły; plutony idą drogą, wtapiają się w gąszcz drzew, już ich nie widać, słyszeć tylko zdaleka: „O ojców



grób bagnoctów poostrz stal...“ ale dźwięki pieśni oddalają się coraz bardziej... Pusto i głucho zrobiło się w obozie...

„Kuchnia“ zbiera resztki żywności, kotły, porywa nawet cegły na wóz. „Wozy jadą drogą“, a oddział żeński maszeruje na piechotę do promu na Wiśle. Deszcz mży, linia szerokie kałuże, droga rozmokła, buciki obdłupione błotem i przemoknięte, ale cóż to szkodzi. Gorzej, że komendant zły jak „sto djabłów“. Sztab był niezadowolony ze starego kantoru; budzono go, jako kwaterymistrza co najmniej ze 6 razy w nocy, wołano o szklere, o koca, słowem dano mu „szkolę“, więc jest zły. Nikt nie lęka się zanadto szorstkiego gniewu Pandora. Jednak komendy: Bezczność! rzuconej gniewnym tonem, każdy szereg usłuchał i maszerował po „gadającym“ błocie w tak nienaturalnem milczeniu, że aż Pandor zafrasowany spogląda złośliwie — i wreszcie pozwala śpiewać. Zabramiał wesoly, przekomarzający się głos Szczęsnego, naszego „zapiewały“. — Gdyby nasze mamy wiedziały — jak ich córeczki pędzą dni — toby z rozpaczcy onie miały — a z oczu im płynęły łzy. —

Rozbawiony chór podchwytuje: — „Bo my wiemy — Hej, strzelcy, podajcie nam karabiny“ —

I znowu przeprawa przez Wisłę, tym razem na promie i po dłuższem maszerowaniu rozłożenie obozu, rozpalenie ognisk — mięso, kasza, grochówka, warzywa — i znowu oczekiwanie z gotowym obładem na powrót łodzi. Na koniec widzimy z za płotu, jak płyną czapki, rytmicznie falując nieco na prawo, nieco na lewo — i wchodzi na teren obozu. Ob. Karasiewicz chwytając mematkę, woła jeść. Kuchnia naturalnie wmg nalewa „Karasiewi“ kapuśniaku, czy tam grochówki. Alłici wpada srogi komendant „Rys“. — „Szeregowcy najpierw, oficerowie na końcu“ — i wylewa supę z mienazki, szorstkiem, że wprost do kotła.

Po obiedzie „kuchnia“, sprzątnawszy ogniska i oczyszcza kotły ma już łód z regularnem wojskiem, więc w namiocie zmienia się bluzki (te od roboty to jedno czernidło), czyści buciki — i z plecakami na ramionach marsz przez wieś.

Idziemy na stację.

Wagony trzęsą się od śpiewu, huczą od gwaru, każdy może rad, że wraca do domu, do wygód codziennych. Ale zewnątrz widać zmianę: ruchy nabrały żołnierskiej stanowczości, w gwar rozmów, buchających śmiechem, wplatają się słowa komendy: „wrót“ woła co chwila jakaś młoda, zanostająca się od śmiechu „szarża“.

...Kraków... w wielkich salach dworca i na peronie szeregują się oddziały; pierzchoło rozbawienie, słychać tylko szmer ustawiających



się szeregów. — Baczność!! — milczenie, parę słów wyjaśnienia — i marsz spokojny z dworca do parku Krakowskiego.

Daleko za nami pozostały pieśni i rześkość obozu, tyraljerka i przemarsze leśne, rozgłośnie okrzyki zwycięstwa — teraz oddziały idą karne, równo, milczące...

Szczepan-Hanna Respecki.

OSTATNIE ĆWICZENIA.

Tytuł: 5 VII 1914.

I.

Na dzień 5 lipca 1914 roku na godzinę 5 rano naznaczone były ostatnie przed wakacjami ćwiczenia Strzelca. Wiedzieliśmy, że będzie na nich obecny sam Komendant, że stanowią one będą zamknięcie pracowicie spędzonego roku szkolnego.

Nasz oddział żeński miał w nich wziąć udział w komplecie, prztem w pierwszej połowie dnia miałyśmy przerobić ćwiczenia w strzelaniu z broni krótkiej. Bezpośredni nasz komendant Wyrwa miał brać czynny udział w manewrach oddziałów męskich, a nas oddano pod komendę ob. Zosika.

Zbiórka naznaczono nam na moście nad Wisłą. Chłopcy maszerowali innemi drogami.

Oddziałek nasz (przeszło 30 strzelczyń) wymaszerował bocznemi drogami polnemi ku leśnemu wzgórzu, na którym miało się odbyć ćwiczenie nasze w strzelaniu. Oprócz plecaków nieśliśmy na zmianę różne przyrządy sanitarne, jak nosze, łubki na nogi, apteczkę i t. d., które zabieraliśmy zwykle na ćwiczenia, a teraz tem bardziej mogły być nam potrzebne, że w drugiej połowie dnia miałyśmy wziąć udział w bitwie leśnej, jako oddział sanitarny.

Po paru godzinach drogi dotarliśmy do celu. Po krótkim odpoczynku rozdano nam karty strzelnicze, opatrzone naszymi pseudonimami. Zaczęło się strzelanie do celu. Do tej pory próbowaliśmy dopiero strzelać z karabinów Mannlichera, naukę o broni krótkiej przechodziliśmy teoretycznie z Wyrwą. Zależało nam bardzo na tem, żeby nas Zosik pochwalił przed naszym zwierzchnikiem i przystępowałyśmy z drżeniem do próby. Naogół nie szło nam dobrze, gdyż byłyśmy zmęczone i nieprzyzwyczajone do trzymania ręki sztywno w czasie celowania. Jednej z nas jednak udawało się doskonale, a mnie serce rosnęło z dumy, bo była to moja koleżanka ze szkolnej ławy, Mija Matuszewska. Jej karta strzelnicza przedstawiała się wspaniale. Ćwiczenia te trwały cały rano. Na drugą popołudniu oddział nasz miał się stawić w wyznaczonym punkcie dla wzięcia udziału w bitwie.

Znowa forsowany, męczący marsz w gorącu i upale. Uformowaliśmy dwówki, gdyż czwórkami nie można było posuwać się przez wąskie ścieżyny polne. Wśród dróg rozstajnych, między dwoma wygonami, zobaczyliśmy już zgrupowany oddział Wyrwy, do którego miałyśmy być przydzielone, obok sztab z Komendantem na czele.

Poczucie, że czeka nas defilada przed zgromadzonymi, dodawało energii naszym krokom. Ciche napomnienia po szeregach: „Trzymajcie się ostro, moje drogie”... i cisza. — Rozkaz krótki Zosiśka „baczność, w lewo patrz!”... i Wyrwa może być z nas dumny: przeszliśmy wysignięte jak struny... mimo to oberwałyśmy krótką barą za spótnienie (parominutowe) i Komendant zbliżył się do naszych szeregów. Z rąk Zosiśka odebrał nasze karty strzelnicze i zaczął je uważnie przeglądać. Dech nam zamierał w piersiach, czekałyśmy dalszych wymówek. Ale nagle pada na szeregi: „Ob. Miła przed szeregi!” — Miła występuje i wypręta się na baczność. Komendant zwraca jej kartkę strzelniczą z uwagą: „bardzo dobrze”. — Honor nasz uratowany — nie potrzebujemy się wstydić ani Wyrwy, ani kompanii męskiej.

Następnie krótkie objaśnienie ćwiczeń: oddział Wyrwy ma zdobyć lesiste wzgórze, które zajął nieprzyjaciel — oddział żeński, podzielony na patrole sanitarne przebiegać ma za plutonami, by dać ewentualną pomoc rannym¹⁾.

Nowe formowanie oddziałów, ostatnie rozkazy i bitwa rozpoczęta. Posuwamy się ostro pod górę, wśród szczelin i rozpadlin liściastego lasu. Dźwigamy nosze, tubki i bagaże. Tu trzeba przyspaść gdzie za krzakiem, tam przebiec w pedzie polaną lub przedrzeć się przez zarośla...

Barbara Śl. Kosińska.

II.

...A potem cisza lasu, chłód wąskiej drogi, ocienionej gąszczem leszczyny, powolne posuwanie się, momenty oczekiwania, rozkazy: marsz, stój! i nagle pierwszy niespodziewany strzał, a potem urywany grzechot salw, pojedyncze rozbite strzały, krzyk idących do ataku, krzyk przeciwny: najwyższy ton, wydany z piersi w chwilach podnie-

¹⁾ Na takich ćwiczeniach zwykle ogół wyznaczano rannych, otrzymywali oni kartki z zaznaczeniem w jakim momencie i jak zostali ranni, a naszym obowiązkiem było ich opatrzyć i zabrakować, czasem nawet przemieścić do punktu opatrunkowego, jak prawdziwych rannych.

cenia. Trąbka.... Posuwamy się naprzód. Z okrzykiem mijamy Wyrwę, zwyciężąc w luźnym boju, który niedbale uśmiechnięty, ale rozpromieniony, pyka radośnie z fajeczki....

Długa droga przez las — a za ostatnimi kościnami, pokręconemi od wichrów, wielka żółtawa wydma piaszczysta. Skryło się już słońce za ciężkie, wzdęte chmury, mrok i cisza na wydmie i cisza też w zwartych szeregach kompanij. Radosne, zwycięstwem upojone, wyszły trzema kolumnami z lasu i teraz stoją milczące i dziwnie małe wobec olbrzymich kłębow chmur, nikt na tle żółtących się piaszczów w mroku nadciągającej burzy.

Komendant mówił.

Mówił wielkie i ważne słowa głosem zwykłym, jakby matowym, rysując odniechcenia końcem szpicruty jakieś zygzaki na piasku; mówił o odbytych ćwiczeniach, o zauważonych brakach, o potrzebie kształcenia się nadal i podnosząc oczy na szeregi, wpatrzone w niego, mówił dalekim głosem, jak spłót dźwięcznym i głębokim, iż odwaga tylko będzie rozstrzygać o zwycięstwie. A po niebie równocześnie przetoczył się donośny i głuchy grzmot.

Przypomniały mi się słowa: „na niebie błysk przelisztnął się, w wązowym zgąst zakręciła i huczy grom... — a słowa two zabrzmiąły, jak zaklęcie”. Czarne chmury piętrzyły się nad nami z głośnym pomrukiem.

Nikt nie pomyślał, że to mogło być wróżba. Zamykano rok szkolny, naznaczono początek zajęć na październik. Komendant mówił: „Ten następny rok szkolny zużytkujemy na pogłębienie wiedzy naszej wojskowej, potrzebna nam...”.

Ktoś mógł przeczuć, że nie trzeba będzie czekać jesieni, że latem już, nie skończywszy „kursu”, wprost ze szkoły oficerskiej, młodsi żołnierze zdawać będą egzaminy ostateczne — śmiertelne.

Szczepan-Hanna Rzepcha.

SEKCJA ŻENSKA ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W WARSZAWIE

1912 — 1914.

Nastroje ostatnich lat przed wojną wywoływały charakterystyczne powstawania szeregu organizacji niepodległościowych, jedną myślą „o powstaniu” przejętych, a przecie pozornie od siebie niezależnych.

Podobna była historia i naszego pierwszego oddziału żeńskiego „Związku Strzeleckiego” w Warszawie.

Na wiosnę 1912 w gronie uczennic szkoły p. J. Kowalczykówny w Warszawie powstała myśl założenia tajnej organizacji patrio-

tycznej, której celem byłoby niesienie przez kobiety pomocy w ewentualnem powstaniu. Zawiązałyśmy więc narazie jedno kóło („ósemkę”), które miało opracować „program kształcenia się wojskowego” i spróbować nawiązać łączność z organizacjami niepodległościowymi na terenie Małopolski, o których wiedziałyśmy wtedy bardzo mało.

Organizatorkami tej pierwszej „ósemki” były uczennice klas VI i VII-ej: Irena Sienkiewiczówna, Haluzka Morecka, Maria Kornilowiczówna i ja. Wszystkie przeszłyśmy już przez rok pracy w organizacji młodzieży „postępowo-niepodległościowej”, naczytały się Marza, Kautsky'ego i nasłuchiwały się referatów społecznych. Ale brak nam było „powstańczej nuty”. Praca nasza narazie bez wskazań i kierownictwa polegała na uczeniu się historii powstań i studiowaniu geografii Polski z mapami sztabowymi, przyczem, nie zdając sobie z tego sprawy, robiliśmy z tej geografii właściwie „terenoznawstwo”. Jedynym „czynem” naszym było zamiast zakupienia wspólnych fotografii (ukonczyłyśmy szkołę) wysłanie tych pieniędzy na „Sztab Wojskowy” do Krakowa.

Dopiero w lecie 1912 — dwie z naszego grona, (M. Kornilowiczówna i jej koleżanka, nie należąca do naszej organizacji Zofia Warszawska) obecne na zjeździe młodzieży w Krakowie, przywoziły nam wieści o organizacjach strzeleckich. Zrozumiwałyśmy, że to jest robota, o jaką nam chodziło i że nareszcie znajdziemy się pod właściwym kierownictwem.

W tych okolicznościach powstała sekcja żeńska Związku Strzeleckiego w Warszawie. Składała się ona prawie całkowicie z dawnych członkiń „ósemki”. Sekcją została Kornilowiczówna, jako łącznik między nami, a organizacją ogólną. Członkiniami były: I. Sienkiewiczówna, J. Lawicka, St. Kwiskówna, M. Matuszewska, J. Zielińska, Z. Warszawska i ja¹⁾. Kierownikiem sekcji był „oh. Zet” (Zygmunt Baranowski, zmarły w r. 1913).

Rozpoczęła się praca bardzo wyczerpująca, tem bardziej trudna, że z powodów konspiracyjnych uczyć się trzeba było wszystkiego na pamięć: notatki wszelkie, książki i t. d. były surowo zakazane. Poza tem wykładowcy nasi traktowali pracę naszą bardzo poważnie i stawiali duże wymagania tak, że niektóre z nas musiały egzaminować z odpowiednich przedmiotów zdawać po dwa i trzy razy. Do takich egzaminów szkolnych nie uczęszczałyśmy z takim skupieniem i przejęciem jak do strzeleckich. W pierwszym roku pracy przeszłyśmy kursy następujące: organizacja wojskowa (oh. „Zet”), terenoznawstwo (oh. „Zet”), materiały wybuchowe (oh. „Brunon”-Marusiński), bary-

¹⁾ Przyпускаjam, że mogłam kogoś pominąć. Morecka wyjechała z Warszawy.

kady i fortyfikacje domów (ob. „Sławomir” — Jan Pehoski), historia wojen — głównie powstania i walki napoleońskie — (ob. „Konstanty” — Andrzej Kulwiec). Ze wszystkich tych przedmiotów zdawałyśmy egzaminy. Dla ułatwienia nam pracy pozwolono uczyć się terenoznawstwa z książki Józefa Chłopskiego i prowadzić jeden zeszyc z notatkami, który miał być u mnie przechowywany tak, by mógł ulec natychmiastowemu zniszczeniu na wypadek rewizji. Historji wojen i wojskowości mogłyśmy, naturalnie, uczyć się z książek historycznych i według map sztabowych.

Obok wykładów teoretycznych, przeprowadzałyśmy pewne ćwiczenia praktyczne. Z organizacji wojsku miałyśmy zadawane różne tematy do odpowiedzi, na mocy obserwacji pułków gwardyjskich, stojących załogą w Warszawie. Podobnie odrabiałyśmy pewne prace i zadania z terenoznawstwa, w terenie lub na mapach. Praca ta dawała nam wielkie zadowolenie, odczuwałyśmy tylko braki w naszym kształceniu fizycznym, brak ćwiczeń, wycieczek i t. p., czego bardzo zazdrościliśmy organizującym się wtedy skantom — a przede wszystkim męskim oddziałom strzeleckim. Poza tem męczyła nas bardzo konspiracja, wobec nas stosowana. Prawie nic nie wiedziałyśmy o tem, co się dzieje na terenie Małopolski, jakie istnieją oddziały, i jak rozwija się robota. Jedynym członkiem organizacji, który uchylał nam rąbka tajemnicy i trochę mówił o „Strzelcach” był ob. Konstanty. On też pierwszy powiedział nam o Komendancie, jako o tym wodzu, o jakim marzyły pokolenia. Od niego dowiedziałyśmy się wreszcie o istnieniu Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych i o memorjale londyńskim, który czytaliśmy z przejęciem i wzruszeniem¹⁾.

Przeżywałyśmy też drobne wstrząśnienia polityczne w naszym gronie, jak to miało miejsce, gdy kol. Warszawska z zasadniczych powodów wystąpiła z organizacji, przechodząc do antymilitarystycznej lewicy socjalistycznej młodzieży.

Najintensywniej pracowałyśmy na wiosnę (1913 r.), przyczem należało się bardzo konspirować, gdyż zaczęły się aresztowania i przesładowania.

Coraz gorętszą była w nas tęsknota do zobaczenia pracy wojskowej „na jawie”, to też doprawdy szczęśliwą się czulam, gdy mnie pierwszej dane było ujrzeć wymarzone ćwiczenia. Na zlecone Święta (10 i 11 maja 1913 r.) pojechałam z matką do Krakowa, by napatrzeć się na tamtą pracę i odetchnąć wolniejszem powietrzem.

¹⁾ Memorjał KSSN wrzuty na konferencji ambasadorów w Londynie z oficjalnym żądaniem interwencji Polski w r. 1913.

Planty krakowskie w słońcu, mundury niebieskie i białe orły na czapkach, ćwiczenia ranne o świcie. Śmigły konno, piosenki strzeleckie i cała ta „armia polska”, której z jednej strony kopiec Kościuszki, z drugiej Wawel błogosławił. — to było prawie za wiele upojenia dla nas, co szeptałem przy drzwiach zamkniętych, wieszczył krakowskich mówiliśmy. To też po powrocie do Warszawy nie tylko budziłam entuzjazm moimi informacjami, ale sama przejmowałam się nimi gorąco. Żalowałam tylko, że nie dane mi było w Krakowie zobaczyć Komendanta.

Sekcja nasza pracowała w roku 1913 do lipca, t. j. do wyjazdu wykładowców; członkini z Warszawy. Część członkini sekcji przenosiła się na studia do Krakowa (Kornilowiczówna, Matuszewska i ja) inne wyjeżdżały już na stałe z Warszawy (Zielinska, Kwiekówna) i dlatego zdawało się, że sekcja po wakacjach letnich już istnieć nie będzie.

Wskrzyszono ją dopiero w grudniu 1913 r. w zmienionych warunkach.

Na terenie Krakowa przystąpiłyśmy już bowiem do jawnej roboty i wciągnęły do niej wiele koleżanek z Warszawy. Obecnie po przyjeździe na wakacje świąteczne, zdecydowałyśmy we dwie (Matuszewska i ja) przystąpić do reorganizacji dawnej sekcji warszawskiej, ściśle do utworzenia nowej. Porozumiałyśmy się z ob. „Zygim” (Razłem Brenczenem), który po śmierci „Zeta”, był łącznikiem między nami, a Komendą warszawską i zawładzałyśmy nowy zaczątek organizacji żeńskiej. Sekcja w drugim roku była o wiele liczniejsza.

Wykłady prowadzono podobnie, jak poprzedniego roku: organizacja wojska rosyjskiego, terenoznawstwo, materiały wybuchowe, barykady, historie wojen: dodano — naukę sygnalizacji i naukę o broni (braining), przytem stosowane już zajęcia praktyczne (ćwiczenia z sygnalizacją, rozkładanie i czyszczenie broni, rysowanie map). Równocześnie z założeniem sekcji zajęłyśmy się zebraniem pieniędzy na Strzelca.

Zarówno bowiem organizacja warszawska, jak i ob. „Gustaw” — (Walery Sławek), od którego przewoziłam z Krakowa jakieś polecenia do Warszawy, nakłaniali nas do zdobywania pieniędzy. Wspólnie z Matuszewską, czyli ob. „Mija” opracowałyśmy plan sporządzenia kalendarzy noworocznych, celem rozprzedań ich wśród znajomych. Z kolorowych tektur, wstążek ludowych, pocztówek kleiłyśmy kalendarze, których koszt wynosił około 25 kop. sztuka — a cena sprzedaży 60 kop. Warsztaty kalendarzy założyłyśmy w pensjonacie p. Matuszewskiej, gdzie wszystkie mieszkające panienki

wciągnęliśmy do roboty. Mija kierowała przygotowaniem „towaru”, ja rozprzedałam. Sprzedaliśmy około 500 egzemplarzy. Zysk wynosił przeszło 200 rb. (dostawaliśmy „naddatki” od ideowych a mniej-jejszych ludzi). Była to na owe czasy i naszą biedę „strzelecką” wielka suma. Ogromnie wiele poparcia uzyskaliśmy w naszej szkole. Przelotne pozwoliły nam mianowicie wejść do klas i agitować za sprzedaż kalendarzy, przyczem pozwoliły dawać objaśnienie, że to dla przyszłych „powstańców”, by nie szli kiedyś głodni i bezbronni do walki. Przemówienia nasze w klasach robiły wielkie wrażenia, a my byliśmy dumne, że nasza szkoła taka odważna, że w jej murach wolno głośno mówić o powstaniu. Wogóle w tym czasie miałyśmy ze strony naszej szkoły bardzo wiele pomocy i poparcia. Przelotne udzieliły nam lokalu na zebrania strzeleckie, gdy nasze domy stały się bardziej „niebezpieczne” [w pierwszym roku zebrania odbywały się u Kornilowiczówny lub u mnie — przy ul. Polnej, potem na Wiejskiej pod 19 w pensjonacie p. Janiny Kotarbińskiej, która nam też wiele pomogła w ukrywaniu naszych prac].

Za działalność „kalendarzową” otrzymaliśmy z Miją pochwałę od Komendy warszawskiej, czem byliśmy mocno przejęci i wzruszone. W początku stycznia wróciliśmy do Krakowa. Sekcja warszawska rozwijała się wiosną 1914 r. bardzo dobrze, liczyła coraz więcej członkin — byliśmy obecne na jej wszystkich posiedzeniach w okresie świąt Wielkiej Nocy.

Lato 1914 r. rozproszyło nasze prace po raz drugi. Wojna zastała strzelczynie warszawskie w różnych kątach kraju i na obczyźnie, skąd nie wszystkim było dane stanąć na wezwanie komendy.

Praca w oddziale warszawskim była mniej owocna, niż w oddziałach jawnych, mniej dawała właściwego wyrobienia wojskowego, ale była też i o wiele trudniejsza. Groziła mnożstwem niebezpieczeństw i wymagała wielkiego poczucia odpowiedzialności.

Pierwsze pracownice Drużyn Strzeleckich stanęły obok swych kolegów jeszcze w tej fazie organizacyjnej, gdy wszystko odbywało się tajnie, a program był szkicowany za ledwie niezmiasto. W owym trudnym okresie, gdy podjęte zadanie wydawało się niemal szaleństwem — młode dziewczęta upominały się już o udział w nim, jako o święte swe prawo.

Opr. Zofia Zaniczewska.

POLSKIE DRUŻYNY STRZELECKIE.

Pierwsze pracownice Drużyn Strzeleckich stanęły obok swych kolegów jeszcze w tej fazie organizacyjnej, gdy wszystko odbywało się tajnie, a program był szkicowany za ledwie niezmiasto. W owym trudnym okresie, gdy podjęte zadanie wydawało się niemal szaleństwem — młode dziewczęta upominały się już o udział w nim, jako o święte swe prawo.

Wiele gorętszych głów marzyło zrazu o bezpośrednim udziale w walce zbrojnej — lecz wkrótce zwyciężył pogląd trzeźwizny, który jedna z kierowniczek ruchu tak sformułowała: „W linii wystąpią jedynie nieliczne jednostki, specjalnie w tym kierunku uzdolnione... Szerokie pole pracy natomiast będzie miała kobieta w oddziałach pomocniczych; tu siły jej będą mogły być produkcyjnie wykorzystywane. Zadaniem więc naszych oddziałów ma być fachowe wykształcenie i wyćwiczenie członków w kierunku przez siebie obranym oraz danie podstawy ogólnowojskowego przygotowania na wypadek okoliczności, w których znalazłszy się, kobieta będzie musiała wystąpić, jako żołnierz”.

L w ó w.

Pierwszym w Polsce ośrodkiem tego typu pracy był Lwów. W roku 1909 do tajnej organizacji wojskowej „Armja Polska” („A. P.”) weszły: L. Błońska, E. Kwiatkowska i J. Zakrzewska. W następnym roku już pod nazwą Drużyn Strzeleckich powstał oddziałek żeński, do którego należały: J. Zakrzewska jako komendantka, M. Barthelówna, L. Błońska, Z. Dobijanka, J. Kadyjówna, M. Konopacka, Z. Kopystyska, J. Krygowska, E. Kwiatkowska, W. Martynowiczówna i M. Wyczyńska. Od początku wielki nacisk położono na wyrobienie sprawności fizycznej: w tym celu uczęszczaly wszyst-

kie bardzo pilnie na ćwiczenia gimnastyczne do „Sokoła”. Prócz tego, pod kierunkiem jednego z kolegów, prowadzone były stałe wykłady z zakresu podstawowych wiadomości wojskowych, oraz musztra, ćwiczenia w obchodzeniu się z bronią i w strzelaniu. Wkrótce potem zaczęły się cotygodniowe wycieczki dla zaprawienia w marszach, a także dla poglądowego obeznajmienia z terenoznawstwem, czytaniem map i pojęciami z taktyki.

Z początku szło ciężko, jednak wytrwałość, podsycona mocnem pragnieniem wzięcia udziału w walce o niepodległość, przełamała wszelkie przeszkody — i w 1910 r. uczestniczkę tego kursu zdały pomyślnie egzamin podoficerski. Tem samem stały się instruktorkami młodszych koleżanek, których sześć zgłosiło się jesienią do tej pracy.

Program jej i tryb był taki, jak w poprzednim roku, tylko że musztrę prowadziła już sama komendantka, J. Kadyjówna. Inne „starsze” pogłębiały tymczasem swą wiedzę wojskową, słuchając wykładów kolegów z taktyki, organizacji wojska, terenoznawstwa, materiałów wybuchowych i innych przedmiotów. Prócz tego, chcąc się specjalizować przeważnie w zadaniach kurjerskich i wywiadowczych, studiowały same sygnalizację, służbę łączności, organizację poczty polowych, geografję wojskową i t. p.

Cały oddział żeński Drużyny lwowskiej prowadziła w roku szkolnym 1910/11 M. Barthelówna.

W ciągu wiosny oddział żeński dopuszczano do ćwiczeń męskich (było to zadanie taktyczne przy egzaminie oficerskim) — w charakterze świadków, dla pogłębienia wykształcenia wojskowego.

W r. 1911/12, J. Kadyjówna była komendantką całego oddziału, zaś R. Tarchalska objęła szkołę podoficerską, którą wypełniły liczenie już nowe ochotniczki. Większą część wykładów i ćwiczeń prowadziły teraz starsze koleżanki (t. j. dwa „pokolenia”, egzaminowanych podoficerów) — zrzadka już uciekając się do pomocy chłopców. One same przechodziły, wedle własnego wyboru kursy: sanitarny lub intendentury.

W ostatnim dziale odczuwano brak podręczników; zaś jedynym terenem praktyki była skautowa komisja dostaw. Przyszłe sanitariuszki rozpoczęły na kursa samarytańskie, urządzone pod ich wpływem przez inne jawne stowarzyszenia; studiowały obce regulaminy, tłumacząc z nich, na język polski, to co im się wydawało ważne dla nas. Wśród tych zajęć kształtował się powoli program specjalnych kursów pomocniczych.

Wszystkie oddziały żeńskie odbywały razem kilkunastogodzinne wycieczki za miasto, głównie terenoznawcze, lecz połączone z musztrą

i strzelaniem. Urządzono też dwie większe wycieczki: 45 km marszu na dobę i 25 km w ciągu dnia.

Jeszcze przed zalegalizowaniem „Polskich Drużyn Strzeleckich”, które miały być szerokimi jawnymi ramami ruchu wojskowego — oddział żeński urządził dla nowych ochotniczek pół-jawny 2-miesięczny kurs rekrucki.

Prócz tych wszystkich prac, dziewczęta pomagały kolegom w tłumaczeniach podręczników z języków obcych, szły im odznaki, chorągiewki sygnałowe i t. p.

W 1912/13 r. ruszając włączyć robotę żeńską prowadziła najpierw Z. Dobijańska, później J. Antoniewiczówna. W tym okresie trzeba było wyszkolić dużo osób, a wszak był to czas pogłosek wojennych, tak poważnych, że, zdawało się, lada dzień przyjdzie ruszyć w pole...

Burzliwy ten rok stał się ważny dla oddziału żeńskiego, gdyż wskutek energicznych starań, otrzymał wreszcie zupełną autonomję: oddział podlegał odąd własnej władzy, wydziałowi żeńskiemu (W. Ż.), który urzędował przy sztabie Komendy Naczelnej.

Zgodnie z wydanym niedawno programem, Lwów zaczął się teraz specjalizować. Jakkolwiek bowiem postawiono mocno szkoły: rekrucką, podoficerską, i prawie że oficerską — lecz były to szkoły wyłącznie sanitarne. Poza niemi istniał tylko kurs łączności, prowadzony przez J. Falkowską; studjowano tam terenoznawstwo, w zakresie zastosowanym do wywiadu, geografję wojalową, sygnalizację i t. p.

Najstarsze drużynaczki objęły czynności instruktorskie na kursie wojskowym, urządzonym przez grupę harcerek.

Pracowity ten rok zakończyła 2-dniowa wycieczka.

W r. 1913/14, lwowski oddział żeński pod komendą M. Lanżanki, zdobył się już na własny lokal, na obowiazujące przepisy umundurowania, ekwipunku i na zorganizowanie komisji dostaw. W zakresie wyszkolenia jednak nie wyszedł poza ten sam typ szkoły sanitarnej patrójnego stopnia, jaki zainicjowano już poprzednio. Podchorążowie męskiej drużyny wykładali na kursie oficerskim przedmioty ogólnowojskowe — lecz wykłady sanitarno-wojskowe oraz całość wyszkolenia na kursach: podoficerskim i rekruckim objęły same dziewczęta.

Do drużyny lwowskiej należały przeważnie słuchaczki uniwersytetu, poza tem biuralistki, rękodzielniczki i seminarzystki.

Kraków.

W styczniu 1911 r. rozpoczęto w Krakowie żeńską robotę wojskową — zupełnie samorodnie, gdyż wobec ścisłej konspiracji o istnieniu lwowskiego oddziału nikt tu jeszcze nie wiedział.

Z. Zawiszancka i W. Szrednicka, jedyne dotychczas członkinie tajnej organizacji Drużyn, uzyskawszy już, wspólnie z koleżkami, nieco wiadomości wojskowych, zwerbowały kilka koleżanek (przeważnie akademiczek) do pierwszej szkoły podoficerskiej. Należały tam: W. Szrednicka, St. Manaczyńska, M. i J. Piotrowskie, J. Fritzdówna i M. Popielówna.

Wykłady i ćwiczenia prowadzili: Z. Zawiszancka i J. Gąsiorowski.

Program obejmował kompleks wiadomości ogólnowojskowych, bez żadnej jeszcze specjalizacji — pośredni między poziomem oficerskim, a podoficerskim: zawierał znacznie mniej ćwiczeń fizycznych i wogóle praktycznych — zato dawał pewne pojęcia elementarne z taktyki, a nawet strategii.

Na większą skalę rozwinęła się ta praca dopiero w roku szkolnym 1912/13. Sprzyjała temu zarówno legalizacja „Drużyn”, jak i atmosfera oczekiwania bliskiej wojny, która wstrząsnęła nawskroś duszą społeczeństwa małopolskiego — zwłaszcza zaś młodzieży. Teraz dopiero okazała się wartość poprzednich, choć tak skromnych liczebnie, przygotowań. Kadry już istniały — a to było najważniejsze.

Kilkanaście starszych „drużyniaczek” musiało teraz ująć w karby organizacyjne i szybko wykształcić napływające oblicie ochotniczek. Podzielono je na kilka zastępów, tworząc najpierw szkołę żołnierską. Komendę nad całością — w liczbie 40 — miała Zawiszancka („Anna”), zastępowała ją w częstej nieobecności St. Manaczyńska („Kama”). Większość niewiast przechodziła kursy samarytańskie pod kierunkiem lekarzy; inne pilnie szyły plecaki, bowiem wymarzał naszych oddziałów zdawał się już bliski.

Ćwiczenia w mustrze i strzelaniu odbywały się stale, często za miastem. Z wiosną 1913 r. urządzono kilka niewielkich wyprawek (musztra, marsz, obozowanie, praktyczne branie terenoznawstwo i t. p.) W czerwcu cały oddział żeński brał udział w ćwiczeniach Drużyny (około 30 km) — powierzono mu, z dobrym wynikiem, kwaterunek, prowianturę i służbę łączności.

Od marca 1913 r. krakowską komendę oddziału żeńskiego objęła St. Manaczyńska — zaś jesienią tegoż roku przeszła ona w ręce W. Piekarskiej („Pociechy”). Mimo spokojniejszego już nastroju praca szła równo, opierając się na wydanym świeżo programie — lecz z mniejszym niż we Lwowie naciskiem na specjalizację sanitarną. Poza szkołami sanitarnymi: rekrucką i podoficerską, istniały choć w znacznym stopniu dopiero inne kursy: łączności, intendencji, wywiadowczy; opracowywano ich programy, naradzając się z komendą męską i przygotowując podręczniki.

Kilka niewiast prowadziło samodzielną studia z myślą o wywiadzie cywilnym. Dla ćwiczenia śledziły one nierzaz na wycieczkach męskie oddziały, podchodząc je w chłopskim przebraniu, tak zresztą, że nie zostały dostrzeżone ani razu.

Na jednej ze wspólnych wycieczek cały oddział żeński odegrał rolę patrolu wywiadowczego, rozpoznając drogę, sporządzając szkice, przynosząc raporty.

Wycieczek w tym okresie było wiele, od wczesnej wiosny 1914 r. począwszy: sam oddział żeński odbył ich 4 samodzielnie, łącząc marsze i musztrę w terenie z czytaniem map, obozowaniem dziennem i nocnem, służbą wartowniczą, rozpoznaniem i sygnalizacją.

Na wielkich ćwiczeniach całego okręgu oddział żeński miał funkcje głównie sanitarne: przebywszy bez jednego marudera 57 km pieszo w ciągu doby (z obładowaniem), spełnił zadawalniająco swe zadanie taktyczne, jako oddział sanitarny podczas boju i zasłużył na specjalne uznanie Komendy. Wyniki ćwiczeń na strzelnicy były wybitnie dodatnie. Dwie członkinie oddziału żeńskiego z polecenia Komendy pracowały w harcerstwie, aby z niem utrzymywać stałą łączność.

Od r. 1912 istniejąca w Krakowie tajna polityczna organizacja „D” miała w swym składzie kilka koleżanek.

Inne miejscowości.

W roku 1912 założono w Warszawie „Koło żeńskie Polskich Drużyn Strzeleckich”, liczące kilkanaście członkiń. Zadaniem tego koła, założonego przez E. Kwiatkowską, było poza pogłębianiem i szerzeniem hasła czynu zbrojnego, przygotowywanie członkiń do pomocniczej służby wojskowej. W programie była nauka o organizacji wojska, o broni, o materiałach wybuchowych oraz terenoznawstwo, sporządzanie szkiców sytuacyjnych i inne. Praca ta w ówczesnych warunkach Warszawy nie była łatwa choćby z braku odpowiednich instruktorów, podręczników, lokali, a zwłaszcza z powodu utrudnionej łączności z Małopolską. Początkowo prowadzono ją tylko w zakresie przygotowania rekrutkiego.

W styczniu 1913 r. w związku z przyjazdem do Warszawy w celach instruktorskich Z. Zawiszański i J. Gąsiorowski, został urządzony skrócony kurs szkoły podoficerskiej dla dziewcząt, na który uczęszczało kilkanaście słuchaczek. Kurs ten trwał przez tydzień i objął około dziesięciu godzin wykładów. W braku książek ograniczono się do notatek, z broni pokazywano jedynie brauning, musztrę prowadzono w zamkniętym lokalu. Poziom ideowy i zainteresowanie słuchaczy było niezwykle.

Od lutego 1913 r. funkcjonował przy Komendzie Naczelnej Drużyna wydział żeński pod komendą Z. Dobijanki, traktowany na równi z komendami okręgowymi. Władzy jego podlegały bezpośrednio wszystkie członkinie oddziału żeńskiego rozproszone luźno poza oddziałami, oraz oddziały w miejscowościach: Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów, Sanok, Chłebowice Świrskie, Kołomyja, Tyśmienka, Leżajsk, Czortków, Nowy Sącz, Dąbrowa.

Najdzielniej ze wszystkich pracował oddział żeński w Sanożu, złożony z nauczycielek szkół powszechnych w mieście i okolicy. W r. 1912/13 przeszły one szkołę rekruczą, zakończoną egzaminem. W r. 1914 przerobiły samodzielnie program podoficerskiej szkoły sanitarnej, poczem wydział żeński przeprowadził tam kursy i egzamin. Pomimo ciężkiej pracy zawodowej i marnych warunków materialnych członkiń, oraz oddalenia niektórych od miasta, praca szła tu rażno dzięki wysokiemu poziomowi ideowemu, jaki wytwarzał przykład i energia komendantki, M. Pazurkiewiczówny.

Wszędzie, gdzie się zebrało czterech nowych członków oddziału żeńskiego prowadzono wyszkolenie w zakresie rekruczym, otrzymując z wydziału żeńskiego instrukcje, zakupując za jego pośrednictwem książki, skrypty i przedmioty wykupowania oraz wysyłając swe członkinie na kursy instruktorskie, urządzone przez wydział żeński we Lwowie w kwietniu 1913 i 1914 r.

Także Kraków urządził kilkudniowy kurs wojskowy dla nauczycielek ludowych (było ich około dwunastu) w lipcu 1914 r. zakończony wycieczką i praktycznymi ćwiczeniami.

Wydział żeński i podlegająca mu komenda okręgu krakowskiego urządzały objazdy inspekcyjno-instruktorskie do Kołomyi, Tyśmienicy, Przemyśla, Sanoka, Stanisławowa, Dąbrowy.

Głównie też z myślą o prowincji wydawano skrypty, opracowywane wspólnie przez koleżanki ze Lwowa i Krakowa, a mianowicie:

- 1) organizację wojska,
- 2) higieniczne przepisy pielęgnowania chorych i
- 3) regulamin musztry dla oddziałów sanitarnych. Przygotowywano zaś: pionierkę sanitarną, organizację służby sanitarnej i taktykę sanitarną.

ZAPRZYSIĘŻENIE.

Justina Antoniewiczówna.

Prawie pusty pokój — stół, parę krzeseł pod ścianą i okna szczególnie zasłonięte. Żółtawy blask dwóch palących się na stole świec... i cisza głucha, ciężka, pełna gnijącej powagi.

Dość mam słotyć przysięgę na wierność „Armji” — jak się zwykle u nas mówiło.

Przytłumiony, urywany łoskot otwierających się drzwi — szybkie sztywne kroki... „Baczność!”

Błysk migotliwej wyciągniętej szabli... Kładę palec na zimne ostrze i powtarzam krótką przysięgę... „Spocznij!” — uścisk dłoni.

W duszy zostało coś, jakby znamię wyrzute, męgięta konieczność dochowania wiary, mocne poczucie obowiązku, przejętego w świętym spadku po bohaterach...

Rozkaz: „Wymaraz dn.... o godzinie 5-ej rano z rogatki...”. Trzeba wszystko przygotować zawnazem, bo spóźnienia nie znaliśmy.

Ranek słoneczny, chłodny, słiczny. Świeża otywca wód plynie od pół... Jak jednolity pas sunie kolumna czwórkami. Tupot młarowy kroków, obłot kurzu. Milczenie... Krótkie wyrazy komendy, jeden za drugim: wygina się kolumna tu i tam, łamie się, rozrypuje i znów się zrasa.

I dalej maraz... Słońce dogrzewa coraz silniej, słaby wietrzyk niesie odurzającą wód macierzanki i cykanie świerszczów senna, ale radosne. Wchodzimy w las, budząc szmer poruszanych liści, trzask przydeptanych gałązek...

Kolumna stanęła. Otwierają nas ciepłe podmuchy, przyciszony rozgwar boru, głęboki oddech i jakiej uroczyste oczekiwanie. Krótka urywana komenda wpada w ten nastrój stanowczym krzepkim tonem i przed wyciągniętą linią żołnierzy występuje twardym, pełnym tężyzny krokiem kilka postaci.

Uroczyste krótkie słowa przysięgi. Jednogłośnie, potężna zwarta odpowiedź. Chwila ciszy — kolumna stoi w bezruchu, jakby w oczuciu głębokiem niebwywałej radości... Jużście nasi — nasi! serdecznie i ufnie witani...

Znów pada komenda — równo tętni krok marszu — i plynie śpiew: „Naprzód, drużyno strzelecka!”.

Zofia Zamborska.

PIERWSZE CZASY DRUŻYN STRZELECKICH W KRAKOWIE

W jesieni 1910 r., z początkiem roku uniwersyteckiego zaczęła się w Krakowie praca Drużyn Strzeleckich. Zaczęło ją właściwie nas troje: J. Ulrych, J. Gąsiorowski i ja. Gdyśmy się naradzali gwęj jesieni we dwójkę, a potem we trójkę, byliśmy pewni, że jesteśmy samodzielnymi odkrywcami nowych światów. Miellimy niezłomną pewność, że tylko tą drogą należy iść.

Co najdziwniejsza, nie zachwiała się to poczucie nawet wobec niesłychanie ciężkich początków nauki. Bo, rzecz oczywista, musiała to być nauka w pełnym tego słowa znaczeniu — tośmy wiedzieli od razu — a co gorza, samotność zupełna. To tak, jakby ktoś uparł się wkrześć do życia bez żadnej znikąd pomocy nieznany sobie, a dawno obumarły język. Trudne było to przedsięwzięcie, — tem jaśniej to widać, z im dalszej patrzeć na nie perspektywy... A przecie mieliśmy je wszyscy we krwi od dzieciństwa — musiało się kiedyś rozwinąć i ogarnąć nas, jak groźny pożar.

W owych czasach czuliśmy przede wszystkim mus wewnętrzny, mocny, jak śmieć, nakaz niewidzialnej siły — więc to wszystko, co się w jego imię robiło, było właściwie naturalne. Czuliśmy, że kolo nas skupić się musi grupka ludzi, odgrzebujących z zapomnienia polską sztukę wojkową.

W październiku przyszedł do mnie kol. Ulrych, przynosząc do wspólnego rozpatrzenia jakiś szkic statutu dla takiego kółka. Długo radziliśmy nad nim — potem w rozmowach tych wzięło udział jeszcze kilku kolegów. Jako pierwszych instruktorów udało nam się złapać dwóch rezerwowych oficerów austriackich — chłoniliśmy z zapalem ich wskazówki, choć nie byli to zdolni pedagogowie, ani żołnierze z zamiłowaniem. Niezbyt orientowali się nawet w dostosowaniu swej wiedzy do naszych celów i naszego poziomu.

Nurazie musztrowali nas o bardzo wczesnych godzinach w parku Jordana. W sześćloro czy ośmiórę (wśród chłopców ja tylko jedna kobieta) przerabialiśmy niezmordowanie zwroty, marsze, tyraljerkę, słowem musztrę plutonu, przychem kije zastępowały karabiny. Najwięcej kosztowało trudu wpaść w ćwiczących się studentów odpowiedni respekt dla słowa „baczność”. Nigdy nie zapomnę, jak raz jeden z naszych „rekrutów”, stojąc w szeregu, mimo komendy „baczność” — z rozmachem splunął przed siebie. Na ten widok, instruktor nasz, jako oficer przed frontem, zalał się ręką z rozpaczą i jęknął: „Czy nie mówiłem wam tyle razy, kolego!...” Nauczyciel wart uczenia! Takie wypadki zdarzały się wszakże już coraz rzadziej.

Równolegle szły usiłowania teoretyczne. Zaprenumerowaliśmy kilka niemieckich pism wojskowych i przedzieraliśmy się z trudem przez ich styl fachowy. Studjowaliśmy też regulaminy austriackie (choć, co to była za męka!). Z największym jednak zamiłowaniem raciliśmy się do starych polskich księzek z czasów powstań, a nawet i dawniejszych. Z miłością i czcią, z gorączkową niecierpliwością, badaliśmy krwawe ślady zostawione przez przodków na drodze niewoli, — odczytując z nich zatarte znaki sztuki walki, jedynej, która potrafi przywrócić ludzkom niepodległość...

Oddalam się stałym studjum nad wojskową stroną powstania 1863 r. a także dopomagałam w zbieraniu polskiej bibliografii wojskowej. Teoretyczne wykłady w naszej pierwszej małej szkole podoficerskiej obracały się zrazu około karabina i służby polowej bardzo ciasno pojętej przez naszych rezerwistów; stopniowo jednak poczęła i tu wkraczać szersza wiedza, gwałtem wydzierana starym i nowym ksiątkom. Kto już dobrze wystudjował jakiś temat, ten się nim dzielił z innymi. I ja raz miałam wykład o wojskowej historii „partji” Zygmunta Chmielińskiego z 1863 r.

W środku zimy praca zaczęła się rozwijać na szerszą skalę i potrzebny nam był związek z analogicznymi, starszą trochę, robotą lwowską. Oddziałek rósł, masztu przybierała nieraz rozmiary większych świec, ciągle jeszcze wzbudzając wesołość gapiów podmiejskich. W owych czasach, kiedy wojny nikt się jeszcze nie spodziewał, garstka dorosłej młodzieży, dobrowolnie ćwiczącej się wojskowo, wydawała się czemś bezsensownem i arcyśmieszkiem. Rzecz prosta, że sensację powiększała znakomicie moja dziewczęca osoba...

Wkrótce zaczęło to jakoś żenować moich towarzyszy; zresztą, w miarę jak nabierali manier wojskowych, poczęłam im zaważać, jako szczegół, poujący całość, choćby z racji swego stroju. Było mi bardzo, bardzo przykro, gdy mi to dali do zrozumienia: uważałam to za brak koleżeństwa, za krzywdzenie żywej indywidualności w imię przesądów. Zażadto jednak kochałam tę pracę, by się z nią wycofać — czułam swe święte prawo do niej i postanowiłam wywalczyć miejsce nie tylko sobie, lecz i innym kobietom. Stąd wynikało zapoczątkowanie kobiecych oddziałów drużyn.

Oddziałek żeński drużyny krakowskiej był już dość liczny i rozwijał się doskonale, gdy listopad 1912 r. przyniósł pierwsze poważne alarmy wojenne. Oczekiwano lada chwili mobilizacji — na forach Krakowa wycinano drzewa — z nad pobliskiej granicy dochodziły niepokojące wieści.

Styczeń 1913 r. był kulminacyjnym punktem ogólnego podniecenia. Zdawało się, że już lada chwila wyjdziemy w pole — z jakimi szansami? tegośmy nie wiedzieli. W sercach krzepła harda gotowość na wszystko.

22 stycznia wieczorem wszyscy drużyniacy składali uroczyste zobowiązanie gotowości na wypadek wojny.

Niewiasty z młodszych i starszych kursów zwołano w tym celu osobno do jakiegoś prywatnego mieszkania. Nadeszłam tam, gdy wszystkie były już zebrane, aby odebrać od nich żołnierskie słowo —

przez proste, zwykłe wciśnięcie dłoni. A przecież była to właściwie przysięga — i wszystkiemy to czuły. Ścisnąc te dziewczęce dłonie, — zarówno dawniejszych ochotniczek pracy, jak i nowych, patrząc w oczy gorejące zapalem — miałam wrażenie, jakbym zbierała w swe ręce jakieś święte klejnoty...

Nie było przemówień — nikt nie zdobył się na żadne „wielkie słowa”. Wśród uroczystej ciszy padały tylko różne dziwaczne imiona, nazwiska czy nazwy symboliczne — bo kazano nam sobie obrać pseudonimy. Młode głosy dławiono wzruszenie obrazyńszej radości. Ona to związała nas owego zimowego wieczora braterstwem niezapomnianej sprawy.

„Bodaj że w jesień 1913 r. odbyły się pod Lwowem podczas zjazdu ogólnego drużyn wielkie ćwiczenia strzeleckie. Kobiety brały w nich udział, tworząc oddziały sanitarne i oczywiście musiały pozostać poza linią.

Gdy jednak nadszedł moment ataku, nie wytrzymałam, i nie myśląc wiele, co czynię, przyłączyłam się odruchowo do posuwającej się naprzód tyradyjki. Daremnie wołały za mną dziewczęta, daremnie Norwid, idący na czele, próbował mnie usunąć... Nie słyszałam tego wszystkiego, porwana potężną złudą walki, biegłam razem z chłopcami pod gęstym „ogniem”, pod złocistymi drzewami w słiczny, pogodny dzień jesieni.

Norwid, cały purpurowy od wysiłku i emocji, oswoił się już z moją nieprawidłową rolą i chwilami wydawał mi nawet różne polecenia, normujące szybkość i kierunek ognia. Cały czas szłam w pierwszej linii, tuż obok niego.

Te małe manewry różniły się ogromnie od naszych pierwszych, ubogich prób krakowskich. Było to już poważnie przemyślane zadanie taktyczne, a w jego wykonaniu widać było cały zapal, jaki się w nas nagromadził. Ogarnięci mocno sugestją zbiorową mieliśmy wrażenie, że naprawdę zdobywamy pozycję wroga; przekzywaliśmy przedsmak bojowego upojenia.

Była cudowna pora „na pograniczu wiośni i lata” niezapomniany rok 1914. Już od kilku dni było wiadomo, że oddział żeński będzie dopuszczony do wielkich ćwiczeń całego krakowskiego okręgu. Po-przednie samodzielne wycieczki dały nam już sporo doświadczenia; to też przygotowywaliśmy wszelki ekwipunek.

Wreszcie pewnego dnia o 10-ej wieczór stanęliśmy z białym mocno sercem i dobrze napchanymi plecakami na podwórzu przy ulicy Dolnych Młynów. Z gwarnej tłumu, jaki się tam znajdował

energia Franka Grudzińskiego¹⁾ uczyniła wkrótce karne szeregi i wywiodła je cicho, sprawnie w ulice miasta.

W radoszem skupieniu wkroczyliśmy w wonność uśpionych pod blaskiem księżyca pól. Cudowny był ten nocny marsz biała, falista szosą ku nieznanemu celowi (orientowaliśmy się tylko, że idziemy w stronę Wieliczki) — we wspomnieniu oświetlony przecięciem nadciągającej tak cicho burzy...

Zaraz na pierwszym króciutkim postoju chłopcy ofiarowali się nieść nasze plecaki — ale odrzuciłszy to uprzejme votum nieśności dla naszych sił. Kręcili na to głowami, bo marsz miał być jor-sowny, a same ćwiczenia też wiele sił mogły wymagać. Dostałszy na miejsce, t. j. do wsi Gdowa za Wieliczką z dobrą miną, lecz w gruncie rzeczy mocno zmęczona; to też z rozkoszą przyjęliśmy pozwolenie na dwugodzinną drzemkę na sianie, w jakiejś sali szkolnej.

Ćwiczenia polowe, dość skomplikowane, miały różne momenty ciekawe. Ja, jako komendantka żeńskiej grupy sanitarniej, wyszłam znów ze swej roli, wkraczając w kompetencje jakiegoś dowódcy, który w moich oczach palnął oczywiste taktyczne głupstwo. Ponieważ zaletą na czasie, więc bez namysłu zmieniłam jego zarządzenie i co dziwniejsza żołnierze mnie posłuchali. Widocznie miałam rację, bo mi zato nikt jakoś wymówek nie robił i zadowolenie z niewiast było ogólne.

Z zupełnym zaś podziwem zaczęło patrzeć na nas w powrotnym marszu, rzeczywiście mocno już uciążliwym. Wyobrażałam sobie, co się działo ze słabozami ode mnie, skoro mnie, zdrową i już wytrenowaną, utrzymywała na nogach jedynie ambicja... Ta straszna myśl: co to będzie, w co się obróci honor oddziału, gdy ja się położę w jakimś rowie? A jednak ruszyliśmy wszystkie dzielnie na jakąś małą stacyjkę, gdzie wsiadłyśmy do wozu. Obliczyłam później, żeśmy zrobili w ciągu owej doby 57 kilometrów piechotą. Kilko z nas, dla czystej już brawury, poszło jeszcze wprost z dworca do cukierni Michałki — ku szalonemu naturalnie zdumieniu tamtejszych elegantów i elegantek. Chępliśmy się jednak swojemi plecakami, spracowanemi uczciwie buciaskami i pyłem, który nas od stóp do głów okrywał...

Taka to młodość wzbierała onego czasu „pięć”, jeszcze niezbrojną... a która wiedział, że zbroja, wykowana własnem naszym pragnieniem, miała już tak prędko być jej dana.

¹⁾ Franciszek Pękarczy Grudziński poległ 3 czerwca 1915 r. pod Modliborzycami.

Wojna 1914 — 1915.

W O J N A 1914 — 1915.

LEGION.

energja Franka Grudańskiego! uczyniła, wskazała koczne szaregi i wy-
prowadziła je cicho, sprowała w alicie miasta.

W radomem skupieniu wstarczyliśmy w wozach zaprzęgnię pod
bladym księżycem pół. Cudowny był ten nocny marz lasu, taleta
stąpił ku nieznanemu celowi (orientowaliśmy się tylko do ciemny
w stronę Wieliczki) — we wspomnieniu czerwiełmy przeciwnie nad-
ciągając, tak cicho, leniwo.

Tęż na pierwszym krociatku postać chłopcy odwrócił się
tęż marz płaciki — ale odruchiliśmy to ugrasmo, potem zdoł-
ności dla naszych się. Kieśli na to głowami do marz miał być for-
sowny, a same ćwiczenia też wiele sił mogły wymagać. Dochodzący
na miasto, t. j. do wsi Gdowa na Wielicką z dobrym momentem, lecz
w gęstym ciemnym mrozie mocno zmęczony, to też z radością przystęp-
nowaliśmy na dogodną drzemkę na śniecie, w jakiejś jaski
słonecznej.

Ćwiczenia polowe, dość skomplikowane, miały różne momenty
niekiedy. Ja, jako komendant, zwracałem uwagę na to, aby wy-
stąpić ze swym oddziałem w kierunku jednego z dowódcy,
który w moich oczach należał do najlepszych. Po-
ważałem się do niego, a samemu sobie mówiłem, że to jest
to. Wówczas żołnierze mnie posłuchali. Wielokrotnie miałem rację,
bo mi było jakby jakby jakby jakby jakby jakby jakby jakby jakby
było ułomne.

Z zapałem zaś podziwem zacząłem patrzeć na nas w powolnym
marzu, czuując, że można już odwrócić. Wycofaniem sobie, co
się dzieło ze słabością ode mnie, słowo moje, słowa i ja, wytrono-
wań, utrzymywała na nogach jedynie ambicja. To straszne myśl,
co to będzie, w co się obróci honor oddziału, gdy ja się położę
w jakimś momencie? A jednak musiałem wszystkie działania na jakąś
złoty stacyjkę, gdzie widziałem do wagań. Obliczyłem, że
będą zrobić w ciągu nocy, do 57 kilometrów pieszka. Kilkoro
i nas; dla części już brawury, poła jeszcze wprost z dworca do
cukierki Wieliczki — ku znanemu naturalnie zdomowi, tamtejszych
eleganów i eleganek. Chłopcy się jednak swoim płaszczem,
sprawianym przez siebie burdami i pyłem, który był od głowy do
krycia.

Taka to okoliczność uchroniła tego Franka „pierz”. Istnieje nie-
szkoleń, a kłopot wiedział, że szkoleń, wykrowana właśnie naszym
przekonaniem, miała już tak być jak być.

MOBILIZACJE.

Rama Stefanja Kudelska.

MOBILIZACJA ODDZIAŁU ŻEŃSKIEGO ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W KRAKOWIE.

Koniec roku szkolnego w krakowskim oddziale żeńskim (czyli t. zw. Kole kobiet) Związku Strzeleckiego był w 1914 r. okresem bardzo wytężonej roboty. Kończyliśmy wtedy kurs sanitarny; w sekcjach trwała zwykła praca szkolna, prowadziliśmy też kandytę strzelecką. Niektóre z nas ponadto, te, które ukończyły kurs ogólny w r. 1913, powołano do uczestniczenia w wykładach Komendanta głównego „strategia rewolucyjna” i ob. Sosnkowskiego „elementy strategii”. Skończyły się wreszcie i te wykłady. W niedzielę odbyły się w Tynie ostatnie w roku szkolnym ćwiczenia, w których też niewiasty brały udział i — rozpoczął się dla nas okres wakacyjny.

Większość strzelczyń wyjechała z Krakowa; na miejscu pozostała nas nieliczna garstka, która miała się w ciągu lipca jeszcze bardziej zmniejszyć. Komenda Główna zajęta była w owym czasie przygotowaniem szkoły letniej, do której zarówno z za kordonu, jak i z ośrodków organizacyjnych zachodniej Europy zjeżdżali się już do Krakowa strzelcy-kandydaci.

Sytuacja polityczna w Europie była już jednak o tyle naprężona, że nie zdziwiłam się zupełnie, gdy w pewnym momencie dowiedziałam się od ob. Zosiłki-Tessaro i Karasiewicz-Tokarzewskiego, którzy czynni byli przy organizowaniu szkoły, że utworzona zostanie w Krakowie, t. zw. „Oleandrach”, bo na wszelki wypadek lepiej, jeśli wszyscy będą na miejscu. Nie zdziwiłam się, tylko serce zabło mi żywiej: czyżby już nadchodził czas wojny? A my jeszcze nie dość przygotowani!

Ta nieliczna grupka strzelczyń, która do tej chwili pracowała jeszcze w Komendzie, zdecydowała niezwłocznie, że i one powinny pozostać w Krakowie.

Nadeszły ostatnie dni lipca. Widoczne się stawało, że wojna między Austrią a Serbią staje się nieunikniona i że za nią przyjdzie

konflikt rosyjsko-austriacki, a zatem — przyjdzie, bo przyjść musi wystąpienie „Strzelca”. Nie wiem, co myślał wtedy Komendant główny, co myśleli kierownicy ugrupowań politycznych, związanych z nami ideowo; większość nas, należących do Związku Strzeleckiego wierzyła, że nasze wystąpienie będzie hasłem do powstania narodu, że się naród poderwie do walki z tym najzłotym, który największą część ziem polskich trzyma i który największej polskiej krwi przelał. Tak, wierzyliśmy...

W Krakowie rozpoczęła się gorączkowa, wytężona praca. W szkole letniej odbywały się ćwiczenia, ale obok nich szła praca inna. W Polskim Skarbie Wojskowym zajmowały się stronnictwa niepodległościowe gromadzeniem funduszy i propaganda. My, niewiasty, instynktownie jakoś wyczułyśmy, że nie czas czekać, aż nas zawezwą, nie czas oglądać się za jakąś funkcją w zakresie swej specjalności, ale trzeba szukać pracy i robić to, co jest w danej chwili najpilniejsze. To też pracowaliśmy w Skarbie Wojskowym przy sortowaniu i pakowaniu „bibuły propagandowej” i przewożyliśmy ją do nadgranicznych miejscowości Królestwa Kongresowego.

Pamiętam powrót swój z takiej podróży, kiedy wręczałam wysłan-cowi z drugiej strony kordonu paczki literatury propagandowej. Na dworcu w Krakowie niesamowity ruch, rozlepione plakaty mobilizacyjne... A więc stało się: wojna serbsko-austriacka... Wracając z dworca, spotkałam kilka koleżanek, które prowadziły pracę propagandową wśród włościan z Królestwa, przybywających na targi do Krakowa.

Pamiętam scenę, która się nazajutrz rozegrała na placu Szczepańskim. Na środek placu pędem wjechał wóz, na którym stał jakiś człowiek w białej sukmanie. Zatrzymał on gwałtownie konie, zeskoczył z wozu, runął na kolana na bruk i przywarł głową do kamieni, po chwili wyprostował się i, klęcząc tak z rozkrzytowanymi rękami, wzniesioną w górę, zalaną łzami twarzą, zaczął krzyczeć głosem, w którym było zdumienie, radość i uniesienie: „O Jezu Najświętszy, O Matko Boska! Moskale już na granicy niema ani jednego! Z granicy przez odeszli!”

Nie on jeden płakał; płakali wszyscy koło niego, ciągnęli się dookoła, dopytując, skąd i co... Był to włościanin z powiatu miechowskiego; wybrał się, jak zwykle, do Krakowa na targ za przepustką graniczną i — nie miał jej kogo okazać, bo straży już nie było.

Byliśmy wtedy na Rynku z ob. Ludką; patrzyliśmy z radością w sercach. Znikły wszystkie zwątpienia i chciało się je pochwycić:

„Będzie wojna z Moskalami —
W Polsce wielkie święto!...”

Dnia drugiego sierpnia 1914 r. w niedzielę, o godzinie drugiej po południu wracaliśmy z Uniwersytetu Ludowego, gdzie z p. Radlińską i kol. Benedekówną mieliśmy konferencję w sprawie pracy propagandowo-agitacyjnej. Gdy przechodziłam koło kawiarni Esplanada, od jednego ze stolików podniósł się kom. okręgu krakowskiego ob. Ryszard Trojanowski i zawołał mnie moim pseudonimem organizacyjnym. „Z mojego rozkazu zwołacie dziś wszystkie członkinie Koła kobiet na zbiórkę mobilizacyjną do lokalu „Strzelca“ w parku Krakowskim. Trzeba przystąpić do zorganizowania intendencji i zająć się szeregiem prac, które powstaną przy organizowaniu Wojska Polskiego — powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

Pamiętam te słowa dokładnie, gdyż zostały one niezatarty ślad w mojem sercu. Był to dla nas rozkaz mobilizacyjny, mocą którego zostawaliśmy powołane do współpracy z wojskiem własnem, polskiem, które miało iść do walki o niepodległość. Byłyśmy niejako wcielone do szeregów, iść się przezeń nasz złoty sen...

Pamiętam, że poza jednym: „rozkaz“ nie byłam w stanie powiedzieć ani słowa i pędem niemal pobiegłam do domu. Planu alarmowego dla nas nie było, a jednak w tej chwili w wysokim napięciu uczuciowem, zdolałam w ciągu kilkunastu minut skonstruować coś w rodzaju takiego planu i po zawiadomieniu dwóch najbliższych mi nie mieszkających, posłać je do innych.

O godzinie piątej około trzydziestu niewiast zebrało się w lokalu Związku, oprócz bowiem członkin były obecne zawiadomione przeze mnie także sympatyczki. Z ramienia komendanta okręgu przybył do nas ob. Boerner nie z konkretnym planem pracy i gotowymi rozkazami, lecz z jednym bardzo ogólnym: „strzelcy może już niedługo wyruszą do Królestwa, muszą być ubrani i wyżywieni. Komenda Główna organizuje intendencję — musicie się do tej pracy wziąć“.

I wzięłyśmy się. Ile w naszej pracy było błędów, ile niepotrzebnej bieganiny, ile dyletantyzmu — Bóg jeden wie. Zresztą, całe organizowanie owej „armii powstańczej“, jaką wtedy być chcieliśmy — było jedną wielką improwizacją, pełną może błędów, lecz natchnioną ogromnym zapałem i wiarą.

W ciągu następnych dwu dni praca nasza zróżnicowała się i zorganizowała; wchodziłyśmy do coraz nowych jej działów, coraz to nowe obejmując funkcje. Pracowniczek przybywało; zaczęły ściągnać do Krakowa strzelczynie krakowskiego oddziału, będące na prowincji i z niektórych oddziałów prowincjonalnych. Ponadto komenda zdecydowała przyjmować nowe kandydatki, lecz do stworzenia w tym celu komisji werbunkowej nie powołano ani naszej koman-

dantki ob. Jastrzębiec, ani żadnej innej, wskutek czego byłyśmy zupełnie pozbawione wpływu na wybór tych, które miały w przyszłości z nami razem pracować. Napływał, oczywiście, element bardzo niejednorodny: obok jednostek wysokiej wartości, zgłaszały się, co prawda bardzo nielicznie, dziewczęta, które szukały sensacji lub sposobu wyżywienia.

Napływ ochotniczek był dość duży. W ciągu pierwszego dnia napłynęły 102 kandydatki. Cała działalność owej komisji trwała zaledwie 2 czy 3 dni. Napłynęły one, zresztą i poza komisją, zgłaszały się poprostu do różnych instytucji, w których pracowałyśmy i brały się do pracy. Dostawały najczęściej funkcje dorywcze, po których wykonaniu odchodziły, niektóre pozostawały dłużej. W ten sposób część niewiast, które pracowały wówczas dla formujących się oddziałów strzeleckich, wyemigrowała się z pod wszelkiej ewidencji.

Jakkolwiek Związki i Drużyny Strzeleckie były już wtedy połączone pod wspólną komendą (rozkaz znoszący formalnie dwie odrębne organizacje był wydany dopiero po wymarszu Kadrowki) — oddziały żeńskie pracowały z początku oddzielnie, potem dopiero nastąpiło połączenie i nominacja J. Antoniewiczówny (H. Dąbrowy) na komendantkę złączonych już oddziałów.

Z początku więc nasz oddział żeński był odrębnym życiem organizacyjnym, chociaż w pracy spotykałyśmy się stale z zatrudnionymi obok nas drużyniaczkami. Ta dwoistość organizacji wytwarzała pewien zamęt, bo zdarzało się niejednokrotnie, że do objęcia jednej i tej samej funkcji Komenda Drużyn wyznaczała jedną niewiastę, my zaś drugą, a często jeszcze ktoś z „szeregi” trzecią, nieraz już zupełnie z poza organizacji. Oczywiście ten był lepszy, kto przyszedł najpierw. Tego rodzaju fakty wytwarzały pewną gorycz, która zresztą nie osłabiała naszego zapału do pracy.

Rozkazem władz organizacyjnych otrzymałam pierwszą setkę nowozwerbowanych niewiast do przeszkolenia. Pamiętam tę pierwszą zbiórkę o godzinie 9-tej rano w lokalu jakiegoś jadalni. Kandydatki były w wieku od lat 14 do 60 z różnych sfer społecznych. O jakimkolwiek przeszkoleniu całości nie mogło być mowy, to też poprzestać musiałam na pewnem ich zorganizowaniu, odbył je grupami, w myśl otrzymanych wytycznych, do różnych działów pracy. Dla nielicznej tylko grupki prowadziłam w ciągu kilku dni wykłady w tempie gorączkowym, starając się w nie przełać chociaż część tej „mądrości wojskowej”, którą myśmy w swoim czasie otrzymali.

W ciągu dwóch pierwszych dni po mobilizacji praca nasza została już jako tako zorganizowana i przystąpiliśmy do szeregu prac pomoc-

niczych już w formie normalnych „przydziałów” wojskowych. Część stanęła do służby sanitarnej, gdzie objęła stałe dyżury w ambulatorium przy pierwszych naszych koszarach w „Oleandrach”. Osobno zorganizowano pod kierownictwem prof. Bożwiada sześciotygodniowy kurs profilaktyki i szczepienia. Wygłoszono tam szereg wykładów o walce z chorobami zakaźnymi i o szczepieniu ochronnem. Inne grupy strzelczyń zajęły się pracą gospodarczą, pracując, bądźto w szwalniach połowych (w szkole Przemysłowej, lub u p. Bogdanowej przy ul. Florjańskiej), gdzie szły bieliznę, chlebaki, ładownice, oraz specjalne odznaki na kołnierze (projekt ob. Kazimierza — Czesława Jarnuszkiewicza); bądź też w dziale prawniczym. Ostatni mieścił się w lokalu Towarzystwa Emigracyjnego (przy ul. Radziwiłłowskiej) — przyjmowano tam dary w naturze i zgłoszenia na wyżywienie żołnierzy, bo wielu z pośród krakowian, nie mogąc służyć datkiem pieniężnym, w tej formie ofiarowywało pomoc żołnierzom polskim. Poza temi pracami, rozrzuconemi wśród biur strzeleckich specjalna dorywczą, a gorączkową pracę skupiała się w „Oleandrach”. Działyły tam szwalnia, naprawiająca mundury i bieliznę strzelcom, szykującym się do wymarszu, i kuchnia połowa dla przebywających w „Oleandrach” oddziałów, obie prowadzone przez strzelczynie.

Ponadto krążyły po mieście kwestarki zaopatrzone w kwitariusze intendenty strzeleckiej i zbierające datki w naturze. Z innych rodzajów pracy wymienić trzeba utrzymywanie łączności przy kometdach i prace w wojskowych biurach. Największą ilość niewiast obok służby gospodarczej pochłaniała praca skarbowa: zarówno przeprowadzenie stałych zbiórek, jak też przyjmowanie i segregowanie darów. Cudów w tym względzie dokazywała ob. Ludka.

Najcięższą ze wszystkich naszych prac była związana z wojskiem praca kurjersko-wywintowicza. O tem jednak piszą inne.

Praca naogół była ciężka, lecz radosna. Wkoło nas był entuzjazm, była wiara w słuszność sprawy i jej zwycięstwo. Czyż mogła nie być radosną praca, gdy rozpoczynała się nowa walka o niepodległość Polski i, jak wierzyliśmy wszyscy, już ostatnia. Entuzjazm ludności był czasami wprost porywający. Składano w ofierze wytarte stare obrączki, ostatnie klejnoty i oszczędności. Pamiętam jaką staruszkę służącą, która przyszła do jednego z biur skarbowych i, wysupłując z chusteczki pominiętą 20-sto koronówkę, prosiła ze łzami, żeby to przyjąć dla wojska polskiego, tłumacząc się przytem, że nie posiada nic więcej.

Po wymarszu kadrowej kompanii miały wyjść dalsze pod dowództwem ob. Trojanowskiego. Dnia 7-go sierpnia przed południem kilka

z nas wzywano do komendy, gdzie lekarz ob. Konopnicki oznajmił nam, że mamy stworzyć patrol sanitarny, który z kompanjami wymszeruje do Królestwa. Wybrane zostały: Wanda Smolikówna, ja i jeśli się nie mylę, p. Wanda Wasilewska, która naówczas była jeszcze w Krakowie. W ciągu kilku godzin zlikwidowałyśmy swoje sprawy i zameldowałyśmy się w Oleandrach. Tam jednak powiedziano nam, że sprawa patrolu sanitarnego jest już nieaktualna. Pozostawoło jedno: zrobić wtył zwrot i tak też zrobiliśmy. Widocznie jednak w ciągu kilku następnych godzin sytuacja znów się zmieniła, bo na- zajutrz wyzależ jednak ze strzelcami niewielki patrol sanitarny; we- szły doń: Wanda Smolikówna, Stefania Fedkowiczówna i dwie inne, których nazwisk nie pamiętam.

Rankiem dnia 8 sierpnia kilka z nas: Ludka, Nika, Rojanowa, Anka Biernacka i ja pozostawaliśmy w „Oleandrach” do chwili wymarszu, zajęte przy przygotowywaniu posiłku dla strzelców.

W chwili gdy nastąpił wymarsz, stałyśmy przy wejściu. Szły kom- panje jedna za drugą. Dowódcę pierwszej, przechodząc koło naszej niewielkiej grupki w szarych strzeleckich bluzach i kapeluszach za- salutował nam szabłą, za nim salutowali i inni. Ten błysk szabli w porannem słońcu, to żołnierskie pozdrowienie włązało nas miernozwalnem bratersstwem z tymi, którzy odchodzili do walki. Bez słów, z twarzami we łzach, które płynęły niehamowane, patrzyłyśmy za nimi, a dusze w milczeniu zaprzysięgały, że wytrwamy w służbie, cokolwiekby się stało...

Regina Flaszczka.

ODDZIAŁ ŻEŃSKI LWOWSKIEGO ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W CZASIE MOBILIZACJI

I.

Wybuch wojny i mobilizacja zastały mnie na wsi w Rzeszowskiem. Tegoż samego dnia wybrałam się do Lwowa, licząc na to, że znajdę tam Komendę Strzelca i stancję odrazu do zorganizowanej pracy. Tak też było rzeczywiście.

Część strzelców i strzelczyń opuściła Lwów zaraz po wybuchu, udając się do Krakowa. Między innymi uczyniła to i Ola, komendantka oddziału żeńskiego, oddając przed odjazdem w moje ręce pieczę nad tym oddziałem. Nie powiem, żebym była z tego zadowolona. „Godność” to uniemożliwiła mi konkretną pracę, której wyniki byłoby

namacalne, a z drugiej strony wymagała bardzo dużego nakładu energii i w najlepszym razie wydobyć mogła owoce tylko pośrednio.

Po wyjeździe pierwszej grupy pozostałe dawne strzelczynie stały się kadrami dla nowowstępujących, tworząc i prowadząc równocześnie całą akcję aprowizacyjno-intendencką. Z własnej inicjatywy i zupełnie samodzielnie zostały stworzone przez nasze niewiasty początkowo w siedzibie Związku, a następnie w Domu Techników przy ul. Issakowicza: kuchnia, szwalnia, pralnia i intendentura. Wszystkie te działy szły sprężysto, prowadzone przez dawne strzelczynie, jak: Maria Domańska, Julia Sokółska, Bronka Tyniówna i Ewa Krajewska oraz szeregi nowoprybyłych, jak: K. Miljanówna, Marusia, W. Michalska, Wołse i inne. Praca ich wymagała nadzwyczajnego wysiłku fizycznego i w wielu wypadkach trwała dzień i noc. Z całej Wschodniej Małopolski ściągaly do Lwowa oddziały Związku po większej części pociąg tylko, aby zaraz ruszać dalej. Pamiętam, jak z jednym z takich oddziałów, zdaje się z Trembowli, przywędrowało kilka strzelczyń; niezwykle dzielnych dziewcząt; wszystkie one pomimo to, że znaczną część drogi przebyły pieszo, dotrzymywały dobrze kroku swym kolegom i pracowały później sumiennie na swych stanowiskach.

Nie brakło też momentów, dających możliwość wykazania wielkiego spokoju i opanowania, które cechowały większość naszych niewiast. Jak żywy stoł mi przed oczyma jeden z alarmów, które niepokoiły Lwów w drugiej połowie sierpnia. Pamiętam też doskonale szybko zorganizowanie się chłopców, jak również tę chwilę konsternacji, która zapanaowała w pierwszym momencie pośród kilkunastu młodych strzelczyń, pracujących jeszcze mimo późnej pory w szwalni. Kilkoma słowami jednak udało się M. Domańskiej opanować sytuację: nie pozwoliła ona przerwać pracy aż do chwili wyjaśnienia sytuacji.

Oprócz strzelczyń, prowadzących pracę w ramach organizacyjnych był jeszcze cały zastęp strzelczyń, które wiodły niemniej wytyczoną pracę pośród społeczeństwa lwowskiego. Na czele tej pracy stała niezmordowana Maria Dułabianka. Ona to zdobyła obszerny lokal w Domu Techników przy ul. Bourlarda, dokąd całemi dniami znoszono najrozmaitsze dary dla wojska polskiego; tu też szły bielizna, chlebaki, plecaki i t. d. Stąd szły gotowe transporty na ulicę Issakowicza. W dziale zbierania darów rozwinęła niewyczerpaną energią Feliksowa Perlowa.

Pierwsze wypadki po wybuchu wojny wykazały znaczne braki naszego przygotowania zwłaszcza w dziedzinie wyszkolenia sanitarnego. Zorganizowałyśmy więc wykłady w lokalu Kasy Chorych i zajęcia praktyczne w szpitalu żydowskim.

„Mnie przypało w oddziale utrzymywanie łączności i porozumienia między temi wszystkimi placówkami, co nawet ze względów technicznych było bardzo trudne, gdy się weźmie pod uwagę ich rozmieszczenie terytorjalne. Komendzie trzeba było zgłaszać wykazy nowowstępujących; tam otrzymywaliśmy legitymacje i wezwania do takiej lub innej pracy. Placówki oddziału żeńskiego były też kilkakrotnie wizytowane z ramienia Komendy przez ob. Satyrę i spotykały się z jego uznaniem. Zbliżał się powoli koniec sierpnia, a z nim konieczność opuszczenia Lwowa.

Był to trudny moment dla oddziału żeńskiego. Kadry nasze rozrosły się nadzwyczajnie: wszystkie prawie dziewczęta były idealne, pracowały z zapałem, i wszystkie też prawie chciały dzielić dalsze losy Strzelca. Było to niemożliwe. Ciężki był moment dokonania wyboru; dopomogło nam w tym wypadku badanie lekarskie przeprowadzone przez dr. dr. Toloczkoვნą i Neufeldówną; prócz tego brało się pod uwagę umiejętności fachowe. W ten sposób zakwalifikowano do wyjazdu około 20 niewiast. Ostatnie dni praca trwała dzień i noc, szczególnie w dziale intendentury, gdyż starano się załatwić absolutnie wszystko co otrzymaliśmy w darze od społeczeństwa. Zapobiegliwości naszych niewiast należy zawdzięczać fakt, że wszystko to załadowano i dowieziono do Krakowa. W dniu 31/VIII opuściliśmy zagrożony Lwów, jako cząstka wielkiego transportu, aby w dniu następnym stanąć do takiej samej pracy dla wojska w Krakowie.

II.

Wybuch wojny zastał oddział żeński Związku Strzeleckiego w rozrypcy: z powodu ferij letnich znaczna część strzelczyń rozjechała się na prowincję, pochodzące zaś z Królestwa, a przebywające we Lwowie na studiach, znajdowały się w tej chwili poza kordonem. My, pozostające na miejscu, stawiliśmy się do pracy natychmiast. Po wyjeździe wszystkich niemal zorganizowanych strzelców do Krakowa, wzięliśmy się do najpotrzebniejszych w danej chwili warsztatów pracy.

Bronka Tyńkówna z paru innymi prowadziła biuro werbunkowe, gdzie przez cały dzień aż do późnego wieczora zajęte były przyjmowaniem nowych ochotników do oddziałów strzeleckich. Napływ ich był tak wielki, że trudno było nadażyć. Równocześnie trzeba było otworzyć stację wyżywienia dla ochotników, przybywających z poza Lwowa. Ponieważ zaś społeczeństwo lwowskie obficie składało dary w naturze, musiałyśmy zorganizować dla przyjęcia owych darów —

intendenturę. Intendentura stała i szybko powiększała się, gdyż łowienie znosiła wszystko, co tylko żołnierzywi przydać się mogło: bieliznę, pościel, ubrania, obuwie oraz wszelkiego rodzaju wiktuały. Po kilku dniach stało się konieczne znalezienie obszerniejszego pomieszczenia. Obywatel Czechna-Tarkowski¹⁾, który otrzymał rozkaz porostania we Lwowie i formowania nowych oddziałów, uzyskał na użytek Związku pierwszy Dom Techników przy ul. Lisakowicza, dokąd narazie przenieść się miała tylko intendentura. Wkrótce ostatni mieszkańcy Domu Techników przywdziali mundur, a Komenda objęła cały gmach, prócz parteru, zajętego przez intendenturę.

Biura intendentury zajmowały cztery pokoje: w jednym z nich przyjmowano interesantów i dary, drugi, trzeci i czwarty — stanowiły magazyny bielizny, mundurów i przyborów wojskowych.

W tym czasie wiele nowych ochotniczek napłynęło do Strzelca. Wzięły się one żywo do pracy w magazynach, t. j. do zycia bielizny i przerabiania ubrań cywilnych na mundury. Pracowały tam: J. Sokółska, W. Michalska, Miljanówna, Marusia i inne. Praca zwiększała się wciąż, gdyż wyprawiało się coraz to nowe oddziały strzelców.

W kuchni pracowało kilkanaście niewiast z Ewą Krajewską na czele. Wielką też pomoc dawała p. Górską, kierowniczką gospodarstwa Domu Techników. Niewiasty chodziły same z koszarami po zakupy, same gotowały i wydawały porcje, same też myły naczynia i utrzymywały porządek w kuchni i jadalni.

W miarę zbliżania się linii bojowej ku miastu — zwiększała się ilość ochotników ze Wschodniej Małopolski, tak, że nieraz w nocy trzeba było podawać im posiłek, dlatego też część niewiast nocowała na miejscu, nie wracając wcale do swych domów.

Sympatyczki Strzelca aż do wyjazdu ostatniej kompanji ze Lwowa zajmowały się praniem bielizny dla strzelców u siebie w domu. Czyn ten zasługuje na specjalną uwagę dlatego, że tej bielizny były olbrzymie ilości, a w jakim ona była stanie, to się nie da nawet wypowiedzieć. Szczególnie chętnie i z całem poświęceniem pełniły tę ciężką służbę kobiety ze sfery robotniczej, pomimo, że równocześnie pracować musiały na utrzymanie własnych rodzin, jak na przykład dwie pracownice zawodowe z ul. Polnickiego, których nazwiska niestety zapomniałam.

Szwalnia, oddawaniem i przyjmowaniem bielizny z prania oraz wydawaniem jej oddziałom zajmowała się przez cały czas J. Sokółska. Praca jej trwała nieraz dzień i noc, dlatego też razem ze mną i Marusią zdecydowała się na stałe zamieszkanie w Domu Techników.

¹⁾ Ppor. Czechna-Tarkowski poległ pod Kostiuchnówka, październik 1915.

Pewnego dnia, pod koniec sierpnia podczas kolacji przybiegli z miasta skaut z wieścią, że Moskale są na rogatce Łyczakowskiej. Gwizdek — alarm — chłopcy poprzez stoły po talerzach wybiegają na dziedziniec. Ob. Słonka¹⁾ obstawia Dom Techników, wydając popisownie rozkazy, ubezpiecza dostęp od strony Wólki i ul. Potockiego. Strzelcy ukryci czekają na wroga, nas również uzbrojono w rewolwery. Wychodzimy na balkon. Cisza — pustka. Po półgodzinnym czekaniu nadbiegli goniec z wieścią, że alarm był fałszywy i spowodowały go... ćwiczenia sokołów na boisku Łyczakowskim.

Wieczorem jednak, po ukończeniu zwykłych zajęć, poszliśmy do Zbunk, aby przekonać się naocznie o źródłach tej złowróżbnej pogłoski. Nabrałszy tam pewności, że faktycznie Moskale są blisko. Ludność z pobliskich wiosek ciągnęła tłumnie do miasta, niosąc przesłane wieści o wrogu. Wróciliśmy już nad ranem z tem przekonaniem, że nasz pobyt we Lwowie ledwie na dnie liczyć można.

W przeddzień wyjazdu rozmawiałam ze swymi pomocnikami, zaznaczając wyraźnie, że jeśli wyjadą ze strzelcami, będą musiały zdecydować się na ciężką pracę. Zdeklarowało się ich wtedy około dwudziestu, gotowych na wszelkie trudy, aby tylko być pożyteczni dla naszego wojska.

Noc, poprzedzająca nasz wyjazd, upłynęła na ładowaniu zawartości składów intendentury, a było tego bardzo wiele, bo lwowianie prześcigali się w hojności dla żołnierzy. Były tam: beły sukna, szuki płótna, bielizna nowa i używana, mundury, plecaki, chlebaki i komplety opatrunkowe, prócz tego były tam kowtowności, ofiarowane na rzecz Skarbu, które mieliśmy oddać Komendzie Głównej. Wszystko to utworzyło pięć wagonów, które intendentura zabrała do Krakowa.

Oddział prowadził ob. Słonka. Na jednym z wagonów zatknęty był sztandar, przy którym stała czuwająca warta. Koło Przemyśla zasłuchaliśmy nas alarm, ponieważ Moskale zbliżyli się do toru. Pociąg szedł zółwim krokiem, często zatrzymując się wśród zupełnej ciemności. Mijały nas od czasu do czasu pociągi z wojskiem, jadącym na front.

Do Krakowa dojechaliliśmy na drugi dzień rano. Nieznajsty dostały rozkaz zgłosić się do komendantki oddziału żeńskiego na ulicę Dąbnych Młynów. Ob. Dąbrowa odebrała raport od ob. Fleszarowej, po-czem pozwolono nam odejść i szukać sobie pomieszczenia na własną rękę, zanim dostaniemy wyznaczoną sobie kwatery.

W parę dni później byliśmy już przy nowych warunkach pracy. Kilka z nas pracowało w parku Jordana w paru świeżo otwartych

¹⁾ Ppor. Słonka-Dresser poległ pod Łowoszkami. Grudzień 1944.

kuchniach polowych. Kuchnie te były pod gołym niebem i nieraz do-
braś deszcz zmoczył kucharki — nie pouło to im jednak humoru.
Kuchnie istniały do czasu póki wszystkie oddziały strzeleckie nie wy-
maszerowały na front. Strzelczynie lwowskie przydzielano też do
innych działów pracy między innymi do służby kuriersko-wywiadow-
czej na terenie Królestwa. Pracowały tam: Julia Sokółka, Marja
Rychterówna (wojna zastała ją w Zakopanem, przez sierpień pra-
cowała w Strzelcu krakowskim), Marja Domańska, Br. Tynikówna,
St. Krasuska, Aldona i inne.

Zofia Barańska-Jaszczyńska

MOBILIZACJA ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W BELGII

W roku 1913 przyjechałam z Paryża do Leodjum. Polecenie pary-
skiej „Filarecji” otworzyło mi gościnnie podwoje do bratniego stowa-
rzystwa w Liège. Bardzo szybko natknęłam się z pracami kolonii pol-
skiej w Belgii, poczęłam żyć jej życiem, pracować z nią — czułam
jednak zawsze, że istnieje jakaś nieznamy mi komórka, jakiś schowek
dla wtajemniczonych, do których nie należałam widocznie. Zbyt długo
przebywałam w gronie młodzieży niepodległościowej, aby nie wie-
dzieć, że owo święte „tabu” to Związek Strzelecki, który na terenie
Belgii nie wciągał do współpracy kobiet; nikt jednak w mojej obec-
ności nie mówił o pracy wojskowej.

Dopiero przyjazd Kazimierza Soszkowskiego zdradził mi siły zwią-
kowe. Jeden z nieżyjących już kolegów wskazał mi miejsce zbiórki.
Poszliśmy daleko za miasto i tam zobaczyłam strzelców. Oni, nie oni?
Twarze znane, a jednak obce! Marsowe miny, wyprostowane postawy.
Natknęliśmy się na posterunek strzelecki w lesie i jedynie kurtuazji
kolegi wartownika, pewnie młodego jeszcze adepta sztuki wojskowej,
zawdzięczałam, że nie stawiono mnie, jak szpiega złapanego na terenie
działań wojennych, przed groźne oblicze „szefa”.

W 1914 r. w lipcu rozjeżdżali się strzelcy „na szkół” do Krakowa.
Dopiero wtedy postanowiono użyć mego pośrednictwa przy nadsyłaniu
korespondencji, rozkazów i t. d. Adres i nazwisko moje stały się więc
oficjalnie adresem Związku Strzeleckiego na okrąg belgijski. Tak da-
lece jednak nikt nie przewidywał, że adres ten może się przydać, że
nie zakomunikowano mi nawet, kto jest najwyższą z pozostałych szarż
i do kogo mam się zwrócić, jeżeli zajdzie potrzeba.

Wybuchła wojna. Leodjum padło: Niemcy zajęli miasto. Zaczynały
się już represje w stosunku do cudzoziemców przynależnych do państw
koalicyjnych. Któregoś z pierwszych dni, rano o godzinie 7-ej obudziło
mnie brutalne walenie pięścią w drzwi. Niemcy! Zapewne rewizja!

Otwieram. We drzwiach staje uprzejmie uśmiechnięty żołnierz, wręcza mi depeszę i każe kwitować jej odbiór. Nie pamiętam jej dokładnej treści, nie pamiętam nawet kto ją podpisywał, choć mam to przekonanie, że było tam wymienione nazwisko Sosnkowskiego. W każdym razie był to rozkaz mobilizacyjny dla okręgu belgijskiego Związku Strzeleckiego. Zmobilizować! Rozkaz! Ale kogo zawiadomić? Gdzie są strzelcy? Logika kazała mi ich szukać między filaretami.

Po całodziennem uganianiu się po mieście, wróciłam do domu. Nikogo nie znalazłam, niczego się nie dowiedziałam (Polacy już się przeczornie przestali pokazywać). Nazajutrz ktoś mi szepnął: Medyński! Kol. Eugenjusz Medyński¹⁾ mieszkał w Brukseli; do niego postanowiłam dotrzeć.

Bruksela była jeszcze w rękach belgijskich. Jak tam dotarłam, nie pamiętam już dziś wcale; niby przez sen przypominam sobie jakieś tragiczne sceny panicznej masowej ucieczki Belgów w głąb kraju, niepokój o podejrzaną dokument. t. j. austriacką depeszę na mej pierś i wreszcie dotarcie do Brukseli. Kolega Medyński umieścił mnie u swej gospodyni i kazał czekać. Przemyśliśmy dnie głodu, a jednak dale tak podniosłych nadziei, wielkich marzeń i gorącej wiary! Stałimy się wolni pomimo wojny, istniejących zaborów, niepewnych losów Polski. Konsulat rosyjski zorganizował wprawdzie zapki dla swych poddanych, woleliśmy raczej jednak umrzeć z głodu, niż z tych obiadów korzystać, bo przestaliśmy być we własnym sumieniu poddanymi państwa rosyjskiego.

Przyszli Niemcy. Zaleli całą Belgię. Kolega Medyński zaczyna działać. Nie wiadomo może być sam: Bruksela go zna. Posługuje się więc mną. Biegam zatem do konsulatu austriackiego, używając otrzymanej z Krakowa depeszy jako głoju.

Miejszego konsul austriacki po paru z nami rozmowach dał nam dokumenty, epowaźniające do wysłania członków Związku Strzeleckiego do legionów, nie wiem po dziś dzień.

Trzeba było jednak jeszcze zdobyć pozwolenie na przejazd przyszłych legionistów przez Niemcy od samych już Niemców. Jako punkt koncentracji wybrał Medyński Leerdam. Postanowiliśmy więc wracać.

Głodni, wynędzniali dotarliśmy do mego domu. I tu spadła na nas straszna wieść o znieszczeniu Polaków i wysłaniu ich do obozów w głąb Niemiec. Zaledwie garstka kolegów ocalała. Garstkę tę z trudem wyznalazłam.

1) Eugenjusz Medyński poległ pod Krzywopółkami, listopad 1915.

Trzeba było jeszcze dotrzeć do Verviers, gdzie liczenie rozsiadła się kolonja strzelecka. Jak tam dotrzeć? Skąd zdobyć trochę pieniędzy? Kursowały tylko transporty wojskowe. I tym razem depesza spełniła swoje. Decyduję się. Niebardzo zdaję sobie sprawę na co podówczas liczyłam. Postanowiłam dotrzeć do dowództwa niemieckiego, otrzymać pozwolenie na wyjazd do Holandji, stamtąd wysłać depeszę o pieniądzu, wrócić i wyjechać do Verviers i do innych miast Belgji z rozkazem mobilizacyjnym.

Dnia następnego mogłam wyjechać.

W Holandji przez konsulat rosyjski nadałam szereg depesz pod wskazaniami mi przez kolegów adresami. Po trzech dniach miałam w kieszeni pieniądze i wracałam do Belgji z radością, że Polonja potywił się, a ochotnicy będą mogli wyjechać.

Wybrałam się więc do Verviers celem zawiadomienia tamtejszego oddziału o rozkazie mobilizacyjnym. Dziwna to była podróż. Część drogi przebyłam w jakimś samochodzie pancernym, część inną w pojeździe sanitarnym, stale wściekła na zwycięskie samochwalstwa Niemców.

W Verviers dotarłam do kolonji polskiej, gdzie gościny udzieliła mi matka kolegi Jana Mieszowskiego, belłaśka. Dowiedziałam się tu, że dzielnicy ułam i jego kilku kolegów, nie czekając na rozkazy, wybrali się do Krakowa na los strzelectwa. Pozostali po porozumieniu się ze mną, wysłali do Leodjii jednego z kolegów, otrzymali tam dokumenty i razem z kol. Medyńskim i z resztą odnalezionych na koniec strzelców wyruszyli do Krakowa.

Chciałam bardzo jechać z nimi, ale tak przywykłam przez te parę tygodni do słuchania kol. Medyńskiego, że i tym razem usłuchałam, gdy nakazał: — Kierunek przez Holandję, Anglię, Szwecję, Norwegię i Rosję do Warszawy!

W Holandji zniszczyłam dokument niemiecki, wyciągnęłam paszport rosyjski, również mi obcy, jak pierwszy i — podążyłam do Warszawy.

Maria Rzawska.

WSPOMNIENIA Z ZURYCHU.

[1914.]

Kolonja polska w Zurychu przed wojną nie była zbyt liczna. W porównaniu z Genewą i Lozanną był wśród niej mały procent kobiet. Młodzież kształciła się w uniwersytecie i politechnice. Było też kilka stałe osiedlonych domów polskich, które skupiały towarzysko naszą młodzież. Ruch polityczny wśród kolonji w roku poprzedzającym wojnę był dość słaby. Młodzież przeważnie grupowała się dookoła

dwóch organizacji: czytelní „Postępowej” o zabarwieniu skrajnie socjalistycznym i bardziej umiarkowanej czytelní „Kultura”, do której należały stowarzyszenia „Ogółno”, „Filarecja” i tak zwana młodzież „dzika”.

W czytelní „Kultura” skupiała się też organizacja „Związku Strzeleckiego”, będąca w ścisłej łączności z Filarecją. Komendantem Związku był p. Witold Izdebski. Po jego wyjeździe do kraju Strzelec zuryski rozwijał się dość nisko. „Bratnia Pomoc”, organizacja czysto koleżeńską, stała w zasadzie na stanowisku apolitycznym, lecz i na jej gruncie odbywały się dyskusje, które świadczyły o różnicach poglądów politycznych jej członków.

Z chwilą wybuchu wojny tempo życia kolonji wzmożło się raptownie. Zaostrzyły się przeciwieństwa polityczne i przejawiały się jasne sympatje dla różnych „frontów”. Młodzież socjal-demokratyczna wypowiadała się za Rosją. Młodzież zaś, której jądro stanowili strzelcy, zwłaszcza po otrzymaniu wieści o powstaniu Legionów i wy-marszu Kadrówkí, zaczęła się rwać do Krakowa.

W tym czasie kolonja polska powiększyła się znacznie. Szwajcaria, jako kraj neutralny i położony między państwami walczącemi, stała się przytuliskiem wszelkiego rodzaju emigracji. Ludzie, którzy wyjechali zagranicę na lato, młodzież, robotnicy, chłopci, obywatele niemieccy i austriaccy, wydalení z Francji, obywatele rosyjscy, wydalení z Niemiec i Austrii, znaleźli ucieczkę i przytułek w Szwajcarii. Na Zurych przypadła ich też spora garstka. Większość była w opty-malnych warunkach materialnych. Należało przyjąć im natychmiast z pomocą. Prawie samorzutnie, z inicjatywy starszych członków kolonji, organizuje się bardzo szybko „Polski Komitet Samopomocy”, przeznaczony do opieki i pomocy dla emigracji. Na przewodniczącego zostaje wybrany jednogłośnie p. Gabrjel Narutowicz, wówczas profesor politechniki zuryskiej. Prof. Narutowicz z wielkiem oddaniem pracuje dla Samopomocy. Jako wybitny uczony i ceniony profesor, znany i szanowany w całej Szwajcarii, staje się niezmiernie ważnym i skutecznym pośrednikiem pomiędzy Komitetem a władzami szwa-jcarskimi. Między innemi ułatwia on wyrobienie dokumentów, prawa pobytu i t. p. konieczne formalności. Poza tem wzbudza zaintereso-wanie sprawą polską wśród Szwajcarów do tego stopnia, że urzą-dzają oni z własnej inicjatywy koncert na rzecz niezamotnych pol-skich emigrantów, a także węgę w kawiarni.

Sekretarzem zarządu był dr. Tadeusz Woyno. Z kobiet do zarządu weszły: p. Bogumiła Domańska, senjorka kolonji polskiej, p. Zofja Sikorowska i pisażąca te słowa, jako przewodnicząca „Bratniej Po-mocy”.

Samopomoc, wkrótce po ukonstytuowaniu się, zorganizowała wielkie zebranie kolonji polskiej, na którem ugruntowano stowarzyszenie, zatwierdzono zarząd, omówiono najpilniejsze sprawy i opodatkowano członków. Postanowiono urządzenie kuchni polskiej, która stała się wkrótce najważniejszym punktem pomocy dla Polaków, a jednocześnie głównem ogniskiem kolonji polskiej w Zurychu.

W owym czasie „kuchnia” ta była prawdziwem dobrodziejstwem dla licznych Polaków, odciętych od kraju, od źródeł zarobkowania, przezwrotnie pozbawionych pieniędzy.

Samopomoc zurycka stawiała się organizacją coraz mocniejszą, wchodziła w kontakt z innemi miastami w Szwajcarii, nawiązała ściśle stosunki z Komitetem Stenklowiczowskim w Vevey, skąd za pośrednictwem prof. Narutowicza otrzymywała zapomogi. Również kilkakrotnie była subwydjowana przez komitet losański z p. Heleną Piłecką na czele. Samopomoc starała się o mieszkania dla emigrantów, tywała ich, zdobywała dla nich zajęcia, choć było to może najtrudniejsze, wreszcie ułatwiała im wyjazd. Bardzo rozgałęzioną również czynnością było pośredniczenie między Polakami internowanymi, jeńcami wojennymi we Francji, Niemczech i Austrii, a ich rodzinami w kraju. Charakterystyczne jest, że w momencie silnych zagnień politycznych i rasowych, Samopomoc jednoczyła obywateli polskich bez różnicy wyznania i pochodzenia, którzy zarówno świadczyli pomoc, jak i ją otrzymywali. O popularności Samopomocy świadczy ciekawe drobne zdarzenie. Pewnego razu zgłosiła się do p. Domańskiej grupa chłopów z żonami i dziećmi, którzy przyszli zapytać ją, gdzie tu jest „rząd polski”.

Samopomoc pomnażała swoje dochody różnemi imprezami. Wielkiem powodzeniem cieszyły się koncerty polskie z udziałem takich sił, jak p. Stanisława Szymanowska, p. Kara Ermit, p. Wóycicka-Chylewska i inni. Odczyty, przedstawienia amatorskie, obchody rocznic narodowych nie tylko przynosiły dochód, lecz i spajały moralnie i podnosiły na duchu Polonję.

Stopniowo kolonja polska przerzadzała się. Potrochu ludzie okólnemi drogami, przez lądy i morza dalekie, wracali do Ojczyzny. W związku z tem działalność Samopomocy zwężała się, aż wreszcie po paru latach istnienia, zlikwidowano ją ostatecznie.

Po wybuchu wojny, pod wpływem wieści z kraju o Legionach, grupa młodzieży polskiej w Szwajcarii zaczęła przygotowywać się do wyjazdu i zaciągnięcia się w szeregi ochotników. Związek Strzelecki był, naturalnie, najgorliwszym organizatorem i propagatorem tej sprawy.

W tym żywiołowym ruchu wzięła udział nie tylko młodzież studencka, ale i Polacy przyjezdni, zatrzymani przymusowo przez wojnę w Szwajcarii lub wysiedleni z krajów sąsiednich. Właściwym kierownikiem „werbunku” do Legjonów była świetnie zorganizowana Ekspozytura N. K. N. w Rapperswilu, na której czele stanął p. Stanisław Zieliński. Władze szwajcarskie, jako neutralne, nie mogły pozwalać na werbunek. Na żądanie poselstwa rosyjskiego w Bernie nastąpiło aresztowanie kilku osób, w tem dwóch kobiet. Jednak sprawa skończyła się pomyślnie dzięki prof. Narutowiczowi, który zaręczył, że w korespondencji, zabranej przy rewizji, niema nic, co by zagrażało interesom i całości państwa szwajcarskiego. Godnem wspomnienia jest też przemówienie obrońcy oskarżonych podczas rozprawy sądowej, Szwajcara, który dowodził, że Polaków nie trzeba werbować, gdyż każdy Polak jest już od urodzenia zwerbowany, każdy jest bojownikiem przeciwko swym zaborcom. Wszyscy aresztowani zostali zwolnieni.

Młodzież rwała się do czynu, każdy pragnął stanąć jak najprędzej w szeregach Legjonów. To też w sierpniu r. 1914 przeważającym nastrojem było niezadowolenie z powodu przeciągania się starań o przejazd przez granicę. Rzeczywiście ostatnia partja wyjechała dopiero we wrześniu. Zdaje się, że wszystkich wcielono do II Brygady i prawie wszyscy przeszli całą kampanję karpacką, a potem Kościelną oraz inne bitwy wołyńskie.

Możliwości udziału kobiet były bardzo ograniczone. Pierwszym, naturalnym niejako odruchem, było przygotowanie się do służby sanitarniej. Natychmiast po wybuchu wojny szwajcarski Czerwony Krzyż (t. zw. *Dunantgesellschaft*) zorganizował kurs sanitarny, ze szczególnem uwzględnieniem pierwszej pomocy rannym. Uczęszczalo nań paręset osób różnych narodowości. Kilka nas, Polek, również kurs ten skończyło. Oprócz tego zorganizowałyśmy specjalny polski kurs sanitarny, którego kierownictwo objęła p. dr. Hirsfeldowa. Ćwiczenia odbywały się w szpitalu dziecięcym. Było nas tam dwadzieścia parę osób, płci obojga.

Równocześnie przygotowywałyśmy się do wyjazdu do Legjonów. Nadchodził wreszcie upragniona chwila opuszczenia Szwajcarii. Pleńniadze zmienione, walizki spakowane — najszybciej pod opieką p. Gumpłowicza mamy wyruszyć w drogę. Wtem, jak grom z jasnego nieba, spada na nas najpierw depesza, a potem list z Krakowa, zakazujący nam przyjazdu. Naczelną lekarz sanitarny Legjonów zawiadania nas, że jesteśmy nie tylko niepotrzebne, lecz z powodu nadmiaru sanitariuszek, byłybyśmy nawet zawadą. W liście dołączona była uwaga, że lepiej siedzieć na miejscu i robić skarpetki dla żołnierzy. Zapewne,

szlachetne i to zajęcie, lecz dziwnie daleko odbiegające od naszych zamiarów. Skrzydła nam podcięła szara rzeczywistość. Pojechały, mimo wszystko, p. Anna Minkowska w jednej partii ze swym mężem i p. Kaszerówna; obie znalazły pracę w szpitalach legionowych. Poprzednio zaś już pojechała z mężem p. Wyczalkowska i zaciągnęła się do służby wywiadowczej. Reszta została. Odłąd współudział nasz w pracy dla Legionów wyrażał się w posyłaniu paczek legionistom. Niektóre panie zaczęły pracować w świeżo zorganizowanym w Rapperswyłu Polskiem Biurze Prasowym.

Echa wojny światowej dochodziły nas tylko z oddali. Trzeba było nie marnować czasu i wrócić do przerwanych studiów. Smutno było i ciężko przeżywać wojnę zdala od kraju i od ważnych w nim wypadków. Radość wielka ogarnęła nas dopiero wówczas, gdy spełniło się życzenie jednej z nas. Gdy zapytano ją bowiem, komu dotyczy zwycięstwa, powiedziała: „Jabym chciała, żeby Niemcy pobili Moskali, a potem, żeby Francuzi pobili Niemców”.

NA FRONCIE.

Zofia Perzich.

MOJA SŁUŻBA W LEGJONACH.

Zgłosiłam się do pracy wojskowej nie pod wpływem nagłe powziętej decyzji: czyn ten był wynikiem kilkoletnich rozważań i przygotowań.

Gdy miałam lat jedenaście, postanowiłam zgłosić się, jak będę duża, do jakiejś organizacji, mającej na celu walkę oreną dla uzyskania niepodległości. Przyczyną tego były, być może, tradycje rodzinne, które znałam od dziecka. Ojciec mój brał udział w powstaniu, dziad jeden walczył w 1831 r., drugi zmarł młodo, zesłany na Sybir; pradziad odbył kampanię napoleońską. Jakżeż takie czyny mogły się nie upamiętnić?

Dorobiwszy, uważałam harcerstwo za najlepszą drogę do wywieńczenia się, zanim „czm” nadejdzie; to też studiowałam, co tylko mogłam z zakresu ćwiczeń skautowych.

W r. 1913 dowiedziałam się o istnieniu Związków Strzeleckich, zabrałam się tedy do nauk wojskowych. Miesząc potrzebne ze zbytecznem, pochłaniałam regulaminy musztry, terenoznawstwo, a nawet taktykę. Wydawało mi się, że w chwytach broni, co mi się później przydało.

W końcu czerwca 1914 r. wyjechałam na kurs skautowy do Skolego. Tu zakończyła mnie wojna. Przedostałam się stamtąd do rodziny, do Krakowa, gdzie zamierzałam zgłosić się do Legionów. Ale łatwiej to było postanowić, niż wykonać. Patrząc więc narazie na ćwiczące oddziały strzelców i łamałam głowę, jakby dostać się w ich szeregi.

Nadchodził koniec października; sytuacja Krakowa pogorszyła się: miano ewakuować miasto. Byłam już w strachu, że pozostając tutaj, stracę możliwość dostania się do wojska. Powzięłam więc postanowienie zgłosić się bezpośrednio do miejscowej komendy, jedynej dostępnej mi władzy wojskowej, gdyż wojsko Piłsudskiego było na froncie. Zgłoszenie do służby linowej złożyłam na ręce płk. S. Przyjął mnie zyczliwie, lecz powiedział, że służba kobiet na froncie zasadniczo nie istnieje, ale że mogłabym znaleźć zajęcie w legionowym oddziale sanitarnym. Nie mając innego wyjścia, zgodziłam się na to. Pułkownik

wziął mój adres, mówiąc, że mnie w odpowiedniej chwili zawiadomi. Niebawem, co prawda, przeczytałem na tę obietnicę. Jednakże w pierwszych dniach listopada zaproponowano mi przydział do sekcji sanitarniej, która niebawem miała opuścić Kraków. Propozycję przyjąłem z radością, gdyż bądź co bądź zbliżałam się do mojego celu.

Dnia 6-go listopada wyjechałam do Jabłonkowa na Śląsk. Pracując w miejscowym szpitalu, myślałam wciąż o tem, jakby się dostać do służby liniowej, zrazu nadaremnie, później jednak szczęśliwy zbieg okoliczności dopomógł mi definitywnie.

W początkach grudnia przybyło do naszego szpitala dwóch rannych oficerów z I Brygady. Byli to: kpt. Sław-Zwierzynski²⁾ i porucznik Szaewola. Kapitan, dowódca bataljonu 2 p. p., dowiedziawszy się o mojem pragnieniu, obiecał przyjąć mnie jako żołnierza do swego bataljonu.

Dnia 25-go grudnia razem z nimi wyjechałam, zaopatrując się w całkowite umundurowanie, które wzięłam ze sobą.

I oto z dnem Nowego Roku rozpoczęłam swą legionową służbę. Ku wielkiej mej radości dano mi konia — ładną, chociaż zbieżoną klacze, zowiącą się Basia. Otrzymałam też legitymację jako Leszek Pomianowski, łącznik konny przy sztabie I bataljonu 2 p. p. (IV bataljon I Brygady). Pierwszy tydzień służby — był tygodniem nauki. Brakło mi bowiem znajomości form żołnierskiego zachowania się, radziłam sobie, obserwując, jak meldują żołnierze, słuchałam na ich postawę i sposób, w jaki oddają honory. Musiałam też nauczyć się czyścić konia; mistrzem moim w tym względzie był drugi łącznik konny, który za „Jasunek” papierosów wtajemniczył mnie w arkana swej sztuki. Nauka poszła dobrze i już nazajutrz czyściłam sama swoją Basię; trzeba to było powtarzać niejednokrotnie w ciągu dnia, gdyż zima była lekka, a dojazd do nas, t. j. do Lipnicy Górnej prowadził przez błotniste wąwozy i gliniste zbocza, po których koń nieraz zsuwał się i walił w błocie.

Najtrudniej jednak było z siodłaniem. Ołbrzymia austriacka kulbaka z mnóstwem rzemieni wydawała mi się straszliwie ciężka, a i klacze, jak mi się zdawało, robiła, co mogła, aby nie pozwolić dociągnąć sobie poprzęgów. Dopiero po kilku dniach praktyki umiałam ją osiodłać prawidłowo i szybko.

Zajęcia w tym czasie miałam niewiele. Brygada była na odpoczynku. Czasem kpt. Sław wysyłał mnie do dowództwa jakiejś kompanii z rozkazem lub też do pułku z meldunkiem. Jedziłam nawet parę razy do sztabu Brygady.

²⁾ Kpt. Sław-Zwierzynski poległ pod Kozłuchówką 1915 r.

Najczęściej przebywałam w towarzystwie mojej wierszówki, t. j. w stodole, gdzie zwykle stała. Tam przynosiłam sobie robotę, smarowałam tłuszczeniem rzemienie, bez końca czyściłam metal siodeł i uprzęży, a gdy przyszły mrozy, płotłam słomiane warsteczki i owijałam nimi strzemięna. Uroczniałam sobie tę pracę przemowami do Basi, która wtedy robiła bardzo mądrą minę, jakby mnie rozumiała. Znała mnie już dobrze, jadła z ręki i rwała cichutko, słysząc, że nadchodzę, aby ją napoić.

Lubiłam też bardzo, gdy kapitan jechał na odprawę do Brygady. Zabierał wtedy zwykle ze sobą obu swoich łączników.

Sztab Brygady mieścił się wówczas w typowym polskim dworze z ganeczkiem, wspartym na białych kolumnach. Kapitan szedł na odprawę, łącznik do kuchni na pogawędkę z kolegami, a ja zostawałam z końmi. Czekałam nieraz długo, ale zawsze byłam rada. Lubiłam bowiem stać samotnie w mroku drzew wśród zapachu choiny, obgryzanej przez konie. Mające zdaleka drzwi dworcu otwierały się co chwila, dając przejście ciemnym sylwetkom oficerów. Poznawałam niektórych z nich: oto Berbecki, oto Rydz-Śmigły, oto Belina. Później drzwi pozostawały zamknięte, a ja, patrząc na oświetlone okna, myślałam o tem, jak ważne się tam rozstrzygają sprawy, że stamtąd właśnie rozbiegają się rozkazy, kierujące życiem w Brygadzie, że tam jest siedziba tej siły, która prowadzi nas do Wolnej Polski.

Prędko jednak skończyły się dni odpoczynku. Dnia 10 stycznia zapowiedziano odmarsz w kierunku na Tymowo do Zakliczyna. Mielśmy wyruszyć nastajutrz. Każdy rozumiał, co to znaczy: istanie jakichś austriackich niepowodzeń, zamiast upragnionego wyjścia do Kongresówki. Dnia 11-go o 7-ej rano opuściliśmy Istotnie Lipnicę. Przedem jednak odebrano mi moją Basię. Otrzymał ją adjutant kapitana, mnie zaś przydzielono tymczasowo do 1-ej kompanii tegoż batalionu. Później przydział ten się ustalił i rozpoczęłam służbę żołnierza piechoty. Żał mi było mej Basi i tego nawpół samotnego życia, które odtąd musiałam zmienić w przymusowe przebywanie w tłumie obcych mi narazie ludzi.

Dnia 16-go stycznia wyruszyliśmy w tym samym, co i przedtem kierunku, t. j. na wschód, w jak najniekorzystniejszych warunkach. Po jednodniowym postoju w Żdani, zawróciliśmy do Lipnicy a 19-go wyszliśmy na Gdów, Izdebnik, Myślenice, Kalwarię, Wadowice i Hocińską do Kęt. Tym razem szliśmy przy cudnej, prawie wiosennej pogodzie. Między Kalwarią a Izdebnikiem ze szczytu węgryz roztaczał się widok niezwykle piękny tak, że potem długo zostały mi w oczach błękitniejące zdale góry i daleka bielejąca Łanckorona.

Po trzydziśowym marszu dano nam dzień odpoczynku w Izdebniku.

W Kalwarji dnia 23/I odbyła się przed Komendantem defilada, pierwsza defilada, w jakiej brałam udział. Od Hecznego Komendanta jechał nie samochodem, lecz konno na czele swojej Brygady. I tożnierz, choć zmęczony, szli rżną, zapominając o bolących od plecaka ramionach. Dnia 24/I weszliśmy do Kęt. Odbyło się to uroczystość. Brygadę witały tłumy, rozsypując na ulicy niewiadomo skąd zdobyte kwiaty. Było mi przykro, że jestem dotąd rekrutem i może jedynym w szeregach, który nie ma prawa do tego powitania i okrzyków, jakimi rozradowana ludność witała Brygadę. Na rynku odbyła się defilada. Potem zaś w odpowiedzi na okrzyki „Niech żyje!” Komendant dziękował swym chłopcom w krótkich słowach. Po raz pierwszy wtedy mogłam zobaczyć Go z tak bliska, gdy jechał na swej kasztance, okrytej czaprakiem, przybranym w ponsowe kwiaty.

Moją kompanię zakwaterowano w Czarnie o 2 km. od miasta. Tu przepędziłam okres wypoczynkowy, który był raczej okresem ćwiczebnym. Kpt. Sław przydzielił mnie do 1 plutonu, złożonego prawie wyłącznie ze skautów, ochotników z Częstochowy i Łodzi. Dzięki temu znalazłam się w towarzystwie bardzo młodych chłopców, wśród których nieźbyt rzadko. Przytem dostałam się w środowisko bardzo kulturalne i wielu z tych kolegów później polubiłam bardzo. Dziwiła mnie tylko u niektórych gwał, jaką rozmawiali z sobą, gwał, bynajmniej nie skautowa. Chcieli widocznie w ten sposób dodać sobie powagi i wydawać się bywałcami w wojsku. Później jednak sami zrewidowali swoje słownictwo i z własnej chęci je zmienili, za co im byłam szczerze wdzięczna. Naogół więc stosunki koleżeńskie ułożyły się dobrze. Koledzy moi wiedzieli, że jestem kobietą; nigdy jednak, przez cały czas służby nie spotkała mnie z tego powodu żadna przykrość ani zaczepka.

Spadły wielkie śniegi, kwatery tonęły w zaspach. Codziennie schodziliśmy się na zbiórki na śniegami okryte pola, gdzie odbywały się ćwiczenia pod kierunkiem dowódcy kompanji, porucznika Narbutta. A więc — na równie musztra formalna, na węgierkach zaś ćwiczenia bojowe. Ćwiczenia te lubiłam bardzo. Zorganizowano też w kompanji patrola sygnalizacyjną¹⁾. Obznajmiliśmy się też ze szkołą „Strzelca”. Często czyszczenie i przegląd broni dopełniały zajęć. Wszystko te ćwiczenia na świeżem powietrzu, chociaż nieraz w pełnym rynsztunku, bardzo mi służyły. Wyrobiłam się fizycznie i już w czasie marzu przypominałam, że mam na sobie plecak i „dziewięć-

¹⁾ Por. Narbutt usiadł nadziei kursowego egzaminu z sygnalizacji (najlepiej czas egzaminu ustalony dyktowanego tekstu). Ci dwaj, którzy uzyskali najlepsze wyniki, zostali dowódcami 2 patroli sygnalizacyjnych. Byli to: ob. Socha (obecny major i dr. praw) — i ja.

dziesiątka" nie ciążyła mi już wcale. Co prawda, byliśmy w tym czasie świetnie odżywiani, bo ludność miejscowa starała się nam okazać jak najserdeczniej swą życzliwość.

Okres dwucieczny dobiegał końca. W kompanii krążyły już pogłoski o wymarszu do Królestwa i wiara się cieszyła. Co do mnie, za mało powiedziałem, że byłem rada — ja żyłam tą myślą i byłem szczególnie. Wkrótce jednak zgaszono moją radość. Któryś z kolegów powiedział mi, że przed wymarszem Brygady na front mają być usunięte ze służby linowej wszystkie kobiety, które się tam znajdują. Było ich kilka, prócz mnie, ale nie znałam ich, gdyż służyły w innych oddziałach. Ta pogłoska przeraziła mnie bardzo: byłem już tak blisko celu. Uważałam to za krzywdzącą niesprawiedliwość. Nie byłem przecież słabsza fizycznie, ani moralnie od moich towarzyszy. Nie wyobrażałam sobie też dla siebie innej służby, jak tylko z bronią w ręku. Na szczęście pogłoska o usunięciu kobiet okazała się fałszywa.

15/II na szerokich polach pod Kętami odbył się przegląd wojska i defilada. Brały w nich udział wszystkie pułki, jak najpiękniej wyekwipowane: piechota i ułani Białego ubrani w swe malownicze czapki. Na widok tych czapk złośliwy piechur pytał zwykle: „Panie ułani, która też godzina na pańskim ratuszu?”

Zebrał się olbrzymi tłum; rozumieci wszyscy mówili, że to podleganie. Wszystko to zostało mi w pamięci. Ustawianie licznych kompani w szyku rozwiniętym, błyski szabli, głosy komendy, przelatujący ewalem jeźdźcy i wśród nich Białina na swej srebrnej arabce. Dzień był chmurny, skłębione obłoki wisiały na niebie. Przed frontem naszego batalionu przechodził Komendant Piłsudski. Szedł wśród absolutnej ciszy; nikt nie śmiał oddechnąć głośniejszy. Wszyscy staliśmy „na baczność” bez ruchu, przeprowadzając go wrokiem. Słychać było jedynie chrzęst grudek ziemi pod stopami Komendanta i jego szablą. A wreszcie jaskrawe światło rozdarło chmury i gorący pas blasku wydobyl się z pod ciemnych kłębow. W tem świetle twarz Komendanta stała się jakby wykuta w jakimś słonecznym metalu: wólcianina, wólczołota.

Odmarsz zapowiadano na 25/II — na dzień następny. Zaczęły się przygotowania. Uzupełniano wyekwipowanie. Zamiast kożuszek, jako żołnierz piechoty, otrzymałam płaszcz. Wydawano też łopatki, kilofy, płachty namiotowe, żelazne poreje konserw i amunicję. Naboi dano nam po 120 sztuk, a pozostałe brał kto i ile chciał. Wzięłam więc jeszcze 40. Byłam jeszcze bardzo „zielonym” żołnierzem i nie wiedziałam, ile waży pełen rynsztunek bojowy. Należało tedy przymiaryć. Włożyłam więc w plecak bieliznę, 160 naboju i dwie żelazne poreje. Na plecak poszły: dwa koce, płachta namiotowa i menażka. Przy boku

były: bagniet, łopatką, kilof, młotek, ładownice i chorągiewka sygnalizacyjna. Na ramię karabin. Gdy przeszedłem z tem wszystkiem kilkanaście kroków, miałam dość. Ale człowiek zawsze jest silniejszy, niż mu się wydaje: najszybciej przeszedłem z tem już kilkanaście kilometrów. Szliśmy w kierunku Białej. Ludność w Czarncu zagnała nas z placem. Marsz był ciężki, aby się nieco orzeźwić, zbierałam śnieg i kładłam go pod czapkę i na kark; to pomagało.

Biała i Białek przyjęły nas uroczystie. Całe miasto wybiegło na ulicę. Ze względu też na to przyjęcie musieliśmy iść cały czas „na baczność” poprzez oba miasta, co trwało dość długo, a byliśmy już bardzo zmęczeni. Wieczorem dotarliśmy do dworca i złożyliśmy swe rzeszunki. Nie od razu jednak nas załadowano; przyszły jeszcze z miasta jakieś delegacje, aby nas pożegnać. Po peronie krążyła gromadka pań, rozdających najbliższ stojącym żołnierzom papierosy, kwiaty i czekoladę.

Wyruszyliśmy o północy. Najszybciej o 9-tej rano przyjechaliśmy po nowozaładowanym motocyklem małą rzeczkę, stanowiącą niegdyś granicę Kongresówki. Ciągnięliśmy się więc wszyscy do otworu wagonu i przechylali się przez sztabę, aby to miejsce zobaczyć.

O jedenastej 27/II przybyliśmy do Jędrzejowa, gdzie rozłożyliśmy się na rynku oboczem. Broń ustawiono w koszy i nie pozwolono rozchodzić się po mieście. Po obiedzie nastąpił przegląd i odmarz w kierunku pozycji. Stanęliśmy w Opatkowicach Murowanych. Pozwolono nam tu odpocząć przez kilka dni. Przez ten czas pracowałam w komendzie batalionu, gdyż polecono mi wykonanie powiększenia map dla sztabu; to pozwoliło mi poznać dobrze okolice i dowiedzieć się, któredyś blagą nasze pozycje.

Trzeciego marca wyszliśmy na pozycję. Spadł właśnie śnieg. Pochmurno było i mgliście. Szliśmy marszem dość łusowym, przez pola białe, obsypane śniegiem, smagani wiatrem. W tumanach śniegu majaczyła na koniu sylwetka Narbutta, za nim szła kompanja, brnąc w zaspach po kolana. Wieczorem natrafiliśmy na pierwsze okopy, które trzeba było przeskakiwać. Wreszcie dotarliśmy do ciemnych chat. Byliśmy już na pozycji.

Tej samej nocy mieliśmy służbę, ale dopiero najszybciej rozczłamałam się trochę. Cała wieś Pawłowice zryta była krętymi, płytkimi okopami, które stanowiły arterje komunikacyjne. Łącuch chat, zamieszkałych wyłączenie przez żołnierzy, ciągnął się ku południowi. Na wschodzie znajdowały się rozległe, śniegiem pokryte łąki i bagna, dochodzące do Nidy. Za Nidą stał nieprzyjaciel. Widać było doskonale ufortyfikowanie góry, podkreślone białymi linjami cementu. Odległość była znaczna: przeszło 1½ kilometra.

Zaraz następnego dnia, gdyśmy pracowali w okopach, pogłębiając je. — usłyszeliśmy skierowany na siebie ogień rosyjskiej artylerji. Wtedy to po raz pierwszy zobaczyłam przelatujące i pękające strąp-
 nio.

Teraz dnia i noc naprzemiennie wypełniała służba. Warty we wsi, po-
 sterunki w okopach, „wedety” na przedpolu nocy. Po dwóch godzi-
 nach warty mieliśmy dwie następne — odpoczynku.

Pomimo, że to był marzec, zima nie ustępowała: leżały wciąż zaspy
 śniegu i mróz wciąż trwał. To też nigdy w tydzień, ani przedtem, ani
 potem, nie marzłam tak, jak wtedy na „wedetach”.

Po tygodniowej służbie, szliśmy na tydzień do rezerwy. Wale były
 wyniszczone, dostawialiśmy więc zwykle kwatery bez ognia i słomy;
 innych nie było. Przechodziliśmy zmęczenie i zmarznięcie i sypialiśmy
 na gołej ziemi. Słomę i drzewo sprowadzało się zdaleka, a więc w ok-
 pnych ilościach, a ludność wynędzniała, apatyczna traktowała nas obo-
 jętnie, jak dopust Boży. Nie czuliśmy się „swoimi” na własnej ziemi...
 To też wielką nam sprawił radość stary, chyba stuletni, gospodarz,
 z którym rozmawiałam i który wyraził przypuszczenie, że „skoro tu
 te wojski polskie przyszły, to może będzie i Polska”? Trzynastego
 marca dowiedziałam się, że w nocy mamy iść na wypad. Mielliśmy
 zanieść nad Nidę pomost drewniany, przejść z pomostem po lodzie na
 kępę i z kępy nad niezamarzłym nurtem przerzucić go na brzeg prze-
 ciwny. Potem część żołnierzy miała przejść po pomoście i uderzyć
 na rosyjską placówkę, reszta zaś — pilnować przeprawy na kępie.
 Po odwilży nastał mróz, woda wszędzie zamarzała, ale wieczorem mróz
 znów zelżał. To też, gdy wyruszyliśmy około dziesiątej, na wpół od-
 tajała gołobledź dała nam się we znaki. Pomost drewniany, długości
 około 5 m, a szerokości z 1 1/2, niesło 16 ludzi, którzy się co jakiś
 czas zmieniali; gdyśmy wyszli na przedpole, zdawało się nam, że się-
 pamy po szkło. Noc była bardzo ciemna, teren nierówny, osłizgłe
 kępy szczeliny chwyciły nogi, jak w kleszcze, ciężar pomostu przy-
 walał kark i ramiona. Nie można było dojrzeć, ani unikać żadnej
 przeszkody; ludzie szli nierówno, pomost chwiał się na boki; coraz to
 ktoś, poślینگawszy się, padał, a pomost walił się na pozostałych
 zwiększonym ciężarem. Droga trwała długo. Doszliśmy wreszcie do
 wilkin nadbrzeżnych. Kilku poszło zbadać lód między brzegiem i kępą.
 Za chwilę rozległy się bliskie strzały. Jednocześnie obok nas targnął
 się krzak wilkin. „Karapatwy się zerwały” pomyślałam. — Placów-
 ka rosyjska strzela — powiedział któryś z chłopców. Rozwinęliśmy
 się w tyralferę, oczekując powrotu naszych. Dowiedzieliśmy się od
 nich, że lód się ugina i niepodobniestwem jest przenieść pomost na
 kępę, ani też przejść po lodzie. Na kępie znajdowała się rosyjska „we-

detu" i ona to strzelała. Otrzymałiśmy rozkaz powrotu: nie strzelaliśmy wcale. Rozkaz, to rozkaz!

Zdawało się, że ta zima nigdy się nie skończy. Śnieg leżał grubą warstwą i mroź po krótkiej odwilży snów ścisnął ziemię, — to też z nie-małym zdumieniem ujrzeliśmy stadko skowronków, które o świetle spadło na najeżone okopy ze świergołem i śpiewem.

Oczekiwałam z upragnieniem ciepła, gdyż od szeregu tygodni dokuczał mi kaszel, a buty oddawna już nie chroniły mnie od mrozu i błota. Wiosny jeszcze nie było, ale zaczęły się deszcze.

Piętnastego marca wymaszcerowaliśmy do Mierzwina na dziesięciodniowy odpoczynek, który nie należał do najprzyjemniejszych, gdyż żołnierze musieli pomagać sobie wzajemnie przy wydobywaniu się z gęstego błota. Przytem buty były podarte, deptano, a wreszcie kwatery bez ognia i słomy. Odcinając, nie zabawiliśmy wcale Mierzwina. Później byliśmy na innym odcinku i nie kwatrowaliśmy w chacie, lecz w ziemiance; okopy były tu głębsze, ze strzelnicami, a w ziemiance znajdował się piecyk. Trzeba jednak było zdobyć sobie paliwo. Na przedpolu za drutami zauważyliśmy kiedyś stos pociętego torfu, przynosiliśmy więc sobie zapasy w polach płaszczy.

Mijały dni szare i jednolite. Czasem w nocy zabierano część ludzi do robót przy drutach, czasami we dnie do kopania okopów. O ile lubiłam służbę w okopach i na placówkach, o tyle nie znosiłam kopania rowów. A zdarzało się to, niestety, dość często. Wierzyłam jednak stale, że przyjdzie czas i poznam tę „prawdziwą wojnę" jak ją w myślach nazywałam. Wiedziałam, że przyjdzie musi.

Nadchodziła spóźniona wiosna. Deszcze zaczęły spłókiwać śnieg, trzęsawiska nad Nidą odtajały, w okopy ściekała zewsząd woda tak, że trzeba było w niej brnąć aż po kostki. Dostawała się nawet do ziemianek, mocząc słomę i podchodząc pod posłania. Spaliśmy prawie w wodzie i nie było na to rady.

Okres wiosennych roztopów przy złym stanie butów i przymrozach w nocy był dość ciężki. To też kaszlałam coraz bardziej; kiedyś usłyszał to doktor batalijonowy i kazał mi się zgłosić. Stwierdził wysoką gorączkę i przypuszczając, że stan ten trwa już od dłuższego czasu, skazał mnie na bezczynność. Znalazłam się tedy, chcąc nie chcąc, w liczbie maruderów, a właściwie na kwaterze w chacie, w której prócz mnie nie było nikogo. Po tygodniu czułam się dobrze, ale z powodu gorączki nie pozwolono mi jeszcze wrócić do kompanji. Nadeszła Wielkanoc. Wybrałam się na rezurekcję do Imielna. Szłam o świetle przez perłowe omglone pola. W okopach słychać było grzechot salw karabinowych: zwykła strzelanina z powodu święta. Nabożeństwo odbyło się w starożytnym kościółku bardzo uroczystie. Dwaj

żołnierze pełnili przy grobie Chrystusa straż honorową. Kościół pełen był ludzi, po raz pierwszy może wchodzących w styczność z tem wojskiem, które za swoje uważać zaczęli.

Którejś nocy była strzelanina, a choć alarm skończył się na niczem, dotkliwie odczułam swoje wyłączenie ze służby. Oświadczyłam więc doktorowi, że jestem już zdrowa i muszę wrócić do kompanji. Nie zgadzał się na to, ale już dłużej nie mogłam go słuchać. Niedługo też spotkał mnie na drodze, idącą w pełnym rynsztunku. — „Zobaczycie, że wróćciele znowu z gorączką”. — Wróć? to już chyba mnie przyniosł! — A w okopach było pięknie! Całe ze złotego piasku, głębokie, suche, wypłatanie na skrętach widlina. Ziemianki były olbrzymie. Pola zieleniały. Słońce już grzało, nocą tylko jeszcze szron obściał murawę. Na odcinku oprócz zwykłej strzelaniny — spokój. Istna sielanka: co było, grzało się na słońcu. Nida wskutek wiosennych roztopów rozlała się w szerokie jezioro. Warty miały ułatwione zadanie i służbę pełniło się „śpiewający”. W wolnych godzinach, w piękne dnie słoneczne szarłe grały we wsi w półkę nożną. Żołnierze też mieli swoje kluby, zwane „Nida” i „Kopernia”, które, chociaż wciąż dekompletowane z powodu służby, urządzały starcia na łączce poza wsią.

Pewnej nocy zbudziły się wszystkie przyezajęne po lasach baterje: waliły one salwami z różnych pozycji, z dalszych i bliższych. Były to ciężkie działa, powietrze więc dygotało i ściany chaty drżały, chwila mi szedł grzmot niestanny od prawego do lewego skrzydła przez całą linię, rozciągającą się na kilometry. Słychać też było salwy karabinowe i terkot maszynek. Front przestał być senny. Trzydziestego marca, w noc księżycową, mieliśmy zbiórkę za okopami. Nasz pluton otrzymał rozkaz przejść wraz z plutonem wywiadowców za Nidą. Chodziło o zaniepokojenie przeciwnika, myśleliśmy też, że może nam się uda ściągnąć rosyjską „wedetę”. Kazano nam zaopatrzyć się w wynalazki i moce żerdzie do gruntowania rzeki, wskutek czego wyglądaliśmy jak pasterze betleemscy, zwłaszcza gdy, oczekując odmarszu, poukladaliliśmy się malowniczo na murawie. Na wycieczkę szli z nami: kpt. Barbecki, kpt. Sław z adiutantem i por. Tunguz. Noc była cudna, niesłychanie jasna, jak dzień w zaczarowanym świecie. Bagna drżały tysiącem plusków i szmerów. Wydostawszy się na przedpole, szliśmy w kolumnie dość długo, zapadając się czasami w błoto. Wreszcie zagroził nam drogę pas wodny: było to jedno ramię rozwidlonej Nidy. Woda sięgała trochę wyżej kolan, żerdzie więc okazały się niepotrzebne. Na przeciwnym brzegu rozciągnięto nas w tylną jęz; idąc, pluszyliśmy ptaki wodne, które zrywały się z przeraźliwym krzykiem. Wreszcie nas zatrzymano, patrole poszły wprzód. Leteliśmy długo wśród wody i kaczuszków. Za pierwszym patrolom, na wypadek, gdy-

by on potrzebował pomocy, wysłano jeszcze trzech ludzi; byłam w tej liczbie. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą linję i szliśmy w kierunku zarodki za rozlewiskami. Naprzód brnęliśmy przez bagno, a później już tylko przez wodę. Niedługo spotkaliśmy patrol i wróciliśmy razem z nim. W powrotnej drodze zawarto się pod moją torfowiską, tak że zanurzyłam się w bagnie powyżej ładownię, ale że to już było blisko brzegu, więc się wydostałam. Miałam nadzieję, że teraz pójdziemy na „wedety“, ale nakazano odwrót. Gdyśmy dochodzili już do okopów, zerwała się z nich gwałtowna strzelanina w stronę nieprzyjaciela. To trzecia i czwarta sekcja strzelały na postrach. Zbodziła się również austriacka bateria i posłała też serję szrapneli. Strzelano jeszcze, gdyśmy zmarznięci, zmoczeni, ale weseli wchodzili do wsi.

Udany wypad był dopiero trzeciego maja. Brał w nim udział cały bataljon, nie nasz, niestety. Podkradli się wtedy do rosyjskich okopów i powrócili przed wschodem księżyca, przyprowadzając 78 jeńców. Z naszego bataljonu działała też tam jedna kompanja, przeprowadzając atak, dla odwrócenia uwagi od głównego natarcia. Nasza kompanja siedziała wtedy w okopach i otworzyła ogień po powrocie tamtych. Ponieważ okopy nasze były na wyniosłości, całą tę atarczkę widać było, jak na dłoni. Niebo rozbiłyśko się czerwono nad baterją przy każdym strzale, to tu, to tam, szrapnele pękały, rozdzierając ciemności białym światłem; kartacze zakreślały krótkie ogniste łuki. Rosyjskie okopy wypuszczały co chwila zielenkawe rakiety, rozpryskujące się diamentowym deszczem...

Wiosna była coraz piękniejsza, zakwitły sady i rozdzwoniły się pieśniami żołnierzy zniszczone wsi. Chłopi pracowali w polu, nie zważając na przelatujące czasami rosyjskie kule; ogłodzonym z inwentarza gospodarzom pożyczaliśmy z pułku konie.

Zdarzało się czasami, że jakiś dreszcz przebudzenia przebiegał przez spokojny dotąd front, zdawało się, że zbliża się zmiana, ruch — ofensywa. I wówczas właśnie otrzymałam niespodzianie rozkaz stawienia się w szpitalu polowym w Opatkowicach Murowanych, aby tam pełnić obowiązki sanitariuszki. Później już dowiedziałam się, że to była sprawa naszego doktora. Wcale mi za to wówczas nie byłam wdzięczna.

Tego samego dnia pożegnałam się z kolegami i zgodnie z rozkazem udałam się do dość odległej wsi, gdzie się mój szpital znajdował. W szpitalu nie miałam zamiaru pozostać, nie przyznawałam się więc do skończonych kursów sanitarnych i praktyki w szpitalu, aby doktor nie chciał mnie zatrzymać. Rozmawiałam bowiem, że jeśli nie mogę wrócić teraz do pułku, to lepiej będzie ten czas, który mam spędzić

w szpitalu, przeznaczyc na doprowadzenie do porządku zdrowia, a później znów wrócić do służby linowej. Doktor stwierdził zły stan płuc i ułatwił mi wszystko. Otrzymałam marszrutę do Morawskiej Ostrawy i ubranie, dostarczone mi przez sanitariuszki; przebrałam się, ale mundur i kartę wojskową zabrałam ze sobą.

W Ostrawie choroba ścięła mnie z nóg. Wyślano mnie w górę i trzeba było kilku miesięcy, abym przysła do siebie. Tęskniłam jednak za służbą i chciałam do niej powrócić. To też, gdy zdrowie moje się poprawiło, pojechałam do Zakopanego i tam zgłosiłam się u dowódcy bataljonu zapasowego, któremu przedstawiłam swoje dokumenty i świadectwo służby. Obiecał mnie przyjąć, kiedy się zgłoszę.

Los jednak zrzucił, że po raz wtóry znalazłam się w szeregach dopiero po kilku latach na polskiej wojnie.

Wspomnienia ze szpitala polowego.

Słyszac ciągle i tyle o Herwinie, pragnęłam go poznać. Wymarzę z nad Nidy, podciąg i walki chwilę tę odsuwały dalej i dalej. — Aż pewnej nocy, z 19 na 20 maja, na prostym wozie chłopskim przywiezli go śmiertelnie rannego. Postrzał w głowę ponad uchem posbawił go świadomości — nie odrzykał jej już do końca. Że to był dzień upalny, kom. dr. Zaorski kazał nosze z rannym postawić w karetce sanitarniej.

Leżał więc tam sam, zdala od innych, więcej już należący do ziemi-matki, niżli do nas żyjących. Krtań rannego pracowała męczelnie, oddech zmieniał się w chrapanie, przerywane przeciągłym jękiem. W kątach ust i na bezsilnie odchylonej dolnej wardze osiadła pianą. Jasno-niebieskie oczy, przymknięte do połowy powiekami, zmętniały i raziły szklistością; klaczkciem wsty lekko i uważnie zebrałam z ust pianę, obmyłam twarz z potu i kurzu. Ostrożnie zsunęłyśmy z nóg buty.

O stopy, umięcone stopy żołnierza prawego — wytrwałe, do ostatniego tchu przez grudę i błota, przez płaski i wodę dążyłyście do wolnej Ojczyzny! O dłonie, dłonie pełne odrisków zadrapań, upaprane we krwi rodzonej i wrzodów, niesdłyście godnie święty płomień idei — śmiertelna niemoc wytrąciła wam szablę oficerską!

¹⁾ Alina z Pytlowskich Szydłowska zmarła dn. 24 III 1927. Brała czynny udział w pracy Ligi Kobiet w Kielcach zastępcie była sanitariuszką i Brygady. Przyp. Redakcji.

Nie wiem, może to było złudzenie, ale zdawało mi się, że gdy pochylałam się, by wodą zwilżyć spalone wargi, oczy Herwina patrzyły błagalnie, jęk głębiej wrywał się z krtań. Koło południa dr. Belleri zastrzyknął rannemu kamforę powyżej łokcia. Od ramienia do dłoni przebiegł skurcz, ale stan był ciągle jednakowy.

Bez słowa stałyśmy przy noszach. W głowie huczały mi opowieści przedziwne, wzniosłe, zasłyszane od por. Sarmata.

Podczas pierwszego odwrotu z Kielc Herwin prowadził kompanię. W słowikowskich lasach porachował ludzi: brakowało jednego. Wydaje rozkaz dalszego marszu, oddaje komendę, a sam z miejsca zawraca szukać zaginionego.

Gdzieś, bliżej Podkarpacia, bataljon wycylił się z za wzgórza. Strzał. Pierwszy wysunięty naprzód żołnierz pada, po nim drugi i trzeci. Następnie pewna konsternacja, bo, psiarew, wroga nie widać. Wsuwa się Herwin i ze swojej niedbałości „ach tak” staje niby cel, przez lunetkę oglądając okolicę. Ludziom dech zaparło. Po chwili, jakby nigdy nic, prosto i krótko: „Naprzód chłopcy”!

Powoli nadciągał wieczór. Słońce, zakreśliwszy wspaniały łuk, spływało za lasy.

W pewnej chwili, niespodziewanie, smog promieni padł na bladą twarz umierającego, oślocił ją cudnie i rozpalil skry w gwiazdkach na szarym kołnierzu. Po chwili i promienie i skry zgasły, chrapanie ustało. Herwin krzyknął mocno rozpaczliwie. Zabruchomiałymy w oczekiwaniu. Krzyk powtórny i trzeci był już słaby, zwyciężony, człowieka powalonego. Przywarłyśmy powieki. W mroku i odgłosie bitewnym błękała i stygła wzniosła twarz Herwina.

Już świtem pojedynczo i gromadnie sunęła szara brzoź żołnierska „do Herwina”. A że to ze wsi domowinę przywieśli, wnet ulokyli w niej kapitana. I stała prosta czarna trumna na najczudniejszej łące, pławiąc się w trawach i kwieciach. Wiatr chodził po łące gnać jaskry i firletki. Ludzie w wysokiach czapach, w śwych kabatach z amarantem, z błyskiem szablów w rękach, nieruchomi i prości: dwóch u wozgłowa i dwóch u stóp trumny. A w trumnie, obasypany pełnem kwieciem, zatywał wywczasu kpt. Herwin. Obandatowana polna na wonnem podścielisku, kwiaty na piersiach, kwiaty i krzytyk drewniany w dłoniach.

Po południu z pobliskiej wsi przemaszerował pluton kawalerji, nadciągnęła starszyzna. Był Sieroszewski, był Jur i Belina, Wieniawa i Fabrycy. W ostatniej chwili ukazała się orkiestra. W takt marsza żalobnego naprzód, jak zwykle, ruszyła kawalerja, wysoko ponad głowami płynęła trumna bez wieka; potem wszyscy, którzy mogli.

Połędny grzmot armat, syk lecących szrapneli nie ustawał ani na chwilę.

Engelja Staszewska.

SANITARJUSZKA KARPACKEJ BRYGADY.

Po wymarszu 2-go i 3-go pułku piechoty Legionów na Węgry, opustoszały krakowskie „Oleandry”. Zamarł ruch i gwar, które tłumily niepokój o los męża i brata, walczących o Polskę w szereгах wojska Piłsudskiego. Stanowczy rozkaz Komendanta uniemożliwiał kobietom pracę na froncie. Zbyt jednak wiele łączyło mnie z ideą legionową, abym miała zostać bezczynna. Postanowiłam więc w charakterze sanitariuszki polowej wyruszyć na Węgry. Ciężko mi było oddać się od terenów walk pierwszego pułku, ale ciężiej jeszcze na pewno byłoby zostać na miejscu. Po załatwieniu spraw osobistych, jak zwinięcie mieszkania, starań o marszrutę i ekwipunek i innych, znalazłam się w pociągu, dążącym ku granicy Węgier. Razem ze mną jechała dr. Lustgartenówna. Ubrani byliśmy po wojskowemu: francz, krótka sukienka, szerokie szarawary, czapka z orzełkiem. Dusza rwała się do pracy, pogodnie i spokojnie patrzyłyśmy w przyszłość.

Po kilku dniach pogoni za głównym oddziałem sanitarnym znalazłyśmy go wreszcie w Nagy Szőlősi. Zaraz też zameldowałyśmy się u szefa sanitarnego majora Staszewskiego (mój imiennik, ale nie krewny) i przydzielono nas do szpitala polowego.

Wypożyczenie szpitala było nadzwyczaj ubogie. Prócz stołu operacyjnego, narzędzi chirurgicznych i niewielkiego zapasu bielizny, szpital nie posiadał nic z tego, co byśmy dziś nazwali sprzętem kwaterynkowo-szpitalnym. Nie było ani łóżek, ani materacy, ani poduszek. Dużo lepiej przedstawiała się obsługa personelu. Było tam kilku lekarzy: dr. dr. Konopacki, Zielński, Witoszyńska, Lustgartenówna i inni. Było też kilka sanitariuszek, ale pamiętam tylko te, z którymi żyłyśmy się bliżej i które zawsze miłe i życzliwe wspominałam. Były to: dr. L. Woyczyńska, M. Dominowa, M. Szyszłowska (Dana) i Porodkówna.

Szpital polowy II Brygady rozwinęto po raz pierwszy w Dombo. Mielśmy tu przyjmować rannych z pod Rafajłowej i Nadwórnej. Rozkaz zorganizowania szpitala nadszedł dość niespodzianie. Szybko

więc opróżniliśmy miejscową szkołę powszechną; wzdłuż ścian nasłano grube warstwy słania i przykryto je czystymi prześcieradłami; poszewki, napchane słaniem, miały udawać poduszki. Na tak prymitywnie urządzonej pościeli mieli spocząć nasi ranni. Późnym wieczorem nadsięgnęły pierwsze wozy.

W nawałe pracy pomagaliśmy lekarzom, jakimiś umiały i mogły. Przy chorych pełniłyśmy wszystkie posługi, a przy ciężiej rannych dyżurowałyśmy skrajnie całą noc: nie wszystkich chorych można było transportować do stałych szpitali. Praca była ciężka, ale dawała nam wewnętrzne zadowolenie i pewność, że żołnierzom przynosimy ulgę. Rozmawialiśmy też z nimi zarówno o ich ranach, jak o ich troskach i strapieniach, z którymi się nam zwieriali, gdyśmy już porzyskały ich zausłanie. Pamiętam młodego chłopca z raną postrzałową brzucha. Skazany był beznadziejnie na śmierć. Patrzył mi długo w oczy wzrokiem, który błagał mnie o coś. Wreszcie domyśliłam się i nachyliłam się nad nim. Wyszepiał mi wtedy z trudem adres swej rodziny. Więcej powiedzieć nie mógł, ale i tak zrozumiałam, o co mu szło. Napisałam więc pod wskazanym adresem, że Jędrzek jest ciężko ranny, że prawdopodobnie będzie chorował dość długo, ale że po wyzdrowieniu dostanie na pewno urlop. Kiedyś odczytywała mu tak napisany list, słuchał mnie z zadowoleniem, ale, usłyszawszy o wyzdrowieniu i urlopie, powiedział z wysiłkiem:

„Nie, nie... wróć na front...”

Następnego dnia przewieziono go do szpitala. Nie udało mi się już dowiedzieć, czy i jak ten transport wytrzymał.

Dzięki energii naszych lekarzy zdobyto dla naszego szpitala około 40 łóżek żelaznych, kilka taboretów, umywalnię i inne niezbędne rzeczy, wobec czego szpital nasz pod względem urządzenia podniósł się znacznie.

Po przejściu fali rannych, zaczęło przywozić chorych na tyfus i tężec. Szpital był wciąż przepełniony i służba w nim coraz cięższa. Niejednokrotnie stacowałyśmy z naszymi chorymi ciężkie walki, bo w gorące zrywali się gwałtownie, chcieli gdzieś biec, porywać się na kogoś lub uciekać.

Jednym z najcięższych przeżyć w tym okresie była dla mnie moja pierwsza pomoc przy dużej operacji. Pomagając stale lekarzom przy opatrzywanu ran, dość już wówczas spokojnie patrzyłam na krew. Przyzwyczaiłam się też trochę do jęków i skarg ciężiej rannych. Teraz jednak, na ządanie dr. Staszewskiego, miałam być obecna przy amputacji nogi powyżej kolana. Nie jestem w stanie opisać dziś wrażenia, jakie wywołał we mnie wtedy zgrzyt piły o żywą kość... Z największym wysiłkiem jednak starałam się utrzymać pozory obojętno-

ści. Szało mi opornie, spazm dusił mi gardło, ale wytrwałam. Tylko, gdy już było po wszystkim, gdy amputowana noga była już w moich rękach, stałam wciąż bez ruchu nie wiedząc, co zrobić z tym strasznym przedmiotem, pod którym uginały się moje ramiona. Dopiero na ostry rozkaz operatora położyłam martwą nogę we wskazanym miejscu. Wtedy wybiegłam z „sali operacyjnej”, aby na uloczu wypłakać się i jakoś uspokoić.

Z nadejściem mrozów mieliśmy wielu chorych z odmrożeniami kończynami. Bywały wypadki tak ciężkie, że ciało odpadało kawałkami, co czyniło biednych żołnierzy kalekami na całe życie.

Plaga szpitala były insekty, przynieszone z frontu przez rannych i chorych. Potęgowała to ta okoliczność, że szpital pozbawiony był urządzenia kąpielowego i dezynfekcyjnego. To też wystarczało przejąć kilka kroków koło łóżka, aby na swym ubraniu znaleźć sporą ilość tych okropnych stworzeń. Męczyło to nas więcej, niż całodzienna praca i bezsenne noce. Wiedzieliśmy jednak, że znosić to muszą także żołnierze, będący na froncie, nie szmeraliśmy więc i staraliśmy się tylko, aby jak najenergiczniej przeciwdziałać temu stanowi rzeczy.

Pewnego dnia przyszedł rozkaz zamknięcia szpitala i wymarszu za pułkami, idącymi w kierunku Małopolski. Marsz ten trwał około tygodnia i zostawił nam niezatarte wspomnienia. Po dusznej atmosferze iłb szpitalnych uciążliwa wędrówka przez cudne śnieżne góry robiła wręcz przyjemną wycieczkę. Przez Worochtę doszliśmy do Żabiego, skąd nakazano nam odciąć się do Worochty. Tu niespodzianie dla nas nastąpiło zwiniecie szpitala; lekarzy przydzielono do bataljonów, a sanitariuszki odesłano do austriackich szpitali znajdujących się w Huszt.

Z rozpaczą w sercu porzucałam pracę legjonową. Żegnałam lekarzy i koleżanki, pełna żalu; boleśnie bowiem odczuwałam fakt, że nie wolno mi już pracować dla swoich. A czyż mogłam w owe czasy spodziewać się, że będę miała kiedyś zaszczyt być przełożoną sanitariuszek Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie, największego szpitala wojskowego w niepodległej już Polsce?

Zawsze jednak z rozrzuśnieniem wspominam te czasy, kiedy wspierałam, jak mogłam, żołnierzy walczących o niepodległość.

Ludwika Moderska

SIERŻANT PROWANTOWY I BRYGADY

(Kartki z pamiętnika).

12/XI 1913. Kraków. Po prawie rocznym pobycie zagranicą, wielką spotkała mnie niespodzianka: zobaczyłam po raz pierwszy w życiu wojsko polskie. Sali w mundurach strzeleckich szaro-niebieskiej bar-

wy. Śród prastarej architektury Rynku dźwięnił miarowy krok. Młode twarze, jaśniejące ukochaniem sprawy, odbierał promień zachodzącego słońca...

Dowiedziawszy się o istniejącej organizacji Związków Strzeleckich, postanowiłam do niej przystąpić. Przypuszczałam bowiem, że kobieta w zorganizowaniu gospodarki wojskowej spełnić może ważne zadania. W Strzelcu wrzała już praca: wykłady — wycieczki — ćwiczenia.

20/XII. Na zebraniu strzelczyń rzucam myśl stworzenia pierwszej prowiantury wojskowej. Urządzamy strzelecką kantynę. Dyżury obejmują strzelczynie.

10/II 1914. Niewielki dochód z kantyny pozwolił nam na zakupienie konia i wózka. Był to pierwszy „tabor” przyszłego wojska polskiego.

15/V. Jadę z bibulą przez Szczucin do rosyjskiej granicy.

31/VII. Wojna. Wysłano mnie z instrukcjami do zakopiańskiego oddziału Związku Strzeleckiego.

2/VIII. W Krakowie wielkie zmiany. Organizuje się praca niewiast na wielką skalę. Powstają pracownie odzieżowe i bielizny dla strzelców. Tworzą się kursy sanitarne i inne. W „Skarbie” pracuje bez wychylenia niestrudzona p. Radlińska. Jestem w dziale Intendentury razem z ob. Sonką. Otrzymuję różne zlecenia jak np. zakupienie dyspozycyjnego materiału na mundury i t. p. Gotowe rzeczy odwiozę do Oleandrów; pomaga mi skautka Wanda Wagnerówna, uczennica gimnazjum p. Ramułtowej, pełniąc służbę ordynansu rowerowego między Komendą Główną a Komendą Placu.

5/VIII. Otrzymałam rozkaz komendantki Jastrzębiec stawienia się na zbiórkę strzelczyń, które miały omówić możliwości pracy dla wojska. Kazano mi do niewiast przemówić ogniste.

7/VIII. Oczekuję przydziału, przechodząc chwile niepewności; mówią, że do oddziału wywiadowczego mogą należeć tylko te, które znają język rosyjski. Jestem tą wiadomością zmartwiona, ale sztykuję się gorączkowo, pośpiesznie. Ponieważ nie znam języka rosyjskiego, a oddział sanitarny jest już skompletowany, — siłą rzeczy muszę znaleźć się w piechocie. Naładowałam wózek prowiantami, środkami sanitarnymi, bielizną...

10/VIII. Krzeszówce. Upragniony przeze mnie rozkaz brzmiał: Ob. Ludka zostaje przydzielona do 9 komp. podp. Karaszewicz-Tokarszewski kpt.

Pełnię funkcję sanitariuszki, agitatorki, prowiantowej, — wszystko zależnie od okoliczności i potrzeby. Mam szaloną pracę przy organizowaniu kuchni dla kompanji. A poza tem masowe opatrywanie pokaleczonych lub odparzonych nóg.

Żołnierze zakurzeni, zmęczeni marszem, klną siarczyście na niewygodne buty. Nie przyznają się, oczywiście, do tego, że to ja je dostarczałam, i zabieram się do licznych operacji: przekiśnuwam patyczkiem pęcherze na nogach, jodynuję skaleczenia i zakładam bandaże.

12/VIII. Granica-Sztafa. Komiczne są cyfry wydatków, jakie czynię dla swej kompanji... Kupuje się za własne pieniądze (o ile je kto ma), a wszyscy dzielą się zakupami. Życie gospodarcze i towarzyskie grupuje się plutonami. Komendantem naszego bataljonu jest kpt. Karasiewicz, medyk I roku; komendantem zaś 3 kompanji — por. Wir, student filozofji. Szeregowi zaś i podoficerowie są to profesorowie uniwersytetu lub gimnazjum, inżynierowie, artyści malarze i t. p. Jest tylko mała grupa robotników rolnych. Przeważają członkowie Związ-
ków i Drużyn Strzeleckich. W szeregu panuje duch braterstwa.

22/VIII. Kielce. Mocno głodni wchodzimy do Kielc. Maszerujemy w bardzo pięknej jesienną pogodę. Na drodze spotykamy uciekających Austriaków, przerażonych wiadomościami o zbliżających się Moskalach. Nie chcą wierzyć, że idziemy do Kielc. A my kpimy z nich i idziemy naprzód, śpiewając...

W Kielcach nastrój wyczekiwania. Część mieszkańców przyjmuje nas wprost entuzjastycznie. Nasz bataljon zajmuje koszarę rosyjską. Jest nas tutaj: 26 oficerów, 69 podoficerów, 2 kobiety, t. j. sanitariuszka Wanda Wisłocka i ja, oraz 371 szeregowców — razem 468 ludzi. Dr. Wisłocka pracuje nieustraszenie (za siebie i za umykających na miasto medyków). Dostaliśmy z nią wspólną kwatere. Pracę rozpoczynamy już o 5-ej rano. Zorganizowałam kuchnię i pralnię. Inne kompanje zazdroszą naszej solidnego „menażu”. Przydzielono do nas dr. Składkowski. Chłopcy mruczą na „baptucha”, ale humor i dowcip doktora robią swoje.

28/VIII. Liga Kobiąt Pogotowia Wojennego pracuje sprawnie: dostarcza nam bielizny i wielu innych rzeczy. A gdy czegoś naszemu bataljonowi brakuje, idę do Ligi z rozkazem jak np.: „Do Ligi Kobiąt P. W. Komenda V bataljonu stwierdza, że tenże bataljon jest zupełnie w ciepłą odzież niezaopatrzonej. Podp. Karasiewicz kpt.

1/IX. Szydłówek. O piątej rano zerwano nas na nogi. Po śniadaniu, które z wielkim pośpiechem szykowałam, wyszliśmy do Szydłówka. Nastrój doskonały, beztroski. Opowiadania żołnierskie na temat sukcesów u kielczanek.

Po kilkudziesięciu wykuwaniu okopów w twardej skale ogarnęło chłopców znużenie, ale oficerowie nagła do pośpiechu. Twarze chłopców są czerwone od słodca, a pot, spływający razem z kurzem, tworzy na nich szare błoto... Ciężko daje się we znaki brak wody. Nasze

ją wiadrami na zmianę z przydzielonymi do kuchni strzelcami. Idziemy po nią daleko pod górę... A kiedy wracam z wiadrem wody czy mleka — stale wita mnie zdala gromkie: bara! i zgodny chór młodych głosów woła, skandując: My — chcemy — wody! My — chcemy — mleka! Roznoszą więc po okopach. Z prowiantami jest gorzej. Wydobywam z siebie cały spryt gospodarski, ale i to nie na wiele się zda wobec niechęci ludności; nie chcą nic sprzedać... Obawiają się Moskali. Chwytam się więc różnych forteli i w ten sposób prawie przez tydzień dożywiam całą kompanję...

11/IX. Lisów. Maszerujemy: Morawica — Lisów — Chmielnik — Grabie Wielkie... Idziemy z małemi wypoczynkami. Raz po raz osuwa się do rowu przydrożnego któryś ze strzelców: wyczerpanego z sił musimy zachęcać i namawiać do dalszego marszu. Ale wszyscy chcą bitwy...

23/IX. Opatów. Ruszamy znów, trochę wypocząci. Znowa przeprawiamy się na drugi brzeg rzeki. Dochodzą nas strzały artylerji i karabinów maszynowych. Ranni i chorzy opowiadają o walkach IV bataljonu Wyrwy. Trzęsą się z zimna w mokrym mundurze i myślą ze strachem o przypuszczalnych stratach naszego pułku. Nagle — wroek mój pada na podwódkę z ciałami zabitych IV bataljonu. Oczy ich zamartwych twarzy wyrażają bolesną skargę. W kościele leży zabity beniołek. Walka się zbliża, jesteśmy w pogotowiu... Kwatera... Wchodząc do swojej izby, widzę matkę tulącą do siebie niemowlę. Tuż obok śpi para jasnowłosych dzieci. Niemowlę kwili żalownie. Przed obrazem Matki Boskiej miga niepokojnie lampka oliwna... Wystraszoną matkę uspokajam, jak mogę i umiem. Ale wprost padam ze znużenia...

24/IX. Po godzinie snu, zrywają nas: odwrót! Nikt nie filozofuje. Zimno przejmujące, wilgotne przenika aż do kości. Stoimy znów na rynku opatowskim. Komendant główny z szefem sztabu kieruje osobście przeprawą przez rzekę. Ohaj odjeżdżają ostatnim transportem promu. Z prawego skrzydła dochodzą wciąż strzały karabinów maszynowych...

25/IX. Pogrzeb zabitych strzelców.

18/X. Bardzice. Wieś otulona w chłodne szare mgły. Nagły wymarsz wyrwał nas z głębokiego snu. O g. 4.30 ob. Wir przysyła mi rozkaz: „Wymarsz o g. 6.30. Przed wymarszem śniadanie mięsne i kawa”. Przydzielono mi 6-ciu legunów (prof. St. Minkiewicza, J. Kulczyckiego, inż. Rytwicza i in.), znoszą mi drzewo, rozpalają ognisko. Minkiewicz z Kulczyckim noszą wodę. Paru innych wysyłam do prowiantury po mięso, świta... Ognisko bucha wielkim płomieniem. Stoję nad kufkami; para, jak obłok, unosi się ku górze... Razem z pomocnikami szykuję mięso, kraję, tłukę, doprawiam. Chłopcy doglądają

ogniska. Padają pytania, na które nikt nie odpowiada... Wreszcie do-
nośny krzyk: śniadanie! Okrzyk ten tłumi śliczna, stara pieśń żołnier-
ska: „Idzie żołnierz borem, lasem”... Zbiórka plutonami. Porcje roz-
działam sama, chcąc uniknąć skarg i raportów na „kucharza”. Otacza
mnie wieniec szono-niebieskich mundurów. Mechanicznym ruchem na-
lewam zupę w mienki i kładę porcję mięsa.

Po śniadaniu wymarsz. Nad nami słońce jesienne. Złote liście wi-
rują nad głowami i spadają aż do stóp...

19/X. Żegnamy się z II i IV bataljonem, odchodzącymi pod War-
szawę. My idziemy na Dęblin. Może też prędzej będziemy w Warsza-
wie. Maszerujemy. Na obiad są konserwy zimne bez chleba... Idzie-
my znów. Pot zalewa nam skronie. Kwatery. Odpoczynek. Zасыpiam
momentalnie.

Obudził mnie dr. Składkowski: Wstawajcie, obywatelko, Wir ciężko
chory — krwotok. — Zachwiałam się na nogach, zobaczywszy leżą-
cego we krwi porucznika. A tu alarm i nagły wymarsz. Szybko ska-
damy chorego na znaleziony cudem wózek. Na szczęście krwotok był
spowodowany pęknięciem wrzodu w gardle i pacjent mój już po dwóch
dniach czuł się wcale dobrze.

Idziemy znów... Idziemy po rozmięklej jesiennej ziemi. Zaorane
brzozy zlewają się w jedną szarą masę błota. Trudno mi nadażyć.
Nogi grążą powyżej kostek. Gdy droga się polepsza — krok for-
sowny. Ścigają nas reflektory Moskali... Nad ranem stajemy na
wzgórzu, wśród leśniej polany. Jesteśmy w rezerwie. U stóp wzgó-
rza szaleje walka. Bierze w niej udział bataljon Śmigłego i 1 kom-
panja naszego. Od 20 godzin prawie nie jedliśmy nic. Wzywają mnie
do kapitana. — Obywatelko, macie dać śniadanie! — Rozkaz! — Idę
z chłopcami do najbliższej wsi o parę kilometrów. Po obu stronach
drogi bieleją chaty. Drzwi zamknięte, wieś pusta. Wchodzimy do chat.
Ciepło płace, świeżo ugotowana strawa świadczy o niedawnej ucieczce
mieszkańców. Zabieram wszystko: barszcz, kartofle, kapustę, kaszę
i mleko do jednego wielkiego cebra, do drugiego kąsę wlewać gotową
herbatę. Wracamy do swoich, jak zwycięzcy. Drżę o każdą kroplę,
która wyleje nieostrożnie. Chłopcy z radości poklekali, otwierając usta
spalonym pragnieniem i gorączką, a ja im wlewam swoją papką po
jednej łyżce na głowę. Więcej już nie starczyło... Potem idziemy tuż
około pozycji... Walka wciąż wrę...

22/X. Wieś Trupień. Prawdziwy trupień zasłany rannymi i zabi-
tymi żołnierzami. Sanitarjusze z noszami zbierają rannych...

Stajemy we wsi Łaski, o kilka kilometrów za pierwszą linią bojową.
Stodoły i chaty pełne rannych. Lokujemy się w tyle za chatami. Przed
domami zabici Austriacy, często siedzący, jakgdyby odpoczywali.

Ludność opuszcza wiat, kryjąc się w dołach. Opuszczone krowy i konie ryczą, żałując z głodu. Uprosiłam chłopców i nakarmiłam bledne zwierzęta. Rekwirować nam zabroniono. Dostałam kuchnię polową — jedną kuchnię V bataljonu. Rozpaliliśmy ją... Granaty wałę... Na wpół ugotowane gęsi rozbrano po plutonach. Wtyle biją lekkie armatki austriackie. Ogień wprost piekielny... Strzały roznoszą echo letne... Obok nas pada granat w stodołę, która, waląc się, zabija paru żołnierzy. Dr. Wisłocka wybiega z niej w ostatniej prawie chwili... Noc... Świat kul i szrapneli... Nasza kompanja dotąd w rezerwie.

23/X. Nasza kompanja wytrwała na pozycji mimo szalone ostrzeżowanie. Ma za to pochwałę. Noc... W płomieniach padających wciąż szrapneli krwawi się fantastycznie staw... W potarach stoją okolicy. Las szumi tajemniczo... Cicho przekradamy się na kwatery. Ogień wzmagą się. Przez ciemne okna widzę ciągle migające latarki sanitariuszy, którzy szukają naszych rannych... Sen ucieka z powiek.

Nad ranem zbiórka. Tuląc do siebie swoją apteczkę, idę w szeregu IV plutonu. Pluton ten prowadził mój mąż, Robak. Idziemy... Ziemia drży od grzmotu armat. Przekłęte reflektory, jak maćki, szukają nas po drogach. Schylamy się wtedy nisko ku ziemi... Nad głowami przeleatują kule... Ano wojna! Natraliamy na porzucone rosyjskie okopy. Chcę wskoczyć do dołu, aż tu reflektor oświetla szarą twarz Moskala o oderwanej szczękę... Cofam się w przerażeniu. Za cenę ostatniego kawałka bułki otrzymuję schronienie w okopie sanitariusza Tarapaty.

24/X. W nocy zajęliśmy okopy wykopane dla nas przez dzielnych saperów. Owinięłam się w koc i oparta o ścianę zdrzemnęłam się na chwilę. Świt... Przed nami płaszczyna płaszczyna bez drzew i osłon, kończąca się wzgórzem, na którym stoją Moskale... Za nami wieś Łaski. W środku polejowisko: rozrzucone karabiny, bębny, menatki i walące się konie, gdzie nigdzie widać trupy. Jesteśmy w rezerwie. Szrapnele lecą bez przerwy. Z nami w okopach są: kpt. Karasiewicz, dr. Składkowski, por. Wir, dr. Lach i in. Wiara zmęczona, a nade wszystko głodna. Chcę wystarać się dla nich choćby o tydzień strawy. Co robić? Wobec perspektywy rychłej walki oddalić się trudno... Ale intryguje mnie oddawna samotnie stojąca chałupa. Mimo szalejącego ognia biegiem dopadam do studni przed chałą. Nieszczęśliwy wyciągam wiadro z gęstą cieczą! Wodę już wypito. Wbiegam do chałupy. Na przycozi leży austriacki „landsturmista”. Twarz szara, jak popiół, w rękę różaniec, usta szepcą niezrozumiałe słowa modlitwy... Widzę, że ranny w brzuch — stan beznadziejny. Na ziemi leżą dwa trupy żołnierskie. Po izbie żerują wygłodzone świnię. Wśród przerażenia szłam prowiantów lub wody. Biegąc na strych. W kącie pod słomą znajdują trochę kartofli. Rozpalam piec, stawiam na ogniu żalane

biłotem kartofle. Czekam na nie ze strachem: czy nasi wybiegli już do staku. Nagle oszałamiający huk. Ocknąłam się przed chatą wyrzucaną siłą wybuchającego pocisku. Żal mi moich kartofli... Wracam więc... Garnuszek na ziemi, obok kartofle. Zbieram te skarby i umykam. Witają mnie w okopach z radością... Dostają po jednym kartoflu, ale bieda, bo nie dla wszystkich starcza. Rozgoryczenie wśród poszkodowanych wielkie... Dopiero humor dra Składkowskiego z racji otrzymanego kartofla z kruszynką surowej słoniny rozprasza przygnębienie głodnych.

Patrzę na chłopców, gdy biegną sekcjami do boju; lecą przez pole śmiercionośne, z tą świadomością, że walczą o honor polskiego żołnierza. W okopach ruch. Sekcje biegną za sekcjami. Moskale prążą ich ogniem. Co chwila ktoś pada. Zaraz zjawiają się nieustraszeni sanitariusze. Teraz biegnie Karasiewicz ze swym sztabem... Ogłosi potężnie... Moskale kierują go na dowództwo naszego batalionu. Zamierzam z przerażenia... Widzę, jak padają o kilkadziesiąt kroków od okopów. Podnoszą się dr. Składkowski i adjutant Hetti. „Ślawo!” pochyła się nad kapitanem i każe nieść go do okopów. Niosą go. Uśmiesz się do nich śmiertelnie blade... W okopach cisza... Żarty doktora, opatrującego mu ranę, nie wywołują ani jednego uśmiechu. Łzami zasłzy mi oczy... Doktor wymyśla mi od bab, ale daje rozkaz: Mam odprowadzić naszych rannych do Radomia.

Wydaje mi się, że ziemia drży pod nogami, że wszyscy idą już na straconie... Na czele plutonu mały mój biegłszy do ataku... Słyszę, jak doktor śpiewa refren ulubionej piosenki — Polska powstanie, by żyć!

Łoski — ułeczorem. To nie ta sama chyba wieść... Sterczą szczytnie zgłiszczą. Z oddali śmieją się dziwnie białone ściany ocalałych dotąd domów... Dopadam do drzwi zasłoniętych czarnym kocem. Ktoś jednak krzyczy: Włazić oknem, psiakręw!... Wchodzę więc przez okno i stoję przerażona przed ostrym wzrokiem dra Roupperta. Wypręgam się „na baczność” i nieswoim głosem mówię: — dr. Składkowski prosi o sanitariuszy i nosze — jest masa rannych — ja mam jechać z nimi do Radomia”!

Pod ścianami leżą ranni. Przyspłaszony oddech, usta splecione gorączką, ale leżą cisi, bez jęku... Wita się ze mną ksiądz Kosma, kapłan i pułku. Słyszę z radością słaby głos Karasiewicza, zadowolonego, że jadę z nimi. Wtem... wśród uroczystej ciszy wchodzi oknem Komendant Piłsudski... Ciszę przerywa Jego ukochany głos, witający każdego rannego; pochyła się nad Karasiewiczem i słyszę, jak przez sen, że mówi do niego: — „Synu mój”!

25(X. Furmanki gotowe. Ciężki rannych kładą na fury pojedynczo, innych umieszczają po kilku. Droga wyboista jest dla nich

wszystkich torturą. Karasiewicz ranny ciężko... Kula przeszła mu przez piersi na jeden milimetr od serca... Każdy większy wstrząs grozi mu wewnętrznym krwotokiem. Razem z adiutantem baczymy pilnie na jego wózek. O świcie jesteśmy w polowym szpitalu austriackim. Biały polski dwór... Przed oknami na klombach kwiatowych ranni i zabici żołnierze. Wśród nich ranny strzelec, prawie pacholę, leży nawznak bez czucia, ściskając w ręku skrwawiony szkaplerz. Ujrzawszy mnie, ostatkiem sił szepcze: — „Obywatelko... jeszcze nie zgingla... niech żyje Dziadek”... To były ostatnie jego słowa...

Odwrót, Austriacy i Prusacy uciekają, jak huragan... Powiadają, że za kilka godzin nadejdą tu Moskale. Truchleją o rannych, których nie mogą przewieźć w tej ciżbie. Ledwie uzysknam od Niemca, by nas przepuścił. A nie było to łatwo zatrzymać potok zwiewających techników...

Radom. Jesteśmy wreszcie. Ewakuacja w pełni... W okolicy zjawiają się już patrole kozackie. Ostatni pociąg odjeżdża za kilkanaście minut. Zaledwie zdążyłam umieścić w nim swoich rannych. Jadę z nimi. Mijamy Kraków... Dokąd nas wiozą?

27/X. Wiedeń. Ranni zostają w Wiedniu.

9/XI. Kraków. Jestem w domu... A wszyscy już myśleli, że zabito mnie pod Dęblinem. W mojej kamienicy jest szpital. Zameldowałam się w Komendzie. Chcę wrócić do pułku.

11/XI. Radość moja nie ma granic. Powiedziano mi, że za parę godzin Komendant z pułkiem będzie w Krakowie. Krzątam się koło urzędzenia dla nich kuchni. Staram się o potrzebne naczynia, ale idzie mi ciężko. Officer, który ze mną chodził w tej sprawie do magistratu, trzasnął drzwiami „przydykajkami”, klnąc siarczyście na niedołęstwo „ojców miasta”.

Są już w mieście. Istne wojsko napoleońskie... Obszarpani, czarni od dymu i ognia, ale jacyś wielcy! Kwatery są w pałacu Spiskim. Obywatel śmigły daje mi na wydatki 800 koron. Kupuję i zwożę prowianty do pałacu. W moim domu kwateruje 3 komp. Wira z drem Sławojem. Pelno piosenek i wesołości. Tylko prowianty doprowadzają nieraz moją gościnność do rozpacz. A chłopcy śpiewają mi: „Był salonik czyściuteńki — Jak być więcej nie może... Pociąg strzelców na kwaterę brała? — Wygląda jak w obozie! Fortepianik czyściuteńki — Politurowany het... Pociąg strzelców na kwaterę brała? — Politura zeszła wnet!...

12/XI. Karas zemknął ze szpitala wiedeńskiego. Leży teraz w Krakowie.

13(XI. Bataljon Norwida¹⁾ semknął podobno Prusakom... Śpiewają im: Od samej Warszawy aż po Kraków... Przed Moskalami hyc, hyc, hyc!

21(XI. Przyszedł rozkaz wymarszu...
22(XI. Sucha. Stworzono tu etap i Brygady. Etap ten prowadzi kpt. Karasiewicz. Rana niezagojona otworzyła się ponownie. Zajmują się gospodarką: prowianturą, intendenturą, szpitalem i t. d. Jest to jedyny punkt za linią bojową, gdzie ranni znaleźć mogą dorywczą pomoc. Żywność wysyłamy na front. Flacimy za wszystko. Zaufanie ludności wprost nadzwyczajne. Bielizną i mundury otrzymujemy z Jabłonkowa. Mamy też prowizoryczną pralnię.

26(XI. Przyszedł bataljon Wyrwy. Wyrwa prawie bez tuiów. Żołnierze po Krzywopłotach zmęczeni bardzo. Brak zapasów i pieniędzy. Flacę za żywność weksłem, wystawionym przez siebie (na konto kamienicy w Krakowie). Chłopcy kwaterują na gołej ziemi, bo administracja zamtui nie chce dać słomy. Przy beczkach wina czerwonego postawiono warty... Ale w ciągu nocy całe 100 litrów zniknęło do dna. Wyrwa wiciedał się, jak szalony. Na szczątkie nagły odmarzł udaremnił szukanie winnych. Zaczęła i zwołał ramnych... Są i chorzy z odmrożeniami nogami. Takie mrozy... Muszę dla wszystkich znaleźć miejsce...

¹⁾ Na rozkaz Komendanta. Przyp. Red.

ODDZIAŁ WYWIADOWCZY I BRYGADY

ODDZIAŁ WYWIADOWCZY I BRYGADY

ODDZIAŁ WYWIADOWCZY I BRIGADY

ność z Warszawą została przerwana i wówczas łączność tę nawiązują kurjerki Oddziału Wywiadowczego. Stają się one jedynym łącznikiem między podzielonymi linją bojową ziemiami Polski. I oto w nieco zmienionych warunkach powtarza się historia. Mamy jeszcze w pamięci nasze łabki, które w 1863 r. były jedynymi łącznikami między ukrywającymi się w gęstwinach leśnych powstańcami — a społeczeństwem. Jak tamte poprzez kręte leśne ścieżki dostawały się do obozów powstańczych, tak te szukały dróg w łukach ustalonego i zwanego frontu bojowego, aby przenieść i rozszerzać wieści o zmarłych-wstającej Polsce. Były one nómł, wiążącymi wojsko z rozdartymi ziemiami Polski aż po Minsk i Kijów. Dostarczały też wiadomości politycznych organizacjom, skupiającym się dokoła sprawy niepodległości Ojczyzny. Oprócz rozkazów i poleceń Komendanta, przewoziły one biblię nielegalną i materiały wybuchowe dla Oddziału Lotnego. Wracając zaś do swego oddziału przez front, przywoziły raporty strategiczne, przygotowane zawczasu przez warszawską organizację wojskową.

Starzy konspiratorzy P. P. S. lamali głowy nad dostarczeniem nowych nieznanym „ochranie” sposobów ukrycia tych raportów, aby w razie rewizji uchronić je należyście od oka tandarmów i policji po obu stronach frontu. I z dumą powiedzieć mogą kurjerki i Brygady, że należyście spełniły swój obowiązek, bo żaden z raportów nie dostał się do rąk nieprzyjaciela, pomimo kilku aresztowań i bardzo dokładnych nieraz rewizyj.

W służbie Oddziału Wywiadowczego i Brygady brało udział 46 kobiet. Przeważnie były to członkinie oddziałów Związków i Drużyn Strzeleckich, mające paroletnie wykształcenie wojskowe, oraz kobiety, należące do politycznych organizacji niepodległościowych. Przeważały wśród nich studentki uniwersytetów polskich i zagranicznych, parę z nich miało doktorat ukończonych studiów wyższych, reszta były to nauczycielki, publicystki i inne. Wszystkie, z bardzo nielicznymi wyjątkami, należały do t. zw. sfer inteligentnych. Wiek ich wahał się od lat 20 do 65.

Niektóre z nich były w stałej dyspozycji oddziału, inne znajdowały się w punktach łącznikowych, inne znów zależały od miejscowych komend P. O. W.

O przeżyciach tej garstki kobiet słychać świadczą następne kartki wspomnień ich pracy. Teraz, gdy minął już huk armat i szum broni, gdy siedzimy w zaciśnięm pokoju, jakże niezwykle wydadzą się nam zapewne dzieje tych kobiet, przedzierających się samotnie przez linje frontu, otoczonych zewsząd niebezpieczeństwem i wrogami i, co najgorsza, obojętnością własnego społeczeństwa. Może też dzisiaj zro-

zumiemy lepiej ich trudy i pracę dla pozyskania niepodległej swojej Ojczyzny.

W 1917 r. Komendant Piłsudski odznaczył 20 kurjerek odznaką I Brygady za „Wierną Służbę”. W kilka lat później, gdy miano dekorować oddziały legionowe, komenda Oddziału Wywiadowczego podała do krytyki wirtuści militari następujące nazwiska:

Długoszowa Sława, Filipkowska Wanda, Golitska Walerja, Klempińska Felcja, Kornilowiczówna Marja, Rychterówna Marja i Turzyma Marja.

Do odznaczenia krzyżem walecznych podano 17 kurjerek.

Justin Bonafant-Henry (Senior)

NA POSTERUMU

W niezapomniane dla mnie popołudnie 7-go sierpnia 1914 r. wyjechałam na niewielkim wózku z „Oleandrów”. Nie mogłam pohamować swej radości: jechaliśmy szlakiem Kadrówki, Im bliżej jednak dawnej granicy rosyjskiej, tem nastrój mój wewnętrzny poważniał i w Michałowicach przekonałam się naocznie, że coś wielkiego się dokonywa. Granica już nie istniała. Ogarnęła mnie radośna zaduma — szczęście.

Jechalam w skromnej roli: miałam odgrywać na opalografii rozkazy Komendanta. Maszyniści tej zawodziłam, że tak wczelnie wyruszyłam z Krakowa, i to w towarzysztwie ludzi, którzy mieli już poza sobą przeszłość pełną czynn. Jechali razem: L. Wasilewski z żoną, G. Daniłowski, Ola, Eustach i ja.

Nas spędziliśmy w Miechowie, w budynkach monopolu.

Okazało się, że w Miechowie była drukarnia i mój opulograf stał się zbędny. Przydzielono mnie więc do Oddziału Wywiadowczego i oddano pod rozkazy Świątopolka. Zaraz też wyjechałam z ob. Szepem w stronę Kielc. Dojechaliśmy razem do Jędrzejowa, skąd już z Zawiszańką podążyłam do Chęcin, do domu p.p. Hemplów. Była już noc. Rozbudziliśmy chłopców, opowiedziałśmy im, że strzelcy idą na Kielce. Nazajutrz razem ze Stanisławem Hemplem udałam się do Kielc, gdzie kazano mi pozostać aż do przyjścia Kadrówki. Miałam tu otrzymywać raporty od ob. Jadwigi, która była w Szydłowcu, uzupełniać je wiadomościami, zebranymi przez placówkę kolejową i wysyłać do Świątopolka.

Mieszkałam wówczas w przeznaczonym domu p.p. Kosuthów. Przyjęto mnie tam z tak serdeczną gościnnością i wysokim patriotycznym poczuciem ofiarności, że skromne moje wspomnienie nie będzie w stanie uwypuklić tego należycie.

W napięciu oczekiwałam chwili przyjścia strzelców. Weszli wreszcie 12/VIII przed południem. Mnie jednak jako wywiniętrzną,

nie wolno było ich powitać. Miałam duży żal za ten rozkaz do Świętopelki, ale było to, niestety, konieczne.

Setab ulokował się w pałacu poboiskupina, a Oddział Wywiadowczy w domku koło stacji; wtedy dopiero Świętopelk zawezwał mnie do siebie. Leżałam, jak na skrzydłach. Na stacji zastałam obóz żołnierzy odpoczywających i posiłkujących się wśród stosów chleba, kisielasy i porzuconych karabinów. Pełno było gwaru i radości.

Byłam właśnie w pokoju Świętopelki w chwili, gdy wszedł Komentant. Wysunęłam się, żeby nie przeszkadzać. A po wyjściu Komentanta błyskawicznie rozszalała się wiadomość: „Kozacy są w mieście!” Zaczęły padać rozkazy. Chłopcy poderwali się. Chwytało karabiny, pasy, ładownice. Ręce się z pośpiechu trzęsały. Naboje nie posowały. Pomagałam jak mogłam. Zapinałam pasy, ładownice, odbierałam jakiejś kartki do najbliższych: „Wysłacie, jeśli zginę”...

W mgnieniu oka rozpięzchoło się wszystko na wyznaczone placówki. A ja zostałam sama wśród rozrzuconych tornistrów i porzuconego jedzenia.

Świętopelk wręczył mi paczkę, mówiąc: „Tu są adresy naszych ludzi. Nie mogą się dostać w ręce Moskali. W ostatecznym razie trzeba je zniszczyć. Po naszym wycofaniu się, zostajecie z papierami w Kielcach do dalszych rozkazów”.

Chodziłam po pustym domu od okna do okna, nasłuchując. Serce waliło, w uszach huczały strzały, pierwsze w tej wojnie usłyszane, a skierowane przeciwko naszym. Co działo się na mieście — nie wiedziałam. Czasem wpadł jeszcze ktoś po naboje, potem nastała cisza. Nie umiałem powiedzieć, jak długo trwała strzelanina. Korzystając z przerwy, poszłam do domu naprzeciwko, gdzie była Ola. Miała ona również zostać w Kielcach, zaproponowałam jej więc pójście razem do p.p. Koszuthów.

Przyjęto nas obie serdecznie i ukryto. Papiery z adresami rozrzuciliśmy pomiędzy stare akta w kancelarii. Lada chwila można się było spodziewać rewizji. Naradzaliśmy dom na wielkie niebezpieczeństwo, tem więcej, że byli to rodzice naszych strzelczyń i awaga bandarmów była już na nich skierowana. A jednak stale zwracała się do nas miła i serdeczna twarz pani domu, która znajdowała jeszcze czas i wolną myśl na stawianie nam pasjansów „tych najtrudniejszych, napoleońskich”, zawsze mówiących, że strzelcy zwyciężą.

Z godziny na godzinę padały gradem złe wiadomości: „potopili ich w Trupieńcu” (rzeczka pod Słowikiem), „spalili w stodole”, „wystrzelali w lesie”. Smutno było. Pamiętałam, Ola, że noce bezsenne? Okienko zamknięte, w mieście cisza, aż tu słychać zdaleka człap... człap

kopytami o bruk. Patrzymy przez szpary okiennic: jedzie patrol kozacki, uzbrojony w piły. A gdy się zdżemnąć na chwilę, śnią się nasi.

W tym nastroju minęło kilka dni. Wreszcie papiery zakupano w ogrodzie. Było to wskutek ostrzeżenia, że tej nocy przyjdą tandarmani. Nam pozostawała wówczas już tylko ucieczka. Camowałyśmy więc w niepokoju. Tej samej jednak nocy odjechał pociąg, wywozący pozostałych urzędników rosyjskich i tandarmanów¹⁾.

Od wczesnego rana zaczęła się kanonada. Z okien mieszkania zobaczyłyśmy na Kadzielnai już austriacką armatę. W parę godzin później, gdy tylko przejazd okazał się możliwy, wynajęłyśmy wózek i pojechaliśmy w stronę Chęcin — szukać naszych.

Przy spotkaniu pierwszego strzelca omal nie wykrzyknęłam z radości, ale więcej opanowana Ola powstrzymała mnie w porę. I ze względu na woznicę i teren niepewny pozwoliłyśmy się ostentacyjnie zatrzymać i zaprowadzić do Komendy. Tam dopiero dałyśmy upust swej radości tem większej, że wszystkie wieści fatalne okazały się nieprawdziwe, a o przebytej walce świadczyła tylko czysta przestrzelona czapka.

Zofia Zawiszczyńska

PRZED FRONTEM STRZELCÓW.

(Kartki z pamiętnika).

Byłam pierwszą wywiadowczynią Kadrówki...

Późnym wieczorem w Słomnikach dnia 6 sierpnia odebrałam rozkazy od por. Świętopelka. Nazajutrz zerwałam się już o 2-ej nad ranem, gdyż chodziło o to, by uprzedzić wymarz Kadrówki. Pośpiech mój stał się większy jeszcze, gdy ostrzeżono mnie, że jakoby pod klasztorem w Jędrzejowie przygotowywali Moskale zasadzkę. Miałam zbadać tam stan rzeczy i przesłać zaraz raport tak, aby odążyć być przed północą w Miechowie. Jechałam razem z ob. Sępem, który miał przewieźć ów raport. Na szczęście konie były dobre, chcąc zaś uniknąć „wyspy” ze strony furmana, powoziliśmy na zmianę sami.

Uniknąwszy szczęśliwie spotkania z uciekającymi Moskalami, stanęliśmy w Jędrzejowie o zachodzie słońca.

Zasadzki tu żadnej nie było: wojsko wymaszerowało już od kilku dni. Komisja mobilizacyjna usiadła w popłochu, podyskuszawszy o zja-

¹⁾ Papierów nie znalazłam: otrzymały je Świętopelkowi de Tarnina, Bała Kozłowska i J. Szarłowska. Przyp. Red.

wieniu się strzelców. Z takim meldunkiem ob. Sęp pojechał do Miechowa, a ja nazajutrz po południu widziałam w Jędrzejowie kawalerię Belinej: dziesięciu śniadek, których wywiad wojskowy zaharał się chwilami o mój cywilny, stwarzając śliczne, radozne niespodzianki ciągłych spotkań... Tym razem nie brakło i momentu dramatycznego: podczas obiadu zaalarmowała nas straż ogniowa wiadomością, że cały wagon piechoty rosyjskiej przybył na stację. W pięć minut potem nasi ułani gnali już naprzeciw niebezpieczeństwa. Lecz w owym wagonie było tylko kilku żandarmów, którzy wycofali się szybko na widok zbliżających się heliniaków.

Odebrawszy przez Belinej rozkaz dotarcia do Chęcin, stanęłam tam późnym wieczorem w towarzystwie kol. Szarej, którą do mnie skierowano z Miechowa.

Dom p.p. Hemplów, rodziców naszych kolegów, drużyniaków — w którym nocowaliśmy obla, stał się punktem węzłowym naszej pracy, tu zbierano wieści o nieprzyjacielu i odytano je dokład należało.

Nazajutrz musiałam odwiedzić raport do Jędrzejowa, dlatego też dopiero 9/VIII stanęłam w Kielcach, gdzie już natknęłam się na Moskali. Była to tylko żandarmeria i trochę straty ziemskiej: piechota i władze cywilne opuściły już były miasto. Przenocowawszy u Wandę Filipkowskiej, ruszyłam z nią razem do Suchedniowa. Tam również wojska już nie zastałyśmy, mówiono tylko, że przewidziane są jakieś jego większe transporty do Kielc. Z tą alarmującą nowiną Wanda wyjechała pośpiesznie.

Ja musiałam pozostać celem założenia stacji wywiadowczej u kol. Nusi Jeziorowskiej; starałyśmy się poza tem porozumieć z tutejszym kółkiem młodzieży, co nam się tylko częściowo udało. Z powodu wielkich trudności w najęciu koni, straciłam mnóstwo czasu i dopiero 11 sierpnia obie z Nusią pojechałyśmy do Kielc.

Kielce były wtedy, jakby neutralnym terenem dla oddziałów obu kawalerji. Do walk tu jeszcze nie przychodziło. W braku wszelkiej władzy wszystko trzymało się wspomnieniem dawnego porządku rzeczy.

Wkraczających nazajutrz strzelców przyjęło miasto obojętnie, w tępem milczeniu; także biernie odniosło się do potyczki, stoczonej tegoż dnia w jego murach. Przez trzy dni, w czasie ponownego panowania Moskali w Kielcach, musiałam według rozkazu świętopielka pozostać na miejscu; zdana na fałszywe wieści puszczone przez Rosjan, zadreptałam się myślą, że może nasi wybici są co do jednego.

Po wyparciu Moskali, pojechałam zaraz do Chęcin i tam dowiedziałam się z radością, że straty strzelców są prawie żadne i że komenda nasza znajduje się w obozie, w pobliskiej wsi Korzecku. Dzień, który

tam spędziłam, pozostanie jednem z najsloneczniejszych mych wspomnień. Dla nas, skazanych na samotną włóczęgę, każde spotkanie z towarzyszami broni (bo czułyśmy się w prawie tak ich nazywać) było świętem uroczystem. Wzdłuż całej wioski, po obu stronach drogi, rozłożyły się kompanie i plutony; tuż obok karabiny w koszlach, ogromne ogniska, przy których coś pieczono... Wszystko jak w dawnej powstającej opowieści. Gwór żołnierski nappełniał całą osadę, której mieszkańcy prawie znikli.

Chałupka, w której mieścił się sztab, ładnie położona na wzgórkach, otoczona była sadem. Tam się umieściłam. Do siedzącej pod drzewem przychodził w odwiedziny różni znajomi z Drużyn. Żegota i Norwid siedzieli ze mną dość długo, opowiadając różne swe przygody. Wśród tych wrażeń rozważałam wciąż jedną myśl: może teraz właśnie uda mi się przejść do służby linjowej, o czem zawsze marzyłam. Upatrzyłam więc chwilę, gdy Komendant stał sam przed chałupą i zbliżyłam się niesłuch, przedstawiając Mu jak najwięcej swoją prośbę o przeniesienie na front. „Nie wyobrażam sobie jeszcze w jakimby tam mogła być charakterze”. — „Otoż to, że i ja sobie weale tego nie wyobrażam”... wyrzekł powoli Komendant, przygryzając wargi. Powiedział mi wkońcu, że służba kobiet w szeregu jest zasadniczo wykluczona, a ja na pewno przydam się w wywiadach, przy których mam obowiązek pozostać. — Wobec tego argumentu nie śmiałam nalegać dalej...

W tej chwili nadbiegł wielkimi krokami Belina, zapraszając mnie do swej kwatery: chciał mi pokazać swych nowych ludzi i konie, których kilka znówu zdobył. Za chwilę stałam już przed chałupą, witając się serdecznie z „siódmką” i zapoznałam się z „najmłodszym” ułanem, Andrzejem Strągiem. A potem na ziemi wśród orzanej gawędy spotykał się najweselszy chyba obiad w mojem życiu, ogromne porcje rosółu i gotowanej kury, którą trzeba było ogryzać, trzymając w palcach.

Zaraz po tym poczęstunku poszłam do Świętopelka. Zastałam go w sadzie, konferującego z Komendantem: rozłożyli mapę i pokladli się nad nią na ziemi, wkońcu i mnie zawołali, wskazując mi różne miejscowości. Aby lepiej widzieć, musiałam i ja rozciągnąć się nad mapą. Wyznaczono mi dokładnie drogę: Bolzin — Piękoszów — Podzarnie — Cmińsko, — którą miałam przebyć jak najprędzej, wysyłając z kilku punktów meldunki, choćby o jednym spotkanym kozaku. Świętopelk objaśniał mi ważność tego wywiadu i kazał powtarzać za sobą ciągle to samo wkońko.

Miałam więc ruszyć wskazanym mi szlakiem do Suchedniowa, stamtąd uruchomić na stałe całą sieć wywiadowczą, zapoczątkowaną już

poprzednio i dotrzeć aż do Radomia. Podniosłam się z ziemi z głową nabita mnóstwem nazw, miejscowości, cyfr, różnych aktualnych kwestyj taktycznych, nie cierpiących zwłoki i pytań, na które miałam zdobyć odpowiedź. W tej chwili miałam w duszy więcej niż niedawne żywiołowe rozradowanie na widok polskich mundurów i polskiej bronii: teraz ja sama czułam się strażą tego ukochanego trojaka i... ogarniał mnie lęk, czy godnie sprostam zadaniu. Przypiekałam sobie solennie wystrzegać się aż do przesady wszystkich błędów, które mi służbę utrudniały. Czułam, że tego dopnę, bo wszystko stało się możliwe, gdy się tak pojąłnie czegoś chce, jak ja wówczas chciałam...

Gdy tak stałam przed chatą, zamysłoną, od woi rozległ się tętent: nadjeżdżała nasza kawalerja. Salutowali wesoło, mijając mnie. Be-lina obejrzał się ze swym serdecznym uśmiechem, lecz w oczach miał teraz błysk powagi i energii. Odczułam w tej chwili jakąś równocześnieść w naszej pracy: oni jadą na patrol, aby zdobyć o wroga wieści i mogą zginąć, ja jadę sama na wywiad i mogę także nie wrócić...

Tymczasem konie moje zajęchwały i niecierpliwiły się, spłoszone moim widokiem rozciągniętego za chatą ciastnego szeregu niebieskich mundurów, przed którym spacerował Komendant ze swą nieodstępną trzciną w ręku. Wskakując na wózek, pośpieszałam ich jeszcze oczyma.

Wanda Piskorzka
z KIELC DO ZAGÓRZA.

Trzydziestego października 1914 r. ppor. Stanisław Hempel, t. zw. ob. Waligóra w zastępstwie dowódcy Oddziału Wywiadowczego polecił mi pozostać w Kielcach, po opuszczeniu miasta przez strzelców, celem zorganizowania tam stacji wywiadowczej; miałam utrzymać łączność między Radomiem, Suchedniowem a Komendą I Brygady. Pozostawiono przymiem do mojej dyspozycji 25 rubli z obietnicą, iż jutro lub pojutrze przyjdzie z Komendy łącznik z pieniędzmi na roz-jady.

Ciężko było patrzeć na oddziały strzeleckie, opuszczające Kielce, a później na nieustający dniami i nocą pochód piechoty, artylerji i taborów moskiewskich, ciągnących w kierunku Krakowa.

Kielce zmieniłone do niepoznania. Na twarzach mieszkańców czyta się troskę, niepokój i lęk o losy swoje i najbliższych, którzy wymaszerowali z oddziałami strzeleckimi lub też pozostawczy nie byli pewni swego jutra. Nie brak było i takich, którzy z triumfem patrzyli na żołdzerzy rosyjskich, jako na chrześcijan Polski. A oni szli brudni, głodni, niewyspani często obdarci i bez butów. Ulice zatłoczone. Sie-

dzieli i leżeli na chodnikach w rynsztokach, prosząc o kawałek chleba lub choćby o parę surowych kartofli.

Zapowiedziany przez Waligórę łącznik z pieniędzmi nie nadjechał. Zorganizowalam więc tylko wywiad oddziałów przeciągających przez Kielce.

Jedenastego listopada przyjechała do Kielc Zofia Szybałska, która wiozła z Warszawy raporty. Postanowiłam razem z nią wyruszyć, aby oddać swoje raporty i odebrać dalsze rozkazy.

Obliczywszy nasze wspólne kapitały, które w sumie wynosiły około 15 rubli, wynajęliśmy konie i w piątek 13 listopada rano wyjechaliśmy z Kielc do Jędrzejowa, kierując się na Kraków. Następnego dnia wieczorem, o godzinie 8-oj stanęliśmy na rynku w Słomnikach. Pozostawała tam grobowa czoła i ciemność, wszystkie drzwi i okna szczelnie pozamykane, nigdzie znaku życia ludzkiego. Jakaś tylko karczma, czy zajazd tydowski jasno oświetlony dawał nadzieję schronienia nas pod swój dach. Domy, w których w każdym innym wypadku mogłybyśmy liczyć na gościnne przyjęcie, teraz odpowiadały milczeniem na nasze dobijanie się. Mieszkańcy ich uciekli przed Moskalami. Udałyśmy się na plebanję w nadziei, że ksiądz nas może przemocuje. Niestety, bał się i nie przyjął nas. Pozostała tydowska karczma. Dano nam pokój, który swoją ohydą przewyższał wszelkie wyobrażenia. Stały tam dwa łóżka z rozgrzebaną, zmiętą i brudną pościelą, stół przykryty nielepszą serwetą i kanapka ze sterczącymi sprężynami. Owinąwszy się szczelnie w koc, tak, aby nie dotknąć się budzącego obrzydzenie łóżka, przeczekaliśmy do rana. Noc minęła szczęśliwie. Ostre pogotowie w oddziałach kozackich, stojących za miastem, było dla nas tak bardzo na rękę!

W niedzielę rano należało ułożyć plan dalszej przeprawy, bo Słomniki były wówczas już nie dalzemi tyłami, lecz wręcz dotyczyły frontu. O wynajęciu koni nie można było marzyć. Miałymy zresztą w kieszeni tylko kilka rubli. Pozostawała droga piesza. Wytknięcie marszruty było o tyle trudne, że nie orjentowałyśmy się w głębokości frontu i w dylokacji wojska. Postanowiliśmy przede wszystkim wykorzystać adresy ludzi, zamieszkujących okolice, a związanych organizacyjnie lub uczuciowo z ruchem strzeleckim. Miałymy zebrać od nich potrzebne nam wiadomości i skorzystać z ich pomocy, t. j. otrzymać konie lub przewodnika. Jakiś stary chłop zdecydował się przenieść nasze walizki i przeprowadzić nas polnemi drogami do pobliskiego majątku, którego administrator za czasów, kiedy od Moskali dzielił go front, oświadczał gotowość do współpracy z organizacjami niepodległościowymi. Miedzami, ścieżkami polnemi, jakimiś wertepami dotarłyśmy

do drzwi dworku, które pani domu uchyliła przed nami na szerokość dłoni, pytając, czego sobie życzymy. Oświadczyliśmy jej, że w ten sposób nie możemy wyłuszczyć celu naszego przybycia. Po chwili wahania otworzyła nam drzwi do przedpokoju. Tutaj dość szczerze przedstawiliśmy całą sprawę, prosząc o wskazanie przewodnika, z pośród dawnych kłusowników, chodzących przez „zieloną granicę” — a więc znających doskonale okolice. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „My nic nie wiemy, nic nie możemy; tu wszędzie pełno wojska, a nas stoi sztab dywizji, niech więc nas panie nie narażają i jak najprędzej opuszczą nasz dom”.

Cóż było robić! Nie miałyśmy ze sobą lekarstwa na ludzki strach. Ze ściśniętym sercem stwierdziłyśmy tylko raz jeszcze, jak bardzo oddaliły się niektóre polskie dwory od tradycji powstańczych. Bez dłuższego namysłu zdecydowałyśmy się iść dalej pieszo. O niesie-niu walizek nie mogło być mowy. Wyjęłyśmy więc tylko najniezbędniejsze rzeczy: ręcznik i mydło i opłotkami wyszłyśmy na polne ścieżki, okrążając wieś, rojące się od żołnierzy rosyjskich.

Pozostał nam jeszcze jeden adres gospodarza we wsi, o ile mnie pamięć nie myli, w Piotrkowicach Małych, tam się więc skierowa-łyśmy.

We wsi rozlokowana piechota. W każdej chacie, w każdej zagro-dzie w stodole, we wszystkich zabudowaniach stoją na kwaterach żoł-nierze.

Gospodarz przywitał nas bardzo uprzejmie, lecz oświadczył, że sam nie podejmie się wskazać drogi, ani przeprowadzić, bo wie, czem to grozi, a nikogo nie poleci, bo „zna naród i nikogo nie jest pewny”, nadzieja dobrej zapłaty za wydanie nas może spowodować nieszczę-ście. Zapadła ciemna noc.

Nasz gospodarz radzi nam przemocować na plebanji. Nauczane do-świadczeniem w Stommikach, zamiast na plebanję zaszliśmy do na-uczyciela, prosząc o wskazanie nam domu, w którym mogłybyśmy przemocować, względnie o przyjęcie nas u siebie. Opowiadamy przy-tem zmyśloną historję o ucieczce z Kielc przed poszukującą nas żan-darmerją rosyjską. Mówimy, że chcemy dostać się do rodziny w Ma-łopolsce.

Zacni ludzie, ubolewając szczerze nad naszym losem, zatrzymali nas na noc, ugostili kolacją, dali nam czystą pościel. Co za rozkosz po wieczniejszej karczmie tygodnikiej!

Do kolacji zasiadł także oprócz rodziny gospodarza, rosyjski oficer Polak, urodzony i wychowany w Rosji, który z przejęciem i entu-zjazmem mówił o zdobywaniu Krakowa.

Z goryczą w sercu słuchaliśmy jego słów, powstrzymując się całym wysiłkiem od zabrania głosu w obawie zdradzenia się zbyt gorącym wystąpieniem.

Zbudziwszy się rano, uprzytomiałam sobie naszą sytuację i pytam „Szybcia”: „Co myślisz, czy idziemy dalej przed siebie, mając za jedynego przewodnika nasze strzeleckie szczęście”? „Szybcia” śmieje się i mówi: — Chodźmy.

Uzupełniłyśmy swoje meldunki wiadomościami zebranymi po drodze, zaszyłyśmy je w nasze suknie; pożegnawszy się bardzo serdecznie z naszymi najzacieplejszymi gospodarzami, wyszłyśmy znów na polne ścieżki, prowadzące na Koniuszę, Birków i Kocmyrzów.

Przez całą drogę do Kielc słyszaliśmy huk armat, a tutaj muzyka karabinów ustawała tylko chwilami.

Weszłyśmy do lasu; o kilkanaście kroków od nas padło nagle kilka pojedynczych strzałów karabinowych. Potem huknęły salwy. Domyśliłyśmy się, że jest to spotkanie się dwóch patroli nieprzyjacielskich na drugim brzegu lasu. Postanowiłyśmy przeczekać strzelaninę, zaszywając się w zarośla. Wiedziałam dobrze, że gdyby nas tutaj wyśledziło oko żołnierza moskiewskiego, to nie miałybyśmy nic do powiedzenia na własny ratunek.

Zniszczyłyśmy swoje przepastki, pozostawiając przy sobie jedynie raporty. Po półgodzinnej strzelaninie zapanał spokój. Ostrożnie wysuwamy się z lasu, żeby zbadać sytuację. Nie zauważywszy nic specjalnego, idziemy polem, oglądając się na wszystkie strony. Nie usłyszmy nawet kilometra, kiedy zawarczał w powietrzu samolot, a na powitanie go sygnęły się gęste strzały karabinowe z pobliskiej wsi. Z samolotu odpowiadano bombami, rzucanymi na wieś.

Dalej wypadło nam przeciąć gołciniec, przy którym samotnie stała stodołka, a z niej dochodził obojętny na wszystko stuk cepów. Nie przejmując się wojną chłop młócił spokojnie żyto. Zasięgamy od niego języka, pytając, czy można spokojnie iść w stronę Kocmyrzowa.

— „Iść można — powiada, — i spokojnie jest, co trochę tylko przelecają na koniach kozaki, albo Austrijaki, a i dopierutko co przeleciały jakiego”.

Idziemy dalej przez orne pole, a miedza prowadzi nas szczytem pagórka, z którego widać nadciągającą kawalerję. W dolinie prawie u naszych stóp znajduje się piechota. Jej szaro-niebieskie mundury mówią nam, że to już nie Moskale. W najbliższej wsi spotykamy austriackich żołnierzy. Jesteśmy więc już poza niebezpieczeństwem, grożącym życiu, ale zanim dotrzemy do naszego oddziału, czeka nas walka z trudnościami i z szykanami dowództw austriackich.

Oficerowie sztabu dywizji, usłyszawszy skąd i dokąd idziemy, wskazali nam uprzejmie drogę, patrząc na nas z niedowierzaniem i po-
dziwem.

Doszliśmy do pierwszych fortów Krakowa. Warta nie chce nawet
słuchać i śmieje się, kiedy powiadamy, że chcemy wejść do miasta.
Dopiero oficer, pełniący służbę, zdecydował się po długiej dyskusji
znależnować nas i pod konwojem dwóch uzbrojonych żołnierzy od-
stawić do komendy twierdzy.

Tu zażądano od nas złożenia posiadanych raportów, oświadczając,
że tylko wówczas wskażą nam miejsce postoju dowództwa I Brygady
i tłumacząc, że zanim tam dotrzemy, meldunki nasze stracą na warto-
ści. W tej sprawie jednak mieliśmy zupełnie wyraźny rozkaz skła-
dania raportów wyłącznie w Dowództwie Brygady.

Następnego dnia po całym szeregu awantur, przekonywałam i próbę
wydano mi pozwolenie wyjazdu z Krakowa do Jabłonkowa, gdzie rze-
komo miał się znajdować Oddział Wywiadowczy I Brygady. Spotkany
przygodnie strzelec skierował mnie na właściwą drogę do Zagórza,
gdzie stanęłam 18 listopada.

Marja Rykterowa.

LISTOPAD W ZAGÓRZU.

Był koniec października 1914 r. Wielka ofensywa niemiecka na Warszawę została już ostatecznie odparta, mieliśmy natomiast kontrofensywę rosyjską. Zaplątana w tłumy dywizyj syberyjskich wracaliśmy do swego oddziału. Droga, ograniczona jedynie do używalności „furek” była długa i żmudna, chwilami prawie beznadziejna; towarzyszyła mi w tej wędrówce pani Olsz, która chciała bardzo zobaczyć swych synów jako strzelców. Jadąc zasadniczo wzdłuż drogi wiedeńskiej, raz po raz rzucałam się na ostępy dzikich dróg, licząc, że uda mi się przeciągnąć prących naprzód Moskali, ale... na poszczególnych etapach znajdowaliśmy ledwie ślady oddziału, który wciąż przed nami uchodził. W Piotrkowie u znacznej p. Heleny Trzciskiej zastałam „Babcję” Golińską, która, dowiedziawszy swój transport do Warszawy, wracała, jak ja, do „swolch”; zabraliśmy się więc razem.

Za Szczykocinami dopiero skończyła się pieszota rosyjska. Z lasów bowiem otaczających Wierbkę, wyszedł już ku nam żołnierz austriacki; nabrałam więc pewności, że minęliśmy czoło kolumny rosyjskiej i, nie myśląc o spoczynku, pędziłam naprzód w obawie, aby nie dać się ubiec Moskałom, od których teraz umykałam.

Było już prawie ciemno, kiedyśmy dotarły do Dąbrowy. Zostawiliśmy w jakimś hoteliku p. Olsz. i pośpieszyliśmy do Komisarjatu, aby zasięgnąć wieści o oddziale. Urzędujący oficer objaśnił, że Komisarjat w najbliższych dniach przenosi się do Sosnowca, a Oddział Wywiadowczy mieści się o kilka kilometrów stąd — w Zagórzu. Wśród tej rozmowy ujrzałam leżący przede mną numer „Legjonisty” i rzuciłam się nań skwapliwie. Niestety, tuż zaraz, w czarnem obramowaniu rzuciła mi się w oczy pierwsza w życiu widziana lista straci, a w niej wśród nieznanomych nazwisk, tak dobrze mi znane ze Lwowa imiona kolegów: Marcellin Krajewski, — Henryk Strenger — Michałowski. Myśląc o nich, zapomniałam gdzie jestem: siedzący naprzeciw mnie oficer wy-

dawał mi się wciąż dalszy, aż znikł mi z oczu zupełnie i nie wiedział skąd wzięte lzy, spadły mi na rękaw płaszcza... Spostrzegłam wreszcie, że oficer patrzy na mnie, opanowałam się więc, jak mogłam i zapytałam o konie. Nie robił mi wielkiej nadziei.

Nazajutrz rano przysłano już po mnie samochód. Niedługo zjawił się oficer o energicznej minie i niebawem ruszyliśmy z miejsca. Towarzysz mój dopiero w samochodzie powiedział mi swoje legionowe imię. — Nazywam się Mściśław! — do prezentacji dodał jeszcze, że brał udział w rewolucji 1905 r. i że przed samą wojną skończył we Lwowie „Jasowską”¹⁾.

Samochód zatrzymał się przed parterowym dworkiem, osiadłym nisko za szpalerem krzewów, opustoszałego dzięki ogrodowi. Otworzono nam bramę i zajechaliśmy przed dom od podwórza. Mściśław wskazał mi drogę przez ciemne schodki i zastukał do drzwi po prawej stronie. Tutaj, w dużym słonecznym pokoju zastałam Olę, która mnie przywitała uśmiechem:

— Także się o was bały — rzekła, całując mnie.

Mściśław udał się do przyległej kancelarii, aby zameldować mnie porucznikowi, którego jeszcze nie znałam. Po chwili drzwi otworzyły się szybko i wybiegł przez nie błądy, wygolony oficer.

— To Świętopelk — szepnęła mi Ola. Przywitał mnie pośpiesznie i kazał czekać, poczem zaraz znikł poza drzwiami kancelarii.

— Może pójdziemy na górę? — zaproponowała Ola — tam spokojniej. — Poszłam chętnie: rzeczywiście byłam trochę oszołomiona i zmęczona. Niedługo na naszej górze zjawiał się ob. Stary. Powiedziałam mu, że Jula, która we wrześniu przyjechała ze mną do Warszawy, została w Grójcu, a sama wracam, przywożąc raport z drogi. Rozmawialiśmy jeszcze chwil parę, aż poki Świętopelk nie zawerwał mnie do siebie.

Zastukałam do drzwi kancelarii. Kazono mi poczekać w dalszym pokoju. Kancelaria wreszcie opustoszała i zostałam w niej sama ze Świętopelkiem i Starym. Rozłożono przede mną mapę i kazono wskazywać drogę; tak ją znałam, że mogłam mówić z pamięci. Świętopelk siedział naprzeciwko i patrzył we mnie swymi przenikliwymi oczyma, jakby pilnując, abym czego nie zapomniała; Stary notował skrzątnie w notesie. Następnie mówiłam o oddziałach wojska, które przeszedły mi się przed oczyma w czasie dalszej drogi. Raport trwał około 2 godzin. W końcu znużyłam z radością, że porucznik był zadowolony, a i Stary patrzył na mnie błyszczącymi oczyma, rad, że nie „syplę” naszego oddziału Związku we Lwowie.

¹⁾ Stanisław Styczński poległ w bitwie pod Kosiuchową w lipcu 1906 r.

Wychodząc z kancelarii, zobaczyłam dwie nowe podróżne, były to: Zosia Skrzyszowska i Michasia Żychalówna, dwie krakowianeczki, które, chociaż nie znaly zupełnie języka rosyjskiego, odważnie wracały same z Warszawy.

Zmierzchało się. Nadciągali na odprawę oficerowie, przysłała też i Ola. Zatrzaszczyła się o pomieszczenie dla mnie. — Z wami, Olu — szepnęłam. — Dobrze, — uśmiechnęła się. Wieczorem zesłałam do suteryny na kolację. Podano nam żołnierską kawę z sucharami. Niewiasty schodziły się powoli ze swych kwater: prawie wszystkie były mi nieznane lub mało znane. Piłam więc kawę w milczeniu. Po kolacji rozeszliśmy się w różne strony. Poszłam i ja z Ołą na swoją nową kwaterę. Był to niewielki wąski pokój, w którym oprócz stołu, ławy i leżących na niemylowanej podłodze sienników, nie było nic więcej. Ola pochyliła się nad konspiracyjnym piśmem, które przyniosły „małe”, a ja uklękną przy niej na ławie i pomagałam, jak mogłam, odcyfrowywać trochę już zatarte znaki. Koło dziesiątej zaniosłyśmy je Staremu. Słyszmy już do siebie, gdy tuż przed nami wynurzył się z ciemności biały koń. — To Świątoplek — powiedziała Ola. Porucznik poznał nas odrazu i kazał zawrócić.

Oddział ożył na nowo. Obudzono Starego, który zaraz też nadciągnął trochę zachmurzony i zły; sprowadzono też z pobliskiej kwatery bardzo już sennie „krakowianeczki”. Świątoplek był w dobrym humorze, rad ze zdobycia aż dwu raportów w ciągu jednego dnia. Rozmawiał też z nami wesoło, poważnie jednak wysłuchiwał raportu Oli, która meldowała, że ich kwatera jest w domu szpicla. Nie zgadził się więc, szym tam nocowała. Ola odeszła zatem sama, a oficerowie zabrali się do badania niewiast. Badanie zmieniło się wkrótce w „hurczenie”, że nie zwracali uwagi na to, co działo się dookoła nich. „Nie miałyśmy żadnego rozkazu, tylko przewieźć raport” — tłumaczyły się jak mogły. Obie z Wandą oczekiwałyśmy końca przesłuchania. Byłam tak senna, że oczy zamykały mi się same, budził mnie jednak wciąż ostry głos porucznika. Około trzeciej rano badanie się skończyło, a Stary zasiadł do „systematyzacji”. Świtało już, kiedy wreszcie odszedł na górę, a my z Wandą poukladałyśmy się, jak mogły w „spracowanej” kancelarii.

Najazutra dopiero mogłam się rozejrzeć po naszej siedzibie. Korzystaliśmy z gościny pana Wrzózka i korzystaliśmy w pełni: Oddział rozkwaterował się tu cały. „Górkę” zajmowali oficerowie, prawą część parteru stanowiła kancelarja (wieczorem zmieniająca się w kwaterę kilku niewiast) oraz poczekalnie; zabudowania w podwórzu stały się koszarami dla żołnierzy, w stajni nawet stały nasze konie. Wszystko to było obliczone na krótką metę, dość było bowiem wy-

chylić się poza obręb mieszkania, aby usłyszeć głuchy odgłos armat. To cofające się wojsko austriacko-niemieckie walczyło jeszcze z sięgającą aż tutaj falą rosyjską. Wynik tej walki odgadnąć było dość trudno. Czekaliśmy więc.

Po południu przyjechała Dyxis Lipińska, przywołana raport z Piotrkowa i Łodzi. Tegoż dnia przyjechali oficerowie: B. Zawadzki i „Szczur” — Limanowski.

Oficerowie oddziału, odkomenderowani specjalnie przez głównego Komendanta mieli tu dość utrudnione ruchy i niewielki zakres działania, a przytem... wszyscy tęsknili do pułku. Zorientowałam się powoli w ich czynnościach: Stary był zastępcą porucznika, układał też i tłumaczył nasze raporty dla sztabu pułku; Sep, jako tłumacz, towarzyszył Świątopułkowi w wyjazdach służbowych; Miciśław sprawował funkcję intendenta, obaj zaś Hempłowie byli instruktorami piechoty i kawalerji.

Najcięższą wazkę było chyba Oli, która w przeciwieństwie do całego oddziału była przepracowana. Na pracę jej składały się dwie skomplikowane i nader uciążliwe funkcje: była równocześnie skarbniczką oddziału i komendantką niewiast. Trudno rozstrzygnąć, który z tych obowiązków nastroczał jej więcej kłopotu. Nie trzeba też zapominać o tem, że chyba po raz pierwszy w życiu pełniła służbę w takim oddaleniu od wroga. Niełatwo było dla niej oswoić się z myślą, że tak być musi, a jednak nie skarżyła się nigdy. My, t. j. pozostałe niewiasty, w antraktach między „drogami” nie robiłyśmy nic — była to smutna konsekwencja naszej służby. Ludność miejscowa odnosiła się do ruchu strzeleckiego obojętnie, niektórzy nawet wrogo, tak, że można było oczekiwać wszędzie donosicieli. Trudno było przeto brać się w tych warunkach do najpilniejszej i najistotniejszej pracy: szerzenia ideologii naszej sprawy i tłumaczenia ludzium, że o niepodległość Polski walczymy my wszyscy, a przedewszystkiem nasi żołnierze. Tę pracę właśnie wykonywały niezmordowanie stronnictwa polityczne, a zwłaszcza P. P. S. i „Zaranie”, które ściągały siły po całkowitem rozbiciu, t. j. po oddaniu swych ludzi do pułku. Pomagały im, jak mogły, będąc naturalnym łącznikiem z pracą prowadzoną po stronie rosyjskiej. Wiozłyśmy im za kordon słowa otuchy i linje wytyczne dla wszystkich stronnictw niepodległościowych, bez względu na swe osobiste zapatrywania społeczne. W oddziale mogłyśmy jedynie uczyć koleżanki, pochodzące z Małopolski umiejętności władania językiem rosyjskim.

Z powyższych przyczyn, gdy odpisywała Jance Szarej, która zapytowała z Flucka o nastrój w oddziale, napisałam krótko: — Cóż?

Chłopcy marzą o przydziale w pułku, a my...chcielibyśmy chociaż co mieć, żeby jechać do Warszawy.

W kilka dni po moim przyjeździe, posłam odwiedzić Olę na jej kwatery. Rychło jednak przybiegła po mnie Zosia S. i — „Obyw. Maria — do obyw. Świętopelka!“ — powiedziała szybko, używając tak dobrze mi znanej z Krakowa nomenklatury drużynackiej. Zaczęłam się na nią, ale zerwałam się z miejsca i trochę niespokojna zastukałam do drzwi kancelarii. Świętopelka jednak przywitał mnie z uśmiechem i powiedział: — No, cóż, obywatelko? odpoczęliście już, możecie jechać? — Mogę oczywiście — odpowiedziałam bez namysłu.

Z kancelarii wyszłam z trochę niepewnym wzrokiem. Jechać do Warszawy chciałam bardzo, ale... wiedziałam też, jak oczekiwać tam będą wieści, których sama miałam jeszcze tak mało. Martwiłam się zresztą trochę przedwcześnie, bo Ola przekonała Świętopelkę, że nie można mnie jeszcze wysłać po tak dalekiej drodze i że muszę odpocząć. Patrzyłam na nią z ukosa, ale cóż było robić!

Wiadomości „ze świata“, t. j. z pułku przywozili najczęściej Gustaw i Sawicki, przyjeżdżali też często specjalnie z N. K. N. wysłani kurjerzy. Rozpytywałam ich wtedy o nowiny. Nie były one wesołe. Pułk dokonywał ciężkiego odwrotu na olbrzymiej przestrzeni z pod Warszawy w bardzo ciężkich warunkach fizycznych i moralnych. Komisariaty i biura legionowe znajdowały się już na pograniczu Kongresówki z coraz mniejszym zakresem kompetencji. W Krakowie zaprowadzono stan oblężenia. Sytuacja była ciężka... Wieczorami siadywałam razem w wielkiej, skąpo małemi świeczkami oświetlonej jadalni i rozmawiałymy o tem cicho. Czasami zdawało się, że na pochylone głowy zasnuwa się nam chmura groźnych przyszłych wydarzeń...

Nie było jednak sygnałów odwrotu. Przeciwnie, myślano nawet o tem, aby wygodniej nas rozlokować. Zapadła też wkrótce decyzja, aby oficerowie przenieśli się do pałacu jakiegoś niemieckiego barona. Tam także udać się mieli żołnierze wraz z końmi (był to materiał do przyszłego oddziału dragonów). Główna zaś kwatera niewieścia zgromadzić się miała w górnych 2 pokojach dworku p. Wrzoska. Było też trochę ruchu w oddziale. Wysyłano dwie niewiasty do stacji łącznikowych (zabrałam mnie do Warszawy): Dyzię do Piotrkowa i Fanę do Radomia. Na oficera zaś łącznikowego w Częstochowie porucznik naznaczył B. Zawadzkiego. Natrajuć mieli wszyscy troje. Tegoż wieczora odbyła się nasza przeprowadzka do byłej oficerskiej kwatery — a oficerowie powędrowali do pałacu. Kancelaria pozostawała narazie na miejscu, a jadalnia była teraz wspólna. Zorganizowała się też rychło nowa kuchnia, do której ofiarowaliśmy się obie z Wandą. Dobre nasze chęci spełziły jednak na niczym, bo Ola oddała

pierwszeństwo ob. Perłowej, która też zaraz wyprawiła nas obie na górę. W nagrodę za tę degradację zostaliśmy pierwszymi „dyżurnymi”. Była to rola coś w rodzaju młodzieży, ale pełniłyśmy ją chętnie wszystkie, nie wyłączając samej komendantki. Poza główną kwartę pozostawaliśmy jeszcze czynne „solwarki”, t. j. pokoje w ochronie i w domu p.p. Gadomskich.

W parę dni po przeprowadce przyjechały: Slawa z Wandą Wycałkowską i Pocięcha.

Stosunki służbowe z oficerami układały się trochę opornie wskutek osobliwego rozkładu pracy w oddziale; myśmy tu były jedyne, które miały kontakt z wrogiem, t. j. pełniłyśmy służbę przed frontem. Mimo to niechętnie przyznawano nam przynależność wojskową. Traktowano nas bowiem jako podkomendne, pozbawiane przywilejów służbowych, a obdarzane przywilejami towarzyskimi poza służbą. Na tem ile powstawały niewielkie konflikty. Poza tem jednak byliśmy związani jednako rozkazem Komendanta i tem samym radosnem dążeniem do niepodległości; w wielu też wypadkach łączył nas udział w organizacjach strzeleckich i wspólna ława uniwersytecka. Stąd pochodził zdecydowany ton naszych wzajemnych stosunków i to zatroskanie, jeśli która z nas udawała się w zwykłą, a niezbyt bezpieczną drogę. Żegnali nas wtedy poważnie i w służbowem milczeniu.

Głębszy rozdzwitek jednak zaznaczał się w stosunku do szefa oddziału, Świętopelki, będąc jednym z oficerów najbardziej oddanych naszemu Wodzowi, zbyt dawał się pochłaniać pracy wojskowej, tak, że niewiele czasu już mógł poświęcać podłożu politycznemu naszych podróży. Komendant chciał jednak koniecznie z pomocą oddziału wywindowczego wytworzyć ścisłą łączność między Warszawą i wojskiem. Miał to być silna i moralna podstawa tej pracy. Rozdzwitek ten bardzo odczuwała Ola, najbardziej z nas świadoma rozporządzeń Komendanta. Mówiła też nieraz o tem z nami, które nie mogłyśmy nie przyznać jej głębokiej racji, ale prawie wszystkie wychowane w strzeleckiej lub drużynackiej szkole, wiedziałyśmy dobrze, co znaczy rozkaz. Dopominałyśmy się jednakże o instrukcyjne pogadanki. Świętopelka nie opierał się temu.

Któregoś dnia zebrał nas wszystkie w kancelarii i mówił na temat — tak bliski naszym myślom — w jaki sposób praca nasza bezpośrednio jest pożyteczna dla sprawy? Wyjaśniał nam wtedy, że oddział jest wielkim statem w naszej akcji wojskowej, że dzięki naszej pracy Komendant ma zawsze najlepsze informacje o nieprzyjacielu. Powiedział też, iż raporty nasze mają wagę ogromną, ale tylko wtedy, gdy idą drogą służbową do naszego sztabu. Te właśnie drogę służbową porucznik zaznaczył bardzo silnie. Nie wyobrażałam sobie oczywiście,

aby która z nas miała ochotę do jakichkolwiek stosunków z armją przymusowych sprzymierzeńców, ale pamiętać o tem wszystkim trzeba było koniecznie.

— Powinnyście też wiedzieć — mówił nam dalej, że Komendant na Biuro Wywiadowcze nie pragnął z austriackiej Armee Oberkommando ani grosza. Pieniądze, jakie tu otrzymujemy, pochodzą z kasy pułkowej, — są to oszczędności oficerów, z których każdy bez różnicy rangi pobiera tylko 100 koron. W ten sposób utrzymuje się nasz oddział, który, jak wy, obywatelki, gaży nie bierze”!

Pogadankę swą porucznik zakończył powiedzeniem, że chociaż sytuacja jest obecnie ciężka, powinniśmy jednak patrzeć jasno w przyszłość i wierzyć, że Rosja wreszcie upaść musi, a potem przyjdzie kolej na Niemcy. Słów tych słuchaliśmy z ulgą, były to bowiem sprawy, których rozstrzygać nie odważaliśmy się same przed sobą.

W połowie listopada stanął przed naszym dworkiem wojakowy samochód. Przyjechał nim Komendant główny. W odwrocie z pod Warszawy uprowadził był do Krakowa trzy bataljony strudzonych żołnierzy, zmuszony był jednakże pozostawić resztę, t. j. bataljony Fleszara i Wyrwy. Miał też trochę nadziei, że uda im się uniknąć bezskutecznej już dla nas bitwy. Komendant wpadł do nas niespodzianie, jak wicher i jak wicher szybko odjechał. Cały dzień prawie przesiedział w kancelarji z dowództwem, t. j. ze Świętopółkiem, Starym i Olą. My widziałyśmy Go tylko przy obiedzie; do stołu przyszedł późno, gdyśmy już były zjadły, siadł, ubrany, jak stał, w popielaty sweter z białym kołnierzem, gdzieś hen na szarym końcu stołu. Jadł szybko, rozmawiając z nami bardzo niewiele.

W pewnej chwili zauważyłam, że obok Komendanta jest wolne krzesło i po chwili wahania odważyłam się je zająć. Powiedziałam trochę nieśmiało, że jestem z lwowskiego oddziału Związku i że tak byłabym rada coś wiedzieć o naszych chłopcach. Komendant ożywił się trochę. Dziwnym zbiegiem okoliczności, żaden z tych, o których zapytywałam, nie był zabity, ani ranny. — Ale szli dobrze — ten nasz Lwów? — pytałam jeszcze. Cieszyłam się niepominiernie, słysząc dla nich wielkie pochwały. A Komendant, patrząc w przestrzeń z pod zsuniętych brwi, mówił jakby do siebie:

— „Chłopcy w odwrocie byli tak zmęczeni, że im nie pozwalał im spać. Żadna kula nie byłaby ich potem zbudziła. Zostaliby w miejscu!

— Oh, Komendancie, — zapytałam znów — a niewiasty? Co się z nimi stało?

Oczy Komendanta nabrały blasku wesołości, gdy mi odpowiadał:

— „Cóż to, nie wiecie o rozkazie, który wszystkie niewiasty u nas! z linji?”

— A kiedy... mogę przytoczyć nazwiska... broniłam szczególniejszych ode mnie koleżanek.

Udał mocno zagniewanego.

— „Proszę o nazwiska, ale bataljonowego i kompanijnego. Wszyscy staną do raportu!”

— O, tego nie mogę — wycofywałam się trochę przestraszona — nie wiem nawet dobrze!

Tym razem Komendant roześmiał się wesoło.

— „Widzicie więc sami, że ich niema”.

Nastrój zmąciła Bronka, pytając o jeńców. Ciągnęłam ją ostrzegawczo za suknię, ale poniewczasie Komendanta pyta o straty, och Boże! Spojrzał na nią schmurzony i milczał.

— Pewnie, że są, — ofuknęłam ją trochę szorstko, a Komendant, zwróciwszy się do mnie, powiedział już zupełnie innym głosem.

— „Czy znaleźliście trzech braci Strzeleckich? Polegli wszyscy!”

Zapadło milczenie. Komendant patrzył wdał. Myślał może o tych, którzy padli, pędząc ku Warszawie, może szedł za tymi, których Rosja pędziła na wschód, a może też przeczuwał dzisiejsze krwawe pobojowisko. Nie widzieliśmy już więcej Komendanta: wczesnym rankiem wrócił do swych osierociłych żołnierzy.

Z wieściami o Krzywopłotach przybył do nas ppor. Sawicki — sam wynędzniały, prawie obdarty i czarny od dymu. Zerwanym od zmęczenia głosem opowiadał nam szczegóły bitwy. Ranni leżeli jeszcze na polu, odległem stąd ledwie o kilkanaście kilometrów. Pierwszą myślą naszą było biec im z pomocą, ale myśląca o wszystkim Olsa powstrzymała nas uwagę, że w ten sposób dyskwalifikujemy się zupełnie, jako kurjerki. Śluszność była po jej stronie, wszystko to jednak, razem wzięte, było okrutne i twarde: siedzieliśmy bowiem bezczynnie, podczas, gdy opodał jęrcieli nasi ranni chłopcy, czekając, aż obce dłonie zechcą im przyjść z pomocą.

Po Krzywopłotach pułk przeszedł granicę Kongresówki, równocześnie Komisarjat sosnowiecki zwiłaj zagle ku odwrotowi na Śląsk Cieszyński, pozostawiając na miejscu tylko niewielki posterunek werbunkowy. Nasz oddział wraz z kwiącym w Częstochowie Zawadzkim reprezentował jedynie cały ruch strzelecki w Królestwie.

U nas było cicho. Wyjechała tylko Sława, która, nie zważając na nie, domagała się wysłania jej do Warszawy. Strzały umilkły: wojna posuwała się dalej. Austriacy walczyli o Kraków, niemieckie zaś skrzydło musiało się posunąć już poza Częstochowę ku Łodzi, bo w przeciwnym razie opuściłby swój posterunek ppor. Zawadzki. Czekaliśmy niespokojnie na nasze niewiasty: Hannę, Jastrzębicę, Zawi-

szankę i Westę. I w rezultacie ta ostatnia tylko wycołała do oddziału. Tamte zaś zatrzymały przeciwności losu: Hannę zaarrestowali Moskale, Jastrzębiec — Niemcy, a Zawiszancka, poszukiwana niemi! ta na całym rosyjskim froncie, leżała ciężko chora na tyfus w domu jakiegosi sympatyka koło Piotrkowa.

ZA BUGI

„Odlatuje już ostatni gołąb pocztowy z mego gołębnika”, mówił tartem Ignacy Daszyński, łęgając mnie w swym mieszkaniu w Krakowie, które oddał na czasowy użytek Oddziału Wywiadowczego. „Wprawdzie z podciętem skrzydłem”, dodaje z uśmiechem, robiąc aluzję do mej chorej nogi. Skreśliłam ją bowiem w powrotnej drodze z wyjazdu robionego w Grodnie.

Ze sporym ładunkiem materiałów wybuchowych pięknie owiniętym w różowy, nowiutki puszysty pledzik dziecięcy — jadę do Piotrkowa koleją. W tym samym przedziale jedzie p. Maria Piłsudska i grono „półerwiliw”. W Piotrkowie wysiadamy na dworcu towarowym: deszcz, noc, błoto. Którzy z panów sprowadza bryczkę. Wsiada pani Piłsudska i wskazuje mi miejsce obok siebie. „Ze względu na ten pakunek”, mówi z uśmiechem. Wytrawne jej oko poznalo, czego nie domyślił się inni.

Następnego dnia rano pojechałam do Częstochowy, gdzie była ówczesna komenda Oddziału Wywiadowczego: ob. Stary i Ola. Otrzymałam tu rozkaz przeprowadzenia wywiadu w Brześciu nad Bugiem i w drodze, zawiezienia do Warszawy wiadomości o sytuacji, wybadania nastrojów za Bugiem oraz zorientowania się co do możliwości świadczeń w naturze (koni, furaku i t. p.) w razie posunięcia się strzelców poza Warszawę.

Był to koniec października, okres pierwszych decydujących walk o Warszawę pod Błoniem, Sochaczewem i Łowiczem. Jako towarzyszkę podróży przydzielono mi Michasię Z., nie znającą, niestety, języka rosyjskiego.

Przez teren austriacko-niemiecki przejechałyśmy względnie spokojnie. Raz tylko zaarrestowano nas, przez co straciłyśmy parę godzin czasu. W sochaczewskiem, w małym miasteczku Wiskitki, nie mogłyśmy przed sobą dostać koni. Linja bojowa zbliżała się: obawiano się rekwizycji podwoź do przewozu rannych — ciągnęły się one długim łańcuchem wszystkimi drogami.

Rano przypadkowo natknęliśmy się na znajomą niewiastę, dająca też ku Warszawie. Wędrowaliśmy więc dalej w trój. Z trudem zdobyliśmy konie. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów, woźnica nasz za nic dalej jechać nie chciał. Wstąpiliśmy więc do pierwszego lepszego z napotkanych dworów. Stała tam komenda jakiegoś niemieckiego oddziału. Gospodarze domu przyjęli nas narazie z rezerwą. Potem jakoś nastroj się ożywił. Przed wieczorem zdobyliśmy przepustkę dla koni i pojechaliśmy dalej.

Nazajutrz od rana zaczęło się znów poszukiwanie koni — trzeba było i tutaj zdobyć przepustkę. Zwróciliśmy się o pomoc do komitetu obywatelskiego. Postawiłam sprawę jasno, powiedziałam, że jestem z Legionów, że do Warszawy mam zlecenie. W odpowiedzi na to usłyszałam tylko słowa oburzenia, obelgi prawie.

Z wielką więc trudnością tego dnia dojechaliśmy tylko do Nadarzyń. Armaty wałły bez przerwy, wszędzie dokoła widać było dymy. Koń stawał dęba, chłop się bęgał w przerażeniu. Musiałymy zatrzymać się na plebanji. Byli tam jeszcze Niemcy, którzy zagabnęli nas ostro; musiałymy się im tłumaczyć, co zawsze było przykre. Ksiądz nie pytał o nic: nie była to chwila, nadająca się do zwierzeń. Mniej więcej w godzinę po naszym przybyciu, Niemcy zwinęli swą placówkę.

Przez całą noc trwało bombardowanie. Siedzieliśmy wśród ogłuszającego huku, a wczesnym rankiem ruszyliśmy dalej już na piechotę. Na drodze spotykaliśmy tylko zabite konie, wystrzelone naboje, doły od szrapneli, zasieki, wstęgi stalowe, puzrywane i wijące się wpoprzek drogi... Wsie były puste, martwą pustką zlejące z za każdego węgla. Wszędzie ruiny i pogorzeliska. Siekt drobniutki deszcz, na drodze pełno było błota. Niosliśmy w rękach małe węzelski. Resztę rzeczy pozostawiliśmy na plebanji. Na jakimś zakręcie drogi wysunął się oddział kawalerji rosyjskiej. Zbliżali się do nas, pijani swem zwycięstwem. A nam lzy cisnęły się do oczu... Kiedyż to nasi wejda do Warszawy? myśleliśmy smutnie. Zgnębiona bardzo słyśmy dalej. Przed jakimś wsią zatrzymał nas żołnierz Polak w rosyjskim mundurze, „jestem ochotnikiem z Warszawy”, powiedział do nas. Z oczu mu patrzyło dobre. Och, jakąż chęć miłyśmy powiedzieć temu „ochotnikowi z Warszawy” o Piłsudskim i Legionach! Trzeba było jednak przeczornie milczeć.

Żołnierz ten zachował się jak dżentelmen. Ukrył nas w pustej chałupie, ostrzegając, że zaraz jechać będzie oddział kozacki, pijany i szalony.

Po przejściu kozaków ukazał się biedny chłopski wóz, a na nim baba, jadąca na targ z jajami i kurami. Było to zjawisko tak niespodziewane wobec niedalekiego frontu, że oniemieliśmy. Nasz „ochot-

nik" doprzaglił do wozu jakiegoś zblakłego konia wojskowego, a zato polecił chłopu dowieźć nas do Warszawy. Był to już największy czas ażeby nas ratować. Noga moja, nadwężona marszem po błocie, spuchła i bolała bardzo. Przy pożegnaniu żołnierzyk nasz wzamian za oddane przysługi prosił o zawiezenie rodzinie do Warszawy listu i hełmu, zdobytego na Prusaku.

Po długich więc tarapatach znalazłyśmy się wreszcie w Warszawie. Zaraz też podałyśmy na ul. Hipoteczną, do gościnnego pensjonatu szczernej pani Sawickiej, gdzie prędko znalazłyśmy się w nieprawdopodobnie wygodnych i czystych łóżkach.

Po poinformowaniu warszawskiej organizacji o sytuacji w Legionach, pojechaliśmy dalej ku Brześciowi. Po drodze musiałyśmy wstąpić do jednej ze strzelczysk, by zawieźć jej powołanie do służby.

Znalazłyśmy tam wyraźną orientację rosyjską, a przytem sarkazm, obelgi a nawet przekleństwo, rzucone ciężko na moją głowę. Prawie bez pożegnania, tuż przed nocą, opuściłyśmy niegościnne progi. Wolałabym bodaj nie wspominać o tem, a jednak piszę, by tem dobitniej podkreślić i uwypuklić oliarność i poczucie obywatelskie i patriotyzm dworów kresowych, z którymi miałam zetknąć się w dniach najbliższych.

W przykrym nastroju jechałyśmy dalej. Pociągi przepełnione były wojskiem. Wielka masa walała na zachód. Dokąd? Opowiadali, że dojdą do Krakowa...

Z Prużan pojechaliśmy kołami do majątku p.p. Czarnockich. Wielką ulgę moralną sprawiła nam to, że znalazłyśmy tu zrozumienie naszego czynu, ufność do Komendanta i dużo dobrej woli... Na następną dzień naznaczono zebranie okolicznego obywatelstwa w jakimś dworze, w pobliżu Kobrynia.

Mród był duży, sanna świetła. Wśród zebranych zobaczyłam kolegę ze Lwowa, Michała Af. Zrobiło mi się raźnie; chociaż nie był w Legionach, ale przecież wdziałam, że mogłam z nim mówić zupełnie otwarcie. Pomógł mi też bardzo w zdobyciu danych, dotyczących twierdzy w Brześciu i ułatwił orientowanie się wśród obecnych. Między temi ostatnimi był nawet pułkownik wojska rosyjskiego „Dobry Polak, można przy nim mówić wszystko”, zapewniał mnie kolega A. Mówiłam więc. Mówiłam pierwszy raz w życiu w większem gronie. Z początku ściszało mnie coś w gardle, ale powiedziałam sobie: „Muszę, przecież poto tu jestem”, i szło mi już gładko. Opowiadałam o naszych marzeniach, o podartych butach, o wernikach austriackich i o sławie żołnierskiej.

Gradem posypały się pytania. Była w nich i krytyka, ale ani odrobiny złości, uporu, złej woli, szukania plam na tem, co było tak proste

i jasne. Wyrażono gotowość pomocy materialnej i wręczono mi nawet pewną sumę, zebraną doradnie.

Pełna otuchy i wiary w lepsze jutro wróciłam do Warszawy.

Nadwerczona noga spuchła mi na dobre, a powrocie do oddziału nie było mowy, wyjechałam więc na leczenie do rodzinnego Płocka.

Raporty zabrała Michasia i po długiej podróży wręczyła je Świętopelkowi.

A wywiad na Litwie, wobec odwrotu z pod Warszawy okazał się przedwczesny. Miałam jednak to zadowolenie moralne, że nie tylko jako wywiadowczyni, ale również jako emisariuszka spełniłam swój obowiązek.

Wanda Filipkowska.

Z RAPORTEM DO KOMENDANTA.

W połowie stycznia 1915 r. — Tadeusz Żuliński — ówczesny komendant P. O. W. w Warszawie — dał mi rozkaz natychmiastowej jazdy do Komendanta. Miałam zawięzić szczegółowy raport dotyczący prac organizacji. Było to wkrótce po bitwie pod Łowczówkiem. — Komendant wraz z I Brygadą mógł się znajdować gdzieś w okolicach Tarnowa czy Rozsowa. Żulińskiemu zależało na pośpiechu — przysyłał Komendantowi wiadomości — do których przywiązywał dużą wagę. Trzeba było wybierać drogę najkrótszą. Niestety! ani na Kielce, ani na Piotrków jechać nie mogłam, gdyż i tu i tam tropili mnie rosyjscy żandarmi.

Ostatnie wiadomości, czerpane z gazet i dostarczane przez służbę wywiadowczą P. O. W. — stwierdzały, że na odcinku między Rypinem i Lipnem jest spodziewane cofanie się wojska rosyjskiego, że dokonywają się tam zmiany i przesunięcia, które — jak to już niejednokrotnie dowiodła nasza praktyka kurjerska — stwarzają najdogodniejsze warunki przy przedzieraniu się przez linię bojową.

Drogę miałam odbyć z p. Zofią Hanicka, którą przeżywałam „Młodą Babcia”. Była to osoba mająca już wnioski, która z całym zrozumieniem i oddaniem pełniła służbę kurjerską. Łączyła nas nie przyjaźni — tej niezbędnej towarzyszką w drogach trudnych i niebezpiecznych.

„Wyjadą panie jutro rannym pocingiem” — nalegał Żuliński. Rozłożył na stole mapę z nakreśloną czerwonym ołówkiem linią frontu — „Pojedźcie przez Jablonę — Modlin... bez przepustki” — dodał ze strąconą miną — jakby nas chciał przeprosić za tę „niedogodność” w drodze — „potem Płock, Lipno, w okolicach Lipna przedrzecie się

przez front... zresztą robotę, jak chcecie — było jak najprędzej dotrzeć do Komendanta". Tęgo samego wieczoru dał mi szczegółowy raport napisany „drobniutkim maczkiem” na małych kawałkach cienkiego papieru, który zaszyłam w burkę podróżną. — W tejże burce miałam schowany raport do kpt. Świętopelka — dostarczony przez wywiadowczyńnię Polskiej Organizacji Wojskowej.

Nazajutrz, 14 stycznia 1915 r. wczesnym rankiem wsiadłyśmy z Babcią na stacyję pod Mostem do wagonu. Ciężkie, białe mgły zasłaniały miasto — Wisłą płynęła duża kora — zimny wiatr szedł od rzeki. W Jabłonnie trzeba było wystarać się o konie. Nikt o jeździe do Płotska słyseć nie chciał. Po męczących poszukiwaniach znalazłam „ekspedycję” wprost do Płocka — jechał jakiś pan odrzucający powierzchowności z antypatyczną małżonką. Ruszyliśmy. — Droga do Modlina jednostajna, równa, pola przytępiane śniegiem. Ciągną kolumny wojska, czasem przemiennie wojskowy samochód. Nasz towarzysz podróży, pan S. ma wszystkie dokumenty, pozwalające na przejazd przez pas forteczny, jest mocno zdziwiony naszą lekkomyślnością, że nie wystaraliśmy się o odpowiednie przepustki. Zaczyna nam zadawać niezliczone ilości pytań, na które odpowiadamy bardzo wymijająco, a które są żrące i tak natręcyjne, że zupełnie niedwuznacznie świadczą o rodzaju „zajęcia” p. S. W rejonie fortecznym zatrzymywały nas patrole i warty. Pan S. okazywał im swoje przepustki a my dawałyśmy „Japówki” i tak posuwaliśmy się naprzód. Do Płocka przyjechaliśmy już dobrze po dziesiątej godzinie. Konie musiały popasać. Staaliśmy w jakimś marnym i brudnym zajezdzie.

„Wądo co myślisz o panu S.?” — spytała mnie szeptem Babcia, gdy znalazłyśmy się same w ciemnej izbie hoteliku. „Mam wrażenie, że jest szpiclem, ale to się jutro dopiero okaże, jeżeli nas wyda w ręce żandarmów” — odpowiedziałam jej na ucho, siląc się na swobodny ton. „Tak, to się jutro okaże — dziś jeszcze nam nie grozi”, zaśmiała się nerwowo. Obawiałyśmy się, że pan S. może nam wszystko powiedzieć.

Po północy ruszyliśmy dalej — trzeba było zmienić konie, gdyż furman z Jabłonną nie chciał jechać. Wynajęliśmy więc ogromną karetę. Rozpadał się drobny deszczyk, konie wlokły się nogą za nogą. Noc czarna i wietrzna. Od czasu do czasu wołają z ciemności jakieś głosy — padają przekleństwa rosyjskie — błysnie ognienek papierosa: — to mijamy oddział piechoty. Czasem znów zajaśnieje długi rząd latarek — to ciągnie tabor amunicyjny. Narazicie niebo zaczyna się przecierać — wypelza brudny, szary rasek. Jesteśmy zmęczone i drżymy z zimna. Babcia trzyma mię mocno za rękę, myślimy o jednym: jakby tu jak najprędzej pozbyć się towarzystwa p. S.

Koło 8-ej rano dotarliśmy do Płocka. Zajęliśmy do państwa Benedeków, rodziców powiatczki i kurjerki. Postanowiliśmy po krótkiej naradzie wyjechać z Płocka natychmiast. Niestety, konie dostaliśmy dopiero na dzień następny. Tego jeszcze wieczoru zaproszono nas na zebranie informacyjne do p. p. Przybyszewskich; chciano coś wiedzieć o Komendancie — o Legionach, o nielegalnej robocie. — Poszliśmy. — Nie można było odmawiać. Chodziło przecież o dostarczenie takich wieści. — Ale posłaliśmy wbrew roządkowi, który nakazywał jak największe zakonspirowanie. — W. J. a mój brat, W. Jan

Gdy wychodziłam z zebrania, dostrzegłam w bramie żandarma. Do domu odprowadził nas jakiś „cywilny jegomość”. Byliśmy śledzeni. Nazajutrz o 5-ej rano miałyśmy się puścić w dalszą drogę. Ubierałyśmy się przy świece. Było mi dziwnie, jakoś niespokojnie i ciężko, chciałam coś powiedzieć Babci — ale bałam się, że będę miała zmieniony głos, więc milczałam. Owiadnęła mną przykra niepowinność, czy uda się nam wymknąć z rąk żandarmów.

— „Skoro w nocy nie było rewizji, możemy być już zupełnie spokojne” — zaczęła Babcia — na jej dobrej i pogodnej twarzy malowała się głęboka troska.

Pani B. żegnała nas serdecznie. Stróż zaniósł rzeczy do bryczki. Ruszamy. Nagle bryczkę naszą otaczają żandarmi. Dwóch chwyla konie za cugle przy pyskach. Trzeci podchodzi do nas — milcząc bierze walizki z kofra i ruksa: — „pożalujcie w żandarmekuju”. Zabrano nam paszporty. Jakiś porucznik żandarmerji zaczął je bardzo skrupulatnie badać i dokładnie kupjować. Nie śmiałam spojrzeć na Babcię, która stała obok mnie. Całą siłą woli opanowywałam pierwsze zmieszanie i lekkie nerwowe drżenie, które przebiegało wzdłuż ciała. Jakiś głos wewnętrzny powtarzał uparczywie: „był mężczyźni i śmiało, było mężczyźni”. Porucznik pochylony nad naszymi paszportami zdawał się nie spostrzegać naszej obecności — nagle podniósł głowę, spojrzął nam prosto w twarz oczami przebiegłymi, lekki pół-śmieszek zamajaczył mu na ustach. „Panie jadą do Krakowa — o ile się nie myle”, podkreślił uprzedzająco uprzejmym tonem. — „Kraków leży za granicą — musimy poddać bagaż rewizji”.

„Proszę bardzo” odezwała się dziwnie spokojnym głosem Babcia. W tej chwili poczułam, że mi wraca cała równowaga wewnętrzna. Żandarmi zrobili nadzwyczaj dokładną rewizję w naszych walizkach.

Widziałam jak przestrzaskali moją burkę, w której miałam zaszyte raporty do Komendanta, jak wywracali kieszenie i... nie znalazłszy nic — odrzucili na bok.

Ciężki kamień spoczył mi się z serca. Wreszcie porucznik żandarmerji zaczął indagację: „Dokąd panie jadą?” „Jedziemy do Jasło-

nia". „Co panie wczoraj robiły na zebraniu u pp. Przybyszewskich?" „Są to nasi dobrzy znajomi, byliśmy u nich na herbatce". „Kto był oprócz pań?" „Było kilka osób, których bliżej nie znamy". Po chwili milczenia żandarm zwrócił się do nas tonem surowym: „A jednak ja wiem z całą pewnością, że panie jedźcie między Krakowem i Warszawą — tylko nie orientując się w jakim celu — proszę mówić prawdę, proszę się nie wykręcać. Ja i tak za kilka dni całą sprawę wybadam do gruntu". Nagle krzyknął z całej siły: „Po co jedziecie do Jasienia?" „W Jasieniu u p. W. mieszkamy od początku wojny — jeździliśmy na dwa tygodnie do Warszawy — teraz wracamy". Oficer kiwnął głową z niedowierzaniem. Oczywiście, i ja i Babcia zdawałyśmy sobie dokładnie sprawę, że te wyjaśnienia mogą się stać bardzo łatwo oskarżeniem nas samych, jeżeli żandarmi skonfrontują nas z kimkolwiek z jasińskiego dworu i dowiedzą się, że nie tylko nikt tam nas nie zna, ale że wogóle nigdy nikt stamtąd nas nie widział.

Ale cóż było robić. Innych odpowiedzi dawać nie mogłyśmy — bo konie były wynajęte do Jasienia i wszelkie inne oznaczenia byłyby jeszcze bardziej niebezpieczne. Trzeba było ryzykować. Robiliśmy to świadomie, choć z ciężkim sercem.

„A, no! niech panie jadą do Jasienia — będziemy sprawdzać — ile w tem jest zmyśłowego". — Wsiadłyśmy do bryczki. — Czekala nas daleka droga. Złe przeczucie mówiło nam, że na tem nie koniec — że żandarmi znarządzają nas raz jeszcze w Jasieniu i wtedy oczywiście... zginęłyśmy! Konie szły szybko po drodze rozmięklej, pełnej kałuż i wyboi. Furman co chwila oglądał się na nas — jakby chciał sprawdzić, czyśmy mu nie uciekły. Śnieł drobny deszcz — i sine mgły wlokły się po polach. Milczałyśmy. Przychodziły różne myśli o ucieczce — ale zimny rozsadek kazał je odrzucać jako nierealne. A przeto wszystkim to głupie uczucie, że oto mogą nie dowieść raportu.

Nagle gdzieś przed nami na lewo od szosy usłyszaliśmy gwałtowne strzelanie karabinową. A potem wysoko zapęczał pocisk armatni. Złe myśli pierzchyły jak stado spłoszonych wrobbi. Radość życia podniosła się cudną falą w piersi, chęć czynu i chęć postawienia na swoim obudziła się z dawną mocą.

Jasień już było widać jak na dłoni. „Popędzajcie konie!", krzyknęłam. Konie ruszyły z kopyta. Długie i przeciągłe echo strzałów jęczało po lasach. Witaliśmy je jak zwłastunów naszego wytworzenia. Nagle ze wsi wypadło 2-ch kozaków. — Siedzieli co sił w koniach naprzelaj przez pola. Wjechałyśmy między wiejskie zabudowania — wtem jakaś chłopka z błędnymi ze strachu oczyma wybiegła z chaty. — „Niech państwo nie jadą dalej — we dworze już są Niemcy. Idzie

straszny bój!" Chwyciła się za głowę i zawodziła — „Boże, Boże, Boże!”.

Nasz furman zbladł jak płótno i zaczął ryczeć: „Zabierajcie wasze rzeczy, ani kroku nie idźcie dalej, jeszcze w pełen pogodny do Niemców. Czerst nadął tę jazdę!” Wyrzucił nasze walizki wprost w błoto na drogę, wsiadł pismiadze, zaciął konie i galopem odjechał w stronę Płocka. Wnieśliśmy rzeczy do pierwszej z brzoźu chaty. Strzelanina zdawała się zszednąć.

Nie wiedzieliśmy po jakiej stronie frontu jesteśmy w tej chwili.

Weszliśmy do chaty. Biała czysta izba ze świętymi obrazami na ścianach, duży stół nakryty białą serwetą, ławy pod ścianami, na kominię ogień. Otoczyła nas rodzina gospodarza — posypały się pytaniami, skąd, dokąd, co wygnało z domu w taki zły czas. Poprosiliśmy o nocleg, mówiąc, że mamy jechać do Lipna, które jest w tej chwili zajęte przez Niemców, ale może coś się zmieni i dotrzemy do domu. Przyjęli nas chętnie. Dali nam słomy na podłogę — miałyśmy sobie przyrządzić nocleg, bo już zaczęło się na dobre ściemniać. Za oknem mgła, wichura. W chacie było dobrze i ciepło i tak jakoś osobliwie bezpiecznie.

Nagle tupot nóg w ziemi i dobijanie się do drzwi. Przyskoczyłam w jednej chwili, aby je otworzyć — były zamknięte na klucz. „Otpiraj!”, ryczał jakiś głos. Kilkunastu żołnierzy zmokniętych i zabłoconych weszło do izby. „Tu będziemy nocować”, oznajmił po rosyjsku „wzwoznoj!”, stawiając karabiny w kącie. Żołnierze zaczęli rzucać torbisty na ziemię i ściągać przemoczzone płaszcze. Podoficer przyglądał nam się bacznie i nie starał się nawet ukryć, że nasz pobyt w chłopackiej chacie wydaje się mu bardzo podejrzany. Thumaczyłyśmy, że czekamy aż wojska rosyjskie zajmą Lipno. Rozekmiał się brutalnie i, robiąc pogardliwy grymas ustami, zaczął mrugać maleńkimi oczkami i rzucił do żołnierzy: „A ja mówię, że im pilno zobaczyć Niemców”.

Nie ukrywał tego wcale, że o naszej obecności w chacie „doniesie swoim władzom”. Tymczasem żołnierze rozkwatowali się w izbie. Zaczęło się auszenie omuczek. W jednej chwili powietrze stało się wprost nie do zniesienia. Ze strachem i obrzydzeniem myślałam o nocy, którą tu mamy spędzić. Wysłam przed chatę, by wciągnąć choć trochę czystego powietrza. Deszcz ustał. Noc była ciemna, choć oko wyłol. Co robić? Do Płocka conąć się nie można, posuwanie się naprzód jest beznadziejnie trudne. Co gorsze, nie orientowałam się dostatecznie biegle w okolicy i nie miałam żadnych organizacyjnych adresów. W tem morzu obcego żołdactwa byłyśmy zupełnie same, zda

sąg, odcięte od całego świata i od wszelkiej pomocy! Mogliśmy liczyć tylko na własne siły.

Wróciłam do izby. Zmęczeni żołnierze pokładli się na wilgotnej słomie i zasnęli, tylko jeden z nich klęczał. W migotliwym świetle świecy widziałam jego wielką postać, kiwającą się monotonnie wtył i wprzód w taki jakiejś półgłosem mówionej modlitwy. Babcia zrobiła nam posłanie ze słomy na ziemi koło łózka, na którym spała chłopka z dziećmi i z matką, staruszką. Od żołnierzy, którzy rozkwatrowali się na podłodze, byliśmy odgródzone szalką nocną. Nie mogłyśmy zasnąć! Wstałyśmy o świcie. Powiedziałam do Babcia, że musimy same pod jakimkolwiek pozorem pójść do dowódcy bataljonu, stojącego w Jasieniu, „niech nie myśla, że się tu ukrywamy”.

Poszłyśmy.

Babcia powiedziała dowódcy bataljonu, że musimy jechać do Lipna — że prawdopodobnie Lipna jest już w rękach rosyjskich, że prosimy o przepustkę. O naszym pobycie w chacie już wiedział od „wzruszonego”. Nasze przyjście zrobiło na nim dobre wrażenie. Oficer był bardzo uprzejmy. „W Lipnie są Niemcy, a w Jasieniu mogą panie pozostać o tyle tylko, o ile linja bojowa nie cofnie się wtył, w stronę Płocka, wówczas zabierzemy panie ze sobą, Niemcom nie oddamy”. Miał to być uprzejmy dowód troskliwości. Wróciłyśmy do naszej chaty. Panował tam ruch. Od strony Lipna padały gęste strzały karabinowe. Żołnierze nakładali tocznistry. Kilku Polaków zbliżyło się do nas. „Pomódlcie się za nas”, powiedział któryś z nich. W tej chwili padły strzały tak blisko, że aż zajęczały szyby. Wyjrzałam przez okno — od strony lasu posuwała się tyraljera niemiecka. Znów ożyła w nas nadzieja, że zbliżająca się hitwa wyprowadzi nas z tej matni. Każdy bliski strzał odczytywał się w sercu radoznem echem.

Niestety jednak strzały poczęły rzadnąć, a pod wieczór uspokoiło się wszystko.

A więc znów linja frontu ustaliła się gdzieś między Jasieniem a Lipnem. Ale gdzie? Dokładnie nie wiedziałyśmy. Tę wiadomość musiałyśmy zdobyć.

Żołnierze wrócili w podnieceniu. Opowiadali o zwycięstwie. Siedziałyśmy z Babcia w kącie izby, bezradne wobec tej całej spletananej sytuacji, w której nie można było się cofnąć, ani iść naprzód. „Wandol muszę dowiedzieć się dokładnie, gdzie są ostatnie placówki rosyjskie” — powiedziała mi Babcia. „Nie wiem, jak to Babcia robi, bo podobno pilnuje nas i zwraca uwagę na każde nasze słowo”. „No poczekaj, spróbuję”.

Po długich indagacjach, niesłuchanie ostrożnych i zręcznych, Babcia dowiedziała się tylko tyle, że najbliższą stąd wieś, w której znajdują się Niemcy — to Beldów.

Zbliżała się noc, a my nie miałyśmy odwagi położyć się spać. Byłyśmy głodne. Nie miałyśmy żadnych zapasów. Nagle zbliżył się do nas jeden z Polaków i, uśmiechając się łagodnie, powiedział: „Niech się panie niczego nie boją, my tu kolejno będziemy was pilnować, bo tym Moskalom wierzyć nie można, to podły naród”.

Nazajutrz postanowiłyśmy z Babcia, za wszelką cenę wyjechać z Jasienia. Każdy dzień zwłoki obniżał wartość więzionych przez nas raportów. „Jeżeli nie przedostaniemy się droga na Lipno, to musimy szukać drogi gdzie indziej”, taka zapadła decyzja.

Tegoż ranka wkroczył do naszej izby jakiś pomocnik i oznajmił nam katerycznym tonem, że dowódca bataljonu każe nam natychmiast opuszczać Jasień i jechać do Płocka, ponieważ lada godzina rozpocznie się bitwa. „Zresztą panie chyba czują to dobrze, że obecność wasza tutaj wydaje się nam trochę dziwna”. Przystaliśmy chętnie na wyjazd. „Niech pan nam dopomoże wystarać się o konie, bo jakże damy sobie z tem radę?” powiedziała ze smutną miną, starając się nadać twarzy wyraz zakłopotania, „zresztą Babcia jest chora, a ja nie będę chodziła po wsi zupełnie sama i to teraz, gdy strzelają”. Mówiłam jakąś okropną łamaniną rosyjskiego języka, ale widocznie ta moja panińska bezradność musiała zrobić na nim dobre wrażenie, bo rozpoznał się od razu. „No już dobrze, dobrze, ja tu paniom przysięgł chłop i dobrą parę koni”. Nie minęło pół godziny, a już siedziałyśmy na furze.

Ruszyliśmy w stronę Płocka. Cofałyśmy się. Zmarnowałyśmy tyle dni. Raportu nie doręczymy Komendantowi. Spojrzałam na Babcia. Miała zacięty wyraz czoła. Bez jednego słowa, milcząc zdecydowałyśmy się na jedno. Przedrzemy się przez front! tuł między Jasieniem i Beldowem!

Okazało się, że chłop jest głuchy, jak pień. Babcia składając ręce w modłę, krzyknęła mu z całej siły w ucho: „Jedźcie do Beldowa, tylko bacznie! drogami”.

Chłop widać nie orientował się w linii frontu, bo kiwnął głową i zakreślił. Jechaliśmy więc w biały dzień, wprost na placówki niemieckie, do wsi leżącej po tamtej stronie frontu. Było to szaleństwo, ale zarazem był to ostatni wysiłek przedarcia się przez linię bojową.

Pomimo, że chwycił ostry mróz, zdjęłam burkę, w której miałam zasyrane raporty i położyłam ją na dnie wasag. Okryłyśmy się dołami chustkami, żeby choć zdaleka nasze miejskie palta i kapełuszki nie ściągały uwagi kręcących się żołnierzy.

Jechaliśmy milcząc, w strasliwym wewnętrznym napięciu.

Oto w tej chwili wzięły się nasze losy. Postawiłyśmy wszystko na jedną kartę. Zdawałyśmy sobie sprawę, że gdyby w tej chwili zobaczył nas ktoś z dowództwa bataljonu — byłybyśmy zgubione.

Wyjechałyśmy na równą leśną drogę. Była szeroka i gładka jak stół. Zdawało się nam, że jazda trwa całe wieki. W pewnym miejscu kazalam zatrzymać konie. Natężyłyśmy słuch. Wokół panował zupełny spokój. W ciszy tej dziwnym echem rozlegał się ogłuszający turkot naszego wózka.

Na lewo od szosy stała obszerna chata. Gdyśmy się zbliżyli, na nasze spotkanie wybiegło dwóch żołnierzy. „Stoj, kuda jedziecie?” „Do Beldowa”. „Propusk jest?” Wziąłem odpowiedź! Przez serce przetoczyła się zimna fala, w skroniach krew uderzała mocno raz, raz, raz. Żołnierz biał w ręce dla rozgrzewki i przytupywał nogami. „Propusk jest?” krzyknął, zniescierpliwiony po raz wtóry. Wówczas spojrzałam mu spokojnie w oczy i powiedziałam: „Nie, nie mam”. „Panie muszą wrócić do Jasienia” zaczął żołnierz po polsku. Zaplanowało znów długie milczenie. Żołnierz oparł się o brzoź naszego wózka. „No jakże będzie z tym propuskiem nalegał, niech panie idą do oficera”. „Oficer przepustki nam nie da”, powiedziałam; musiałam być bardzo blada w tej chwili, bo dostrzegłam, że w oczach żołnierza bledzi się jakiś dobry, miękki błysk ludzkiego współczucia. „A czy paszporty macie w porządku?” Wygląłem z torebki mój paszport. Żołnierz wziął go i otworzył na chybił trafił. Jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności miałam w paszporcie obrazek z Matką Boską Ostrobramską. Wziął ten obrazek i potrzymał chwilę w swych niezdarnych, grubych, zmarzniętych palcach. „Jeżeli nas przepuścicie, będziemy was błogosławić do końca życia” powiedziała Babcia i duże łzy spłynęły po jej twarzy.

Żołnierz machnął ręką. „Jedźcie z Bogiem, mnie i tak już od trzech lat biją po mordzie w ten przeklętym wojsku. Jedźcie sobie, gdzie chcecie”.

Konie ruszyły z miejsca.

Zdawało mi się, że śnię, że oto w tym dźwięnie obumarłym lasu, we wczesnie zapadającym perłowym, zimnym zmroku stał się cud. Bałam się obejrzeć za siebie. Lada chwila mógł ruszyć za nami pościg. Nareszcie zapadła ciemność.

W jakiejś małej wioseczce zmieniłyśmy konie, bo chłop nie chciał oddalać się od Jasienia. Nie ujechałyśmy pół kilometra, gdy zatrzymali nas Niemcy. Powiedziałam, że jedziemy do Lipna. Pucili. Przed Lipnem zatrzymano nas raz jeszcze i odprowadzono pod strażą do komendy placu. Zaczęły się indagacje. Powiedziałam Niem-

com, że jadę do Brygadiera Piłsudskiego z raportami z Warszawy, że musimy dziś jeszcze jechać dalej. „Muszą panie dać nam jakieś informacje, to nas interesuje. Ile wojska rosyjskiego stoi w Jasioniu?” „Nie wiem, informacji interesujących panów nie posiadam”. „Odstawię panie pod konwojem do Torunia”. Zgodziliśmy się skwapliwie. To go zastanowiło. „Nie rozumiem nic zgoła! Co panie tu sprowadza, dwie kobiety „z towarzystwa”, podkreślił, przechodzą przez front, tego szaleństwa nie pojmę nigdy”. Nie starałam się mu nawet tłumaczyć!

Na trzeci dzień po szeregu awantur ze strony Niemców i Austriaków, po szeregu aresztowań i indagacji byliśmy już w Zagórzcu. — Potem niezwołanie z Babcią pojechaliśmy do Kęt, gdzie miałam szczęście złożyć Komendantowi raport, który wiozłam od Tadeusza Żulińskiego.

WEDŁUG ROZKAZU.

Częstochowa 7/I 1915. Rozkaz, jaki odebrałam w Zagórzcu, brzmiał: mam jechać do Warszawy, zawięzić tam wiadomość o Łowczówku, polecenia dla P. O. W., wskazówki dla stronnictw niepodległościowych, gwiazdkę porucznikowską dla Tadeusza Żulińskiego i — pleniądzę. Wracać mam zaraz i przywieźć raport warszawski. Jechać mam brzegiem pruskiego zaboru przez Poznań i Toruń do Kujaw i poza Wisłę do Płocka.

Jadę razem z Babcią Golińską, którą z wielkimi skrupułami ze względu na jej podeszały wiek wyrwałam z Zagórzca, ale... ten wiek właśnie kryć nas będzie przed okiem Moskali.

Paszporty „dała” nam miejscowa komenda, o przepuszkę zaś postarał się ob. Stary, który w tym celu odwiedził nas do Częstochowy. Dzisiaj właśnie odjechał do Zagórzca.

Płock 11/I. Miałyśmy dość przykrą przeprawę z policją: Babcia podała fakty prawdziwe zamiast paszportowych. Dobrze, że strażnicy byli pijani i uszło nam jakoś płazem. Do Warszawy pojedziemy samochodem.

Warszawa 13/I. Pełno tak pewnych słabie żołnierzy rosyjskich... Idę „na biuro” do Romana. Zatrzymamy się w kącie pokoju i opowiadam mu przywiezione wieści; słucha mnie uważnie, pytając o to i owo. Zła jestem, jeśli czego nie wiem. Pytam o Wandę, która wyjechała przede mną. Jest, wraca niedługo do Zagórzca. Wkrodcu opowiadam zajęcie z płocką policją i proszę o zatrzymanie Babel w Warszawie: lepiej mi będzie wracać z kim innym.

Warszawa 16/I. Nie poznaję swego kochanego miasta... Obco mi tu jest. Ciotka, w której mieszkam, ogląda się na koalicyję, patrząc zarazem na wschód. Siostra wyjechała do brata, który jest w Mińsku Lit. Wypadkiem spotkałam go tutaj. Taki jest rad, że jestem w robocie. Obiecuję mu, że za rok przyjadę do Mińska polskim pociągłem. Uśmiecha się, ale nie wierzy...¹⁾

18/I. Nie mogę wytrzymać na uboczu w tak obcej atmosferze. Widuję się więc z powiastkami „na biurach”. Pomagam im też w pracy, o ile mogę. Mają roboty dość dużo. Są też i ofiary. Siedzi dotąd H. Kurkiewiczówna wraz ze swym towarzyszem, boimy się o nich bardzo. Myślę o powrocie. Ale z kim?

24/I. Przypominałam sobie Julę. Siedzi w Grójcu. Jutro do niej pojedę.

Grójec 26/I. Cichy dworek tonący w owocowym, trochę zniszczonym sadzie. Julia radośnie rzuca mi się na szyję. Kiedyż zaś zostajemy się same, proponuje mi swe towarzystwo do Zagórza. Nie przewidziałam tego. Julia twierdzi, zresztą zupełnie słusznie, że nie ma tu nic do roboty, że powinna już wracać i że razem będzie taniej i pewniej. Wolałabym uprządkować, żeby miała rozkaz wyjazdu, bo droga zapewne będzie ciężka, ale cóż mam robić? Zgodzić się muszę nawet na to, że razem ze mną będzie wiozła raporty. Znam ją. Nie zgodzi się nigdy na nierówne szanse. Mamy się spotkać za 2 dni w Warszawie. Wiem, że tak być musi, ale ciężko mi będzie, jeśli się ze mną wyspie. Dobrze nam jednak będzie razem w drodze...

Wyszów 2/II. Przyjechałyśmy tu wczoraj. Projektuję wyruszyć na Mławę, a może się uda? Mam dość silną gorączkę, ale to nic. W zysku mam współczucie przygodnych towarzyszy, którzy mówią tylko o mojem zarięczeniu i nie zadają nam żadnych innych pytań.

W Wyszowie stajemy w hotelu żydowskim. Śmiechem przykramoc. Klindziemy się odważnie w „bety”. Z za niezbyt ściśle dochodzących drzwi słyszymy chrapliwy charkot głosów żydowskich. Wciąż ich przybywa. W gorące płaczą mi się niemądre myśli i przypuszczenia. Nie wiem, zresztą, czemu, ale jest mi wprost nieznośnie... Julia leży cicho, lecz jeśli ją zapytam o cośkolwiek, odpowiada mi odrazu: nie śpi widać także. Najzwyczajniej w świecie boimy się siebie. Godziny idą wolno, wolnuteńko... Dobrze po północy ktoś z hałasem dobija się do naszych drzwi. Zrywam się na równe nogi... Ale chodzi tu tylko o jakiś kuferek, zapomniany w naszym pokoju.

¹⁾ Miał przecież rację. Widzieliśmy się wtedy po raz ostatni. Za rok... spotkały w hiszpańskiej ziemi.

Półtusz 3/II. Senne i zmęczone wyjechałyśmy z Wyszkowa. Trudno tu myśleć o noclegu. Twierdzą... zwracają na nas uwagę. Trzeba jechać, chociaż tak już późno. Dość długo szukamy koni do Golotczyzny. Jakoś to będzie: tam adres organizacyjny Zarania. Dostajemy wreszcie podwoź. Chłop powiada, że dojedzie do samej wsi.

Golotczyzna 4/II. Niestety, dojeżdżamy ledwie do folwarku Chróściel. Droga dobra, początkowo wśród kołczastych obramowań, potem bieleńka przestrzeń, zaróżowiona zachodzącym słońcem. Spotykamy niewielkie oddziały wojska. Na szczęście nie zwracają na nas uwagi. Chłop przyznaje się wreszcie, że dojedzie tylko do folwarku. — A jak daleko stamtąd do Golotczyzny? — pytamy. „Pięć wiorst”, odpowiada nam przez ramię chłop. — Czytaj dziesięć, mówię do Juli. — co to będzie?

Stajemy na folwarku. Godzina ósma. Na wsi — to prawie noc. Trzeba iść do dworu prosić o konie. Po drodze pytam o nazwisko dziedzica. Ale nie przypominam sobie nikogo tego nazwiska. We dworze miła starsza pani usadza nas gościnnie przy stole. Przedstawiamy się jej jako nauczycielki — kandydatki do fermy golotczyńskiej. Do Golotczyzny jest rzeczywiście dziesięć wiorst. Konie dostaniemy, ale za jaką godzinę, jak brat wróci. Wskazówki na wielkim zegarze ściennym idą wciąż napród. Jest już po dziewiątej. Gdybyż to chcieli zatrzymać nas na noc, myślał. Ale niema o tem mowy. Nie pomagają nawet wspólni, wreszcie odgrzebanii znajomi...

Wreszcie jedziemy. Jest ciemna, mroźna, gwiaździsta noc. Konie pędzą, jak dwie strzały. Ale zdają sobie z tego sprawę tylko mechanicznie, bo wciąż patrzę na zegarek. Dochodzi już jedenasta. Myślimy obie wciąż, jak to będzie z tym „organizacyjnym” adresem. Wychylam się z karety i badam ostrożnie stangreta, czy zna Golotczyznę. Nie. Jest tu po raz pierwszy. Każę więc zatrzymać konie przed pierwszym okazałym domem: nie chciałabym, aby widziano, jeśli nam przed nosem zamkną drzwi. Składamy rzeczy na ganku. Stangret zawraca. Zostajemy same. Północ. Stukamy do drzwi, najpierw lekko, potem coraz mocniej. Cisza. „A może lepiej od kuchni”, zapytuje Julia. Nie idzie nam lepiej. Biorę za klamkę. Ku mojemu zdumieniu drzwi ustępują; przy blasku księżycy widzę za podłogą słomę. Coś tam się. Za sobą słyszę lekki szelest. Oglądam się: w wiśniowym sadzie stoi kilka osiedlanych koni. — Julia, kozacy! — szepczę do niej. Gdzieś niedaleko zaszelekał pies...

Decydujemy się szybko, aby w pierwszej chwili obudzić kogoś, ktoby nas zaprowadził do dworu. Chłop mruczy, ale zachęcony datkiem ustępuje. — To zupełnie gdzieś indziej, mruczy — tu jest szkoła. Z wnętrza sadu dworskiego migoce jeszcze światło. Chwała Bogu, nie

spia. Ale gdy podchodzimy bliżej, światło znikła. „Zle” myślę, odprawiając chłopca. Śmiało jednak stukam. Po chwili z za zamkniętych drzwi słyszymy przerażony głos: „Kto tam?” — Powołuję się według instrukcji na pannę Irenę. Odgłos oddalających się kroków. Wreszcie błyska nam w oczy światło. Ale służąca mówi nieśmiało, że pani nikogo się nie spodziewa i za „pomysły” panny Ireny odpowiadać nie może. — Jest mroź i noc, — powiadam spokojnie, a we wsi wojsko. Nie chcemy nic więcej, ale noc spędzić pod dachem musimy. — Dobrze służące ukladają nas na fotelach, używając własnych poduszek. Mimo gniewu i zmęczenia, śpiemy, jak zwykle.

Nazajutrz rozmowa z panią domu. Nastroj senny, mówimy, stojąc. Czasem do siebie wzajemny żal. Powoli nastrój poprawia się. Trochę już uspokojona starszka wypytuje nas o Legiony. Rozstajemy się dobrze, prawie serdecznie, ale muszę obiecać, że nie wrócimy stąd koni w stronę Mławy... Niewiele mnie to kosztuje. Widzę zaraz na białem, że musimy jechać do Płocka: ani jednego adresu, okolica nieznana i tak jeszcze daleko!

Racisz 6/II. Jedziemy więc w kierunku Płocka. Spotykamy masę wojska. Trzeba dobrze uważać. Nocleg mamy w niewiedklej, przepelnionej wojskiem wsi. Właścicielka rozpaliła ogień i wysłała posłańca się dla nas o jakiejś jedzenie. Siedzimy przy kuchni, grzejąc zmarnowane ręce. Skrzypnęły drzwi: wchodzi wysoki, barczysty żołnierz. Obrzuca nas szybkim spojrzeniem i powiada, że go przysłano, aby dowiedzieć się kto przyjechał. Rozmawiamy dość długo. Żołnierz jest rad ze siebie: na pewno będzie ręczył za nas w dowództwie pułku. Opowiada nam szeroko o swych towarzyszach, kompanii, kierunku marszu i sile oddziału. Nie spodziewanie dowiadujemy się mnóstwa szczegółów, których inaczej nie wiedzielibyśmy nigdy.

W Raciszu musimy nocować. Trzeba wyrobić przepustki — a dzień niedziela. W gminie jednak odmawiają nam kategorycznie. Po wyczerpaniu wszystkich argumentów, wołam już z rozpaczą: — A pani z Gołotczyzny mówiła przecież, że w Raciszu nie napotkamy trudności! — Efekt piorunujący. W pięć minut potem wychodzimy z urzędu z przepustkami w ręku. Musi je podpisywać jeszcze komendant placu. Stoi właśnie na rynku: rosły ogorzały oficer kozacki. Uśmiecha się do nas uprzejmie, ale odmawia wręcz, motywując, że to pas forteczny, a nie mamy przepustek ani z Warszawy, ani z Modlina. Prowadzę z nim tedy rozmowę towarzyską, zapytując między innymi rzeczami o sposobie pisania przepustek tak naiwnie, jakby nasz kochany „Związek” nie kłaniał wcale na kuli ziemskiej. Rozpromieniony oficer objaśnia mi to dokładnie, a ja... wkładam mu w ręce nasze przepustki wraz z ołow-

kiem. Ręczę, że nie wiedział, jak i kiedy podpisał je. Och, mężczyźni, panowie świata!

Płock 7/II. W Płocku jesteśmy już nad wieczorem. Szturmujemy Jankę B. o adresy i nocleg. Po tamtej „wysypie” nie chcę już stawać w hotelu. W poszukiwaniu chodzący po mieście. Wzryscy się boją, nawet moja szkolna koleżanka. U Janki nie można, ma na nich oko żandarmerja. Wreszcie jakaś niezamożna młodzieżka wdowa przyłmuje nas do siebie. Nazajutrz musimy zdobywać sobie przepustki. Idzie teraz o bardzo wysunięty już ku Niemcom Sierpc. To prawie porycja. Po otrzymaniu kartek w Komitecie Obywatelskim, trzeba iść do Moskali. Za stołem kapitał rozmawiający o wojnie ze swym młodszym kolegą. Mówię im, że chcemy jechać pod Sierpc do krewnych. Kapitał porozumiewa się cicho z porucznikiem, a potem, jakby zniechęca, rzuca mi prosto w oczy: — „A może był wy austriackie szpiony”? Zaprzeczam spokojnie. Oficer znów zwraca się do kolegi: „Czort zna, że, może był na swoich podpalasz”? Nie mam sobie nic do wyrzucenia, a jednak zsunął mi ciężar z piersi, gdyśmy opuszczali to biuro...

Biełek 8/II. Janka dała nam kilka adresów. Wyjechaliśmy zaraz po południu. Tutejszy strażnik wskazał nam sklepik, w którym będzie można przenocować. Gospodyni pomieszcza nas w małym pokoiku za sklepem. Jest wieczór. Nazewnątrz ruch. Wojsko idzie w kierunku Sierpca. Dla zabicia czasu czytamy z Julą Owidjusza „Przemiany”, które zabrałyśmy ze sobą. Wczelnie idziemy na spoczynek. Nie jest on świetny, bo gospodyni dała nam tylko jedno dość wąskie łóżko.

W nocy bedzi nas gwałtowne stukanie do drzwi. Głosy rosyjskie. Gospodyni zapala lampę. Policja... Pytają o nas. Nie stukając, wchodzą brutalnie do naszej izdebki. Odsuwają strapioną kobietę, biorą od niej lampę, każą jej wyjść i zamykają za nią drzwi. Siadamy obie na łóżku, trochę nieprzytomne ze snu. Przeglądają nasze papiery. Trwa to niemożliwie długo. Jeden z policjantów „były Polak” oświadcza, że jest ze mną z tych samych stron. Nie jest to wcale miłe: paszport mam „sfabrykowany” i wszystko w nim, oprócz nazwiska, jest fałszywe... Nie zna mnie na szczerze. Gorzej jednak jest, że oświadczają, iż przepustki są fałszywe i że nas aresztują. Mimo wszelkich protestów papiery glną w otchłannych kieszeniach szynela. Sytuacja jest trudna: Komitet Obywatelski omylił się fatalnie. Rzucam się gniewnie, twierdząc, że nie chcę jechać dalej i wracam do Płocka, aby Komitet poprawił swoją pomyłkę. Nie myślę jednak o powrocie. Są to bowiem zapewne ostatnie rosyjskie przepustki wystawione do Sierpca. Drugi strażnik patrzy na nas ze współczuciem, podaje mi

nawet pałto, widząc, że nam dreszcze... ale cziłgodny „nby Polak” nie daje za wygraną; rozgląda się po pokoju, szukając jakichś dowodów. Co do tego jesteśmy spokojni, że nic nie znajdzie. Trochę już zmęczony Moskal pochylił się nad naszą kłódką i prawie prawidłowo skanduje: — „Ecce venit comitum Niobe creberrima turba, vestibus intexto spectabilis auro et quantum ira sinit — formosa...” — „Czy panie przygotowują się do matury?” zapytuje nas. Nie zaprzeczamy. „Wiryta” ciągnęła się w nieskończoność. Badanie zmieniło się w rozmowę i naodwrot. Zbieramy ostatnie siły, aby utrzymać się w spokoju. Około trzeciej rano, zaczynają wreszcie szeptać do siebie. Moskal stara się ułagodzić wzdrgającego się wciąż „Polaka”. Patrzymy na nich nie-spokojnie; w rękach ich jest nasza dola. Areszt przy linii frontu nie wróży nic dobrego. Po długich naradach strażników, paszporty wychodzą na powierzchnię. „Ale niech panie koniecznie wracają do Płocka”, przypominają nam, odchodząc. Pocztowa gospodyni przeprosza nas serdecznie, robiąc sobie wyrzuty, że nie podała nas jako swe krewne.

Nazajutrz wchodzi do naszego pokoju oficer, przyprowadzony przez gospodynię. Idzie na front; chce się pożywić. Uśmiecha się do nas grzecznie. Jest nam widocznie rad i skłonny do rozmowy. Zapowiada bliską bitwę pod Sierpcem. — A cóż to, szynel żołnierski, czy to przebranie? — pytam go ze śmiechem? Tłumaczy mi poważnie, że to z powodu krąjących się wszędzie szpiegów; przytacza mi szereg innych ubezpieczeń. Demonstruje to na przykładzie, odwijając epolety ze schowaną wewnątrz cyfrą. — A dlaczego *tójte*? — zapytuje jeszcze. Odpowiada mi chętnie, wyczerpująco. Przekonany jest najmocniej, że imponuje mi bardzo swemi wiadomościami fachowemi. Trykrotnie wchodzi ordynans, wzywając go do szeregu. Brawo, panie oficerze!

Piątowo 10/II. Ładny uśpiiony dworek wśród górzystych pól (adres zdobyty od Janki). Niewiele tu wiedzą o wojnie. Pani, starszerek wuj, dwójce dziewczątek, z których starsza jest na uniwersytecie w Krakowie. Przyjmują nas dobrze, ubolewając, że jestem tak zaziębłona i w drodze, że na takie czasy jedziemy same. Wzruszeni są bardzo, gdy im mówimy, że jedziemy odszukać mego starego wuja. Przypieczętują nam niewymownie, że nie możemy wyznać im całej prawdy. Dziewczęta chodzą z nami po ogrodzie. Rozmawiamy wesoło, jak Bogu ducha winne studentki. Czas już jednak myśleć o wyjeździe. Obiecuja dać nam konie do Gójska.

Gójsk 11/II. Wjeżdżamy w panikę. Tuż przed miasteczkiem otacza nas bezwładna gromada żołnierzy różnych pułków i rodzajów broni. Ponury nastrój cofania się. Wyczuwam wiszące nad nami niebezpieczeństwo. Udaając przerażone (trochę niemi jesteśmy naprawdę) zapy-

tujemy, czy można jechać dalej. Nikt nam nie odpowiada. Wszyscy są rozdrażnieni i wściekli. Co będzie z nami? Wlecząc się zbliża... Wszędzie pełno wojska. Na szczęście idzie droga jakaś kobieta. Zapytujemy ją, gdzieś tu można było przemieszkać. Oflaruje nam swe mieszkanie. Z ulgą ruszamy z miejsca. Wieczorem, w domku kowala, który nas przygarnął, każą nam grać w loteryjkę(!); przegrywamy, oczywiście, raz po raz. Potem układają nas obie na wielkim łóżku nawprost okna, pod którym leży nasza wczorajsza przewodniczka. Ta jest niby na warcie. Gdy słyszał bowiem tętent, wygląda z za firanki na korytarz. I za każdym razem jest toż sama rozmowa między nami a nią: — Kto jedzie? „Nasi” — Dokąd? — W stronę Sierpca. Potrącam Julę i mówię cichutko: Moskale odają się.

Najajutrz budzimy się późno. Wokół nas jest dziwnie cicho. Jesteśmy sami. Ubieramy się szybko. Za chwilę wpada przerażona dziewczyna z krzykiem: „Nasi się całi!” — Czy wścieczy? pytam ją ostrożnie. „Och, jest tylko taki mały oddziałek na plebanii!”, — blada załamie. Wchodzi sam gospodarz. Jest jakiś zaniepokojony. Patrzy na nas uważnie i wypytuje bardzo o tego wuja, do którego jedziemy (tę adres Janki). Jest wyraźnie nieufny. Nastaje, abymy szły na plebanję po radę. Mimo, że nie okazujemy w tym kierunku żadnych chęci, nalega coraz bardziej. Zaczynamy się obawiać jakiejś zasadki... Wreszcie zjawia się szczęśliwa myśl, aby odrazu uregulować rachunek za nocleg i śniadanie. Okazało się, że o to właśnie szło. Wychodzimy przed dom razem z rozpozgodzonym już kowalem. Musimy znaleźć konie do Żalego. Udaje się nadszpedzowanie: właśnie podwoda jedzie w tę stronę...

Lipno 12/II. Jesteśmy już za Rubikonem... Niedaleko nas zawiozła owa podwoda. Tuż za wsią przy ostatniej chałupie zatrzymał nas patrol. — Nie pojedą panie teraz — mówi nam smętnie dragon — za kilka godzin wejdą tu pewno Niemcy, a wtedy... niech się dzieje, co chce. — Musimy się więc zatrzymać. Parę godzin siedzimy w jakiejś chałupie, ale niecierpliwimy się strasznie. Wołamy więc swego woźnicę. — Może pojedziemy naprzelaj, przez pola, co? Chłopa też pilno, przystaje więc dość chętnie. Ktoś woda, z kilku stron lecą ku nam strzały... Każemy mocno zaciągnąć konia...

W Lipnie Niemcy aresztują nas bez pardonu. W komendzie sprawdzają telefonicznie czy naprawdę jesteśmy z Legionów. Mimo twierdzącej odpowiedzi dają nam na bryczkę żołnierza w pikielhaubie. Dostajemy jakieś papiery, które zmienić musimy w Szpitalu Górnym. Nasz woźnica nie chce jechać dalej; powiada, że zgodzony jest tylko

do Lipna. Twierdzi też, że koń jest zmęczony, Niemiec doprzęga mu drugiego, chodzącego luzem po ulicy.

Włocławek 13/II. Ohydna droga z tym Prusakami! Nadmiar złego w Szpetalu literalnie opadają nas Niemcy, pytając nas o wiadomości z drogi. Wykręcamy się sianem. Do Włocławka jedziemy przez Wisłę promem wojskowym. Jesteśmy sami, wśród sterujących grzanie helików. Zachodzące już słońce przegląda się w rzecze, a my patrzymy na jej fale i tak jakoś nam smutno...

Stajemy w hotelu. Pierwszy możliwy nocleg coś od tygodnia i jedyny chyba w całej naszej podróży. Szukamy z pośpiechem oficera łącznikowego Legionów, aby nam jak najprędzej wydobyl przepustki. Niestety, Niemcy znów stają okoniem. Powiadają, że cywilne osoby nie mogą teraz jechać koleją, dopiero za kilka dni. Radzą więc, abyśmy raporty dały im. Słucham gwałtownie wyjaśnień naszego oficera. A co im pan odpowiedział, zapytuję. „Że porozumiem się z wami”. Jestem już wściekła. — Niechże im pan zaraz powie, że obejdziemy się bez ich kolei. — Do Łodzi bierzemy konie, oficer jedzie razem z nami.

Piotrków 14/II. Przekląć Niemcy! Dwie bezsenne noce, ale raporty wieziemy dla swoich. Jesteśmy jednak bardzo zmęczone. Osiemnaście mil w dobrym naprawdę powozie, ale jednym tchem. Włocławek, Łęczyca, Ozorków — Łódź. Barmala — doba jazdy. Jedziemy rankiem przez uśpioną jeszcze Łódź. Na stacji nie robią nam trudności. Pociąg ma odejść zaraz. Padamy ze snu wszyscy troje. Wagon towarowy z ławkami dookoła. Jakiś stół... Opieramy się łokciami do drzemki. Pociąg rusza. Ale dziwna rzecz: kiedy tylko które z nas podniesie głowę, widzi wciąż jeden napis: — Rokiciny. Może to ze snu. Nie. Pociąg stoi. Pytamy się, czy pojedzie dalej. Nikt nie wie, potrzebna była komuś lokomotywa. Stoiśmy więc cały dzień. Stacja pusta i ogłodzona dostrzegając. O zmroku całą nam wysładać. Wchodzimy do poczekalni. Pusto, jak wymiotti. Na podłodze leży słoma. „To lazaret”, woła groźnie oficer niemiecki. Ale wchodzący razem z nami żołnierze nie chcą słuchać o szpitalu, w którym niema rannych. Wszystko idzie na słomę. My także. Trudno, oczywiście, myśleć o spaniu. Zato myślimy, że jesteśmy głodni. O szóstej rano czuwamy już przy plance. Coś wreszcie nadjeżdża. To tylko „węglarka”. Nasz oficer idzie na zwłady. Słyszymy zdala, jak mówi buńczucznie: „Ich bin von polnischen Legionen, fahre von Warschau und mit mir diese Damen”. — Wiesz, on jest pyszny — mówię do Jusi, ale jesteśmy obie złe. Cieszymy się też złośliwie, gdy trzeba było przedstawić Niemcowi sprawę akurat naodwrot. Jedziemy więc parowozem, a w drodze dziękujemy oficerowi za tytuł „dam do towarzysstwa”. W Piotrkowie biegliśmy szybko do p. Trzciń-

skiej, aby umyć się, przebrać i, broń Boże, nie spóźnieć się na pociąg do Dąbrowy.

Zagrzeje 16/II. Kochane Zagórze! Niema już tych obcydłych Prusaków.

W Piotrkowie wsiadamy do wojskowego pociągu. Austriacy oficerowie witają nas uprzejmie i sadowia w drugiej klasie. Dobrze, że choć Austriacy, nie Niemcy. — „Wo hält der Zug“, zapytuje oficera wśród różnojęzycznej gwary, bo mówimy naprzemiennie w trzech językach. — „Kattowitz“ — odpowiada mi, niestety. Chmurzymy się obie. Ale oficerowie zapewniają nas, że każą nam pociąg zatrzymać w Dąbrowie. Poczuwając się do grzeczności, rozmawiamy. Pociąg pewnie trzy po trzy: obce języki, no i trzecia noc bez snu. Pociąg leci w ciemną przestrzeń jak wiatr. Nie staje nigdzie, aż w obiecaniej nam Dąbrowie. Mamy jeszcze przed sobą trzy wiorsty drogi błotnistej, lepkiej, usianej tu i ówdzie ostrymi kamieniami, ale prowadzącej do Zagórza. Gdy o tem myślimy, lżej nam nawet dźwigać własnoręcznie swoje pakunki, których jest sporo.

Bez pardonu budzimy uśpioną sypialnię. Nikt się nie gałewa, chociaż to prawie czwarta rano... Wychylają się ku nam wszyscy: — Marta, Julia! — wołają stąd i zowąd. Pytają, male, czy jestem zmęczona. Uśmiecham się do całego „siostrzanego grona“. — Nie, nie czuję — powiedziałam, — aleśmy zało głodne: trzy dni jesteśmy bez obiadu. Ale to nic, — dojechalysmy!..

Marta Kornobowiczówna.

OSTATNIA WYPRAWA.

Koniec zimy 1915 r. spędziłam w Wilnie, kierując pracami sekcji wywiadowczej P. O. W. W kwietniu rozkaz Komendy Naczelnej wezwał mnie do Warszawy, skąd miałam w najkrótszym czasie ruszyć na „jasny brzeg“.

I rzeczywiście, ledwie stanęłam w Warszawie, otrzymałam zlecenie przygotowania się do wyjazdu.

Po długiem wertowaniu mapy, zdecydowałam się przejść front w północnej części Królestwa, t. j. Suwalszczyźnie, gdzie linja nie była całkowicie ustalona. Towarzyszyć mi miała w drodze p. Zofia Dąbrowska.

Dwa ostatnie popołudnia ob. Tadeusz Żaliński i ob. Bajno dyktowali mi raport, który miałam zawięzić Komendantowi. Zawierał on cyfry, dotyczące się ilości zorganizowanych członków P. O. W., ilości broni oraz dane o położeniu politycznem i wojskowem Kongresówki. W kon-

kluźni władze P. O. W. prosiły o zezwolenie na rozpoczęcie samodzielnego ruchu zbrojnego na tyłach wojska rosyjskiego.

Por. Żuliński uważał ten krok za konieczną i nieunikloną konsekwencję rozwoju organizacji, której zakonspirowanie z coraz większą przychodziło trudnością. Nie chciał jednak ważyć się na to bez rozkazu Komendanta.

Moim zadaniem było dotrzeć do Komendanta, przedstawić Mu sytuację i odpowiedzieć przywieść do Warszawy. Zależało na pośpiechu, gdyż wybuch powstania projektowano na początek lata. Tak ważnej sprawy — wobec trudnych warunków przedostawania się przez front nie można było powierzać jednej osobie. Wobec tego na dwa dni przed naszym wyjazdem — z tymże raportem wyjechała Wanda Fillpkowska z Wandą Cumiłówną, a w parę dni po nas miał drogą na Finlandję i Szwecję wyjechać jeden z oficerów P. O. W.

Początek naszej podróży wypadł na dzień 25/IV 1915. Droga szła na Wilno — Orany — Olsę i Puńsk. Pierwszy etap, odbywany kolejną, nie przedstawiał żadnych trudności. W Olsie dopiero należało postarać się o przepustki i zezwolenie na dalszą drogę kolejną.

Dzięki Zosi D. uzyskaliśmy przepustki od komendanta stacji Orany, a w Olsie otrzymaliśmy od jednego z oficerów polecenie, które utworowało nam drogę aż do Puńska, skąd nie bez pewnych trudności dotarliśmy w d. 29/IV do Kupowa, majątku p. Maliszewskiego.

Obecne trudności polegały na tem, iż generał, dowodzący jakimś dużym odcinkiem, odgadł nasze pragnienie dotarcia do linii frontu. Motywowałyśmy je wprowadzić rozczulającą niepokojem Zosi, której rodzina znajdowała się po stronie niemieckiej, w Leszczówku; tłumaczyłyśmy też, że zależy nam jedynie na zacierpieniu wieści o nich od chłopów i obywateli okolicznych. Nic nie pomagało. Generał był nieugięty — kazał nam wracać. Mniej twarde serce miał generalski adjutant, od którego dostałyśmy nietylko przepustkę, ale i żołnierza, który nam aż do Kupowa zwoził walizki.

W domu p. Maliszewskiego spędziłyśmy parę dni, badając okolicę i sytuację na froncie. Linja rosyjska ustaliła się, niestety, na dwa dni przed naszym przybyciem i szła przez wieś Kupowa, przecinając tętnące kóło jezioro. Za jeziorem były już tylko płacówki i stale krążyły patrole.

Towarzyszka moja, ogromnie odważna i dzielna, pilnowała mnie o pośpiechu, ja jednak chciałam możliwie najlepiej poznać się z terenem, aby nie iść naoslep. Chodziło tu przecież nie tylko o nasze życie, ale i o ten raport, na którego ważność kładziono taki nacisk w Warszawie. Wobec tego zwlekaliśmy z wyborem drogi. Zdecydowałyśmy wreszcie,

że jedynie możliwe jest przedostanie się przez jezioro. Trzeba więc było wystarać się o łódkę. Była jedna na jeziorze, lecz na przeciwnym brzegu. Dla tych właśnie celów, oficerom, kwaterującym we dworze zaproponowaliśmy wspólną przejażdżkę łódką. Zgodzili się bardzo chętnie. I w dniu 5/V całe popołudnie spędziliśmy na jeziorze: przejażdżkę tę uprzyjemniał nam śpiew Zosi i jednego z oficerów.

Nad wieczorem — wracając do domu, umówiliśmy się, że natąjitrz znowu razem popłyniemy na jezioro. Dzięki temu łódka została przy naszym brzegu. A tegoż wieczora wymknęliśmy się do ogrodu i stąd dotarliśmy do łódki. Chmurny, bezksiężycowy wieczór ułatwił nam zadanie. Zosia wiosłowała, a ja wyczerpywałam z łódki wodę, sączącą się przez szpary.

Przyznaje, się, że mocno biło mi serce, gdy w ciszy nocnej rozlegał się głośniejszy plusk wiosła. Na szczęście, gdzieś z boku terkotał karabin maszynowy i po chwili zaczęły dawać ognia karabiny.

Przybiiliśmy do wysokiego dość brzegu. Wśród wierzbowych gałęzi i zmarszałych pni przemknęliśmy się ku chałupom, stojącym nieco wyżej. Na czworakach — jakże ciężko nam zawieszono na plecach niewielkie walizki — sunęliśmy między domostwami, tuląc się do opłotków przy każdym odgłosie kroków i stuknięciu drzwi. Po kilku niezmiernie długich minutach wydostaliśmy się na otwarte pole, a później na obszar porośnięty krzewami. Tu podniosiliśmy się, aby już iść naprzód. Raptem... jasna smuga reflektora oświetliła wszystko, nie wyłączając tej smugi dalekiego lasu, dokąd trzeba było dotrzeć przed świtem.

Znowu więc trzeba było rzucić się na ziemię i leżeć chwil kilka bez ruchu. Zupełna cisza wokół świadczyła, że nas nikt nie dostrzegł. Ruszyliśmy więc naprzód. Słyszeliśmy długo. Raz tylko, zdaleka zamajały jakieś sylwetki — wymknęliśmy je szczególnie. Parę razy sądziłam, że zagubiłam drogę, że w złym idziemy kierunku; próbowałam to ustalić przy pomocy zegarka i księżycą, wysuwającego się od czasu do czasu z za chmur.

O starym świetle stanęliśmy przed okopami niemieckimi. Tu nas aresztowano. Pod eskortą doszliśmy do Jeleniewa, zmęczone już bardzo. Stąd samochodem odesłano nas do Suwałk. Długie przykre badanie, pełne nieufności i wzajemnej niechęci. Z Suwałk tegoż dnia zawieziono nas do Instenburga. Tu nowe badanie, domaganie się wydania raportu, przeznaczonego dla „Herr Piłsudski”. Sądzono nam to było przeżyć parę ciężkich godzin.

W Instenbурgu spotkałyśmy się zupełnie niespodziewanie z Wandą Filipkowską i Cumtówną. Obie po przedarciu się przez front, sie-

działy tu już od kilku dni, aresztowane również przez Niemców. Filipkowska wysłała depeszę do Brygady z prośbą o wyjaśnienia i ratunek. Na szczęście przysłała zaraz odpowiedź, która wywoliła nas z opresji. Dalej jechaliśmy już razem; droga upływała nam teraz niezmiernie miło.

Dojechaliśmy wreszcie do Piotrkowa, gdzie znaleźliśmy już swoich ludzi. Stąd jednak — czego dotąd odzłować nie mogli — nie puszczono nas na front I Brygady. Raporty nasze Komendantowi udzielił por. Sławek zaraz po naszym przyjeździe. Nam zaś wobec rozwiązania Oddziału Wywiadowczego I Brygady — kazano zostać na miejscu.

WYWIAD W KARPACKIEJ BRYGADZIE¹⁾

Już w ostatnich dniach września 1914 roku chodziły po Krakowie głuche wieści, że naczelna komenda austriacka, aby przeciwdziałać rosnącemu wpływowi Piłsudskiego, postanowiła pozostawić Mu tylko tych ludzi, którzy faktycznie w tym momencie podlegali bezpośrednio Jego władzy, wszystkich zaś innych legionistów poddać pod rozkazy ad hoc utworzonej „Komendy Legionów” i jako drugi i trzeci pułk wysłać w Karpaty. Była to pierwsza z licznych następnie prób rozbicia jednostek Legionów.

Mówiono, że do tych pułków przyłączy się ochotniczy oddział wywiadowczy, do którego będą przyjmowane także kobiety. Nas jednak, zgrupowanych w żeńskim oddziale strzeleckim, ta wiadomość nie poruszyła zbytnio. Dążeniem bowiem nas wszystkich było pełnić służbę pod bezpośrednimi rozkazami Komendanta, na rdzennie polskim terenie.

Jednakże w dniu 1 października około godziny 7-mej rano zdziwiłam się niezmiernie, widząc wchodzącą do naszej kwatery w Małym Rynku komendantkę niezłat Oddziału Wywiadowczego i pułku, ob. Olę.

Byłam wówczas właśnie w przedpokoju. Przech nas dwu nie było nikogo. Komendantka powiedziała krótko: — Z rozkazu Komendanta macie zgłosić się dziś przed godziną 10-ą rano do Tadeusza Babrow-

¹⁾ Oddział Wywiadowczy Karpackiej Brygady, zwany także oddziałem kartograficznym, powstał we wrześniu przy arlabie 2 i 3-go pułku Legionów. Miał on za zadanie prowadzenie wywiadu taktycznego dla bezpośredniego użytku sztabu Legionów. Przyp. Red.

skiego, który was przyjmie do Oddziału Wywiadowczego przy 2 i 3 pułku Legionów. Dziś w południe nastąpi odjazd na Węgry.

Milczalem. Rozkaz nie wymaga odpowiedzi, nie dopuszcza dyskusji. Ob. Ola zaleciła mi jeszcze zachować tajemnicę przed wszystkimi i zaopatrzyć się w cywilne ubranie, poczem pośegnała mnie uściskiem ręki.

Wymknęłam się z kwatery z moją walizką, nie mówiąc nic nikomu. Z zaleceń musiałam pozostawić mundur strzelecki; zabrałam tylko niewiele szmatki, kupiłam po drodze płaszcz i kapelusz i udałam się pod wskazany adres. Ob. Bobrowski koderzył się właśnie pakować i czekał na mnie. On właśnie miał być komendantem oddziału. Pojechaliśmy na dworzec towarowy. Był już zapelniony legionistami, a pociąg stał gotowy do odjazdu. Odnaleźliśmy szybko naszych ludzi, których B. załadował do jednego przedziału. Tu dopiero zapoznaliśmy się wszyscy, gdyż widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu. Była tam oprócz mnie, jedna tylko kobieta, wysoka sentymentalna blondynka, którą przez cały czas nazywaliśmy Heleną. Był młody, bardzo sympatyczny aptekarz, do którego później przyrósł pseudonim „Pigułka”, drugi młody człowiek, Emil M. popularnie zwany „Milkciem” i trzeci, starszy od nich, o dość posępnym wyglądzie i szwabskiem nazwisku, którego zapomniałam. Rozpisałam się o tam datego, że ci ludzie byli nietylko towarzyszymi podróży, ale stali się nierozłącznymi towarzyszymi wielu przygód przez szereg tygodni.

Podróż kolejną na Węgry trwała 6 dni i tyleż nocy. Kołowaliśmy strasznie, pociąg włócił się, jak żółw, godzinami stojąc na najmniejszych stacyjkach. Nie powiem jednak, aby nam czas zbyt długo dłużył. Gotowaliśmy herbatę na maszynce spirytusowej; tematów do rozmowy nie brakło. Odwiedzali nas legionowi oficerowie, jadący tym samym pociągiem i znosili nowiny, szczególnie „kanarki”, t. j. zandarmerja polowa. Komendant jej, Robert Kunicki obok wielkich zalet umysłu i charakteru był bajeczny pod względem towarzyskim, a rozmowa z nim czarowała wszystkich. W czasie długich postojów, korzystając z pogody, która nam dopisywała, chodziliśmy na przechadzkę. Wieczorami zaś śpiewaliśmy chórem pieśni, jakie kto umiał.

Komenda Legionów wraz z gen. Durskim jechała tym samym pociągiem, ale z nim nie stykaliśmy się wcale.

Wreszcie coś popsuło się, albo zmieniło w obliczeniach Austriaków, bo gdy piątego dnia rano dojechaliśmy do Satoralja Ujhely, gdzie mieliśmy się zatrzymać, nagle wydano rozkaz, aby cofnąć się zpowrotem do przedziału i jechać dalej. Kunicki ostrzegł nas, aby broń mieć w pogotowiu, bo możemy przejeżdżać przez sługę ognia. Rosja-

nie zajęli już podówczas znaczną część Małopolski i zapuszczali się na Węgry. Broni nam nie brakowało. Mielśmy prócz jednego karabina po jednym „branku” na osobę. No, ale skódeżyło się na zapowiadzi. Tęgi dnia wieczorem przybyliśmy do Nagy Szőlös, a następnego dnia do Huszt. Tu nareszcie opuściliśmy nasz aż nazbyt gościnny pociąg. Cały tłum zakwaterował się w miasteczku. Nas ob. B. poprowadził na plebanję ruskiego księdza.

Następnego dnia wieczorem Helena wzięła się do smażenia kurcząt na drogę, bo już wiadomo było, że nazajutrz wyruszamy dalej. Przyjeżdżał Kunicki i było „strasznie” wesoło. Ten dom, taki miły i przytulny ze swymi familijnymi sprzętami, towarzystwo młodych, ujmujących swym zapachem bojowym, cała atmosfera, prochem przesycona i poczucie, że jesteśmy jakgdyby na ostatnim postoju przed bitwą,—wszystko to złożyło się na dziwnie radosny, niezapomniany nastrój tego wieczora.

Następnego dnia wyruszyliśmy furmankami, długim taborem z odrobiną strachu, bo nam zapowiadano, że mogą nas napisać rosyjskie patrole. Szczęśliwie jednak dojechaliśmy... napowrót do Nagy Szőlös. Umieszczono nas w domu jakiegoś kupca Żyda, który wyjechał do Budapesztu, wysławszy tam poprzednio wszystkie swój towar. Tu ob. Bobrowski zebrał nas na radę. Przedmiotem rady było nasze prawno-wojskowe stanowisko. Było ono zupełnie wyjątkowe. Nie wiadomo, czy nie chciało zastosować do nas żadnego z organizacyjnych przepisów wojskowych; istnieliśmy jako oddział, bo istnieliśmy, ale w roli zupełnie nieokreślonej, niezdeterminowanej, jako przyczepka do sztabu obu pułków¹⁾.

W krótkim czasie mieliśmy się wszyscy zresztą przekonać, że naczelną komenda austriacka nie zbyt życzy sobie istnienia naszego oddziału, obawiając się zapewne, aby nie budził on i nie podrażniał dążeń niepodległościowych wśród ludności polskiej, co czynił z powodzeniem Oddział Wywiadowczy i pułku, a następnie i Brygady Józefa Piłsudskiego. Komenda austriacka, ograniczając do minimum zakres działania i prerogatywy Komendy Legionów nie życzyła sobie, aby ostatnia rozporządzała własnym Oddziałem Wywiadowczym.

Po bitwie pod Marmaros-Sziget, gdzie legionieci otrzymali chlubny chrzest bojowy, Rosjanie cofnęli się poza Karpaty i nie tylko Węgry,

¹⁾ Na tej zasadzie poruszona była również sprawa, czy oddział ma robić wywiady polityczne, czy też ograniczyć się tylko do wywiadu taktycznego. Przyp. Red.

ale i część Małopolski uwolniona została od nieprzyjaciela. Wojsko austriackie wraz z pułkami legjonowymi ruszyło włąd za ustępującym wojskiem rosyjskim, a tabory, do których przyłączono nasz oddział, zatrzymały się w Nadwórnej. Nie będę tu opisywał całej tej drogi, ani przejścia naszego przez historyczny oślad „Pantyrpass”, nie będę też rozwodzić się nad przyczynami, które niebawem zmusiły „sprzymierzeńców” i nas do rejtenty.

Po paru dniach pobytu w Nadwórnej, ob. B. oznajmił mi, że mam niezwłocznie udać się do Kołomyi, zajętej jeszcze przez Rosjan, zobaczyć się tam z jego kuzynem, zebrać jak najwięcej wiadomości i jak najrychlej powracać. „Tu macie przepustkę cywilną, wydają przez burmistrza”, rzekł do mnie. — Część drogi przebędziecie z Żydem, który was podwiezie, bo jedzie w tamtą stronę, potem wynajmiecie furmankę. Tej nocy wychodzimy wszyscy z Nadwórnej. Dokład? Malejsza o to. Znajdziecie nas tam, gdzie będziemy. Adieu!”

Była to godzina 10 wieczór jednego z ostatnich dni października. Wsiadłam na żydowską brykę i dojechałam... do rogatki nadwornickiej. Tu zatrzymał nas posterunek austriacki. Okazało się, że przepustka Żyda była przedawniona; wobec tego kazano mi wracać, a mnie pozwolono iść, dokądbym chciała. Byłam w trudnem położeniu. Wiedziałam, że na nic się nie zda wracać, gdyż ob. B. nie zechce więcej zajmować się moją osobą. Przesiedziałam więc do rana w izbie jakiegoś gospodarza, którego dom stał tuż przy rogatce.

Skoro świt, ostatni żołnierze austriaccy odeszli. Wróciłam do Nadwórnej. Na mieszkańców padł popłoch, gdyż lada chwila oczekiwali wkroczenia Moskali. Udało mi się jednak znaleźć gospodarza, który wracał do swojej wsi i ten podwiózł mnie kawałek drogi. Ale wynajęcie furmanki dla dalszej podróży okazało się niemożliwe. Poszłam więc piechotą i po południu dość wcześnie jeszcze doszłam do Łanczyna. Tu weszłam do pierwszego spotkanego z brzegu domu, prosząc o wynajęcie kom. Przerobnie podałam jako cel podróży nie Kołomyję, lecz jakąś wieś, niezbyt odległą od Kołomyi. Gospodyni domu, Żydówka, chętnie zgodziła się na moją prośbę i obiadczyła, że zaraz każe zaprzęgnąć, a tymczasem zaproponowała mi jedzenie. Triumfowałam już, że po pierwszych niepowodzeniach zaczyna mi iść jak z płatka. Niestety! niebawem główna ulica Łanczyna zarojła się od wojska austriackiego. W chwili, gdy chciałam przejść do drugiego pokoju, we drzwiach werandy stanął major austriacki. Ruch mój wydał mu się podejrzany, bo momentalnie podbiegł ku mnie z pytaniem: — Kto pani jest? Skąd pani jest? Zaczął też wypytywać Żydówkę, która w tej chwili weszła, ale ta nie mogła go w niczem objaśnić. Pokaza-

łam mu wreszcie swoją przepustkę, wydaną przez burmistrza nadwornickiego.

Konie według obietnicy były już zaprzężone. Cieszyłam się, że jadę, ale nieco przedwczesnie. Zaśledwie bowiem wyjechaliśmy poza ostatnie chaty wsi — zatrzymała nas warta. Żołnierze austriacki, Polak, wdał się ze mną w rozmowę i usilnie zaczął mnie namawiać, abym dziś nie jechała. Mówił, że droga jest zajęta przez Węgrów, którzy mnie z pewnością zatrzymają, zwłaszcza, że rozmówić się z nimi niepodobna. Jutro zaś droga będzie wolna. Cóż miałam czynić? Zdawało się rozsądne pójść za tą radą, tem bardziej, że dzień się kończył. Poszłam więc na wieś i udało mi się znaleźć w pewnej chacie przytulak. Gospodyni była to wdowa, zdaje się, po kolejarzu, z jedną podrastającą córką, bardzo ubogą i poczciwą kobietą.

Na drugi dzień rano zgłosiłam się po wynajęte wczoraj konie, które mi żydówka na dzisiaj obiecała. Daremnie! nawet słyszeć o tem nie chciała. Zniechęcona postanowiłam iść dalej piechotą i o zachodzie słońca weszłam do Kolomyi. Tu około rogatki po raz pierwszy w życiu ujrzałam żywego, prawdziwego żołnierza rosyjskiego — „Moskala”!

Nawiasem mówiąc, ci pierwsi napotkani przeze mnie Rosjanie nie wyglądali bynajmniej groźnie. Ot, takie Boga ducha winne parobczaki z zapadłej wsi, których oderwano gwałtem od pług i sierpa, obleczone w bure szyniele i popędzono do obcego kraju, niezem ciętą na rzeź.

W Kolomyi zatrzymałam się w małym żydowskim hoteliku. Był to wieczór piątkowy. Współwyznawcy gospodarza zebrali się w jednej salce na wspólne nabożeństwo. Przez otwarte drzwi widziałam pomure blaski świateł i słyszałam przeciągłe, grobowe dźwięki chóralnej modlitwy, w której brzmiał ból, rozpacz, trwoga i błagalne wołanie o litość.

W Kolomyi rychło odszukałam człowieka, którego mi wskazał ob. B. jako informatora. Kiedy mu wyjawiałam cel mego przybycia, był tak przerażony, że trudno było z niego cokolwiek wydobyć. Dowiedziawszy się, co tylko mogłam, pomyślałam, że trzeba ruszać zpowrotem. Liczyłam też, że drogę powrotną muszę również odbyć pieszo, bowiem konie wszędzie porykwirowano. Trzeciego dnia wczesnym rankiem opuściłam Kolomyję. Myślałam nad tem dokąd iść. Do Nadwórnej wracać nie było celu. Szłam więc szosą w kierunku Delatyna.

Był mglisty, ponury dzień pierwszego listopada. Na szosie ani psa, ani człowieka. Wsie, przez które przechodziłam, wyglądały jak

umarłe; mieszkańcy pozamykali się w domach, obawiając się wychylić się na świąt Boży. Groza wojny unosiła się nad całą opustoszałą okolicą. Wreszcie, wśród tej przeraźliwej pustki, ujrzałam zdaleka jakiś punkt, poruszający się szybko. To kozak pędził galopem w stronę Kołomyi. Za chwilę przeleciał drugi, trzeci i czwarty, — wreszcie ciemna masa zaczęła się na równi, jak stół, drodze. Zbliżała się cała sotnia. Ukryć się nie było gdzie wśród szarego pola, zresztą spostrzegli mnie już niewątpliwie. Szłam więc dalej.

Nadjechali i stanęli przede mną. W tej chwili uczułam, że mi obecnie nic od nich nie grozi i niepokój momentalnie mnie opuścił. Oficer rozpoczął ze mną rozmowę, zapytując, skąd idę i jakie jest w Kołomyi wojsko? Odpowiedziałam mu, że w Kołomyi jest wojsko rosyjskie, a ja idę do Delatyna do mojej siostry. — Ej wy „w Delatyn” nie idźcie, bo tam będzie „bitwa”.

Idąc dzień cały, przed wieczorem doszłam już do Łanczyna. Wchodziłam właśnie do wsi, gdy na drodze zaroilo się od piechoty rosyjskiej. Była jej zdawało się, moc nieprzeliczona. Na drodze nie było ani jednego z mieszkańców. Nie chciałam pukać nigdzie, wiedziałam, że w chwilach trwogi każdy obcy jest niechętnie widziany. Nie mogąc się przecisnąć wśród masy ludzkiej, usiadłam na ławeczce przed jakimś domem. Gdy wojsko przeszło, skierowałam się do chaty zwej wdowy, u której poprzednio nocowałam. Przyjęła mnie mniej chętnie niż przeszłym razem, ale rozkrochmalila się, gdy jej opowiedziałam nader wzruszającą historję o powodach, które mnie zmuszają iść znów zpowrotem do Delatyna. W chacie tej zacnej kobiety spędziłam jeszcze cały dzień następny. Być może, że uległam epidemji panicznego strachu, który objął wszystkich mieszkańców Łanczyna, dość, że dałam się przekonać mojej gospodyni, że mnie Rosjanie nie wypuszczą ze wsi.

Na trzeci dzień wyruszyłam znów w drogę, ale gdy dowiedziałam się, że w Delatynie są Rosjanie, skręciłam boczną drogą do Nadwórnej. Idąc, patrzyłam w ziemię i robiłam spostrzeżenia. Były na niej ślady tysięcy nóg i setek kopyt koniowych w kierunku, w którym dążyłam. Szło więc tąd wojsko, ale jakie? Wątpliwości moje znikły, gdy ujrzałam w jednym miejscu ślady postoju, wygasłe ogniska i wśród popiołu próżne puszki austriackich konserw. Niebawem te wszystkie ślady skręciły w bok ku południowi, przez żmiorne pola. Wiedziałam już, że się cofają, że poszli ku węgierskiej stronie.

W Białowie nie znalazłam żadnego wojska, ale panował już tam wielki strach przed Moskalami, ze względu na drogiecenne kopalnie nafty. Przeczołowawczy w chacie bucułskiej, znalazłam się wreszcie

na właściwej drodze, w dolinie Czarnej Bystrzycy, u wejścia do przełęczy rafałowskiej.

Muszę tutaj zaznaczyć, że na terenie, który był albo mógł być w każdej chwili zajęty przez Moskali, niepodobna było przetrząsnąć ludności pytać wprost o legionistów bez ściągnięcia na siebie podejrzeń, mogących mieć jak najfatalniejsze skutki. Musiałam poprzestać na ostrożnym badaniu, na przypadkowych wskazówkach, własnych spostrzeżeniach i rozumowaniu.

Dochodząc do wsi Pasiecznej natknęłam się na starszą, z miejsc ubraną kobietę, która zawiązała ze mną rozmowę. Nie zdziwiła się zupełnie, że idę na Węgry, gdyż tam schronili się przeważnie uchodźcy ze Wschodniej Małopolski, ale objawiła mi, że w Pasiecznej Rosjanie przeciągnęli kordon przez wieś i nikogo nie przepuszczają, każdego zaś obcego aresztują. Ofiarowała mi gościnę u siebie. Cóż było robić?

Gdy Rosjanie opuścili Pasieczną, bez żadnych przygód dostałam się do Rafałowej, gdzie znajdował się sztab 2 i 3 pułku. Udałam się więc do ob. B., złożyłam raport ze swej podróży, ale dowiedziałam się od niego, że wskutek reorganizacji Oddziału Wywiadowczego, kołbety z niego usunięto, a ja mam jechać z transportem rannych na Węgry. Stało się potem inaczej, ale to już przekracza ramy niniejszego wspomnienia.

POZA FRONTEM.

Szczepan-Hanna Rzepcha.

CZASY POLSKIEJ ORGANIZACJI NARODOWEJ.

(Październik, listopad 1914).

Po cofnięciu się oddziałów strzeleckich z pod Kielc, znalazłyśmy się w Krakowie jako gromadka strzelczyń bez określonego przydziału. Praca w „Komisarjatach Wojsk Polskich” tworzonych w Miechowie, Jędrzejowie i Kielcach, związała nas silniej z organizacjami politycznymi, tworzonemi przy oddziałach strzeleckich. Niektóre z nas były przyjęte do Oddziału Wywiadowczego I Brygady, inne poszły na sanitariuszki, kilka uciekło wprost do wojska. W tym czasie dowiedziałyśmy się o mającej się na nowo rozpocząć robotę politycznej na terenie Królestwa w związku z utworzoną przez W. Jodkę i M. Sokolnickiego Polską Organizację Narodową. Praca ta nadzwyczaj nam się podobała, bo zdawało się, że wrócą pierwsze chwile wojny i entuzjazmu z czasów kieleckich. Miałyśmy w sobie tyle zapału i ognia, że z radością mogłyśmy się podjąć pracy agitacyjnej. Wiedziałyśmy, że p.p. Marja Pilsudska i Marja Jodkowa mają uczestniczyć w organizowaniu kobiet na okupowanych terenach Polski i zaprzęgnęłyśmy pracować pod ich kierownictwem. Cztery z nas powołano do tej pracy. Były to: Wanda Smolkówna, która już była przez dwa tygodnie w linii, I. Kowalska, J. Łojkówna i ja. Wyjazd z Krakowa miał nastąpić w dniu 8/X. Z Oddziału żeńskiego, który powstał przez połączenie Strzelca i Drużyn Strzeleckich dostałyśmy wyskwipowanie zimowe i zostałyśmy przydzielone do oddziału męskiego, jadącego na „robotę” z Krakowa. W oddziale tym, pomimo strzeleckich mundurów i żołnierskiego prostego ekwipunku, znajdowali się głównie lekarze i działacze polityczni, między in.: Jerzy Żuławski, Z. Kisielewski, F. Perl, M. Landau i wielu innych.

Pierwszym etapem naszej podróży była Częstochowa, gdzie zastałyśmy już działający „Komisarjat Wojsk Polskich P. O. N.” rozlo-

kowany w murach miejscowego gimnazjum. Na terenie Częstochowy zwróciły naszą uwagę skautki, które dzielnie pomagały w organizowaniu pomocy dla wojska. U jednej z tych skauetek stanęliśmy na kwaterze i mieliśmy tam wczorajszego spotkanie z powstańcem 63-go roku. Staruszek kazał nam przykleknąć i przez nas błogosławił pracy strzeleckiej; mówił przytem, że wierzy w nasze zwycięstwo.

W Częstochowie mieliśmy też sposobność oglądać batalion Trojanowskiego w marszu przez miasto, co nas przejęło wielką radością, bo zdawało się zbliżać nas do oddziałów na froncie.

Narazie pracy nie mieliśmy żadnej, bo byliśmy przeznaczone do najdalej na północ wysuniętej placówki. Były to czasy ofensywy i moment, kiedy batalion Wyrwy szedł ku Warszawie — pocichu więc się mówiło, że może stolica będzie tym naszym wymarzonym posterunkiem pracy.

Po parodniowym pobycie w Częstochowie wyruszyliśmy dalej na północ. Nowym etapem był Piotrków. Tutaj już wzięliśmy udział w pracy agitacyjnej. Pomagałyśmy mianowicie p.p. Marii Piłsudskiej i Jodkowej w organizowaniu kilku zebrań kobiecych. Mieliśmy też trudne zadanie, gdyż właśnie do nas młodych zgłosiła się gromadka dziewcząt ze szkoły średniej z prośbą o ułatwienie im wstąpienia do wojska. Tłumaczyłyśmy im, że same przeznaczone zostałyśmy do innej pracy, że tylko wyjątki podolać mogą trudom żołnierskiej służby, że nie mają dostatecznego przygotowania i t. d. Nic to nie pomagało, dziewczęta uparły się, potem płakały... Po wyjeździe z Piotrkowa dowiedziałyśmy się, że kilka z nich rzeczywiście uciekło do wojska. W Piotrkowie mieliśmy kwatery w starym po-klasztornym gmachu — tam marzyłyśmy o wielkiej wyprawie do Warszawy.

Narazie jednak mieliśmy się udać do Łodzi, w której stały tylko strzeleckie posterunki wojskowe. Podróż tę odbyliśmy do Kuluszek kolejną, dalej zaś na podwodach, bo pociągi tu nie chodziły.

Zakwaterowaliśmy się w wielkim gmachu banku. Odrazu pierwszego wieczora rozdzielono między nas funkcje: p. Jodkowa i Smoliówna miały powierzone sobie organizowanie Ligi Kobiet i pracę wśród kobiet łódzkich, Irena Kowalska i ja — kancelaryjną, t. j. korespondencję i t. d. Poza tem mnie powierzono jeszcze dozór nad gospodarstwem naszego komisariatu, Łojkówna zaś została przydzielona do pracy przy boku komisarza powiatowego, Aleksandra Sulikiewicza.

Właściwie pracowałyśmy wspólnie w różnych resorciech, gdzie tylko nas było potrzeba. Chodziłyśmy więc do nauczycielek łódzkich i tych z pośród kobiet, o których ideowości wiedziałyśmy, dla zorganizowania ich i zachęcenia do współpracy. Uczestniczyłyśmy w zebraniach, rozmowach i naradach... Wszystkie też pomaga-

lyśmy ob. Z. Kisielewskiemu w pracy technicznej przy redagowaniu przez niego pismie „Do broni”. Nocy nieraz całe składało się numery, przygotowywało je do kolportażu i t. d. W dziale tym współpracowała także żona współredaktora Perla — obecna wiedy w Łodzi p. Teresa Perłowa.

W kancelarii pracy nie było wiele, gdyż ofensywa zatrzymała się i spodziewane zbliżenie do Warszawy nie następowało. Kontakty z wojskiem nie było. Ja natomiast miałam z gospodarstwem na 56 osób (cyfra ta wzrastała z dnia na dzień) dużo pracy, tem bardziej, że sprawa była traktowana przez komisarza Jodkę po wojskowemu. Codziennie wieczorem brałam udział w odprawie kierowników oddziału (redakcja, agitacja, organizacja, powiat i t. d.) i musiałam na piśmie i ustnie zdać raport, ile wyniosło dzienne utrzymanie członka komisarjatu. Chodziło tu bowiem o ścisłość i skrupulatność w szafowaniu publicznym groszem¹⁾. W stosunku do służby i podwładnego mi personelu gospodarczego musiałam stosować ścisłą kontrolę. Jednem z najważniejszych wydarzeń naszej pracy było zorganizowanie olbrzymiego wiecu w teatrze łódzkim. Przemawiało kilkanaście osób nadzwyczaj podniosłe i z głębokim ujęciem przedmiotu. Placz i szloch rozlegały się w sali. Stawialiśmy sprawę tak, jak ją rozumielśmy w gruncie rzeczy. Mówiliśmy, że wrogów trzeba zwyciężyć pokolei, i że mamy teraz jedyną w dziejach okazję — skończyć z Moskalami. Zdawało nam się, że takie stanowisko zjednywa nam opinię, wtém pod koniec wiecu padło pytanie: „A co będzie z nami, jeśli Moskale wrócą”. Przemówiła tu osiadła błerna mądrość dala, która gotowa jest przystosować się do takich, lub innych wypadków, ale nie wyobraża sobie, żeby można było wpłynąć na ich bieg. Usłkowaliśmy temu przeciwstawić nasze twórcze stanowisko. Pamiętam, jak ob. Jodko w odpowiedzi dowodził palającymi słowami, że trzeba właśnie wszystko zrobić, aby Moskale nie wrócili, że właśnie dlatego trzeba uzbrajać, zwiększać i zaopatrywać wojsko polskie.

We dwa dni po tym wiecu przyszedł wieści o niepowodzeniach wojska austriackiego i niemieckiego, o cofaniu się naszego batalionu z pod Warszawy i o konieczności odwrotu. Popłoch w Łodzi utrudniał nam ściąganie placówek. Przyszedł nowy alarm i musieliśmy zarekwizować 25 podwód do wywiezienia całego komisarjatu, papierów, pieniędzy, dokumentów i broni. Wojsko (drobne oddziały strzeleckie, głównie świeżo formowane) cofało się oddzielnie, my

¹⁾ Utrzymanie to wahało się około 30 kop.; jednak trzy razy dobiegało. Podobne obliczenia robiłam dla żołnierzy w sierpniu 1914 r.; suma dziennego utrzymania nie przekraczała wtedy 20 kop. Późną jesienią produkty bardzo zdrożały.

cywile na podwodach jechaliśmy ku południo-zachodowi, omijając już Piotrków, zbyt zagrożony przez Moskali. Rozpoczęliśmy odwrót tygodniowy — do Częstochowy. W Wadlewie był pierwszy postój, zresztą przymusowy. Sytuacja się pogorszyła, gdyż za naszymi plecami znajdowały się już tylko linie walczące, wobec czego rozdano nam broń. Byłam bardzo dumna, bo mnie przeznaczono do przejrzenia zapasów broni (krótkiej) oczyszczania jej, dopasowania nabojęw i ponabijania — potem rozdaliśmy broń wszystkim cywilom, niejednemu udzielając dopiero wskazówek, jak ma się z nią obchodzić. Dostałam też wtedy sama mały brauning, zamiast bębnowego rewolwera, jaki kupiłam na początku wojny. Daleza droga była wciążliwa i niebezpieczna. Po rozoranych przez armaty drogach trzeba było posuwać się powoli, uważając ciągle, czy wjeżdżamy do bezpiecznej wsi. Nam, wyćwiczoną przez Strzelca, uśmiechała się nawet taka mała wojenka, ale trzeba było liczyć się, że byli tu ludzie także słabi i schorowani, którym zdrowie nie pozwalało na odbycie służby wojskowej, o jakiej przed wojną marzyli. W tych więc warunkach dokonaliśmy odrotu do Częstochowy. Grupa nasza zatrzymała się jeszcze w Wieluniu, myśląc, że tam uda się pracę poprowadzić. W dniu 1/XI stanęliśmy wszyscy w Krakowie. Ekspedycja nasza trwała trzy tygodnie. Poza poruszeniem opinii łódzkiej, nie zrobiliśmy wiele, bo udaremniły nam pracę ziemne koleje wojny.

W Krakowie natrafiliśmy na dni gorące. Twierdzą ewakuowano; wszystkie biura legionowe (Departament Wojskowy, intendentura, szpitale) przenoszą się na Śląsk lub też do Wiednia (N. K. N.), Polska Organizacja Narodowa, której celem było opanowanie Królestwa i wezwanie go do udziału w walce — traciła grunt pod nogami.

Wtedy obmyślono ekspedycję do Poznania, gdzie miało od drugiego krańca Polski rozpaść ideę strzelecką i legionową. Ekspedycja miała być liczebna (do 10 osób), z kobiet przeznaczono do niej: M. Jodkówną, W. Smolikówną i mnie. Po dwu dniach pobytu w Krakowie wyruszyliśmy z przepustkami do Poznania. We Wrocławiu zatrzymano nas jednak i nakazano oczekiwać parę dni na pozwolenie jakiejś komendy niemieckiej. Potem aresztowano nas w hotelu i pod opieką oficera niemieckiego odstawiono do granicy. Tu w Boguminie zastaliśmy już całe masy rozbitków i emigrantów. Parę dni trwało tułanie się i poszukiwanie przydziału i pracy. W łodzi ekspedycja nasza rozpadła się: p. Jodkówna została w Boguminie, Smolikówna poszła do wojska, mnie przydzielono do kancelarii naczelnej Polskiej Organizacji Narodowej, do biura ob. M. Sokolnickiego we Fryskacie. Zarząd tej organizacji mieścił się w willi dr. Kunickiego. Pracowałyśmy tam przez parę tygodni z Marylą Lantanką. We Fry-

sztaście odbywały się zjazdy i narady tej organizacji, gdyż wazyła się sprawa dalszego istnienia organizacji. Tam doszła nas wieść o Krzywopłotach i marszu Komendanta z pod Małej Uliny. Po marszu tym Komendant dla odpoczynku wybrał willę p.p. Kunickich. Można wyobrazić sobie, jak przejmowała nas wszystkich obecność Komendanta. Był milczący i najwidoczniej zmęczony, tak, że udzielał się mało. Po paru dniach wyjechał. Tymczasem opuszczał i cały Frysztat, gdyż Polska Organizacja Narodowa odbywała narady z N. K. N. w Wiedniu. Pod koniec listopada przyszła wiadomość o rozwiązaniu organizacji i połączeniu jej z N. K. N.

Praca kobieca Polskiej Organizacji Narodowej nie mogła mierzyć się z robotą na innych bardziej twórczych lub bardziej wysuniętych placówkach, ale choć dorywcza, chwilowa i uderzająca często w próżnię, dowodziła, że wstępujemy na każdą drogę, jaką nam chwila wskazuje, by nią iść obok naszych walczących w polu chłopców.

Barbara St. Konarska.

SZPITAL W JABLONKOWIE.

W 1914 roku nasza praca kobieca w Legionach nie miała zdecydowanych i konsekwentnych form. Życie powołało nas do czynnej służby, lecz służba ta miała częstokroć charakter fragmentaryczny, oderwany. Jednym z takich fragmentów była kilkantygodniowa praca w szpitalu dla rannych w Jabłonkowie. Dostałam się tam z Zoską Sikorską dzięki poleceniu „Dąbrowy”, która na naszą prośbę „odkomenderowała” nas na służbę w szpitalu zaraz po naszym przyjeździe z Ostrowy Morawskiej, gdzie między innymi pracowałyśmy kilka dni przy urządzeniu szpitala na Marjańskich Horkach. Szpital w Nawisiu pod Jabłonkowie była to chata na odludziu, na zboczach wzgórza, wprost stacji kolejowej Nawisze. Chata owa składała się z 2-ech jednolizbowych mieszkań z kuchniami, łączy i jedna kuchnia były przeznaczone dla chorych, w drugiej kuchni gotowano. Zarząd szpitala spoczywał w rękach prof. Sambora, bakteriologa z Paryża, który wraz z żoną i dr. Mozolowskim czynił nadludzkie wysiłki, by w warunkach skrajnej sędry stworzyć coś możliwie higienicznego. Wizyty lekarskie odbywała dr. J. Światłowska; pielęgniarkami przy chorych było nas cztery niewiasty: Ela Guzikówna i Marysia Janicka, drużyniczki z Małopolski i dwie królewianki: Zosia Sikorska, skautka i ja ze Strzelca; w kuchni pracowały: Stasia Jaworska, drużyniczka i dzielna Tosią Pacyżanka, zwana Czerwoną, którą wojna zagarnęła.

w szeregi Legjonów, a która była intendentką i prowadzącą szpitala, gdyż niezmordowanie, uginając się pod plecakami, nosiła codziennie wszelkie zapasy. A droga była daleka i często ciężka: Tozia brnęła w ciężkich buciskach przez zwały śniegu i przychodziła do szpitala zmęczona, znużona, lecz witana radośnie przez nas; przynosiła lekarstwa i wino dla chorych, cukier i cytryny. Mały ordynansik nosił nam wodę i węgiel. — Oto cały personel, gdyż znacznych sanitariuszy-lapiduchów przepędziliśmy po jednej wspólnie na dyżurze przepędzonej nocy: — śpiochy, dekowniki, andrusy! orzekliśmy stanowczo.

Służba trwała z reguły 24 godziny: dzień i noc bez przerwy. Następne 24 godziny spędzała zmiana przeważnie we śnie na kwatery w chacie poczelwej i przyjaźnie dla nas usposobionej flaczacki. Początkowa jej nieśmiałość rozproszyła się po bytności u nas w szpitalu. — „Moje panny, — mówiła do sąsiadek, — to tak, jak należy: w szpitalu przy chorych nabiegają się, namordują, a potem śpią ze u mnie. Ani gości, ani zabawy, na kwatery niema — całkiem recht panny”.

W trzech izbach szpitalnych stało około 18 łóżek, wszystkie zajęte przez ciężko i bardzo ciężko chorych: na tyfus brzuszy, krwawą biegunką, suchoty i inne groźne choroby. Dokuczał nam brak urządzeń higienicznych, nie było odpowiedniej pościeli dla chorych, łóżka, przeważnie tapczany, zbite z tarcie, umieszczone wysoko nad ziemią, zbyt szerokie, były niewygodne przy obsłudze chorego. Brakowało najprostszycch ułatwień. Naczynia z nieczystościami nosiliśmy wielokroć razy dziennie (i w nocy) do słynnego nieogrodzonego dołu dra Sambora, szorowałyśmy je, odkatowałyśmy; czyściłyśmy spluwaczki suchotników (jedna czynność, która budziła w nas wprost wstręt fizyczny); spluwaczkami były... męszki. Paliliśmy w piecach, a przez pewien czas nosiliśmy same wodę ze studni u podnóża góry. Ręce zgrubiły nam od pracy, posiekaly się od nadmanganianu potasu, zaczerwieniły od węgla i od szorowania podłogi. Chodziłyśmy przy chorych na palcach w naszych ciężkich żołnierskich buciskach (prywatne obuwie zostawiłyśmy z rozkazu komendy w Krakowie), w sukienkach spódnicach i bluzkach. Nie było białych fartuchów. Za kilka koron uszyła nam szwaczka w mieście cod przypominającego fartuch. Na drugi fartuch zabrakło nam pieniędzy; zółdu nie otrzymywałyśmy (z czego byłyśmy bardzo rade); na mą prośbę szwalnia, istniejąca przy komendzie, przerobiła mi... koszulę nocną na zupełnie możliwy fartuch sanitarsy. Dla chorych nie miałyśmy zapasu białizny, szalotróków, ani pantofli. Pantofle obiecywały nam panie z Cieszyńska, ale paczka nie doszła do nas; brakowało nam w początkach waty, lekarstw, poduszek dla chorych, miednic. Miałymy jeden

termometr. Nie znaliśmy społeczeństwa, by zwrócić się doń o pomoc. Nasze „ligi” tak pomocne, zabiegliwe, skrzętne — były daleko. A serdeczna pomoc ks. Ścisłały i pastora Michejdy nie była w stanie wszystkiemu zapobiec, choć na ich wezwanie ludność miejscowa dawała chętnie pościel, poduszki i bieliznę.

Brak urządzeń sanitarnych odpokutowaliśmy wszyscy: my pielęgnarki dostawaliśmy w słabszym lub silniejszym stopniu gorączki tyfoidalnej, i nie mogliśmy nawet w tym czasie porzucić służby, gdyż brakowało zastępstwa. Chorzy tylko dzięki niezmordowanym wysiłkom nie dostali odleżyn i stosunkowo bardzo niewiele śmierć zabrała.

Oto nasz dzień: zmiana służby następowała o 9 rano. Zrzuciliśmy nasze mundurowe kotuszki, wkładaliśmy białe fartuchy i zanosiliśmy śniadanie chorym. — Cześć, dzień dobry — mówiliśmy półgłosem, wchodząc do swoich „sal”. Podnosiły się głosem: „Zaraz zrobili się jaśniejsi. — odrywa się tyfuśnik słabym głosem. — Jakby stańce wezšlo — uśmiecha się czarno zaroiński i biały śmiertelnie drugi. — Nocna, a raczej poprzednia zmiana: wyczerpane po 24 godzinach służby, blade, o zmęczonych powiekach Ela Guzikówna i Marysia Janicka krótko zdają nam sprawę z zarządzeń doktora, ze stanu zdrowia chorych. Zaglądamy do kart gorączki, sprzątamy, palimy w piecach, ścielamy łóżka. Wizyta lekarska. Niezmordowany doktor Mozolowski godzinami przebywa w szpitalu. Koko 11 zjawia się dr. Światłaska; jej wizyta dodawała zawsze ducha chorym. — „Biedaku! mówiła, biedaku! Jakte się męczy. Ale zaraz bądźcie lepiej. Przysłyszmy, doktorze, poduszkę!” — Prawdziwą? szepce z niedowierzaniem chorey, poruszając słabo obolałą głową na twardym wałku siana. — Prawdziwa, puchową! — zapewnia doktor. Oczy chorego rozjaśniają się. — I białą koszulę jeszcze, — prosi wstydliwie. — Tak, tak i białą koszulę. — I szczeroteczkę do zębów? — I szczeroteczkę. — Chory uśmiecha się i zasypia z wyrazem cichego rozradowania, marząc na niewygodnym sienniku, w szarej szorstkiej koszuli o miotliwości jakiej takiej wygody. Inni ciężko chorzy otwierali na chwilę oczy i uśmiechali się słabo do „pani doktorki”, ujęci jej współczuciem i dobrocią.

Obiad rozdajemy chorym ściśle według przepisanej diety, wiec dania niewytbredne. Po obiedzie w izbach robi się cicho — to pora drzemki. Jedząc same obiad, który przynosiła nam Tosia z kuchni żołnierskiej w mienatkach, zaglądałyśmy co chwila do chorych: nie można ich było zostawić choćby na kwadrans bez opieki — ciągle potrzebowali pomocy. Zmrok zapadał wczesnie: poprzez małe chłopię okna szarały pustkowia, otaczające chatę wokół. Zapalałyśmy lampy, saltowe „kopcidyunki”, które trzeba tak starannie czyścić i oprawiać — znówu lekarstwa, mierzenie gorączki, różne zabiegi.

A po wczesnej herbacie zaczynało się nocne czuwanie: zostawialiśmy się tylko we 2 sanitariuszki przy chorych. Wiatr łomotał drzewiami i bębnił często deszczem na szybach. Gdzieś z pod stóp góry, z niewidocznego w ciemnościach Nawia dyszały ciężko lokomotywy i powolnie z głuchym turkotem przesuwały się wagony. W izbach, słabo oświetlonych nocną lampką, stojącą na podłodze, w czarnych fantastycznych cieniach, drżących na ścianie — panował doch i rytm choroby. W dzień mniej widoczne było to pasowanie się chorych ze śmiercią. Teraz ciężkie, świszające oddechy, rwane w gorączce słowa mające przerzucały nas do głębi. Nachylone nad łózkami podawałyśmy wodę, lekarstwa, przytrzymywałyśmy rozpalone dygotające ręce, uspakajałyśmy i układałyśmy do snu niespokojnych i rozgniewanych. — Miałymy chorych z marszu od Grójea do Krakowa; to też nerwy mieli rozbić do szczeru, a organizm przeżył chorobą; w mająceni nocnem odawano im się czasem, że są jeszcze w marszu.

Czarna długa noc. A co pewien czas należało iść na dwór, wynieść mączynia, wyszorować. Świeciliśmy sobie latarką elektryczną, by nie wpaść do dołu, gdyż był nieogrodzony. A gdy baterja, zabrana jeszcze z „domu”, wypaliła się, brodziliśmy w ciemności. Dopiero, gdy jedna z nas omal nie wpadła do tego dołu, kilka energiczniejszych zwróciło się do komendantki sanitarnej z prośbą o nowe baterje, chowane skrupulatnie dla „kolumny transportowej”, której wyjazd odwlekał się bezustannie.

Brak dobrej organizacji odbił się w wielu szczegółach. Dostałyśmy wszystkie cztery sanitariuszki gorączki tyfoidalnej. Daliśmy znać do komendy przez Tosię, naszego łącznika ze światem, by przysłano zastępstwo. Dyktur wypadł na Zosię i na mnie. Obie miałyśmy już silną gorączkę i ledwo trzymałyśmy się na nogach, lecz musiałyśmy przetrwać całe 24 godziny, gdyż nikogo nie przysłano. Na drugi dzień rano przywlokła się zmiana za Zoszę, chora i również zgorączkowana Marysia Janicka. Moja zmiana — Ela, nie była w stanie ruszyć się z łóżka. Doktor nie mógł doprosić się, by odkomenderowano którąkolwiek z niewiast, będących bez przydziału w Jabłonkowie. Już i chorzy szemrali, mówiąc: — „Żołnierza nawet nie zostawiają 36 godzin na służbie bez przerwy, a cóż dopiero kobietę!” Zluzowała mnie dopiero koło 9 wieczorem komendantka sanitarna, Zoska Dobijanka. Był to, jak się mówi „najwyższy czas”, gdyż po oddaniu służby Dobijance uczulam, że mnie siły zupełnie opuszczają.

Ale nie było czasu na chorowanie. Po 24 godzinach, trochę jeszcze w gorączce, ale już silniejsze stanęłyśmy znów wszystkie do pracy w szpitalu.

Co drugi dzień szliśmy w dniu odpoczynku na obiad do jadalni oficerskiej. Wyrobiła nam to Dąbrowa, widząc, że zmierzaliśmy na służbę w szpitalu. Rzadko chodziliśmy do szatni; dalekie byliśmy od ówczesnej polityki i zdarzeń dnia. To też dotknęło nas do głębi, gdy raz, kiedy niesliśmy przez się w gniechu komendy z trudem wymolestowane poduszki dla naszych chorych, powitał nas groźny pomruk zgromadzonych tam „legunów”: A im naco poduszki? Cały dzień zęby do oficerów szczerzą, po komendzie się płaczą, żołnierze-
wi należą się wygody — oddajcie poduszki! — Co robisz tu te kobiety? — Żarty rubaszne, bolesne żarty uderzyły nas boleśnie. Zagrożono nam drogę. Nagle ktoś krzyknął: — „Cicho, one są ze szpitala zakaźnych!” Smer ucichł. Zobaczyliśmy wolną drogę przed sobą. I gdy całe w płomieniach wstyd i oburzenia, trzymając oburącz cenne poduszki — szliśmy utworzonym nagłe szpalerem, pomiędzy rozjątrzonymi przed chwilą legunami — ujrzałyśmy, że naraz bez komendy — ręce zaczęły podnosić się do czapek, aż w milczeniu zasalutował nam cały szereg wzdłuż śieni. — „Wybaczcie, obywatelki”, pogodził za nami czyis głos, — „nie poznaliśmy odrazu, że to wy ze szpitala na górce, to wam na odprawie pochwałę odczytano”.

Wiedziałyśmy, że nie dla nas wszystkich znalazła się w Legionach użyteczna robota. Dochodziły do nas odgłosy tarc, sporów — ale doprawdy, że życie szpitala było dla nas ważniejsze, niż cała polityka niewieściej pracy, niż nawet zarzut i opinja, z którymi zetknęłyśmy się tak boleśnie.

W szpitalu męczyła nas dalej nędza, której nie byliśmy w możności zapobiec. Przeżywałyśmy ciężkie dni w chwili pierwszej śmierci w ścianach naszego szpitala. Śmierć zbliżała się nieubłaganie; a ostatniego dnia położyła tak straszliwe piętno na twarzy chorego, nieszczęsnego Witolda Wagnera, że na pierwszy rzut oka widać było, że ten jest skazany. Poczciwa Tosia pobiegła wieczorem po księdza, mieszkającego o 3 ulocysty od Nawoia, w Jabłonkowie. Przybył ks. Ścisłała. Koło 9-ej wieczorem chory zmarł. Nie było gdzie ciała przetrześć; zwłoki leżały całą noc na łóżku, ukryliśmy narazie śmierć przed innymi chorymi; rano smutek zapanował w szpitalu, wszyscy go żalowali; jeden z chorych odiarował swą kurtkę strzelecką: — „Niech ma ją w trumnie, kiedy tak chciał wyzdrowieć, aby znova mundur nosić”. Odwiozłyśmy trumnę na chłopskim wózku do kaplicy pogrzebowej. A na drugi dzień odbył się pogrzeb. Kompanja honorowa spódniała się; z gryzącym tałem w duszy ujrzałyśmy, że trumnę chcą nieść do grobu „cywila”; więc dźwigałyśmy trumnę same, będzie mu milej, wszak my też z I Brygady. Żal nam było młodego życia, — i tej matki nieznanej, którą często chory wspominał.

Żyliśmy życiem chorych, pochłaniała nas praca szpitalna, troska nieustanna o braki; gębiła nas przymusowa oszczędność w bieliznie dla chorych, w środkach opatrunkowych. Ale nie oddałybyśmy tej pracy i tych chwil za nic na świecie. Miałymy to przećdne, niezem nie zaćmione uczucie, że stoimy jak żołnierze w okopach na posterunku, że należymy nie tylko z imienia, ale z ducha i z czynu do I Brygady, że choć Komendant, będąc w Jabłonkowie, nie zdążył odwiedzić naszego szpitala, ale my służymy Mu, na tem pustkowiu, pielęgnujemy Jego żołnierzy, by na nowo wdziali mundur. Zapominalymy, że jesteśmy oddzieleni od własnych rodzin, że dochodzą do nas najstraszliwsze wieści o spustoszeniach wojny...

A w sztabie ważyły się nasze losy, choć nie wiedzialiśmy o tem. Dawnych chorych wywożono do innych szpitali — do Zakopanego, do Bogumina. Odjechali z ciężkiej chorych Kniat (Szczepan) i Skala (Brodowski), potęgnał się krotouchwily Tyrchał ze Lwowa i uprzejmy „Wróbelak” (gdyl jadł, jak ptaszek) i posępny góral z pod Czorsztyna i Marjan Paradowski, który już jako rekonwalescent z tytułu dawnego kolegi pomagał Zosi Sikorskiej w pracy. A odchodząc, już w mundurach, odwracali się jeszcze od progu i niejeden nagle rozrzmiony powtarzał: — „Niech Chrystus ma was w swej opiece — obywatelko-słostro”.

Nowi chorzy bywali często „z warta”, t. j. więzieni pod różnemi zarzutami; po wyzdrowieniu mieli iść pod sąd, na śledztwo; przykre nam to było. To też niemal z ulgą dowiedzialiśmy się, że obywatelka Flezarowa formuje kolumnę sanitarną, idzie z nią na front (nareszcie, nareszcie!) i że — wpisała niektóre z nas z kolumny transportowej Dobijanki, do swej „ewidencji”. Mimo jednak radości, żegnaliśmy nasz szpital z uczuciem głębokiego żalu.

Po naszym wyjeździe szpital w Nawsiu miał być zwiniey. Ale przywlokła się straszliwa czarna ospa, powaliła chorych, doktora i pozostałe niewiasty. Wtedy nieoceniona, niezrównana w poświęceniu Tosia służyła chorym, nie lękając się zarazy.

Dochodziły nas wieści o tych ciężkich dniach w naszym szpitalu. — Niestety, i wówczas jeszcze nasza „kolumna sanitarna” nie dotarła na front. W Nowym Targu czekałyśmy na dalsze rozkazy. Pomogłyśmy miejscowemu komitetowi pań urządzić wileć dla bataljonów, stojących w Nowym Targu i w Szallarach. Żegnaliśmy bataljony, idące w dzień Bożego Narodzenia do okopów, widzialiśmy obywatelkę Króla (Kaszubskiego), maszerującego wesoło przez Rynek — na kilka dni przed śmiercią, słyszaliśmy w święta głuche echa armat z pod Łowczówka. W Nowym Targu widzialiśmy po raz ostatni przed ich śmiercią: Wyrwę i Długosza — i tam po raz ostatni ostemplowano

nam nasze opaski na ramieniu pieczętując: Sanitet I Brygady. Po Nowym Roku otrzymaliśmy rozkaz telegraficzny z Jabłonkowa, z Komendy Legionów: mieliśmy jechać do szpitala etapowego w Dziadach, do dra Ostrowskiego. Dopiero na miejscu ujrzaliśmy, że rozkaz ten wykreślał nas formalnie ze służby w wojsku polskim!). Takie zakończenie naszej służby wynikało z konieczności kasowania oddziałów niewieściech. Nie nasza praca była niepotrzebna, tylko mściły się na nas błędy organizacji, brak planu w powoływaniu kobiet do służby żołnierskiej, i wskutek tego niewyzyskanie należytych sił, ofiarności i poświęcenia kobiet.

OSPA W SZPITALU

Wybuch wojny zastał mnie w Monachjum na studiach. Widziałam, jak w przeciągu paru dni ciche, artystyczne, pogodne miasto zamieniło się w gniazdo, dyszące pragnieniem walki, sfanatyzowane nienawiścią, do wszystkiego, co obce i inne. Mielśmy z mężem cały szereg przygód, w których brano nas za szpiegów rosyjskich, „Polen, was ist Polen?“ — wzruszali ramionami.

Nie można było wprost zrozumieć tej masowej psychozy miasta, które wyszło z kolei normalnego życia, a dla którego wojna jeszcze nie była codziennością.

Chcieliśmy z mężem jechać do Krakowa, ale trudno było o tem nawet mówić. Propozycja ta, wypowiedziana wobec niemieckich władz, budziła tylko podejrzenia. Wreszcie wypuszczono nas do Szwajcarii; tam uformował się już oddział złożony z 80 strzelców, rosyjskich na studiach w Szwajcarii oraz we Francji; z nimi razem za austriacką marszrutą przybyliśmy do Krakowa. Po krótkim pobycie w Krakowie, zawędrowałam do Jabłonkowa. Dzielna była pozycja kobiet podczas wojny! Mężczyźni byli na wojnie upragnieni, każdego nowego legionistę przyjmowano po bratersku do szeregu. Do kobiet zaś odnoszono się nieufnie i lekceważąco — uważano stale, że jest ich za dużo — nie bardzo wierząco, że pracować potrafią, a pracy było przecież tyle. Tymczasem życie dało odpowiedź, że potrafimy sprostać najcięższemu zadaniom. I nam samym jednak też skromnie się zdawało, że najmarniejszy żołnierz na froncie przedstawia większą wartość, niż najdzielniejsza kobieta poza frontem. Stąd może zro-

*) Pojechały wtedy wraz ze mną: Marysia Grzeszkówna, Bełka Słoboszewska i kilka innych.

działa się chęć poświęcenia, i przecięgnięcia samych siebie, stąd przekonanie, że najcięższą pracą tak mało zdziałać można, bo przede-wszystkiem walka ośmieszna jest potrzebna — wszystko inne, to tylko cień, tylko dodatek do tego, co najważniejsze.

W takim nastroju byłam i ja, kiedy przydzielono mnie do małego szpitala w Nawsiu koło Jabłonkowa, — któremu pomieszczenia udzielił pastor Michejda. Był to staruszek znany z pątrjotycznej działalności w całej okolicy. Miał dużo kłopotu z tym szpitalem we własnym mieszkaniu, dbał sam o chorych, którzy składali się z leżących i niezakaźnych. Byliśmy w tym szpitalu we dwie: Kazimiera Makówna i ja. Służba była tam bardzo ciężka — 24 godzin czuwania i pracy, potem przerwa 24 godzinna — sypialiśmy właściwie tylko 3 — 4 noce w tygodniu, a mimo to nie czułyśmy zmęczenia. Pastor Michejda słodczyłami i ładnymi książkami umiał życie chorym. Pomimo prymitywnych warunków — chorzy szpital bardzo chwalili.

Wreszcie przyszła wiadomość, że szpitale w Jabłonkowie będą zlikwidowane.

W grudniu 1914 r. zwinęto nasz szpitalik na plebanji, wyjechała część sanitariuszek ze szpitala zakaźnego, a mnie i Kasię przydzielono narazie do innego szpitala, który również miał szybko być zlikwidowany.

Było tam jeszcze kilkunastu rekonwalescentów po tyfusie, dyfterycie i t. p. mitych przejściach; ci mieli być w krótkim czasie ewakuowani do innych szpitali, a my miałyśmy pozostać na miejscu, aż do zupełnego opróżnienia się szpitala.

Po świętach Bożego Narodzenia przywieziono do szpitala trzech chorych legionistów, podejrzanych o tyfus. Badano ich trzech lekarzy — między innymi dr. Świńska: „Mam podejrzenie, że to jest ospa” — rzekła dr. Świńska. Dwaj panowie spojrzeli na siebie zgrozzeni. Oburzyli się na myśl podobną. Postawiono diagnozę tyfusu ze znakiem zapytania i kazano nam nie opuszczać szpitala. Chorzy skarżyli się na okropne bóle krzyża i głowy. Gorączka była wysoka. Po trzech dniach wystąpiły krosty i okazało się, że mamy w baraku rzadką, straszną chorobę — czarną ospę. Izolowaliśmy chorych w jednej z izb, w drugiej byli ci, którzy ze względu na możliwość zakażenia przed stwierdzeniem ospy musieli pozostać w baraku. Na dole przed chałupą stała warta, nie dopuszczając do nas nikogo. W baraku pozostałyśmy my, 4 sanitariuszki: Ela Guzikówna, Kazia Makówna, Tosia Pacytanka — trzy młode dziewczyny w wieku lat 17 — 19 i ja. Oprócz nas był jeszcze lekarz, dr. Mozołowski i ordynans Ferdynand Kurdziolok. No i znalazłyśmy front, tylko że zamiast kul były bakterie, — jak się okazuje, trafiają one pewnie, niż kule.

Żywność przynoszona nam w ten sposób, że składano produkty u warty — żołnierz dawał znak ręką — potem odchodził — ordynans zbiegał na dół drożyną, zabierał paczkę i wracał na górę. Wtedy warta wracała na swoje miejsce. Czasem w tych paczkach, przesłanych z wydziału gospodarczego, znajdowały się ciastka od jakiejś pocztowej służaczki, czasem parę słów do wszystkich od kogoś, kogo los izolowanych od życia przejął — kiedyś dostaliśmy przedliczne kwiaty, których nikt nie zapomniał, a które na tle baraku przeobraziły się w bajkę nie z tego świata — to znów przyszła wiadomość, że w kościołach katolickim i protestanckim w Jabłonkowie odprawiają się nabożeństwa na intencję zamkniętych w baraku. Był to początek wojny — serca ludzkie nie były jeszcze stwardniałe od cierpień swoich i cudzych.

A tymczasem w baraku oспа zaczęła się wzmagać. U jednego z przywiezionych chorych, który nigdy nie był szczepiony, wystąpiła z całą gwałtownością. Ciało jego pokryło się pęcherzykami, które zaczęły się napęcznieć materją. Powoli wystąpiły na całym ciele — biedak znosił bóle jak od otwartych i ropiejących ran. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Krosty wystąpiły na oczach i uszach — zalewając je ropą. Po kilku dniach chory zaniewidział. „Mnie tak ciemno, obywatelko!”, — mówił. „To chwilowe” — mówię — „ropa spłynie i znów będziecie widzieli!”, „Oj, chyba nie! ja już będę kaput” — mówi, łęcząc. Było jeszcze parę dni, w których słyszał, cośmy do niego mówili. Potem ropa rozlała się wewnątrz uszu — stracił słuch. Było jasne, że nie przetrzyma. Zmywałyśmy go wodą ze środkami dezynfekcyjnymi. Dotykając się tych ropiejących ran całego ciała było czemś przerażającym — ale biedaczysko przy każdym obmyciu oddychał z ulgą i wdzięcznością — mówić już nie mógł. W łóżce, w której leżał, było okropne powietrze wskutek wydzielającej się ropy; ze względu na to i na odstrasżający widok, trzeba było zabrać z tej izby 2 chorych, u których wystąpiły te same objawy, ale z bez porównania mniejszą siłą, gdyż byli szczepieni. Nigdy nie byłabym w stanie zrozumieć błogosławieństwa szczepień ochronnych, gdyby życie nie było mi dało tej poglądowej nauki. Wśród chorych, którzy byli w baraku izolowani, — zaczęły się pojawiać sporadyczne wypadki ospy. Na szczęście wszyscy byli szczepieni. Lecz objawy gorączki, bólów krzyża i głowy, oraz krosty, choć w niewielkiej ilości, stały się udziałem ogromnej większości zamkniętych. W warunkach, w jakich byliśmy, o izolacji mowy być nie mogło; po stwierdzeniu ospy u pierwszych chorych — nikomu nie pozwalano opuścić baraku; w obawie, by nie roznieść choroby.

Po 10 dniach nasz najcięższy chory zmarł.

Było to dla niego wyzwoleniem po strasznej męce, jaką przeżył. Umarł cichutko, bez jęku, na moim dykuru. Pamogłam tylko jego imię — nazywał się Wilhelm i wiem, że pochodził z Małopolski.

Owinęliśmy go w złane środki dezynfekcyjnymi przecieradła i włożyliśmy do trumny. Pochowano go w nocy.

Inni chorzy powoli zaczęli przychodzić do siebie, gdy naraz zachorował dr. Mozolowski na wyraznie ciężką ospę. Ojciec jego należał do angielskiej szkoły lekarskiej, która nie uznaje szczepień ochronnych. Młody lekarz nie był więc szczepiony, a po wybuchu ospy w baraku szczepić już nie można było, gdyż szczepionka czyniona na zakażonym organizmie powiększa chorobę. To też, gdy ciało jego pokrywał się zaczęło gęstymi krostami, w sercu nasze zakradł się ponury lęk, że dr. Mozolowski padnie ofiarą tej strasznej choroby.

Sytuacja była przynębiająca. Po kilku dniach zachorowaliśmy: napróżd ja, potem Ela Guzikówna, a wreszcie i Kazia Makówna. Musiałymy się położyć. Zdrowsi chorzy oraz pozostała przy zdrowiu Tosia Pacytanka pielęgowali nas na zmianę. Co będzie dalej? Do nikogo z rodziny pisać nie można, bo i poco? A przytem można roznieść chorobę. Codziennie przez cały czas, zachowując wszelkie środki ostrożności, przychodziła dr. Światłska. Dawała nam pomoc lekarską i stanowiła dla nas jedyny kontakt ze światem. Z okien widać było okolicę zasypaną śniegiem, drogę na dole, którą mknęli ludzie, przyspieszając kroku na widok stojącej warty. Przed oczyma w gorące słońce mi powolna śmierć żołnierza, który umierał tak niedawno.

Wreszcie choroba przeszła się — dr. Mozolowski wyzdrowiał — myśmy przyszły do siebie. Wojna z chorobą była wygrana: zabrala jedną, tylko ofiarę. We wsi nikt się nie rozchorował. Musieliśmy jeszcze potem około 2 tygodni spędzić w baraku.

Był tam dziwny nastrój. Trochę szubienicznego humoru. „Oto — wpadał na pomysł jeden z wyzdrowiałych — „możemy się tu pomordować, a co zrobi z nami policja? Nie może wziąć do aresztu, bo obawia się tych kul, które w sobie nosimy”. — Czasem urządzali mieszkańcy baraku dziką muzykę — bili w kotły do gotowania patelniami — śpiewali różne piosenki, aby okolicą słyszała i pamiętała o zapomnianych.

Przyjaźń była wśród nas niby na froncie. Zajrzeliśmy razem śmierci w oczy — poznaliśmy twarde — chyba żołnierskie życie.

A kiedy wyszliśmy z baraku — bano się nas jeszcze trochę, ale zewsząd w tym zarysowanym Jabłonkowie śląskim patrzyły na nas ciekawe i życzliwe, serdeczne ludzkie oczy.

I to nas związało ze śląską ludnością bardziej niż myśleliśmy.

Kiedy wyszliśmy — oceniliśmy dwie rzeczy, które są jak powietrze dla człowieka — zdrowie i wolność.

MOJ UDZIAŁ W INTENDENTURZE WOJSK POLSKICH

W końcu lipca 1914 r. przyjechałam do Krakowa, aby wziąć udział w pracach intendencji. Skierowano mnie do p. Józefa Okołowicza [Radziwiłłowska 23], który miał mi udzielić wszelkich w tej sprawie informacji.

P. Okołowicz chętnie przyjął moje propozycje. Omówiliśmy szczegółowo warunki naszej współpracy i ustaliliśmy nazwę: „Intendencja Wojsk Polskich”.

Dnia 5/VIII rano przystąpiliśmy do pracy, co zostało afiszami publicznie ogłoszone, wraz z wezwaniem do społeczeństwa, aby pośpieszyło nam z wydatną pomocą.

Kierownictwo intendencji objął p. Okołowicz. Natychmiast powstały 3 działy pracy: 1) sekcja personalna, 2) sekcja darów w naturze i 3) sekcja kwaterunkowo-żywnościowa.

Sekcja personalna miała przyjmować zgłaszających się ochotników i, stosownie do ich kwalifikacji i ochoty, przydzielać do rozmaitych działów pracy intendencyjnej. Sekcja darów przyjmowała rzeczy ofiarowane dla żołnierzy w polu, a więc: bieliznę, owoce, szczerbki, ręczniki, buty i t. d. Wreszcie sekcja kwaterunkowo-żywnościowa przyjmowała zgłoszenia kwater z utrzymaniem lub bez dla zamieszkujących strzelców, tudzież żywności, którą bądź odesyłała do koszar [Oleandry], bądź też na miejscu rozdzielala między zgłaszających się rekrutów.

Rozdziałem żywności kierowała w owych pierwszych dniach najintensywniejszej pracy dr. Marja Balsigerowa. Sekcję darów prowadzili, zdaje się, p.p. Lorenowie. Ja zaś w owym pierwszym dniu prowadziłam sekcję personalną. Ale już nazajutrz stanęła na porządku dziennym z całą natężennością kwestja odzieżowa, a zwłaszcza sprawa mundurów. Napływały bowiem w coraz większej ilości odzież strzelców, które trzeba było pośpiesznie ekwipować. Zdałam więc sekcję personalną innym, zwłaszcza, że już w pierwszym dniu zgłosiła się dostateczna ilość pracowników — i zajęłam się działem odzieżowym.

Już przedtem zorganizowane zostały przez „miłośnicki Drużyn” i „sympatyczny Strzelec” w kilku domach prywatnych szwalnie, które szły bieliznę, owoce, a potem również plecaki i chlebaki. Znaczniejsze szwalnie były u p. Marji Bogdanowej (ul. Florjanska), w pracowni „Astra” (ul. Karmelicka), u p. Biłewskiej (ul. Pędzichów) i u p. Nizińskiej (ul. Mikołajska). Trzeba było to wszystko „sprowadzić do wspólnego mianownika”, to znaczy scentralizować w inten-

denturze i przeprowadzić racjonalny podział pracy. Tu nieocenione usługi oddała p. Anna Dobrowolska. Tylko dzięki jej gorliwej i sumiennej pracy mogłam opiekować się szwalniami na mieście, a równocześnie zająć się zorganizowaniem pracowni mundurów.

Bezpośredni dozór nad szwalniami miała p. Dobrowolska. Codziennie, późnym wieczorem, a raczej nocą, bo wtedy dopiero wracałam, przedstawiała mi sprawozdanie ze szwalni i pokwitowania z magazynu oraz intendenty na rzeczy gotowe, które od niej otrzymano, ode mnie zaś odbierała wskazówki co do produkcji na dzień następny, tudzież asygnowała do magazynów surowców na potrzebne materiały i do kasy na wydatki. Wobec intendenty byłam odpowiedzialna za cały ten dział pracy. Zorganizowaniem pracowni mundurów zajmłam się także. Tu okazały się trudności ogromne. Nigdy mówię już o braku pieniędzy (okazało się, że na ten cel potrzeba wielkich środków); sytuację utrudniał przede wszystkim brak sukna wojskowego, gdyż intendtura austriacka wykupywała wszystko, co było w mieście. Zaczęła się szalona gonitwa po wszystkich sklepach, po wszystkich składach na Kałmierzu i Stradomiu. Pochłaniało to wiele czasu i energii.

Na kierownika technicznego pracowni przedstawiono mi krawca p. Rutkiewicza. Okazał się on człowiekiem ideaowym, gorliwym i sumiennym.

Organizacja naszej „pracowni” przedstawiała się na początku dość skromnie. Na miejscu (t. zn. w Związ. Robotn., ul. Dunajewskiego 5) mieliśmy tylko przykrawalnię, gdzie dwóch krawców ciągle tylko przykrawało spodnie i bluzy, które wraz z odpowiednimi dodatkami wydawało się innym krawcom do szycia w domu. Gotowe mundury oglądał i odbierał Rutkiewicz, on też wypłacał robotnicę.

Zapotrzebowania odbierałam bądź z intendenty, bądź też bezpośrednio z Komendy Placu (gdy chodziło o wielki pośpiech). Na tej podstawie regulowałam ruch w pracowni, zakupywałam potrzebne materiały, które wraz z gotówką na wypłaty krawcom dostarczałam Rutkiewiczowi; gotowe mundury dostawiałam do magazynu lub wprost do koszar. Codziennie wieczorem Rutkiewicz przedstawiał mi rachunkiienne z materiałów i pieniędzy otrzymanych, ja zaś składałam z całości raport w intendturze.

Zapotrzebowanie z dnia na dzień rosło, co przy braku materiałów nastroczało ogromne trudności. Najgorsze były chwile, kiedy na rozkaz Komendy Placu trzeba było nierzad w ciągu dnia uszyć kilkaset mundurów. Wtedy upadało się wprost ze zmęczenia. A jednak wspomnienia tych prac należą do najjaśniejszych w życiu!

P. Okołowicz, który od początku był ciągle „na wylocie”, po kilku dniach opuścił Kraków i podążył za wojskiem do Kiele. Kierownictwo intendencji objął inż. Marjan Szydlowski, powołany na to stanowisko przez wiec obywatelski. Był to człowiek wielkiej energii i zmysłu praktycznego, który bardzo sprężyście zabrał się do pracy. Intendencję przekształcono i rozszerzono; przybyły pracownicy: czapiek, pasów, torb, później butów i t. p. Powstawały nowe sekcje: jak magazynowa, zakupów i t. p.

Nie zapomnę nigdy jego zdziwienia, kiedy przedstawiłam się mu jako kierowniczka pracowni mundurów! Ale, po krótkiej rozmowie, polecił mi dalej kierować pracownią.

Zwróciłam jego uwagę na główne niedomagania — a zwłaszcza na brak sukna wojskowego i na konieczność nawiązania łączności wprost z fabrykami. I rzeczywiście w krótkim czasie przybył większy zapas sukna z Moraw. Można było powiększyć naszą produkcję — zwłaszcza że po 16-ym sierpnia i środki na to porwalały. Tak szła praca mniej więcej do końca sierpnia.

Pewnego dnia inż. Szydlowski wezwał mnie do siebie i zawiadomił, że Departament Wojskowy, któremu od powstania N. K. N. intendencja nasza podlegała, ma zamiar zwinąć pracownię mundurów i oddać robotę w akord „Związkowi Krawców”. Dlaczego cech krawiecki o to tak usilnie zabiega, dlaczego Rada m. Krakowa, tak bardzo ulegająca wpływom cechów, starania te popiera — to było dla nas zupełnie jasne.

Zapytana o zdanie w tej sprawie, oświadczyłam, że nie widzę żadnej racji, aby pracownię naszą zwinąć, przeciwnie, uważam za wskazane utrzymać ją i rozszerzyć, że koszty we własnym zarządzie są bez porównania mniejsze — a zresztą niema powodu, dla którego mielibyśmy teraz usunąć od pracy tych krawców, którzy przez cały sierpień tak gorliwie i ofiarnie pracowali. Ostatecznie zdanie moje zwyciężyło, ale nie obeszło się bez licznych przykrości i szykan ze strony tych, którzy życzyli sobie innego rozwiązania.

W owym czasie mianowano inż. Podgórskiego kierownikiem generalnym wszystkich warsztatów. Mnie pozostawiono na dawnym stanowisku i polecono mi przekształcić pracownię na wielki warsztat krawiecki. W tym celu oddano mi do dyspozycji „szkołę barakową” (Aleja Krasińskiego).

Dla unormowania cen krawieckich zwołałam zebranie krawców, na którym uchwalili oni minimalne ceny za robotę spodni — 1 kor. 50 h., za bluzę 5 kor., za płaszcz 8 kor.

Drugą ważną sprawą była administracja warsztatu. Zdawałam sobie z tego sprawę, że im mniej ludzi będzie przy tem zajętych, tem

administracja będzie sprawniejsza, tem łatwiejsza będzie kontrola. Należało więc wobec tego dużą część tej pracy wziąć na siebie, a z drugiej strony obmyśleć takie ksiązkowanie, któreby rzecz całą znacznie upraszczało. W ciągu kilku godzin ułożyłam cały plan. Dałam do druku specjalnie obmyśloną książkę, które wydrukowano w ciągu jednego dnia. Przyjęłam do pomocy w administracji dwie koleżanki (jedna z nich nazywała się Józefa Łazowska, drugiej nazwiska nie pamiętam). Prosiłam też o przydzielenie p. dr. M. Balaigrowej do prowadzenia kasy wypłat, a także o umieszczenie w tym samym budynku szkolnym magazynu surowców i mundurów gotowych.

Na drugi dzień warsztat funkcjonował już w całej pełni. Krawców zgłosiło się trzystu kilkudziesięciu — produkcja dzienna wynosiła przeszło 300 sztuk.

Organizacja warsztatu przedstawiała się obecnie w sposób następujący: w największej sali znajdowała się przykrawalnia, gdzie 8-10 krawców ciągle przykrawało spodnie, bluzy i płaszcze. Przykrojone rzeczy wraz z dodatkami wydawał, specjalnie do tego tylko przeznaczony człowiek, krawcom do roboty w domu.

Z dwóch funkcjonariuszek jedna prowadziła księgę krawców. Każdy krawiec miał w książce swoją kartę kontową, na której uwidocznione było jego nazwisko i adres, a pod spodem po jednej stronie pod odpowiednią datą; ile wziął do roboty, po drugiej stronie, — ile zwrócił rzeczy gotowych.

Druga funkcjonariuszka prowadziła dziennik rzeczy, wydanych do roboty i gotowych mundurów, odebranych w warsztacie. Dwóch krawców zajmowało się wyłącznie oglądaniem przyniesionych mundurów — jeśli uznali, że niema żadnego błędu, zgłaszali to do mnie — wtedy ja odbierałam mundury i wystawiałam asygnowkę do kasy. Aby zdać sobie sprawę z tego, z jaką szybkością to wszystko się odbywało, wystarczy uświadomić sobie, że w ciągu dnia przez cały ten „alembik” przesuwało się przeciętnie przeszło 300 krawców — oddających i przyjmujących roboty.

Dwa razy dziennie w południe i wieczór oddawałam za pokwitowaniem rzeczy gotowe do magazynu mundurów (prowadził go p. Zaćwiłkowski).

Poza tem prowadziłam księgę, w której wszechstronnie obrazowany był obrót w warsztacie.

Pod datą odpowiedniego dnia podane były według porządku materiały, wzięte z magazynu surowców, obok cena, dalej, co z tego przykrojono, wzięte do tego dodatki wraz z ceną — wreszcie przeciętna cena danego munduru. W ten sposób można było z łatwością

mieć obraz zupełny dziennego obrotu, a zliczywszy ostatnie kolumny w ciągu krótkiego czasu mieć także całkowity obrót od początku.

Z intendenturą miałam kontakt bezpośredni: to zn. otrzymywałam wprost od kom. Szydłowskiego rozkazy, według których normowałam ruch w warsztacie, sama zaś posyłałam na jego ręce co wieczór raport dzienny z warsztatu.

Szyliśmy mundury hurtownie do magazynu i tylko od czasu do czasu na polecenie intendenty robiono się na miarę dla tych, dla których nie było w magazynie munduru odpowiedniej wielkości. Te rzeczy i wszelkie pośpieszne przeróbki robiło się na miejscu. Obok przykrawalni znajdowała się mała pracownia, gdzie na miejscu szły stale kilku krawców. Tu umieszczali krawców kieleckich, którzy po ewakuacji Kielc schronili się do nas i szyli mundury dla żołnierzy. Tak szły roboty przez wrzesień i październik. Gdy z końcem października N. K. N. zarządził trzymiesięczne zamknięcie rachunków, byłam w tem szczególnem położeniu, że mogłam to uskutecznić w ciągu bardzo krótkiego czasu. Teraz dopiero okazała się cała korzyść uproszczonego księgowania.

Z końcem października zaczęła się likwidacja naszych plac, ponieważ Legjony przechodziły już na etat intendenty austriackiej. W pierwszych dniach listopada dostaliśmy rozkaz opuszczenia Krakowa przed ostatecznem zamknięciem zagrożonej już wówczas twierdzy.

Dnia ósmego listopada przenieśliśmy się na Śląsk: — najpierw do Jabłonkowa, potem do Trzyńca. Warsztat mundurów, jak inne, zwinięto i wykańczało się tylko rozpoczęte roboty.

Hasna Stefanja Kadełko.

NA ETAPIE W JĘDRZEJOWIE.

W drugiej połowie sierpnia 1914 r. otrzymałam rozkaz, by udać się do Komendy etapu legjonowego w Jędrzejowie, celem objęcia tam gospodarki żywnościowej, a właściwie w celu pokierowania kuchniami żołnierskimi. Na etapie tym znajdowała się wówczas dość znaczna liczba legjonistów; byli to przeważnie świeżo przyjęci ochotnicy ziemi kieleckiej. Liczba ta ulegała dość dużym wahaniom i w niektórych dniach dochodziła do 500 i więcej ludzi.

Komisarzem cywilnym na powiat jędrzejowski był ob. Eydziatowicz, komendantem placu — ob. Protasiewicz-Suszkowski; kierownictwo intendenty etapowej było w rękach ob. Kunowskiego, nazwiska

zaś jego zastępcy, oficera prowiantowego, nie pamiętam, wiem tylko, że to był z zawodu artysta-malarz, który, oczywiście, nie znał się zupełnie na gospodarce żywnościowej. On to był moim bezpośrednim zwierzchnikiem. Nie on jeden, zresztą, pełnił funkcję, zupełnie nie odpowiadającą pracy na naszym etapie, tak np. oficerem do spraw rekwizycji (choć rekwizycji tych u nas było bardzo niewiele) był np. Jerzy Żulawski.

To wszystko zresztą były już „wysokie władze” miasta Jędrzejowa; my obcie zaś z Hanką Rzepceńką siedziałyśmy na skraju miasteczka i poza magazynami żywności i kuchniami żołnierskimi nie wiele widziałyśmy świata.

W Jędrzejowie zastałam już nieocenioną ob. Teklę Dulińską, która z całym zapalem, rozmachem i poświęceniem gospodarowała, jak mogła, gotując strawę na znaczną ilość żołnierzy w kotłach, ustawionych poprostu na podwórzu jednego z domów, t. j. piekła się nieustannie w ogniu i wędziła w dymie. Przy jej to pomocy uzyskałam niezwłocznie cały sztab pracowniczek z pośród miejscowych niewiast i wraz z nimi odrazu rozpocząłam pracę.

Kuchnie, które mi oddano do dyspozycji, mieściły się za miasteczkiem, niedaleko opactwa przy byłej siedzibie „wojskiego naczelnika”. Obecnie w tej kancelarii urzędowała Hanka w charakterze podoficera prowiantowego; w jego mieszkaniu zaś, w składach aktów mieściły się podręczne magazyny żywnościowe. Pamiętam swą radość, z jaką ściągałam z półek zakurzone pliki papieru: były to akta poborowych i rezerwistów z całego powiatu jędrzejowskiego, których Moskale nie zdążyli wywieźć. Wszystko to poszło do pieca. Wiedziałam teraz, że gdyby nawet Moskale wrócili kiedykolwiek do Jędrzejowa — to mobilizacja w tym powiecie byłaby, — jeśli nie uniemożliwiona, — to przynajmniej znacznie utrudniona.

Do mojej dyspozycji i pomocy nam obydwom miałam przydzielonego podoficera i dwóch szeregowców. Dziwnym trafem, podoficer i jeden z szeregowców mieli jednakże, a bardzo poetyczne pseudonimy: Topola. Jakkolwiek Topola-podoficer i z twarzą i z postawą podobny był raczej do — wielkiej rzodkiewki.

Rozpoczęłyśmy tedy pracę. Dzień roboczy zaczynałyśmy o 5-cj rano, o tej porze bowiem przywożono mięso, które trzeba było odbierać, jak również trzeba było wydać prowiant na śniadanie i obiad moim pomocnikom, kucharkom-ochotniczkom, których było przeszło 15. Zaznaczyć muszę, że wszystkie one pracowały bezinteresownie i że, pracując w kuchniach strzeleckich, narażały — w razie powrotu Moskali, co nie było przecież niemożliwością, nie tylko siebie, ale i swoją rodzinę. Nie one jedne, zresztą, stawiały swoje losy na kartę. Nie

było niemal dnia, żeby z okolicy nie zjawiała się jakaś niewiasta z wozem prowiantów. Jedździły one po dworach, wsiach i miasteczkach, zbierając, co się dało i jak się dało. Była to jakby wskrzeszona tradycja 1863 roku, kiedy to niewiasty z własnej inicjatywy podejmowały prowiantowanie partyj powstańczych, oddając im w ten sposób nieocenione usługi i stwierdzając czynem przynależność swoją do szeregu bojowników niepodległości. Niestety, nie zapamiętałam ani jednego nazwiska tych szarych, cichych pracowniczek.

O godzinie 7-mej rano wydawałyśmy śniadanie. Trwało to nieraz do 9-tej, gdyż oddziały miały do kuchni dość daleko. Jednocześnie już rozpoczynało się przygotowywanie obiadu i tu zaczynała się tragedia. Nigdy bowiem z dnia na dzień nie można było ustalić stanu zaprowiantowania. Był to zresztą etap, przez który przewijali się legioniści w kierunku frontu i zpowrotem. Nieraz na pół godziny przed obiadem, gdy strawa w kuchniach już się dogotowywała, zjawia się łącznik z komendy z zawiadomieniem, że na obiad przyjdzie 40 lub 50 ludzi ponad przewidziany stan. I rób, co chcesz! Jedynym ratunkiem były wtedy owe jaja i serki, zwożone na wozach przez serdeczne okoliczne paniusie: pilraszko się coś z tego naprędnę, byle dużo i dobrze...

Przechodził czas wydawania obiadu. Stawałam wtedy za stołem przy wejściu w rejon kuchni strasznie poważna (nie pamiętałam już kto i z jakiej racji kazał mi przyczepić do mojej szarej bluzy strzeleckiej—czerwony szmurek na znak, że to szarta). I meldowali się u mnie pokolei dowódcy oddziałów, zadzierżyłci, a przeważnie bardzo młodzi podoficerowie i podawali stan przyprowadzonych oddziałów.

„Obywatelko, plutonowy... melduje...” i wyciągał się szary ogonek strzeleckich mundurów, cywilnych marynarek i kurtek, zdgąających do kotłów.

Najgorzej było z wodą. Lekarz etapowy zakazał w obawie epidemii picia surowej wody i ja właśnie musiałam tego zakazu przestrzegać. Ale kiedy to „legun” słuchał zakazów i rozkazów „saniteta”? Miałam więc z ową wodą serdeczne utrapienie. W każdym razie po kilku dniach zdołałam sobie u chłopców wyrobić tyle powagi, że kiedy pili wodę, to przynajmniej oglądali się, czy „obywatelka” nie widzi. Prawda, bywały wyjątki. Jakis, widocznie nowicjusz na etapie, oburzył się, że o „baba” śmie mu wydawać rozkazy i ułożył swemu oburzeniu, sięgając do obfitego słownika legińskiego. Oj, co się wtedy działo! Przedewszystkiem, omal nie obili go chłopcy, a następnie został przedstawiony do raportu i tylko moja osobista interwencja u komendanta etapu zdołała go wyratować od srogiej „paki”. Skończyło się tylko na godzinie stanła pod karabinem.

Praca w kuchni nie ustawała, bo jeszcze przed końcem wydawania obiadu zaczynało się przygotowywanie kolacji, która była wydawana o wpół do 7-mej. O tej godzinie też rozpoczynał się dla nas oba, t. j. dla Hanki i mnie dwugodzinny urlop; jechałyśmy wtedy na kolację do komendy etapu. Był to nasz jedyny kontakt ze światem. Przez etap bowiem przejeżdżał coraz to ktoś z działaczy niepodległościowych lub oficerów strzeleckich, a zresztą i nasze szarże jeździły często do Kielc. Miałymy więc wieści o tem, jak stoł sprawa i co się dzieje na wojnie. A czasem, gdy się gawędy wyczerpały, ktoś grał i wtedy marzyło się po cichu w kącie o tem, zawsze o tem, jak to będzie w Polsce i jaki obrót przyjmą nasze strzeleckie poczynania... Bo o czem innem myśleć wtedy nie umiałyśmy: wszystko poza „powstaniem“, tą naszą polską wojną, to była taka drobna i nieistotna rzecz...

A potem powrót do „domu“, t. j. do naszej kuchni przez nieoświetlone uliczki Jędrzejowa i — spanie.

Często — dla urozmaicenia — miałyśmy alarmy. Oj, te alarmy jędrzejowskie! Zabłykało się ponoć gdzieś w lasach, w okolicach Jędrzejowa kilka secin kozaków i z ich to przyczyny bywały owe alarmy. Pamiętam zwłaszcza pierwszy z nich. Głucha noc, zmęczone — spiny mocno, starając się wykorzystać każdą minutę owej nocy, tak dla nas krótkiej i — nagle — pukanie do okna — alarm! Mamy rozkaz niezwłocznego udania się do środka miasteczka, jako że tam bezpieczniej. Gotowe w kilka minut — maszerujemy posłusznie. W połowie drogi do rynku, na środku ulicy jakieś rozplaszczone ciemne sylwety: placówka. — Stój, kto idzie? Jak się to stało, nie wiem, ale łącznik, który przyszedł po nas z rozkazem i który nas teraz prowadzi, nie miał hasła. Cóż powiedzieć? Śwój! To nie dosyć. Słyszę już w ciemności groźne repetowanie karabinów; zaczynam się tedy legitymować: „To ja, Hanna, z rozkazu komendanta etapu“. Komendant placówki zajrzał mi w twarz i przekonawszy się o mej tożsamości — przepuścił. Zapakowano nas do apteki i tam nad stołem bandaży i butelka jodyny jako pożytkowie sanitarne — przedrzemaliśmy do świtu. Kozaków — naturalnie — nie było. Nazajutrz prosiłam nasze władze, by nas w razie alarmu nie ściągano do miasteczka. Rzeczywiście, następnym razem nie tylko nie ściągnięto nas, ale przy wejściu do naszego kuchennego królestwa postawiono placówkę i nas zamieszczono w jej składzie. Byłam bardzo dumna, zostałałam bowiem wyznaczona na zastępcę komendanta placówki. Ale kozacy i tym razem nie przyszli.

Tak oto w pracy, radości i trosce żyliśmy na naszym etapie, oczekując z dnia na dzień, że stanie się coś, co poderwie całe społeczeństwo do walki, że pójdziemy na Warszawę, a gdy Komendant stanie w sto-

licy, to powstanie nasz własny rząd i wtedy nie będzie miejsca na bierność i obojętność.

Zamiast jednak marszu naprzód — przyszedł odwrót: 11-go września na godzinę przed obiadem zjawił się mój zwierzchnik i wydał rozkaz, by niezwłocznie po obiedzie przystąpić do ładowania na podwodę sprzętu kuchennego i prowiantu tak, by nic nie pozostało na miejscu, gdyż odступujemy. Rozkaz do chwili wykonania miał pozostać w zupełnej tajemnicy. W kilka godzin potem, przyprowadzono mi podwody i wtedy zaczął się istny sądny dzień. Oto wszystkie moje miejscowe pomocnice poczęły błagać, aby je zabrać. Rozumiałam doskonale ich obawy, ale jednocześnie rozumiałam i to, że nie można obciążać takimi ludnością cywilną, nie miałam nadto dość podwód, to też wyjechały z nami tylko te, które były bardziej „skompromitowane”.

Evakuacja odbyła się bardzo sprawnie. Wyjeżdżaliśmy z Jędrzejowa z zupełną pewnością, że nasz odwrót, to odwrót chwilowy, że przecież — Polska będzie wolna.

Nazajutrz w Wollbromiu otrzymałam rozkaz, przydzielający mnie do Oddziału Wywiadowczego i niebawem wyruszyłam — na drugą stronę linii bojowej.

Szczepana-Hanna Rzepecka.

PRACA KOBIEC W DEPARTAMENCIE WOJSKOWYM N. K. N.

Wśród placówek zajętych przez kobiety polskie w czasie wielkiej wojny były i takie, które zająć trzeba było, a które wśród żołnierzy strzelczyń żadnych nie budziły zazdrości, co więcej, były nawet momenty, gdy stawały się przedmiotem krytyki. Placówką taką była praca w Departamencie Wojskowym N. K. N., który przez cały czas swego istnienia zatrudniał garść kobiet z dawnych organizacji strzeleckich.

Dwójki tego typu praca znalazła się tam dla kobiet: jedna, gdzie wносиły one swe indywidualne wartości i dla nich właśnie zostały do współpracy zaproszone. Tak pracowały tutaj p. Helena Orsza Radlińska (przez jesień, zimą i wiosnę 1914/15) i matka moja przez cały czas istnienia Departamentu; pierwsza zajmując się pracą w dziale werbunkowym i propagandowym, druga — w prasowym.

Odmienny charakter nosiła praca nasza, t. j. strzelczyń, które uważały się stale za „przydzielone” w wojskowym tego słowa znaczeniu do pracy biurowej. Miałymy to poczucie, że współpracujemy z oddziałami walczącymi na froncie i — aż do momentu pierwszych roz-

terek między Departamentem Wojskowym a Komendantem — praca ta przynosiła nam wiele zadowolenia.

Już wczesną jesienią 1914 r. do pracy w Departamencie zostało przydzielonych w Krakowie kilka członków oddziału żeńskiego. Potem, w chwili ewakuacji Krakowa (listopad 1914) i w okresie przejazdu Departamentu na teren Królestwa, przyjęło jeszcze kilka pracowników.

W centralnem biurze werbunkowem pracowała L. Kondolewiczówna; w biurze prasowem S. Horowiczówna, Zofja Gulińska i ja; wszystkie prawie pracowały przez okres dwuletni. Poza tem pracowały tu: L. Seidlerówna — w biurze prasowem; Wojtaszewiczowa i Smałówna w oddziale pocztowym, J. Starzyńska — w skarbowym, W. Michalska, H. i S. Millerówny i St. Studnicka — w wydawniczym, Włoskowiczowa i Osłńska — gospodarczym.

Praca nasza w pierwszych miesiącach polegała na zorganizowaniu pewnych działów administracyjnych, potrzebnych dla wojska. Przez listopad i grudzień 1914 r. Departament Wojskowy znajdował się w Jabłonkowie na Śląsku. W okresie tym Śląsk przepelniony był różnemi formacjami tyłowemi Legionów, wskutek odwrotu „sprzymierzonych” i ewakuacji Krakowa. Były to chwile pełne depresji i przygnębienia; w Jabłonkowie znajdował się szereg strzelczyń bez przydziałów, stąd smutnych i rozgoryczonych. My szczęśliwie byłyśmy, że mogłyśmy pracować w wytępieniu i gorącoce nieraz przez dzień i noc, ale z tem poczuciem, że jesteśmy potrzebne. W czasach tych panowała jeszcze harmonja między Departamentem i Brygadą i odbieraliśmy częste wieści z naszego frontu. Stało się tam gońców i przesylki.

Praca nasza była zarazem zajmująca i pożyteczna, mnie np. dr. St. Kot, szef Biura Prasowego, powierzył archiwum dokumentów „chwili”, kontrolę wysyłanych kurjerów, i korespondencję biórową. Gorącą podnieła w tej pracy było poczucie, że każdy nasz „zbrojny czyn” skrzętnie się notuje, zawiadania o nim dalekie i odległe strony i w aktach archiwalnych przekazuje potomności. Cała akcja bowiem naszych biur opierała się o dwa czynniki: utrzymania łączności z wojskiem przez listy, kurjerów, pisma, korespondencje (z tych najświetniejsze otrzymywałyśmy od Marjana Dąbrowskiego¹⁾) i Juliusza Kadena oraz nawiązywania niti z Europą zachodnią i pośrednio z Polską zakordonowaną przez nasze kurjerki (Anna Minkowska i Nelly Grzędzińska) i placówki dyplomatyczne zagranicą. Coś dziwnie pociągającego i egzotycznego było w otwieraniu tajnej poczty zagranicznej

¹⁾ Mjr. Marjan Dąbrowski zmarł w Katowicach we wrześniu 1925 r.

lub wysyłaniu tam „nielegalnych” wieści wobec pozoru zupełnego odcięcia od świata. Byliśmy też dumnie z tego, że niejednokrotnie nas trzy: t. j. Kondolewiczówną, Horowiczówną i mnie dopuszczano do tajników tej pracy, której celem było powiększanie sławy naszych strzelckich walk.

W pierwszych więc miesiącach, mimo ciężkich warunków fizycznej pracy (ciasny i zimny lokal, praca nocna, noclegi odległe o parę kilometrów od biur i żywność żołnierska) odczuwaliśmy duże zadowolenie. Na Wilję do Jabłonkowa przyjechał Komendant i byłoby to jedno z piękniejszych naszych wspomnień wojennych, gdyby nie wiadomość później otrzymana, że w tym dniu krwawiły się nasze bataliony w bitwie pod Lowczówkiem.

Od 10 stycznia 1915 r. zaczęła się wędrówka Departamentu do Królestwa i wtedy po raz pierwszy oświadczyliśmy sobie, że istnieje zasadnicza różnica między pojmowaniem pracy agitacyjnej przez Komendanta a rozumieniem jej przez naszych zwierzchników. Łączność jednak z Brygadą utrzymywana była stale.

Dwa miesiące pracowaliśmy na terenie Sławkowa, w warunkach jeszcze może trudniejszych niż w Jabłonkowie. W marcu Departament przeniesł się do Piotrkowa i rozpoczął akcję werbunkową na szerszą skalę. Działo się to w porozumieniu z Komendantem; byli tu przedstawiciele I Brygady, początkowo por. J. Stachewicz, później por. A. Biłyk.

Znacznie później dopiero rozeszły się zupełnie drogi Departamentu Wojskowego i I Brygady. Był to dla nas, strzelczyń, pracujących z oczami zwróconymi na Brygadę moment bardzo ciężki. Zdawało nam się, że zarzut lojalności wobec Austrii jest może zbyt silny (tychdziałaliśmy o prześladowaniu Departamentu Wojskowego przez Komendę Legionów i władze austriackie), z drugiej jednak strony widziałymy zbyt wiele umiarkowania u naszych zwierzchników... Zresztą, nie umiając wnikać dobrze w istotę zagadnień, rozmawialiśmy krótko: Komendant jest naszą władzą od czasów przedwojennych i wierzymy głęboko, że tylko to, co on chce jest słuszne i najprawdziwsze! W tym nastroju nie mogliśmy pracować dłużej w Departamencie, gdyby nie to, że pracowało tam wielu ludzi oddanych Komendantowi z jego wiedzą i wolą. W porozumieniu z ich organizacją („Związkiem Białej Róży”, jak nazywaliśmy ją żartem) wystąpiliśmy z Departamentu w okresie „rewolucji lipcowej”, kiedy „pł-sudczycy” zerwali ostatecznie z Departamentem, wiedząc, że ich ideologia pogodzić się nie da z taktyką tej instytucji.

Mimo tych rozterek i ciężkich przejść ostatnich miesięcy, miałyśmy to poczucie, że, pracując w Departamencie, spełniamy pracę, chociaż

skromną i nie naruszającą naszego życia, ale pożyteczną, w której nasze kwalifikacje i zdolności osobiste przydać się mogą. Jako dowody tej pracy zostawiłyśmy, wychodząc z Departamentu, wielkie archiwum dokumentów, dotyczących się walk legionowych i akcji niepodległościowej w kraju i zagranicą, archiwum, które miało być wynikiem z pewnej jednostronności politycznej, ale które mogło stać się podstawą zbiorów o szerszym zakresie.

Anna Minchanka.

KURJERKA BIURA PRASOWEGO DEPARTAMENTU WOJSKOWEGO.

Na wiosnę zlikwidowano nasz szpital w Jablonkowie. Część sanitariuszek przeniesiono do Wadowic, ja zaś otrzymałam wezwanie do Piotrkowa. Od kilku tygodni przenosił się tu Departament Wojskowy, rezydujący przedtem w Jablonkowie. Za czasu mego tam pobytu nie miałam z nim żadnego kontaktu, kiedyś tylko otrzymałam zapytanie od dr. Kota, szefa Wydziału Prasowego, czy nie zgodziłabym się pojechać do Szwajcarii, a może i Francji. Objawiono mi, że chodzi o osobę znającą języki i obytą z życiem Zachodu. Ponieważ przed wojną byłam na studiach w Szwajcarii i w Niemczech, a znałam też trochę i Francję, przypuszczano, że będę umiała dać sobie radę.

Owczesna rozmowa pozostała ze względu na pracę mą w szpitalu narażenie luźnym projektem i ożyła dopiero w marcu, czy też kwietniu 1915 r. po moim przyjeździe do Piotrkowa. Smutna była to podróż! Wszędzie widać było rozpanoszenie się okupantów. Tyleśmy wszyscy mówili i marzyli o tej godzinie, w którą Moskale opuszczą teren Królestwa, tak zdawało się łatwym objęcie uwolnionych terenów tylko przez polskie siły! Zapomnieliśmy (my, t. j. szary tłum legionowy), że mamy jeszcze dwóch wrogów, z którymi powoli zaniesie się na walkę równie ciężką, choć może nie w otwartem pola, jak z Moskalami. Zresztą i z tymi ostatnimi walka też nie była wówczas zakończona i groza trwającej wojny dawała się odczuć na każdym kroku.

Jechałam nieoświetlonym wagonem przez okupację niemiecką, potem austriacką. Po drodze ciągle rewizje dokumentów, walizek...

W Piotrkowie społeczeństwo odnosiło się do legionistów nęgiół dość zyczliwie. Były nawet domy pełne entuzjazmu, otwarte dnem i nocą dla zmęczonych legionistów, jak np. dom p. p. Kowalskich na Krakówku którego ściany zdawały się rozszerzać w miarę napływu gości.

W mieście działał Departament Wojskowy N. K. N. W opinii ogólnej uchodził on za ekspozyturę woli Komendanta, opinia przeciętna.

jak widać, była w tym okresie zdeзорjentowana i nie wiadano, czy trzeba werbować ochotników czy narazie należy trwać w pogotowiu z bronią u nogi i nie tworzyć nowych oddziałów. Wynikło na tem tie nieporozumienia, z których potem powstał wielki rozbrat, były wówczas dopiero w zawiązku. Ja, osobiście, miałam psychologię żołnierską. Przyzwyczaiłam się do niej w szpitalu — byłam zdania, że wedle sił moich muszę spełniać wszystkie obowiązki, które na mnie włożą. Dr. Kot oznajmił mi, że powinnam pozostać w Piotrkowie, że co jakiś czas będę otrzymywała papiery i z temi jeździła zagranicę.

Pierwsza podróż przypadła w kwietniu 1915 r. Wy tłumaczono mi, że mam zawieźć do Szwajcarii, do Biura Prasowego w Rapperswyli szereg artykułów, które, opisując działalność Niemców i Austriaków na terenie okupowanym, kompromitowałyby ich rolę w Kongresówce; artykuły te stamtąd miały być wysyłane do Anglii i Francji do pism, w celu zmuszenia okupantów do dawania jak największych ulg Polakom. Mówiono mi, że oczywiście, odpowiedzialność kurjera jest wielka, gdyż w razie wysypiania się kompromituje on nie tylko siebie, ale Departament i działalność legjonową. Otrzymałam istotnie zwitek papierów zapisanych drobnymi pismem, oprócz tego jednak dano mi cały szereg listów prywatnych i półprywatnych do wrzucenia w Szwajcarię oraz album fotografii legjonowych. O tych rzeczach mówiono mi, że nie grozi za nie żadna odpowiedzialność, że powinnam album położyć na wierzchu w walizce. Album przeznaczone było dla archiwum w Rapperswyli. Poza tem wzięłam jeszcze szereg wycinków z gazet polskich dla polityków polskich w Szwajcarii. Każdy początkujący zwykle płaci, jak to mówią, frycowe. Los ten spotkał i mnie.

Otrzymałam marszrutę do Wiednia, stamtąd miałam jechać już za paszportem prywatnym. Z sercem lekka bijącym wyjechałam z Piotrkowa w nocy, w Wielki Piątek. Najgroźniejsze z papierów schowałam głęboko do kufierka, na wierzch położyłam album — listy powtykałam pomiędzy suknie i bieliznę w kuftrze i spokojnie jadę. W schotę po południu przyjeżdżam do Morawskiej Ostrowy. Rewizja austriacka — otwierają mi walizkę. Pierwszą rzecz, na którą się natykają, jest oczywiście owo nieszczęsne album — „Was ist das?“ Odpowiadam im, że album jest własnością moją, że mogą przejrzeć jeśli chcą. Podoficer kręci głową „Tego woić nie wolno bez pieczętki cenzury“. Proszę więc o taką pieczętkę — „To musi być dopiero obejrzane dokładnie“. Okazuje się, że jest na to za późno, że jest Wielka Sobota, że muszę przeczekać święta, które proponują, ażebym spędziła w baraku dla internowanych. Nie nie pomaga marszruta. Cała sprawa wydaje im się widać podejrzana. Dają mi ochronę z dwóch żołnierzy, trzeci chwyta moją walizkę i ruszamy.

Ludność spogląda ciekawie na idącą pod osłoną bagnatów „podejrzana” osobą — dzwony zaczynają bić w kościołach na rezurekcję — sklepy zamknięte — całe miasto wyległo na ulicę. Ja, idąc, myślę że ode mnie do waliszki są ledwie trzy kroki, a jest tak, jakby nieskończona przestrzeń nas dzieliła; myślę, że nie wiem, co będzie i że jestem w jakimś zwrotnym punkcie mego losu. Przychodzimy do baraków. Wyłaniają się jakieś postacie oberwane, przestraszone i ciekawe jednocześnie... Są to przeważnie internowani Rosjanie — cywile, którzy nie zdążyli wrócić do kraju w momencie wybuchu wojny. Przychodzi warta. „Przyprowadziliśmy tutaj tę panią”, mówią moi opiekunowie. Na widok jednak baraku dla jeńców okropność sytuacji wzbudziła we mnie drżącą energię. Zrobiłam szalony alarm. Z jakiej racji mam tu pozostać? Czy album z fotografiami, które należy ocenzurować, jest wystarczającą ku temu przyczyną? i t. d. i t. d. Wreszcie widząc, że sprawa nie jest zupełnie jasna, komendant baraku zatelefonował na stację i po dłuższych pertraktacjach przyszła odpowiedź, iż mogę pójść do hotelu — marszruta i waliszki natomiast mają pozostać w ręku warty, która ma odnieść je do zbadania. I wówczas przyszła mi myśl zbawienna, jaka zjawia się czasem w chwilach krytycznych. Zapytałam się, czy mogę wyjąć przybory toaletowe. Otworzyłam waliszkę. Żołnierz odwrócił się dyskretnie. Pewnym ruchem ręki schwyliłam ręcznik, i owinęłam wąż owe najgroźniejsze papiery, które cudem odrazu namacałam. Pożegnałam się i poszłam z ulgą w sercu do hotelu. Wiedziałam jednak, że sprawa bynajmniej nie jest skończona. Mianowicie: w waliszce pozostały listy, których treść nie była mi znana, potem wydanki z gazet, z których trudno będzie się tłumaczyć, choć mogłam powiedzieć, że są przeznaczone dla biura N. K. N. w Wiedniu. W każdym razie wycofawszy moje groźne papiery, mogłam spokojnie oczekiwać dalszego losu i ewentualnie zwrócić się o interwencję do Departamentu Wojskowego. Smutną i dziwną była ta Wielkanocna Niedziela w obcej mi Morawskiej Ostrawie i w niepewności losu. Nigdy może nie czułam się tak zagubioną wśród świata, jak w te dni. W poniedziałek zastukał ktoś do drzwi hotelowych. We drzwiach ujrzałam znajomą mi już twarz żołnierza. Wydała mi się przeraźliwa. Fantazja moja widziała już rewizję osobistą — wózek biłgi ku szafie, na dnie której leżały artykuły. Uśmiechnięty żołnierz, nie zdradzał jednak niczem złych zamiarów. Przywiósł mi prosto waliszkę i marszrutę. „Pani może jechać dalej”, oznajmił mi. Z bijącym sercem otworzyłam waliszkę. Na wierzchu leżało moje album opieczłowane i ostemplowane — reszta zaś rzeczy była nienaruszona. Święta Wielkanocne, zwykła opieczalność austriacka — a może i marsz-

ruta zrobili swoje. Rzeczy nie były rewidowane. Po południu wyjechałam do Wiednia.

Musiałam różnym znakomitościom N. K. N. opowiadać mając przegodę. Wszyscy kiwali głowami nad moją nieprzepraszalnością, iż, mając tak kompromitujące papiery, zgodziłam się zabierać albumy, listy prywatne i wycinki.

W Wiedniu kazano mi czekać kilka dni na ważne dokumenty. Ale po paru dniach otrzymałam tylko do zabrania jakiś list prywatny i wyruszyłam do Szwajcarii. Przyznają, że nie rozumiałam już prawie, jak będzie można przewieźć to wszystko za granicę. Wydawały mi się nieprawdopodobnymi zapewnienia wszystkich, że „poczciwa” Austria nie rewiduje wyjeżdżających z kraju. A jednak w tym okresie tak było. Przejechałam spokojnie granicę z walizką pełną „kontrabandy” i dowiezłam wszystko do Rapperswilu. Zostałam tam p.p. Zielińskich, p. Badera i Wł. Neumana. Z radością witali owe skarby z Piotrkowa; w Zurychu, gdzie się zatrzymałam, liczna wówczas kolonia polska zasypywała mnie pytaniami o Legiony, o wojnę... Byłam prawie, jak, dziadusi-powstańczie, opowiadający wspomnienia z walki o niepodległość. Prawie tak samo na mnie patrzano. Tylko że „dziadusi” po paru tygodniach, nalaadowany znów wycinkami z gazet zachodnio-europejskich, i tym razem znów bez ścisłej rewizji austriackiej przejechał granicę w Feldkirchu — powędrował do Piotrkowa.

Drugą moją podróż odbyłam już w sierpniu 1915 r.; była ona niebezpieczniejsza niż tańta. Pomiędzy Komendantem a Niemcami i Austriakami zarysował się już groźny antagonizm. W Departamencie Wojskowym byli przedstawiciele I Brygady por. J. Stachiewicz, (później A. Bilyk), A. Skwarczyński i inni, którzy mieli naadę Departamentowi wyraźną politykę niepodległościową w myśl dążeń Komendanta lub też doprowadzić do wyświeetlenia sytuacji.

Austria zaczęła wydawać groźniejsze pomruki. Na granicy wprowadzono ścisłą rewizję, prócz tego Niemcy rewidowali przejeżdżających przez ich teren do Wiednia.

Tym razem nie włożyłam już nic do walizek. Natomiast na sobie miałam całe pliki papierów. Wiem ap., że wiozłam artykuł, który później ukazał się w londyńskim „Times” o działalności Niemców w Łodzi, o wojnie Warszawy i początkach ich tamtejszej gospodarki. Dano mi marszrutę austriacką do Innsbrucku, poza tem paszport austriacki do Szwajcarii, który był przetrzymany i należało go w Wiedniu odświeżyć. Przejazdzałam granicę niemiecką w nocy. Część papierów miałam w ręcznej torbie, z której odprułam poduszewkę, wsunęłam pod nią papiery, i przyszyłam zpowrotem, — na dnie torbki leżały

chustką, pieniądze i drobniaki. Na granicy, zdaje się, że w Katowicach, podszedł do mnie pruski żandarm: „Was haben sie hier?“ rzekł odrazu, wskazując ręką na torebkę — Pan widzi przebieg! — rzekłam, otwierając ją szybko. Wpakował rękę do wnętrza. Zdrętwiałam. Zdawało mi się, że słyszę złowrogi szelest papieru. Chwila ta trwała wieczność. Wreszcie żandarm wyciągnął rękę i zrobił ruch niedbały, oznaczający, że wszystko w porządku. Zamykając torebkę, czułam dotknięcie opiekuńczego losu.

W Wiedniu miałam ciężką przeprawę; w komisariacie za nic w świecie nie chciano mi przedłużyć paszportu do Szwajcarii. Miałam tu dużo obaw, gdyż podalałam się za pochodzącą ze Lwowa, a jestem warszawianką i we Lwowie nigdy nie byłam. Stary paszport austriacki dostałam w Cieszyńcu na mocy zaświadczenia wójty z Jabłonkowa, że jestem mieszkanką Lwowa, — o to w swoim czasie postarał się Departament Wojskowy. Dodać tutaj muszę, że za służbę w szpitalu założonym w Jabłonkowie dostałam razem z trzema innymi sanitariuszkami medal Czerwonego Krzyża w Wiedniu. Medal ten zrobił swoje: serce komisarza zmiażdżyło.

Po otrzymaniu paszportu wyjechałam do Szwajcarii. Wszystkie papiery, jak się rzekło, miałam na sobie; aby je zamaskować ubrałam się w ogromny gorset, który znakomicie zwiększał moją objętość. Drżałam jednak, że w nocy zemdleję i cała sprawa się wyda. Jazda też z marszrutą, jaką obecnie otrzymałam, była dość ryzykowna i narażała na przykre zaczepki. Dla tych przyczyn przypięłam mój medal i jako jadącą na rekonwalescencję siostrę miłosierdzia szczęśliwie przejechałam granicę.

Tak przedstawiają się w ogólnym zarysie moje podróże. Kierowała mną psychologia żołnierza, rzuconego w ręce nieprzyjaciela bez innej broni, jak przebiegłość, szczęśliwy traf, cudza naiwność lub niezaradność, — a w ostateczności najmniej żołnierskie lzy lub uśmiech kobiecy.

Dla tej służby nie istnieje urok walki w otwartym polu; gorzka broń jest podstęp i przebiegłość a kiedy żołnierz takiej służby patrzy w oczy wrogowi, który uważa go za przyjaciela, czuje na sobie nie tylko posmak walki, ale i polityki, która jest nie córka, lecz pasterką Wielkiej Ideli.

Nelly Grzędzińska.

W SŁUŻBIE KURJERSKO-DYPLMATYCZNEJ.

Przed wojną mieszkałam z matką i braćmi w Paryżu. Należałam do Filarecji — marzyłam o powstaniu i wolności, ale nie uświadamiałam sobie roli, w jakiej mogłabym stać w szeregu walczących. Nie

należałam do żadnej organizacji wojskowej, gdyż w Paryżu nie było kobiecych organizacji tego rodzaju.

Wojna zaskoczyła mnie na wywczasach letnich w Londynie. Żegnając się z bratem, który jako członek najpierw Związku Walki Czynnej, a potem Strzelca w Paryżu, wyruszył przez Szwajcarię do Krakowa, aby stanąć w szeregach Komendanta Piłsudskiego — wierzyłam, że się wkrótce spotkamy w Polsce.

Narazie utknęłam w Londynie na kilka tygodni: wyjechać zrazu nie mogłam z powodu braku osobistego paszportu, później zaś komunikacja z Francją wskutek niemieckich min podwodnych w kanale La Manche została przerwana. Brat zostawił mi adresy polskich stowarzyszeń i poradził odszukać p. Tytusa Filipowicza. Odnalazłam go nie bez trudu i nie od razu — ale spotkanie z nim było dla mnie momentem przełomowym. Od niego bowiem dowiedziałam się o zajęciu Kielc przez wojsko polskie. Przeczytał mi czyjś entuzjastyczny list, pisany z tamych Kielc, list, który mnie wzruszył do łez.

Postanowiłam dostać się do Polski za wszelką cenę.

Wobec tego p. Filipowicz zwrócił się do mnie z prośbą o podjęcie się dostarczenia jego listu Józefowi Piłsudskiemu i przywieszenia mu od Niego odpowiedzi.

Nie chciałam obiecać, że wrócę, ale obiecałam, że sprawę tę załatwię. Zaczęłam więc kołatać o jakiśkolwiek dokument podróży, co wreszcie uzyskałam po długich staraniach we francuskim konsulacie.

Po kilku dniach, kiedy wznowiono komunikację przez kanał, pojechałam drugim z kolei statkiem, zaopatrzona w cenne piemo i zlecenia p. Tytusa Filipowicza. Misja moja miała polegać na dotarciu do Krakowa i dalej aż do kwatery Komendanta na froncie, na doręczeniu Mu owego pisma, które miałam nadto skopjować, aby wręczyć odpisy paru wybitnym politykom, jak. np. Daszyńskiemu, Witoldowi Jodce, Michałowi Sokolnickiemu i innym. Był to krótki memoriał, obrazujący położenie naszej sprawy na terenie koalicji, zawierający nadto plan pewnych kroków politycznych wobec Anglii i prośbę o wskazówki.

Po przewyciężeniu żmudnych, technicznych i formalnych trudności, oraz uzyskaniu potrzebnych wiz i pieczęci — wyjechałam z Paryża do Genewy. W Genewie zastałam matkę i starszego brata na wyjeździe do kraju, wraz z całym oddziałem strzelców i nieorganizowanych dotychczas ochotników i nawet ochotniczek. Uzyskane przez to grono przepustki poselstwa austriackiego — pozwoliły mi automatycznie przyłączyć się do podążanej wyprawy.

Podróż nasza trwała kilka dni. Samo przebywanie granicy odbywało się małymi grupkami, po 2—3 osoby; chłopcy przeprawiali się

często w pojedynkę, dla uspienia czujności Szwajcarów, lękańcych się wszystkiego, co by mogło naruszyć ich neutralność.

Dla zatarcia śladów przynależności do państwa rosyjskiego, przybrałszy wiede pseudonimy. — Już więc jako Nelly „Bolesławska“ przybyłam 30 IX do Krakowa.

Szczęście chciało, że Komendant główny, Józef Piłsudski, był w tym czasie w Krakowie. Zgłosiłam się do Jego kwatery, która znajdowała się przy ulicy Salak.

Komendant Piłsudski list przeczytał, zadał mi kilka pytań, potem długo chodził po pokoju, jakby zapomniawszy o mojej obecności. Wreszcie zaczął mówić i miałam wrażenie, że raczej mówi do siebie, niż do mnie. Charakteryzował sytuację w jakiej się znalazł wraz ze strzelcami. Z tego, co mówił, zrozumiałam, iż sytuacja jest bardzo trudna, ale nie mogłam się w tem wszystkim połapać. Byłam przytem wzruszona do głębi tem, że Komendant mi ufał i zechciał przy mnie tak mówić. Naraz Komendant przystanął przede mną i wyrzekł: „Pani pojedzie spowrotem i Pani to wszystko Filipowiczowi powtórzy”.

Ozłolonioma tem wszystkim wyrażałam obawę, czy potrafię sprostować zdania, lecz po długim i milczącym chodzeniu usłyszałam powtórnie: „Pani pojedzie”, przyczem słowa te były poparte przenikliwym i mocnem spojrzeniem, które trwało nieskończenie długo i miało siłę rozkazu. A Komendant jakby czekał na moje słowo, wyrzucone ze ściśniętego gardła — „pojadę”.

Po załatwieniu sprawy, Komendant się uśmiechnął i zaczął mnie wypytywać o moje sprawy, a nakoniec wzwał ob. Sławka i powierzył mnie jego opiece, oświadczając, że jutro wyjeżdża, że się ze mną już więcej nie zobaczy, lecz, że albo napisze list, albo przekaże załatwienie tej sprawy ob. Sokolnikowskiemu lub Jodce, którym również złożyć relację ze zlecenia po powrocie, gdyby Komendant był wtedy na froncie.

Nazajutrz zgłosiłam się pod wskazany mi przez ob. Sławka adres na Krowoderską 7. Na drzwicach zobaczyłam tabliczkę ze znanym mi nazwiskiem piosła Daszyńskiego, ale pani, która mi otworzyła, wymówiła z miłym, łyczliwym uśmiechem nazwisko: „Szererbińska”.

W pokoju zastałam ob. Sławka i ob. Starego. Dostałam od nich legitymację członkowską Oddziału Żeńskiego Związku Strzeleckiego. Na kilku konferencjach odbytych z ob. Jodką i Daszyńskim dostałam szereg ustnych zleceń do Anglii, Szwajcarii, Francji i Holandii. To ostatnie zlecenie dołączył do poprzednich szef Biura Prasowego N. K. N. St. Kot, polecając mi odszukanie w Hadze dr. Gargasa i skłonięcie go do podjęcia się akcji prasowej na rzecz Legionów. Kompliko- wało to sprawę o tyle, że miałam wracać przez Berlin, co zmuszało

mań do zabierania ze sobą do państw koalicji — wszelkich dokumentów aż do urzędowego „offens ordre” i rosyjskiego paszportu włącznie.

Wychalam z Krakowa 11-go czy 12-go października wieczorem. Byłam spokojna i jak najlepszej myśli. Część papierów i paszport rosyjski miałam na sobie, najważniejsze skrypty ukryłam w możliwie najbardziej pomysłowy sposób, druki powkładałam między suknie i eleganckie drobiazgi, maskując charakter mej „politycznej” walizy. Dla niepoznaki robiłam w podróży piękną robotkę lub czytałam francuskie powieści. Mimo to spotykało mnie mnóstwo trudności i zyskan: zarówno moje dokumenty, jak cele podróży budziły nieustanną podejrzliwość władz austriackich, tem większą, im bliżej byłam zachodniej granicy państw centralnych. Natomiast rewizja na granicy Szwajcarii była zupełnie powściągliwa, odbyła się w wagonie, jak za czasów przedwojennych. Pokojowi, skrzętni Szwajcarzy nie pytali o żadne paszporty — interesowali się więcej konfiturami. Droga do Francji prowadziła w tym czasie przez jedyną otwartą granicę w Belgardzie, dokąd jechałam przez Genewę.

19-go października przejechałam granicę i po różnych perypetjach — manipulując w ciągu całej tej podróży to tym, to innym z podróży moich licznych dokumentów i usprawiedliwiając moją podróż stosownie do okoliczności to w ten, to w inny sposób — dotarłam do Paryża. Tam zgłosiłam się do obecnego senatora St. Posniera, z prośbą o prowadzenie dyskretnej akcji prasowej, oświecającej działalność strzelecką w sposób nie dyskredytujący naszego istotnego stosunku do Francji. Pan Posner posiadał bardzo rozległe i poważne stosunki wśród mężów stanu, polityków i publicystów francuskich, miał przede wszystkim, choć bardzo trudne, pole do pracy, na którym też był czynny z własnej inicjatywy. Przez niego wiedziałam się w Paryżu jeszcze tylko z Władysławem Mickiewiczem, z dr. Bolesławem Motztem i z byłym komendantem Strzelca p. Markusem, do którego zwróciłam się po informacje o polskich oddziałach we Francji. Będąc obowiązana do konspiracji, starałam się nie widzieć z nikim więcej.

W Londynie, niestety, z p. Filipowiczem nie mogłam się tym razem zobaczyć. Poinformowano mnie, że należy go szukać w Richmond pod Londynem u p. p. Wojniczów. Zastałam tam jednak tylko panią Filipowiczową. On sam był chory i znajdował się w Londynie. Natomiast dowiedziałam się, że przebywa w Londynie p. Aleksander Dębski, prezes Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce. Wiadomość ta bardzo mnie ucieszyła, gdyż miałam do niego ważne pismo i nie potrzebowałam już zabiegać, w jaki sposób mu je przesłać. P. Aleksander Dębski, aczkolwiek obciążony z działalnością p.

Filipowicza, nie mógł mi wskazać nikogo, kto mógłby go zastąpić i ko-
mu można byłoby zlecić mi sprawy powierzyć. Mój projektowany
wyjazd do Hagi trafił również na nieprzewidziane trudności w postaci
wstrzymania ruchu pasażerskiego do Holandji, z powodu akcji nie-
mieckich łodzi podwodnych na kanale.

Postanowiliśmy tedy razem z p. Dębskim powracać do Krakowa,
a raczej nie razem, lecz równocześnie; zdecydowaliśmy bowiem, że
lepiej trzymać się zdaleka, aby ewentualna wyspa jednej osoby nie
skompromitowała i nie wypadła drogiej ¹⁾.

Na wszystkich więc postojach trzymaliśmy się zdaleka, schodzi-
liśmy się tylko w pociągu jako przygodnie razem jadący podróżni.
P. Dębski jako obywatel St. Zjednoczonych uzyskał bez trudu w Ber-
nie wizę austriacką, poczem przybyliśmy do Rapperswyhu, gdzie p.
Zieliński miał mi zdać relację z różnych, poczynionych w myśl wska-
zówek dr. Kota, wystąpić w prasie szwajcarskiej. Oprócz tych spra-
wozdań dostalałam od niego mnóstwo odpisów i wycinków z prasy, cza-
sopism z Warszawy i Ameryki — a nawet listów prywatnych z War-
szawy, które należało rozesać po Małopolsce i okupowanych ziemiach
Królestwa. Część tych materiałów przywiózł z Warszawy mec. Pałek,
który, jak się dowiedziałem, dopiero co wyjechał zpowrotem do War-
szawy.

Przeszwarcowanie otrzymanych gazet, ze względu na ich ilość,
wydawało mi się niemożliwością, ale p. Zieliński zapewnił mnie, że
ma w Feldkirch zupełnie pewną drogę — znajomego celnika, któremu
należy całą paczkę wręczyć z pozdrowieniem od p. Zielińskiego, on
zaś zaopiekuje się kontrabandą i zwróci mi ją w całości po dokonani-
niu rewizji politycznej. Wobec tego przyjąłem paczkę, listy prywatne
jednak musiałam włożyć na siebie wraz z wycinkami. Zaokrągliło to
trochę bardziej moje kształty, ale dzięki ówczesnej modzie noszenia
gorsetów, dało się dobrze zamaskować.

Niestety, wskazany przez p. Z. celnik zawodził zupełnie. Za pozdro-
wienie pięknie podziękował, paczkę wziął, lecz, jak się okazało,
wolał zasięgnąć w całej sprawie zdania swej wyższej władzy. Po-
prostu wyspa! Postanowiłam udać się za nim do miasta, do owej
władzy, bo zał mi było zaprzepaścić tyle ciekawego materiału. Li-
czyłam na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, ale jednocześnie drża-
łam na myśl co będzie, jeżeli i gazety straciny i naraziny się na osu-
biłą rewizję. Postanowiłam za wszelką cenę odwojować gazety. Szu-

¹⁾ Ob. Dębski miał na sobie kilka tysięcy dolarów w słoje, ochrony przez
K. O. N. do dyspozycji Komendanta na stację legjuszową.

kając pośpiesznie jakiegoś szczęśliwego fortelu, zatrzymałam się wreszcie na pierwszym, jaki mi przyszedł do głowy. Oświadczyłam celnikowi, że przenocujemy w Feldkirch i że wobec tego natychmiast musimy sobie zamówić pokoje w hotelu. Mimo zapewnień, że hotele są puste — uparłam się przy swoim. Uprzejmy celnik poszedł z nami na poszukiwania. W najbliższym hotelu wniósł mi walizkę i wtedy paczka gazet znalazła się w moich rękach. W zamęcie wynajmowania pokoi udało mi się wymknąć do toalety. Tam otworzyłam paczkę i wyjęłam z niej najważniejsze gazety, które następnie ukryłam w sprzętach pod materacem. Wtedy wyszliśmy niewinnie w dalszą drogę. Ustępującą paczkę tak poskładałam, że celnik nic nie zauważył. Porucznik, do którego celnik nas poprowadził, patrzył na nasze gazety niby na bombę, która może łała moment wybuchnąć. Pytał też dla kogo i w jakim celu to wieszemy. Wyświadczała się rozmowa. Zdołałam go przekonać, że pismo to wieszemy dla N. K. N-u, jako materiał dla zorientowania się w antlaustriackiej agitacji, szerzonej w zajętych przez Moskali częściach Królestwa i do przeciwdziałania tej akcji. Wydawało mu się to przekonywujące, gdyż w rezultacie zezwolił na przewiezienie wszystkich gazet.

Jechaliśmy dalej do Krakowa, niestety, w mocno zwolnionem tempie. Była to chwila, kiedy wojsko austriackie cofało się na całej linii, Moskale byli już pod Krakowem. Wciąż mijaliśmy pociągi przepaśmione ewakuowaną ludnością, rannymi i wojskiem. W Wiedniu do naszego przedziału weszli ulani z Karpackiej Brygady Legionów. Przynieśli mi oni wiadomości o moim młodszym bracie, Jacku Cekierrze, który jeszcze w sierpniu dotarł do Krakowa i służył pod rotmistrzem Dunin-Wąsowiczem.

W Krakowie, ogarniętym paniką ewakuacyjną — po odnalezieniu matki, biegałam całe przedpołudnie w poszukiwaniu moich mocodawców. Lecz żadnego z nich nie było na miejscu. Władze wojskowe Legionów miały być ewakuowane na Śląsk Cieszyński, zaś członkowie N. K. N. przeważnie już byli w Wiedniu. Spotkałam tylko dr. Kotę, który poinformował mnie, że Komendant jest na froncie i, że Brygada powraca z pod Dębłina, biorąc udział w ogólnym odwrocie. Poradził mi więc, abym wyjechała z Krakowa pociągami ewakuacyjnym N. K. N-u do Jabłonkowa lub Cieszyna. Ułatwił też mnie i matce sprawę uzyskania miejsc w tym pociągu. Ku mojej radości spotkałam w nim wśród tłumu obcych mi osób p. Al. Dębskiego. Niedaleka ta podróż była niemiernie długa i uciążliwa.

W Jabłonkowie zakosztowałam po raz pierwszy żołnierskiej subordynacji, żołnierskiego wikt z menażki i wojskowej kwatery. Wszystko to było pełne uroku, a nie spotykana gdzie indziej zyczli-

wość miejscowych ludzi, czyniła pobyt na Śląsku niebywale przyjemnym.

Bodajże nazajutrz po naszym przyjeździe, zjawił się w Jabłonkowie ob. Michał Sokolnicki, któremu zdałam raport ze swej misji. Wkrótce przybył na Śląsk Komendant i zatrzymał się w Jabłonkowie na naszej kwatery.

Gdy kolo 20 XI stanęłam przed obliczem Komendanta, wiedział On już od p. Al. Dębskiego o moim powrocie i o niemożności załatwienia Jego zleceń w Londynie. Zapytywał mnie jednak o różne szczegóły i o inne moje zadania. Poza tem złożyłam powierzony mi ustnie raport komendanta Strzelca paryskiego ob. Markusa. Komendant był dla mnie bardzo dobry i serdeczny, powiedział mi, gdzie się znajduje Brygada i pozwolił mi tam odwiedzić mego starszego brata. Brygada była schowana za Babią Górą przed Austriakami, którzy ją chcieli wysłać na front, podczas kiedy Komendant zdecydował, że potrzebuje ona wypoczynku. Nakoniec Komendant zapytał, co zamierzam teraz ze sobą uczynić. Wtedy to przedstawiłam Mu projekt, z którym ob. Sokolnicki i Dębski po naradzie z płk. Sikorskim i dr. Kotem zwrócili się do mnie zaraz po moim przyjeździe. Sprawa polegała na tem, że politycy nasi pragnęli zdobyć wpływy w prasie włoskiej, aby z tej neutralnej wtedy jeszcze trybuny móc głosić nasze hasła i propagować naszą rację stanu wobec całej Europy. Byłaby to druga placówka, ważniejsza może od szwajcarskiej. Na początku wojny wysłano do Włoch w celu zapoczątkowania tej działalności dr. Wł. Baranowskiego. Ponieważ jednak dotychczas nie dawał on o sobie żadnego znaku życia, stało się konieczne odszukanie go, dowiedzenie mu nowych instrukcyj i materiałów oraz nawiązanie z nim stałej łączności. Poza tem należało dotrzeć do opozycyjnego względem nas obozu endeckiego i jego rzecznika na Włochy p. Loreta, który przebywał w Rzymie, miał tam wyrobione stosunki prasowe i działał przeciwko nam na tym terenie. Uchwalono więc, aby delegować tam mnie — i to właśnie przedstawiłam teraz Komendantowi. Komendant odpowiedział mi krótko: „A to dobrze”. Bardzo mnie te słowa ucieszyły, gdyż czułam, że jako kurjerka mogę być bardzo pożyteczna. Służba bowiem sanitarna ze względu na brak sił fizycznych, była dla mnie zamknięta, a biera mnie nie nęciły. Tymczasem pierwsza moja podróż dała mi już pewne doświadczenie i porwalała żywioł nadzieję, że wyrobię się na fachową kurjerkę. Pewne niebezpieczeństwo związane z tą służbą nadawało podobnym wyprawom urok ryzyka, które jakgdyby zespalało mnie z braćmi i walczącymi na froncie strzelcami.

Mimo to później niejednokrotnie robiłam sobie wyrzuty, że nie wykorzystałam chwili, w której mogłam może dostać znów jakąś misję

bezpośrednio od Komendanta — może jakieś trudniejsze zadanie wojskowo-wywiadowcze.

Chwila ta przesądziła mój los i moją służbę. Zgromadzeni bowiem w tym okresie w Wiedniu Sokolnicki, Jodko, Daszyński, Dąbki i inni zdecydowali konieczność utworzenia większej ilości zagranicznych placówek politycznych, powierzając mi stałą rolę łącznika między krajem i jego zagranicznymi ekspozyturami.

W służbie tej, którą kierował z Wiednia ob. Sokolnicki, miałam kilkakrotnie jeszcze szczęście stawać przed obliczem Komendanta Piłsudskiego i było to po za pozuciem spełnienia obowiązku moją największą radością.

DZIAŁALNOŚĆ LIGI KOBIEC GALICJI I ŚLĄSKA¹⁾

Ideowe zaczątki małopolskiej Ligi Kobiet sięgają czasów przedwojennych. Rozpowszechniony już wtedy w ówczesnej Galicji, na Śląsku, a nawet w Królestwie Związek Strzelecki, cieszył się opieką i pomocą kobiet.

Z chwilą wybuchu wojny, gdy w dniu 6 sierpnia wyruszyły pierwsze szeregi strzelców pod wodzą Piłsudskiego do walki z Rosją, kobiety małopolskie stanęły natychmiast do pracy nad wykulpowaniem i wyżywieniem żołnierza. Zorganizowały się one wtedy w trzeczności, które nosiły różne nazwy, bądź komitetów pań, bądź komitetów Polek, a istniały niemal w każdym mieście i z dniem każdym zyskiwały na liczebności. Kiedy sprawy utrzymania i wykulpowania wojska polskiego wziął na siebie rząd austriacki, czynności tych komitetów ustały. Ich członkinie skierowały swe wysiłki ku opiece nad rannymi i chorymi i częściowo nad rodzinami będących w polu. Prace te jednak miały charakter dorywczy.

Dopiero w styczniu 1915 r., kiedy Departament Organizacyjny N. K. N. wrócił z Wiednia do kraju i osiedlił się w Oświęcimiu, praca kobiet weszła na nowe tory, a ich zapal i ofiarność zostały zużytkowane w należyty sposób — i oto w lutym tegoż roku powstały dwa pierwsze koła Ligi Kobiet w Wadowicach i Oświęcimiu. W kwietniu organizacja objęła niemal cały Śląsk.

Dalszy rozwój kół szedł równoległe z wypadkami wojennymi. Fala pracy kobiet szybko przesuwała się na wschód niemal bezpośrednio

¹⁾ Streszczenie Sprawozdania Ligi N. K. N. za pierwszy rok istnienia drukowane było w Krakowie 1916 r. Podpisało je tekście są: p.p. M. T. Błotnicka i dr. Ada Markowa.

za uchodzącym wrogiem. Przrrost kół daje się stwierdzić w każdym miesiącu, a specjalnie wysoki był w listopadzie 1915 r.; przybyło wtedy 20 kół.

Po niespełna roku istnienia Liga miała już 109 kół, nie licząc kilkudziesięciu filij, rekrutujących członkinie z pośród włościanek. Liczba członkin wzrosła do 12.560.

20 czerwca 1915 r. odbył się zjazd, na którym ustanowiono nazwę „Liga Kobiet Galicji i Śląska” oraz wybrano zarząd, któremu wyznaczono siedzibę w Krakowie.

Wszystkie wiekaze kół Ligi dzieliły się na sekcje, których praca obejmowała następujące działy: 1) gromadzenie fundusów, 2) opieka nad legionistami w polu, 3) opieka nad rannymi i chorymi, 4) opieka nad byłymi legionistami, 5) opieka nad rodzinami, wdowami, sierotami, 6) zaopatrywanie wojska w odzież, 7) propaganda ideologii Legionów, 8) opieka społeczna nad ludnością.

Koła o mniejszej ilości członkin wszystkie akcje przeprowadzały bez podziału na sekcje.

Źródłem dochodów Ligi były przede wszystkim składki. Oprócz tego jednak Liga apelowała częstokroć do ofiarności publicznej przez urządzenie zbiórek, przedstawień, podwieczorków, koncertów, jasełek, dni wstrzemięźliwości. Niektóre koła Ligi prowadziły też własne przedsiębiorstwa dochodowe. Kraków i Lwów posiadały sklepy, sprzedające wydawnictwa N. K. N. i własne, odznaki jako też pisma, służące idei Legionów. W tym samym celu Liga w Żywcu utrzymywała kiosk na mieście i dworcu, a inne koła — kramy. Liga Kobiet w Kaluszu utrzymywała bufet na dworcu kolejowym, Liga w Strypie wyrabiała sztuczne kwiaty i pisanki oraz prowadziła wczorową kulturę warzyw. Szeręg kół zajmował się pisanie podań, które stanowiły wówczas prawie jedyną formę obcowania ludności z władzami, narzuconemi jej przez wojnę. W wielu miastach koła otrzymywały od kupców 2% od rachunków na rzecz Legionów, w Brzesku Liga utrzymywała sklep bławatny, w innych miastach posiadała takie lub inne sklepy. W Śniatynie koło Ligi posiadało chór, za którego występów pobierane były opłaty, w Tenczyнку Liga dokonywała szczepień ochronnych przeciw ospie. Wszystkie te pomysłowe sposoby zdobywania fundusów były zarazem pożyteczne dla kraju i społeczeństwa, gdyż popierały przemysł krajowy, zwalczały próchniactwo i dawały w wielu miejscach utrzymanie biednym rodzinom.

Co się tyczy opieki nad legionistami, przebywającymi w polu, to posyłano na front w wielkich ilościach białinę zwykłą i ciepłą, ciepłą rzeczność wełnianą, słodycze i biblioteczki wędrowne, które można było

przewozić z pułku do pułku. Wysyłano również na front instrumenty muzyczne dla orkiestr pułkowych, aparaty fotograficzne, piłki nożne, przybory do rysunków i pisanja. Dział opieki nad rannymi i chorymi był prowadzony wszędzie tam, gdzie w miejscowych szpitalach byli legionisti. Niektóre z członkiń pracowały w tych szpitalach, jako ochotnicze sanitariuszki. Poza tem odwiedzano chorych, dostarczano im pism, książek i tytoniu, urządzano dla nich koncerty, obchody, gwiazdkę i święcone. W razie potrzeby leczono zguby chorym i zapalrywano ich w szklą. Sekcja szpitalna koła krakowskiego założyła osobny szpital dla legionistów w Rabce, który rozwijał się doskonale, lecz po 2 i pół miesiącach istnienia, zarządzeniem władz austriackich, przeszedł na własność Czerwonego Krzyża. Z inicjatywy koła lwowskiego powstał Dom lawulidów dla legionistów.

Roztaczano również opiekę nad byłymi legionistami, tworząc dla nich w całym szeregu miast schroniska i ogniska.

Jedną z ważnych gałęzi pracy było roztaczanie opieki nad rodzinami, pozostałemi bądź na miejscu, bądź na uchodźstwie, a także nad wdowami i sierotami. Dla sierot po legionistach urządzano ochronki, a w Wiedniu otwarto kursy dla ewakuowanych tam dzieci legionistów.

Łączność ze społeczeństwem Liga nawiązywała zapomocą akcji propagandowej i zapomocą opieki społecznej. Odczyty, pogadanki i obchody organizowane przez Ligę gromadziły wszędzie ogromną ilość słuchaczy. Koła Ligi zwracały też wszędzie baczną uwagę na miejscowe potrzeby społeczeństwa. Organizowały ochronki dla dzieci ubogiej ludności, współpracowały przy aprowizacji gminnej, pomagały kółkom rolniczym i t. d.

Najbardziej imponująca w dziedzinie ogólnej pracy społecznej była działalność Koła w Barysławiu. Ta gmina oddała Kołu większe fundusze, w celu założenia dwóch szpitali: epidemicznego i dla kobiet. Oba te zakłady utworzono; funkcjonowały one bardzo sprawnie.

Koła Ligi otaczały również staranną opieką groby poległych legionistów, zajmowały się ekshumacją zwłok, pogrzebanych na polu bitwy i przeniesieniem ich na cmentarze w miejsca rodzinne.

W całym szeregu miast koła Ligi utrzymywały gospody, względnie herbaciarnie dla legionistów, dbając przytem o to, aby żołnierze znajdowali w nich także rozrywki kulturalne. W wielu gospodach zakładano w tym celu czytelnie.

Trzeba też zaznaczyć, że Naczelny Zarząd Ligi Kobiety w myśl uchwały zjazdu czerwcowego utworzył ściśle i stałą łączność z siostrzaną Ligą na terenie b. Królestwa — współdziałając z nią na różnych polach pracy.

KRONIKA LIGI KIELECKIEJ.

Gdy na początku lipca 1914 r. przewoziłam na sobie z Krakowa przez granicę rosyjską kilkanaście funtów bibuły, zbrojna w troskliwe i serdeczne rady p. Marii Piłsudskiej i wskazówki W. Sławka, ani mi przez myśl nie przeszło, że za dni kilkanaście rozszaleje wojna. Potajemnie krążyły wśród koła znajomych „serje strzeleckie”, t. j. pocztówki ze zdjęciami twierdz wojskowych, numery pism wojskowych, listy składek z poczciami Strzelca krakowskiego. Lecz gdy wojna stała się faktem dokonany, gdy do Kielc dotarła potajemna wieść, że „wojsko polskie” ruszyło z Krakowa, pozostało to wystarczające i trzeba było poruszyć naprawdę szersze warstwy naszego społeczeństwa.

Pod pokojowym hasłem obrony przed epidemjami udało się nam (koleżance Julji Szartowskiej i mnie) zorganizować wykłady sanitarne dla kobiet w opuszczonym gmachu męskiej szkoły handlowej, ofiarowanym nam gościnnie przez zastępcę dyrektora p. Boruckiego. Miałyśmy przeszło 200 słuchaczek. W rozmowach robiłyśmy propagandę na rzecz Strzelca — tak, że nastrój sympatji do wojska polskiego udało się wytworzyć. To też, gdy pierwszy raz nasi strzelcy zajęli miasto na kilka godzin, koło kobiety mogło złotyć na ręce komendy dar pieniężny oraz kosz bielizny i ubrań ciepłych. Wtedy wystąpiłyśmy jawnie, jako organizacja pomocnicza dla wojska polskiego, pociągając za sobą wiele kobiet.

A gdy strzelcy po raz drugi objęli miasto swem kilkudziesięciodniowym panowaniem, z największą łatwością powstała Liga Pogotowia Wojennego, przekształciły się w nią bowiem nasze „kursy sanitarne”. Przemówienie p. Iry Moszczeńskiej-Rzepeckiej¹⁾ na specjalnie zwołanem zebraniu znalazło natychmiast żywy oddźwięk. Przewodniczącą została p. Lucyna Kozłowska. Tegoż dnia wieczorem oddała nam Komenda Wojskowa dawny internat gimnazjum męskiego. Gmach ten stał się lokalem Ligi. Od następnego rana rozpoczęła się praca gorączkowa, pochłaniająca każdy moment, a jednak niesłychanie owocna i miła. Odrazu zaczęły funkcjonować szwalnia i pralnia; maszyną do szycia, ofiarne zwożone z domów prywatnych, ustawione w dużej sali na piętrze, warczały bez wytchnienia. W sąsiednim pokoju przy

¹⁾ Praca p. Iry Moszczeńskiej, która tak owocnie czynna była w pierwszym okresie walk legijonowych, — poszła następnie w zupełnie innym kierunku. Od jesieni 1915 r. rozszalały się nasze drogi. Przyp. Rad.

stołach pracowały krojącynie. Pierwszą robotą było przerobienie derek końskich dla Beliny; zrobiono to naprędce w domu prywatnym, gdyż Belina nie chciał czekać na przewiezienie maszyny do lokalu Ligi. — „Ami godziny dłużej nie chcę mieć tych moskiewskich derek, pomóżcie mi, przeróbcie je na polskie”. — Więc przerobiliśmy. Praca trwała przez cały dzień bez przerwy. Stosunkowo niewielkimi siłami i w krótkim przeciągu czasu przygotowano prócz tego tyle bielizny, że „skład” odsyłał do intendentury po 200—300 sztuk dziennie.

W pralni ustawiono początkowo cztery balje, ilość ich zwiększono potem do 9-ciu, wmurowano kołby do gotowania, bieliznę suszono na sznurach na podwórzu; roboty było z tem coniemniars: trzeba było rachować brudne, przepoczone, zawazzone koszule żołnierskie, rozdzierać je przeczekom, dostarczać mydło, sodę, przyjmować według rachunku wypraną bieliznę, reperować ją; to też obok pralni wytworzył się samorzutnie dział reperacji, przyszywania guzików, łatania — praca to żmudna, niepozorna, ale i ona znalazła chętnych wykonawczych.

Otworzono dział przyjmowania darów, które posypały się szczodra, serdeczną dłonią. Pierwszy dar pieniężny wpłynął od weterana 63 roku, i. p. Kłodawskiego. Znoszono całej stopy bielizny, ubrań, składano kosztowności i pieniądze, ofiarowywano kartofle, mąkę, cukier, kożuchy, było siodło dla Beliny i bandaże do szpitala.

Nie brakło przy składaniu ofiar momentów rzewnych. Oto jedna uboga staruszka trzęsącemi rękoma ustawia 8 butelek soku: — Bóg dał mi doczekać, że widzę znów wojsko polskie, ale w powstanie straciłami cały majątek, niech im choć ten sok służy i niech im Bóg błogosławi. — A inna staruszka przyniosła tuzin chusteczek do nosa z wyszytym starannie czerwoną bawełną napisem: wojsko polskie. A inna, jeszcze uboższa, która nic nie mogła ofiarować, prosiła, by dać jej dużo rzeczy do cerowania: — Niech tem chociaż przysłuży się; dzięki Bogu, że przynajmniej cerować umiem ładnie, może i to się przyda, kiedy już takie nieszczęście, że nie mam do ofiarowania. — W paczce prywatnie przysłanej na imię jednej z nas znalazłyśmy bogaty dar od księżki: niewielkie sztuki bielizny, rączniki z wyszytymi monogramami — wszystko dla naszych żołnierzy.

I prawie każdy z ofiarodawców miał słowa serdecznego współczucia, słowa gorącego błogosławieństwa i podziwu dla żołnierzy. Łzy stały nam w oczach, gdy brałyśmy ze zmarszczonych rąk te drobne, ubogie datki ofiarowane akwapliwie i serdecznie, gdy patrzyłyśmy w oczy, zachodzące łzami radości, gdy słyszałyśmy słowa dobrych życzeń i nadziei. — Bóg pozwolił nam doczekać, by Polskę ujrzeć wolną, mówiły usta starców — a nam zdawało się, że patrzymy

wprost w serce Polski, wieczystie młode, miłością tętniące i pełne wiary.

Na wsiach też chętnie składano datki; całe fary kartofli, kapusty, worki grochu, faski masła, kęsy kur, ogromne dynie — wszystko to zapełniało na podwozach i zasilalo kuchnie żołnierskie.

A w kuchniach wojskowych pracowały w znacznej liczbie panie z Kielc; w energiczne swe ręce ujęły one zarząd kuchni i ciągle szturmowały do Ligi, błagając o masło, słoninę, kotły do gotowania, tytki i t. d. Liga dawała, co mogła, zabiegała, pożyczła, kupowała. Rozciągnięto również opiekę nad chorymi w bataljonach; dostarczone im sienników, czystej bielizny. Liga z Jędrzejowa przysłała raz całe kotły kompotu. Biblioteka Publiczna dostarczyła książek, rozchwytywanych przez kompanje — przez chorych i zdrowych. Chorzy leżeli w szpitalu św. Aleksandra pod serdeczną opieką siostr miłosierdzia — o czym wspominali zawsze później z głęboką wdzięcznością; Liga wysyłała tam wino i sucharki — ale ciągle było tego za mało.

Urządziliśmy szpital na Leszczycówce; we trzy, z Julą Szartowską i Zofią Ronówną uprzątnęliśmy pokoje, rozstawiliśmy łóżka i meble w ciągu jednego popołudnia i następnego ranka przekształcono domek na szpitalne salki, czyste, widne, pogodne; wózek raz za razem zawracal to po rzeczy z miasta, to po koce, poduszki i bieliznę z Ligi. Chorzy, przywiezieni przez sanitariuszy, z rozkoszą zajmowali czyste łóżka lub wypoczywali w słońcu na werandzie, na wygodnych leżakach.

W Lidzie praca wrzała: od 6-tej rano funkcjonowały już piekarnie, od 8-ej przyjmowano dary i wydawano bieliznę do szycia w domach; nie było przerwy obiadowej; ostatnie interesy, polecenia, raporty dzienne kończono o 9-tej — 9^{1/2} wieczorem. „Miljon” interesów krzyżowało się codziennie, a jakoś umiano sobie pracę rozłożyć, trudności usunąć; była gorączka, pośpiech, nawał pracy, lecz nie było zgrzytów, nie było paralizujące nieufności lub drobnostkowych uraz. Jeśli się nawet pojawiały — gaszono je w samym zarzewiu — ważniejszym sprawom służylismy, nie moglismy tracić czasu na spory i kwasy. Nieostrożnością jednak okazało się nasze mniemanie, że pod hasłem: dla wojska polskiego mogą stanąć wszystkie Polki z ducha i rozumne patriotki; nie zadano więc żadnych legitymacyj, nie robiono utrudnień; szeroko otwarto wrota dla wszystkich chętnych do pracy. Błąd ten pomścił się; było kilka niepowołanych, które później więcej szkody przyniosły sobą, niż korzyści było z kilku przyszłych przez nie guzików.

Od rana do późnej nocy tłum krążył po salach: przychodzili sierżanci z bataljonów z workami bielizny do prania i odbierali czystą;

przychodzili oficerowie, jak ob. Moraczewski, Litwinowicz i inni z zamówieniami na chorągwie białe-czerwone, ładownice, chlebaki albo worki na owies dla koni; zamawiano dziesiątki chorągiewek dla podwód; setki par onuczek, fartuchy dla obsługi kuchni polowej; upominano się o szaliki niebieskie w tonie mundurów, o chustki do nosa, — o większe ilości wina czerwonego dla chorych. Z intendentury przysyłano wozy po transporty bielizny, dr. Składkowski molestował ciągle o bandaża i uciekał się dopiero wtedy, gdy sporą pakę drewnianą upakował szczególnie kieleckimi bandażami; a o dziesiątej wieczór (w przeddzień odwrótu) przymierzał poważnie płaszcz, podszyty specjalnie dla niego futrem (wspominaliśmy później: jak to dobrze, że zdążył zabrać swój płaszcz wieczorem!).

Przychodzili żołnierze do kąpieli — często łatano im na miejscu podarte mundury, dawano świeżą bieliznę; wpadali ordynansi z kuchni bataljonowych, inni przynosili posyłki i ofiary ze sklepów (nie było niemal sklepu, któryby nie przysłał jakiego daru), prócz tego prowadzono korespondencję z Komendą Placu, wyszukiwano dla urzędów wojskowych panie do pomocy w biurach, w intendenturze, w kuchniach.

Osiemego września ostrzeżono Ligę o możliwości odwrótu, mimo to nazajutrz rozpoczęliśmy robotę, jak zwykle. Był to właśnie mój dyżur; wydałam bieliznę i mydło pracacom; czekałam na jakieśkolwiek wytyczne Zarządu. Dopiero o ósmej, gdy byliśmy już we dwie z p. Grunertówną, przysłano zawiadomienie, żeby pracę natychmiast zawiesić. W pralni robota była w całej pełni, ale musiałyśmy ją przerwać, nie wolno było zatrzymywać służby i narażać płatnych najemców na ewentualne odcięcie od domu; alarmująca wiadomość, przyniesiona przez jednego z panów, głosiła, że zostaje już najwyżej trzy kwadransy czasu do wejścia wojska rosyjskiego. Zdecydowałyśmy z p. Grunertówną, że to już koniec roboty. Pracunki odeszły natychmiast, nie zdążywszy wyjąć bielizny. Przystąpiłyśmy do palenia dokumentów. Szczęściem pod kotłami podpalony był ogień — wrzuciliśmy tam książki protokółów, listę członków, książki ośiar, kwitariusze z kasy, korespondencję, rachunki, wszystkie szpargały i świstki, jakie znalazłyśmy w biurku. Z niepokojem patrzyłyśmy, że ta masa papieru pali się tak powoli...

A tu mimo alarmu jeden żołnierz przyszedł prosić o kąpiel, inny przyniósł podarty mundur do cerowania, inny upominał się, żeby mu na południe przygotować kilkanaście chorągiewek. Powitalyśmy ich ze zdumieniem: wszakże wieść o odwrócie musiała już rozejść się po mieście. Wiedzano już o tem zapewne, gdyż zwykle pracownicy Ligi zajrzali do nas jedynie w tym celu, aby przekonać się, czy Liga

się zwiła, a kilka właścicieli zjawiało się już po swoje maszyny do szycia.

Zobaczywszy to wszystko, stropiony żołnierz, zamiast kapnąć się, pobiegł sprowadzić nam podwoź z IV bataljonu; wozy już nie dostał, sprowadził natomiast siedmiu swych towarzyszy, którzy zabierali z Ligi cenniejsze rzeczy: gotowe ładownice, bielizną czystą, buty, siódła, wino czerwone, konfitury, bandaż. Mimo alarmujących wieści zdążyli dwa razy zawrócić z workami i unieśli na fury taboru, co się tylko dało. Lecz ku wielkiemu naszemu smutkowi nie można było dostać ani koni, ani chłopca, by ukryć gdziekolwiek poduszki i materiały w sztukach; tych rzeczy żołnierze nie chcieli brać do taboru, twierdząc, że to kłopot. Zresztą zjawił się sierżant, nawołujący żołnierzy do powrotu. Ze zdziwieniem patrzył na nas, trzy kobiety „likwidujące Ligę” (przylączyła się do nas p. Kasprzycka) i ze zgrozą wykrzyknął, że całe miasto ogarnięte paniką, że odwrót na całej linii, że czasby porzucić „gałanki” i o swem życiu pomyśleć. Lecz odchodząc, przystanął nagle i rzucił zmienionym głosem: — Naprawdę, panie, jak kapitan tonącego okrętu, ostatecznie schodzą z posterunkul

Była już 11-a godzina. Skrupulatnie jeszcze raz przejrzałyśmy sale Ligi, wymiecione niemal doszczętnie z zapasów; sprawdziliśmy czy nie zostały się czyjskolwiek notatki, listy, które mogłyby skompromitować którą z członkiń; zdjęłyśmy chorągwie umocowane u drzwi wejściowych od pierwszego dnia powstania Ligi i unosząc całe naręczu cenniejszych materiałów, zamknęłyśmy Ligę po raz ostatni w tym roku. Materiały udało się wsunąć na wozy taboru gotowe już do odjazdu. Pieczęcie i kosztowności wręczono jednej z członkiń na przechowanie.

A miasto szalało z trwogi; na pustych ulicach słychać było gorączkowy stuk młotów, przybijających na nowo szлды rosyjskie, galopem przejeżdżali ordynansi cofającego się wojska, z głuchym łoskotem pędziły powozy i podwozy na stację; na kozłach strzelcy z karabinami.

Placz i lęk zapanował w Kiskach po kilkunastu cudnych, słonecznych dniach własnego rządu, który ze starego zamku biskupów krakowskich wzywał do walki o wolność.

Złamały się już lody między społeczeństwem a wojskiem; uroczysta meza połowa na placu Panny Marii potrząsnęła była niejednem sercem crypto pod kapotą wołciańską, czy pod sutanną — i oto znowu ściemniło się na świecie...

— W połowie września 1914 r. ustąpiła jawna praca Ligi. Ale zarazem raz zruconę bynajmniej nie zgasiło. Nie było wprowadzić już lokalu Ligi z chorągiewami, z ordynansami-harcierzami, z funkcjonują-

cem 12 godzin borem, z dziesiątkami ruchliwych i czynnych pracowników — lecz przetrwały połaścienne zebrania, zaś akcja pod hasłem: „pomoc dla wojska polskiego” nie ustała ani na chwilę. Sprzedawano karty pocztowe i kwiaty na rzecz „najbiedniejszych” i nawet szarmancy edycerowie rosyjscy, kupujący cukierki w sklepie p. J. Olędzkiej, składali na te cele wspaniałomyślnie srebrne ruble za bukietki przeblisnięgów lub wczesanych fiołków. W Bibliotece Publicznej również stały często pęki kwiatów na sprzedaż — pieniądze szły na cele legionowe. A gdy w maju 1915 r. Kielce dostały się pod władzę Austriaków, Liga rozwinięła znów jawnie swą działalność. Uzyskano lokal (dom dyrektora b. męskiego gimnazjum), założono schronisko, zorganizowano sekcje: szpitalną (p. K. Grunertówna), dochodów nie-stałych (dr-wa Daszewska), agitacyjną (p. Kasprzycka), opieki nad rodzinami legionistów (ja i p. Niesiołowska), szwalnię (p. Loefflerowa); przewodniczącą była p. Zofia Filipkowska. Staraniem Ligi kieleckiej odbywały się w rocznicę narodowe uroczyste obchody, które pociągały całą niemal ludność miasta, urządzano także odczyty, koncerty i zjazdy okręgowe przedstawicieli ziem kieleckiej. Przyjeżdżali delegatki z kół: z Dzierżąni, z Jędrzejowa [i z okolicznych kół mieszczańskich i włościańskich], z Kazimierzy Małej i Wielkiej, z Konuszy, z Koszyc, z Miechowa, z Niedoźwiedzi, z Olkusza, z Pińczowa, z Proszowic, ze Skalbimierza, ze Słomnik, z Suchedniowa, z Topoli i z Wodzisławia. Liczną była nasza Liga kielecka...

NA PLACÓWKACH

Dziwoja Lipińska.

PRACA NIEPODLEGŁOŚCIOWA W ŁODZI

Przed wybuchem wojny 1914 r. luźną zaledwie utrzymywałam łączność ze Związkiem Strzeleckim. Praca moja polegała tylko na zbieraniu pomiędzy znajomymi pieniędzy na Polski Skarb Wojskowy. I ta jednakoż łączność została zerwana wskutek wybuchu wojny. Odcięta od Warszawy, zostałam na czas dłuższy w Łodzi. Prędko jednakoż dowiedziałam się, że strzelcy wyruszyli z Krakowa i przekroczyli granicę.

W beznadziejnie przygnębiającą atmosferę zamierającego miasta, jakim była wtedy Łódź, wpadały od czasu do czasu wieści, zapadające głębiej w serca i umysły niektórych jej mieszkańców. Podawane przez pisma, podlegające ostrej wówczas cenzurze rosyjskiej, tyczyły się losu strzelców jakoby zupełnie pobitych pod Kielcami. Właściom tym przeważnie wierzone, litując się lub nawet zabijając owych szaleńców, którzy dla chimery oddali życie.

Była nas jednak w Łodzi małańka garstka, przeważnie skanci i uczniowie szkół średnich, którzy posiadali inne wiadomości o losach i czynach strzeleckich; chłopcy ci rozlepiali nocami na murach domów małańkie, skromniutkie odezwy, wzywające do walki orężnej. Tych głosów jednak ogół słuchać nie chciał, a odezwy były starannie zdzierane z murów, nie tyle przez policję, ile przez aż nadto lojalnych mieszkańców Łodzi. Do tego, pożądanego w apatii, przygnębianego, bezczynnego miasta, z którego głód i bezrobocie wypędzały tysiące ludzi na wieś w poszukiwaniu danych z łaski paru kartofli, lub trochy drzewa na opał, — wpadła któreś niedzieli październikowej nowina, że strzelcy z Komendantem Piłsudskim na czele są już w Piotrkowie i mają niebawem przybyć do Łodzi.

Matka moja, wieczna entuzjastka, kupiła kwiatów i poszła wraz z nieżyjącą już dzisiaj Jadwigą Rowińską na szosę pabjanicką na

miasto, by ich mogła pierwsza powitać. Daremnie przemoknięte do nitki czekały — nikt nie ukazał się na drodze. Nocą jednak przybyło kilku przedstawicieli P. O. N. i od nich przez brata dowiedzieliśmy się, że strzelcy przychodzą w poniedziałek, t. zn. 13/X w południe.

Pracowałam wtedy jako nauczycielka w prywatnym zakładzie naukowym; nie pamiętam już, jakich użyłam argumentów, ale w końcu przełożona zgodziła się, by dziewczęta, po trzech godzinach lekcycji, poszły powitać wkraczające do Łodzi polskie wojsko. Po godzinie oczekiwania, ujrzałyśmy zmęczonych, lecz sprawnie i ochotczo maszerujących strzelców, odzianych w szaro-niebieskie mundury. I pewno wtedy coś drgnęło w sercach przyglądających się łodzian, bo widziałam, jak jedni stali poważni i bardzo wzruszeni, inni patrzyli z lekkiem i niepokojem; ktoś krzyknął: „niech żyją!“. — Panienska jakas nieśmiało podawała maszerującym kwiaty — nią śmiał się nikt.

W kołach inteligencji łódzkiej zawrzało od krzykliwych, pełnych namietności dyskusyj; czuło się odrazu, kto będzie przeciwnikiem sprawy niepodległości, a kto już uwierzył i przyglądał się całemu do polskiego wojska.

Nasi przybysze rozlokowali się w gmachu nieczynnego gimnazjum rosyjskiego i w banku państwowym. Tego samego dnia udałam się z kilkoma paniami do przedstawicieli P. O. N., gdzie ofiarowałyśmy swą pracę. Sama zaś oddałam się do dyspozycji ob. Świętopelka, komendanta Oddziału Wywiadowczego I Brygady. Otrzymałam od niego polecenie pozostania w Łodzi, by kierować miejscową robotą polityczną — a zarazem zbierać wiadomości wojskowe na wypadek ewentualnej ofensywy rosyjskiej; meldunki co pewien czas miałam przewozić do Komendy Oddziału.

Skauci łódzcy, ćwiczący dotychczas po różnych zakamarkach i oczekujący niecierpliwie strzelców, wstąpili teraz sporą gromadką pod komendą Jurka Szletyńskiego do wojska. Wieczorem i dnia następnego można ich było spotkać na warscie przed gmachem gimnazjalnym. We dwa dni po wstąpieniu brata mego Wacława do wojska, rodzice moi otrzymali zawiadomienie, jedyne chyba w swoim rodzaju — a przyłane przez ówczesnego dyrektora polskiego gimnazjum, że syn ich Wacław zostaje, zgodnie z uchwałą rady pedagogicznej, usunięty z gimnazjum, gdyż nie może być równocześnie uczniem i żołnierzem!

P. O. N. rozpoczęła na terenie łódzkim żywą akcję werbunkową i propagandową, ale śmiem twierdzić, że najlepszą propagandą byli ci chłopcy, którzy, wstąpiwszy do wojska, ceniwali swe otoczenie z urokiem polskiego munduru i budzili wiarę w słuszność i wielkość sprawy, za którą idą do walki. Zaczynały w nich wierzyć przede-

wszystkimi kobietami: matkami, siostrami, koleżankami, które swą wiarą i entuzjazmem rozszerzały wciąż krąg sympatii najpierw dla strzelców, a później — dla ich idei.

Pobyt P. O. N. w Łodzi trwał bardzo krótko; Niemcy opuszczali miasto, szykując się do bitwy pod Łodzią, wraz z nimi odeszli i strzelcy. W przeddzień wyjazdu p. Jodko-Narkiewiczowa zaprosiła do siedziby P. O. N. około trzydziestu pań i zawiązała Łódzkie Koło Ligi Kobiet. Wyraziła przytem swą pewność, że strzelcy chwilowo tylko opuszczają Łódź, przypomniawszy, że zagarnięją z sobą tylu jej synów i że należy o nich i o sprawie Legionów pamiętać.

W kilka dni potem wyjechałam i ja poprzez front wojska rosyjskiego z raportem do Oddziału Wywiadowczego. W tym czasie pod Łodzią rozpoczęła się długa, zawzięta walka, przerastająca łódzian stałym jazgotem karabinów maszynowych, nieprzerwanym grzmotem armat i luną potarów okolicznych wsi i miast.

Gdy wróciłam po kilku tygodniach, byłam wprost obłędna przez osoby żadne wieści od naszych chłopców; wiadomości, jakie przywoziłam, były rozchwytywane, powtarzane dziesięciokrotnie i stokrotnie, bo przecież byłam tuż koło Krzywopłotów w momencie bitwy i widziałam samych w Kwaśnikowie. Po pierwszych wrażeniach powitania rozejrzałam się wokół. Przekonałam się, że małeńkie grono pań, ogniskujących się w domu mej matki, nie traciło podczas mej nieobecności czasu na strachy przed kulami, które często i gęsto padały wtedy na ulicach Łodzi, — lecz że panie te przygotowywały gwiazdkę dla naszych żołnierzy. Pierwsze jednakże paczki z ciepłą bielizną, amakołykami i listami, zgromadzone z wielkim trudem, gdyż grono ofiarodawców było bardzo małe, nie doszły z powodów nam bliżej nieznanych na miejsce swego przeznaczenia.

Po tem, jakgdyby wstępnie przygotowaniu, ujęłam pracę Ligi Kobiet w ramy organizacyjne. W tymże czasie pozostali w mieście skauci i studenci przygotowywali w prywatnych mieszkaniach nowe zastępy do wojska.

Taki mniej więcej stan rzeczy był w Łodzi w połowie grudnia, gdy przybył tow. Wojtek, członek Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S., by rozpocząć pracę niepodległościową i przywrócić do dawnego stanu zdeorganizowaną (wskutek masowego wstąpienia do wojska) partję. W końcu grudnia ponownie wyruszyłam z raportem do Zagłębia. Po moim powrocie zorganizowaliśmy z tow. Mallnowskim (Wojtkiem) Zjednoczenie Stronnictw Niepodległościowych w Łodzi. W skład Zjednoczenia wchodziły następujące organizacje: najżywotniejsza i najliczniejsza Liga Kobiet, P. P. S., N. P. R., Związek Młodzieży Narodowej oraz skauci. Dzięki temu, praca w Łodzi nabrała

wielkiego rozmachu. Pierwszym czynem publicznym naszej organizacji było uczczenie dziesiątej rocznicy walki o szkołę polską. Urządziliśmy dla młodzieży wiec. Jurek Neugebauer, obecny kapitan, napisał piękną odezwę; na Mszę św. tłumnie przybyła młodzież wszystkich szkół, z wyjątkiem biednych chłopców ze szkoły handlowej, których dyrektor nie chciał na tę uroczystość zwolnić. W kościele zaśpiewaliśmy po raz pierwszy od wielu lat z wielkiem wzruszeniem „Boże coś Polskę...”. Och! jakże się gniewał, jak krzyczał i przerywał nam kałędz prefekt! Ale dośpiewaliśmy wszystko do samego końca. Śpiewaliśmy, aż mury kaplicy przy ulicy Dzielnej drżały w swych posadach...

W marcu czy kwietniu przybył do Łodzi ob. Moraczewski, jako przedstawiciel delegacji N. K. N-u oraz ppor. Boerner. Przechodził ich tow. Malinowski z właściwym sobie tupetem pracował nad rozwojem P. P. S. Zainicjował on wiedejskie czasopismo partyjne p. n. „Łodzianin”. Pismo to było rozchwytywane i rozchodziło się w wielu egzemplarzach w Łodzi i całej okupacji niemieckiej i austriackiej.

W tym też czasie powstało Koło Patriotów Polskich, grupujące się koło idei Komendanta oraz Liga Państwowości Polskiej jako antyteza, popierana przez Departament Wojskowy.

Dzięki wysiłkom wszystkich wymienionych organizacji i wyjątkowej pracy przybyłych do Łodzi polityków i oficerów legionowych, świadomość społeczeństwa miejscowego zatraczała obywatelskie kręgi. Bibuła, odezwy, — najwięcej jednak „Wiadomości Polskie”, które aczkolwiek pacyły czystość idei niepodległościowej przez zbyt ugodowy stosunek do okupantów, przynosiły jednak wieści o bojach i życiu obozowym legionistów, — rozchodziły się w ogromnych ilościach po całej okupacji. Kurjerzy-skauci przeważnie pieszko, roznosili w plecakach i workach pismo to aż do Włocławka i Płocka nawet pod samą linię frontu poza Łowicz i Skierniewice, a wraz z pismem roznosili i listy przesyłane z Brygady. O rozmachu roboty w Łodzi świadczy fakt, że podczas gdy w styczniu 1915 r. na Łódź otrzymywałam 10 do 15 egzemplarzy „Wiadomości” i zaledwie kilkanaście listów z frontu, w maju trzeba było oddać kolportaż pisma firmie „Promień”, gdyż rozchodziło się go blisko 3.000 egzemplarzy; skauci zaś zmuszeni byli zorganizować pocztę, bardzo, mówiąc nawiąsem, ruchliwą, która rozsyłała setki listów, nadchodzących do Łodzi. (Dotychczas zarówno kolportaż wszystkich wydawnictw mniejszych lub większych, jako też poczta przychodząca z Piotrkowa, żłódek chłopców, idących na front, etapy wszystkich kurjerów, biura P. P. S. i zebrania polityków odbywały się w naszym domu).

Na Wielkanoc 1915 r. Zjednoczenie Stronnictwa Niepodległościowych urządziło publiczną zbiórkę na święcone dla legionistów. W tym

czasie wysłałam też całą paczkę książek na ręce kpt. Sława-Zwierzyńskiego do Brygady, gdyż chłopcy, siedząc w okopach, przygotowywali się do matury.

Zakres pracy niepodległościowej obejmował teraz także kręgi, tylu ludzi wierzyło już w świętość naszej sprawy i tak pracowało dla niej, że Łódź uważać można za serce pracy niepodległościowej na terenie okupacji niemieckiej.

Kiedy wyszedł rozkaz Komendanta Piłsudskiego zwalniający tempo werbunku, praca poszła w dwóch kierunkach: z jednej strony trzeba było wspierać P. O. W., która borykała się z brakiem funduszy, niechęcią nieobeznanego z nią społeczeństwa i czujnością Niemców, już weszających jakąś podziemną robotą — z drugiej znów strony musieliśmy pamiętać o chłopcach, będących na froncie, bo mimo podśmichów z „Ligusa Babusa” czuło się i wiedziało, że każdy list, każda wieść, drobnostka, dowodząca tej pamięci, wzruszała chłopców niepomiernie. List, który otrzymałam od poważnego kpt. Sława-Zwierzyńskiego, był tego niezbitym dowodem. Latem, po przyjeździe do Łodzi ppor. Sawickiego, praca wojskowa i polityczna stała się jeszcze intensywniejsza, chociaż Niemcy coraz bardziej chodzili nam po piętach. Pod koniec lata za mną i za kilkoma innymi członkami Łódzkiej P. P. S. zamknęły się mury niemieckiego więzienia.

Janina Brzezińska (Szara).

W PŁOCKU.

Wracałam z wywiadu w Brześciu nad Bugiem z bardzo nadwątłą nogą. Zdecydowano więc w Warszawie, że raport do komendy Oddziału Wywiadowczego odwiedzi kto inny, ja zaś — przynajmniej na 6 tygodni — jechać mam do Płocka, aby się trochę podleczyć. W niedługim też czasie otrzymałam z Zagórza zlecenie pozostania w Płocku na dłuższą, utworzenia tu stacji przesyłkowej dla Oddziału Wywiadowczego oraz prowadzenia roboty niepodległościowej na miejscowym terenie. Płock był wówczas w rękach rosyjskich.

Pracę polityczną oparłam na istniejących już ośrodkach, jak: Towarzystwo Opieki nad Mową Ojczystą, t. zw. „Tommo”, Strzelec, — jak również na dawnych, a nieco już dziś rozproszonych strukturach P.P.S.

W „Tommo” zbierała się grupa płockiej inteligencji na zebrania polityczno-orientacyjne. Tu też zakomunikowałam im pierwsze autentyczne wiadomości o Legionach i wynalazłam jednostki, które później weszły do Ligi Kobiet i Płockiej Organizacji Niepodległościowej.

„Strzelca” odszukałam na listopadowym obchodzie w gimnazjum męskim. Była to zaledwie mała grupka, składająca się przeważnie z uczniów i niewielkiej liczby robotników. Zato zorganizowani byli doskonale i stali dość wysoko pod względem ideowym. Wszyscy też przy pierwszej okazji poszli na front legionowy, jeden z nich poległ (Władysław Kowalski), a wielu było ciężko rannych.

Co się tyczy Polskiej Partii Socjalistycznej — nie była to właściwie organizacja, lecz luźne jednostki, dawni uczestnicy rewolucji 1905 r.

Obowiązkiem moim, jako prowadzącej stację przesyłkową, było ułatwienie przejazdu naszym kurierkom, które teraz były kierowane na Płock, nie objęty walką okopową. Miałam pomagać im w zdobywaniu przepustek, koni, wyszukiwać im noclegi, dostarczać adresy etapowe. W razie potrzeby miałam także uzupełniać więzione przez nie raporty wiadomościami zebranymi na miejscu. Do tych celów wykorzystywałam swoje prywatne znajomości w komendzie miejscowej milicji, na poczcie, w telegrafii, i t. d. Zadanie utrudniało mi to, że dom nasz, sąsiadujący z biurem policji nie mógł być długo bezpiecznym schroniskiem dla przejeżdżających.

W tym okresie kurjerek przesunęło się sporo. Przejechały wiedzy: Babcia Golińska, Maria Rychterówna, Julia Sokółska, Wanda Filipkowska, p. Zofja Hanicka, B. Tyunikówna i Sława.

W styczniu pojechałam do warszawskiej organizacji po dalsze wskazówki. Udzielił mi ich w swym zakresie ówczesny komendant P. O. W. Tadeusz Żuliński, o pracy zaś politycznej poinformowała mnie Jadwiga.

W powrotnej drodze do Płocka wiozłam duży zapas bibuły, którą zabezpieczyłam, wkręciwszy się do samochodu, wiozącego urzędników pocztowych. Pamiętam, jak ogarnął mnie pusty śmiech, gdy w Modlinie przepuszczono samochód bez rewizji, mówiąc: „To jadą swoi”. Praca polityczna szła jak po grudzie. Panowały tu przeważnie poglądy t. zw. słowiańskie, co wytwarzało taki nastrój, że gdy ktoś śmiał myśleć inaczej, to tak pocichu, pokryjomu, gdzieś tam głęboko w sobie...

W tymże miesiącu w uczniowskim piśmie „Do dzieła” ukazał się artykuł przeciw legionowi Gorczyńskiego, a w rocznicę powstania rozdano w kościołach wydrukowany na kartkach hymn „Boże, coś Polskę...”.

W pierwszej połowie lutego Moskale opuścili miasto. W parę dni potem na ulicach Płocka usłyszano polskiego utana. Był to Orland, sierżant ułanów Beliny. Wrażenie sprawił duże: czako ułańskie, szablę, amarantowe wyłogi... Niedługo po nim przyjechał oficer Oddziału Wywiadowczego ob. Kurp. Nie omieszkał się też zjawić przedstawicieli

ciel Departamentu Wojskowego, oficer, który już wtedy prowadził kampanię przeciwko Komendantowi.

Mundur polskiego wojska zrobiły swoje; zaczęło nareszcie uświadamiać sobie, że ono przecież istnieje.

Chłopcy palili się do wyjazdu na front. Niewiasty nasze związały się organizacyjnie w Ligę Kobiet, biorąc na swoje barki cały ciężar wykupowania oddziału. Członkin Lig było wtedy osiem. Zbierałyśmy się na konspiracyjnej „górze” przy ul. Misjonarskiej. Tam była intendencja, t. j. skład wszelkich darów w naturze, które zbierałyśmy dla naszych chłopców, skład bibuły, organizacyjne archiwum, biuro Ligi, a wreszcie przytułek noclegowy dla przejeżdżających z frontu do Warszawy. Tam też w przeddzień wymarszu nasi żołnierze otrzymali dobrze wypchane plecaki i biało-amarantowe opaski z nadrukiem „I Brygada Legionów Polskich”.

Dzień 28 kwietnia pozostawił mi smutne wspomnienie. Fakt bowiem, że wymarsz odbywał się musiał w wielkiej tajemnicy, w skrytości nawet przed rodzicami niektórych chłopców — bolał, jak rana. Księża odmówili odprawienia Mszy na intencję odchodzących. Po mimo to o 5-tej rano cały oddział zebrał się na placu przed katedrą, gdzie objął nad nimi komendę ob. Relidziński, który w tym celu przyjechał z Kamieńska. Na odmarsz patrzyło w zdumieniu kilka pobojnych bab, zdążających do kościoła na ranną Mszę. Prócz nich obecna była tylko Liga Kobiet, kilku oddanych nam ludzi oraz mała grupka sympatyzujących z nami rodzin. Miasto spało beztróskim snem o jutro.

Gdy oddział odmaszerował ku Wisłę i statek odbił od brzoza, chłopcy, przewyciężając smutny nastrój, zaśpiewali hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła”. A nas pozostających na brzoza ogarnęło takie wzruszenie, że wszyscy bez wyjątku mieliśmy oczy pełne łez.

Po wymarszu zrobiło się nagle pusto. Trzeba było się jednak ostro brać do roboty. „Przysyłać ochotników” mówili kurjerzy. Miałyśmy więc szykować drugą partję dla I Brygady. Poza tem czekała nas zwykła codzienna praca.

Liga zaczęła się rozszerzać, członkin przybywało, robotę zaczęliśmy przenosić na okoliczne wsie i miasteczka. Docieraliśmy już do Sierpca, Dobrzynia, Rypina i Drobina.

Z Piotrkowa czerpałyśmy literaturę legionową, stamtąd także przywoziłyśmy do t. zw. kramików znaczki, pocztówki, albumy i t. p. drobiazgi, które rozchwytywano w mieście.

W P. P. S. zorganizowała się szkoła; uczęszczali do niej młodzi i starsi towarzysze. Omawialiśmy tam punkt za punktem program

partyjny, prócz tego miałam tam niejedną pogadankę z zakresu historii powstań oraz dawałam wiadomości o sytuacji politycznej. Wskazówki co do pracy partyjnej otrzymywałam wobec odłączenia Płocka od Warszawy, — z Łodzi, gdzie kierował miejscową robotą tow. Wojtek Małinowski. Uczestniczyłam też w partyjnej konferencji, na którą pojechałam do Łodzi razem z tow. Ostrzyżką, prowadzącą robotę we Włocławku. Na tej konferencji poznałam Dyzię Lipińską.

Organizacja niepodległościowa, zawiązana już dawniej w Płocku i wchodząca do Warszawskiej Unii Stronnictw Niepodległościowych, obejmowała teraz coraz szersze kręgi.

Wszelkie jednak wystąpienia nazewnątr hamowane były przez Niemców. Zorientowali się oni szybko co do istotnego charakteru naszej pracy, to też śledzili nas bardzo. Pomimo to, chociaż w skromnych ramach, udało nam się urządzić obchód imienia Komendanta. Rozsprzedaliśmy wtedy setki nalepek z Jego podobizną, umiściliśmy odpowiednie artykuły w prasie miejscowej i zorganizowaliśmy wielką zbiórkę na ekwipunek dla żołnierzy. Trzeciego maja urządziliśmy duży obchód w teatrze z odczytem wygłoszonym przez p. Weychert Szymanowską. Sukces obchodu był niezwykły.

Kiedy zbierano podpisy na memoriał do Rady Nijckiej w sprawie spólzeczenia miasta pod względem zewnątrznym, wzięliśmy w tej akcji bardzo czynny udział; co więcej, powzięliśmy inicjatywę w porozumieniu z Ksawerym Prausem co do spólzeczenia początkowych szkół.

W rocznicę wymarszu Kadrówki przygotowaliśmy piękny sztandar z napisem: I Brygadzie — Płock. Sztandar ten zawiozły do Piotrkowa dwie członkinie Ligi Kobić. Również na 6-go sierpnia wydaliśmy jednodniówkę p. t. „Po roku wojny” i odpowiednią odezwę, którą w wielu egzemplarzach rozrzuciliśmy po mieście.

Górka przestała już wówczas istnieć. Miejscem naszych zebrzań stała się czytelnia St. Jańkiewiczowej, będąca ogniskiem wszystkich naszych terażniejszych i późniejszych prac. W tym okresie wszystkie zebrzań odbywały się tajnie. Niemcy adwoili cizupność, rozpoczęły się aresztowania i rewizje. Jedna z pierwszych padła oliara Jadwiga Wróblewska, wioząca bibulę z Piotrkowa i Łodzi. Po kilku dniach została zwolniona, poddano ją jednak ścisłemu dozorowi niemieckiej policji.

W przeddzień rocznicy zebraliśmy się w czytelnii, aby naradzić się nad programem dnia następnego. Wtedy to wpadła między nas wiadomość, że Warszawa jest wzięta. Tysiące pytań cisnęło się na usta, ale odpowiedzi na nie nie było. Postanowiliśmy więc natychmiast wysłać kogoś do Warszawy. „Ja jadę” — zawołał rozporączkowany

tow. Marcin, h. bojowiec P. P. S. Obawiałam się, że nie wróci. W odpowiedzi jednak uciśnął mi rękę i obiecał, że wiadomości przywiezie.

Na drugi dzień urządziłyśmy obchód w niewielkiem gronie zebranych. Mówiliśmy wtedy o rocznicy, mówiliśmy o Warszawie, wytwarzając nastrój serdeczny dla naszej sprawy i niechęć do Niemców.

Był to jednak ostatni mój w tym okresie występ zewnętrzny, w parę dni bowiem aresztowano mnie — i bez sądu wraz z Leoną Przybyszewską — (również członkinią Ligi) — wywieziono do więzienia w Toruniu, a potem na długie miesiące umieszczono w obozie jeńców w Holzminden.

MOJE WSPOMNIENIA Z ZAGŁĘBIA.

Pierwszy okres wojny spędziłam w Krakowie, gdzie razem z trzy-nastoletnim synem pracowałam w biurze intendenty i prowiantury: ja jako biuralistka, chłopiec — jako skaut.

Kraków musieliśmy opuścić w końcu września, kiedy wskutek cofania się wojska austriackiego z pod Lwowa, zaczęto ewakuować z miasta ludność cywilną.

Dnia 2/X 1914 r. przedostaliśmy się do Będzina, gdzie mój mąż od siedmiu lat był dyrektorem męskiej szkoły handlowej.

W Będzinie, jak i w całym zagłębiu, panowała naogół dezorientacja. Część społeczeństwa, wprowadzkie nieliczna, ale zamożna i posiadająca wpływy, przedstawiała się hasłom walki o niepodległość i Ojczyznę z całą stanowczością; przy Legionach opowiedziała się bardzo nieliczna grupa, głównie P. P. S., większość natomiast stanowili ludzie bierni, nie przyjmujący żadnego udziału w rozgrywających się dziejowych wydarzeniach. Jako przykład panujących nastrojów może służyć zachowanie się Rady Opiekuńczej męskiej szkoły handlowej, t. j. przedstawicieli społeczeństwa, utrzymującego uczelnię. Panowie z Rady Opiekuńczej nie chcieli pod żadnym pozorem zgodzić się na usunięcie z programu szkolnego języka rosyjskiego, który był wówczas obowiązującym przedmiotem w szkołach polskich, oświadczyli jednakże z udzieleniem mętnej dymisji, czego od nich żądał. Ponieważ jednak wbrew opinii całej Rady Opiekuńczej szkoła została całkowicie spolszczona, postanowiono uniemożliwić w niej pracę. Pomiedzy innymi w celu podburzenia rodziców, pozbawiono

szkołą, w porozumieniu z biskupem Łosińskim w Kielcach, prefekta, a tem samem lekcji religii. Okazję stanowiła rzekoma konieczność przeniesienia do jakiejś zapadłej miejscowości prefekta ks. Bolesława Bannasńskiego, inteligentnego człowieka i wielkiego przyjaciela młodzieży, który od pierwszego momentu wojny określił wyraźnie i jawnie swe sympatje dla ruchu niepodległościowego. Po jego usunięciu biskup Łosiński nie wyznaczał prefekta dla szkoły, obojętnie traktując fakt pozbawienia uczniów wykładów religii w ciągu całego roku szkolnego 1915/16.

Do Będzina przyjechałam pełna entuzjazmu, a bierną postawę większej części społeczeństwa uważałam jedynie za następstwo niewoli, która przecieć beznadziejnie niszczy wszelką inicjatywę i śmiałość czynu. Byłam pewna, że należy tylko umiejętnie wyjaśnić czyn Komendanta Piłsudskiego, zatargnąć sumieniami, a pod nogami okupantów będzie się ziemia paliła. Z całym zapałem wzięłam się do pracy uświadamiającej. Nie było miejsca w zagłębiu, do którego bym nie dotarła, wyjaśniając znaczenie zbiorowego i jednolitego wysiłku.

Praca, chociaż powoli, dawała pożądane wyniki, do czego niemało przyczyniali się prelegenci tej miary jak Morczewski. Świeży mówca, porywając swą szczerością i zapałem, a przytem urodzony optymistą w najcięższych nawet dla naszej sprawy chwilach umiał słuchaczy natchnąć otuchą i wiarą w przyszłość.

Najprędzej i najłatwiej dawały się porwać do czynu kobiety; to też już w parę dni po przyjeździe zawiązałam w Będzinie Kolo Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, jako oddział organizacji powstałej w Warszawie w r. 1913, w celu przygotowania kobiet do walki czynnej o wyzwolenie Ojczyzny. W dość krótkim stosunkowo przeciągu czasu, organizacja opanowała prawie wszystkie miejscowości zagłębia. Garnęły się do Ligi Kobiet nie tylko inteligentki i mieszczańki, ale miałyśmy również i koła włościańskie. Jedno z nich, w Bobrownikach było prowadzone i założone przez p. A. Szczerbińską. Zapał do pracy był tak wielki, że raczej dawał się nieraz odczuwać brak pracy, niż chętnych do jej wykonywania¹⁾.

Dla nawiązania łączności z innymi kołami Ligi wyjeżdżałam często na prowincję, co pozwoliło ujednolicić pracę i uzgodnić ją z Czę-

¹⁾ Cienna, mi się pod pióro narzeka wszystkich moich współtowarzyszek pracy, które tak ofiarnie spełniały przyjęte na siebie obowiązki. Podkreślam jednak jestem skrupowana ramami wydawnictwa moją poprawność na wymienianiu kierowniczek niektórych koł jak: p. Barucha w Sosnowcu, p. Piwowarowa w Zagłobowicach, p. Grodzicka w Dąbrowie, p. Komarska w Grodzcu, p. Foręscowiczówna na Niemcach i E. Dąbrowska w Golenogu.

stochowa, Łódź, Kielce i innymi miejscowościami, przyczem nigdy nie zaniedbywałam możności zakładania po drodze nowych kół.

Praca Ligi Kobiół była początkowo robotą czysto polityczną, polegającą na oświadcianiu społeczeństwa i na werbowaniu ochotników do Legionów. Wardóce jednak, dzięki wielkiej ilości zgłaszających się do organizacji kobiet, zakres pracy bardzo rozszerzył się, co w następstwie pozwoliło stworzyć w każdym zakątku kraju punkty oparcia dla legionistów i możność niesienia im pomocy, zarówno materialnej jak i moralnej.

Praca Ligi Kobiół dawała żołnierzom poczucie posiadania własnej Ofcyny, wspierającej całym sercem ich poczynania i tem samem siłą rzeczy stanowiła dla nich dużą podporę duchową. A legioniści ze swym Wodzem na czele mieli wówczas warunki pracy nad wyraz ciężkie. Obok zmagani wojennych, wyczerpywała ich ciągła czujność na zakusy „sprzymierzeńców”, którzy systematycznie dążyli do unicestwienia wszelkiej samodzielności Legionów. Jakżeby w tych warunkach ciężyla im obojętność własnego społeczeństwa! Liga Kobiół Pogotowia Wojennego, dzięki swej ruchliwości i bardzo wytężonej pracy, łagodziła ten przykry stan rzeczy.

W początkach 1915 r. zaczęły powstawać w zagłębiu inne ugrupowania, popierające ruch niepodległościowy jak: „Związek Patriotów”, kół oświatowe, szkolne i t. p.

Całą sprawę szkolnictwa wziął na siebie Ksawery Prausa, który powołał do życia t. zw. „Centralne Biuro Szkolne”, prowadzone przez niego początkowo w Dąbrowie, w lokalu p. p. Zawadzkiej i Młodzianowskiej, oddanych naszej sprawie, a następnie w Piotrkowie. Programy szkolne stanowiły dla Prausa część tylko zagadnienia, którem było właściwie zorganizowanie jednolitego szkolnictwa na ziemiach polskich.

Współpracę z Ksawerym Praussem zaliczam do jednej z najprzyjemniejszych prac moich ówczesnych, co zresztą było naturalnem następstwem zetknięcia się z tej miary ideowcem i znawcą spraw szkolnych.

Były to jednak czasy nieco późniejsze, przedtem natomiast obok pracy agitacyjnej i organizacyjnej objęłam opiekę nad oddziałem legionowym, stacjonowanym w gmachu b. szkoły sztygarów w Dąbrowie, gdzie około 3—5 października zamieszkałam na stałe. W tej pracy miałam okres dla siebie przykry, kiedy zewnętrzne okoliczności nie pozwalały mi wywiązać się należycie z przyjętych na siebie zobowiązań. Było to w czasie cofania się wojska niemieckiego z pod Warszawy, w związku z czem oddział legionowy wycofano z Dąbrowy do Sosnowca, a następnie przeniesiono do Nowego Targu.

Dnia 11 listopada 1914 r. o godzinie 6-ej rano dowiedziałam się, że dwaj komisarze P. O. N., z którymi współpracowałam na terenie koszar, musieli służbowo w nocy wyjechać. Pozostałam bez wytycznych i bez pieniędzy. Początkowo chciałam się porozumieć co do spraw wymarszu z komendantami placu, ponieważ jednak nie chcieli tego uczynić, uważając dla siebie za ujmę omawianie spraw dotyczących wojska z kobietą, postanowiłam ponosić odpowiedzialność i działać samodzielnie. Zmuszona byłam do takiego postanowienia faktem, że dowódca oddziału, który mieszkał w Sosnowcu, swój udział ograniczył do nadesłania natychmiastowego rozkazu wymarszu z Dąbrowy, a komendanci placu nie dość sprawnie wymarsz zorganizowali.

Oprócz codziennego żywienia oddziału, należało tego dnia pomyśleć o wywiezieniu znajdujących się w koszarach zapasów żywności i umundurowania. Brak jednak dostatecznej ilości wozów zmusił mnie do sprzedania części zapasów żywności na miejscu. P. Jadwiga Kamińska, moja współpracowniczka na terenie koszar i w Lidze Kobiet, pomimo chłodu, do późnego wieczora bez chwili wypoczynku sprzedawała na dworze zapasy, doglądając jednocześnie ładowania wozów. Mnie obok ogólnego nadzoru, przypadło w udziale załatwianie spraw z okoliczną ludnością. Był to dzień wypłat za towar, pobierany u ludności na kwity, opatrzone pieczęcią Komendy Wojsk Polskich. Nie chcąc podrywać zaufania do władz polskich, z którymi przecież ludność spotykała się po raz pierwszy, postanowiłam za wszelką cenę rachunki uregulować. Postanowienie może było słuszne, z powodu jednak braku rozporządzalnej gotówki w pierwszej chwili wydawało mi się niewykonalne. Trudność usunęli współideowcy, którzy przynosili na ten cel składki, na pewno przekraczające nieraz ich możność finansową.

Przygotowania do odmarszu zajęły nam cały dzień. Z Dąbrowy wyruszyliśmy tak późno, że zaledwie o g. 3 w nocy dotarliśmy do Sosnowca, skąd po paru godzinach odpoczynku przenieśliśmy się do Miłowie. Ciężki był tam pobyt. Gmach zupełnie nie przystosowany do potrzeb koszar, brak jakichkolwiek urządzeń do prowadzenia kuchni dla tylu ludzi, a w dodatku brak pieniędzy. Komendant oddziału mieszkał w Sosnowcu i tam też prowadził osobną kuchnię dla siebie i kilku oficerów. My z p. J. Kamińską postanowiłyśmy nie opuszczać żołnierzy, ludząc się, że zorganizujemy dla nich możliwe warunki życia. Niestety, wszystkie nasze wysiłki rozbiły się o brak gotówki i o nieodpowiedni lokal. Oddział żywił się składką współideowców, ale pomimo ich ofiarności braki mocno dawały się uczuć. Chłopców, których czekał front i wśród których był i mój młodszy syn (udało mu się wkręcić do oddziału) radabym była nieba przy-

chylić, a musiałam patrzeć na ich głód i w dodatku znosić ich słuszne, chociaż niezaspokojone zarzuty.

Do dziś dnia z przykrością wspominam ten okres pracy. Sytuacja nieco się poprawiła, gdy dowództwo objął kpt. Berbecki. Mówię nieco, gdyż wysiłki kpt. Berbeckiego w celu zdobycia potrzebnych funduszy, nie dawały również należytego wyniku.

Dnia 22/III 1914 r. oddział wymaszerował z Miłowic do Nowego Targu, gdzie skończył się mój bezpośredni z nim kontakt. Finansowanie i żywienie oddziału objął całkowicie garnizon.

Po rozstaniu się z oddziałem, pojechałem do Zakopanego wraz z p. J. Kamińską i młodszym synem, który wskutek przeprowadzonej przez dr. Roupperta inspekcji, został z wojska usunięty, jako zbyt młody i fizycznie jeszcze nie rozwinięty.

W Zakopanem wzięliśmy udział w organizowaniu gwiazdki dla legionistów. Zebrane dary na rozkaz Komendanta Piłsudskiego odwiezłam pod Łowczówek, gdzie nasi chłopcy od dnia 22 grudnia zmagali się z przeważającymi siłami rosyjskimi. Zatrzymałam się w Zakliczynie, dokąd z moją towarzyszką podróży p. Ewelina Wróblewska, przyjechałyśmy w samą wigilię Bożego Narodzenia o g. 12-iej w nocy. Noc pełną wrażeń i cały następny dzień spędziłyśmy pod gołym niebem na rynku miasteczka. W pierwszej chwili po przyjeździe do Zakliczyna, można było ulec złudzeniu, że w kraju panuje spokój. Miasteczko pod osłoną ciemnej i dżdżystej nocy, pogrążone we śnie i ciszy; z jednego tylko rześkiego oświetlonego domu dochodzą dźwięki muzyki, śpiewy i głośnie, wesołe wybuchy śmiechu, a poprzez szyby widać sylwetki tańczących. To nasi ułani wyprawiają uroczą wigilijną. Ten spokojny wigilijny nastrój był co chwila zakłócany meldunkami z frontu, z których jasno wynikała ciężka sytuacja, w jakiej od dwóch dni znajdowali się legionieci.

Nad ranem zaczęli przybywać ranni, odwołani niezwłocznie poza miasto do szpitali wojskowych. Błede, obandażowane postacie śmęły się koło nas przez cały dzień, t. j. pierwsze święto Bożego Narodzenia.

Następnego dnia wszystkie walczące pod Łowczówkiem oddziały legionowe zostały wskutek starań Komendanta Piłsudskiego, wycofane z frontu na kilkutygodniowy odpoczynek, dzięki czemu w czasie ich przemarszu do Lipnicy mogłam w ciągu krótkiej chwili porozmawiać z synem, którego nie widziałam od 6 sierpnia.

Z pod Łowczówka wróciłam do Będzina, gdzie zastałam warunki nieco zmienione. Kilkomiesięczne bohaterkie walki sprawiły, że zarówno Legiony, jak ich twórcy zjednywali sobie coraz większą ilość zwolenników, natomiast zmienił się na gorsze stosunek władz okupacyjnych do niepodległościowców. W pierwszym okresie wojny za-

chowwały one postawę *raczej* wyczekującą i *wyrażnych* szykan w stosunku do nas nie stosowały, natomiast od początku 1915 roku zaczęły władze okupacyjne, szczególnie niemieckie jawnie zaznaczać swój nieprzychylny stosunek do sprawy polskiej. W krótkim przeciągu czasu odczuliśmy osobście ich ciężką rękę. Nastąpił dla nas czas rewizji i prześladowań, a wraz z nimi niesłychane utrudnienie pracy. Pierwsza rewizja, przeprowadzona u nas, wskutek urządzanego przeze mnie nielegalnego zebrania, ośmieliła się pociągnąć za sobą przykrychy dla nas następstwa. Wprawdzie nielegalnego zebrania nie dowiedziono mi, natomiast znaleziony dziecienny flower posłużył okupantom do oskarżenia nas o wrogie zachowanie się w stosunku do władz okupacyjnych. Mąż został aresztowany i oddany pod sąd polowy. Ja odpowiadałam z wolnej stopy. Wobec stanu wojennego i stanowiska Niemców do niepodległościowców, rozumielśmy doskonale, jakie mogą być następstwa tego rodzaju sprawy. Pośpiech, z jakim wyznaczono termin sądu i okazałość, z jaką się odbywał, mogłby tylko wznieść niewesołe przypuszczenia. Nie wróżył, zdawało się, szczęśliwego dla nas zakończenia sprawy przyjazd aż dziewięciu sędziów wojskowych z Wrocławia, jak również obliczona na silny efekt zewnętrzna strona sądu. Jakże byłam niewymownie zdumiona i uszczęśliwiona, gdy w pół godziny po złożeniu przez nas zeznań, odczytano nam wyrok uniewinniający. Odetchnęliśmy, zdawało się, że uzyskujemy swobodę działania. Radość nasza okazała się jednak przedwczesna. Uniewinniający wyrok, jakgdyby rozdrażnił miejscowe władze niemieckie. Zaczęły się sypać na nas szykany i prześladowania: rewizje (przeprowadzone pewnego dnia dwukrotnie), nieskończone badania, pociąganie nas do odpowiedzialności za każdy objaw polskości w Będzinie, utrudnianie ruchów — stworzyły nam życie węgłnów we własnym domu. Szczególnie mocno prześladowany był mąż, który nieraz odpowiadał nie tylko za swoje, ale za moje „przewinienia“.

Uczestniczyć bez przerwy w pracy ideowej mogliśmy w tych warunkach jedynie dzięki współideowcom, od których doświadczaliśmy wówczas bardzo dużo życzliwości. Ileż razy byliśmy przez nich wtargnięci do przestępstw, dzięki czemu unikaliśmy nowych przykrości, a przytem usilnie pomagali nam w pracy, która pomimo wszelkich przeszkód ze strony okupantów, rozwijała się coraz silniej i wydajniej. Wzmocniła i rozwijała swe placówki na terenie zagłębia Polska Organizacja Wojskowa, rozrastały się nowopowstałe organizacje niepodległościowe. Wzmagająca się ilość czynnych pracowników. Pomiedzy innymi pomoc przy pracy nielegalnej okazywali również i skanci. Najgłębszą potrzebę odczuwam, aby wspomnieć

o jednym z dzielnych skautów, uczniu szkoły handlowej, Jerzku Ciechowskim¹⁾, którego rodzice byli gorącymi zwolennikami czynu Komendanta Piłsudskiego.

Od 1915 r. warunki pracy stały się naogół bardzo męczące: nie dajacy się przewidzieć wynik wojny, związany z tem niepokój o losy własnego kraju, ciężka walka Komendanta Piłsudskiego ze „sprzymierzeńcami”, którzy za wszelką cenę chcieli pozabawić Legiony nawet tej minimalnej samodzielności, jaką Komendant potrafił dla nich uzyskać, a w dodatku ustawiczne zmaganie się z miejscowymi władzami okupacyjnymi, które paraliżowały każdą pracę; wszystko to mocno dawało się we znaki. A i osobiście przeżywałam na jesieni 1915 r. jedną z najcięższych dla siebie chwil. Z 1-go pułku Legionów otrzymałam wiadomość, że mój syn zaginał pod Kostuchówką. Dopiero w parę miesięcy potem dowiedziałam się, że ranny dostał się do niewoli rosyjskiej. Jak ranny? Czy żyje? A jeżeli żyje, to w jakich warunkach? Czy uda mu się zachować incognito wobec władz rosyjskich?²⁾ Takie pytania męczyły nas, a najgorzej męczyła przymusowa bezczynność. O pomocy natomiast nie mogliśmy nawet myśleć, gdyż wszelkie starania o niego mogły mu tylko zaszkodzić, mogły zdradzić go wobec wrogów. Należało czekać! Czekanie jednak w tych warunkach było tak męczące, że słowami nie da się zobrazować.

Ciężkie wówczas moje przeżycia jako Polki i osobiste, spowodowane niepokojem o syna, były pogłębione zachowaniem się rodaków, którzy niepodległość Polski uważali za niedościgną marzonkę i przeciwstawiali całą naszą pracę z całą stanowczością. Komendantowi Piłsudskiemu zarzucano zdradę narodową, z powodu połączenia działań wojennych Legionów z państwami centralnymi i zwolenników jego idei szykanowano, aż do pozbawienia ich środków utrzymania, a nawet oskarżano swych przeciwników politycznych przed władzami okupacyjnymi. Przed temiż władzami, z powodu których właśnie oskarżano Komendanta o zdradę!

Od tych samych zapewne ludzi pochodził anonimowy list z wyrazami radości z powodu zaginięcia syna, co w mniemaniu autora listu, zupełnie słusznie spotykało ludzi, którzy niekiedy dzieci zachęcali do brania udziału w „nieuczciwych i nieobliczalnych” działaniach.

Wspominając o tych rzeczach tak bardzo gorzkich, czynię to jedynie z poczucia obowiązku wiernego zobrazowania warunków pośród których odbywała się niepodległościowa praca kobiet. Gdyż to, co spotykało mnie, spotykało nas wszystkie.

¹⁾ W sprawie Jerzka Ciechowskiego zob. „Życie” 1920, 10.10.1920, 11.10.1920, 12.10.1920, 13.10.1920, 14.10.1920, 15.10.1920, 16.10.1920, 17.10.1920, 18.10.1920, 19.10.1920, 20.10.1920, 21.10.1920, 22.10.1920, 23.10.1920, 24.10.1920, 25.10.1920, 26.10.1920, 27.10.1920, 28.10.1920, 29.10.1920, 30.10.1920, 31.10.1920, 1.11.1920, 2.11.1920, 3.11.1920, 4.11.1920, 5.11.1920, 6.11.1920, 7.11.1920, 8.11.1920, 9.11.1920, 10.11.1920, 11.11.1920, 12.11.1920, 13.11.1920, 14.11.1920, 15.11.1920, 16.11.1920, 17.11.1920, 18.11.1920, 19.11.1920, 20.11.1920, 21.11.1920, 22.11.1920, 23.11.1920, 24.11.1920, 25.11.1920, 26.11.1920, 27.11.1920, 28.11.1920, 29.11.1920, 30.11.1920, 1.12.1920, 2.12.1920, 3.12.1920, 4.12.1920, 5.12.1920, 6.12.1920, 7.12.1920, 8.12.1920, 9.12.1920, 10.12.1920, 11.12.1920, 12.12.1920, 13.12.1920, 14.12.1920, 15.12.1920, 16.12.1920, 17.12.1920, 18.12.1920, 19.12.1920, 20.12.1920, 21.12.1920, 22.12.1920, 23.12.1920, 24.12.1920, 25.12.1920, 26.12.1920, 27.12.1920, 28.12.1920, 29.12.1920, 30.12.1920, 31.12.1920, 1.1.1921, 2.1.1921, 3.1.1921, 4.1.1921, 5.1.1921, 6.1.1921, 7.1.1921, 8.1.1921, 9.1.1921, 10.1.1921, 11.1.1921, 12.1.1921, 13.1.1921, 14.1.1921, 15.1.1921, 16.1.1921, 17.1.1921, 18.1.1921, 19.1.1921, 20.1.1921, 21.1.1921, 22.1.1921, 23.1.1921, 24.1.1921, 25.1.1921, 26.1.1921, 27.1.1921, 28.1.1921, 29.1.1921, 30.1.1921, 31.1.1921, 1.2.1921, 2.2.1921, 3.2.1921, 4.2.1921, 5.2.1921, 6.2.1921, 7.2.1921, 8.2.1921, 9.2.1921, 10.2.1921, 11.2.1921, 12.2.1921, 13.2.1921, 14.2.1921, 15.2.1921, 16.2.1921, 17.2.1921, 18.2.1921, 19.2.1921, 20.2.1921, 21.2.1921, 22.2.1921, 23.2.1921, 24.2.1921, 25.2.1921, 26.2.1921, 27.2.1921, 28.2.1921, 29.2.1921, 30.2.1921, 31.2.1921, 1.3.1921, 2.3.1921, 3.3.1921, 4.3.1921, 5.3.1921, 6.3.1921, 7.3.1921, 8.3.1921, 9.3.1921, 10.3.1921, 11.3.1921, 12.3.1921, 13.3.1921, 14.3.1921, 15.3.1921, 16.3.1921, 17.3.1921, 18.3.1921, 19.3.1921, 20.3.1921, 21.3.1921, 22.3.1921, 23.3.1921, 24.3.1921, 25.3.1921, 26.3.1921, 27.3.1921, 28.3.1921, 29.3.1921, 30.3.1921, 31.3.1921, 1.4.1921, 2.4.1921, 3.4.1921, 4.4.1921, 5.4.1921, 6.4.1921, 7.4.1921, 8.4.1921, 9.4.1921, 10.4.1921, 11.4.1921, 12.4.1921, 13.4.1921, 14.4.1921, 15.4.1921, 16.4.1921, 17.4.1921, 18.4.1921, 19.4.1921, 20.4.1921, 21.4.1921, 22.4.1921, 23.4.1921, 24.4.1921, 25.4.1921, 26.4.1921, 27.4.1921, 28.4.1921, 29.4.1921, 30.4.1921, 31.4.1921, 1.5.1921, 2.5.1921, 3.5.1921, 4.5.1921, 5.5.1921, 6.5.1921, 7.5.1921, 8.5.1921, 9.5.1921, 10.5.1921, 11.5.1921, 12.5.1921, 13.5.1921, 14.5.1921, 15.5.1921, 16.5.1921, 17.5.1921, 18.5.1921, 19.5.1921, 20.5.1921, 21.5.1921, 22.5.1921, 23.5.1921, 24.5.1921, 25.5.1921, 26.5.1921, 27.5.1921, 28.5.1921, 29.5.1921, 30.5.1921, 31.5.1921, 1.6.1921, 2.6.1921, 3.6.1921, 4.6.1921, 5.6.1921, 6.6.1921, 7.6.1921, 8.6.1921, 9.6.1921, 10.6.1921, 11.6.1921, 12.6.1921, 13.6.1921, 14.6.1921, 15.6.1921, 16.6.1921, 17.6.1921, 18.6.1921, 19.6.1921, 20.6.1921, 21.6.1921, 22.6.1921, 23.6.1921, 24.6.1921, 25.6.1921, 26.6.1921, 27.6.1921, 28.6.1921, 29.6.1921, 30.6.1921, 31.6.1921, 1.7.1921, 2.7.1921, 3.7.1921, 4.7.1921, 5.7.1921, 6.7.1921, 7.7.1921, 8.7.1921, 9.7.1921, 10.7.1921, 11.7.1921, 12.7.1921, 13.7.1921, 14.7.1921, 15.7.1921, 16.7.1921, 17.7.1921, 18.7.1921, 19.7.1921, 20.7.1921, 21.7.1921, 22.7.1921, 23.7.1921, 24.7.1921, 25.7.1921, 26.7.1921, 27.7.1921, 28.7.1921, 29.7.1921, 30.7.1921, 31.7.1921, 1.8.1921, 2.8.1921, 3.8.1921, 4.8.1921, 5.8.1921, 6.8.1921, 7.8.1921, 8.8.1921, 9.8.1921, 10.8.1921, 11.8.1921, 12.8.1921, 13.8.1921, 14.8.1921, 15.8.1921, 16.8.1921, 17.8.1921, 18.8.1921, 19.8.1921, 20.8.1921, 21.8.1921, 22.8.1921, 23.8.1921, 24.8.1921, 25.8.1921, 26.8.1921, 27.8.1921, 28.8.1921, 29.8.1921, 30.8.1921, 31.8.1921, 1.9.1921, 2.9.1921, 3.9.1921, 4.9.1921, 5.9.1921, 6.9.1921, 7.9.1921, 8.9.1921, 9.9.1921, 10.9.1921, 11.9.1921, 12.9.1921, 13.9.1921, 14.9.1921, 15.9.1921, 16.9.1921, 17.9.1921, 18.9.1921, 19.9.1921, 20.9.1921, 21.9.1921, 22.9.1921, 23.9.1921, 24.9.1921, 25.9.1921, 26.9.1921, 27.9.1921, 28.9.1921, 29.9.1921, 30.9.1921, 31.9.1921, 1.10.1921, 2.10.1921, 3.10.1921, 4.10.1921, 5.10.1921, 6.10.1921, 7.10.1921, 8.10.1921, 9.10.1921, 10.10.1921, 11.10.1921, 12.10.1921, 13.10.1921, 14.10.1921, 15.10.1921, 16.10.1921, 17.10.1921, 18.10.1921, 19.10.1921, 20.10.1921, 21.10.1921, 22.10.1921, 23.10.1921, 24.10.1921, 25.10.1921, 26.10.1921, 27.10.1921, 28.10.1921, 29.10.1921, 30.10.1921, 31.10.1921, 1.11.1921, 2.11.1921, 3.11.1921, 4.11.1921, 5.11.1921, 6.11.1921, 7.11.1921, 8.11.1921, 9.11.1921, 10.11.1921, 11.11.1921, 12.11.1921, 13.11.1921, 14.11.1921, 15.11.1921, 16.11.1921, 17.11.1921, 18.11.1921, 19.11.1921, 20.11.1921, 21.11.1921, 22.11.1921, 23.11.1921, 24.11.1921, 25.11.1921, 26.11.1921, 27.11.1921, 28.11.1921, 29.11.1921, 30.11.1921, 31.11.1921, 1.12.1921, 2.12.1921, 3.12.1921, 4.12.1921, 5.12.1921, 6.12.1921, 7.12.1921, 8.12.1921, 9.12.1921, 10.12.1921, 11.12.1921, 12.12.1921, 13.12.1921, 14.12.1921, 15.12.1921, 16.12.1921, 17.12.1921, 18.12.1921, 19.12.1921, 20.12.1921, 21.12.1921, 22.12.1921, 23.12.1921, 24.12.1921, 25.12.1921, 26.12.1921, 27.12.1921, 28.12.1921, 29.12.1921, 30.12.1921, 31.12.1921, 1.1.1922, 2.1.1922, 3.1.1922, 4.1.1922, 5.1.1922, 6.1.1922, 7.1.1922, 8.1.1922, 9.1.1922, 10.1.1922, 11.1.1922, 12.1.1922, 13.1.1922, 14.1.1922, 15.1.1922, 16.1.1922, 17.1.1922, 18.1.1922, 19.1.1922, 20.1.1922, 21.1.1922, 22.1.1922, 23.1.1922, 24.1.1922, 25.1.1922, 26.1.1922, 27.1.1922, 28.1.1922, 29.1.1922, 30.1.1922, 31.1.1922, 1.2.1922, 2.2.1922, 3.2.1922, 4.2.1922, 5.2.1922, 6.2.1922, 7.2.1922, 8.2.1922, 9.2.1922, 10.2.1922, 11.2.1922, 12.2.1922, 13.2.1922, 14.2.1922, 15.2.1922, 16.2.1922, 17.2.1922, 18.2.1922, 19.2.1922, 20.2.1922, 21.2.1922, 22.2.1922, 23.2.1922, 24.2.1922, 25.2.1922, 26.2.1922, 27.2.1922, 28.2.1922, 29.2.1922, 30.2.1922, 31.2.1922, 1.3.1922, 2.3.1922, 3.3.1922, 4.3.1922, 5.3.1922, 6.3.1922, 7.3.1922, 8.3.1922, 9.3.1922, 10.3.1922, 11.3.1922, 12.3.1922, 13.3.1922, 14.3.1922, 15.3.1922, 16.3.1922, 17.3.1922, 18.3.1922, 19.3.1922, 20.3.1922, 21.3.1922, 22.3.1922, 23.3.1922, 24.3.1922, 25.3.1922, 26.3.1922, 27.3.1922, 28.3.1922, 29.3.1922, 30.3.1922, 31.3.1922, 1.4.1922, 2.4.1922, 3.4.1922, 4.4.1922, 5.4.1922, 6.4.1922, 7.4.1922, 8.4.1922, 9.4.1922, 10.4.1922, 11.4.1922, 12.4.1922, 13.4.1922, 14.4.1922, 15.4.1922, 16.4.1922, 17.4.1922, 18.4.1922, 19.4.1922, 20.4.1922, 21.4.1922, 22.4.1922, 23.4.1922, 24.4.1922, 25.4.1922, 26.4.1922, 27.4.1922, 28.4.1922, 29.4.1922, 30.4.1922, 31.4.1922, 1.5.1922, 2.5.1922, 3.5.1922, 4.5.1922, 5.5.1922, 6.5.1922, 7.5.1922, 8.5.1922, 9.5.1922, 10.5.1922, 11.5.1922, 12.5.1922, 13.5.1922, 14.5.1922, 15.5.1922, 16.5.1922, 17.5.1922, 18.5.1922, 19.5.1922, 20.5.1922, 21.5.1922, 22.5.1922, 23.5.1922, 24.5.1922, 25.5.1922, 26.5.1922, 27.5.1922, 28.5.1922, 29.5.1922, 30.5.1922, 31.5.1922, 1.6.1922, 2.6.1922, 3.6.1922, 4.6.1922, 5.6.1922, 6.6.1922, 7.6.1922, 8.6.1922, 9.6.1922, 10.6.1922, 11.6.1922, 12.6.1922, 13.6.1922, 14.6.1922, 15.6.1922, 16.6.1922, 17.6.1922, 18.6.1922, 19.6.1922, 20.6.1922, 21.6.1922, 22.6.1922, 23.6.1922, 24.6.1922, 25.6.1922, 26.6.1922, 27.6.1922, 28.6.1922, 29.6.1922, 30.6.1922, 31.6.1922, 1.7.1922, 2.7.1922, 3.7.1922, 4.7.1922, 5.7.1922, 6.7.1922, 7.7.1922, 8.7.1922, 9.7.1922, 10.7.1922, 11.7.1922, 12.7.1922, 13.7.1922, 14.7.1922, 15.7.1922, 16.7.1922, 17.7.1922, 18.7.1922, 19.7.1922, 20.7.1922, 21.7.1922, 22.7.1922, 23.7.1922, 24.7.1922, 25.7.1922, 26.7.1922, 27.7.1922, 28.7.1922, 29.7.1922, 30.7.1922, 31.7.1922, 1.8.1922, 2.8.1922, 3.8.1922, 4.8.1922, 5.8.1922, 6.8.1922, 7.8.1922, 8.8.1922, 9.8.1922, 10.8.1922, 11.8.1922, 12.8.1922, 13.8.1922, 14.8.1922, 15.8.1922, 16.8.1922, 17.8.1922, 18.8.1922, 19.8.1922, 20.8.1922, 21.8.1922, 22.8.1922, 23.8.1922, 24.8.1922, 25.8.1922, 26.8.1922, 27.8.1922, 28.8.1922, 29.8.1922, 30.8.1922, 31.8.1922, 1.9.1922, 2.9.1922, 3.9.1922, 4.9.1922, 5.9.1922, 6.9.1922, 7.9.1922, 8.9.1922, 9.9.1922, 10.9.1922, 11.9.1922, 12.9.1922, 13.9.1922, 14.9.1922, 15.9.1922, 16.9.1922, 17.9.1922, 18.9.1922, 19.9.1922, 20.9.1922, 21.9.1922, 22.9.1922, 23.9.1922, 24.9.1922, 25.9.1922, 26.9.1922, 27.9.1922, 28.9.1922, 29.9.1922, 30.9.1922, 31.9.1922, 1.10.1922, 2.10.1922, 3.10.1922, 4.10.1922, 5.10.1922, 6.10.1922, 7.10.1922, 8.10.1922, 9.10.1922, 10.10.1922, 11.10.1922, 12.10.1922, 13.10.1922, 14.10.1922, 15.10.1922, 16.10.1922, 17.10.1922, 18.10.1922, 19.10.1922, 20.10.1922, 21.10.1922, 22.10.1922, 23.10.1922, 24.10.1922, 25.10.1922, 26.10.1922, 27.10.1922, 28.10.1922, 29.10.1922, 30.10.1922, 31.10.1922, 1.11.1922, 2.11.1922, 3.11.1922, 4.11.1922, 5.11.1922, 6.11.1922, 7.11.1922, 8.11.1922, 9.11.1922, 10.11.1922, 11.11.1922, 12.11.1922, 13.11.1922, 14.11.1922, 15.11.1922, 16.11.1922, 17.11.1922, 18.11.1922, 19.11.1922, 20.11.1922, 21.11.1922, 22.11.1922, 23.11.1922, 24.11.1922, 25.11.1922, 26.11.1922, 27.11.1922, 28.11.1922, 29.11.1922, 30.11.1922, 31.11.1922, 1.12.1922, 2.12.1922, 3.12.1922, 4.12.1922, 5.12.1922, 6.12.1922, 7.12.1922, 8.12.1922, 9.12.1922, 10.12.1922, 11.12.1922, 12.12.1922, 13.12.1922, 14.12.1922, 15.12.1922, 16.12.1922, 17.12.1922, 18.12.1922, 19.12.1922, 20.12.1922, 21.12.1922, 22.12.1922, 23.12.1922, 24.12.1922, 25.12.1922, 26.12.1922, 27.12.1922, 28.12.1922, 29.12.1922, 30.12.1922, 31.12.1922, 1.1.1923, 2.1.1923, 3.1.1923, 4.1.1923, 5.1.1923, 6.1.1923, 7.1.1923, 8.1.1923, 9.1.1923, 10.1.1923, 11.1.1923, 12.1.1923, 13.1.1923, 14.1.1923, 15.1.1923, 16.1.1923, 17.1.1923, 18.1.1923, 19.1.1923, 20.1.1923, 21.1.1923, 22.1.1923, 23.1.1923, 24.1.1923, 25.1.1923, 26.1.1923, 27.1.1923, 28.1.1923, 29.1.1923, 30.1.1923, 31.1.1923, 1.2.1923, 2.2.1923, 3.2.1923, 4.2.1923, 5.2.1923, 6.2.1923, 7.2.1923, 8.2.1923, 9.2.1923, 10.2.1923, 11.2.1923, 12.2.1923, 13.2.1923, 14.2.1923, 15.2.1923, 16.2.1923, 17.2.1923, 18.2.1923, 19.2.1923, 20.2.1923, 21.2.1923, 22.2.1923, 23.2.1923, 24.2.1923, 25.2.1923, 26.2.1923, 27.2.1923, 28.2.1923, 29.2.1923, 30.2.1923, 31.2.1923, 1.3.1923, 2.3.1923, 3.3.1923, 4.3.1923, 5.3.1923, 6.3.1923, 7.3.1923, 8.3.1923, 9.3.1923, 10.3.1923, 11.3.1923, 12.3.1923, 13.3.1923, 14.3.1923, 15.3.1923, 16.3.1923, 17.3.1923, 18.3.1923, 19.3.1923, 20.3.1923, 21.3.1923, 22.3.1923, 23.3.1923, 24.3.1923, 25.3.1923, 26.3.1923, 27.3.1923, 28.3.1923, 29.3.1923, 30.3.1923, 31.3.1923, 1.4.1923, 2.4.1923, 3.4.1923, 4.4.1923, 5.4.1923, 6.4.1923, 7.4.1923, 8.4.1923, 9.4.1923, 10.4.1923, 11.4.1923, 12.4.1923, 13.4.1923, 14.4.1923, 15.4.1923, 16.4.1923, 17.4.1923, 18.4.1923, 19.4.1923, 20.4.1923, 21.4.1923, 22.4.1923, 23.4.1923, 24.4.1923, 25.4.1923, 26.4.1923, 27.4.1923, 28.4.1923, 29.4.1923, 30.4.1923, 31.4.1923, 1.5.1923, 2.5.1923, 3.5.1923, 4.5.1923, 5.5.1923, 6.5.1923, 7.5.1923, 8.5.1923, 9.5.1923, 10.5.1923, 11.5.1923, 12.5.1923, 13.5.1923, 14.5.1923, 15.5.1923, 16.5.1923, 17.5.1923, 18.5.1923, 19.5.1923, 20.5.1923, 21.5.1923, 22.5.1923, 23.5.1923, 24.5.1923, 25.5.1923, 26.5.1923, 27.5.1923, 28.5.1923, 29.5.1923, 30.5.1923, 31.5.1923, 1.6.1923, 2.6.1923, 3.6.1923, 4.6.1923, 5.6.1923, 6.6.1923, 7.6.1923, 8.6.1923, 9.6.1923, 10.6.1923, 11.6.1923, 12.6.1923, 13.6.1923, 14.6.1923, 15.6.1923, 16.6.1923, 17.6.1923, 18.6.1923, 19.6.1923, 20.6.1923, 21.6.1923, 22.6.1923, 23.6.1923, 24.6.1923, 25.6.1923, 26.6.1923, 27.6.1923, 28.6.1923, 29.6.1923, 30.6.1923, 31.6.1923, 1.7.1923, 2.7.1923, 3.7.1923, 4.7.1923, 5.7.1923, 6.7.1923, 7.7.1923, 8.7.1923, 9.7.1923, 10.7.1923, 11.7.1923, 12.7.1923, 13.7.1923, 14.7.1923, 15.7.1923, 16.7.1923, 17.7.1923, 18.7.1923, 19.7.1923, 20.7.1923, 21.7.1923, 22.7.1923, 23.7.1923, 24.7.1923, 25.7.1923, 26.7.19

Marja Rykterowa.

ZDAŁA OD FRONTU.

W kwietniu 1915 r. zdecydowane zostało rozwiązanie Oddziału Wywiadowczego I Brygady. Spowodował je rozkaz Komendanta, poprzedzający inny rozkaz, jaki w kilka miesięcy później obiegł całą Polskę. Brzmiał on wtedy: Nie dawać rekruta! Była to już stanowcza odprawa dla Austrii.

My, któreśmy były w zupełnej dyspozycji Oddziału Wywiadowczego, żegnaliśmy z żalem jedynie prawie dostępny nam rodzaj służby frontowej. Wiedziałam jednak, że w Brygadzie pełnią służbę nieliczne wprowadzić i angażowane przez poszczególnych oficerów koleżanki, z których niejedna zasługiwała na słowa uznania. W tej myśli miałam dość długą rozmowę z kpt. Karasiewiczem, do którego miałam duże zaufanie i który teraz miał wracać do swego bataljonu. Przedstawiłam mu tedy swoją dość skomplikowaną prośbę. Ku memu zdziwieniu, ale i wielkiej radości — zgodził się od razu. Rzecz ta nie doszła do skutku z niezależnych od nas przyczyn, ale wdzięczna byłam kapitanowi za jego gotowość wyciągnięcia konsekwencji z teorii wykładów strzeleckich.

W maju rozproszyłyśmy się wszystkie. Każda brała się do roboty, jakiej się podjąć mogła. My we trzy, t. j. Ola, Sioła Minkiewiczowa, i ja, jako zdawna przynależne do P. P. S., wracałyśmy do tej pracy, która nam, jako kurjerkom, była dotąd wzbroniona, a na której bardzo teraz zależało. Zamieszkałyśmy razem w Dąbrowie na małym stryszeku. One obie rychło weszły w stosunki miejscowego okręgu P. P. S. i Ligi Kobiet, — ja zaś poczułam się zbyt cenna. I pewnej nocy, patrząc ze swego posłania na dalekie światła kopalni Reden, postanowiłam wyjechać. Po naradzie z Resem, który jako przedstawiciel Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S., kierował pracą zagłębia, wybrałam Częstochowę, gdzie miałam pomagać trochę osamotnionej Ryksie.

Wyjechałam też niedługo. Miasto wydało mi się smutne, ogłodzone i senna. Oprócz Jasnej Góry, okupowanej zasadniczo przez katolickich Austriaków, — rządził tu Niemcy. Niby onaz wśród pruskiego morza trwał tu jeszcze nasz posterunek werbunkowy; była to zresztą, likwidująca się i już przez oficera opuszczona placówka.

Z panią Zofją rychło doszłyśmy do porozumienia: była rada, że przyjechałam i że przywiozłam ostatnie dyspozycje Resa, no i biblię, której tu było bardzo niewiele. Praca partyjna, ściśle wiążąca się z werbunkiem, miała tu charakter konspiracyjny. Na zebrania Komitetu Okręgowego chodziliśmy za miasto, najczęściej w zadrzewione

okolice browaru, w którym mieszkała skautka p. Jadzia, nasza młodzieńka sympatyčka. Posiedzenia te odbywały się zwykle w niedzielne przedpołudnia, aby nie przeszkadzały w pracy zawodowej towarzyszą, wśród których byli także uczestnicy rewolucji 1905 r. Pamiętam zwłaszcza najwybitniejszego z nich tow. Grzegorza, którego specjalnością była walka na języki z przeciwnikami P. P. S. Mocny był w programie i argumentach, którymi odbijał rozmowienia endecków i lewicowców. Całe to grono było stale podniewomowywane przez werbunek Niemców do robót rolnych w Prusach. Pomagały im, jak nie można lepiej, bezrobocie i głód... Cóż było począć! Myśmy miały do dyspozycji tylko gorące słowa, zachęcające do wytrwania. Dlatego też emigracja do Niemiec była stałym tematem naszych „majówkowych” posiedzeń, w czasie których Ryksa wygłaszała płomienne mowy przeciw Niemcom. Starałam się jej pomagać, stawiając pierwsze kroki na polu agitacji. Zajmowałam się kolportażem nielegalnej „bibuły”.

Myslała też p. Zofja o przygotowaniu rezerw. W tym celu właśnie zorganizowała dla młodzieży „szkołę”. Zbierałyśmy ich zwykle w lesie, do którego szliśmy dość daleko wśród falującego już zboża. Na mnie przypadły pogadanki z zakresu historii powstań Polski. Wszyscy słuchali uważnie mimo mojej dość małej rutyny mówienia. I tylko nasz stary Grzegorz mruczał zwykle niezadowolony: „Cóż z tego, towarzyszą, że poszli, kiedy u nas wszystko źle się kończyło!” — Ale teraz będzie już dobrze, zobaczycie — przekonywałam go z zapalem. A Ryksa mówiła im o sytuacji, starając się dodać im otuchy. A wkłódcu kazała im zwykle samym mieć pogadanki na różne tematy, aby jak mówiła, zaprawić ich zawczasu do pracy agitacyjnej.

Z koleżanek Oddziału Wywiadowczego znajdowała się w pobliżu Częstochowy Michasia, która, będąc z zawodu nauczycielką, objęła szkołę w Peraju i prowadziła tam robotę N. Z. Chł. pod kierunkiem pozostającej w Piotrkowie Zawieranki. W samym zaś mieście miała swoją siedzibę Jastrzębiec, która wraz z p. Marią Dąbrowską objęła okoliczne wsie opowiadając o Komendancie i walkach Jego żołnierzy; łącznie z tem organizowały kóło Związku Chłopskiego. Nie wracały do siebie nieraz po kilka dni; z tego powodu stykałam się z Wandą bardzo niewiele. Ale i tak nadążyła mi opowiadać o swych wędrownkach i dzielnej towarzyszcze, która miała dar przekonywania ludzi. Kiedyś jednak Wanda zjawiła się u mnie bardzo zafrasowana. — Radźcie co, Marto, — powiedziała trochę tragicznie — jestem bez dachu! Okazało się, że cnotliwa gospodyni wypowiedziała jej mieszkanie z powodu akcji werbunkowej, prowadzonej na wsi. Oburzyło

mnie to niewymownie. Przyjęłam Wandę do siebie, ustępując jej swego pokoju.

W połowie czerwca, po naradzie z Ryką pojechałam do Piotrkowa. Miałam przywieźć trochę tamtejszych pism, no i wiadomości o sytuacji. Ciekawa też byłam tego polskiego „Amfu”, jak czasem złośliwie nazywaliśmy Departament Wojskowy. „Amf” okazał się dość znaczny, z wywieszonymi zewnątrz chorągiewkami a wewnątrz błyszczący od gwiazdek i lampasów, których nikt tu sobie nie żałował.

Zatrzymałam się u p. Heleny Trzcińskiej, bardzo oddanej naszej sprawie. Nie myślałam zabawić tu długo, ale z powodu trudności przepustkowych musiałam czas jakiś pozostać na miejscu. Sądząc jednak, że dobrze się stało, bo tu byłam pożyteczniejsza. Na okrąg piotrkowski P. P. S. byłam jedyna wśród chłopców, którzy byli naogół dość flegmatyczni. Znalazła się i tutaj gromadka towarzyszy z 1905 r.; stykałam się z nimi dość często i opowiadałam im o organizującej się Warszawie. Tłumaczyłam więc towarzyszom, że P. P. S. kładzie w Warszawie podwaliny rządu narodowego, że rząd ten ogłosi się natychmiast po wyjściu Moskali. Patrzyli na mnie trochę chmurni — wszyscy byli bowiem zbiedzeni i ogłodzeni — ale naogół dość mi wierzyli. Szukałam też podtrzymania u nadsiadających na wieść o akcji Komendanta dawnych przewodników, którzy przybywali niemal z całego świata. Zjawili się wtedy w Piotrkowie: Aleksander Malinowski, Feliks Turowicz, Aleksander Dąbski i Tytus Filipowicz. Ostatniego prosiłam któregoś dnia o pogadankę dla moich robotniczy. Przystał na to chętnie. Zaprosiłam więc wtedy p. Marię Piłsudską. Uprowadzeni przeze mnie towarzysze przyszli uroczyści, patrząc wierzemi oczyma na tę, która nosiła jedyne w Polsce narwisko.

Robiłam wszystko, co mogłam, aby towarzyszy podtrzymać na duchu. Nie było to łatwie: mieli przed sobą tylko nędzę, a Departament Wojskowy nie miał dla nich nic więcej prócz głośloślawnych obietnic.

Poza starszą istniało tu koło młodzieży, w którym chłopcy wykładali program P. P. S., a ja zaś — historję powstań i prócz tego na specjalne życzenie słuchaczy — „naukę o państwie”. Do mnie też należały pogadanki o sytuacji. Mile wspominałam tych piotrkowskich chłopców i te zbiórki na jakimś czystuśkim stryszku, z którego widać było zielone sady. Wltano mnie tam zawsze serdecznie i słuchano uważnie, zwłaszcza wtedy, gdy im mówiłam o naszym wojsku, które tak walecznie się biło.

Zdecydowawszy się na dłuższy pobyt w Piotrkowie, pożegnałam p. Helenę i przeniosłam się na oficjalną kwaterę, jaką zajmowałam z Marysią i M. Domaniską na ulicy Szklanej w domu p. p. Nakoniecznych. Nie czułyśmy się tu dobrze. Dziś kiedy szło o byt państwowy smutno było walczyć z... endekami. Marzyłyśmy też wszystkie o pracy, która bardziej wiązałaby nas z wojskiem.

Jadaliśmy wszystkie w kuchni Departamentu, który im corpore patrzył na nas niechętnem okiem. Jakież tedy było nasze zdumienie, gdy pewnego dnia przyszłyśmy w zwykłej porze kolacji i w progu jadalni przywitał nas uprzejmie uśmiechnięty ppor. Wąsowicz.

— Wszystkie panie kolo pułkownika — oznajmił nam służbowym tonem.

Spojrzałyśmy po okwieconej sali i stołach ustawionych w sakramentalną podkowę, skłonne conąć się, póki jeszcze był czas. Ale adjutant tłumaczył się wydanymi mu dyspozycjami z racji imienia pułkownika. Mimo protestów posadzono nas na najbardziej honorowych miejscach po obu stronach szefa, który ofiarował nam wiązanek kwiatów. Przyznaję się szczerze, że nie zasłużyłyśmy niczem na te honory, bo nie zdobyłyśmy się nawet na imieninowe życzenia. Włóczę sałę wypełnił barwny tłum, w którym tu i owdzie widniały skromne odznaki i Brygady. W końcu jadalni umieszcza się orkiestra, przegrywająca niedawnego składu piosenkę, które chórz gości podchwytują wesoło. A więc był przedewszystkiem „Powrót do Lwowa”, odebranego Rosji przed kilku dniami; swawolna piosenka o żołnierzu, bawiącym się... na rachunek N. K. N.; Raz w ciemną noc do pewnej wsi... i t. d.

Przecierałam oczy, olśnione blaskiem światła i migocących w nim lampasów i napróżno próbowałam odgadnąć, czemu zawdzięczać mamy nasze honorowe miejsca u stołu...

Po uczcie, na której znalazłyśmy się mimowoli, wróciłyśmy do dnia powszedniego bez żalu, t. j. do naszych zwykłych miejsc w jadalni, do naszych prac i gości na kwaterze. Z tych ostatnich pamiętam zwłaszcza tandarna C., który czasami odwiedzał M. Domaniską. Doprawdy trudno byłoby mi go zapomnieć!

Razu pewnego zjawił się on do nas z bardzo poważną miną i oświadczył z miejsca, że jest służbowo.

— Co, dlaczego? — pytamy, patrząc w zdumieniu na siedzącego dumnie w fotelu „kanarka”. — A no, chodzi tu o to, że panowie w Departamencie chcieliby wiedzieć, co panie robią w Piotrkowie i jakie mają projekty... No i wszystkie!...

— Coż to znów? — pytamy trochę ze śmiechem, ale więcej oburzone zjawieniem się tak niezwyklego posła Departamentu Wojskowego. Żandarm jednak powoli traci na minie i ma widać wątpliwości, czy dobrze wywiązuje się ze swego zadania.. My jednak nie łudzimy się wcale i Ciuntłówna śpieszy z raportem do por. Stachewicza, przedstawiciela I Brygady.

— Ledwie tylko skończyłam, porucznik poszedł zaraz do pułkownika, — zdaje nam sprawę Wanda.

A nazajutrz oficjalnie zjawia się na kwaterze oficer i w imieniu szefa przeprasza nas z całą ceremonją. Biedny „kanarek"! Jakże kłopsko wywiązał się z otrzymanego polecenia: nie tylko nie dowiedział się nic ciekawego, a jeszcze tak niefortunnie odstąpił tajemniczą przyłbicę. Było mu tam zapewne ciepło!

Pierwszej rocznicy wymarszu Kadroński towarzyszyły głuche wieści o ostatecznym ataku na Warszawę. Oczekiwaliśmy wyniku z zapartym tchem. 4-go sierpnia mieliśmy chwilę radości, gdy p. Maria Piłsudska przyniosła nam w czasie obiadu świeżo wydanych „Piłsudczyków" Kadena. Wyrwaliśmy ich sobie z rąk. A nazajutrz, idąc na obiad dziwnie pustymi ulicami, spotkałam redaktora Dziennika Narodowego; był jakby trochę zmieszany i szepnął mi, oglądając się niespokojnie: — Są wszystkie dane na to, że Warszawa jest już wzięta, ale... Austriacy nie dadzą jeszcze o tem mówić!

Szłam dalej sama, w zamyśleniu, wśród nieokreślonego lęku o Warszawę. W Departamencie Wojskowym otoczyliśmy kolem p. Marię Piłsudską. — Co będzie z naszą rocznicą? pytamy niespokojnie. — Co będzie? Pułkownik Sikorski obchód urządzić musi, powiem mu o tem zaraz — odpowiada nam pewnym głosem pani Maria. W tych warunkach, rzeczywiście, trudno mu było odmówić. Naznaczona została godzina wieczorna. W sali Departamentu Wojskowego zeszła się nas spora gromadka, mniej jednak licznie niż na festynie imieninowym. Przemówił do nas serdecznemi słowy nasz kochany Sieroszewski, po nim zaś pani J. wypowiedziała góry wiersi: „Dla Ciebie, Wodzu"! Wreszcie nastąpiła kolej pułkownika, który po kilku gładkich okólnikach, powiedział w formie programu:

— Trudno dziś przewidzieć, co w najbliższym czasie nastąpi, ale winniśmy mieć tę nadzieję, że rychło Komendant Józef Piłsudski, a po nim i na Jego wezwanie i my Departament Wojskowy wejdziemy do Warszawy!

Złożywszy los sprawił, że wszystko poszło zgola innemi drogami.

„Kłopoty z... Zofia Zawiszczyńska

PRZY NOWYM WARSZTACIE. (Lato 1915 r.).

Jakoś niebardzo chciało mi się wierzyć w moje agitacyjne zdolności, gdy po rozwiązaniu Oddziału Wywiadowczego w pierwszych dniach maja jechała do Piotrkowa w poszukiwaniu takiej właśnie roboty. Poza tem było mi przykro, że to miasto wybitnie etapowe, podmienowane intrygami różnego rodzaju, ma się stać nieuchronnie terenem mojej pracy, która w owej chwili przedstawiała mi się zupełnie mgliście. Wyobrażenia ukazywała mi tylko, poprzez krajobrazy, smujące się w oknach pędzącego wagonu, długie i nudne targi z różnemi klikami, zanim uda się wywalczyć sobie jakieś zajęcie.

Na szczęście miałam w Piotrkowie znajomych, zacnych sympatyków p. p. Strzeleckich; u nich spędziłam kilka pierwszych dni i oni też pomogli nawiązać dawne stosunki organizacyjne. Dopiero słysząc nazwiska łutejszych działaczy ludowych, przypomniałam sobie, że przecież byłam przed wojną dość czynnym członkiem Narodowego Związku Chłopskiego.

Wiedział o tem i dzielny ksiądz, którego nazwiska nie pamiętam i który był tutaj kierownikiem tego ruchu. Był on zmuszony w tych dniach wyjechać, również jedyny jego pomocnik, Br. Wojciechowski, miał iada dzień wymaszerować z pułkiem. Byli obaj w kłopotcie komu powierzyć zastępstwo na tej placówce, wraz z redakcją pisma „Bartosz”, i gdy się tylko zjawiłam, powierzyli je mnie.

Z początku wymawiałam się, mówiąc, że tak odrazu nie potrafię, że muszę wejść potrochu w stosunki, że lepiej, aby tymczasem wzięt to w ręce kto inny... Odpowiedziano mi krótko i dobitnie, że tego „innego” wogóle nie ma — na to już nie znalazłam odpowiedzi.

Zamiast przewidywanych starań o pracę — spadł na mnie ciężar odpowiedzialności. Zamiast orjentować się stopniowo, musiałam wziąć się odrazu do konkretnej a trudnej roboty. I całe w tem szczęście, że mi tak odrazu przypadła do serca.

W ostatniej pośpiesznej rozmowie z księdzem notowałam skwapliwie adresy, utrwalałam w mózgu wszystko: teren objęty przez niedobitki organizacji (którą rozpręgly zarówno mobilizacja, jak i „urjentacyjne” spory), charakterystyki różnych jej ludzi, zyczące redakcyjno-drukarskie, ubożachny budżet. — „Za cóż ja będę wydawać to pismo?” — pytałam z przerażeniem.

— Coś tam zapłacą wam kolporterzy — rzekł spokojnie Wojciechowski — chłopie chętnie czytają, to się będą na swoją gazetę składać... Zobaczycie, jakoś to będzie!

I rzeczywiście jakże to było... Trudno mi już dziś wyrozumić — jakim sposobem.

Najciężej mi było zrazu radzić sobie z administracją, która całkowicie spoczywała na mojej głowie. Lecz redagować pismo ludowe przy pewnej energii i znajomości chłopów polskiego — nie było tak trudne. Kładłam też całą duszę w namawianie ludzi, aby szli na Moskalów, tłumacząc im, jak mogłam przynusować, i zresztą, chwilowe przyniesie z Austrią. Z prawdziwą radością opisywałam im prustem słowa mego naszego żołnierzy.

— Popatrzcie, posłuchajcie! Teraz biją się Polacy o swoją Ojczyznę, biją się niegorzej niż dawni rycerze. Nie zmieniła się, chwala Boga, odwaga, siła ducha i pogarda śmierci. Legioniści, choć to w znacznej części młode chłopaki, gotowi są, — a także z nich wyborowe, nieustępliwe wojsko, że ich Moskale „szaremi” diabłami nazywają, a Prusacy i Austriacy, choć radziły nas lekceważyć, musieli przyznać, że jeden batalion naszej piechoty więcej wart, niż ich cały pułk, t. j. 4 razy tyle.”

Chcąc pogłębić zaufanie do Komendanta, a przede wszystkim zrozumienie jego dążeń, podałam w numerze z d. 11/VI dość obszerny życiorys p. t. „Nasz Naczelnik”.

Po wyjeździe Wołciechowskiego, który opracował jeszcze do kilku numerów kronikę wojenną, wypełniałam szpalty przeważnie sama pod różnemi pseudonimami, przepłatając nadsyłanym ze wsi materjałem. Czasem można było wybrać jakiś wierszyk, częścię korespondencję odpowiednio przerobioną — rzadko już artykuł.

Kolportaż szedł różno utartemi poprzednio drogami — pieniądze potrochu napływały i jakoś razwa co 10 dni wychodził regularnie numer, sprzedawany trochę w Piotrkowie, a ze szczególną radością witany na wsi, na przestrzeni całej okupacji. „Bartosz” cenzurze nie podlegał — to też o chwilowych panach sytuacji mógł mówić równie śmiało, jak o caracie... to mu jednako wiele sympatji.

W twardych warunkach wojennych, wobec zakazu odbywania większych zebrań, stało się to skromne pismo jednym z ośrodków ruchu ludowego w duchu legionowym¹⁾. Docierało aż w Opoczyńskie i w Kieleckie, czytane było pod Łodzią, Częstochową, w całym zagłębiu — a najbardziej, oczywiście, w pobliżu Piotrkowa. Była to też jedyna okolica, z którą mogłam utrzymywać łączność bezpośrednią. Przeważnie chodziłam piechotą, czasem przysyłano po mnie

¹⁾ Wychodziło wtedy w Piotrkowie również pismo Związku Chłopskiego p. t.: „Sprawa Chłopska”, redagowane przez Ad. Siewczewskiego, Tytusa Janickiego i Marię Dąbrowską. Przyp. Red.

furkę — i w niskiej jakiegś izbie lub w sadzie pod drzewami zbierało się kilku poważnych gospodarzy na narady nad potrzebami pisma, nad akcją werbunkową i wogóle pracą agitacyjną na wsi. Poruszało się wtedy wszelkie żywotne kwestje, jakie niepokoiły moich słuchaczy...

W owych wędrownych towarzyszył mi często Cheliński, student, zamieszkały w Piotrkowie, który w wolnych chwilach stale mi pomagał. Stykając się bezpośrednio z wystraszoną, zdezerorientowanym chłopem polskim, zyskiwałam wiele doświadczenia i najcenniejszy materiał do „Bartosza”. Po każdej takiej pogadance wiedziałam coraz lepiej, jak trafić czytelnikowi do przekonania i jakich dobrać tytułów, aby go zainteresować.

I z radością stwierdzałam, że praca moja znajduje odzew, że kontakt z czytelnikami zacieśnia się coraz bardziej, a wpływ pisma coraz szerzej zatacza krąg.

Dookoła urzała w innych środowiskach podobna praca. P. P. S. rozwijała swą akcję na terenie całej Polski. W Piotrkowie pracowała w niej Marja Rychterówna.

Spotykaliśmy się wszystkie w jadalni Departamentu Wojskowego. Ach, ten Departament! Mówiło się tam wiele o solidarności z Piłsudskim, lecz tych deklaracji nie potwierdzał żaden czyn, żadne wyraźne wystąpienie przeciw ustawicznej tendencji austrjaczecenia Legionów. Oddychając wyłącznie atmosferą Departamentu, żywiąc się jego pracą, można było wierzyć, że wszystko jest w zupełnym porządku, że mamy już prawdziwe, niezależne wojsko polskie i niczego nam więcej nie potrzeba, prócz wypędzenia Moskali z granic kraju.

Ten duch ugody w stosunku do Austrjaków i Niemców dał się najmocniej odczuć w chwili, gdy po jakimś przelotnem nieporozumieniu z Komendą Legionów, zaproszone uroczyste jej przedstawicieli na ucztę, urządzoną z okazji powrotu jedyne go, zdaje się, kurjera Departamentu, Stanisława Downarowicza. My, które przebywałyśmy drogą do Warszawy, przedzierając się przez front, kpiłyśmy sobie potichu z odwagi tego męża, co jechał z Warszawy dookoła przez Rumunję, narażając się o wiele mniej ale przywołując, oczywiście, mocno spóźnione wieści.

Jaki charakter miała owa ucztą i owa zgoda, o tem świadczył najlepiej fakt, że portret Piłsudskiego zastąpiono na te kilka godzin olbrzymim białym orłem, widocznym w obawie, by nie razii oczu dygnitarzy z c. k. Komendy...

Ciekawy ten moment upamiętniliśmy następującym złośliwym wierszykiem:

*Przy fatalnej kolacji i marnej zastawie
Siedzieli rzędem męstwa, co chadzało w stawie*

*Białym orłem przezornie Ziuka zaslonili,
By choć On nie był świadkiem tej okropnej chwili...
Czemuścisła, panowie, zaslonili Ziuka?
„Ja effigie” wzrok patrzeć i na to nie zstuka!*

*Lecz to sprawa zbyt ciemna i zbyt tajemnicza,
A tu idzie o czyny cne Dowarówicza—
Bo przy tej okazji w podniosłym nastroju
Departament z Komendą cni fajkę pokoju...*

*Ty z Warszawy przybywasz — jadać przez Rumunę!
Ktoś na twoją odwagę śmie rzucać kalumnie?
Czemie jest przyjaźń Wandy i przyjaźń Drezera,*

*I ty, młoda Maryśko, ty nie wiesz, niestety,
Jak zasłażyć na takie upamiętnienie bankiety.*

Mieszkałyśmy w dwupokojowej kwaterze na trzecim piętrze, na przeciwko Departamentu. Było tam nas trzy: sanitariuszka J. Łojkówna, Wanda F. i ja.

Tam odwiedzali nas nieraz znajomi oficerowie, przevažnie w przejeździe z Brygady: Orlicz, Głuchowski, dr. Kaplicki i inni, — a już najczęściej Wyrwa, stacjonowany ze swym bataljonem uzupełniającym w Radomsku. Bardzo szybko zżyliśmy się z tym chłopcem, znającym w Brygadzie ze swego męstwa: dziwnie swojski był jego sposób hycia — przemiła mieszanka zawadziactwa i humoru.

Zwykle wpadał, jak bomba, klnąc z całym bogactwem obozowego słownictwa na pułkownika Grzesickiego, a potem, otoczony zasłuchanemi twarzami i częstowany wszystkimi przysmakami, jakie były na kwaterze, opowiadał szczegółowo, jakie mu Komenda Legionów stawia przeszkody, jak z nią musi wojować, a nieraz i uciekać się do wybiegów, aby posyłać należyte uzupełnienia Brygadzie.

Wiedząc, że od wczesnego nieraz ranka schodzą się kolporterzy „Bartosza”, zazwyczaj wymykałam się wcześniej spać, gdy w sąsiednim pokoju koleżanki zasiadziały się czasem, słuchając opowiadań jakiegoś oficera o przeżytych bojach.

Tylko wówczas, gdy Wyrwa czekał u nas na swój późny pociąg do Radomska, nie odeszłam nigdy, jakby zahipnotyzowana wyraźną,

a zawsze niespodzianą myślą: „To już tak krótko! Przecież on zginie niedługo... potrząśnij na tego rycerzyka, póki możesz! Bo było coś w bławatkowo niebieskiem spojrzeniu Wyrwy, co mi dziwnie przypominało natchnione oczy nieodżałowanego Franka Grudzińskiego... lecz nie mówiłam tego, oczywiście, nikomu.

W takich to warunkach zastawały nas upajające, piękne wieści o pogoni naszych chłopów za „podpalaczami“, jak nazywaliśmy Moskali, o tem, jak entuzjastycznie przyjmował Brygadę Lublin, jak tam garna się ochotnicy... wieści, bijące do głowy, jak wino.

Znajdowały one triumfalne echo w „Bartoszu“. A kiedy wreszcie największym czarnym drukiem ukazały się na pierwszej stronie słowa „Warszawa wzięta!“ — zdawało się, że musi nastąpić jakiś przełom, że teraz wreszcie zrozumie całe społeczeństwo i tchórzliwie dyplomatyzujący Departament — że pora wreszcie i sprzymierzeńcom pokazać swoje prawo i wolę niezłomną — wolę narodu — wolę Piłsudskiego.

Odczułam jednak wkrótce i na sobie, że sprawy poszły w innym kierunku. Żandarmerja austriacka, a bardziej jeszcze pruska zaczęły zawzięcie prześladować „Bartosza“, z powodu ostrych jego wystąpień przeciw okupantom. Druk i kolportaż stawały się coraz trudniejsze, wreszcie zgoła niemożliwe. Musiałam jeszcze raz podjąć ulubione pole pracy. Wierzę, że ona mimo wszystko, płonęła jakis wydawała... Stałam się bowiem uciążliwie pracować dla naszej sprawy.

Wieloletnia praca w tym kierunku przyniosła nam do sukcesu i w końcu udało się nam osiągnąć nasz cel. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolitą linię polityczną i organizacyjną. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolitą linię polityczną i organizacyjną. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolitą linię polityczną i organizacyjną.

POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA

Wieloletnia praca w tym kierunku przyniosła nam do sukcesu i w końcu udało się nam osiągnąć nasz cel. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolitą linię polityczną i organizacyjną. W tym celu należało przede wszystkim wypracować jednolitą linię polityczną i organizacyjną.

ODDZIAŁ TERENOWY P. O. W.

Gdy nadchodzi chwila Bielejowa, gdy w Małopolsce młodzież strzelecka ruszyła w formacjach legionowych w pole, by walczyć z orężem w rękę, — na terenie b. Królestwa stało się koniecznym stworzenie organizacji, która by dostarczała wyrobionym oddziałom, —

NA ZIEMIACH ZAJĘTYCH PRZEZ ROSJAN.

na przedewszystkiem wskazów na debie straszanie społeczeństwa wrolem i lojalizacja, uświadomienie najszerszym warstwom o roli Legionów oraz budzenie przez żywe słowo i wydawnictwa myśli niepodległej. Potrzeba wypełnienia tych ostatnich zadań wynikała jeszcze i z tego powodu, że w b. zaborze rosyjskim społeczeństwo polskie przed wojną posiadało tylko słabość złagodzenia urzeka sławą i chociaż ofiarne walczyło z niebezpieczeństwem wynarodowienia i dążyło do podniesienia ogólnego dobrobytu i kultury kraju, jednak bała się i niepodległość nie podejmowała.

Organizacja strzeleców na tym terenie była tak słabą, iż słaby tylko wpływ wywierać mogły na sprawy ogółu, a jednocześnie nie było tu w owym czasie przedstawicielstwa politycznego, któreby, reprezentując kierunek niepodległościowy, mogło wcielić moralnego poparcia walczącym w imię polskiej sprawy legionistom.

To zadanie miała spełniać powołana rozkazem Komendanta Józefa Piłsudskiego, jesienią 1914 r., Polska Organizacja Wojskowa, powołana P. O. W. zwana.

Podstawą terenów działania P. O. W. były bezpośrednie terytoria wojenne rosyjskie, praca ta musiała być prowadzona z wielką ostrożnością organizacyjną, konspiracyjną, tak związana z masami walkami o niepodległość, stała się znowu koniecznością.

PÓLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA.

Maria Jęza-Karłowiczowa (Ella).

ODDZIAŁ ŻENSKI P. O. W.

Gdy nadeszła chwila dziejowa, gdy w Małopolsce młodzież strzelecka ruszyła w formacjach legionowych w pole, by walczyć z orężem w rękę, — na terenie b. Królestwa stało się koniecznem stworzenie organizacji, która by nie tylko dostarczała wkraczającym oddziałom legionowym wyszkolonych i uzbrojonych uzupełnień, ale która przede wszystkim wzięłaby na siebie otrzaskanie społeczeństwa z bierności i lojalizmu, uświadamianie najszerszych warstw o roli Legionów oraz budzenie przez żywe słowo i wydawnictwa myśli niepodległej. Potrzeba wypełnienia tych ostatnich zadań wynikała jeszcze i z tego powodu, że w b. zaborze rosyjskim społeczeństwo polskie przed wojną szukało tylko sposobu złagodzenia ucisku niewoli i chociaż ofiarnie walczyło z niebezpieczeństwem wynarodowienia i dążyło do podniesienia ogólnego dobrobytu i kultury kraju, jednak hasła walki o niepodległość nie podejmowało.

Organizacje strzeleckie na tym terenie były tak nieliczne, iż słaby tylko wpływ wywierać mogły na szerszy ogół, a jednocześnie nie było tu w owym czasie przedstawicielstwa politycznego, któreby, reprezentując kierunek niepodległościowy, mogło udzielać moralnego poparcia walczącym w imię polskiej sprawy legionistom.

To zadanie miała spełniać powołana rozkazem Komendanta Józefa Piłsudskiego, jesienią 1914 r., Polska Organizacja Wojskowa, powszechnie P. O. W. zwana.

Ponieważ terenem działania P. O. W. były bezpośrednie tyły wojska rosyjskiego, praca ta musiała być prowadzona z wielką ostrożnością organizacyjną. Konspiracja, tak związana z naszymi walkami o niepodległość, stała się znów koniecznością.

Młodzież strzelecka, rwąca się z zapalem do walki bezpośredniej w oddziałach, musiała, posłuszna rozkazom, i do tej stać pracy.

Tak rozpoczął się od pierwszych dni wojny długi okres wyczerpującej i dezerwującej pracy P. O. W. w tym odmieć wypadków wojennych, gdzie zmienne koleje zdarzeń coraz to inne stawiały horoskopy na przyszłość. A gdy tam, na froncie, walczone w umieszczeniu bitewnego nastroju, brud powiatka, śledzona i tropiona, pod ciągłą grozą śmierci lub poniewierki więzienniczej, wykonywała swą codzienną pracę w najtrudniejszych warunkach przyfrontowych, mocna włąra w swego Przewodnika i w służność i celowość prowadzonej roboty.

P. O. W., będąc ściśle związana z I Brygadą Legionów Polskich, miała poza tem zadokumentować swą działalnością, że Legiony nie są wytworem jednej tylko dzielnicy Polski, lecz, że ogarniają wyślikiem walki całość dawnych ziem Rzeczypospolitej.

Jak z samej nazwy wynika, P. O. W. miała charakter wojskowy. Stosunki wewnętrzne regulowane były zapomocą rozkazów, przy zachowaniu karności i subordynacji bezwzględnej. Wartość organizacji podnosił wysoki poziom moralny jej członków.

Organizacją P. O. W. kierował komendant naczelny przez komendantów okręgowych; okręgi podzielone były na obwody, posiadające również swych komendantów i komendy miejscowe. Stosownie do celu swego założenia działalność P. O. W. obejmowała przedewszystkiem dziedzinę pracy wojskowej, zatem przygotowywano w odpowiednich szkołach materiał żołnierski, podoficerski i oficerski; do celów wywiadowczych zorganizowano specjalny oddział, odsyłający swe meldunki przez front za pośrednictwem kurjerów¹⁾ do sztabu I Brygady Legionów; zadania dywersyjne, polegające na niszczeniu obiektów i składów wojskowych oraz utrudnianiu działań wojska rosyjskiego na jego tyłach wypełniał t. zw. Oddział Lotny Wojsk Polskich, podporządkowany bezpośrednio władzy komendanta naczelnego P. O. W.; wreszcie komisja wydawnicza, oprócz pisma periodycznego „Podchorąży” i szeregu regulaminów, instrukcyj i podręczników dla szkół wojskowych, wydawała w aktualnych sprawach odezwę, ulotki oraz umieszczała w pismach obolicznościowe artykuły polityczne.

We wszystkich tych działach współpracowały kobiety, stając od pierwszej chwili obok mężczyzn w szeregach P. O. W. i biorąc na siebie specjalne zadania.

¹⁾ Kontakt P. O. W. z I Brygadą utrzymywały kurjerki Oddziału Wywiadowczego I Brygady. One to przewoziły przez front rozkazy Komendanta do Warzawy, a wracając do Oddziału, zbierały warszawskie raporty. Przep. Red.

Warunki pracy, wobec obojętności i niezrozumienia idei legionowej nie tylko przez szeroki ogół społeczeństwa, ale wobec częstokroć wręcz wrogiego stanowiska nawet najbliższych w rodzinie, były szczególnie dla kobiet bardzo ciężkie. Ilekroć było cichych tragedii, ile wałk wewnętrznych! Jakiej tu trzeba było siły przekonać, by wobec nieufności, lekceważenia czy przeciwdziałania otoczenia — kroczyć dalej wytkniętą drogą. Jakże częste były wypadki, gdy całkowite oddanie się działalności P. O. W. uniemożliwiało pracę zarobkową i skazywało nieraz na niedostatek i konieczność ukrywania się poza własnym mieszkaniem! Były chwile ciężkie, bliskie zwątpienia, były jednak i radośnie, gdy życie potwierdzało słuszność założeń ideowych. W takich oto warunkach odbywała się praca kobiet w P. O. W.

Praca ta miała charakter pomocniczy dla oddziałów męskich, w miarę też potrzeb zawiązywano przy komendach okręgowych i obwodowych P. O. W., t. zw. Oddziały Żeńskie (O. Z.). Oddziały takie, kierowane przez komendantki, zorganizowane zostały w Warszawie, Radomiu, Lublinie, Siedlcach, Wilnie, Kijowie i Petersburgu.

Z natury rzeczy najintensywniejszą i najbardziej wielostronną działalność musiał rozwijać Oddział Żeński w Warszawie, powołany do życia przez Komendę Naczelną P. O. W. jesienią 1914 r. Komendantką tego oddziału, liczącego około 30 członkiń, mianowano Marię Kwintkowską (Ellę), a zastępczynią jej była Jadwiga Barthel de Weydenthal (Brzeska).

Do pracy w Oddziale Żeńskim stanęły przedewszystkiem członkinie Związków i Drużyn Strzeleckich, odpowiednio już do tego przygotowane, a nowostępujące, których dobór ze względu na charakter prac P. O. W. odbywał się z wielką starannością i oględnością, musiały przed formalnem przyjęciem do organizacji przejść „kurs rekrocki”, dający, oprócz fachowego przygotowania, próbę sprawności i wyrobienia ideowego. Na kursie tym wykładane były: organizacja wojska, służba wywiadowcza, terenoznawstwo, nauka o broni i o materiałach wybuchowych, niszczenie środków komunikacji oraz sporządzanie szkiców i meldunków.

Stosownie do potrzeb organizacji, Oddział Żeński w Warszawie dzielił się na następujące sekcje:

1) wywiadowczą, której zadaniem było robienie wywiadów wojskowych i politycznych w samej Warszawie oraz na prowincji. Pracą tej sekcji kierowała Jadwiga Barthel de Weydenthal (Brzeska);

2) kolporterską, która rozpowszechniała nielegalnie wydawnictwa niepodległościowe wśród społeczeństwa i żołnierzy Pola-

ków w wojsku rosyjskiem, torując drogę idei legionowej do ich serc i umysłów. Kierowniczkami tej sekcji były kolejno Zofia Warszawska i Anna Krysińska (Ina);

3) intendentury, dostarczającej ubrań, bielizny, ekwipunku i mieszkań, oraz mającej opiekę nad kurjerami, przybywającymi z tamtej strony frontu, a także członkami P. O. W. „skompromitowanymi” wobec władz zaborczych, oraz nad ochotnikami, żołnierzami wojska rosyjskiego, udającymi się do formacji legijonowych. Na czele tej sekcji stała Stanisława Gołębiowska, następnie Helena Holówska, a wreszcie Maria Gieysztor;

4) sanitarna, której członkinie, po ukończeniu kursów fachowych, pracowały w szpitalach wojskowych, gdzie miały dostęp do żołnierzy Polaków i możliwość dostarczania cennych wiadomości wojskowych. Sekcją tą kierowała Helena Holówska.

Poza tem zorganizowany przy Komendzie Naczelnej P. O. W. skład broni i amunicji był również, niejako, pod opieką Oddziału Żeńskiego, gdyż jego komendantka miała sobie powierzone zarządzanie tym składem oraz, w myśl otrzymywanych rozkazów i instrukcji, skupowywanie i zbieranie broni, do której przewożenia, w miarę potrzeby, używano członkin całego Oddziału, gdyż specjalnej sekcji do wypełniania tych zadań nie było.

Jakkolwiek nowa wielka karta historii walk Narodu o swą niepodległość jest już zapisana, trudno jeszcze może ocenić bezstronnie rolę i działalność w ostatnich dziejowych wypadkach Oddziału Żeńskiego P. O. W. Jedno przecież już dziś stwierdzić można, że kobiety polskie, skupione w tej organizacji, wykazały bez wyjątku w tych ciężkich czasach niezwykle wysoki poziom ideowy, hart ducha i pełnię poświęcenia dla sprawy niepodległości, dając niejednokrotnie swe młode życie na poniewierkę więzienną czy śmierć ofiarną i usprawiedliwiając te wysokie odznaczenia, które przypadły w udziale Oddziałowi Żeńskiemu w postaci nadania jego członkiniom krzyżów „virtuti militari”, „krzyżów walecznych” oraz odznaki „za wierną służbę”.

Wskutek wyjątkowych, konspiracyjnych warunków pracy nie pozostało prawie żadnych archiwalnych śladów i dokumentów, obrazujących pracę Oddziału Żeńskiego P. O. W., — niech więc garść luźnych wspomnień i przemyśleń osobistych, podanych niżej, doda działalności tej organizacji barwy i życia.

IRYNA WASILYJENKA
 URYWKI Z PAMIĘTNIKA

Warszawa, 8 września 1914 r.

Straszne jest miastem, Warszawa. Po entuzjazmie Krakowa i Kielc, po serdecznym przyjęciu nas kurjerek w Suchedniowie przyszedł Radom — smutne miasto — miasto panicznego strachu. Dali nam wprowadzić kwatery, ale pod warunkiem, że nigdy nie zdradzimy nazwiska ofiarodawców, przyjdziemy bez rzeczy i nikt z naszych nawet ludzi nie będzie wiedział adresu. A potem, jedno po drugim, jak w kalejdoskopie, wyprawa do Kozienic, wyprawa, odstawienie nas do Dęblina i wreszcie jazda na wieś pod Lublin — jakby się coraz głębiej schodziło do dusznej piwnicy, z której niemasz wyjścia. Pod Lublinem paniczny strach dziedziców i pierwsze gazety warszawskie z dziękczynnym adresem dla Mikołaja Mikołajewicza, i podpisy tyłu, tyłu znajomych...

Delikatna propozycja gospodarzy, żebyśmy sobie pojechały do diabła, wetknąć pieniądze na drogę... swoją własną...

I wreszcie Warszawa — Warszawa, która obsypuje gwardję kwiatami i podpisała dziękczynny adres!!!

20 września 1914 r.

Czyż nikt ze znajomych nie zdobędzie się choćby na trochę szacunku dla spowitych Legionów? Czemu te wszystkie baby obsługują moskiewskie szpitale? Czy będą kiedyś obsługiwały polskie? I nikogo bilskiego, kto by chciał wierzyć, a nie liczył „mądreca szkiełkiem i okiem” wojsk po tej i po tamtej stronie. Czyż jesteście tego pewni, że tu zdecydować licza? Czy jesteście pewni, że w waszych obliczeniach wszystkie czynności wzięliście pod uwagę? Czyż mamy czekać z założonymi rękami, aż nam który z zwycięzców rzuci pogardliwie jakiś ochłap? Komu ma go zresztą rzucić? Z „naszych” ludzi nie znam w Warszawie nikogo — wszystkim znajomym skaczę tylko do oczu — niepodobna się porozumieć — chcecie matematycznie ścisłych dowodów — nie mam ich. Ale czemuż nie możecie zrozumieć, że tylko na swoje siły należy liczyć, że nie zdobędziecie nic czekając z założonymi rękami. I trzeba wierzyć, wierzyć!

25 września 1914 r.

Rozwiązano oddziały kobiece! Czyżbyśmy naprawdę na nie przydać się nie mogły? O co chodzi Komendzie? Jeszcze więcej gorczy!

Październik.

Zwołano nas znowu! Włóć jednak nie mogą się bez nas obejść! Powołano do życia szereg sekcji! Będzie sekcja kurjersko-urywadowska, techniczna, sanitarna i intendencka (kwatery, mundury, cywilne ubrania i broń). Kazano mi objąć sekcję kurjerską.

Przyjechała Wanda F. przywiozła garść nowin, zrobiło się jaśniej. W Warszawie teraz tak duszno! Roman Dmowski niezmordowanie organizuje wiece i udawadnia niezbić, że nie należy rozbijać się o niepodległość, bo Polska nie ma podstaw do niepodległego bytu — brak jej ekonomicznej samowystarczalności!! Lepiej prosić pokornie o autonomję w granicach „matki Rosji”. „Nas” nazywa „Polakami z Saskiej Kępy”. Znajduje olbrzymi aplauz. Przyjemnie jest przecie nie tylko uzasadnić, ale jeszcze apoteozować bezpieczną i leniwą bezczynność. Poco wzbudzać w ludziach wiarę we własne siły? Poco ich budzić? Może i tak dostanie się nam jakiś ochłap?

Październik 1914 r.

Nazywajcie nas Polakami z Saskiej Kępy, gadajcie, co chcecie o nas, ale wara wam szargać świętości i z błotem mieszać tych, co dawnó życie swoje w ofierze złożyli! Wara wam opluwać waszą ja-dowitą śliną poczynania powstańców!

Jak duszno! Niema czem oddychać!

Listopad 1914 r.

Zjawila się Szybca, potem Szara — musiała iść piechotą w nocy, nadwęgryła chorą nogę, ledwo się rusza, a w Warszawie wcale nie jest dla niej bezpiecznie.

Rozeszły się niesprawdzone dotąd wieści, że jedną z naszych kurjerek powieszono. Może to jeszcze wieści o nas, toć sama na własne uszy słyszałam, że nas w Dęblinie powieszono — nikt nie potrafi podać nazwiska, ani pseudonimu.

Listopad 1914 r.

Przyszedł Wampir — przynajmniej jedna dusza znajoma jest z nami! Nauczył mnie prać paszporty; mam prowadzić biuro paszportowe. P. P. S. nie może wszystkiemu podołać. Przyniosą mi niedługo pieczątki — bo teraz mogę tylko zmieniać w paszportach nazwiska.

Listopad 1914 r.

Przyniesiono wreszcie pieczątki. Nie byle jakiś artysta je wyrzynał kosiakiem w pudellach od cygar. Niektóre są wprost nieporównane. W tych dniach odcinam technikę paszportową. Bardzo się cieszę.

Listopad 1914 r.

Wysłano dwie kurjerki do Łodzi po dynamit, bo go zaczyna brakować. Pojechała Brzeska z siostrą. Żeby je tylko znowu nie obdadowano.

Listopad 1914 r.

Przyjechały szczęśliwie, ale dali im porcję trochę za dużą — każdy tragarz pytał, co tak ciężkiego wiozą w koszyku, który we dwie nie mogły podźwignąć.

Listopad 1914 r.

Była rewizja w jednym ze składów broni Małgorzaty. Na szczęście nie nic znaleźli.

Małgorzata wpadła na doskonałą myśl — zorganizowała stałe kupowanie karabinów od żołnierzy i to w sklepie z rowerami, gdzie jest wечно pełno żołdactwa. Najgorsze tylko to przenoszenie. Żeby nie wiem jak starannie karabin opakować, nie chce nic innego przypominać, tylko karabin. Kiedyśmy z Elą niesły taką sztukę, musieliśmy go dobrze maskować, bo ani rusz nie mógł nabrać łasemu walka od rolet. Potem udało się z nim doskonale — robili po paru dniach rewizję w tym właśnie lokalu i karabina nie znaleźli: lufa wisiła w przedpokoju na najwidoczniejszym miejscu, ale wpuszczona w nogawkę od spodni, kolba spoczywała w sienniku, a zamek i śruby w brudnej bieliznie. Czasem się tak uda; w jednym ze składów Małgorzaty brauningi udawały mleko w centrifygach i też ich nie znaleźli podczas rewizji.

Grudzień 1914 r.

Zaczynają się coś kolo mnie kręcić aniołowie stróże — radzą mi „przewietrzyć się” — pojedą sobie trochę na Litwę, trochę na Podole. Może nie będzie tam tak duszno, jak tu. Więcej mączy ten brak powietrza, niż emocje naszej gorączkowej roboty. Mam tu ciągle wrażenie, że się obijam o pręty jakiejś klatki tak mocnej, jak mocna jest głuchota i niewiara ludzka. Małgorzata narazie też dostała urlop i zabrała się do roboty w szpitalu kadetów — kierownictwo szpitala zwracało pozostałemu personelowi uwagę, że to jest osoba podejrzana, bo się o nią „ochrona” dowiaduje!

Luty 1915 r.

Wróciłam — droga to istne piekło. Ciągłą ogłupiałe rzesze ludzkie. Kobiety z nieprawdopodobnymi tobołami i dziećmi zasiedlają pokój dworca. Każą im się ewakuować, więc jadą — dokąd i po co — nie wiedzą.

Czepiali się mnie po drodze o dokumenty — na kogoś z naszych widocznie polują — ale na kogo?

Marzec 1915 r.

Więc to Maryśki szukali! Nie każdemu uda się taki bałeczny kawał, jak jej! Chodziło o wyjazd w Dęblinie, a do Dęblina nie można się było dostać. Ona, udając studentkę rosyjską, wyprosiła od samego gen. Iwanowa, którego zastała na dworcu w Lublinie, pozwolenie na szukanie w Dęblinie swego zaginionego „narzeczonego”, no i dał jej pozwolenie. Szczególnym zbiegiem okoliczności, ktoś o nazwisku podanym przez nią zginał przed niedawnym czasem pod Dęblinem, i Maryśka powróciła z wcale niezłym plonem. Teraz szukają jej — szukajcie sobie wiatru w polu!

Kwiecień 1915 r.

Jak się ta wojna wleczła! Jest się takiem drobnem i nic nie znaczącem ogniwem w tym całym łańcuchu, nie się nie wie, nie ogarnia się nawet drobnej cząstki roboty. Tyle jest tylko pociechy, że ruch jest duży — mnóstwo chłopców odkomenderowują z linii do cywila, więc i w sekcji kwaterunkowej i w odzieżowej gwałt nieopisany. Żal mi chłopaków: dużo przecierpieć tu w cywile, stykając się z „publicznością”.

Drugą pociechą jest to, że jakoś słabnie uwielbienie dla wojska rosyjskiego — jakoś zgóry obrane pozycje, które zajmują, przesuwną się systematycznie na wschód. Może ich wreszcie licho stąd zabierze. Krąta głuche wieści, że, cofając się, zagarniają ze sobą młodzież — chłopcy szykują się do obrony.

Sierpień 1915 r.

Niemą ich nareszcie!

Na Żórawiej, w Komendzie robota wra! Niedługo wyruszy batalion warszawski. A ty, człowieku, siedź, pewnie znów trzeba będzie wejść do podziemi.

Jadwiga Barthel de Weydenthal (Brzesko)

SEKCJA WYWIADOWCZA P. O. W.

Pisanie tych wspomnień jest dla mnie rzeczą bardzo trudną. Nie robiłam żadnych notatek, nie zapisywałam nazwisk ani pseudonimów, stosując się w ten do polecenia Komendy, prawdopodobnie i bez polecenia Komendy nie byłabym tego robiła, nie tyle może ze względów konspiracyjnych, ile dlatego, że myśli i uczucia nasze tak były wówczas skierowane ku przyszłości, mającej niewątpliwie przynieść

upragniony owoc naszych wysiłków — wolną Polskę — że teraz — niejasność istniała tylko jako praca, konieczna do osiągnięcia wyznaczonego celu, a dzień wczorajszy stawał się odrzuconą rzeczą mało-ważną, nie wartą uwagi, jako praca już dokonana.

Być może zresztą, że były to osobiste moje uczucia.

Przytem praca wywiadowcza była niemiła... potrzebna była i należało ją wykonać — ale po wykonaniu — przyjemnie było zapomnieć o niej. Z tych tedy względów wspomnienia moje są bardzo niedokładne i mogą dać tylko ogólny zarys naszej pracy wywiadowczej.

Przygotowania do niej istniały już w przedwojennych Drużynach Strzeleckich, których byłem członkiem, ale... wyobrażenia o tej pracy były inne niż późniejsza rzeczywistość. Krążyły po głowach romantyczne obrazy wywiadów przy jakimś oddziale w polu, konno albo zresztą i pieszo — coś na wzór 63-go roku... aż tu z tego wszystkiego nic — natomiast słutka wywiadowcza w ukryciu, na tyłach rosyjskiego frontu, pozbawiona wszelkiego zewnętrznego romantyzmu; jednostajna i drobniągowa, nabierała często pozorów bezplodności, przy wysiłku napięciu energii i rwaniu się dziewcząt do pracy.

Od grudnia 1914 r. byłem komendantką sekcji wywiadowczej w Oddziale Żeńskim i porządnie niecierpieć musiałam się namęczyć znaną wytlumaczyłam dziewczętom, że tak drobna nawet praca jak nasza, wykonana dokładnie i z zapalem ma wielką wartość dla całości sprawy.

Sekcja nasza nie była liczna. O ile pamiętam, należały do niej: Wacława Borkowska, Antonina Rokicka, Pola Rakowiecka, Stenia Bobowska, Marja Bittnerówna, Stanisława Krasuska, Henryka Jarczyńska i Zofja Budzińska. Raporty ze szpitali dostawałam najczęściej od Haliny Ciągłińskiej, Janki Szymońskiej i Marji Gieysztor. Z Organizacji Młodzieży Narodowej pracowały w wywiadach Zofja Steinfówna i Irena Rebundelówna. Przydzielono też do mojej sekcji cztery czy pięć koleżanek z Drużyn Bartoszewskich, które zgłosiły się do pracy, nie wchodząc formalnie do P. O. W.

Przezbyłyśmy cały szereg wykładów: organizację różnych wojsk, materiały wybuchowe, terenoznawstwo, niszczenie komunikacji i t. p.

Wyjazdy wywiadowcze poza Warszawę nie były częste, choć organizacja z różnych swoich okręgów prowincjonalnych dostawała raporty. Głównie więc pracą naszą były wywiady na miejscu w Warszawie.

Most Kierbedzia, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie — główny szlak wojska rosyjskiego przechodzącego przez Warszawę — był też szlakiem naszych posterunków. Kolejno od godziny do godziny zmieniali się tam obserwatorzy w pogodę wesołą

i uśmiechnięte, a gdy padał deszcz lub hulał mróz i wicher z nosami spuszczone mi na kwiłkę — lecz zawsze wytrwał. I tak codziennie, tydzień po tygodniu, a wiadomości trzeba była podawać dokładne, orientować się w rodzajach broni, jednostkach wojskowych, ilości żołnierzy i oficerów na jednostkę (czy przepisowa, czy mniejsza), w dokładności uzbrojenia, ogólnej postawie wojska i t. d. Niekiedy obserwacja taka była niebezpieczna, z powodu niemieckich aeroplanów, rzucających bomby na posuwające się kolumny wojska.

Wyjazdy wywiadowcze w okolice Warszawy lub dalej miały zadanie bardziej urozmaicone. Prócz wiadomości ściśle wojskowych, dla których zdobycia trzeba było często rozwinąć niemałą ilość sprytu, chodziło zwykle także o zbadanie stanu dróg, kolejek dojazdowych, nastroju wojska, usposobienia ludności i t. p. Pamiętam doskonale wywiad tego rodzaju, dokonany przez Wacł. Borkowską na północy: Pułtusk i Maków ku Prusom Wschodnim. I wyprawy Peli Rakowieckiej do sztabu nie pomnę już jakiego korpusu, pod pozorem odwiedzin męża, lekarza w wojsku rosyjskiem; wywiad mojej siostry Marii w Bloniu i Sochaczewie, lub raporty telefoniczne Janki Szymońskiej z Wyszkowa, pełne wesołości, bo udzielane w formie rozmowy o kobiecych strojach, wywiady Maryski Kornilowiczówny w Radzyminie i w Puławach. Sanitarjuszki dostarczały wiadomości ze szpitali, gdzie od rannych żołnierzy dużo mogły się dowiedzieć o pozycjach, przesunięciach i składzie korpusów i armii.

Wysyłano nas też nieraz jako kurjerki. Np. Wacł. Borkowską z poleceniami organizacyjnymi do Petersburga, krótko przed wyjściem Rosjan z Warszawy, siostrę moją i mnie do Łodzi po transport dynamitu, Rokicką z paką broń do Lublina i t. d.

Wszystkie wiadomości, zebrane przez poszczególne oddziały wywiadowcze skupiały się u komendanta całej pracy wywiadowczej P. O. W. Konrada Libickiego. W jego biurze były segregowane, układane w specjalne mapy i wciągane do ksiąg ewidencyjnych wywiada. Robota ta odbywała się często u mnie, w mieszkaniu uczynnej p. Marii Gieysztor, która też niebawem wstąpiła do organizacji. Byli obecni zwykle ob. ob. Żuliński, Libicki i szef sztabu, Tomaszewski.

Zgromadzenia takie odbywały się również u Zofji Steinówny, nauczycielki na pensji p. Wołowskiej, a księgi ewidencyjne tak były tam doskonale ukryte, że mimo wszelkiej rewizji (Steinówna została aresztowana) nie znaleziono ich i mogliśmy je potem ukradkiem zabrać. Do meldowania się wywiadowców z raportem z prowincji służyło mieszkanie p. Sołomowiczówny, gdzie pracowała w tym dziale Marija Stolska.

Wszystkie opracowane wywiady układało się w raport dla I Brygady. Raport taki przewoziły przez front kurjerki Oddziału Wywiadowczego I Brygady. Musiał on mieć tedy jak najmniejszą objętość, aby go łatwo było ukryć. Pisało go się więc małym, cienkim piórkkiem na cienkiej bibułce, w czem celowała „Jadwiga”, czynna bardzo w organizacji wojskowej, członkini P. P. S.

W kwietniu, w maju 1915 r. przedostanie się przez front rosyjski stało się wskutek rozwiązania Oddziału Wywiadowczego prawie niemożliwe. Znalazł się jednak inny sposób dostarczania Legionom wiadomości. Oto dwa pisma warszawskie — Kurjer Warszawski i Kurjer Poranny — dochodziły do Legionów. Umówiony więc został kłunz i wszystkie wiadomości wojskowe umieszczano się w formie ogłoszeń w tych dwóch pismach. Były to ogłoszenia o zaginionych psach, a było ich tak dużo, że dziewczęta podające ogłoszenia w różnych kantoszach kurjerów nasłuchiwały się młotów zdumionych uwag o niezwykłej ilości psów, ginących od pewnego czasu w Warszawie. Ginęły też najróżniejsze przedmioty codziennego użytku — zależnie od liter, które były potrzebne — i to już mniej zwracało uwagę.

Naturalnie, że oprócz wywiadów, dziewczęta z sekcji wywiadowczej pełniły i inne prace w organizacji. Pranie paszportów było jedną z najważniejszych. Najpierw trzeba było paszporty zdobyć i jednym ze sposobów było poprostu branie ich ze szpitali. Wszystkie sanitarjuszek miały to polecone. Sposobu prania nauczyła mnie ob. Jadwiga, według wypróbowanych metod pepcersowskich, ale w końcowym okresie P. O. W. tuż przed odejściem Moskali, sposób ten czasem zawodził; zdarzało się bowiem, że solidny z pozoru paszport, rokujący dobre nadzieje — przybierał nagle w praniu bączowe barwy, które niczem nie dawały się usunąć. Okazało się, że najnowsze paszporty drukowane są specjalną farbą, wymagającą innej kąpieli. — „Praczel” pośmiewały Moskali o specjalną w tem złośliwość względem organizacji. Drukowałyśmy też na hektografach podręczniki, potrzebne do szkoły wojskowej P. O. W.; brałyśmy udział w kolportażu, zbieraniu pieniędzy, wyszukiwaniu mieszkań.

Dwa ostatnie tygodnie przed okupacją niemiecką były okresem bardzo usilnej pracy wywiadowczej, dokonywanej przez cały Oddział Żeński, chodziło bowiem o potpósch, a sekcja wywiadowcza była nieliczna.

Istniała obawa, że Rosjanie, cofając się z miasta, pokuszą się o zabranie męczyzn, zdolnych do wojska. Organizacja postanowiła stawić temu opór i, w celach obrony, porozmieszczać w różnych punktach miasta oddziały uzbrojonych powoliaków. Podzielono tedy Warszawę na pewną ilość okręgów i kazano nam zbadać dokładnie każdy

z nich. Należało, o ile to było możliwe, zrobić plan, choć pobieżny; a w każdym razie wyszczególnić wszystkie budowle takie, jak koczary, wozownie i fabryki; oznaczyć pastki, placę, załamania ulic, składy węgla, parkany, rusztowania, „cyrkule” i domy przechodnie; oraz wymienić ilość i stanowiska posterunków policyjnych.

W każdym okręgu przygotowany był lokal oporu ze składem broni, oraz punkt sanitarny i żywnościowy, obsługiwany przez powiatczki. Centralnym takim punktem, gdzie kwaterowała Komenda Naczelna, był Bank Towarzystw Spółdzielczych przy ul. Jasnej.

Robiłony był też bardzo usilny i szczegółowy wywiad celem znalezienia przygotowań rosyjskich do wysadzenia mostów Kierbedzia i Pomiatowskiego, odnaleziono koczony, nie udało się jednak odszukać połączeń i mosty zostały wysadzone.

Wiem, że Oddział Żeński wywiązał się ze wszystkich tych prac dobrze, choć w wielu rzeczach było to trudne i niebezpieczne. Na szczęście obawy komendy nie sprawdziły się i do żadnych walk nie doszło.

Skończyła się niebawem nasza praca. Po zajęciu Warszawy przez nowego nieprzyjaciela, członkowie organizacji zgrupowani w Ł. zw. bataljon warszawski wymaszerowali na front, a nasz Oddział Żeński został rozwiązany. Po paru miesiącach jednak zaszła potrzeba zorganizowania go na nowo, tym razem z frontem przeciwko Niemcom, co już stanowi odrębny rozdział naszej pracy.

Wacław Borowicki.

WSPOMNIENIA ZE SŁUŻBY WYWIADOWCZEJ.

1.

Po otrzymanym rozkazie wyjazdu na wywiad zrobił mi się chaos w głowie. Tyle miejsc, nazw i nazwisk musiałam zapamiętać, że trzeba było trochę czasu, by to całkowicie uporządkować. Zorientowałam się dokładnie według mapy, cieszyłam się na myśl o ciekawej pracy, jaka mnie czekała. Jabłonna, Serock, Nowe Miasto, Wysocków, Rożan, Maków, Pułtusk i, jeśli się da dalej, a między miastami — różne dwory i wioski, do których miałam wstępować. Zadanie niełatwe: wiedzieć i słyszeć wszystko, co dotyczyło wojska rosyjskiego, zachować ostrożność, by nie skompromitować się i nie popsuć sprawy. Podróż odbywała się koniń. Jechałam z ob. Rokicką (Bogna). Musiałymy zmyślać różne i coraz to inne przyczyny naszej podróży, bo było to przecież niedaleko frontu.

Od Serocka na północ ruchy wojska stawały się coraz wyraźniejsze. Pracy było moc. Najmniej miło było wstępowanie do właścicieli majątków oraz innych przedstawicieli inteligencji, osiadłej na wieś, celem organizowania wśród nich ośrodków współdziałających z pracą powiatową. Przeważnie spotykałyśmy się tu z nieudolnością i niechęcią, wynikającą z odmiennych przekonań politycznych.

Jasniejsze natomiast wspomnienie zachowałam o podobnej pracy organizacyjnej, prowadzonej wśród nauczycieli szkół powszechnych. Brac obojtni i ofiarni godzili się na wszystko bez zastrzeżeń i bez lęku. Udzielali nam cennych informacji dotyczących się rozlokowania wojska, siedziby sztabu, pułków przebywających tu w danej chwili, linii okopów i nowo budujących się koleisek podjazdowych. Informacje te, po sprawdzeniu, okazywały się zwykle ścisłe i dokładne.

Ochotę również do pracy okazywała młodzież wiejska. W pewnej wiosce pod Pułtuskim wszyscy młodzi ludzie postanowili przystąpić do Legionów, starsi zaś mieli na miejscu pomagać naszej organizacji, jakkolwiek ich poglądy polityczne i społeczne spotykały się ciągle z potępieniem i prześladowaniem ze strony jednostek wpływowych i cieszących się poważaniem lojalnie w stosunku do Rosji części społeczeństwa.

Praca organizacyjna nie była jedynym celem mej podróży, należało jednak wykorzystać odpowiednią chwilę. W Warszawie położono nacisk na dokładny i sumienny wywiad. Materiału do obserwacji miałam dużo, gdyż masy wojska przewijały się w różne strony. Miałam się dowiedzieć, jak zwykle: ile jest i jakie są oddziały, które pułki skąd i dokąd idą, czy jest sztab i gdzie, ile armat, jaki tabor, w jakim kierunku idzie linia okopów, czy i gdzie zbudowano kolejkę do przewożenia wojska i wreszcie jaki był stan psychiczny żołnierzy.

Badając to wszystko, o ile tylko można drobiazgowo i szczegółowo, dobrnęłyśmy aż do Ciechanowa, a że często trzeba było iść pieszko, gdyż miejscowi ludzie niechętnie wynajmowali konie — zabrakło nam to aż tydzień czasu. Dalej przedostać się nie można było bez zwrócenia na siebie zbyt wielkiej uwagi.

Od Ciechanowa, przy ogłuszającym huku armat i wśród kompletnej powodzi wojska, cofałyśmy się ku Warszawie. Musiałam przedtem jednak zebrać jeszcze całą sytuację. Pod osłoną nocy cofały się pułki i dywizje. Trzeba było podążać za nimi i starać się o to, aby dowiedzieć się szczegółów. Żołnierze byli zmęczeni i mieli zakaz prowadzenia rozmów, a to, co można było zobaczyć nie było zbyt pewne, gdyż niektóre pułki miały pozdejmowane naramienniki lub zmienioną numerację.

Przekonawszy się, że idą w stronę Makowa, wyprzedziłam wojsko i pojechałam do Pułtuska, aby zbadać tam sytuację i zorganizować pracę pomocniczą.

Po dziesięciu dniach wróciłam do Warszawy bardzo wprawdzie zmęczona, ale za to z obfitym płonem.

II.

Pewnego popołudnia w ostatnich dniach lipca 1915 r. otrzymałam od komendanta naczelnego P. O. W., Tadeusza Żulińskiego rozkaz wyjazdu do Wilna i Petersburga. Wiozłam szczegółowe instrukcje dla tamtejszych komendantów na wypadek odcięcia ich od Warszawy, a zpowrotem zabrać miałam broń i raporty dla komendy warszawskiej.

Zwykle z radością wyjeżdżałam z podobnymi poleceniami, zawsze wierząc w swoje szczęście. Tym razem jednak groziło mi odcięcie od Warszawy, gdyż zajęcie jej przez Niemców miało nastąpić lada dzień, to też trapił mnie niepokój, czy zdołam w porę powrócić.

W drodze obserwowałam ruchy wojska; pułki były już spotykane przedtem na wywiadach w różnych miejscach kraju.

Ruch był wielki na wszystkich stacjach. Na twarzach żołnierzy malował się wyraz zmęczenia i przygnębienia. Im dalej od Warszawy, tem tymże słoń trybem normalniejszym i panował przynajmniej pozorny spokój.

W Wilnie p. p. Studniocy przyjęli mnie bardzo gościnnie, chociaż przywiozłam im smutną wiadomość o aresztowaniu siostry pana domu. Po porozumieniu się z miejscową komendą, zostawiłam im instrukcję, jak mają postępować i co robić po odcięciu Wilna od Warszawy, oraz szylr, zapomocą którego mieli porozumiewać się z komendą warszawską.

Załatwiwszy wszystko w Wilnie, wyjechałam do Petersburga. Ponieważ w Warszawie nie otrzymałam przepustki, niezbędnej do tej podróży, pojechałam więc teraz za cudzym paszportem, który dano mi w Wilnie z warunkiem, abym się tam nie meldowała.

W Petersburgu nie odrazu udało mi się dotrzeć do organizacji, mimo, iż adresów miałam dużo. Cały dzień spędziłam na bezskutecznych poszukiwaniach. Wieczorem już zadawałam sobie pytanie: co robić? jak i gdzie spędzić noc? Wiedziłam, że w mieście był stan wojenny. Nie mając innego wyjścia, udałam się na dworzec, który zamykano o godzinie 12 i tu, wczekała w najciemniejszy kąt poczekalni, przesiadziłam do rana. Ale los tym razem uwziął się na mnie. Rano musiałam udać chorą, gdyż zdumiony i przerażony portjer chciał mnie oddać pod opiekę dyżurujących żandarmów. Dopiero rubeł zdo-

iał osłabić jego gorliwość. Porzuciłam więc szybko me niefortunne schronisko i po pewnym czasie udało mi się na koniec odnaleźć wskazane mi w Warszawie osoby.

Otrzymałamszy informacje, dotyczące się zarządzeń, jakie miały być wydane przez władze rosyjskie, oraz pieniądze i broń, wręczyłam rozkazy Komendy Naczelnej i zbierałam się do Warszawy.

W drodze powrotnej wstąpiłam znów do Wilna, by zabrać stamtąd przygotowany już raport komendy wileńskiej i broń. Słuchając w po-ciągu ubolewałam towarzyszek podróży nad możliwością zajęcia War-szawy, obmyślałam plan przedostania się do miasta tak, aby móc me cenne paczki uchronić od rewizji.

I tym razem jakoś się udało. Warszawa jeszcze nie była zajęta, ale wśród wojska panował już ruch gorączkowy, zapowiadający bliski odwrót.

W dwa dni potem Moskali już w Warszawie nie było.

Zofja Budzińska.

PRZEZ POBOJOWISKO.

W połowie października 1914 r. otrzymałam rozkaz udania się do Radomia. Miałam dostarczyć raport warszawski stacji łącznikowej Oddziału Wywiadowczego I Brygady.

Niemcy oblegali Warszawę i front był niezbyt odległy od stolicy. W przeddzień wyjazdu śledziałam długo w Łazienkach, wbijając sobie w pamięć wszystko, co należało zapamiętać i zakomunikować. W przeddzień też dowiedziałam się, że w cząstki drogi towarzyszyć mi będzie ob. Tomaszewski (Wysocki), członek Komendy warszaw-skiej, który jechał dalej, lecz któremu droga wypadła początkowo we wspólnym kierunku. Cieszyłam się i lękałam jednocześnie. Pra-gnęłam jak najlepiej wywiązać się z zadania, fakt, że na drodze do Radomia leżało miasteczko, w którym mieszkali moi rodzice, ułatwiał mi moją wyprawę.

Ranek zbudził mnie wieścią, że Niemcy cofają się z pod Warszawy. Wyszedłam z domu, by spotkać się z Wysockim, który oczekiwał mnie w umówionem miejscu. Koleje nie chodziły jeszcze, lecz kolejka grójcka jakoby już docierała do Piasieczna. Postanowiliśmy z tego skorzystać i, maszerując do stacji w świeży i chłodny poranek, oma-wialiśmy szczegóły ewentualnej jazdy. Dojeżdżemy dokąd będzie można, a potem pójdziemy pieszo. Wieczorem spodziewaliśmy się dotrzeć do domu mego ojca.

Stacyjka kolei grójeckiej rośła się od ludzi rozprawiających, ale gdy wagoniki ruszyły — niewiele osób znalazło się w przedziałach. Mocnotonny turkot kół głuszyły od czasu do czasu odgłosy dalekich armat. Było to tak zwykłe, że nikt na to nie zważał. Jadące osoby opowiadały sprzeczne wieści o tem, gdzie są obecnie Niemcy i dokąd dojedzie kolejka. Dojechała do Piaseczna. Wyszliśmy i nie oglądając się na porozbijaną stację, powędrowaliśmy ku ciemniejącym lasom. Znalazłm nieco tę drogę. W Jazgarzewie, o parę kilometrów od Piaseczna, mieszkała rodzina naszej dawnej służącej. Spodziewałam się, że pomogą nam najać konie. Droga była rozmiękła, rozjeżdżona przez armaty, strąlowana przez konie. Na polach tu i owdzie leżał zabity koń, a nad nim polatywały wrony. Puszki od konserw i porzucone naboje świeciły się złotem pod słońcem. Hen na polu żerowała gromadka ludzi...

Las był tuż, ciemny, wilgotny, pachnący. Szliśmy szybko, ale droga stawiała się coraz gorsza, a pozrywane mosty kazały nam szukać przejścia po grząskich mokradłach. Zaczęli się też pojawiać rosyjscy żołnierze. To tu — to tam. Gromadkami. W końcu spotkaliśmy większy oddział, nastrojony pokojowo i dość rozmownie. Ci nam opowiadali, że Niemcy cofnęli się poza Grójec, ale że niedobitki walczą się tu i owdzie. Że w lesie piaseczyńskim są podobno ich jeszcze całe oddziały, ale te prędko będą wystrzelane. W którymś miejscu żołnierze skrzyżli w inną stronę, a my szliśmy dalej. Widać już było Jazgarzew. Niepokoił mnie jednak dym, ścielący się nisko nad ziemią. Wiatr przynosił go rozwiany — a przecież gryzący i duszący. Wiesz spalona — powiedział Wysocki. I ja tak myślałam. Przyśpieszyliśmy kroku. Tak było w samej rzeczy. Połowa chałup była spalona, a pozostałe obdarte jakies i straszne. Orientowałam się w myśli, gdzie powinien stać dom Soleckich. Na zwalonych ceglach leżał trup konia i patrzył szklastemi oczyma. Z za tych cegieł, z za tego właśnie konia podniosła się kobieta. Włosy miała tak rozrzepane, że kosmyki tańczyły na wietrze. Patrzyła na nas tępo.

— Przecież to Solecka, powiedziałam naraż, — Solecka, nie poznajecie mnie? Nie odpowiedziała mi. Po chwili zaczęła płakać i trząść się: — I świniaka mi zabrali! — i wszystko... i ten kuz i chałupa... Nima nic!

— A koni dostać tu nie można? — Nie, nie było koni. A może i były, ale siedzianno z końmi w lesie.

Szliśmy więc plechotą. Droga była coraz gorsza, mokra, okropna. Wysocki ciągnął za sobą deskę, wziętą z rozwalonego płotu i kładł ją w gorszych miejscach, przechodziliśmy po niej, podnosiliśmy ją i ciągnęliśmy dalej. W końcu zaczął zapadać mrok wczesny i dzień.

nie ciepły. Na polach tu i tam widać było palące się ogniska a przy nich cienie. To błaskowali żołnierze rosyjscy. Gwizdy ukazywały się wysoko — niecierne i rosiane. Nie czułam zmęczenia ani strachu — znałam dobrą te strony. Kilka razy zapytywano nas, skąd i dokąd idziemy. W końcu natrafiliśmy na wlokący się wolno tabor i armaty. Z nimi to dotarliśmy do cennego miasteczka. Zaraz przy szosie stał dom mego ojca. Apteka była zamknięta. Okna zasłonięte okiennicami, ciemne. Tylko przez szybę werandy przesączało się słabe światło. Zastukałam. Otworzył mi ojciec. Żył, nie umarł, jak mi to wraz z okropnymi szczegółami opowiadano w Warszawie. Uściskał mnie i spytał o towarzysza. — Przypał z nim, bo sama się bałam. Tak. To dobrze. Matka wyjechała do Warszawy samochodem z jakimś oficerem rosyjskim. Ojciec jest w domu tylko sam z dziadkiem i braciśkiem. Miejskanie jest zajęte przez żandarmerję. Zostawili tylko dwa pokoje.

W pokoju przy okrągłym stole, na którym stały palące się świece, siedział dziadek i dwaj obcy cywile. Waza mleka z zacierkami stała pokrodku. Gdy weszliśmy, obcy ludzie podnieśli głowy. Miałam to wrażenie, że ich przyzwoite oczy dostrzegły nas pierwszej, nim nas ujrzały.

— „Eta barysznia kto”, spytał jeden z nich. — Moja córka — odpowiadał ojciec. — A eto tenich? — Nie, znajomy. Był tak dobry, że towarzyszył córce w drodze. Niepokoiła się: były złe wieści.

— Na niczowo.

Usiedliśmy. Ojciec podsunął mi talerz mleka. Miałam lekko zdławione gardło. Wysocki jadł, pogadując z dziadkiem. Ruchem lekkim i nieznanym dotknęłam miejsca, gdzie miałam schowany mały karteluszek. Był.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi od sąsiedniego pokoju i wyszedł oficer. Popatrzył na nas i zapytał owych ludzi:

Kto to? Córka. — A ten? — Znajomy. Przysunął się do stołu i patrzył tępo na nas. — W zły czas szłyście panienko — powiedział. Niebezpieczny. — Coś tam odpowiedziałam. Myśli kołowały się ciężko. Jak zrobić teraz? Kiedy wyjść? Czy zostawić nas w spokoju? Wiedziałam, że Wysocki myśli to samo.

Późno wieczorem wróciła matka. W Warszawie powiedziano jej, że należę do „Strzelca”. Gdy zobaczyła mnie w domu, ogarnął ją niepokój o ojca, o dom. Coś z tego niepokoju dotarło do czujnych oczu i uszu żandarmów. Nie ruszali się z miejsc długo. Siedzieli przy stole. Patrzyli. Rzucali rzadkie pytania w stronę Wysockiego. Gdy podnieśli się i wyszli, ojciec podszedł do Wysockiego. — „Pan nie może u nas nocować”. „Ale... dokąd pan pójdzie: wszędzie wojsko,

żandarmi, jeśli pan chce, proszę wziąć koc i pójść ze mną. Przed wyjściem Wysocki porozumiał się ze mną oczyma.

Przyszła noc, a z nią typowa na owe czasy rozmowa z rodzicami. — Piłsudski to może człowiek dobrej woli, ale — szaleniec. Rosja zwycięży, koalicja jej dopomoże. I żeby przysiąc, że pozostanę w domu, że wyrzucę z myśli mroczki. I że narażam dom.

Zasnęłam późno, siedząc na łóżku w ubraniu. Rankiem przyszedł Wysocki. W domu było cicho, wszyscy spali. Powiedział mi, że rozjechał się w okolice: front odsuwa się coraz dalej. Zabrał ode mnie papiery i spytał, co ja zrobię. Na dotarcie do Radomia, sądzi, że trudno mi liczyć wobec ofensywy rosyjskiej. Więc chyba wróć do Warszawy. Gdyby doszła mnie wieść, że go zatrzymano, dać znać do Komendy. I udawać, że wogóle nie.

Wyszedł, a ja, wracając do siebie, spotkałam się z ojcem. Położył mi rękę na głowie. — „Dziękuję ci, córeczko”, rzekł miękko. Myślał, że zostanę. Siedziałam cały rano i popołudnie, rozmyślając, co robić. Nasłuchiwałam wieści z apteki, dokąd schodzili się na pogawędkę mieszkańcy Tarczyńska oraz rosyjscy oficerowie. Niemcy cofali się na całej linii. Coraz bardziej traciłam nadzieję zastania w Radomiu stacji łącznikowej. Żandarmi, a właściwie ci dwaj cywile zaglądali od czasu do czasu do mego pokoju. — Gdzie znajomy, czy wrócił do Warszawy? Udawałam, że mnie bołą zęby i że czytam. Chwilami czytałam naprawdę: był to „Potop”.

Po południu wyszłam na chwilę na rynek, gdzie się przewalały tłumy wojska. Zatrzymano mnie. Kto ja jestem, czego szukam. Ale wszyscy w miasteczku znali mnie od dziecka. „Paniuszka z apteki”. Odprowadzono mnie więc pod eskortą, zapytując dla pewności ojca. „Tak, to córka”. — No dobrze, ale niech siedzi w domu. W mieście nic ciekawego, niema co oglądać.

Dzień zaczął mierzchnąć, a moje postanowienie powrotu jeszcze dziś do Warszawy skryształizowało się ostatecznie.

Przez rozebrany płot w ogrodzie wydostałam się na drogę. Mała Olesia, moja dawna uczennica, biegła pędem w pole. — Co się stało? — Aeroplan spadł na łąkach koło Komornik, wszyscy tam idą. Poszłam i ja. Tłum falował koło spadłego wielkiego ptaka. W rojowisku tem łatwo było przyłączyć się do jakiejś grupki i skierować się ku torom kolejki. Tak też zrobiłam.

Zmierzył był dobry, gdy dotarłam do szyn. Pozrywane lotały jeszcze tu i tam na podkładach. Szłam śpiesznie, wiedząc, że szyny te doprowadzą mnie do Piaseczna, a tam już liczyłam na kolejkę.

W pewnej chwili przyłączyli się do mnie jacyś ludzie. Ot taka sobie stara kobiecina, co szła zobaczyć, co się dzieje u syna. w innej

wsi, i chłop niosący buty na kij. Zawsze razem rażniej. Tem bardziej, że wojska było już wszędzie maństwo, że przy ogniskach słychać było dźwięki śpiewy, krzyki i wystrzały, że gdzieś daleko wylły psy i ciemność nadchodziła wczesnie.

Tak doszliśmy do lasu. Zaraz pod lasem musieliśmy przycupnąć w rowie pełnym rozmięklej gliny, bo droga jechał patrol. Wszyscy byli pijani; krzyczeli, kłócili się, śpiewali i kłęli straszliwie. Gdy przejechali, wyleźliśmy obłoceni i zziębnięci i skręcili w las, nie szukając ścieżki. „Zawazet w lesie przespieczniej” powiedział chłop. Szliśmy jedno za drugim: najpierw chłop, potem ja, potem baba. Ciemność była taka, że tylko odgłos łamanych pod stopami gałązek pozwalał mi iść za moim przewodnikiem. W pewnej chwili usłyszałam krzyk. To chłop przewrócił się przez jakiegoś trupa. „Mus! Niemiec!”, powiedział, wstając. Przyznaję się, że rada byłam, gdy baba, idąca z tyłu za mną, złapała mnie za rękę. Takich spotkań było parę. Na polance, gdzie było nieco jaśniej, zobaczyłam leżące niewyraźnie kształty. Mimo nocnego chłodu i tego, że wyszłam w samym swetrze, było mi gorąco. Czułam jak palą mnie policzki. Gdyśmy weszli znów w las, chłop prowadzący nas zaczął opowiadać, jak to on jest niebojący i jak to jego umarły „stryj” przyszedł do niego nocą do stajni, i że te „niemce” wszystkie, co tu leżą, też pewno będą chodździ...

Słuchałam go i robiło mi się nieznośnie i ciężko. Spojrzałam w górę. Z poza chmur widać było małą błyszczącą gwiazdę. Niezadługo las się skończył i chłop poszedł w swoją stronę, a my z babą już we dwie wędrowaliśmy dalej. Tylko że prędko potknęłam się w ciemności o jakiś wykot, upadłam niefortunnie i skręciłam sobie nogę, tak, że o pożyczonym od baby kijku i z jej pomocą ledwie dotarłam do pierwszych chałup nieznanej wsi. Tam postanowiłam przenoćować.

Chałupa należała do wiejskiego szewca, który z synem niemową pozostał tu przez cały czas bitwy, a więc Niemcy a teraz Moskale używali ich do chowania poległych. Właśnie też na podwórku kopano przy świetle łuczywa doł i ściągano za nogi trupy. W stodole zaś jakoby wieszano jakiegoś schwytanego Niemca. Szewc był zupełnie pijany, ale też myślę, że pojono go umyślnie, jego i innych grzebiących, żeby czynili to półświadomie.

W chałupie oprócz mnie i owej baby, która przyszła ze mną, było parę innych wędrowników. Wrócili do swoich wsi i domów i tu nocowali. Była też i żona owego szewca z trojgiem małych dzieci, która przed paru godzinami przyszła tu z Warszawy. Już rozłożyła pranie i zakwasila ciasto na chleb. Zresztą płakała, siedząc, bo bała się tych umarłych na podwórku. *Upadł z gł. niechwilowego strachu obywat.*

Przedśledziałam noc na podłodze między zielonym kufierkiem a szafą. Noga bolała mnie i czułam, że mam jej pełen trzewik. Rozmyślałam sobie, czy nie lepiej zdjąć but, ale obawiałam się, że nie będę mogła włożyć go zpowrotem. Głodna byłam bardzo, ale nie było nic do jedzenia.

Koło 4 czy 5 rano zebrałam się jakoś i kulejąc, w parę godzin dotarłam do Piaszczyna.

W Piaszczynie czekałam w porozbijanej poczekalni na niewiadomo kiedy mający nadejść pociąg. Piechotą dojść do Warszawy już bym na pewno nie mogła. Jakoś zajechały wreszcie towarowe wagony, które w mgleniu oka nappełniły się żołnierzstwem wszelkiego rodzaju. Miano jednak wzgląd na moją chorą nogę i pozwolono mi wsiąść.

Tak dojechałam do Warszawy. Do ciotki Lipińskiej, gdzie urzędnie mieszkałam, obawiałam się pójść, ze względu na spodziewaną rewizję. Poszłam więc do koleżanki. Tam opatrzone, nastawione i wogóle uczynione z moją nogą wszystko, co należy, nakarmiono mnie i położono spać.

Tężże nocy na ulicy Wareckiej u ciotki zrobiono tak dokładną rewizję, że zaglądano omal, że nie pod podłogę. Nie znaleziono jednak danej mi do przechowania broni, a różną kompromitującą „bibułę”, której ciotka jako sympatyczka miała sporo w mieszkaniu, córka jej zdążyła zresztą wyrzucić przez okno.

Wysocki, jak się okazało, wrócił tegoż dnia do Warszawy. Wojsko niemieckie, bowiem opuściło już Radom i cołało się dalej na południe. Chwilowo więc bezcelowe było usiłowanie nawiązania łączności z I Brygadą tą drogą.

NA TERENIE ROSYJSKIEGO SZPITALA.

O ruchu, zmierzającym do uzyskania niepodległości, o „Drużynach”, „Związku Strzeleckim” i innych tego rodzaju organizacjach gotujących się wobec przewidywanej wojny do zbrojnej walki, wiedziałam bardzo niewiele. Ten i ów coś o tem wspominał, ale były to rzeczy ogólnikowe, nie dające całkowitego pojęcia o istotnym stanie rzeczy, chociażby w ogólnych zarysach.

Po wybuchu wojny, wobec zupełnego braku wiadomości o tem, co się dzieje po tamtej stronie kordonu, po kilku dniach namysłu, zdecydowałam się pojechać do Warszawy. Wiedziałam, że tylko tam znajdę możliwość porozumienia się z ludźmi, przynależnymi z racji

swych zapatrywań do obozu tych, których nazywano „garścią szaleńców”.

Po przyjeździe do Warszawy bardzo szybko zorientowałam się, iż do wejścia w łączność ze sferami niepodległościowymi może mi pomóc tylko przypadek i tak też było. Po ukończeniu krótkiego kursu sanitarnego z pewnym trudem udało mi się dostać do t. zw. szpitala kadetów, założonego i subsydjowanego niemal całkowicie przez miasto Warszawę. Szpital mieścił się w gmachu zajmowanym przez Szkołę Podchorążych.

Na czele personelu lekarskiego stał dr. Kijewski, człowiek dącej pracy i samooddania na rzecz tej, jak twierdzono w sferach szpitalnych, placówki polskości. Wierzyli bowiem wszyscy, że procent chorych Moskali będzie minimalny, tak, że nie wpłynie na charakter i nastój szpitala, założonego dla rannych Polaków. W bardzo krótkim czasie nadzieje te zawiodły.

Pierwszy rozkaz rosyjskich sfer wojskowych zmodyfikował pojęcie polskości w szpitalu i przekształcił go w instytucję pracującą na rzecz Rosji. Wbrew tendencjom założycieli procent Moskali zaczął silnie przeważać nad bardzo niskim procentem żołnierzy Polaków. Od początku swojego istnienia, t. j. od września 1914 r. do czerwca 1915 r., ilość żołnierzy Polaków, leczących się w szpitalu, nie przekraczała 2%!

Okres, w którym dostałam się do szpitala, w drugiej połowie września 1914 r., uważać można za przygotowywery. Rannych było jeszcze niewiele, precyzowano urządzenia, przerabiano salę i t. p., pracy było mało, nie brakowało więc czasu na przyjrzenie się i zaznajomienie bliższe z koleżankami-sanitarjuszkami. W krótkim czasie zdażyłam spostrzec, że jeżeli personel lekarski z małymi wyjątkami jest t. zw. orientacji rosyjskiej, to wśród sanitariuszek była spora garść o nastroju wręcz odmiennym. W tym czasie nastąpiło to, czego już przestałam oczekiwać, niespodzianie natrafiłam na ślad „Związku Strzeleckiego”. Jedną z koleżanek w dosyć poufnej rozmowie oznajmiła mi, że wśród sanitariuszek są przedstawicielki Związku Strzeleckiego; oczywiście, odszukanie i porozumienie się z nimi było kwestją paru dni. Zbliżenie nastąpiło prawie że błyskawicznie; od tych paru koleżanek dowiedziałam się, że są tu jeszcze panie z pod znaku „Młodzieży Narodowej” i innych organizacji pokrewnych duchem orientacji niepodległościowej. Z jedną z koleżanek, H. Jaroszyńską, zbliżyłyśmy się tak dalece, iż zapronowała mi w dosyć ogólnikowej formie zapoznanie się z organizacją niepodległościową, działającą na terenie zaboru rosyjskiego. Informując mnie o istnieniu tej tajemniczej organizacji, ściśle zakonspirowanej, wspominała mi jednocześnie

o tem, że na terenie szpitala także coś niecoś się robi, w wyniku zaprosiła mnie do współpracy.

Okazja nadarzyła się wkrótce. Przywieźli bowiem pierwszą wózekszą partję rannych. Przyjmował transporty lekarz, mający do pomocy kilka sanitariuszek, które udzielały pierwszej pomocy i spisywały t. zw. protokoły przyjęcia, to zn. zbierały dane, skąd i z jakiego oddziału chory przybył.

Była to pierwsza okazja przed wstąpieniem do organizacji do pracy dla niej! Koleżanka H. J., z którą byliśmy obecne przy przyjmowaniu transportu rannych, dała mi wskazówki, jak się zbiera dane do protokołu, żeby jednocześnie mogły one służyć za materiał wywiadowczy dla Komendy P. O. W.

W parę dni później zostałam przyjęta do „organizacji” przez komendantkę Oddziału Żeńskiego Elę Kwiatkowską, wówczas znaną mi tylko z pseudonimu, jako ob. Dębaka.

Po krótkiej rozmowie, porozumiałśmy się, co, jak i gdzie mam robić. A więc pracować będę nadal w szpitalu, zaprawiając się do służby sanitarnej, która może i nam być potrzebna, a następnie będę robić i inne rzeczy. Chodzi bowiem o wykorzystanie wszelkich możliwości w kolportowaniu plam i o zbieraniu wiadomości, dotyczących dylokacji wojska rosyjskiego. Szczegółowej instrukcji miała mi udzielić kierownicza sekcja sanitarna, dziś już nieżyjąca, nieodwoławna Stanisława Waroczewska, t. zw. ob. Ewa. Poznałam ją dnia następnego. Ustaliła ona mój przydział do „szkoły rekreacyjnej”, gdzie przez pewien czas szkolono kandydatki, które po ukończeniu kursu przygotowawczego przechodziły formalnie do organizacji P. O. W., względnie jeszcze przez pewien czas przygotowywały się do tego. Ob. Ewa po dłuższej rozmowie wyjaśniła mi cele i zadania P. O. W. i oto narazie po 3-ich miesiącach ciągłych starań znalazłam się w upragnionem środowisku. Czasy te dzisiaj z perspektywy 13 lat wydają mi się cudnym snem młodości. Od tego dnia praca moja w szpitalu weszła na inne tory: związana z organizacją, pracowałam dla niej. Wspólnie z Jaroszyńską (Małgorzatą), zorganizowałyśmy kolportaż literatury, powiadamiającej społeczeństwo o ruchu niepodległościowym — przy współpracy i pomocy paru lekarzy, kolegów sanitariuszy i koleżanek rozpoczęłyśmy pracę agitacyjną wśród żołnierzy i oficerów Rosjan, oświecając ich o bezcelowości przelewania przez nich krwi za sprawę zachłannej polityki rosyjskiej. Robiło się to jednak jakby mimochodem, specjalna uwaga była bowiem zwrócona na żołnierzy Polaków i na urabianie opinii w społeczeństwie. W szpitalu pracowało kilkaset osób, ludzi z najróżnorodniejszych środowisk i różnej przynależności organizacyjnej, byli i postępowi i ultralewajni,

byli też i tacy, których można było zakwalifikować do t. zw. „dzikich”, idących po własnej indywidualnej linii.

Powodzenie wojska rosyjskiego zaczęło się ustalać. Nastąpiło zdobycie Przemyśla. Ze sfer kierowniczych szpitala wyszedł dla całego personelu kategoryczny rozkaz wzięcia udziału w nabożeństwie za powodzenie oręda rosyjskiego... Wywołało to powszechne oburzenie, wyraźny sprzeciw i opór nawet tych, którym nasza ideologia wydawała się nie do przyjęcia.

Mimo to nabożeństwo dziękczynne się odbyło.

Następnego dnia w całym szpitalu porozlepiano odezwę o doniosłości faktu wzięcia Przemyśla. W godzinę potem w salach, gdzie pracowali chociażby sympatycy P. O. W. odezwę warszawskie zdarto.

Od tego czasu opinia szpitalna podzieliła się na dwa obozy. Natężenie pracy niepodległościowców znacznie się wzmoгло. Ramy szpitala stały się za ciasne, mogło nastąpić zdekonspirowanie, a co za tem idzie wdrażanie się żandarmerji rosyjskiej. Dlatego też początkowo prace, dotychczasowe swobodne i jawne zebrania, porozumienia, nici nawiązanej łączności ideowej z miastem — wszystko to usunięto i przeniesiono poza szpital. Na miejscu pozostała tylko praca wśród żołnierzy. W przewidywaniu opuszczenia Warszawy przez Moskali należało w jakiś sposób utrudnić wywożenie żołnierzy Polaków w głąb Rosji. Było ich wprawdzie naogół dosyć mało, ale byli to najczęściej, po pewnym przebyciu w szpitalu czasie, zdecydowani niepodległościowcy. Pod nieprawdopodobnie blahemi pozorami zatrzymywaliśmy ich, jako zdyskwalifikowanych do wysyłki. Ponieważ zaś surowe zlecenie władz wojskowych uprawniało do pozostawiania tylko rannych o wysokiej temperaturze, wszyscy Polacy byli wykazywani jako posiadający dużą gorączkę. Żołnierze Rosjanie z zazdrością i z pewnego rodzaju podziwem mówili, że Polacy są tacy delikatni...

Po odrzuceniu Niemców z pod Warszawy nastąpiło wzmocnienie nastroju moskalofilskiego wogółe, co się również odbiło i na życiu szpitala. Większe zainteresowanie władz rosyjskich tem państwem w podstwie, wytworzyło atmosferę nie sprzyjającą naszej pracy tak dalece, że postanowiliśmy opuścić szpital.

Nie namyślając się długo, umówiłam się z dr. Lipską, która z tych samych powodów zmuszona była do „emigracji”, iż razem z nią i ob. Małgorzatą wyjedziemy z Warszawy. Dr. Lipska właśnie obejmowała stanowisko lekarza rejonowego w pasie przyfrontowym i t. ramienia humanitarnej rosyjskiej instytucji „Wsiarosyjskij Ziemskij Sojuz” miała czuwać nad zdrowotnością ludności cywilnej w obrębie powiatu makowskiego.

Zadaniem naszym tym razem była praca ściśle wywiadowcza. Po otrzymaniu szczegółowych instrukcyj od szefa „wywiadu” P. O. W. Orwida, wyruszyliśmy do Makowa w drugiej połowie kwietnia 1915 r. Polecono nam zbierać możliwie ścisłych wiadomości o sytuacji na froncie oraz kolportowanie odezw i pism nielegalnych, wywołujących do akcji odpornej w stosunku do władz rosyjskich. Spore paczki „bibuły” tej wiozliśmy ze sobą. Do Ciechanowa jechaliśmy koleją, a potem końmi do Makowa. Jechało się nocą, drogą zapchaną wojskiem, oświetlaną bezustannie odlepiającą wprost światłem reflektarów. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie stały baraki szpitalne (w odległości 1/2 km od Makowa), zbudowane tuż nad samym Orzycem; miejsce to było doskonałym punktem obserwacyjnym. W przeciągu paru dni zapoznaliśmy się i nawiązaliśmy łączność ze szpitalem wojskowym w Makowie. Program przy współudziale dr. L. był gotów. Ponieważ jeździłam konno, mnie przypadło w udział kontrolowanie pod względem zdrowotnym mieszkańców naszego rejonu, dochodzącego niemal pod sam Przyszysz, co dało mi swobodę ruchów. Ob. Małgorzata miała mieć na uwadze najbliższą okolicę i być w kontakcie z ludźmi, stykającymi się ze szpitalem. Dr. L., jako kierowniczka szpitala, podjęła się maskowania naszej pracy.

Już po dniach kilku nabierało się dosyć materiału, dostarczyło nam go obserwowanie szosy i wiadomości bezpośrednio otrzymywane od oficerów rosyjskich, stojących ze swymi oddziałami w pobliżu; przez ciekawość zaglądali oni stale do nowego szpitala.

Nie wiedzieliśmy w jaki sposób zestawić raport o ruchach i posunięciach wojska rosyjskiego, ewentualnie niemieckiego, — pamiętam jak śmieszne wrażenie zrobił na nas samych ów pierwszy raport, gdzie chustki od nosa goniły się wódką z imionami najbliższej rodziny, a troski o suknię, krawcowa i t. p., przepłatały rublami, wyrosły do zasadniczych spraw naszego życia. Przesyłanie meldunków pocztą lub przez okazy było rzeczą niebezpieczną, to też, pod porożem realizowania potrzeb szpitala, jeździliśmy same do Warszawy.

Za każdym razem z takiej wycieczki przywoziło się świeżą partję bibuły.

Jeźdź z Warszawy odbywała się do Radzimina kolejką, koczem, wozem lub bryczką na Wyszków, Pułtusk — Maków.

W drugiej połowie maja wracałam z takiej wyprawy do Warszawy, wzięc ze sobą potężną walizę, wypchaną różnego rodzaju literaturą, między innymi były tam również odezwy do żołnierzy rosyjskich. Podczas postoju w Niegowie, prosiłam dowódcę kwaterującego tam oddziału, by zechciał zaopiekować się „cennymi chirurgicznymi na-

rzędziami", dopóki ja nie załatwię spraw służbowych w miejscowym szpitalu. Oczywiście, był to tylko pretekst, właściwie chodziło o to, żeby zbadać przyczynę jakiegoś niespokojnego ruchu oddziałów, z których jedne się cofały a drugie szły naprzód. Od tego samego oficera i ludzi ze szpitala dowiedziałam się, że Niemcy o tyle posunęli się naprzód, iż zmusiło to wojsko rosyjskie do nowego przegrupowania i że Przasnysz może być wkrótce zajęty przez Niemców.

Biedziłam się nad tem, w jaki sposób porozumieć się z Warszawą, żeby podać tę ważną nowinę, jednocześnie zaś chciałam za wszelką cenę na szosie rozrzucić trochę bibuły, ale wydało mi się wątpliwe, czy idący żołnierze (była to już późna noc), zwrócą uwagę na jakieś papiery leżące na drodze. Tak, bijąc się z myślami, dojechałam pod sam Wyszaków, debatując ciągle jak ulokować z pożytkiem tę nieśczęsną bibułę, o rozdawaniu jej bowiem żołnierzom nawet marzyć nie było można. Nagle przyszło mi do głowy, że przecież można ją podrzucić do wili, w których ciągle kwaterowało wojsko. Tak też zrobiłam, a udało mi się tem łatwiej, że wille były narazie opuszczone przez żołnierzy. Do Wyszakowa miałam jeszcze najwyższą kwadrans drogi. Przy wjeździe na most spostrzegłam zupełnie niespodziewaną nowość. Bug był pilnowany — a warta, stojąca na moście, bardzo skrupulatnie badała dokumenty, oraz pakunki przejeżdżających. W czasie pertraktacji z komendantem warty udało mi się otrzymać bardzo cenne wiadomości o zmianach, jakie zaszły w dylokacji oddziałów. Były to informacje tak ważne, że niezwłocznie należało jakimkolwiek sposobem porozumieć się z ob. Brzeską, która w określonych godzinach dyturowała przy telefonie.

Warta, widząc sanitariuszkę, zaopatrzoną we wszelkiego rodzaju legitymacje, pozwoliła mi na wjazd do Wyszakowa, i tam, dzięki osobistym stosunkom na poczcie, uzyskałam możliwość telefonowania do Warszawy. Uprzejmość urzędników pocztowych oddała mi wprost nieocenione usługi — dzięki zauberpleczeniu rozmowy od podsłuchiwaniam, mogłam swobodnie porozumieć się z ob. Brzeską. Przez ten czas jednak moja walizka zawędrowała dla ochrony przed deszczem do prywatnego mieszkania naczelnika poczty. Spostrzegłszy jej brak na bryczce, stojącej przed domem, poczułam się bardzo nieswojo, lecz zanim zdążyłam zapytać, co się z nią stało, już nieśli ją z powrotem. Kwestji, czy była ona rozstwierana, wołałam na miejscu nie rozwiązywać, podziękowawszy więc naczelnikowi, jak najprędzej wyjechałam, śpiesząc do Pułtuska.

Po różnych kłopotach z władzami, które uważały, że dotychczasowe moje legitymacje stały się niewystarczające, ze zmniejszoną

znacznie zawartością walizy, dotarłam wreszcie do Makowa w asyście żołnierza, któremu polecono w komendzie placu w Pułtusku dostawić mnie do szpitala.

Przyjechałam w momencie prawie krytycznym — dr. L. otrzymała rozkaz ewakuowania szpitala narażenie przez Pułtusk za Wyżaków a stamtąd, jak jej poufnie powiedziano, do Rosji. Tymczasem otrzymałam z Warszawy odmienne, oczywiście, instrukcje, ażeby do ewakuacji szpitala nie dopuścić i zostać przy nim aż do czasu zajęcia Makowa przez Niemców, celem prowadzenia dalszych prac P. O. W. na terenach zajmowanych przez Niemców.

Tym razem wbrew woli dr. L., nie mogła ona bowiem zdecydować się na pozostanie z nami z racji dużej odpowiedzialności za niewypełnienie rozkazu ewakuacyjnego, — postanowiliśmy nie wywozić chorych, leżących bez przytomności i pozostać tym sposobem z nimi na miejscu. Z początku szło dosyć łatwo. I chociaż wszystkie szpitale ewakuowano z powiatu ciechanowskiego i przasnyskiego, nasz pod pozorem posiadania zbyt wielu ciężko chorych pozostawał jeszcze na miejscu. Trwało to jednak krótko: pewnego dnia przysłano rozkaz natychmiastowej ewakuacji, miał tego dopilnować przysłany wraz z kilkumastoma żołnierzami oficer. Wobec takiego stanu rzeczy, nie można było dłużej się opierać. Nie pozostawało nic innego jak podporządkować się rozkazowi. Sytuacja ogólna była bardzo napięta, — Przasnysz był zajęty, Niemcy zbliżali się do Makowa. Przy ogłuszającym wprost huku armat, zaczęto wywozić chorych, których część zabierała rodzina w przeddzień ewakuacji; pozostających na wozach wyprawiono do Pułtuska pod opieką paru koleżanek sanitariuszek. Wyjechała również i dr. L.; pozostaliśmy więc z kol. Małgorzatą oraz hurmanem, który miał znopiekować się koniem i wozem, oddanym do naszej dyspozycji. Robiliśmy ostatnie spostrzeżenia i instrukcję okolicy. Szosa przedstawiała widok wprost rozpaczliwy: wozy z rzeczami ludności cywilnej, gromady ludzi bezradnie się kręcących, całe masy żołnierzy, tabory, wycofująca się artylerja, wszystko to było zmieszane razem, splecione w jedno olbrzymie kłębowisko, jak się wydawało — bez możliwości posunięcia się naprzód. Przez Orzycę w bród przechodziły całe tłumy uciekinierów, szukających miejsca, lepiej zabezpieczonego od padających granatów i szrapneli. Dotąd ani jeden pocisk nie upadł na nasze wzgórze, ale niedługo czekałyśmy, bo za chwilę i ono znalazło się w sferze ognia...

Pieszko, bocznymi drogami, ruszyliśmy w stronę Pułtuska, a w kilka dni później znalazliśmy się w Warszawie.

Anna Krywicka.

SEKCJA KOLPORTAŻU.

Powazne zadanie miała przed sobą sekcja kolportażu P. O. W. w jesieni 1914 r.

Do walki z moskofilskim nastrojem wystąpiły wszystkie ugrupowania niepodległościowe, a więc: P. P. S., Związek Chłopski, Związek Patriotów i Unia Stow. Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. Pisma, odczepy, broszury licznie wydawane, musiały być jak najlepiej kolportowane, aby trafić do najszerszych mas. W owym czasie komendantka Oddziału Żeńskiego P. O. W. ob. Ela Kwiatkowska powierzyła mi kolportaż. Stałyśmy do pracy, pełne entuzjazmu, ze świadomością celu naszej pracy oraz niebezpieczeństw z nią związanych. Omylić cały sztab szpiegów i prowokatorów moskiewskich, od których nadwczas roiła się Warszawa, nie było rzeczą łatwą. Ale nasze instrukcje przewidywały te trudności.

Praca była tak rozdzielona, że każda z kolporterek miała swoje zadanie.

Łącznikiem naszej sekcji z redakcjami była ob. Jadwiga Marciniowska, znana powieściopisarka i publicystka. Przy wydawnictwach P. O. W. szczególnie jej pomoc w drukarniach była nieoceniona. Bibułę nielegalną dostarczano do kilku głównych składów, a dalej należało jej nadać bieg właściwy, t. j. skierować do składów pomocniczych i rozdać kolporterkom.

Składów bibuły miałyśmy dość dużo i bardzo dobrze zakonspirowanych, stamtąd rozchodziły się pisma na okręgi. Doskonale prosperowały składy w „Uranji”, gdzie pracowały ob. Strzelecka i Wołtowiczówna; na Pradze — na punkcie zbiornym, skąd ob. Henryka Krukowska i Marja Sallingerówna kolportowały bibułę do szpitali, a kołatkini medyczki rozdawały ją Polakom z wojska rosyjskiego; skład na ul. Wiejskiej u ob. Iwanowskiej i na ul. Hożej u ob. Marcinowskiej.

Podręczny skład do użytku Komendy znajdował się w mieszkaniu lek. dent. p. Michałiny Sołomowiczówny na ul. Wspólnej.

Kurjerki, wyjeżdżające na prowincję, brały bibułę ze składów, kolporterki otrzymywały ją w biurze na ul. Koszykowej, w mieszkaniu p. Grabowskiej. Robota szła szybko i sprawnie.

Gdy zjawiałam się w biurze na Koszykowej z pięknym zawiniętym pokaznym pakietem, wnet niewiasty rozbiierały pisma i każda ułatwiała się z niewinnym zawiniątkiem.

Jakże się wtedy błogosławiło obszerne mufki i szerokie rękawy.

Nawet najwprawniejsze szpiegowskie oko nie mogło doszukać się w tych młodych panienkach niebezpiecznych konspiratorek.

Korzystając z tych niewinnych pozorów, docieraliśmy tam, gdzie mężczyzna, nie budząc podejrzeń, dojrzećby nie mógł. Całe masy odezw kursowały po mieście, całe walizy bibuły wędrowały na prowincję, a szpicle i policja napróżno doszukiwali się zagadki, jakimi drogami to płynie. Nawet rewizje masowe na ulicy nie dawały wyniku, bo kulporterki doszły do takiej wprawy w ukrywaniu przemycanej bibuły, że wychodziły cało z tych niebezpiecznych opresyj.

Ami groza zaareztowania, ani trudy i niebezpieczeństwa nie odstraszały kulporterek; pracowały one z zapalem, spełniając najtrudniejsze zadania ze spokojem i pogodą, świadcząc o wielkiem umiłowaniu idei. *Helena Strzelecka.*

SKŁADY PEOWIACKIE.

Zadaniem nas, t. j. wszystkich peowiaczek było zbieranie i przechowywanie broni, nabojęw, różnych materiałów wybuchowych, piśm, broszur i odezw. Była to rzecz dość trudna. Ludzie swoi musieli mieć lokale „czyste”, gdyż częste rewizje zmuszały ich do ostrożności, sympatycy zaś, obawiali się przechowywania większej ilości kompromitujących rzeczy, a zwłaszcza broni, gdyż była za to kara więzienia lub nawet śmierci.

Najodpowiedniejszymi zatem miejscami były lokale publiczne.

Jednym z nich była „Uranja” Tow. Pomocy Szkolnych. Kiśś nie zna Uranji? Duży lokal kilkupokojowy, przepelniony najróżnorodniejszymi przedmiotami, na pierwszym piętrze przy ul. Brackiej 13. Przynoszenie tam paczek i wynoszenie ich nie zwracało niczyjej uwagi, a znalezienie czegoś w dziesięciu pokojach, przepelnionych szafami, półkami, skrzynkami, gablotkami i t. p. przedmiotami było wprost nieprawdopodobieństwem. Kierownik „Uranji”, Rafał Kornilowicz, oraz większość pracowników, byli to sympatycy, ja zaś i koleżanka M(aria) W(ojtulewicz) należałyśmy do P. O. W. My to podjęłyśmy się przechowywać materiały. Zaczęły napływać z początku rzeczy drobne: odezwy, broszurki, potem piśma w mniejszej i większej ilości, dalej naboje, rewolwery, następnie bomby, materiały wybuchowe i karabiny. Nie brakło nawet wywiadów, z których robiło się wyciągi na małych karteczkach i dostarczało kurjerkom¹⁾.

¹⁾ Mowa tu o karteczkach Oddziału Wywiadowczego i Brygady. Przep. Rad.

I tak: na półce, poza pliką zeszytów, leżała paczka odezów. W drugim kącie, pod stołem paczek papieru kancelaryjnego, numery pism: „Do czynu”, „Niepodległość” i t. p. W innym pokoju poza słojami leżał zawinięty rewolwer lub kilka bomb. Dalej jeszcze w głębi szuflady, przepelnionej obrazami przyrodniczymi spoczywał sobie karabin. I tak całe dziesięć pokoi. Nie było prawie skrytki, nie było zakamarka, w którymby nie krył się mniejszy lub większy pakietek, za którego przechowywanie czekały lata więzienia.

Od czasu do czasu pojawiał się ktoś z ludzi, przynosząc świeży transport lub żądając wydania czegoś z przechowywanych materiałów.

Pamiętam kiedyś przychodzi do mnie koleżanka (Zofja Warszawska) i powiada: „Musicie dziś wieczorem o godzinie dziesiątej iść w Aleje Jerozolimskie. Tam pomiędzy dworcem Głównym, a ulicą Żelazną, po stronie dworca, spotkacie mężczyznę, wysoki brunet w złotych binoklach. Podejdźcie i zapytajcie: „czy p. inżynier K.? (Kasperowicz). Macie wziąć od niego paczkę, zawierającą karabin, który tu przechowacie”. Bez zastanowienia się, o dziesiątej wieczorem wyruszałam w Aleje. Tuż za dworcem spotykam owego pana, (pierwszy i ostatni raz widzianego w życiu), podchodzę i pytam: „p. inżynier K.?” — „Tak, proszę ze mną”. Poszliśmy do warsztatów kolejowych; tam, w niewielkim pokoiku, inżynier K. wyciągnął z poza pieca dość dużą paczkę, owiniętą w papier, wręczył mi ją i, wyprowadziwszy z przeciwej strony, t. j. na ulicę Chmielną, pożegnał. Pozostałam na ulicy wśród nocy (było już około jedenastej) z ciężką a dość podejrzaną paczką.

Dokąd iść? W którą udać się stronę? Do domu brać nie mogę, gdyż akurat nocuje u mnie jedna z przejezdnych kurjerek. „Uranja” zamknęła. Dokąd iść? Nagle świta mi myśl. Moi znajomi mają sklep na ulicy Śliskiej. Zamierzam do sklepu, a jutro w czasie obiadu zabiorę do „Uranji”. Tak też zrobiłam. Pobiegłam niemal pędem na ową śliską. Sklep był, oczywiście, dawno zamknięty, ale otworzono go od tyłu i mój karabin został schowany w pewnem i bezpiecznem miejscu. Z lekkim już sercem pobiegłam do domu. Na drugi dzień, w czasie obiadu, t. j. około 2-ej po południu zgłosiłam się do swoich znajomych. Tam zapakowałam sobie karabin w elegancką paczkę, owiązałam sznureczkiem i pomiędzy tłumami ludzi, wojska i szpiegów, przez najludniejsze ulice przeniosłam do „Uranji”, gdzie zniknął w głębi szuflady z mapami.

Inny znów obrazek. Przed samą 7-mą wieczorem wpada do mnie, do „Uranji”, jedna z koleżanek J(adwiga) M(akowska): — „Helu! mieszkanie J. na Wilezkiej „zaszpiewowane”. Dom obstawiony szpiekami, ale trzeba go „oczyszczyć”. Musimy obie zabrać, co jest niepotrzeb-

nego i to zaraz". — „Dobrze", odpowiadam, „idź zaraz i wszystko, co trzeba, przyszykuj, a ja za parę minut przyjdę"! Wyszła. Złoczyłam robotę, ubrałam się wyjątkowo starannie, po drodze wstąpiłam do kwaciarni, gdzie kupiłam kilka naczynów i poszłam na Wilez. Nawprost domu, po drugiej stronie ulicy zauważyłam jegomościa, bacznie obserwującego bramę, do której wchodziłam. W bramie inny znowu osobnik zbyt pilnie studiował listę lokatorów. Nie zwracając na to uwagi, pewnym i spokojnym krokiem weszłam na schody frontowe. Na trzecim piętrze zapukałam do znajomych mi drzwi. J. M., która tam już była, otworzyła mi pośpieszenie. Wchodzi prędzej, — szepnęła po zamknięciu drzwi za mną, — ja już się obładowałam, resztę ty musisz zabrać. Nie było tego już zbyt dużo, więc w kilka minut upakowałam to na sobie pod płaszczem i po chwili schodziliśmy obie. Na pierwszym piętrze spotkałyśmy się z żandarmami, którzy szli na górę na rewizję, ale miny nasze były tak wesołe, że usunęwszy się grzecznie na bok, przepuścili nas na dół. Wyszliśmy na ulicę, w dalszym ciągu „robiąc wesoło", poszłyśmy na ulicę Krochmalną, do mieszkania moich kuzynów. Tam posiedziawszy blisko pół godziny, wyszłyśmy i dopiero przekonawszy się, że nikt nas nie śledzi, udałyśmy się dorożką do „Uranji". Dostałyśmy się do wnętrza, pomimo zamknięcia, gdyż, wychodząc, wzięłam klucze ze sobą. Cały przemieszczony transport spoczął znowu na dnie jakiejś gabloty z minerałami.

Wyszłyśmy teraz już naprawdę rozweselone i rozbawione, że nam się udało tak wykłótnie żandarmów.

Takie i tym podobne wypadki towarzyszyły naszej pracy w „Uranji".

Trwało to blisko rok. Nadeszło lato 1915 roku, lada chwila spodziewaliśmy się ucieczki Moskali. Zaczęto już ewakuować Warszawę, a my zachowywaliśmy coraz mniej ostrożności.

Naraz, pamiętam, w poniedziałek rano, drugiego sierpnia, śledząc sobie najspokojniej przy biurku, zajęta układaniem w pudełko zbioru minerałów, pod którym leżał ostatni numer wydanego w poprzednim tygodniu pisma nielegalnego „W przededniu", gdy przeszedł się koło mnie pan Kornilowicz i szepce: „Panno Heleno, rewizja". Spojrzałam na niego, a w tej chwili ukazało się we drzwiach kilku żandarmów i stółkowcy. Zdrętwiałam. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, i pozostałam tak bez ruchu przy swoim biurku. Żandarmi podeszli do mnie i wezwawszy wszystkich pracowników, otoczyli moje biurko. Oficer żandarmski poszedł z p. Kornilowiczem do jego gabinetu i zaczął tam przeprowadzać jak najciszej rewizję, która trwała blisko godzinę. W tym czasie, ochłoniwszy z pierwszego wrażenia, rzuciłam okiem w stronę biurka koleżanki M. W., stojącego pod przeciwległą ścianą. Tam, w jednej z szufladek, mieścił się cały podręczny

skład bibuły, ale to głupstwo. Szuflada jest zamknięta na klucz, a klucz u mnie w kieszeni, ona zaś obecnie na urlopie. Nie zechcą chyba w czasie jej nieobecności ruszyć zamka. Nad biurkiem jednak jest półeczka, a na niej leżą również pakietki ostatniej odczepy niepodległościowej, broszurek wojskowych P. O. W. oraz na wierzchu paczki pisma „W przededniu”, przywiezionego przed dwoma dniami przez „Babcę”. To trzeba sprzątnąć, a i ten jeden numer, leżący na mojem biurku, którego róg wygląda niedyskretnie z pod pudełka! Jak to jednak zrobić? Żandarmi nie pozwalają się nam ruszyć, obserwując pilnie każde nicomal nasze oka drgnienie. Mózg pracuje z wytężeniem, tysiące myśli przebiega przez głowę, wszystkie jednak są zabijane zimnym wzrokiem żandarma, stojącego nade mną. Nagle, jak wybawienie, zjawia się klient po jakiejś preparaty przyrodniczej, znajdujące się w czwartym pokoju. Trzeba go załatwić, żandarmi pozwalają gnać, jako prowadzącej ów dział, przejść z klientem do owego przyrodniczego pokoju. Przechodząc za nim około nieszczęśliwej półeczki, chwytam niepostrzeżenie dwie paczki i, idąc do dalszych pokoi, rzucam je za szafę. Po chwili wracam po blok do swego biurka, chwytam drugie dwie paczki, które wnet słońka za stołem z morzekami zwierzętami. Wróciwszy po raz trzeci po ołówek, sprzątnęłam ostatnie trzy najmniejsze paczuszki, rzucając je w ostatnim pokoju poza stertę płyt kościowych, leżących w kącie. W kilka minut potem rewidujący żandarm wyszedł z p. Kornilowiczem z jego gabinetu. Przeszedł po salach, zajrzał do jakiejś szafy, to do szuflady, to na jakąś półkę. W końcu zbliżył się do biurka. Zajrzał do jednego, zajrzał do drugiego, wreszcie podszedł do biurka koleżanki M. W. Otworzył szufladkę, przejrzał, chce otworzyć drugą, zamkniętą. „Zaczem zapierta”? — pyta po rosyjsku. — „Nie wiem” odpowiada spokojnie p. Kornilowicz, to jest biurko pracownicy, która od dwóch tygodni wyjechała na urlop”. — „Ach tak, niczego” mówi oficer i idzie dalej. Do mojego biurka, przy którym stali zgrupowani pracownicy w otoczeniu żandarmów nie zbliżył się wcale. Przeszedł jeszcze kilka sal, zajrzał do paru szufladek i szaf, w końcu skinął na żandarmów i wszyscy wyszli. Rewizja była skończona.

Marja Gieysztor.

SEKCJA INTENDENTURY.

Jednocześnie z powstaniem Oddziału Żeńskiego P. O. W. utworzono przy nim sekcję intendentury.

Pierwszą kierowniczką sekcji była Stanisława Gołębiowska, następnie Helena Hołdówkowa, wreszcie Marja Gieysztor.

Utworzenie sekcji wywołane było koniecznością chwili. Z I Brygady wysłani byli do Warszawy instruktorzy dla P. O. W., którym natychmiast trzeba było dostarczyć ubrania cywilne, zapewnić im dach nad głową i wreszcie przeżywić. — Zdobyć mieszkania było rzeczą nad wyraz trudną. Uświadomionych obywateli, popierających ideę legionową była zaledwie garstka. Ołbrzymia większość społeczeństwa byli to ludzie w najlepszym razie obojętni, nie wierzący w wysiłek legionowy i w możliwość zdobycia niepodległości własnymi siłami, lub co gorsza wrogo usposobieni do tej sprawy, mogącejściągnąć represje rządu rosyjskiego. Można sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji trudno było zdobyć lokal czyto na biuro Komendy Naczelnej, czy na zebrania i wykłady, czy też choćby tylko na kilkudniowy nocleg emisariuszów, przybyszających z rozkazu Komendanta z tamtej strony frontu. Zdarzało się, że dla ulokowania jednej osoby dziewczęta nasze musiały biegać przez parę dni, aż znalazły zupełnie pewny lokal. Najczęściej dawali mieszkanie jedne i te same osoby, przeważnie panie z Ligi Kobiet lub sympatycy legionowi.

Miało to jednak tę słą stronę, że mieszkania takie po jakimś czasie były już znane policji i w każdej chwili groziło to rewizją i aresztowaniem. Nieraz funkcjonowanie organizacji zależne było od mieszkania. Zdarzył się pewnego razu taki fakt, że w chwili, gdy Komenda P. O. W. zebrała się na posiedzenie, ktoś doniósł, że szpicle stoją przed domem. Zebrani rozeszli się natychmiast powoli i każdy oddzielnie — ale tylko po to, aby gdzieś dalej wprost na ulicy przeznaczyć, aż koł. Ela znalazła inny lokal na zbiórkę.

Poza mieszkaniami dla przyjeżdżających z I Brygady Oddział Żeński P. O. W. musiał dostarczać lokali i dla innych, np. byli to żołnierze z wojska rosyjskiego, którzy chcieli przedostać się do Legionów i którym trzeba było to ułatwić, a więc chwilowo ich ukryć, następnie przebrać w cywilne ubrania, dać paszport do ręki (fabrykowany również przez nasze niewiasty) i wyprawić na tamtą stronę. Poza tem i Oddział Lotny, będąc z charakteru swej pracy najbardziej zakomplantowany, wracał się nieraz do nas o lokal dla swych członków.

Drugim działem naszej pracy w intendencji, była zbiórka odzieży. Dla wspomnianych celów starałyśmy się gromadzić odzież, bieliznę i ciepłe rzeczy dla legionistów oraz dla Oddziału Lotnego. Zbierałyśmy, gdzie się dało: dawali sympatycy, dawali i inni, niezupełnie wiedząc na jaki cel składają swe ofiary.

Przechodziły dary i z dalszych stron: raz przyszła paczka z bielizną z Infantów Polskich z pod Dynaburga, drugi raz z Rygi z ciepłymi rzeczami, jak kamizelki, kożuszki, rękawice od garstki czujących tak samo, jak my, rodaków. Poza tem szyłyśmy dla legionistów ładow-

nice, chlebaki i plecaki, a również i Oddział Lotny korzystał z naszego ekwipunku. Zwykle zbieraliśmy się gdzieś na Woli lub Nowolipkach i tam, w pokoiku nauczycielki szkoły powszechnej, robota szła na dobre. Zbierały się tam najczęściej: Wacha Borkowska, Antonina Rokicka, Haluska Wojciechowska, Lucia Szukielanka, Wichura i Szrama (nazwisk nie pamiętam) i Jadwiga Gołębiowska.

Na Żelaznej znówu był szewc p. Wyrzykowski „swój człowiek”, jak się wtenczas mówiło. Syn jego, zdaje się, należał do P. O. W., a on sam ofiarowywał nieraz obuwie dla żołnierzy i pomagał przy szyciu plecaków, chcąc chociaż w ten sposób przysłużyć się ojczyźnie. Teraz takie rzeczy wydają się drobnostką, ale wówczas, gdy kraj cały roll się od szpiegów i żandarmów, kiedy w każdej chwili można było oczekiwać rewizji, — było to pewnego rodzaju odwaga.

Do naszych składów powołackich dostarczały sporo gotowych już rzeczy pokrewne nam organizacje, jak Liga Kobiet oraz Koło Intendencje i Organizacja Młodzieży Narodowej, gdzie najbardziej czynną było Zofia Brzosińska.

Do przewożenia odezw, broszur i ulotek szyliśmy t. zw. ornaty; było to coś w rodzaju podwójnych worków z grubego płótna, z otworem na głowę, zawiązywanych na tasemki z obu boków. — Wszystkie te prace wymagały materiału, który trzeba było kupić. Słą rzeczy, należało więc zająć się zbieraniem potrzebnych do tego środków. W styczniu 1913 r., zostałam mianowana skarbniczką Oddziału Żeńskiego P. O. W. „Skarb” ten był narazie bardzo ubogi. Zasiłaly go prawie wyłącznie nasze skromne składki członkowskie. Większe ofiary trudno było uzyskać wobec naszego zakonspirowania, ale bardziej może jeszcze z powodu wzmiankowanej już niechęci do sprawy legionowej.

Dla zdobycia grosza, Komenda Naczelna wypuściła błoczki z pieczęcią P. O. W., na które niewiasty nasze zbierały datki. Skarbniczką tego działu była Regina Cwilichówna.

Były i inne sposoby zdobywania pieniędzy: młody uczeń gimnazjum warszawskiego, Włodek Filipkowski, przywiózł z Kielc kliszę z fotografią Komendanta oraz oddziału legionowego w Kielcach. Fotografii tych on i ob. Brzaska odbijali wieczorami całe setki egzemplarzy. Fotografie te następnie sprzedawano, a pieniądze szły do kasy Oddziału Żeńskiego P. O. W.

Otrzymywaliśmy też i cenne dary: artysta malarz Witold Gołębiowski (Hldeons) ofiarował nam kilkanaście swych obrazów, które następnie sprzedawano i puszczano w loteryę, a osiągnięte pieniądze szły na zasilenie naszych szczupłych zasobów.

I tak pomimo wielkich trudności robiliśmy, co można było — i grosz się zawsze znalazł, gdy szło o dobro sprawy.

Anna Krysińska.

GARŚĆ WSPOMNIEN.

Ciężkie chwile przeżywała Warszawa we wrześniu 1914 r. Trzeba było wielkiego hartu ducha, potężnej wiary w zwycięstwo naszej sprawy, aby patrzeć bez drżenia na mrowie wojska moskiewskiego od rana do późnej nocy zmagających po ulicach Warszawy.

Naokoło mowa rosyjska, triumfujące miny rozpanoszonego oficerstwa, hulaszczących sanitariuszek i zbiegającego światła urzędniczego, Istny potop! A brzegi chodników zalega publiczność, tłumy ciche, zgłazone, patrzące na ten zalew. W tłumie wyszukują szpiegów — prowokatorów... Nagle wybuchą prowokatorski okrzyk: „niech żyją”. I oto oszalały tłum zaczyna wtórować tym okrzykom, a pod kopyta konackich koni padają wiązanki kwiecia!

Praca nasza powoli zaczęła budzić społeczeństwo z tępego, niewolniczego odrętwienia. Aby nasze dążenia wyraźniej zaakcentować, zdecydowała się Naczelna Komenda P. O. W. urządzić w rocznicę powstania listopadowego demonstrację w kościele św. Krzyża, a jednocześnie Oddział Lotny miał wysadzić w powietrze pomnik na Placu Zielonym.

Sympatycy tłumnie zapelnili kościół. W pewnej chwili sztandary, dobyte z mulek i osadzone na lasłach, wzniesiono nad tłum — a pieśń, jak burza, porwała się z tysiącem pierś. Nagle organista, żeby przegłoszyć śpiew, zaczął wygrywać krakowiaka. Młodzież skoczyła na chór, odrzuciła organistę i ktoś pięknie zaczął wtórować. Cudny, wzniosły nastrój opanował dusze. Wszystkie oczy zalane łzami, wszystkie twarze pobladły z uniesienia. Wtem o wejściu wszczął się rumor i wrzawa: „Żandarmi!” W jednej chwili sztandary zwinięte wróciły do mulek i zmieszaly się z tłumem.

Aby uniknąć rewizji, wyszliśmy zakrytą na podwórze, skąd brama można się było wydostać na Nowy Świat. Brama pełna już była żandarmów. Właśnie przyprowadzono grupkę aresztowanych i żandarmi zaczęli ich strasznie bić, kopać i znęcać się. Patrzyłam na to z taką grozą, że dopiero brutalne uchwycenie za ramię wróciło mi przytomność: „Kuda leziesz” — zaryczał mi nad uchem żandarm, i pchnął zpowrotem na podwórze. To mi wróciło równowagę.

Wróciłam do zakrytą, „niechcący” upuściłam muszkę do konfeksjonatu, a sama już „czysła”, przeszłam przez łapy żandarmów. To

były pierwsze aresztowania, za nimi poszły następne. Dosięgły nas szpiclowskie macki.

Jednak echo aresztowań nie budziły paniki wśród peowików: tak byliśmy zwaśni i mocni, tak pewni siebie nawzajem, że tylko nieszczyćcie, rzadziej nieostrożność mogły być przyczyną wypy.

Robota w owym czasie paliła się w rękach. Żyło się w jakimś płomiennym uniesieniu, pracowano po kilkanaście godzin na dobę w ciągłym ryzyku, a nie odczuwało się ani zmęczenia, ani zdenerwowania.

Mieszkanie moje było dobrze zakonserwowane. Spotykali się w nim na odprawach Kom. Nacz.: Tadeusz Żuliński (ob. Barski), Adam Koc (ob. Witold Warmiński), Marjan Kościakowski (Orwid). Tu nadchodziła korespondencja dla ob. Barskiego z Legionów i stąd wychodziły raporty do Komendanta.

Wszystko szło pomyślnie, aż do zebrania młodzieży niepodległościowej na Szpitalnej ulicy. Tam nas wyznaczali. Zbliżała się rocznica powstania styczniowego, a w związku z nią przygotowywaliśmy cały szereg czynnych wystąpień. Ob. Orwid dostarczył mi odpowiedniego materiału i polecił przygotowanie rysunków technicznych, dotyczących wysadzania torów kolejowych, mostów i t. p. Chodziło o ilustracje do instrukcji. Właśnie siedziałam nad tą robotą, gdy zjawił się ob. Tolwiński ze sporą walizką bronków z Rosji, a następnie ob. Żuliński przyniósł korespondencję, po którą miał się zjawić najajtrz kurjer. Po raz pierwszy od czasu mojej pracy miałam jakieś złe przeczucia.

I w istocie służąca nasza przybiegła z wiadomością, że jacyś wojskowi pytali o panienki. Był wczesny zimowy zmierzch, należało korzystać zeń i usunąć broń. Natychmiast zapakowałam bronki do koszyka i wyszłam ze służącą po sprawunki. Przed bramą przechadzał się pan z parasolem, ale na nas nie zwrócił uwagi. Szczęśliwie udało się nam ciemnymi ulicami (latały zeppelinów niemieckie) przemknąć w Aleje Ujazdowskie, gdzie cenny koszyk pozostawiłam u naszych sympatyków. Wróciłam znacznie spokojniejsza i wzięłam się do pracy. Późnym wieczorem zebrałam nielegalną bibliotekę, książki eksperckie i rysunki w jeden pakiet i położyłam przy łóżku, a raporty na indyjskiej bibułce schowałam pod poduszkę.

Przeczucia nie omyliły mnie. O 2-giej w nocy zbudził nas gwałtowny dzwonek: Policja! Matka moja zaczęła prowadzić z nią długie pertraktacje przez drzwi, a ja skończyłam do swego pokoju by ocalić papiery. Trafił chłab, że okno mego pokoju wychodziło na sąsiednią posesję, gdzie mieściła się fabryka wstążek, pusta zupełnie o tej porze. W jednej chwili, kierując się jakimś wewnętrznym nakazem, chwyciłam pakiet i przez lufkę spuściłam go cicho w śnieg. Całe po-

dwórze było ciemne i nie mogło to zwrócić niczyjej uwagi. Za chwilę okno było już zamknięte.

Zycie całe, jak w kalejdoskopie, migało mi przed oczami. Ledwie zdążyłam wskoczyć do łóżka, gdy już szpicel, pomocnik komisarza i dwóch żandarmów wpadli do mego pokoju, a inni obstawili wejście. „Proszę oddać broń i paszport”, brzmiał krótki rozkaz. — „Broni nie mam, a paszport muszę wydobyc z biurka, zechcą panowie wyjść z pokoju!” Zaskoczeni moim spokojem, po krótkim wahaniu, wyszli za drzwi. Gdzie ukryć raporty do Komendanta? Zniszczyć nie mam prawa! Wtem oczy padły na żakieć, który miałam na ramionach wieczorem. Błyskawicznie nadprułam podszewkę i delikatną bibułkę wsunęłam za nią. Teraz zrobiło mi się łatwiej na duszy. Aby pokryć niedład mego negliżu, na ramiona narzuciłam żakieć i z paszportem w ręku wyszłam do żandarmów. Weszli hurmem do pokoju. Pokazali rozkaz rewizji i aresztowania mnie i siostry.

Zaczęła się rewizja. Żandarmi brutalnie, a szpicel delikatnie, przemitylnie, obmacywali wszystkie zakamarki. Zaglądali pod łóżko, do pieca, wyrzucali wszystko do góry nogami. Komisarz spokojnie siedział przed biurkiem i opróżniał szuflady. — „Gdzie ukryła pani broń?” — „Nigdzie!” Po gruntownem zbadaniu mego pokoju — przeszli do innych w celu dokonania i tam rewizji. To byłoby fatalne: listy od brata z kadrówki, broń narzeczonego i jego papiery, nielegalny „balast” młodszego siostry. Tymczasem matka moja bardzo blada, ale spokojna, stanowczo sprzeciwiła się rewizji; twierdząc, że mają prawo rewidować pokój córki, a nie jej całe mieszkanie. To przekonało komisarza i ustąpił. Korzystając z rozmowy, podszedłam do szafy i, zdjąwszy zbawczy żakieć, powiesiłam go w głębi. Kazano nam się ubierać. Zdążyłam jeszcze szepnąć matce o raportach w żakiecie i papierach za oknem. Rozdzierająca chwila pożegnania i w licznej asyście wyszliśmy na ulicę.

Cicha, głęboka noc zimową zakłócił brzęk ostróg i ciężkie kroki naszych towarzyszy. Z innych ulic zaczęły się wyłaniać podobne grupki, słychać było krzyki i szlochania. Komisarz uważał za niewłaściwe pędzić nas środkiem ulicy i zawoławszy dorożkę, kazał nam wsiąść, nastawili budy i w szyby już tylko szpicla i dwóch żandarmów, pojechałyśmy do więzienia.

Gdy się zatrzasnęły za nami ciężkie wrota więzienia, miałyśmy uczucie, iż schodzimy do grobu.

Po załatwieniu wszystkich formalności zapisu, wyprowadzono nas do jakiegoś plugawej sieni, gdzie tłoczyło się już kilkadziesiąt osób. Ze smutkiem stwierdziliśmy, że są i inne aresztowane, była to Zofia Wolfkowieczówna, peowiaczka, i jej siostra.

Z każdą chwilą przybywało aresztowanych. Rekrutowali się oni ze wszystkich sfer społecznych: nauczycielki, studentki, uczennice, skautki, prostytutki, złodzieje, profesorowie, dziennikarze. Siedzieliśmy, jak kto mógł i gdzie kto mógł w okropnym zaduchu. Raz po raz wybuchala jakaś awantura — to stali bywalcy więzienia manifestowali swe zdenerwowanie. Tak dosiedzieliśmy do zmroku. Przez całą dobę nie miałyśmy nic w ustach i aż słabo robiło nam się z głodu. Wreszcie zaczęło nas segregować i przeprowadzać do celi.

W towarzystwie strażnika poszliśmy przez długie korytarze. Na chwilę dostaliśmy się w ręce jakiejś wiedźmy, która nas obszukała, czy nie mamy czego ostrego, aż wreszcie strażnik otworzył ciężkie drzwi żelazne i wepchnął nas do celi.

W niewielkiej, słabo oświetlonej izbie znajdowało się już z górą trzydziści kobiet „przestępczyni politycznych”. Były tam doładaczki P. P. S., nasze powiatowiczki, obok szpiegówek niemieckich, lub też bab i dziewcząt wiejskich, Bogu ducha winnych, aresztowanych pod zarzutem przejścia granicy na odpust, lub t. p. Oczywiście, nie brakło też kobiet wesołego życia, które w formie lapidarniej dzielily się z sobą wrażeniami. Istne piekło! Nami zajęła się z niezwykłą dobrocią intymniorka M., dała herbaty i chleba. Od niej dowiedzieliśmy się, że tego dnia wywieziono do Pawiaka, aresztowaną dawniej za rozlepianie odezw, Helę Kurkiewiczównę. O zdobyciu przyczy mowy nie było, gdyż większość kobiet już leżała pokotem na podłodze.

Zaczęły się ciężkie, głuche dni więzienne. Więzienie, w którym znaleźliśmy się, t. zw. „Bristol”, było gmachem nowoczesnym, ale tam dopiero zrozumieliśmy, co może zrobić ze zdobyrcy cywilizacyjnych zła wola i barbarzyństwo. Kalorytery były poto, żeby więźniów dusić w nocy piekielnym upałem, a mrozić chłodem w dzień, elektryczność w dzień nie rozpraszała ciemności, ale zato przez całą noc wwiercała się aż do mózgu. Budzono nas o g. 4 rano i wtedy rozdawano gorącą wodę i chleb. Na obiad zajeżdżał przed celą kocioł na kołach i brudny strażnik rozlewał do misek podejrzanego koloru i zapachu ciecz, a kawały słoniny wylawiał widelcem przy pomocy palców. Ostatnią gorącą wodę dostawaliśmy o 3-ciej po południu i wielkiej umiejętności i wysiłku trzeba było aby ją ciepłą utrzymać do wieczora. Jeśli się doda roje pluskiew w nocy — a karaluchów i prusaków w dzień — to będzie się miało słaby obraz tego nowoczesnego więzienia. Spacerów nie było wcale, a gdy nas wypuszczono na chwilę na cuchnący korytarz, wnet stara wiedźma uprzejmie zapraszała nas zpowrotem ze słowami: „Hajda do kamery”.

Na badania wzywano nocą. Z głębokiego snu budził nas żandarm. Kazał się ubierać i pędził na badanie. Mnie przesłuchiowano w jednym

pokoju, a siostrę moją w sąsiednim. I co chwila zwracano się do mnie: „Niech się pani nie zapiera, siostra pani już wszystko nam powiedziała”. Zapierałyśmy się jednak kategorycznie wszystkiego. Mielł moc wiadomości, a zupełnie nie umieli ich powiązać. Z owego niefortunnego zebrania na Szpitalnej pokazywali mi świetnie uchwycone sylwetki, moją i całego szeregu uczestników. Trzeba było pilnować każdego drgnięcia twarzy, by nie pokazać, że to ludzie bliscy.

Przy badaniu przechodzili od temu ojcowskiej perswazji i współczucia do obelżywego krzyku z pianą na ustach.

Z mojej prywatnej korespondencji wykopali jednak kilka dowodów, a w pierwszym rzędzie strzelecką listę składkową z 1913 r. i kilka listów „z tamtej strony”. Wypierałam się stale i nie chciałam podpisać protokołu. Wreszcie w czasie jednego takiego badania rotmistrz żandarmski zaczął mi grozić siłą. — „Łamać by was kołem, wilecze szczenięta”, wykrzykiwał. Powiedziałam mu wtedy, że po żandarmerii wszystkiego się spodziewać można. To przepełniło miarę; okazało się, że rotmistrz, piętnaście lat służył w kawalerji, to też formalnie wpadł w furję, a porwijąc moje kompromitujące papiery i drąc je w strzępy, zapytał, czy i tego po nim się spodziewałam. Tego nie spodziewałam się w istocie.

W kilka dni po owem badaniu wypuszczono nas na wolność. We dwa tygodnie później mogłam już się stawić do roboty, dojechała do świadczeńem przeżyć widelnych. Przydzielona zostałam do sekcji rysunkowej Oddziałów Lotnych i tu pracowałam aż do wyjęcia Moskali.

Marja Gieysztor.

PRZED WYMARSZEM BATALJONU WARSZAWSKIEGO.

O istnieniu P. O. W. dowiedziałam się od ob. Brzeskiej. Mieszkała ona w tym czasie u mnie na Wspólnej pod 58, o którym to mieszkaniu pierwszy komendant P. O. W. Tadeusz Żuliński mówił nieraz, że przejdzie ono kiedyś do historii, gdyż tu, w małym pokoiku ob. Brzeskiej było biuro organizacyjne i wywiadowcze P. O. W. Tu i on sam spędzał po kilka godzin dziennie, pracując nad tworzeniem młodej organizacji, jak również adres tego biura znajdował się w Oddziale Wywiadowczym I Brygady dla przyjeżdżających do Warszawy kurjerek.

Pamiętam z tego okresu dość zabawne sceny. W braku lepszych lokatorów, o co już w początkach wojny było dość trudno, odma-

jęłam salon rosyjskiej pułkownikowej. Ordynans jej przesiadywał często w przedpokoju. Można wyobrazić sobie zdziwienie i przerażenie kurjerek, gdy dzwoniąc do takiego zakonspirowanego i bardzo pewnego mieszkania, spotykały na wstępie „dzienniczka”, który im dobrodusznie otwierał drzwi. Miało to jednak dobre strony, gdyż usypiało nieco czujność policji rosyjskiej.

Narazie praca moja w P. O. W. ograniczyła się do wywiadu w szpitalu wojskowym w szkole kadetów, gdzie pracowałam jako pielęgniarka; wiadomości zbierałam wprost od żołnierzy, lub wyczytywałam je z ich kart ewidencyjnych, oddając je kom. sekcji wywiadowczej, ob. Brzeskiej.

Od stycznia 1915 r. zostałam skarbniczką Oddziału Żeńskiego — P. O. W. Później zaś objęłam kierownictwo sekcji odzieżowej po ob. Hołówkowej, ale o tem mówię w innem miejscu.

Od połowy maja 1915 r. t. j. od chwili cofania się Moskali z nad Nidy i Dunajca, zaczęły chodzić głuche wieści o możliwości wycofania się ich z Królestwa i opuszczenia Warszawy. Dopiero jednak w końcu czerwca możliwość ta przybrała kształty pewności. Trudno jednak było odgadnąć, kiedy to wreszcie nastąpi. Postanowiłam wszelakże nie jechać na lato w swe rodzinne strony na Litwę, a przyjąć na posadę na dwa letnie miesiące, jako opiekunka letniska dla dziewcząt — skautek, urządzonego staraniem Komitetu Obywatelskiego. Pierwszego lipca wyjechałyśmy do Wołomina. Wkrótce potem zaczęły nas dochodzić wieści o masowych aresztowaniach młodzieży, o przesładowaniach skautów, o rewizjach. Okazało się, że rewizje odbyły się również w mieszkaniach niektórych dziewcząt, będących na naszym letnisku, że ich nawet poszukiwano. Ojciec jednej z nich, p. K. Pawłowicz, przyjechał do nas po córkę, by ułokować ją w bezpieczniejsze miejsce. Przeszli oboje pieszo lasami do innej miejscowości podmiejskiej, skąd Kryśia Pawłowiczówna miała wyjechać na Litwę do krewnych.

Po dwóch tygodniach pojechałam zobaczyć, co się dzieje w Warszawie. Wszyscy tam byli przedenerwowani, niepokorni jutra, drąący przed groźą wywiezienia do Rosji.

Koło 20-go lipca zjawił się u nas niespodziewanie skaut, Beniek Wądołkowski, z rozkazem od Komitetu Obywatelskiego, abyśmy niezwłocznie wracały do Warszawy, gdyż grozi nam odcięcie od stolicy. Zatem postanowiłyśmy wrócić.

Po drodze mijaliśmy tysiące wozów z rzeczami letników, wracających w popłochu do miasta. Na Pradze uderzył nas widok drwono z jakiejś cerkiewki, spuszczonego na sznurach przez żołnierzy. Moskale w szalonym tempie zwijali bura i różne instytucje rządowe, wy-

wozili, co mogli, wysyłali swe rodziny i urzędy, wreszcie pocztę. Z listami jechać teraz trzeba było na Pragę i tam przy dworcu Petersburskim rzucać je do skrzynki, bo w Warszawie poczta już nie funkcjonowała. W ostatnich dniach listy zabierali ze stacji już tylko uprzejmi pasażerowie, przeważnie wojskowi rosyjscy.

Od 3 sierpnia zaczęło się niszczenie fabryk. Czego nie można było wywieźć, niszczyli bez miłosierdzia. Co parę godzin, a potem nawet częściej słyszał było wybuchy tak silne, że wszystkie szyby drżały. Na ulicach, oprócz zwykłej policji, zaczęli się ukazywać milicjanci straży obywatelskiej. Pod wieczór 4 sierpnia przestały chodzić tramwaje, policja napędzała ludność do domów, bramy zamknięto przed godziną 9-tą. Dziwny niepokój targł nami. Co będzie? Nikt nie spał tej pamiętnej nocy, oczekując czegoś nadzwyczajnego.

Wreszcie, nad ranem 5-go, huk przeraźliwy przeszył powietrze: wybuch był tak straszny, jakby całe miasto zawałciło się miało, a potem już wybuchy jedno po drugim wstrząsały powietrzem i sercami. To Moskale, opuszczając Warszawę, wysadzali wszystkie trzy mosty pokolei. Na ten straszliwy odgłos wpadła do mnie gospodyni moja i rzucając mi się z płaczem radosnym na szyję, wskazała na ulicę. Nie było tam ani jednego rosyjskiego policjanta: na posterunku stał już polski milicjant.

Po śniadaniu wybiegłam na ulicę i wtedy dopiero uprzytomniłam sobie, że Moskale już nie ma, że poszli sobie i że nigdy nie wrócą...

Pod wieczór spotkałam Elę Kwiatkowską, która mi powiedziała, że chłopcy nasi już są zorganizowani, że trzeba ich karmić i że na-za-jutrz mam przyjść do pracy.

Wieczorem ob. Brzeska dała mi zlecenia szczegółowe i adres i rano, dzwigając do domki obciążony worek z bułkami i chlebem, pojechałam na Krakowskie Przedmieście do pałacu Namiestnikowskiego. Tam bowiem, w bocznym skrzydle, rozlokowali się nasi chłopcy, zajmujący gmach jeszcze nocy ubiegłej. Zabrałam się zaraz do nalewania herbaty, a potem z obywatelką Półą Rakowiecką pojechalaliśmy po prowiant i statki kuchenne. Pierwszy obiad ugotowaliśmy w jakiejś ciemnej, wąziutkiej kuchence. Znalazłam tam, niby znak na szczęście dla naszych drogich chłopców, podłogę, którą dotąd przechowuję na pamiątkę. Co zrobiłam na pierwsze danie, nie pamiętam, ale wiem, że na drugie był makaron obłany słoniną i że smakował wszystkim bardzo.

Nazajutrz 7-go kazano mi wziąć parę niewiast do pomocy i jechać na ulicę Żórawią (róg Wielkiej) do gmachu b. żandarmerji rosyjskiej, gdzie wyznaczono kwatery dla bataljonu warszawskiego. Zabrałyśmy

więc z ob. Pełą i Wacłą Borkowską nie się dalo staćków i prowiantów, i ruszyliśmy tam zaraz. Ponieważ chłopcy zjedli obiad jeszcze na Krakowskim, a do kolacji było daleko, szliśmy więc chorągwie do ozdobienia balkonów przyszłej kwatery. Chłopcy tymczasem rozkwaterowali się na dobre. Odbijali drzwi od wozowni i piwnic, gdzie były złożone meble i rzeczy żandarmów i z triumfem wynosili je stamtąd, meblując cały lokal.

W piwnicach było urządzone archiwum żandarmierji, chłopcy więc, szperając w papierach, znaleźli fotografie różnych więźniów politycznych, m. in. nawet fotografię Komendanta, jako młodego człowieka z brodą i dużą czupryną. Na odwrotnej stronie było napisane po rosyjsku Jego imię i nazwisko. Fotografia ta miała być zwrócona Komendantowi.

Tegoż dnia przyjechał z frontu Sieroszewski w mundurze ulanckim i na podwórze koszar warszawskiego bataljonu, pośrodku czworoboku wyciągniętych, jak struna, chłopców miał do nich przemowę. Pozdrawiał ich imieniem Komendanta wśród gromkich okrzyków: „Śluch żyje!”.

W parę dni potem zaczęli przyjeżdżać i inni legionisci z frontu. Jak też ci chłopcy byli oglądani, rozpytywani, jak wszyscy cieszyliśmy się nimi! Jedynymi z pierwszych byli: ob. Boerner, Kaden, ulan Zygmont Młod-Przepalkowski, porucznicy Zosik-Tessaro i Krok-Pastrowaki.

Co do naszej pracy niewieściej, to stosunki tak się ułożyły, że Liga Kobiet dostarczała nam produktów, my zaś prowadziliśmy kuchnię. Spisarnię miałyśmy bardzo obficie zaopatrzoną przez Ligę: mąka, kasza, cukier, groch i t. d. stały worek przy worku. Polcie słoniny wisiły jeden przy drugim. Stale też przychodziły dary z miasta.

Ponieważ ja byłam najstarszą w tem gronie niewiast i Komenda, jak również Liga do mnie ze wszystkiem się zwracała, więc też i dziewczęta silą faktów uznały mój autorytet i w ten sposób zostałam „komendantką kuchni”.

Chłopcy mnie również nazywali „komendantką” i stawiali nieraz na baczność.

Prowadziliśmy tę kuchnię aż do wymarszu bataljonu warszawskiego. Dziewcząt było sporo, pracowały z zapałem, niesieły nie pamiętam nazwisk wszystkich niewiast pracujących w kuchni, przytoczę więc tylko te nazwiska, które mi utkwiły w pamięci: Wacłā Borkowska, „Bogna” Rokicka, Halina Wojciechowska, Regina Korupczyńska,

Lucja Szukicińska oraz 2 Gałęckie — Grażyna i Zosia. Wszystko przyrządzane było naszymi rękami, kucharki nie miałyśmy, nawet garnki i taliki myły i szorowały nasze dziewczęta i tylko do skrobania kartofli odkomenderowywano codziennie po kilku chłopców, tej pracy bowiem nie mogliśmy podjąć, gotując trzy razy dziennie dla trzystu żołnierzy. Rano wychodzili chłopcy na musztrę za miasto i wracali na drugą, śpiewem dając znać, że są głodni.

Kiedy wreszcie rozległo się hasło, że obiad gotów, pojawiali się szeregiem, każdy ze swoją menażką.

Dnia 15/VIII bataljon bardzo uroczysto wziął udział w nabożeństwie w katedrze. Chłopcy uszykowali się wzdłuż nawy, budząc w nas radość a zdziwienie w całym kościele. Większość mieszkańców Warszawy nie zdawała sobie sprawy, kto są ci chłopcy w szarych kurtkach z orzełkami na maciejówkach i zachowywała się względem nich z wielką rezerwą.

Powoli przygotowania do odjazdu na front zbliżały się ku końcowi i wreszcie na dzień 22/VIII naznaczono wymarsz do miejsca postoju Legjonów na Wołyniu. Każdy żołnierz dostał karabin, a oprócz tego plecak, wypełniony darami Ligi Kobiet. W gmachu na Żórawiej trwał ruch gorączkowy.

W wigilję wymarszu Liga Kobiet urządziła uroczyste przyjęcie pożegnalne, poczem o godzinie 10-tej Komenda wydała wszystkim rozkaz opuszczenia gmachu. Mnie wraz z koleżankami polecono przygotować śniadanie na 4-tą rano. Wobec tego prosiłam o pozwolenie pozostania na noc na Żórawiej i kiedy wszyscy się już rozeszli, zabrałyśmy się do pracy. Przedewszystkiem pomyłyśmy wszystkie naczynia po kolacji. Następnie jedne dziewczęta szorowały podłogę, inne zaś brały się do gotowania. Nie było to małą robotą, gdyż kuchnia była nieduża, garnków miałyśmy niewiele, a chłopców było przeszło trzystu.

Gdy jednak o godzinie 4-tej przyszedł podolicer dyżurny, zapytując, czy może już chłopców przyprowadzić — dałam odpowiedź twierdzącą. Chłopcy nasi zbrali się po raz ostatni na śniadanie. Jedli i pili pośpiesznie, nalewając sobie herbatę do manierek.

O 4 i 1/2, dano hasło zbiórki i w porządku ustawili się wszyscy na ulicy Wielkiej. Oficerowie zrobili ostatni przegląd, a nad nimi wszystkimi czuwał smukły, zgrabnie na koniu siedzący porucznik Tadeusz Żuliński.

Na ulicy zebrał się tłum, ale nie ten zwykły, obojętny i ciekawy. Nie, to były najbardziej czujące i kochające istoty: matki i ojcowie,

siostry i młodzi bracia, narzeczona i żony i przyjaciele wychodzących do walki za Ojczyznę chłopców.

Warszawa spała i tylko garstka ta szła w milczeniu szybko, ledwo zdejmując za swymi żołnierzami, a nie mogąc się od nich oderwać.— Odprowadzono ich aż za miasto.

A oni szli radośni, krokiem pewnym, żołnierskim, ze śpiewem na ustach, z wiarą w zwycięstwo i triumf swej idei, szczęśliwi, że mają zmierzyć się z wrogiem.

ODDZIAŁ LOTNY WOJSKA POLSKIEGO

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

Wielki wyjazd (wielki wyjazd do wojny) w dniu 15 września 1915 r.

ODDZIAŁ LOTNY WOJSK POLSKICH

Helena Chlebicka.

PRACE ODDZIAŁU LOTNEGO W. P.

Bardzo najbardziej zastanawiającym działem konspiracyjnym pracy wojskowej, Oddział Lotny W. P. pozostał bardzo niewiele materiałów, mogących mieć w przyszłości wartość historyczną. Wzrostkie rozkazy, raporty, plany z niewielkim wyjątkiem nieznacznie. Ze wspomnień uczestników wyszły tylko wspomnienia Karłowicza Baglinskogo „Płochy” ogłoszone w 1913 r. w Drukarni Lubelskiej. Nic też dziwnego, że ogół naszego społeczeństwa, a nawet i te jednostki, które interesują się bliżej historią tamtych organizacji wojskowych z ostatniej doby, nie zdają sobie dokładnie sprawy czym był Oddział Lotny, jakie były jego zadania i działalność.

W programie organizacji wojskowych, tworzonych przed wojną przez Józefa Piłsudskiego, przewidywane było działanie dywersyjne na tyłach wojska nieprzyjacielskiego.

Wybuch wojny, chociaż ciągle oczekiwany, zaskoczył tajne związki strzeleckie w Kongresówce w okresie dezorganizacji, gdyż wielu członków wyjechało na odpoczynek lub na letnią szkołę Strzelca do Małopolski. Wkrótce jednak liczni uczestnicy konspiracyjnego ruchu wojskowego, znajdujący się w rozrypcie po tej stronie kordonu, zaczęli porozumiewać się ze sobą i organizować się, mimo, że było to bardzo utrudnione ze względu na odbywającą się mobilizację i rozpoczęte działania wojenne.

Najgorętsi z nich pragnęli jak najprędzej przejść do akcji czynnej, podjąć wysiłek zbrojny, ażeby wstrząsnąć sumieniem społeczeństwa, a wrogowi dać znać krwawym znakiem: „Jesteśmy”!

Czekano jednak z rozpoczęciem ruchu na rozkaz Komendanta, prowadząc tymczasem prace przygotowawcze, jak zgromadzenie materiałów wybuchowych, przeprowadzenie wywiadów i rozpatrywanie się w stosunkach i ludziach, nadających się do wciągnięcia do przyszłej akcji.

W trakcie tych przygotowań, w końcu października 1914 roku, przedarli się przez front wysłannicy Komendanta: Mikity i Walek, przynosząc rozkaz Tadeuszowi Żulińskiemu natychmiastowego utworzenia jednostki bojowej, zdolnej do rozpoczęcia walki dywersyjnej na tyłach wojska rosyjskiego. Żuliński oddał niezwłocznie do dyspozycji Mikity tych kilku, którzy poprzednio zadeklarowali się do czynnej walki.

Formalne zorganizowanie omawianej jednostki bojowej, poza przygotowaniami technicznymi, poprzedziły dwa następne działania, mające na celu wypróbowanie do pracy bojowej nowicjuszków, którymi byli wszyscy, prócz Mikity i Waleka.

Dnia 23 listopada dokonano zniszczenia torów kolejowych na trzech liniach równocześnie. Drugą akcją był wykonany 29 listopada demonstracyjny zamach na placu Zielonym. Dopiero po tych działaniach na odprawie dnia 30/IX formalnie zawiązano wydzielony oddział I Brygady, nazwany Oddziałem Lotnym Wojsk Polskich. W pierwszym okresie, t. j. przez 2¹/₂ miesiąca istnienia Oddziału, udział bezpośredni w jego pracach brało zaledwie około 10 osób. Sam fakt jednak, że oddział taki istniał i działał, spowodował, że do Komendy P. O. W. w tym właśnie czasie utworzonej, — coraz to liczniej zaczęły zgłaszać się jednostki, żądne natychmiastowego czynu. Komenda Oddziału Lotnego stanęła przeto wobec konieczności znalezienia takich form organizacyjnych, przy których możliwe byłoby jeszcze powiększenie Oddziału. W tym celu w końcu lutego 1915 r. Oddział Lotny Wojsk Polskich rozwiązano, zaś poszczególni jego członkowie zostali wyznaczani na organizatorów i komendantów okręgów „Oddziałów Lotnych P. O. W.” oraz weszli w skład Centralnego Oddziału Lotnego.

Już w marcu rozpoczęły pracę cztery okręgowe oddziały lotne (warszawski, lubelski, siedlecki i radomski), grupując w swych szeregach kilkudziesięciu członków.

Działalność Oddziału Lotnego w obu formach jego istnienia, stwarzająca się w rezultacie w szeregu zbrojnych zamachów (wystrzelanie mostów kolejowych, niszczenie torów, zrywanie drutów telegraficznych, zamachy na państwowe urzędy rosyjskie, niszczenie list poborowych i t. p.), z punktu widzenia czysto wojskowego nie była czynnikiem bardzo ważkim wśród zmagania się wojennego walczących państw. Zbyt nieliczna była garstka śmiałków „lotniaków”, zbyt wielkimi brakami technicznymi i zbyt krótki okres czasu, aby można było rozszerzyć akcję dywersyjną i zrealizować w całej pełni cel ostateczny: wywołanie ogólnego ruchu w kraju i połączenie się z siłami polskimi, walczącymi pod komendą Piłsudskiego.

Nie mniejsze przeło jest moralne znaczenie Oddziału Lotnego. W oczach najedźdzy Oddział Lotny był krwawym upiorem, który groził wybuchem powstania na tyłach walczącego wojska w kraju, jak się zdawało już ujarzmionym i dawno upokorzonym. Dla Moskali byliśmy postrachem, dla własnego narodu przypomnieniem, że oto w głębinach duszy polskiej nie wygasło zarzewie buntu i że w każdej epoce, w każdym pokoleniu znajdują się gotowi do podjęcia walki. A dla członków swych Oddział Lotny był radosną ostoją i ważną placówką. W twardej służbie wyrabiali się bowiem charaktery nieugięte: „lotniacy” wyrzekli się swego imienia, domu rodzinnego, wszelkich spraw osobistych i wśród znoju konspiracyjnego życia, w ciągłym napięciu nerwów i bliskości śmierci — czuli się szczęśliwi i dumni, że przypadło im w udziale podnieść uzbrojoną dłoń przeciwko Moskałom, przeciwko tandarom i szpiclom i znaczyć krwawą drogę walki o najświętsze prawo człowieka do wolności.

Najlepszym dowodem, jak daleko szło samozaparcie „lotniaków” i wielkie ich przywiązanie do pracy w Oddziale jest fakt, że nikt nie skorzystał z przysługującego najbardziej wycieńczonym prawa do opuszczenia szeregów Oddziału i przedarcia się do Legionów, mimo, że marzeniem ich wszystkich było przetrwać ciężkie chwile konspiracji i od skrytej walki na tyłach przejść do otwartych zapasów z nieprzyjacielem.

Wszyscy wytrwali na posterunku: zginął Mikita i Emil Brzozowski, ciężko ranny został Okrzeja (Rybicki Edward); do więzienia poszli: Andrzej, Artur, Ryzek, Optołowiczówna i Halina. Pozostali po opuszczeniu Królestwa przez Moskali wstąpili do Legionów; parę kobiet dostało się również do służby linowej — reszta zgrupowała się w P. O. W. Wytrwali wszyscy, bo wierzyli w świętość sprawy, ufając niezłomnie rozkazom Komendanta.

Jeszcze przed formalnem zawiązaniem Oddziału Lotnego kilka kobiet bierze udział w przygotowaniach tej grupy spiskujących. Jadwiga i Maria Barthelówny już w listopadzie przewożą dynamit z Łodzi do Warszawy, p. J. Marcinowska, Zofia Szurm de Sztreim i Z. Warszawska współdziałają przy wydebywaniu broni; w mieszkaniu H. Chelmińskiej mieszczą się składy broni i materiałów wybuchowych; tu także odbywają się pierwsze zebrania organizacyjne Oddziałów Lotnych.

Po przybyciu Mikity i ukonstytuowaniu się Oddziału Lotnego więcej kobiet włącznieto do tej pracy; naogół ewidencja Komendy tego oddziału liczy ich około 30, z tych jednak zaledwie 10 jest bliżej wtajemniczonych co do istnienia i bojowej działalności O. L. Są to prze-

Innym razem miałam przewieźć karabiny, przeznaczone do opanowania jednej z instytucji rosyjskich, z której trzeba było wydobyć ważne dokumenty, blankiety paszportowe, płaćcę i t. d., a także zniszczyć rosyjskie listy poborowe. Karabiny były owinięte w koc i papier i owiązane misternie. Zostały one położone na górnej półce do spania w przedziale wagonu drugiej klasy, w którym na nieszczęście jechali trzy żony oficerów rosyjskich. Jedna z nich, chcąc ułożyć się na leżalnej półce do spania, podniosła moją paczkę, która swym ciężarem pociągnęła jej rękę w dół. Wzrok pytający, zaniepokojone zdziwienie... Musiałam się tłumaczyć i, co więcej, w niedługim czasie zniknąć z przedziału wraz ze swoją paczką. I, skoro tylko pociąg zatrzymał się w Lublinie, pędzić co prędzej do dorożki.

Został mi też we wspomnieniach wieczór wigilijny. Oddział Lotny zebrał się wtedy w komplecie, jakby na pożegnanie, gdyż następnego dnia o świcie chłopcy mieli wywadać most. Gwarzyło się o tem i owem, snulimy marzenia o przyszłej Polsce. Między nami był także nasz komendant, Tadeusz Żuliński. Mieliśmy przesiedzieć noc całą, aby nie zwracać uwagi wychodzeniem z mieszkania po zamknięciu bramy. Około godziny drugiej w nocy usłyszeliśmy dzwonek alarmowy. Cisza nagle zaległa, wszystkie ręce sięgały po broń postanawiając w razie najścia policyjki bronić się do ostatka. Obstawiliśmy obydwa wejścia. Po chwili dzwonek orwał się ponownie. Zapytałam kto dzwonił, słysząc się na głos najbardziej spokojny. Odpowiedziała mi cisza. Trwaliśmy w pogotówiu, ujawniając nawet chęć odwetu tym, którzy tak długo zęcali się nad Polską. Tym razem jednak dzwonki okazały się tylko wyrazem niezadowolenia naszego sąsiada, gdyż chwilami, chociaż półgłosem, śpiewaliśmy piosenki tęsknoty za wolnością.

Doczekaliśmy razem godziny 6 rano. Potem krótka odprawa, jeszcze krótsze pożegnanie i z bronią w kieszeniach poczęli chłopcy wymykać się z domu.

Narazie wieści o nich nie było żadnej. Mimo to my, niewiasty, pracowałyśmy nadal, krzątając się koło zdobywania broni i materiałów wybuchowych. Po paru dniach wzywają nas. Miałam się zająć dostarczeniem żywności dla nich, bo powrócili ranni. Chłopcy wyczerpani, po dwóch dniach pracy i głodu musieli pozostawać w swych pokojach starannie zakaspirowani, nie mogąc się pokazywać na ulicy, ze względu na otrzymane rany; my więc byłyśmy łączniczkami pomiędzy nimi a światem. Muszę dodać, że owe przytułki „lotniaków” to były niestety, mieszkania tychże członków Oddziału Lotnego. Któż bowiem inny daby mieszkanie na podobny użytek. Ośrodkiem takim było mieszkanie, a raczej pokój ob. Małego przy ul. Krócezej, oraz moje mieszkanie na Wilczej. W pierwszym lokalu mieszkało się także fabo-

ratorium, w którym preparowano materiały wybuchowe. Mieszkanie przy ul. Wilczej musiałam opuścić już po dwu miesiącach, gdyż gospodarz mi je wynajął. Wyprowadziłam się więc na ulicę Nowogrodzką, gdzie zająłam dwa ładne pokoje (mieszkała już wówczas ze mną moja matka i młodszy brat, obecnie już nieżyjący). Mieszkanie to nie mogło nasuwać najmniejszych podejrzeń, ale pokój mój zawierał wiele niebezpiecznych przedmiotów. Schodzili się przytem tu wszyscy członkowie Oddziału Lotnego, ale, żeby nie zwracać uwagi, nie dzwoniłi nigdy, pukali tylko w ścianę i ja sama im otwierałam. Z gospodarzami, uciekinierami z Kalisza, trzeba było bowiem postępować bardzo dypl. matycznie. Ponieważ zdarzało się nieraz, że któryś z „lotniaków” przychodził musiał w mojej nieobecności, czynił to więc zwykle tylko jeden. Najczęściej przychodził mój brat, Mały, którego brało za mego narzeczonego; nie wyprowadzałam ich z błędu. Komieczne jednak było, gdy Mały musiał opuścić Warszawę i gdy zaczął przychodzić już inny. Wówczas moi gospodarze stwierdzili, że omylili się, godząc się widocznie łatwo na tego drugiego.

W otomaniu, na której sypiałam, był skład broni różnego kalibru. Pewnego dnia ob. Orwid, ów nowy łącznik, przyszedł podczas mojej nieobecności, aby zabrać parę sztuk broni. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Rozłożył broń i zaczął ją wybierać i czyścić. Trwało to dość długo. Nadeszła posługaczka, żeby sprzątnąć; zastała drzwi zamknięte. Zrobiła więc alarm, który jakoś udało się mojej matce uspokoić. Innym razem zastałam u siebie przybyłego z Lublina ob. Emila, który parę dni przedtem został ciężko ranny podczas akcji „lotniaków”. Zdołał jednak uciec z rąk Moskali. Musiałam mu wtedy odstąpić mój pokój na parę dni, aż się wyleczył.

Los jednak stale prześladował Emila i wreszcie w r. 1915 na dwa czy trzy dni przed wyjściem Moskali został on literalnie zarąbany szabliami przez kozaków. W celu leczenia Emila przychodziła do nas dr. Maria Kasperowiczowa, która całemu Oddziałowi Lotnemu oddawała wtedy nieocenione wprost usługi. Nie mówiąc już o tem, że przychodziła niezwłocznie na każde wezwanie do chorego „lotniaka”, ale poza leczeniem całkowicie bezinteresownem, dostarczała jeszcze środków opatrunkowych, czasami nawet w większej ilości bez żadnego zwrotu kosztów. W ten sposób Oddział Lotny miał swego lekarza, jedynego lekarza w Warszawie, do którego zwracał się zawsze z całym zaufaniem.

Po trzech miesiącach mego zamieszkiwania na ul. Nowogrodzkiej, sądziłam, że tak może pozostać nadal, jednakże ob. Roman zauważył kiedyś, że już „wszystkie wróble na dachu śpiewają moje nazwisko” i że prawdopodobnie będę musiała opuścić Warszawę na czas dłuższy. Miałam wielką ochotę przedostać się do Legionów. Nie doszło jednak

do tego, bo właśnie potrzebna byłam w Lublinie, dokąd wyjechałam niedługo. Najpierw jednak musiałam się zająć „oczyszczeniem” mego mieszkania. Miałam u siebie moc prochu, lontów i dużo różnego rodzaju broni. Przewiozłam ten bagaż do innego domu. Potem znikłam z Warszawy na tydzień.

Dostałam właśnie rozkaz udania się do Petersburga, aby tam wśród kolonii polskiej zebrać trochę pieniędzy. Ponieważ przez pięć lat studiów mieszkalam w tym mieście i znałam tu dużo Polaków, sądziłam, że uda mi się dla organizacji zebrać pokaźną sumę. Spotkałam jednak zawód. Najwięcej było takich, którzy bali się nie tylko wpisać na listę ofiarowaną sumę pieniędzy lub brać ode mnie pokwitowania zupełnie bezpieczne, ale poprostu bali się mojej osoby. Jedni z lękiem dawali znikome gruszki, dodając jeszcze: „Aby tylko nie na bojową robotę”, drudzy wogóle w mniejszym lub większym delikatnym sposób pozbywali się mnie jak najrychlej. Zaznaczyć tu muszę, że zwracałam się przeważnie do osób bardzo zamożnych. Nieliczne tylko jednostki ofiarowały większe sumy: to byli ludzie, którzy, później faktycznie wykazywali wielką ideowość. Przy tej sposobności namawiałam niejednego, by porzucił rosyjską karierę i wrócił do kraju. Ale tym ludziom żal było intratnych posad, wykręcali się, że nie mogą pozostawić rodziny bez kawałka chleba i t. d. Zmienili oni swoje zapatrywanie z chwilą wybuchu rewolucji w Rosji, kiedy to falanga tych patriotów wyruszyła do Polski, aby tu bez żadnych skrupułów szukać sobie odpowiednich stanowisk.

Do Warszawy przywiozłam trochę pieniędzy, ale więcej jeszcze goryczy i żalu. Gdy tylko nastały wakacje, wyjechałam do Lublina, do którego wzywano mnie tamtejsza komenda. Pieniądzy zaoszczędzonych miałam bardzo niewiele, ale obliczyłam, że jeśli będę jadła obiady co drugi dzień w jakiejś taniej kuchni, to mi wystarczy ta suma na miesiąc. W Lublinie musiałam zamieszkać na przedmieściu, czyli na t. zw. Rurach, gdyż wówczas rosyjska policja nie pozwalała mieszkać w mieście bez ściśle określonych ku temu powodów. Ulokowałam się, oczywiście, w jednym z mieszkań organizacyjnych. Tam odbywały się czasem nasze zebrania, tam była szwalnia, t. j. przychodziły tu niewiasty z P. O. W. aby szyć plecaki i chlebaki dla strzelców. Właścicielką tego mieszkania była Marja Optołowiczówna, należąca do Oddziału Żelaznego P. O. W. Zamieszkiwała ona wraz z matką starszą jeden pokój, ja zaś ulokowałam się w drugim. Zabierałam się odrazu do żmudnej roboty — szytowania adresów i „prania” paszportów. Do szytowania wymyślało się najdziwniejsze klucze, aby w razie wyppy żandarmerja nie mogła ich w żaden sposób odczytać.

Po dwóch tygodniach głódki musiałam przyjąć obiady odlarowane mi przez sympatyków. Do dziś dnia wspominam z wielką wdzięcznością tych ludzi, którzy swym taktem dawali mi na każdym kroku poznać, że to przygarnięcie do siebie ludzi pracujących w organizacji, uważali za swój obowiązek.

Atmosfera w Lublinie z każdym dniem stawała się cięższa. Czytaliśmy chętnie komunikaty wojenne, chwilami błysk radości opanowywał zmęczonych, chociaż jeszcze nie uświadamiających sobie tego zmęczenia „lotników”. Czasem znów zdawało się, wszystko runie w przepaść... A Moskal w przeczuciu bliskiego końca swego panowania, stawał się coraz zowziętszy. Tropili nas, gdzie tylko mogli. Najpierw rozpoczęły się obławy na czerwone bilety. Wkrótce dostało się i nam. Pewnej nocy jednocześnie zarządzono rewizje w kilkunastu mieszkaniach członków P. O. W. Taką rewizję przeżyłam sama. Było to w pewną noc lipcową. Wszyscy w domu pokładli się już spać. Ja również, zmęczona po całodzienniej pracy, udałam się na spocznok. Ale zasnąć długo nie mogłam. Nagle usłyszałam głośny dzwonek w bramie do stróża. Drgnęłam niespokojnie, ale starałam się wytłumaczyć sobie, że to ktoś wraca do domu o spóźnionej porze. Nasłuchiwałam jednak dalej. Dzwonek zadźwięczał po raz wtóry, a potem zaczęło dobijać się do bramy. W tej chwili byłam prawie pewna, że to rewizja. Uplłynęło parę chwil i usłyszałam mocne szarpnięcie klamki u drzwi wejściowych naszego mieszkania. Kiedy starszuszka zapytała przez drzwi kto to, odpowiadano jej niecierpliwie: „Telegrama”. Usiadłam na swem posłaniu, łapiąc kurczowo za rewolwer. W tym momencie przemknęło mi przed oczami całe moje życie, rodzina i dom. Po chwili położyłam broń na miejsce i sięgnęłam do szuflady po pieczęcie i szyfry. Trzymając te paczki w ręce, podeszłam do okna. Przy świetle księżyca zobaczyłam wyraźnie stojących na podwórzu żołnierzy z lufami karabinów nastawionemi wprost w nasze okna. Cofnęłam się więc cichutko i położyłam się znów na swoje posłanie. W szafach było moc prochu, piroksyliny, lontów, broni oraz blankietów paszportowych — wszystko to zapowiadało groźne następstwa. Czekalam więc i słuchałam w napięciu, co się dzieje w sąsiednim pokoju. Wszystkie papiery które mogłyby kompromitować właścicielkę mieszkania, mieściły się wyłącznie w moim pokoju, u niej zaś były tylko plecaki uszyte przez nasze niewiasty. Słyszałam, jak wyrzucano z szaf różne rzeczy, jak odsuwano różne meble. Domyślałam się też, że szukano nawet w plecach. Byłam przygotowana, że w każdej chwili wejda do mego pokoju. Miałam przy sobie swój paszport, którym chciałam się zasłonić, przypuszczając, że nie mają na-

kazu na moje nazwisko, ale bardzo na to liczyć nie mogłam. Na pogotowiu też trzymałam dwa rewolwery.

W pewnym momencie usłyszałam, jak jeden z żandarmów zapytał: — „A jak się nazywa osoba, która tam mieszka?” — Ale ani Maria, ani jej matka nie wiedziały mego nazwiska, gdyż przy wprowadzaniu się do nich, sama dałam paszport stróżowi do meidunku, a im powiedziałam tylko pseudonim. Teraz tłumaczyły się, że nazwiska mego nie pamiętają, gdyż wprowadziłam się niedawno. Powiedziały więc tylko, że jestem nauczycielką. Przerwali na chwilę indagację, bo w tej chwili zajęła ich jakaś inna sprawa, ale po chwili znów zapytywali o mnie, przygadując: — „Tam na pewno my by naszli wiele czoł nado”. Powiedzieli też: — „Tam dwóch chareczaja pticzka, my jejo pojmajem”.

Rewizja trwała przeszło dwie godziny, potem zaczęto pisać protokół. Żandarmi zażądali stramentu, który był tylko w moim pokoju. Maria musiała więc wejść do mojego pokoju. Siłąc się na spokój, przeproszała mnie półgłosem. Udawałam, że śpię, nie odzywając się do niej ani słówkiem. Za chwilę wyszali sami do mnie Marje po bibele. Po skończonem pisaniu zażądali podpisu Marji. Czytali głośno, a ja słuchałam uważnie. Główną treścią tego protokołu było, że nie znaleziono nic karygodnego, prócz austriackiego bagietu. Z plecaków wytłumaczyła się Maria dość sprytnie, że uszyła je w celu zarobkowym dla wojska rosyjskiego.

Po skończonem czytaniu kazali Marji ubrać się w płaszcz i kapelusz i wyszli, pozostawiając jednego żandarma, z którym Maria miała wyjechać. Domysliłam się więc odrazu, że padła ofiarą. Teraz jednak nie miałam możności się nad tem zastanawiać, bo musiałam ratować rzeczy organizacyjne. Zerwałam się w jednej chwili. Wiedziałam, że mam bardzo ważne papiery ukryte pod jednym ze schodków, które prowadziły na strych. Gdy tylko Maria wyszła z żandarmem, pobiegłam w tym kierunku. W tejże chwili usłyszałam głos żandarma, który mówił, że musi powrócić na schody. Prawie w jego oczach wróciłam do swego pokoju z dość dużą paczką. Ledwo zamknęłam drzwi od swego pokoju, usłyszałam, jak żandarm pytał staruszkę, gdzie ma schowane jeszcze inne rzeczy. — „Gdzie macie wasze kryjówki?”. Staruszka Bogu ducha winna tłumaczyła się jak mogła, tem bardziej, że o niczem nie miała pojęcia. Na pożegnanie rzucił jeszcze: — „My z panią jeszcze się zobaczymy!” Po wyjściu żandarma usłyszałam rozdzierający płacz i wołanie za córką, gdyż wiadome się stało, że Marię odwieziono dorożką do więzienia.

Nie wychodziłam jednak ze swego pokoju. Zaczęło świtać. Przekonałam się, że jest ciemno i wyszłam do staruszek. Staralam się je uspokoić, ale oczywiście na próżno. Gdy tylko usłyszałam, że stróż otwiera bramę, poszłam natychmiast zawiadomić swoich o rewizji. Zachowując odpowiednie środki ostrożności, dotarłam do zastępcy komendanta okręgu lubelskiego P. O. W. ob. Artura i ob. Heleny, komendantki Oddziału Żeńskiego. Natychmiast rozeszaliśmy tę wieść po mieście, ale dowiedzieliśmy się również, że tej nocy dokonano już kilku rewizyj i aresztowano kilka osób z P. O. W. Między aresztowanymi byli także i dwaj bracia Korolkowie, uczniowie gimnazjum.

Ciążki to był dzień. Na rozkaz komendanta okręgu ob. Armaka zarządzono jak największą czujność. Pomimo to w ciągu dnia nastąpiło jeszcze jedno aresztowanie, które wyrwało z naszego grona cennego człowieka. Był nim ob. Artur.

W tym czasie znajdowali się także w więzieniach różni wybitni ludzie, biorący udział w ruchu niepodległościowym, i aresztowani na terenie Lubelszczyzny. Przeto w Oddziale Lotnym powstała myśl odbicia ich wszystkich. Nasze niewiasty czyniły wywiady, gdzie przebywają aresztowani i kiedy żandarmerja chce ich wywieźć z Lublina. Dowiedziano się dokładnie, którego dnia i o której godzinie naznaczony jest transport więźniów na wschód. Oddział Lotny uzbroił się. Nie wiasty dowiedziały się, że wszyscy, oprócz Marji, będą zakuci w kajdany i otoczeni taką ilością wojska, że wszelka próba uwolnienia ich pociągnęłaby za sobą tylko większą ilość ofiar i nie doprowadziłaby do pożądanego celu. Dla tych przyczyna uzbrojeni i przygotowani już lotnicy, musieli zrezygnować ze swych zamierzeń i patrzyli z rozpaczą, jak towarzysze ich, brzącąc kajdanami, szli ulicą i przesyłali im ukradkiem ostatnie pożegnania.

Odpowiedzią na aresztowanie i wywiezienie współtowarzyszy było przecięcie komunikacji telegraficznej i telefonicznej dookoła Lublina oraz założenie pocisków wybuchowych pod pociągi wojskowe.

Nie wszyscy z wywiezionych w ów pamiętny dzień powrócili do Polski. W kilka miesięcy potem nadeszła wiadomość, iż Marja Opłotowiczówna umarła w Moskwie na galopujące suchoty. Jakże były losy innych wywiezionych, nie jest mi wiadomo. Wiem tylko jeszcze, że ob. Artura po kilkunastu miesiącach więzienia wypuszczono na wolność, z powodu braku dowodów, bo papiery jego zaginęły w czasie podróży.

My, pozostali w Lublinie, musieliśmy głębiej wejść w podziemia, bo Moskale, cofając się na polu walki, tropili nas coraz bardziej. Były to już ich dni ostatnie.

Ustępujące wojsko, cofając się, podpałało całe wieś lub poszczególne domy, wzniecając tym popłoch wśród ludności i zmuszając ją do ucieczki na wschód z całym mieniem i dobytkiem.

Z szeregów organizacyjnych P. O. W. wybrano po wsiach do Oddziału Lotnego najbardziej zdecydowanych ludzi, których wyćwiczone specjalnie w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi i zaopatrzeniu ich odpowiednio. Akcja ich polegała głównie na wywiadach, które miały być dostarczone przez front Komendantowi.

Równocześnie przy pomocy organizacji wiejskiej wysadzono pociągi z amunicją na kolejkach: Chełm—Zamość i Motycz—Kraśnik. Zorganizowano także samoobronę przeciwko podpalaniu wsi przez pozostawiane w tym celu oddziały kozaków. W Lublinie również powstała taka samoobrona. Do tej akcji wciągnięto obywateli miejscowych.

W miarę coraz większego prześladowania czujność nasza wzrosła. Nie nocowaliśmy dwóch nocy w jednym mieszkaniu i zmienialiśmy ciągle lokale biur.

Ranitem 30/VI 1915 r. obudziły nas silne wybuchy. Narazie nie mogliśmy zrozumieć, co to miało znaczyć, bo właśnie ostatnio strzały armatnie pod Lublinem zaczęły słabnąć. Zaczął ogarniać nas niepokój. Na mieście dowiedziałam się, że dworzec jest spalony, gmach poczty stoi w ogniu, władze rosyjskie już wyjechały, komunikacja telegraficzno-telefoniczna jest przerwana.

Poculiśmy wtedy, że wybiła nasza godzina. Oddział Lotny nie tracił czasu. Opanował on instytucje, w których pozostały resztki dokumentów, nie zabranych z pośpiechu przez Moskali. Milicja objęła rządy nad bezpieczeństwem miasta. Z ulic usuwano tłum, aby zrobić miejsce dla zbliżającego się wojska Piłsudskiego. Trudno jednak było poddać się temu rygorowi, bo oto nastąpiła chwila spełnienia naszych najskrytzszych marzeń.

Wyrwałam się tedy poza kordon milicji i oto na Krakowskim Przedmieściu ujrzałam polskiego ułana, wjeżdżającego na ulicę Lublińską. Trzymał on w ręku krótki karabin, nastawiony do strzału na wypadek zasadzki, ale jednocześnie potrafił witać tych, dla których był symbolem wyzwolenia. Widziałam sama bry w oczach starca, który na widok polskiego ułana ukląkł i wyciągnął doń ręce, jakby w modlitwie.

Niedługo przyjechał cały oddział. Zawrzała wśród nas praca. Na godzinę czwartą po południu kom. Armatk zwołał zbiórkę na placu katedralnym, tam też odrazu zorganizowano biuro werbunkowe, które miałam prowadzić. Przez trzy dni radości promiennej garnęli się do nas ludzie. Werbunek dał dwa tysiące ochotników. Zaczęto odrazu ich ćwiczyć i wysyłać na front.

Wyrwaliśmy w naszej pracy do końca. Wszystkie nasze trudy, groza wiecznego niebezpieczeństwa i udręki zapisały się w naszych duszach, jak najpiękniejsze karty całego życia. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy tem pokoleniem, które mogło oddać siebie w walce o wolność.

Jedziga Bertel de Weydenthal

PIERWSZA PODRÓŻ PO DYNAMIT.

Wyprawa, którą choć opisać, była pierwszym moim dalszym wyjazdem w sprawach organizacji i może dlatego najślimiej utkwiła mi w pamięci.

Należałam wówczas wraz z siostrą moją, Marią, do sekcji wywiadowczej Oddziału Żelazskiego P. O. W. Komendantką naszą była Irena Wasilutyńska (Sowa).

W połowie listopada 1914 r., na jednej ze zbiórek sekcji (był to, zdaje się, wykład o broni), Sowa zakomunikowała mi i mojej siostrze rozkaz Komendy Naczelnej, że mamy jechać z pewnemi poleceniami do Łodzi. Następnego więc dnia stawiliśmy się na odprawę do Komendy.

Ob. Karol Rybaśiewicz *) oznajmił nam, że mamy przewieźć z Łodzi transport dynamitu, zostawiony tam dla O. L. przez oddział Rysia-Trojanowskiego. Polecił nam też zrobienie po drodze wywiadu. Na odprawie był obecny ob. Jarecki (Jarosław), który udzielił nam wskazówek co do obchodzenia się z dynamitem.

Był to krótki okres czasu po pierwszej ofensywie wojsk austriacko-niemieckich na Warszawę i czas, gdy lada chwila spodziewana była druga ofensywa. Chodziło zatem o pośpiech, o zabranie dynamitu, zanim Łódź zostanie zajęta po raz drugi.

Komunikacja kolejowa do Łodzi była chwilowo przetrwana z powodu jakichś uszkodzeń toru, dokonanych przez Niemców. Trzeba było szukać innych środków lokomocji, przyczem należało stosować oszczędność, boć organizacja nie była zbyt zasobna. Pomógł nam w tem ob. Baginski (Flora), który był przez Oddział Lotny wysłany po inny transport. Dowiedział się o furmance, którą pewien kupiec wysyłał do Łodzi po towary i umówił się, że i nas i jego zabierze.

Wyjechaliśmy z Warszawy około dziesiątej wieczorem, podróż tej nocy była przykra. Nieustanny, choć drobny deszcz, wicher przenikliwy, czarno i zimno. Szosa zatłoczona furmankami z towarami, sala-

*) Karol Rybaśiewicz poległ pod Kąkuchówką.

dowanym, jak góry. Godziny nieraz trzeba było wycekiwać z boku szosy wśród kłatw, krzyków i pogrótek wotniaków. Mieliśmy w dodatku bardzo niebezpiecznego towarzysza podróży. Pomocnik wotniacy z dobrą miną wyjeżdżający z Warszawy, następnie zaczął się dość dziwnie zachowywać: przed wjazdem do każdej wsi lub miasteczka chował się starannie do wielkiej paki na towary. Doszliśmy do przekonania, że jest to poprostu szpieg niemiecki. Nadszedł wreszcie rano, a z nim krótki popas w jakiejś osadzie.

Po rozegzaniu się gorącą herbatą ruszyliśmy dalej. We dnie podróż była o wiele miła. Deszcz ustał, wyrzało białe słońce. Zimno było, lecz pogodnie. Spokój rozległych pól zamazał tylko czasem widok drutów kołczastych lub zabitego konia. Jeszcze jeden krótki popas w południe i wieczorem dotarliśmy do Łowicza. Właściwy most na Bzurze był zerwany, istniał tylko prowizoryczny, wąski, pilnowany przez żołnierzy. Przy owym moście rozpętało się latne piekło hałasu. Kłębiła się ciżba furmanek, które popychały się i najężdżały wzajemnie na ściebie, chcąc jak najprędzej dotrzeć do mostu. 2 godziny posuwaliśmy się zwolna w tym tłoku, wśród wrzaskliwych klótni i bijatyk. Północzenie nasze stawało się coraz przykrzejsze; mimo tedy protestów wotniacy wysiedliśmy z wozu i pieszo dostaliśmy się do miasta. Łowicz rołł się od wojska, hotel był pełen rosyjskich oficerów, udało nam się jednak dostać pokoje na nocleg.

Najazutrz, wczesnym rankiem, puściliśmy się w dalszą drogę na platformie, wiozącej do Łodzi kilka pustych beczek. Udało nam się pozbyć nie milego towarzysza podróży. Po południu stanęliśmy już na miejscu.

Wyprawiając nas, ob. Karol dał nam adres pewnego aptekarza w Łodzi, który miał nam ułatwić pobyt i skomunikować z organizacją. Nie wiedzieliśmy bowiem w Warszawie, kto z niej pozostał na miejscu, po wycofaniu się legjonowego oddziału. Pierwsze nasze kroki skierowałyśmy do owego aptekarza. Niestety! Jegośność ten pod wpływem strachu wskutek powrotu Moskali, zmienił orientację. Nie chciał nic mówić, o niczem słyszeć i groził nam policją. Wyszliśmy od niego dość skonsternowane. Co robić? W jaki sposób dowiedzieć się, gdzie jest dynamit? Próżn tego chodziło o jakież schronienie na noc. Nie miałyśmy w Łodzi osobistych znajomych, a miasto pełne było wojska, hotele i pensjonaty pełne oficerów. Przysłała nam jednak szczerliwa myśl do głowy. Znajomą nasi mieli w Łodzi krewnych, ludzi dość za możnych — może więc uda się dowiedzieć ich adres. Jakoż rzeczywiście powiedzieliśmy nam w sklepie ten adres. Z wielką obawą, wymyślając po drodze jak najbardziej prawdopodobny pretekst naszego przyjazdu, udałyśmy się na wskazaną ulicę. Pan X (pami nie było)

przyjął nas bardzo uprzejmie; przynajmniej więc nocleg miałyśmy zapewniony. Pozostawało tylko odszukanie dynamitu. Ruchy utrudniało nam to, że siostra moja miała na sobie kożuszek zakaptuski i w takich kożuszkach ubrane były sanitariuszki w oddziale Trojanowskiego. Moje futro było nieco podobne. Zwracałyśmy tedy powszechną uwagę na ulicy. Siostra nie wychodziła więc zupełnie z mieszkania, a i mnie ob. Florek radził zaprowadzenie jakichś zmian w garderobie. Było to jednak niemożliwe w tak krótkim czasie.

Ob. Karol podał nam nazwisko pewnego księdza, sympatyka organizacji, do którego jednak miałam się zwrócić tylko w ciężkiej biedzie. Bieda była dostatecznie ciężka, udałam się więc do księdza z prośbą o pomoc w odszukaniu dynamitu. Ob. Florek dowiadywał się o toż samo przez stosunki pepeczowskie. Po paru dniach starań nareszcie dotarliśmy do upragnionego transportu. Ostrzeżono nas jednak, że dynamit jest „stary, podł” i niebezpieczne byłoby rozpakowywać go i dzielić. Musi być zabrany, jak jest, w koszu. Ów kosz okazał się tak ciężki, że we dwie nie mogłyśmy go podźwignąć. W dodatku był w nim worek z lontami i bibułą. Namyślałyśmy się, co robić. Ob. Florek miał jechać dalej. Wreszcie zdecydowano, że pojedzie z nami do Warszawy pewien robotnik z organizacji łódzkiej, aby pomagać nam w dźwiganiu. Komunikacja kolejowa z Warszawą już była przywrócona, szły jednak tylko pociągi wojskowe. Postanowiliśmy próbować szczęścia. Od wczesnego rana czekaliśmy na dworcu. Wreszcie zjawił się pociąg i zaczęło się załadowywanie żołnierzy. Odwołaliśmy oficera-komendanta pociągu i po dość długich prośbach, w których nam dzielnie pomagała nauczycielka z młodszej organizacji (spędziłyśmy u niej ostatnią noc), oficer pozwolił nam jechać.

W pociągu pełno było dobrodusznych żołnierzy rosyjskich; w rozmowach z nimi zdobyłyśmy niejedną cenną wiadomość wojskową. Niepokoił nas trochę żar od kaloryfera ze względu na nasz pakunek. Pociąg wchodził i występował długo na stacjach. Wreszcie około drugiej w nocy stanęliśmy w Warszawie na dworcu Kaliskim, przy rogatkach jerozolimskich. Dorożki żadnej nie było, posłaliśmy więc pieszko. Okazało się jednak, że pakunki są zbyt ciężkie, kosa co chwila groził upadkiem. Złożyliśmy tedy wszystko na ziemi, a siostra moja pobiegła szukać dorożki. Nasze samotne postacie w pustej ulicy zwróciły uwagę stróża nocnego i policjanta — podszli do nas, zapytując o powód czekania. Tłumaczyliśmy i gwarzyliśmy swobodnie. Nareszcie zjawiła się Mania z dorożką. Jadąc, trzymaliśmy kosa w powietrzu na wyciągniętych rękach, bojąc się zbyt rychłych wstrząśnień na bruku, co bardzo dziwiło dorożkarza. Etap ostatni przebyty jednak został szczęśliwie i dynamit chociaż „podł” pozostał spokojny.

Wanda Piekarska (Pocięcha)

JEDEN Z PRZEJAZDÓW PO BRON

— Czy jesteście gotowi do wyjazdów z Warszawy i ewentualnego przewożenia broni? — zapytała kol. Ela, komendantka Oddziału Żeńskiego, gdy meldowałam się u niej w ostatnich dniach marca 1915 r.

— Zastanówcie się, bo to trochę ryzykowne i niebezpieczne.

Po krótkim namyśle odpowiadam: — Tak, jestem gotowa. —

— A więc na zbliżające się święta macie urlop, zaś we wtorek poświęcającny zgłosi się do was kolega, który wyda wam szczegółowe instrukcje. Czy potrzebny wam paszport?

— Nie, dziękuję. Najwięcej obawiam się zapomnienia nazwiska wypisanego w paszporcie, co zawsze było powodem mego demerwowania się przy przejeżdżaniu granicy przed wojną.

Tak rozpoczęłam nową fazę mojej pracy legionowej.

W oznaczonym dniu i godzinie zgłosił się do mnie młody człowiek, który, nie przedstawiając mi się, przytoczył mi moją rozmowę z kol. Elą, polecił udać się do Kijowa, zająć pod wskazany adres sympatyków P. O. W., przez nich skomunikować się z ob. Bromirskim, t. zw. Bromem i paczkę z materiałami przez niego doręczoną, przywieźć do Warszawy. W Kijowie miałam zachowywać się konspiracyjnie i nie uczęszczać na żadne zbiórki ani zebrania.

Jeszcze kilka rad i wskazówek, paczka bibuły dla Komendy okręgu kijowskiego i ostatnia przestroga: — „Uważajcie, bo rewizje pociągów na tej linii są częste, a my czekamy niecierpliwie na bronki”.

Jakże burzyską wydała mi się ta podróż! Nie na zdobywanych z trudem i chytrą bryczuszkach żydowskich, czy wózków chłopskich po wyboistych i błotnistych drogach wiejskich, ale w wygodnym przedziale 2-giej klasy, gdzie można się było wypaść, albo, leżąc na podniesionej ławce, patrzeć w noc wiosenną, słuchać rozświetlanych płaków o wczesnym świcie, myśli stać do szczęśliwych kolegów, walczących z wrogiem jawnie i otwarcie i mundurze i z karabinem w ręku...

Kijów poznałam w najpiękniejszym jego wyglądzie, kiedy cały tonął w wiosennej zieleni i kwiatach, a z wysokiego brzoğu Dniepru widać było wale, łąki i pola, zalane wodą, miał miejsce bowiem wówczas jeden z największych wylewów wiosennych.

Kilka dni oczekiwanie na skompletowanie transportu spędziłam w gronie miłej i serdecznej rodziny „sympatyków”, którzy starali się

jak najbardziej uprzyjemnić mi mój pobyt w Kijowie, pokazując za-
bytki i piękniejsze rzeczy w mieście, oraz w pobliskiej okolicy. Pro-
sbę do mnie mieli tylko jedną: nie szczędzić im wiadomości z War-
szawy i z „tamtej strony”.

Dziś jeszcze z rozrównieniem wspominam tych ludzi, którzy ca-
łem sercem i może z uszczerbkiem swych bardzo skromnych środków
materiałnych gościli u siebie kurjerów powiatowych. Myślę tak też
bardziej, że nie obce mi były wypadki, kiedy ludzie zdawali się
wszystko składać na ołtarzu Ojczyzny, jeśli chodziło o słowa,
w chwili jednak, gdy szukano u nich pomocy w pracy legijonowej lub
powiatowej, z oczu i ze wszystkich porów skóry wylizali im strach
i odlegnywanie się od wszystkiego.

Po jakimś czasie wszystko było gotowe: neseser z 15 brankami,
trochę naboi i walizka z „kluskami”, przygodnie, na prywatną pro-
sbę, skrzynka z wędlinami i różnymi konserwami dla wygłodniałych
kuzynów warszawskich i jako ostateczna dekoracja — wazonie
duży kwitnący kwiat, wreszcie mała walizeczka z podróznymi dro-
biażkami. Naogół bagaże niewielkie, ale ciężkie.

Żaladowano mnie troskliwie do wagonu, stwierdzono, że narazie
nie podejrzanego niema i pożegnano z prośbą o szybki powrót z no-
wymi wiadomościami po nowy transport.

Kompromitujące bagaże leżały na słatce. Pod nimi, na górnej ław-
ce, ulokowałam się wygodnie, rozważając jakie ewentualnie grożą im
i mnie niebezpieczeństwa. A więc, — towarzystwo w przedziale „ba-
tiuszki”, „siostrzyczki” i 3 oficerów rosyjskich oraz mój skromny i spo-
kojny wygląd powinny mnie uchronić od rewizji. Jeżeli szcze-
ście nie dopisze, to to samo towarzystwo będzie oczywistym dowo-
dem, że prawo własności podejrzanych bagaży należy tylko mnie
przypisać; wówczas one nie dojdą do miejsca przeznaczenia, mnie
zaś wypadnie się tłumaczyć w mniej lub więcej nieprzyjemny sposób.
Rano zrobił się ruch w wagonie, zauważyłam, że mój kwiat zwiadł,
musiałam mu więc okazać wiele troskliwości i zabiegów, aby odżył,
co mi się ku radości współtowarzyszy podróży częściowo udało.
W Sarnach zeszłam na dworzec na śniadanie, prosząc jednego z ofi-
cerów o opiekę nad moimi rzeczami, z czego się poprawnie wywiązał.

Los i szczęście sprzyjały mi, podróż minęła spokojnie. Pociąg sta-
nął na dawnym dworcu Kowelskim. Wyglądam oknem — spokojnie.
Tragarz wynosi walizki, lecz wychodząc z wagonu, widzę sytuację
zmienioną — wyjście obsadzone żandarmami. Na chwilę serce bić
prze staje, a w głowie budzi się pytanie — a teraz? — Czy szczęście
mnie nie opuści i tutaj? Idę za tragarzem niosącym moje niebez-
pieczne walizy. Zbliżamy się do wyjścia. Żandarm przy drzwiach

nie przepuszcza jakiegoś pana z elegancką walizką, idącego bezpośrednio przed moim tragarzem. Popchnąłem lekko posługacza. Korzystając z chwilowego zwrócenia uwagi żandarma na ową żółtą walizkę, przeszliśmy niezatrzymanym i oto byliśmy poza niebezpieczeństwem! Serce biło mi silnie.

Nie wiem, kiedy znalazłam się w drodze, tylko już płacąc tragarzowi, zobaczyłam jego figlarne i domyślnie spojrzanie i usłyszałam słowa: „ale coś ty pani walizki ciężkie, bo ciężkie do dzwigania, nie było co w nich musi być!”

Zamiast odpowiedzieć rzuciłam dryndziarzowi: — Jedziecie po kawalersku — nie podając od razu dokładnego adresu.

Helena Chelnicza.

FRAGMENTY WSPOMNIEN.

Do Lublina przybyłam w końcu listopada 1914 r.; wysłał mnie tu Tadeusz Żuliński w porozumieniu z Mąką, abym współdziałała z wysłanym w tym samym czasie ob. Andrzejem w tworzeniu Oddziału P. O. W. i przygotowywała grunt dla mającego tu przenieść swoją działalność Oddziału Lotnego.

Jednocześnie wyjechali do Lublina ob. Walek i Florek, mający stosunki pośród robotników. Ja liczyłam na wykorzystanie moich znajomości pomiędzy miejscową inteligencją. Mieszkanie u kuzynów moich, ludzi bogatych, świeżowych i nie budzących żadnych podejrzeń, a przytem szczerych patriotów i mnie bardzo oddanych, stwarzało dla mnie świetną „podstawę operacyjną”.

Wkrótce po przyjeździe do Lublina zaczęłam porozumiewać się z sympatykami ruchu niepodległościowego, których ilość w porównaniu do stosunków warszawskich była dość znaczna. Wiele z pośród nasycicielstwa szkół średnich z dyr. Kuśmickim na czele, kilku adwokatów, lekarzy, dziennikarzy, a nawet księży deklarowało się gorąco dla naszej sprawy.

Zależnie od wyznaczenia, kto jest ideowym, ale obawiającym się konsekwencji sympatykiem (było takich wielu), a kto gotów zadokumentować czynem i ofiarą swoje przekonania, w tajemniczością tych najbardziej oddanych, narazie ostrożnie i ogólnikowo, że na gruncie Lublina i okolic rozpoczyna swą działalność ściśle zakonspirowana organizacja bojowa, na której czele stoją ludzie wyznaczeni przez Józefa Piłsudskiego i że dla pomyślnego rozwoju organizacji konieczne jest współdziałanie społeczeństwa.

Po niejakiem czasie powołano do życia lubelską organizację niepodległościową, jedną z najbardziej zdecydowanych i czynnie popierających akcję P. O. W. i O. L.

Ludzie zamożni, na stanowiskach, nie wahali się udzielać nam swej pomocy, służyli nam swymi stosunkami, mieszkaniem, swym czasem, radą i wiedzą fachową jak np. nieodżałowanej pamięci dr. Paweł Janowski, który, sam nieuleczalnie chory i przeciążony pracą, nie odmówił nam nigdy niczego; prof. Wilczyński, redaktor Jerzy Mączewski¹⁾, pp. Dułgowie i Podgórcy, p. Staniszeńska, Solonowiczowa, Armsteinsowa i ks. Nowosielski.

Znaczne również usługi oddawały nam członkinie z Żenickiego Oddziału P. O. W., który zorganizowałałam w Lublinie w początkach grudnia. Poza wykształceniem, służbą kurierską, wywiadowczą i sanitarną, powiatzki lubelskie wykonywały różne czynności pomocnicze, związane z akcją Oddziału Lotnego. Niektóre z nich jak np. Wanda Podgórska, która prowadziła po wyjeździe ob. Małego laboratorium, oddały bardzo duże usługi.

Zarówno P. O. W. jak i O. L. nie ograniczały się do pracy konspiracyjnej po miastach, ale dążyły do rozszerzenia swych wpływów na prowincję. Chodziło tu nie tylko o stosunki, zapewniające ochronienie składów na amunicję i broń i źródła jej wydestawiania, ale i o werbowanie do szeregów organizacyjnych bardziej uświadomionej ludności wiejskiej.

Wkrótce też po przybyciu do Lublina zadeklarowałam swoją gotowość do zajęcia się również i robotą na prowincji i co tydzień prawie wyruszałam na jeden lub dwa dni na wieś.

Zadanie moje polegało na sprawdzaniu czy ludzie poleceni przez zwolenników naszych z Warszawy i Lublina są naprawdę dostatecznie pewni oraz ideowo bliscy i w jakim stopniu można będzie liczyć na udział ich i pomoc w naszej pracy.

Większość adresów, zwłaszcza zaraniarskich, nie zawodziła. Chłopi zaraniarze witali mnie najczęściej jako zwiastunką dobrej nowiny i, o ile to było możliwe, w danej miejscowości zwoływali zebrania po kilku lub kilkunastu najpewniejszych gospodarzy. Na zebraniach tych wyjaśniałam, jaką jest obecna sytuacja polityczna, na czym polega idea Komendanta zbrojnego czynu, co czynić powinniśmy po tej stronie frontu i co jest naszym prawem i obowiązkiem.

Jeżeli udawało mi się przekonać kogoś i zjednać dla naszej sprawy, umawiałam się, że wróci za mną przyjadą ludzie, którzy to zabo-

¹⁾ Jerzy Mączewski poległ w 1920 r.

jednostkę organizacyjną i umówią się bliżej co do doraźnej pomocy skłonnych z nami współdziałać.

Szukając tak Polski walczącej w sercach ludu lubelskiego, przeszedłszy okolicę Lublina, Lubartowa, Urzędowa, Kraśnika, Chełma, Krasnegostawa i Łącznej, nabierałam wiary, że mimo częstych objawów obojętności, jeszcze trochę czasu, trochę pracy uświadomiałej, a zerwie się ten lud od pługów i w siłę swą zwierzy.

A tymczasem Oddział Lotny zarówno w miastach, jak i po wsiach rozwijał swoją działalność i dzięki współdziałaniu społeczeństwa „lotnicy” mogli ukrywać się, co doprowadzało moskiewską ugrają do bezsilnej wściekłości.

II.

Członkowie Oddziału Lotnego w liczbie 5-ciu wyruszyli wieczorem z Lublina na robotę do Bełża. Walek, zastępca Mikity, uprzedził mnie przed wyjściem, że o ile wszystko powiedzie się dobrze, zgłosi się do mnie na drugi dzień rano, gdyż zaraz mogą być potrzebna.

Tego wieczora nie miałam wyjątkowo żadnego zebrania ani zbiórki, położyłam się więc wcześniej, aby wypocząć po gorączkowej pracy ostatnich dni, ale niepokój o to, co w danej chwili robią moi towarzysze i czy wróca wszyscy, odpędzał sen z powiek. Przemęczywszy się bezsennością całą noc, nad ranem zaczęłam niepokoić się coraz bardziej, ubrałam się więc skoro świt i nasłuchiwałam każdego szmeru na schodach. W pewnej chwili usłyszałam lekkie pukanie do drzwi. Na schodach stał Walek. Był blady z podkrążonymi oczami.

— Mikita ciężko ranny w głowę — przemówił szeptem, — jest w mieszkaniu księdza. — inni są zdrowi. Musicie natychmiast zająć się przewierceniem rannego i sprowadzić mu doktora.

— Mikita ranny! Co oddział pocznie bez niego? pomyślałam, ale uświadomiłam sobie błyskawicznie, że trzeba go ratować.

Po naradzie z moją stryjeczną siostrą i mieszkającą u niej Heleną Szymańską, późniejszą komendantką lubelskiego Oddziału Żeńskiego P. O. W., zdecydowałyśmy, aby Mikity umieścić narazie u nas i dopiero po wizycie doktora zdecydować, co dalej.

Mieszkanie, w którym umieściliśmy Mikity, znajdowało się w kamienicy kuzynów moich i łączyło się z ich mieszkaniem przez kuchenne schody: przeprowadzenie więc Mikity nie było bardzo trudne. Ułożyliśmy go w pokoju Heleny, która, aby upozorować przed służbą, dla czego nie wolno do niej wchodzić, udawała chorą. O ósmej rano byłam już u doktora Jankowskiego, który chociaż sam gorączkujący, obiecał przyjechać natychmiast. Następnie, udałam się na poszukiwanie odpowiedniego schronienia, aby je mieć w rezerwie dla rannego. Ofiarowano mi

kilka mieszkań, z których wybrałam nienitywane jeszcze dla celów konspiracyjnych mieszkanie nauczyciela gimnazjum p. Gackiego.

Na mieście tymczasem już wrzało. W południe zjawily się plakaty, podające rysopisy sprawców zamachu w Belżcu i obiecujące wysokie nagrody pieniężne za ich wykrycie. Na ulicach pełno było żandarmów i agentów tajnej policji. Jak się później dowiedzieliśmy, tegoż dnia przybyli z Warszawy najwytrawniejsi przedstawiciele ochrony, aby prowadzić pościg. Co więcej, mieli oni w ręku corpus delicti, t. j. zakrwawioną czapkę Mikity.

Gdy w parę godzin po tem wracałam do domu, zastałam już naszą kamienicę obstawioną ze wszystkich stron szpiegami. Z przerażeniem też spostrzegłam, że nawprost mnie, wążąc nadokoło, biegnie pies policyjny.

— Szuka śladów — przemknęło mi przez głowę. W tej samej chwili pies rzucił się na mnie, opierając swe wielkie łapy na mych ramionach. Opanowawszy całą siłą woli ogarniającą mnie przerażenie, cmoknęłam zachęcająco i zdrętwiałą ręką pogłodziłam zwierzę. Pies spojrzał mi w oczy swym mądrym spojrzeniem, zaskomlał cicho i — opuścił łapy. — Dał się nabrać poczucie polsko, pomyślałam uradowana, ale jeszcze niepewna, czy w tej chwili nie rzuci się na mnie szpicie. Po-deszłam jednak spokojnie do wystawy sklepowej. Czulałam na sobie złe i badawcze spojrzenia, ale moja niewinna mina wybawiła mnie z opresji. Stosując jednak wszelkie ostrożności, nie weszłam od razu do domu, a poszłam na miasto, aby załatwić kilka błahych, zgłębi mi niepotrzebnych sprawunków.

Zupełnie utwierdzona w postanowieniu, że Mikity trzeba z tego domu jak najprędzej usunąć, zwłaszcza, że i doktor na to pozwolił, wzięłam się szybko do przygotowań. Gdy zaczęło się zmierzchać, po wyprawieniu służby z domu, przy pomocy Heleny przebrałam Mikity za starą babunię i, wzięwszy go pod rękę, wprowadziłam do czekającej na dole dorożki. Mikita przygarbił się i nawpół przytomny z gorączki i bólu zaciskał zęby, aby nie jęczać. Ale zato szpicie stojący wciąż jeszcze na rogu ulicy patrzyli na nas obojętnie, nie domyślając się niczego. Do mieszkania p. p. G. dojechalśmy szczęśliwie; z trudem wprowadziłam Mikity po ciemnych i krętych schodach: osłabł już zupełnie i ciężko zwisał na mem ramieniu. Po kilku dniach, kiedy uczuł się lepiej, przewiozłam go znów do innego mieszkania — bezpieczniej bowiem było ciągle zacierać ślad po sobie. Pod troskliwą opieką zacnej pani Puternickiej, Mikita szybko dochodził do zdrowia i już w tydzień później zaczął mi wyjawiać miejsce swego ukrycia i zwołał na odprawę członków Oddziału Lotnego, aby omówić plan nowej akcji, polegającej na wywieszeniu mostu kolejowego.

Widziałem obywateli, którzy w III. roku życia i w III. roku życia...

Kazano mi przeprowadzić wywiad na linii nowowytbudowanej woj-skowej kolejki Lublin — Rozwadow, która była ważną arterją komu-nikacyjną dla frontu galicyjskiego. Chodziło też o przygotowanie sto-sunków w okolicach, przez które kolej przechodziła. Tym razem nie poszłam pieszo, ponieważ chodziło o wywiad na samej kolei. Kole-jarz, jeden z członków naszej organizacji, uprosił maszynistę, któ-remu przedstawił mnie jako swoją siostrę i który po pewnem waha-niu zgodził się na przewieszenie mnie w parowozie. Gdy pociąg ruszył, maszynista położył mnie na ławkę tuż koło siebie i bawił rozmową. Opowiadał mi wtedy wiele interesujących rzeczy, doty-czących rozkładu pociągów, obsługi kolejowej, jakości i ilości prze-wożonych materiałów wojennych, transportów wojska i t. p. Wia-domości te sprawdzałam raz jeszcze i dopełniałam w powrotnej drodze z Kraśnika do Lublina, jadąc w „tęphusze“, do której udało mi się dostać, dzięki staraniom miejscowych obywateli.

Gdyśmy dojeżdżali do Urzędowa, zaczęło się już ściemniać: w oko-licy Urzędowa wypadł pierwszy etap mojej podróży, majątek p.p. W., adres których otrzymałam w Lublinie. Przed maszynistą jednak nie zdradziłam się, dokąd idę, — sądził, że do Urzędowa, odległego o parę kilometrów od toru, w tej myśli w pewnem miejscu zwolnił bieg pociągu, abym mogła niepostrzeżenie wyskoczyć. Datak przyjął z zadowoleniem.

Znalazłam się sama wśród zamiecionych pól; ze wschodu dął wiatr ze śniegiem, a niebo zasnułe chmurami zwiastowało zbliżającą się zadyłkę. Rozgrzana w parowozie, odczułam przykro kalkunastostop-niowy mróz. Uprzytomniwszy sobie w jakim kierunku powinien znaj-dować się majątek p.p. W., zaczęłam się przedzierać przez zasypy śnieżne. Jak długo tak szłam, nie zdawałam sobie sprawy, sądzę, że trwało to około dwóch godzin. Odczuwałam wielkie zmęczenie, do-myślać się też zaczęłam, że prawdopodobnie zmyliłam drogę. Z ra-dością więc dopadłam do napoitanego stołu siana, wymościłam sobie w niem „gniazdko“, żeby się uchronić przed mroźnym wiatrem i za-snąłam. Obudziłam się, gdy już świtało. Doprowadziwszy ubranie do porządku i przemywszy oczy śniegiem, poszłam w kierunku chat widniejących wдали. Na skraju pobliskiej wsi, od baby, która sprze-dała mi mleka i kromkę chleba, dowiedziałam się, że wieś do której zmierzam, leży o pięć kilometrów stąd.

Po dwóch godzinach marszu — szłam wolno wskutek zadyłki śnieżnej — dotarłam tam wreszcie i skierowałam się wprost do dworu. Rodzinę pani W. zastałam przy śniadaniu. Wejście moje wy-

wolało konsternację, a przyznać muszę, że i ja również zmieszczałam się trochę. Sądziłam bowiem, iż zaprowadzą mnie do pokoju, w którym zastanę tylko panią domu o widzenie się z którą prosiłam, w siołowym zaś było kilkoro dzieci, nauczycielka, rzadca i pani W.

Przebiegając z nią i jej najstarszym synem do sąsiedniego pokoju, wyjaśniłam, z czego przybrymam polecenia i w jakim celu. Pani W. była trochę zakoczona, wyraziła jednak swe uznanie dla Piłsudskiego, co więcej, powiedziała, że gdy Legiony przyjdą tutaj, to pierwsza wyśle syna do ich szeregów. Teraz jednakże do pracy konspiracyjnej przystąpić nie może, gdyż na udział miejscowego ziemiaństwa nie liczy zupełnie, a chłopów zna niewiele. Jedynie może obiecać punkt oparcia w swoim domu dla przejeżdżnych instruktorów oraz w razie potrzeby konie. Młodzieniec, obecny przy tej rozmowie, nie odzywał się zupełnie, ale, gdy wychodziłam ze dworu, spytał mnie niepostrzeżenie o mój adres w Lublinie. W kilka dni później zjawił się u mnie i wstąpił do Oddziału Lotnego.

Do Urzędowa odesłano mnie końmi, tu odnalazłam z łatwością jedną z powiasek, nauczycielką ze szkoły ludowej. Niewiasta ucieczyła się bardzo, powiedziała, że przygotowała wszystko na mój przyjazd i zawracała zaraz jednego z najpoważniejszych zaraniarzy.

Po krótkiej naradzie i ustaleniu listy mających uczestniczyć w zebraniu, oznaczylismy je na wieczór, a tymczasem zaprosiłam się bez ceremonii do łóżka mej powiaseczki, aby wypocząć do wieczora.

Zebrańie zwołano w nocy do lokalu szkolnego ze względu na sporą ilość obecnych. Jak dziś, widzę przed sobą gorejące oczy słuchaczy, wpatrzone we mnie, i mocne pięści, zaciskające się szlowego, jakby już chwyciły karabin i zaciskały się na wroga, lecz widzę także i pesymistów, co wówczas smętnie kiwali głowami. Mówili oni: „Chłopaków to jest, ale karabinków mało, a harnat wcale niema, a i narodu tyła za ruskim trzyma; niebezpieczna rzecz, niebezpieczna dzisiaj coś zaczynać”...

W rezultacie przy końcu zebrania wielu z podród obecnych wyraziło natychmiastową gotowość wstąpienia do szeregu tajnej organizacji wojskowej i współdziałania z ruchem niepodległościowym. Umówiwszy się co do przyjazdu instruktora P. O. W. i zostawiając szereg broszur i odezw agitacyjnych, wyruszyłam rano w stronę Kraśnika do jednego z księży, którego adres wskazano mi w Urzędowie, by z księdzem tym, znanym z wrogiego stosunku do Moskali, nawiązać kontakt ściślejszy.

Księżyna, starszeżek siwuteczki, przyjął mnie opryskliwie i wzruszył ramionami, mówiąc: „Czego panna się włóczy? no, ale proszę powiedzieć czego chce”. Nie zrażałam się tem przyjęciem, bo czułam, że ta obojętność zewnętrzna jest tylko pozorem i zaczęłam mówić śmiało

o celu mego przybycia. W miarę słów moich w oczach księdza zapalały się błyski, zapadłe policzki nabierały ognia. Wielkimi krokami przemierzał on pokój, ustawicznie chrząkając i odierając czoło wielką czerwona chustką. Nie patrzył na mnie, ale i nie przerywał. Gdy umilkłam, podszedł, uderzył mnie po ramieniu i zawołał: „A toś mi, córko, wielkie rzeczy powiedział!” A potem wziął mnie zaraz za rękę i zaprowadził za sobą na strych, robiąc przytem tajemniczą minę i kładąc palec na ustach. Za słosem pustych skrzyń w słonie ujrzałam stos karabinów.

— To na was czeka. Zbierałem po Austriakach, wykupywałem przez oddanych mi chłopów od żołnierzy rosyjskich. Tak ze czterdziści sztuk się tego zbierało, a patrz, jak się świecą; sam ciągle je czyścisz, aby nie podżewiały. Niechaj przychodzą chłopcy i biorą, a kulki też się znajdują. — Nakarmiwszy mnie, zapatrzył mnie w list polecający do księdza w Krasniku. Później przeprowadził mnie przez wieś aż do gołębica.

Ucisnąwszy serdecznie dłoń staruszka, ruszyłam przed siebie rżną, aby przed nocą jeszcze zdążyć do Krasnika. Uszedłszy jednak kilkudziesiąt kroków, obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że na rozstajnych drogach stał wciąż jeszcze ksiądz, którego czarna sylweta odcinała się wyraźnie na tle błyszczącego śniegu.

Patrzył się w moją stronę i widziałam zdala, jak kreślił w powietrzu znak krzyża.

...wobec wojny bałkańskiej latem roku 1912 był tym bodźcem, który wywołał wzmożenie przygotowań wojennych w całej Europie. Pod wpływem tego bodźca ożywił się również i skrytalizował polski ruch wojskowy. Jednym z ogniw tej wzmożonej podówczas działalności było założenie Ligi Kobiet — dokonane częściowo także pod wpływem wiadomości o podobnych organizacjach kobiecych, zapoczątkowanych w Anglii i Francji.

Ligę Kobiet Pogotowia Wojennego zawiano w Warszawie w kwietniu, 1913 roku.

W pierwszych miesiącach zajmowały się głównie urządzaniem zebrań, t. zw. orientacyjnych, których zadaniem było zespolenie rozproszonych niepodległościowców i oddziaływanie na opinię w kierunku zainteresowania się ideą walki zbrojnej o niepodległość. Nieco później przystąpiliśmy do bardziej konkretnych zadań, zgodnie ze statutem Ligi.

Zobrazowanie tej działalności za czas od kwietnia 1913 r. do sierpnia 1914 r. jest jednak sprawą dosyć trudną.

W okresie tym społeczeństwo polskie w Królestwie z małemi wyjątkami było bądź moskalofilijskie, bądź neutralne. Idea walki zbrojnej z Rosją budziła poważne przesądy, a oddźwięk lub entuzjazm znajdowała w kołach bardzo ciasnych. To też praca Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego opierała się na garstce kobiet, pracujących z istotnem poświęceniem.

Zadaniem Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego w myśl pierwotnego brzmienia jej statutu było współdziałanie z ruchem zbrojnym, na którego czele stał Komendant, przez otaczanie opieką moralną i materialną tworzących się jednostek bojowych oraz przez szerzenie

wśród społeczeństwa polskiego ideologii niepodległościowej. Prace te niezmiernie były utrudnione wskutek niechęci ogółu i konieczności zachowywania wobec władz rosyjskich jak najciszej konspiracji, to też ich wynik wydawać się może nikły, kiedy mimowoli zestawiamy je z rozmiarami potrzeb i zadań, stojących przed nami.

Przytem praca nasza była pozbawiona tych momentów bohaterских, w jakich obfitują wspomnienia członkiń Oddziału Lotnego i P. O. W. z powodu charakteru Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego.

Będąc organizacją międzypartyjną, niezależną od pokrewnych ugrupowań politycznych, Liga wymagała od swoich członkiń jedynie uznania konieczności walki zbrojnej o niepodległość, a przyjmując członkinie bez różnicy przekonań partyjnych, społecznych i religijnych, mogła stać się grupą dość luźnie związana.

Nasrót, który cechował Ligę, doskonale odtwarza list, który na prośbę o skreślenie swych wspomnień nadesłała mi b. członkini Ligi, p. Zofja Kozłowska. List ten pozwałam sobie w całości przytoczyć poniżej.

„Jako członkini Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego współdziałałam w następujących działach: 1) dostarczanie lokali na zebrania konspiracyjne; 2) ukrywanie, meldowanie i lokowanie nielegalnych ludzi; 3) gromadzenie odzieży i przebiieranie osób skompromitowanych wobec władz; 4) gromadzenie zapasów do punktów żywnościowych Związku Strzeleckiego, organizowanych przed wejściem wojska niemieckiego; 5) wyżywienie bataljonu warszawskiego przed jego wymarszem na front.

Z tych prac Ligi załączam trochę szczegółów.

W dziale propagandy i przygotowań sanitarnych brałam tylko pośredni udział. Dostarczałam lokali na zebrania informacyjne dla 20—40 osób; o lokale takie, z powodu obawy przed władzami, było bardzo trudno. Na żądanie P. O. W. wyszukiwałam odpowiednie mieszkania na zbiórki, posiedzenia Komendy, wykłady wojskowe i t. p.

Pierwszą pracą z zakresu gospodarczego, z którą się zetknęłam, było przygotowanie ekwipunku dla 20 strzelców, jadących z Królestwa do Krakowa na wojskowe ćwiczenia. Ekwipunek składał się z sienników, koców i bielizny.

Liga miała kilka punktów, gdzie gromadzone były zapasy bielizny, plecaków i t. p. U mnie znajdował się skład bielizny i odzieży, przeznaczony dla ukrywających się członków organizacji niepodległościowych. Liga zbierała stare rosyjskie paszporty, które dostarczałam Komendzie P. O. W. Wyprane chemicznie i odpowiednio wypeł-

nione pozwalały one meldować nielegalne jednostki. Do czasu przygotowania fałszywych dokumentów i zameldowania ukrywających się ludzi, dawano im chwilowe schronienie w domach prywatnych lub w gospodzie dla bezdomnych. Miałam w tym czasie pod swoją opieką ukrywającego się żołnierza-legjonistę, umieszczanego „legalnie” w szpitalu św. Ducha, który wymaszerował później z bataljonom warszawskim. Miał on lat 16.

Na żądanie Komendy P. O. W. Liga zgromadziła większą ilość żywności: maki, kaszy, cukru, herbaty i t. p. Zapasy te były zebrane do kilku punktów (zdaje się 10-ciu), zorganizowanych w celu ukrywania tam młodzieży przed ewentualnem wywiezieniem do Rosji w dniach ewakuacji.

Bataljon warszawski — to nasze ukochane dziecko. Wprowadziło do dostarczenia czapek, mundurów, bluz i t. p. dopomagał Lidze związany w pierwszych dniach sierpnia 1915 r. przez organizację niepodległościową Komitet Gospodarczy, ale wewnętrzna gospodarka w koszarach oraz wyżywienie 300 ludzi, to sprawa „ligawek” i członków P. O. W.

Myliśmy i szorowaliśmy okna i ściany w opuszczonym przy ewakuacji niesłychanie brudnym gmachu rosyjskiej fabryki obuwia na Powiślu, by go zamienić na koszary dla chłopców. Biegaliśmy z workami od piekarni do piekarni, od sklepiku do sklepika i dzwigałaliśmy chleb. O g. 4 — 5-tej rano wystawaliśmy w halach i na rogatkach, by zdobyć worek kapusty. Trwało to przez parę tygodni, a 300 ludzi musiało 3 razy dziennie otrzymać jedzenie. Panie same przygotowywały posiłki, a nawet piekły chleb.

Niektóre nasze członkinie przechowywały broń, u nas przechowywano zwykle zapasy amunicji, ale danych ilościowych i bliższych szczegółów podać nie mogę.

Wiem również, że p. St. jako nasza członkini weszła do Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny i tam uzyskała fundusze i otworzyła dom dla chłopców na Powiślu, gdzie się odbywały formalne ćwiczenia wojskowe, wykłady, agitacyjne zebrania dla rodziców zgromadzonych tam chłopców i t. d. i t. d., ale szczegółów tej nadzwyczajnej roboty nie mam.

Powyższe wspomnienia moje są tylko zadokumentowaniem naszych wysiłków, naszego, że się tak wyrażę, „rozbijania głową muru”.

Nie łącząc się z podręcznymi organizacjami niepodległościowymi, Liga Kobiet utrzymywała stale bliski z nimi kontakt. Już jak wspominałam, w ciągu r. 1913 Liga zorganizowała kilka zebrań dyskusyjnych

w celu szerzenia idei konieczności walki zbrojnej z Rosją, a w ciągu lat 1914 i 1915 zebrań takich odbyło się kilkadziesiąt, przytem odbyły wygłoszani tak nielegalni w Warszawie wysłannicy Komendanta jak i przedstawiciele miejscowych grup niepodległościowych. Jednocześnie członkinie Ligi prowadziły dla szerszych kół wykłady z historii polskiej. Liga subwydawała pisma nielegalnie: „Wici”, „Głos Wolny”, „W Przedejściu”; wydała odezwę „do matek Polek” z racji werbunku do drużyn Gorczyńskiego, podjęła wydawnictwo bezpartyjnego organu ludowego: „Sprawa Polska”. Wreszcie do zakresu działania sekcji agitacyjnych należał kolportaż poezji patriotycznych, kart, fotografii i t. p.

Po wybuchu wojny w r. 1914 początkowo dość żywo pracowała sekcja sanitarna warszawskiego koła Ligi Kobiet. W oczekiwaniu nadejścia lada chwila Legionów Liga organizowała oddziały sanitariuszek, wykształconych teoretycznie i praktycznie, gromadziła opatrunki polowe, szarpie, bandaż i t. p. Ale wobec przeciągania się wojny i konieczności korzystania ze szpitali rosyjskich wkrótce działalność tę przerwano.

Na zakończenie pozwolę sobie wyrazić żal, że nie mogę podać listy członkin Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, nie mogłabym bowiem ustalić listy kompletnej. Wspomnę tylko, że inicjatorką Ligi była p. Iza Moszczeńska. Do założycielek i pierwszych członkin Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego należały: p. p. Ceyssingerówna Helena, Grotowska Helena, Marcinowska Jadwiga, Moszczeńska Iza, Sujkowska Helena, Nieniewska Janina, Nieniewska Halina, Dąbrowska Maria i ja. W chwili wymarszu batalionu warszawskiego koła Ligi Kobiet P. W. liczyło 100 członkin, a we dwa lata później na zjeździe Ligi przedstawicielki 176 kół na terenie b. Królestwa Polskiego reprezentowały około 2000 członkin, należących do sfer inteligentkich, mieszczańskich i włościańskich.

Z PRACY STRONNICTW NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH.

Konstancja Jaworska (Jadziuga).

P. P. S. W AKCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ.

Wojna europejska zastała nas — starą P. P. S. przygotowanymi psychicznie. Hasło niepodległości, będące na pierwszym miejscu programu Polskiej Partii Socjalistycznej — według przewidywań naszych przywódców, stało się możliwe do zrealizowania z powodu wojny o wiele wcześniej, aniżeli stałoby się to mogło w innych warunkach. To też na długo przed tem działalność nasza w szeregach partyjnych „nastawiona” była na roboty niepodległościowe, co znalazło wyraz w stworzeniu Związku Walki Czynnej przez głównego wodza P. P. S. i późniejszego Komendanta Związków Strzeleckich Józefa Piłsudskiego oraz w podjęciu szeregu innych prac przygotowawczych do walki o niepodległość. Stworzono również wkrótce z inicjatywy Józefa Piłsudskiego przy udziale członków P. P. S. Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych dla rozszerzenia działalności przygotowawczej do walki o niepodległość.

Praca nasza na terenie b. Królestwa była bardzo intensywna i trudna, a i wyniki jej były zawsze pod znakiem zapytania, z powodu niesłychanie ciężkich warunków politycznych, które stwarzała niewola rosyjska.

Władome jest powszechnie, że robota nasza rwała się stale wskutek ciągłych aresztowań. Dlatego też największe i najszlachetniejsze wysiłki towarzyszy dawały o wiele mniejsze rezultaty, aniżeli należałoby się tego spodziewać. Z każdą pracą musieliśmy się ukrywać nie tylko przed policją, ale nawet przed swoimi w obawie, by przez nieostrożność lub niezrozumienie sprawy nie narazić organizacji na zniszczenie. Wszystko robiło się w małych, bo po 10 do 15 osób liczących kółkach; oddziaływało się na robotników i robotnice po fabrykach

i warsztatach. Członkowie kółek nieśli żywe słowo lub odezwy czy pisma między swych kolegów i tak wązłutkimi strumykami rozszerzała się idea Polski Niepodległej w szeregach mas robotniczych.

Forma organizacji była wówczas mniej demokratyczna, aniżeli dzisiaj. „Mętownie zaufania” byli przedstawicielami kółek i stanowili komitety dzielnicowe. Delegaci zaś komitetów dzielnicowych tworzyli t. zw. Warszawski Komitet Robotniczy Polskiej Partii Socjalistycznej i byli przedstawicielami całej warszawskiej roboty. Z ramienia wyższych władz partyjnych prowadzili oni całą robotę w dzielnicach i w okręgach, a więc ćwiczenia, wykłady, a czasami i większe zebrania. Wszyscy ci kierownicy kółek i komitetów byli przeważnie mianowani i funkcje ich były zakonspirowane. Każdy wiedział to tylko, co musiał wiedzieć i nic więcej. Nikt nie używał swojego imienia, ani nazwiska, wszyscy mieliśmy pseudonimy; nikt nie mówił kim jest i gdzie mieszka. Nawet członkowie kółek, o ile nie byli z tej samej fabryki, nie znali się między sobą, a organizowani byli przez „męża zaufania” i sprowadzani na miejsce zebrań dla omówienia spraw organizacyjnych i wysłuchania wykładu.

Ten system organizacji nie pozwalał na szybki jej rozwój, ale zapewniał choć jakieś takie bezpieczeństwo i chronił od rozbięcia większe ogniska roboty partyjnej.

W przededniu wojny nawet ta forma organizacji nie była dość bezpieczna, to też zamast komitetów dzielnicowych i W. K. R. łącznikami byli tylko niektórzy, zupełnie znani i pewni ludzie.

W chwili wybuchu organizacja warszawska nie była zbyt liczna, ale składała się z zupełnie pewnych i oddanych sprawie ludzi i miała duży wpływ moralny na masy robotnicze Warszawy.

W ostatnich dniach lipca 1914 r. najwybitniejsi pepercowski znaleźli się na konferencji partyjnej w Krakowie, gdzie ich zaskoczyła wojna, a ponieważ wszyscy prawie byli członkami Strzelca — wszyscy więc wstąpili do szeregów, aby z bronią w ręku wejść do wyzwolonej stolicy.

Marzyliśmy o tem, że to się stanie prędko, że już za parę dni — może spotkamy się w Warszawie. Belina twierdził nawet, że wkrótce mazura tańczyć będzie na Zamku.

Rzeczywistość zawiadła nadejście. — Długa, niezmiernie męcząca i krwawa droga wiedź nas miała od Związków Strzeleckich poprzez Legjony do wyzwolonej Warszawy.

Niektórzy z naszych dojeżdżać nie zdołali — część ich pamięci! — Inni — do dnia dzisiejszego służą w wojsku polskiem, inni jeszcze trwają na dawnej placówce pepercowskiej, dzierżąc sztandar starej P. P. S.

Po wybuchu wojny wysłano mnie do Warszawy. Niełatwo do niej było dotrzeć.

Wojsko niemieckie szło naprzód, zdawało się, że nie będzie można go wyprzedzić. Dojechałam jednak, ale znacznie później, niż tego pragnęłam. Przed przyjazdem, jeszcze w Radomiu, otrzymałam dodatkowe polecenia, dane mi przez ob. Józefa — Kazimierza Sosnkowskiego, które były uzupełnieniem instrukcji otrzymanych poprzednio. Jednocześnie ze mną, innemi drogami, wysłany był do Warszawy dla objęcia Komendy P. O. W. tow. i ppor. Tadeusz Żuliński.

Jakże mi do Warszawy było pilno! Chodziło bowiem o przygotowanie organizacji na gruncie P. P. S., która wytworzyła taki stan po tej stronie frontu, iżby się ziemia paliła pod stopami Moskali. Chodziło też o wytworzenie dla władz rosyjskich i rosyjskiego wojska stanu ciągłego niepokoju. To było, zdaje się, myślą Komendanta.

Każdy z nas, nielicznych jeszcze podówczas, pragnął tego także. Sądziliśmy, iż gdyby udało się nam taki stan rzeczy wytworzyć, to wówczas mniejsza byłaby krwawica naszych Legionów i bliższa chwila zwycięstwa naszej idei. — Moskal czułby się źle i prędkiej porzuciłby ziemię naszą, jako niewygodną placówką operacji wojennych. Niemiec też nie czułby się na naszej ziemi tak pewnym siebie i musiałby się inaczej ułożyć stosunek jego do Legionów i sprawy polskiej.

Warszawa nie wierzyła i nie rozumiała, iż przyszła chwila walki o wolność! Niewola zabila wolną myśl i wolny czyn, stłumiła w społeczeństwie marzenie o wolnej Polsce.

Zostałam w Warszawie orientacją i. zw. rosyjską, przeciwwstawianą orientacji „niemieckiej”.

W gruncie rzeczy sprawa tych orientacji była tylko nieporozumieniem. Ani jedna, ani druga z nich nie tkwiła bowiem głęboko. Było to coś innego — była to bierność.

Niezmiernie trudne nam powierzono zadanie. Żuliński, robił co mógł, w danych warunkach; tworzył lotne oddziały, organizował P. O. W. Czyniliśmy wszyscy, co się dało, by wytworzyć atmosferę walki o niepodległość w stolicy, na którą patrzyła cała Polska po obu stronach frontu.

Robili też, co mogły wszystkie organizacje niepodległościowe. Szło jednak ciężko. A i w naszych kołach partyjnych, wskutek nienawiści do Niemców były pewne trudności, lecz trwało to krótko i pracowaliśmy już jednomyślnie, wydając w tym czasie mnóstwo odezw oraz pismo P. P. S. „Do Czynu”.

Kurjerki i Brygady przywoziły nam często instrukcje od centralnych władz partyjnych, znajdujących się w zagłębiu, oraz biblię i artykuły dla naszych pism z tamtej strony frontu.

Widoczne się już stało dla Warszawy, że P. P. S. istnieje i choć jest zwalczana, mocno dzięty sztandar niepodległości.

W tym czasie oprócz udziału w lotnych oddziałach, w pracy wydawniczej i organizacyjnej — niektórzy nasi towarzysze dostarczali Oddziałowi Wywiadowczemu i Brygadzie cennych wiadomości o ruchu wojska rosyjskiego. Wiadomości te miały, podobno, duże znaczenie strategiczne.

Nakoniec przyszła chwila, kiedy Moskale cofnęli się. Wojsko niemieckie zbliżyło się ku Warszawie.

Żuliński nawiązał ściślejszy kontakt z Komendantem. Oczekiwaliśmy w Warszawie naszego wojska.

Czekaliśmy chwili jego nadejścia z utęsknieniem, wierząc, iż zmieni ono usposobienie Warszawy. Nastroj wśród mas robotniczych osiągnął pewne napięcie. Mieliśmy poprowadzić Warszawę robotniczą za ręką — wszystkie kółła były upogotowiu. Poszłyby masy, aby powitać i triumfalnie wprowadzić do stolicy — swoich.

Miały was, legjoniści, przywitać czerwone sztandary, robotnik was oczekiwał i już kochał. Robotnik Warszawy chciał powitać Komendanta i wojsko polskie.

Można sobie wyobrazić nasz zawód i smutek, kiedy dowiedzieliśmy się, że Legjony nie wejdą do Warszawy.

Robotnicza Warszawa powitała jednak Komendanta!

Pamiętam dobrze dzień 16 sierpnia 1915 r. — plac Zielony — Hotel Francuski, a w nim — Komendant.

Było to zdaje się, w poniedziałek. W wilgą dnia tego odbywała się w lokalu partyjnym na ulicy Bedaarskiej konferencja, w której brało udział kilkudziesięciu robotników i paru przywódców. Po południu wpadł ob. Artur Śliwiński, by nas zawiadomić, iż Komendant jest już w Warszawie. Zaroilo się wśród uczestników zebrania! Jakby ktoś lont zapalił. Momentalnie, bez dyskusji, bez narady rozbiegli się towarzysze, aby w dzielnicach amobilizować szereg. A kiedy wrócili do biura, mieli już gotową wydrukowaną ulotkę, wzywającą masy do manifestacji na cześć Józefa Piłsudskiego i jego wojska. Ulotkę rozrzucono po fabrykach. Naza jutrz mieliśmy pod hotelem na placu Zielonym tłumy.

Czekaliśmy na ukazanie się Komendanta. Czekali robotnicy słowa od Niego. A gdy nas zawiadomiono, że Piłsudski nie może się pokazać, huknął na znak protestu śpiew czerwony, rozwinięto sztandary i ku zdumieniu wrogów, którzy nie śmieli nas atakować, ruszył olbrzymi pochód ku Alejom. Czy pamiętacie?

Przed Komunistami.

WSPOMNIENIA Z CZASÓW „ZARANIA”.

Mam rzucić garść osobistych wspomnień o tych latach niedawnych, od których dzielą nas już tak odległe rozlegi przebyte walki i dokonane pracy.

Moment wybuchu światowej zawieruchy. Stałam wtedy przy ognisku, przy którym skupiały się i uświadamiały sobie własną treść budzące się siły polskiego ludu, gnębionego przez wieki, najpierw rodzimą, potem obcą niewolą. Skupiały się przy tem ognisku i rosły siły ludzkiego pragnienia i rwały w przyszłość poprzez żandarmską przemoc, poprzez wrogość światowych uprzedzeń i interesów, poprzez tamy ciemnoty i nędzy.

Po wstrząsie 1905 roku powstało w Warszawie pismo ludowe „Zaranie”, wnet potem organizacja społeczno-gospodarcza p. n. „Kółka Rolnicze im. Staszycza”. Były to warsztaty samodzielnej myśli i dążeń chłopu polskiego na ziemiach polskich, zajętych przez Moskali. Z pośród ludzi zasobnych w dorobek kulturalnego doświadczenia, nierzadko tylko jednostki porwała wiarą w twórczą potęgę, idącą od ziemi i od tej masy ludzkiej w pracy z ziemią żyjącej. Przeciwnko chłopskiemu ruchowi zaraniarskiemu stały władze zabórcze z bronią konfliktu i więzienia. A ruch się wzmacniał i rósł. Dużą rolę odgrywały stworzone wysiłkiem jednostek ogniska, jak: Pęcznieszin, Kruszynek, Sokółówek, Krasienin, — dające swym młodym wychowankom choć pierwotną brzoń do walki, którą oni tak ochotnie podejmowali.

Że zdobyte własnym wysiłkiem niepodległości Polski było żywiołowym pragnieniem, szukającej swych dróg zbudzonej duszy ludowej — to stwierdzić muszę z całą ścisłością — jako towarzyszylnia tych wszystkich zmagani i wysiłków. Jako dowód zaś, że nie tylko poczucie gotowości do walki o wolność, ale nawet wieszczce przewidy-

wanie rychłego momentu dziejowego istniało wówczas w duszach najlepszych synów ludu — niech służy przytoczony poniżej ustęp przemówienia, wygłoszonego w r. 1912 w dniu zakończenia roku szkolnego na kursach robotniczych w Sokółku przez jednego z uczniów, Podlasiaka, Kajetana Sawczuka:

„My, wolne duchy, jak żywiołu siła
Wydziernać duszy idziemy zgniliznę,
Wlewać moc życia, rwać ugory żywe,
Dźwigać do życia, co, gniecie mogiła,
Ołbrzyna budzić — co uśpiony leży.
Idziemy tajnych zwoływać rycerzy.”

Wydany zbiorek pieśni tego młodego poety ludowego uległ konfiskacie. Władze moskiewskie odebrały snąc budzącą się siłę, której one były wyrazem. W tym samym czasie skonfiskowano moją pracę, drukowaną w „Zaraniu”, a potem wydaną w odbicie: „O Weselu Wyspiańskiego”, zasądzając mi na półtora roku twierdzy. Praca ta, wydana potem we Lwowie, minła kilka nakładów i to jej rozpowszechnienie wśród chłopów było dowodem, że „Słowo” Wyspiańskiego trafiło do zbudzonej duszy chłopskiej w onym napłyty bezwiednym nastroju oczekiwania dziejowego momentu.

Większość Związku Walki Czynnej dochodzi do tych sfer na krótko przed wojną. Tworzą się sieci podziemnego porozumienia. Redakcja „Zarania”, zaciszny zakątek, wcisnięty między stare mury za katedrą św. Jana, na Kanonji, staje się ogniskiem bardzo żywego ruchu organizacyjnego. Z pośród młodzieży zaraniarskiej znaczna liczba uchyliła się od poboru, przekradając się przy pomocy gospodarzy tej samej wiary, mieszkających w pasie granicznym — do Małopolski. Na Kanonji piwnica jest wciąż pełna zamiennej garderoby i zrzuconych żołdeckich szyneli. A gdy jeden lokal nie starcza, mamy do użytku jeszcze mieszkanie prywatne na ul. Hotej; i tam żywo idą chemiczne kombinacje paszportowe. Tę pracownię prowadzi przez dłuższy czas ów poeta chłopski Sawczuk, czynny w ruchu wyzwoleniczym — aż do zgonu.

O ówczesnej podziemnej chłopskiej robocie niepodległościowej dużo powiedziećby mogła ob. „Jadwiga”, która utrzymywała stałą łączność między temi ogniwami roboty, a P. P. S. i zakordonową centralą całego ruchu.

W ciągu całego roku 1914 wydawane było i rozpowszechniane przez zaraniarzy tajne pismo p. t.: „Na ziemi naszej”. O treści tego wy-

dawnictwa dać może pojęcie następujący ustęp, przytoczony z pierwszego numeru:

„Wolność Narodu — to wielka rzecz, to jego siła, jego szczęście i dobrobyt. Każdy poszczególny człowiek w takim narodzie jest szczęśliwy. — Aż się pewno boisz pomyśleć o tem, żeby wolność Narodu Polskiego zdobyć. Jak ją zdobyć? Kiedy i czem? Tu Moskał, tu Prusak, tam Austriak na pierś Polaka siedzi i pazurami go dusi. Jakże się z pod nich wydobyć? Boisz się o tem pomyśleć.

A jakis tam Serb, Bułgar albo Albanczyk nie boi się o tem pomyśleć, bo w duszy jego grał duch wolności i pragnienie jej!

A ty, bracie, boisz się jego nawet dotknąć, gdy się wrogowie narodu twego za tby wzięli?...

Boją się oni dla siebie, dla swojej potęgi, dlatego, by mieli potem siłę dusić: Moskał swoich, Prusak swoich.

Nam trzeba o swojej sile myśleć i o swojej wolności, by nikt nam nie dusił i nie wyrębskiwał.

W Belgji teraz wszyscy stanęli do boju: mężczyźni z bronią, w rękę w szeregiach swoich własnych, a kobiety, starcy i dzieci rwąc i niszcząc wszędzie wroga.

Czy wybiła dla nas po temu godzina? Jeszcze niezupełnie. Ale ona tuż, może już blisko. Gotowymi być. Na straż stać. Gdy wrogi za tby się wzięli, nam o zdobyciu wolności swej myśleć i ku niej iść, dla niej się uświadamiać — jednoczyć.

Podły Prusak, nie lepazy Moskał, nie wierzyć im. Swoje myśleć, do swojego się zrywać. Nadchodzi bodaż wielkiej wagi czas dla Narodu Polskiego”.

Ostatni numer naszego pisma ukazał się pod tytułem: „Już blisko”. Był on ostatni dlatego, że ci, co go przygotowywali i rozpowszechniali, znaleźli się w więzieniu.

Objawem zdecydowanej opinji zaraniarskiego środowiska był ogłoszony w grudniu 1914 r. protest, z powodu wiernopoddanej postawy Komitetu Narodowego wobec caratu. Protest ten był skondiskowany przez cenzurę rosyjską w Warszawie i ogłoszony potem we Lwowie. Podpisało go kilkudziesięciu gospodarzy ze wszystkich okolic b. Kongresówki. Większość z nich była wnet potem aresztowana.

Gdy sięgam myślą w tamtą dziejową chwilę, nasuwają mi się drobne wspomnienia o objawach żywego współczucia z podziemną falą, co szła krajem, ze strony kobiet wiejskich. Widzę te postacie dzielnych matek, wyprawiających bez wahania synów za kordon, do Legionów. A ile wiości legionowych roznieśli po kraju w afiarach

wędrówkach takie kobiety, jak: ob. Bakuliakowa z Udrycz z Zamoższczyzny, czy ob. Kowalczykowa ze Szkarady, z Sochaczewskiego, czy młoda dziewczyna, zawsze ochotna do niebezpiecznej roboty, Marcysia Karczewska z Łowickiego.

Moment aresztowania naszej redakcji podbił ruch organizacyjnego ośrodka. Równocześnie aresztowano około 70 czynniejszych zaraniarzy. Najlepiej zorganizowane Lubelskie czekało tylko możliwego momentu, aby całym oddziałem ochotniczym ruszyć na Warszawę. Bitwa pod Kraśnikiem utrudniła im te zamiary.

W ciągu mojego półrocznego pobytu w więzieniu warszawskiem dochodziły mnie jednak echa o „robotę”. W sierpniu, w momencie ewakuacji Warszawy, zostałam wywieziona do Moskwy. Dziewięć dni trwała ta droga w ostrzeliwanym pociągu w nieustannem oczekiwaniu czy ci, idący z południa, nie odetną.

Ale to już szczegóły pamiętnikarskie. Treścią tego wspomnienia niechaj zostanie śródziemne świadectwo, złożone z głębi duszy tej, często dziś zapominanej prawdy: że zbiorowość ludowa w b. Królestwie, ta zaledwie zbudzona do samodzielnej myśli, wnet była gotową do ołtarznego wysiłku dla sprawy niepodległości Polski, że dawała do szeregu bojowników bez nakazu, bez jakiegokolwiek sobkow-skiej rachuby. W tem poczuciu jest wiele mocy — na wszelkie momenty zwątpienia.

W moskiewskiem więzieniu na oczekiwany dzień wejścia Legionów zrodziły się w duszy jednego z tych bojowników, chłopów-zaraniarzy, takie słowa:

„Witajcie nam, witajcie Wolne Duchy,
Co życie swe niesiecie w krwawy ból,
Co mocą swą idziecie rwać łańcuchy,
Któremi skul nam Polskę carski zół.

Witajcie nam, my również pójdziem z Wami,
Bo sztandar wasz — to niby święty krzak,
Z którego nam, zbroczonym krwią i łzami
Zlatuje dziś wolności biały ptak..”

SZLAKIEM NA WSCHÓD.

Wanda Dobrzańska.

WSPOMNIENIA WILEŃSKIE.

Rok 1914 zaskoczył nas w Wilnie niespodziewanie. Do zbliżających się wielkich wypadków nikt nie był przygotowany. Przeważająca wśród wileńskiego społeczeństwa t. zw. orientacja rosyjska odbijała się także i na młodzieży. Kobiety wileńskie włożyły wówczas całą nagromadzoną energię w zorganizowanie wspaniałego, nawiasem mówiąc, szpitala dla rannych rosyjskich. Do łódek tych rannych poszły w płaszcach sanitariuszek m. in. koleżanki z krakowskiego Uniwersytetu, które przed paru miesiącami ćwiczyły w Związku Strzeleckim.

Cała jesień przesunęła się nad nami powoli i sennie, jak ciężka, obwiana chmurą martwej ciszy. Koledzy z tych czy innych powodów pozostali w Wilnie próbowali organizować oddział P. O. W. Był też stały kontakt z Warszawą. Nie pamiętam już dzisiaj nazwisk ludzi, którzy wówczas przyjeżdżali do nas z Warszawy. Pamiętam jednak, że praca w tym oddziale nie była intensywna. Walki legionowe toczyły się daleko i na kresach były niepopularne. To mroziło i odbierało energię. A przekonanie, że Wilno w każdym razie pozostanie przy Rosji, paraliżowało wszelki odruch sympatii. Obawa przed carskim zandarmem i odpowiedzialnością wojenną nie dawała przyjaznym iskierkom tu i ówdzie tlejącym rozpaść się i połączyć w jedno ognisko.

Pomimo tak niesprzyjających warunków Oddział Zestaki P. O. W. pod komendą Wandy Cumtówny został jednakże w połowie października utworzony. Oddział prowadził przede wszystkim pracę przygotowawczą samokształceniową na wypadek zbliznienia się terenu wojny. Dokonywano także prób w kierunku przeprowadzenia wywiadów. Wyniki tych prac nie są mi znane, nie należałam bowiem formalnie do oddziału, jakkolwiek pozostawałam z nim w ciągłym kontakcie.

Pierwszym realnym czynem oddziału i jego sympatyceek było udzielenie pomocy i schronienia Halinie Chelmskiej, „wypanej” w Warszawie i skierowanej do Wilna. Wraz z nią przejeżdżała przez Wilno partja aresztowanych skautów warszawskich, wysłana do Moskwy. Ostatnim trudno było pomóc, zaopatrzyło się ich tylko, gdy przejeżdżali, w szereg niezbędnych im rzeczy. Przyzwyczajenie wprost odruchowe do konspiracji i solidarności, wytworzone długoletnim uciskiem były w Wilnie tak silne, że mogłyśmy śmiało odwołać się w takich wypadkach do całego społeczeństwa. Pomimo rosyjskiej orientacji nie było obawy, by nam ktoś odmówił pomocy, a tem bardziej nas zdradził.

Przełom w nastrojach nastąpił koło Nowego Roku 1915. Moskale żądnych obietnic nie dotrzymali, ucisk językowy wzmożił się, szkoły polskie wciąż jeszcze kryły się po podmiejskich suterynach. Moskale czuli się. Rozwiewało się szumne hasło zjednoczenia wszystkich ziem polskich. Nastąpiło ogólne zniechęcenie, zachwiała się zaufanie do Rosji. Poczęto ostrożnie, półgębkiem, dopytywać się o Legijony. Wówczas to można było już liczyć na powodzenie jakiejś wyraźniejszej akcji.

W styczniu zorganizowano wileński oddział Ligi Kobiet. W skład jego weszły wszystkie członkinie Oddziału Żeńskiego P. O. W. (jako jednostki), ale weszły także przedstawicielki wielu kół społeczeństwa wileńskiego, cały zastęp pracownic, gotowych na wszelkie ryzyko i zapalonych do pracy dla wojska, o którem chodziły już po Wilnie przeróżne legendy. Do pierwszego zarządu Ligi weszły: J. Studnicka jako przewodnicząca, St. Pietraszkiewiczówna, W. Cumtówna, H. Szczukówna i ja. Była to t. zw. „pierwsza piątka”. Funkcje w tym zarządzie nie były podzielone: o sekretarce nie mogło być mowy, wszelka myśl o kancelarji była grzechem śmiertelnym przeciwko naczelnej zasadzie konspiracji: żadnych dokumentów. Skarbniczka też nie była potrzebna: kasa wędrowała z domu do domu na wyciągi ze składami bielizny i broni. Ta konspiracja sprawiła, że po całej paroletniej działalności Ligi Kobiet w Wilnie nie pozostało żadnego śladu, żadnego namacalnego dowodu. Nic, prócz głoślowego dzisiaj twierdzenia współuczestniczek pracy: tak było, a nie inaczej. Nietylko ewidencje, adresy, sprawy do załatwiania, ale i rachunki nawet trzeba było mieć „w głowie”. Pieniądze wędrowały z rąk do rąk bez kwitów. Mimo to nie zdarzył się ani jeden wypadek sprzeniewierzenia chociaż komendant P. O. W. nie zawsze znał nazwiska swoich podwładnych. Operowano na/częście pseudonimami.

Natychmiast po zorganizowaniu się zarząd Ligi przystąpił do zbierania pieniędzy na bieliznę dla walczących na froncie legjonistów.

Pieniądze ściągano się od społeczeństwa drogą składek i handlu przymocami z za frontu wydawnictwami, orszakami legionowymi i pocztówkami.

Pierwszą partję bielizny wysłałyśmy do Warszawy już w lutym. Podziękowano nam serdecznie, ale na przyszłość proszono raczej o gotówkę, jako łatwiejszą do przesłania. Później jednak, gdyśmy się dowiedziały, że gotówka nasza za front nie przechodzi i pozostaje w warszawskim P. O. W. zdecydowałyśmy zostawić ją w Wilnie i obracać na potrzeby miejscowego oddziału.

W oddziale wileńskim P. O. W. zakładało nowe życie w kwietniu, dzięki przyjazdowi z za frontu odkomenderowanego z pulku na „komendanta Wilna” ppor. E. Dobaczewskiego. W tym właśnie czasie Niemcy zaczęli zbliżać się ku Warszawie. Zbierałyśmy intensywnie pieniądze, zakupywałyśmy i magazynowały broń, a równocześnie prowadziłyśmy propagandę. Ściana martwego oporu była już przełamana. Wszyscy oczekiwali odstąpienia Moskali od Warszawy.

Oddział Żeński P. O. W. pracował in gremio w Lidze, a jednocześnie przygotowywał się do przyszłej pracy wywiadowczej pod kierunkiem kurierki legionowej M. Koruliwiczówny, przebywającej w tym czasie w Wilnie.

Po wyjeździe Moskali mieliśmy oddział chłopców, wykwipowany i przygotowany do wymarszu. „Komendant Wilna” pojechał na front zasięgnąć jęryka, pozostałym kazano czekać.

Zdezorientowane, rozbite dzięki wyjazdowi władz, bo i komendantka Oddziału Żeńskiego pojechała na „tamtą stronę”, przetruciliśmy się narazie do pracy oświatowej.

Przyjeżdżałam do Żytomierza około roku 1910 z dyplomem lekarsko-
dentystyki po świeżo ukończonych studiach w Kijowie. Był to wielki
przełom w mojem życiu: zamieniłam stolicę Ukrainy, ognisko życia
kulturalnego i społecznego — na miasto prowincjonalne, aż nazbyt
spokojne i sennie. Poza tem równocześnie opuściłam szkolną ławę,
aby rozpocząć być samodzielną. W okresie przedwojennym młodzież
kresowa wogóle, a zwłaszcza kresowa młodzież polska żyła życiem
odrębnem od reszty społeczeństwa. Po ukończeniu szkoły średniej wy-
jeżdżali oni na wyższe studia do Kijowa, Lwowa lub zagranicę. Roz-
wijala się więc ona w bardzo różnorodnych ogniskach kulturalnych
i pod różnemi wpływami. Następnie zaś, w czasie lata, w najrozma-
itszych kątach Ukrainy, szczyty się echa zagranicznych przeżyć i na-
strojów. Radykalna młodzież przemyciała biblię, urządzała wiece
i zebrania wśród ludności wiejskiej i robotniczej, wnosząc w spokojne
zacznie wiejskich dworów zarzewie nowych idei.

Zjawisko to było w latach 1905—1914 tak powszechne, że chyba nie
było nikogo z pośród tego pokolenia, ktoby tego nie przeżywał. Pa-
miętałam dobrze, jak niektórzy z pośród tej młodzieży stawiali rodziców
swych w kłopotliwej sytuacji. Postępowe córki zajmowały salony pod
szkoły lub ochrony, synowie włączowali wśród służby folwarcznej, szar-
żąc ideą równości. A jak wielu z pośród nas czuło dotkliwie „hanbę”
posiadania większej ilości tej ziemi i jak przekonywująco namawia-
liśmy rodziców, aby rozdali ją tym, którym się ona słusznie należała.

Powyższe fakty były wyrazem entuzjazmu i gorącego zapału; zna-
lazły one stopniowo poważniejsze ujęcie: młodzież żeńska i męska,
przebywająca w wyższych uczelniach rosyjskich wzięła na swoje bar-
ki ciężar upominania się o krzywdy milionów. Tak więc urabiał się
charakter młodego pokolenia. Było ono uspołecznione, głęboko ide-
owe i odpowiedzialne za swe słowa i czyny.

Kijów, będąc stolicą całego kraju południowo-zachodniego Rosji, był jednocześnie ogniskiem życia intelektualnego, społecznego i nawet politycznego ludności polskiej, zamieszkującej ziemię dawniej Rzeczypospolitej. Tu były centrale wszelkich organizacji i instytucji. Tu gromadziły się też wybitniejsze umysły. Zakłady naukowe skupiały wielkie zastępy młodzieży różnych narodowości.

Wśród młodzieży polskiej cieszyła się uznaniem i powagą „Korporacja Studentów Uniwersytetu i Politechniki w Kijowie”. Była to organizacja poważna, która wychowała kilkanaście pokoleń. Jak na instytucję zakonspirowaną, rozporządzała ona dużymi funduszami, które wciąż się zwiększały drogą składek członkowskich i ofiarności społeczeństwa polskiego. Szczególną opieką otaczali korporanci swą bibliotekę — dorobek kilkunastu pokoleń. Wytworzyła ona nieocenione usługi w życiu kulturalnym młodzieży polskiej, która, nie mając prawa do słowa polskiego w szkolnictwie, szukała uzupełnienia swych braków w słowie drukowanym. Najpoważniejszym dziełem tej biblioteki był dział polonistyczny. Bibliotekarzami byli zwykle t. zw. wiczeni studenci. Jednym z nich był ogólnie lubiany i szanowany Józef Kutylowski, zwany powszechnie Starym. Piastował on bez przerwy godność bibliotekarza od 1900 r. niemal do ostatnich dni, t. j. do czasów bolszewickich.

Korporacja była organizacją wybitnie radykalną o strukturze czysto demokratycznej. Promieniowała ona na prowincję, wysyłając swych delegatów i tworząc koła wśród polskiej młodzieży szkół średnich i młodzieży będącej poza obrębem szkoły. Najsprawniej z nich funkcjonowały koła w Żytomierzu i w Białej Cerkwi. Korporacja brała udział przez swych delegatów w życiu organizacyjnym społeczeństwa polskiego, ale posiadała swoje odrębne cele i życie. Nie była to organizacja jednolita, grupowała się tu młodzież polska przynależna do P. P. S. i socjalnej demokracji oraz t. zw. bezpartyjni. Prawicowe elementy miały swe odrębne stowarzyszenie t. zw. „Polonię”, oba te stowarzyszenia współubięły się o wpływy wśród młodzieży. Początkowo do korporacji należała tylko młodzież uniwersytecka, później zaś zaczęło przyjmować doń młodzież żeńska, nie uczęszczająca do wyższych zakładów naukowych, na zasadzie wspólności przekonań politycznych. Co się tyczy ruchu politycznego, to młodzież skupiona koło miejscowej organizacji P. P. S. podlegała ściśle wytycznym, idącym z Polski, młodzież zaś polska, hołdująca zasadom socjalnej demokracji brała czynny udział w ruchu miejscowym, nie dając się wszakże pochłaniać przez rosyjskie organizacje rewolucyjne.

Po roku 1914 życie zaczęło rozwijać się przyspieszonym tempem. Pod wpływem wiadomości o akcji Polskiej Organizacji Wojskowej

i Legionów powstały w polskim społeczeństwie radykalne nowe organizacje, których zadaniem było ustosunkowanie się wyraźnie do sprawy polskiej. Po r. 1914-ym wszystkie te ugrupowania połączyły się w jedną organizację, t. zw. Centralę Demokratyczną. Na czele jej stanął znany publicysta, adwokat z Łucka, Eugeniusz Starczewski, zmarły w r. b. w Warszawie. W tym też okresie rozgorzała ostra walka między Centralą Demokratyczną a obozem konserwatywnym, który opanował placówkę polską o charakterze ogólnokulturalnym, t. zw. Polski Komitet Wykonawczy na Rusi. Walka ta skończyła się wejściem Centrali Demokratycznej do P. K. W. na zasadach parytetowych. Od tego czasu Polski Komitet Wykonawczy stał się reprezentantem całego społeczeństwa polskiego na Ukrainie, jakby miejscowym parlamentem, który był centralą ruchu kulturalnego i oświatowego, a jednocześnie terenem walk przedstawicieli obu obozów. Obok Centrali Demokratycznej powstało ugrupowanie polskich niepodległościowców, założone między innymi przez D. Szarzyńskiego, R. Knolla, T. Zagórskiego, J. Bromirskiego i J. Poczetowskiego. Są to już fakty późniejsze, wychodzące poza obręb niniejszej pracy.

W zupełnie innym środowisku znalazłam się w Żytomierzu. Młodzież szkół wyższych była tu rzadkością, nie brała też bezpośredniego udziału w życiu zbiorowym. Społeczeństwo miejscowe było zbyt spokojne, by mogło nadawać pewne tempo organizacjom. Jak wszędzie, tak i tu tylko pełna garstka ludzi brała czynny udział w instytucjach społecznych, kulturalnych i naukowych.

Jeżeli ludność polska na kresach nie dała się wynarodowić ani wyjałowić, to fakt ten przypisać należy czynnikom natury psychicznej i poczuciu odrębności narodowościowej. Dziwnemi drogami dojrzewało poczucie narodowe u Polaka mieszkającego na ziemi ukraińskiej. Czyim synem on był? O czyją wolność miał walczyć wśród szalejącej zawieruchy dziejowej? Czy miał tę swoją ojcowiznę wydzierać Moskalom, czy też miał marzyć o jeszcze droższej i dalszej Polsce, za którą tęsknił?

Społeczeństwo polskie, wstrząśnięte wypadkami 1905 roku, obudziło się w poczuciu swej godności i praw wolnego człowieka. Radość nowego wyzwolenego życia, chociaż trwała tak krótko, nie dała się jednak zgłuszyć represjami, które nastąpiły po rewolucji. Wyrazem tego odrodzenia była odwaga mówienia i stanowienia o sobie.

Między latami 1905 i 1914 powstało w Żytomierzu kilka towarzystw, jak: Macierz Polska, grupująca wszystkich bez różnicy przekonań, Radykalne Koło Kobiet, konserwatywne stowarzyszenie „Dziwga”, któ-

re otaczała swą opieką kobiety, pracujące zawodowo, Kooperatywa Polska „Spójnia”, oraz Polskie Towarzystwo Dobroczynności (była to jedna z najdawniej istniejących polskich organizacji, kierowała nią p. Brzostowska).

W Żytomierzu kierownictwo pracy oświatowej — podówczas tajnej — i kulturalno-społecznej spoczywało przeważnie w rękach kobiet. Duszą tych wszystkich organizacji i inicjatorką była dr. Helena Kurmanowiczówna (umiała na suchoty galopujące na tle przepracowania, mając zaledwie trzydzieści kilka lat). Był to typ wyjątkowy tak pod względem głębokich wartości charakteru, jak też i wyrobienia społecznego. Nieugięta w przeprowadzaniu pewnych zgóry uplanowanych zamiarów — dziwnie miękka i subtelna jako „przodowniczka” pracy; nie miała miłości własnej ani despotyzmu — umiała do każdego zbliżyć się, każdego odpowiednio „wykorzystać” i wydzielić pracę; będąc jednocześnie główną sprężyną przeróżnych instytucji — umiała skromnie pozostać w cieniu, wysuwając innych na czoło godności reprezentacyjnych. W pracy była dobrą organizatorką i niezrównaną optymistką. Nie było dla niej niemożliwości w najtrudniejszych warunkach ekonomicznych i politycznych. Pierwsza składała swe pobory jako lekarz-ordynator szpitala miejskiego na cele społeczne.

I pomimo tego, że była zupełnie odmiennych przekonań politycznych, że dużo innych czynników nas dzieliło, to jednak współpraca z nią była pogodna i harmonijna. Była ona moją pierwszą kierowniczką w działalności społecznej. Pierwsza się też do mnie zbliżyła, pierwsza wciągnęła mnie do współpracy. Zrobiła to bardzo subtelnie i umiejętnie. Jak dziś pamiętam, zjawiała się w mojej skromnej poczekalni jako pacjentka z pliką zeszytów dzieciennych ze szkoły tajnej, badając, czy mi ta sprawa interesuje, czy się przydam do nauczania. Wynikiem naszej rozmowy było nauczanie przeze mnie chłopców w męskiej szkole rzemieślniczej o ustalonym programie nauczania, założonej przez nią przy Polskiem Tow. Dobroczynności.

Macierz Polska na terenie Żytomierza miała zorganizowaną sieć tajnych szkółek początkowych, które później ujawniły się i jako szkoły powszechne przeszły pod zarządek miasta. W jednej z tych szkół, w gimnazjum męskim wykładałam w tym okresie, kiedy rozpoczęła się intensywna emigracja inteligencji polskiej; kiedy każdy z pozostałych czuł się w obowiązku zasilać szkolnictwo swoje pracą w miarę możliwości.

Jako członek zarządu Macierzy Polskiej byłam kuratorką tegoż gimnazjum; do obowiązków moich należało czuwanie nad potrzebami szkoły.

Odczuwałam jednak potrzebę istnienia takiej organizacji, któraby zespółiła garstkę ludzi głębiej duchowo z sobą zespolonych.

Ów „głód duchowy” szukania bliźnich ludzi zespółił kilka kobiet, które znalazły się w Żytomierzu po opuszczeniu ławy szkolnej; wyższych uczelni najrozmaitszych ognisk kulturalnych jak: Kijów, Petersburg, Kraków, Lozanna i inne. Wynikiem tej potrzeby było założenie kobiecego stowarzyszenia polskiego „Kola Kobiet”. Inicjatorką tej nowej instytucji była p. Janina Sokołowska, z którą bez przerwy pracowałyśmy od pierwszego do ostatniego dnia działalności Kola.

Początkowo był to raczej klub, gdzie zbierałyśmy się w celu samokształcenia i w inną hasła przygotowania kobiety do czynnego udziału w życiu zbiorowym. Byłam kierowniczką sekcji oświatowej. Zbierałyśmy się raz na tydzień na wieczory dyskusyjne; referentka przygotowywała tematy do dyskusji, która miała miejsce po wygłoszeniu krótszego lub dłuższego referatu w formie pracy samodzielnej (streszczenia dzieł całkowitych lub wybranych zagadnień). Każda członkini T-wa obowiązkowo musiała zabierać głos w tych dyskusjach, nie wolno było ustosunkowywać się biernie, t. j. milczeć.

Wybór tematów był dowolny. Każda z nas żyła wpływami tego ogniska kulturalnego, skąd przybyła; p. Sokołowska Janina — typ zapalny, entuzjastka i idealistka, przywiozła z uniwersytetu krakowskiego kult dla Wyspiańskiego i dla tej polskiej myśli, która czuwała wtedy nad całym krajem z góry Wawelu; p. Zofja Staroropińska, późniejsza Domaniewska, po ukończeniu uniwersytetu w Lozannie, wniosła do naszego grona powiew z Zachodu, kult dla kultury romantycznej, metody pracy naukowej, p. Helena Domaniewska — słuchaczka kursu beatuzewskiego w Petersburgu — jako przyrodniczka porządkowała nasze rozrzucone często myśli, ja ze swymi aspiracjami społecznościami — a p. Flora Zienkiewiczowa swem wyrobieniem życiowem i ujmującym sposobem obeznawania — tworzyłyśmy różnolity a jednak zharmonizowany zespół, jak nazywano „towarzystwo sufratek”.

Owe zebrania dawały nam dużo wzruszeń i dużo pokarmu myślowego! Pomimo tego, żeśmy przebywały w cichej miejscinie dalekich kresów, jednak czułyśmy się blisko wszystkiego, co się działo w Polsce.

Każda z nas brała przytem udział w kompletach zorganizowanych dla młodzieży polskiej, uczącej się do szkół rosyjskich, ucząc ich historii, literatury i języka ojczystego.

Rok 1914-ty był nowym etapem w życiu społecznem naszego miasta, jak zresztą i całego kraju. Ogłoszenie wojny, powołanie mężczyzn na plac boju postawiło kobiety specjalnie, a z nią i resztę społeczeństwa

wobec nowych zagadnień: wywołało potrzebę planowych i racjonalnych organizacji, któreby rozciągnęły opiekę nad rodzinami rezerwistów i uciekinierów, zakładając pracownie zarobkowe dla żon—siostry i ochrony dla dzieci, szpitale dla rannych, punkty żywnościowe dla imigracji i t. d.

We wszystkich tych pracach my, członkinie Koła Kobiół wzięłyśmy czynny i gorący udział, wnosząc w nie szerszy rozmach pracy, inicjatywę myśli i pewne wyrobienie społeczne. Zajmowałyśmy stanowiska kierownicze i odpowiedzialne w instytucjach miejskich i społecznych prywatnych tak rosyjskich, jak i polskich.

Spółczeństwo bowiem polskie ze swej strony zakładało takież same instytucje dla dzieci i rodzin polskich, utrzymując je ze swych funduszów. Mieliśmy szpital polski całkowicie urządzony przez polską społeczność, z polską obsługą dla rannych bez różnicy narodowości, znajdujący się pod kierownictwem p. Haliny Skokowskiej.

P. Janina Zaleska za własne fundusze zorganizowała i utrzymywała ochronę dla dzieci, przywiezionych z Warszawy. W pracy w Komitecie Pomocy Ofiarom Wojny brały udział p. p.: Domaniewskie, Sokółowska i Zienkiewiczowa.

Koło Kobiół, niezależnie od udziału w pracach innych organizacji, samo zorganizowało dwie ochrony dla polskich dzieci rezerwistów. Jedną z tych ochron należała do p. Wacławy Domaniewskiej i Haliny Domaniewskiej — druga do mnie.

Co się dotyczy zagadnień z życia politycznego, to były one związane z wypadkami rozwijającymi się w głębi Rosji i na froncie oraz z ruchem, idącym do nas z Polski. Polskie społeczeństwo, walczące o swoje prawa, nieraz występowało w obronę słabych „mniejszości” i nieraz sympatyzowało z młodym ruchem ukraińskim.

Co się dotyczy polityki polskiej w Żytomierzu to była ona echem walk budzącej się Polski. Nie orjentowaliśmy się w szczegółach. Wiedzieliśmy, że Polska powstaje, chociaż jeszcze mglista, ale dziwnie porównująca i bliska.

Wobec tych spraw nie mogliśmy pozostać obojętnymi lub biernymi; trzeba było wypowiedzieć się, przyjąć czynny udział. Początkowo braliśmy udział w szermierce gorących słów, urabiając opinię; potem trzeba było zająć wyraźne stanowisko, wobec rozwijających się działań w głębi Polski.

Mieliśmy i u siebie t. zw. dwa obozy. Radykalne elementy grupowały się koło Centrali Demokratycznej. Oddział żytomierski miał swe biuro u mnie w mieszkaniu, gdyż byłam sekretarką tego towarzystwa.

W latach 1905—1915 dorastająca młodzież w Żytomierzu rosła pod wpływem starszego pokolenia, które miało już tradycję pracy rewolucyjnej.

Nie też dziwnego, że polskie konspiracyjne organizacje, jak harcerstwo, następnie związki bojowe rozwijały się szybko wśród naszej młodzieży. Wnosząc nowe wartości: odrodzenie moralne, karność i zdrowie fizyczne, dawało jednocześnie radość młodym entuzjastycznym душom, które tak się rwały do czynów bohaterskich.

Niezrównane skarby wlał w duszę młodego polskiego pokolenia Józef Piłsudski, tę siłę twórczą, radośną, zamienną tęsknoty i marzenia w czyn.

Nie też dziwnego, że młodzież ta wzruszała jasnym pogodnym nastrojem ducha, niewyczerpanym radosnym entuzjazmem.

Organizacje strzeleckie zorganizował na Wołyniu w 1910 i 1911 r. Tadeusz Laniewski i Jan Zgorzelski, wzorując się na organizacjach strzeleckich w Małopolsce.

Dziewczęta początkowo nie brały w nich udziału; należały tylko do drużyn harcerskich, które zapoczątkowała w Żytomierzu Bronka Ziemiańska.

Cicha, skromna, zawsze słodka i pogodna, umiała wychowywać garncząc się, niewiele młodsze od niej dziewczęta. Umarła samotna w szpitalu bolszewickim w Kijowie. Zaraziła się, pielęgnując chorego kolegę w szpitalu, jako sanitariuszka z ramienia swej organizacji. Była już poszukiwana przez bolszewików i umierała w chwili, kiedy w zastępstwie jej była aresztowana matka.

W r. 1915 Jan Zgorzelski wszedł w kontakt z Naczelną Komendą Nr. III na Rusi i od tej chwili żytomierskie oddziały przemianowano na P. O. W. Strzelec, P. O. W. i drużyny harcerskie były z sobą w jak najbliższym kontakcie. Te same osoby stały na czele, kierując tym młodym ruchem. Komendantem miejscowego P. O. W. był Okuń-Ataman (Wisznicki); komendantem skautingu był strzelec Tadeusz Zgorzelski, temu też podlegały żeńskie drużyny harcerskie.

Stopniowo i kobiety weszły do tej organizacji bojowej (Bronka Ziemiańska, Andrzejkowiczówna Władka, siostry Gorczyńskie, siostry Kratnickie), pełniąc służbę kancelaryjną i pracując jako samarytanki. Tragizm był los siostr Kratnickich. Zostały one obie aresztowane przez Cz. K. Matka, nie chcąc rozstać się z nimi, dobrowolnie dała się uwięzić. Rozstrzelano je wszystkie trzy, najpierw matkę na oczach córek, potem obie młode dziewczynki.

Żytomierz był właściwym ogniskiem władz tych organizacji na Wołyniu. Jeżeli przenosiły się one do innych miejscowości, np. do Berdyczowa, to tylko na pewien okres ze względu na bezpieczeństwo.

W tymże Berdyczowie organizacje sokolskie były pod wpływem P. O. W.

W 1915 r. w miarę rozrastania się potworzono na prowincji okręgi uzależnione od komendy w Żytomierzu. Lepszą część młodzieży żeńskiej i męskiej — starszą i młodszą brała czynny udział w pracach tych organizacji. Olbrzymią zasługą Komendanta było też i to, że wpływy swoje i ludzi skierował na kresy, grupując wszystkich Polaków wobec jednej wielkiej idei wkrzeszenia Polski. We wszystkich swych pracach poprzednich tak społecznych, jak i kulturalno-oświatowych kresy czuły się osamotnione.

Też Komendant wcześniej dla nas stał się bliski i drogi. Z nazwiskiem Jego oddawna łączyła się u nas idea Polski, marzenia o Niej, myśli — a potem czyn śmiały i zrealizowanie tych ideałów.

Jednocześnie z rosnącą wciąż radością rósł w nas niepokój jaką Polskę On nam da?

Przypomnienie wieści uspokoiło, że pochodzi z kresów, że jest twardy i niezłomny jak granit; że wychowywał Go ból i walka, że

Zofia Sotom de Sotom

NA OBCYZYNIE.

(Petersburg 1910 — 1914).

Losy rzuciły mnie, jak wielu innych zśród młodzieży polskiej na obczyznę. Znalazłam się w Petersburgu. Tu całe zastępy młodzieży polskiej przebywały na studiach. Oderwani od kraju, nie wyrwaliśmy jednak ze swego serca Polski. Młodzież polską łączyła jedna wspólna idea: „uczmy się, lecz pamiętajmy przedewszystkiem o kraju”.

Prawie cała młodzież akademicka grupowała się w organizacjach ideowych: jedne z nich miały wyraźne zabarwienie partyjne, inne były bezpartyjne, posiadały charakter raczej społeczny.

W Petersburgu byłam na studiach przez lat sześć od 1908 do 1914 roku. W okresie tym działały organizacje następujące: „Związek Młodzieży Postępowej”, „Zjednoczenie Młodzieży Narodowej”, „Odrodzenie Młodzieży Katolickiej” i „Spójnia — Stowarzyszenie studentek Polek w Petersburgu”. Każda z tych organizacji miała ten sam cel — przygotowanie przyszłych obywateli Polski. Niektórzy z pracujących w owych organizacjach — zdawali sobie jasno sprawę z tego, że muszą najpierw przygotować bojowników niepodległości. Ci ludzie utrzymywali stałą łączność organizacyjną z Małopolską i Kongresówką. Praca taka w Petersburgu mogła być, oczywiście, tylko konspiracyjna, gdyż rząd carski bacznie śledził ruchy polskiej młodzieży. Niejednokrotnie zdarzały się wśród nich aresztowania, ale naogół konspirowano się dobrze. Niektóre odłamy młodzieży utrzymywały kontakt z postępową młodzieżą rosyjską, tą która uznawała nasze hasła.

Zśród tych wszystkich ugrupowań wyróżniła się organizacja studentek Polek „Spójnia” mająca hasło „Z krajem — dla kraju!” Zadaniem „Spójni” było: uświadomienie narodowe, wytworzenie

typu obywatelki-Polki, przygotowanej do korzystania z pełni praw, ułatwienie orientowania się w polskim życiu społecznym i politycznym, oraz wyrobienie poczucia odpowiedzialności za swoje czyny.

Zabarwienia partyjnego „Spójnia” nie miała, łączyła bowiem w sobie zarówno młodzież socjalistyczną jak i konserwatywną.

Koleżanki, które się wyrobiły w „Spójni” zajmowały często później wybitne stanowiska w ogólnych studenckich organizacjach politycznych.

We Lwowie i Krakowie w r. 1913 oddziały strzeleckie czyniły już przegląd swoich sił — wtedy to niektóre ugrupowania, uważając niepodległość Polski za naczelne hasło swych dążeń, poczęły się również przygotowywać do przyszłych, jak zdawało się bliskich walk. Hasło „do boju” stawało się niemal hasłem dnia dzisiejszego.

W czasie ferij Bożego Narodzenia w r. 1913-14 postanowiłam dostać się do Krakowa, aby dowiedzieć się, co się tam dzieje i otrzymać wskazówki co do dalszej pracy w razie ewentualnych przewrotów.

Przez granicę przedostałam się przy pomocy stosunków P. P. S. Z Krakowa przywiozłam odezwy, wzywające do szeregów strzeleckich. Odezwy te musiałam przewieźć na sobie. W Sosnowcu, ówczesnej komorze celnej wezwano mnie niespodziewanie do osobistej rewizji i tylko dziwnym zbiegiem okoliczności uniknęłam jej, gdyż w tym momencie zobaczył mię pewien znajomy, który, mając z Katowicami interesy handlowe stałe jeździł przez granicę. Pan ten pośpieszył mi z ratunkiem, przedstawiając mnie jako swoją kuzynkę. Zwolniono mnie natychmiast. Miałam zawsze dziwne szczęście. Wróciłam do Petersburga pełna wrażeń i wielkich nadziei prawie pewna będąc, że skoro mamy już kadry wojska — niepodległość Polski jest kwestją krótkiego czasu.

Wówczas istniał już w Petersburgu Związek Walki Czynnej. Niestety, nie dopuszczono do tej organizacji kobiet. Miałyśmy z nią tylko luźny kontakt przez sprawowanie czynności pomocniczych.

W tym czasie kończyłam studia, ale do końca roku szkolnego nie opuszczałam pracy organizacyjnej.

W następnym 1914 roku otrzymałam dyplom, a w końcu lipca z dniem ogłoszenia wojny, nie oglądając się na nic, śpieszyłam do Warszawy, aby stanąć w szeregach tamtejszej organizacji.

Z chwilą wybuchu wojny, w Petersburgu zawiązał się Komitet Centralny Młodzieży, do którego weszli przedstawiciele stowarzyszeń ideowych; wtedy weszła także przedstawicielka „Spójni” i Komitet

tem nawiązał łączność z Naczelną Komendą P. O. W. i miał już od-
daty stala łączność z krajem; W końcu roku 1914 zwołano w Moskwie
ogólny zjazd młodzieży polskiej, który nawoływał całą młodzież pol-
ską, znajdującą się w Rosji, do powrotu do kraju i do pomocy dla
walkającego wojska polskiego.

Powrót ten rozpoczął się w roku 1915, a pomoc wojsku polskiemu
stała się od tego czasu znacznie bardziej wydajna.

W Łwowie i Kijowie w r. 1913 odbyły się wielkie zebra-
nia młodzieży — wtedy to niektórzy ugrupowania, uważa-
jące się za polskie, podjęli starania o powołanie do państwa
polskiego, który miałby być zjednoczeniem wszystkich
polskich w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W czasie tej konferencji Naczelną Komendę P. O. W. do-
stała się do Kijowa, aby dowiedzieć się, co się tam dzieje i czy-
nieć wszystko, co było w jej mocy, aby wzmocnić i zjed-
noczyć wszystkie polskie ugrupowania w Rosji.

2. W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

zaczęły się powstania, które miały na celu zjednoczenie wszystkich

polaków w Rosji, a nie tylko tych, którzy byli w Łwowie i Kijowie.

W tym czasie, kiedy konferencja ta się odbywała, w Łwowie i Kijowie

Ostatnie karty „Wiernej służby” poświęcamy tym, którym już między nami nie ma. Niestety, wspomnienia tu załączone nie zawierają nazwisk wszystkich zmarłych towarzyszek pracy. Z przyczyn niezależnych od Redakcji nie udało się zgromadzić niezbędnych materiałów. Wobec tego w tym numerze nie możemy przedstawić

TE, KTÓRE ODESZŁY...

Brak tu przede wszystkim tak dobrze znanych nazwisk: Marii Dąbrowskiej, Walerji Golitskiej (Babek), Marii Przyjemskiej i Marki Turyłowa-Witkowskiej. Wszystkie one przez długie lata pracowały z całym oddaniem w sprawie niepodległości i obok innych, zastaną następnie wymienione w należytym sposób.

Niech odpoczywają w spokoju...

ten nawiał na łączność z Naczelną Komendą P. O. W. i miał jej oddać stałą łączność z krajem. W końcu roku 1914 znalazł w Ministerstwie Ogólny urząd młodzieży polskiej, który nawoływał całą młodzież polską, znajdującą się w Rosji, do powrotu do kraju i do pomocy dla walczącego wojska polskiego.

Przebieg

stała

na

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

z

TE, KTÓRE ODESZŁY...

JADWIGA KADY • KWIATKOWSKA

Jadwiga Kadykówna, obywatelka wydziału Środowiskowego (dział 10) na Uniwersytecie Lwowskim, była jedną z najbardziej czynnych.

Ostatnie karty „Wiernej służby” poświęcamy tym, których już między nami nie ma. Niestety, wspomnienia tu załączone nie zawierają nazwisk wszystkich zmarłych towarzyszek pracy. Z przyczyn niezależnych od Redakcji nie udało się zgromadzić niezbędnych materiałów, dotyczących ich licznych prac. Z tego powodu zmuszone jesteśmy nekrologi te odłożyć do drugiego tomu niniejszego wydawnictwa.

Brak tu przede wszystkim tak dobrze znanych nazwisk: Marii Dułbianskiej, Walerji Gollaskiej (Babej), Marii Przyjemskiej i Marii Turzyma-Wisniewskiej. Wszystkie one przez długie lata pracowały z całym oddaniem się sprawie niepodległości, i obok innych, zostaną następnie uczczone w należyty sposób.

Niech odpoczywają w spokoju...

Walczyć walczyć walczyć... Jadzia, musiała odebrać swój udział w walce. Walczyła tak bardzo. W zwykłych kolonistycznych warunkach podziwiałymy jej młodość i prostotę i skromność.

Maryja o wojnie dla odzyskania niepodległości. Maryja o tem przez lata śledzenia Drużyn Strzeleckich — a może i wcześniej.

Jakże musiała ubywać się tej kłopotliwej wojny... i tak niedługo miała to życie przed sobą przedwczesną śmierć.

Te wybuchy wojny — wzmiana rozbicia mobilizacyjnym Komendy Drużyn — czuła dom i natychmiast jedzie do Krakowa razem z całym oddziałem lwowskim. Tu bierze udział w pracy kulturalnej oraz w organizowaniu oddziału żeńskiego pułkownika Drużyn, później połączonego obu oddziałów strzeleckich. Jest zawsze jednakowo pogodna — i jednakowo obojętna dla swych spraw osobistych, które zawsze są bieżące. Na stanowisku komendantki organizującego się

Ostatnie karty „Wiernej służby” poświęcamy tym, których już nie-
daj nam słowa. Niektórzy wspomnieli tu zaprzeczone nie zawdzię-
czając wszystkim naszym towarzyszom pracy. Z niektórymi nie-
zależnie od Redakcji nie udało się rozmawiać niezbędnych ma-
teriów, dotyczących ich liczących prac. Z tego powodu musimy
niektórych niekiedy nie oddać do drugiego tomu niniejszego wy-
dawnictwa.

Brak tu przede wszystkim tak dobrze znanych nazwisk: Marek De-
jowski, Władysław Górecki (Babci), Marek Porywalski i Marek To-
czyński-Winiowski. W tym ostatnim przypadku nie udało się prze-
konać na odwołanie się sprawy niepodległości i obojczy, zostawiając na-
stępnie niekiedy w następny sposób.
Niech odzwierciedla w sposób...

...kuzna i gromadzi zbieracz latwa, winoż nieznanych sobie nawet kole-
tanek, powołując nas na i sympatję.

Zatem zgłasza się, oczywiście do służby najwyższej, i do
pracy kierowniczej na terenie akcji organizacyjnej.
Przez długi czas, obok momentu jej przydziału, wciąż się od-
suwa.

W październiku pracuje w komisji, która
Jadzia jest to praca od jej doświadczenia, oddaje się sprawie. Cóż,
to w tym okresie wydziału nie jest poświęcony. Związek w swe
wartości (nie dochodziła się stała) — nie ma ze smutkiem, jak
Jadzia do tego czasu.

JADWIGA KADYL-KWIATKOWSKA

Jadwiga Kadyłówna, absolwentka Wydziału Filozoficznego (dział
fizyki) na Uniwersytecie Lwowskim, była jedną z najbardziej czyn-
nych organizatorek pracy żeńskiej w Drużynach Strzeleckich.

W roku akademickim 1910/11 pełniła służbę komendantki kursu
młodszego, który pod jej umiejętną, łagodną a baczną opieką rozwi-
jał się pomyślnie i w końcu roku zdał dobrze egzamin podoficerski.
W następnym 1911/12 roku objęła komendę całego Oddziału Żeń-
skiego. Dzięki jej osobistym wartościom stosunki w Oddziale, mimo
wzorowej karność, stały się serdeczne i bliskie.

Zawsze cicha i łagodna, a stanowcza i umiejąca wymagać, posłuch
miała bezwzględny. Władzy swej nie zaznaczyła nigdy; co więcej,
przyjmowała chętnie rady i uwagi od „starszych” koleżanek. Nigdy
też nie wydawała nieprzemyślnych poleceń.

Każdego, kto miał sposobność zbliżyć się z Jadzią, musiała ude-
rzyć jej wielka czystość ideowa bez cienia osobistej ambicji i ofiarności
dla sprawy, którą ukochała tak bardzo. W zwykłych koleżeńskich
stosunkach podziwiałymy jej ujmującą prostotę i skromność.

Marzyła o wojnie dla odzyskania niepodległości. Marzyła o tem
przez lata istnienia Drużyn Strzeleckich — a może i wcześniej.

Jakże smutno upłyły jej losy podczas tej upragnionej wojny...
i jak niedługo miała to życie przeciąć przedwczesna śmierć.

Po wybuchu wojny — wezwana rozkazem mobilizacyjnym Komendy
Drużyn — rusza dom i natychmiast jedzie do Krakowa razem z ca-
łym oddziałem lwowskim. Tu bierze udział w pracy intendentury oraz
w organizowaniu oddziału żeńskiego początkowo Drużyn, później po-
łączonych obu oddziałów strzeleckich. Jest zawsze jednakowo po-
godna — i jednakowo obojętna dla swych spraw osobistych, które
uważa za bagatelne. Na stanowisku komendantki organizującego się

kursu łączności zdobywa łatwo, wśród nieznanym sobie nawet koleżanek, powszechne uznanie i sympatię.

Sama zgłasza się, oczywiście, do służby najryzykowniejszej t. j. do pracy kurjersko-wywiadowczej na terenie akcji nieprzyjacielskiej. Przez dziwny zbieg okoliczności moment jej przydziału wciął się od razu.

W październiku pracę w komisariacie piotrkowskim. Jakże daleka jest ta praca od jej dążeń całkowitego oddania się sprawie. Czuje, że w tym społeczeństwie wydarzeń nie jest pożyteczna. Zwątpiłszy w swe wartości (nie doceniała się stale) — bierze ze smutkiem urlop i jedzie do śmiertelnie chorego męża. W powrotnej drodze, już pod samym Lwowem, razem z nim ginie od zderzenia pociągu w czasie przejazdu przez tor kolejowy. Zmarła 5/XII 1914 r. Straciłyśmy w niej serdeczną koleżankę, którą tak żywo pamiętamy, jakby odszła od nas zaledwie wczoraj...

(Lubię) an Uniwersytecie Lwowski. Była jedyną...

W roku studiów 1910/11 pełniła służbę komendantki lotnisk. W tym czasie, kiedy pod jej kierunkiem, jakoby z pewną opieką, rozwijał się pomyślnie i w końcu roku zdał dobrane egzaminy podchorążym. W następnym 1911/12 roku objęła komendę całego Oddziału 3-ego. Dzięki jej osobistym staraniom stanął w Oddziale, mimo trudnych warunków, który się rozwinął i błyszczał.

Zawsze była i jest, a zawsze i umiała wyrażać potrzebę. Wtedy twój nie zastąpić nigdy, co wtedy? przyniosła do nas i wtedy od „starej” koleżanki. Kiedyś nie wydawała nieprzyjemnych poleceń.

Każdego, kto miał sposobność zbliżyć się z nią, musiała usłyszeć jej słowa: „Wtedy twój nie zastąpić nigdy, co wtedy?” przyniosła do nas i wtedy od „starej” koleżanki. Kiedyś nie wydawała nieprzyjemnych poleceń.

Marzyła o wojnie dla odzyskania niepodległości. Marzyła o tym, jak ją istnieć. Długo Strzeżenie — a może i więcej.

Jakże smutno było jej, jak podawała jej sprężynę wojny... i jak niedługo miała to być praca przetrwania...

To wydarzenie wojny — wzmiana rozkazem mobilizacyjnym Komendy Długo — trzecia część i następni: jedzie do Krasowa razem z całym oddziałem. To było udział w pracy intensywnym oraz w organizowaniu oddziału technicznego (Długo). Później połączonych obu oddziałów strzeżeń. Jest zawsze jednako połączona — i jednako obok niej twych spraw osobistych. Kiedyś nie wydawała nieprzyjemnych poleceń. Na stanowisku komendantki organizującego się...

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

WANDA MARTYNOWICZÓWNA.

Absolwentka Wydziału Filozoficznego (dział chemii) na Uniwersytecie Lwowskim. Zmarła 30/V 1922 r.

Należała do organizatorek O. Ż. Drużyn Strzeleckich we Lwowie. Była jedną z istot, dla której w pracy idealnej przeszkody nie istniały, nie znała tu kompromisu. Mięcząca, zamknięta w sobie, a jednak głęboko czująca, pełniła swoją służbę.

Po wybuchu wojny na wezwanie Komendy Drużyn przybyła do Krakowa. Pracowała w intendencji, a przez czas jakiś w Oddziale Wywiadowczym I-ej Brygady.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

MARJA Z NOWICKICH BOROWSKA.

Należała do krakowskiego oddziału Drużyn Strzeleckich. Cicha, ofiarna, nie wysuwająca się nigdy na czoło, wykonywała wszelkie prace organizacyjne, zdając sobie jasno sprawę co do jej odpowiedzialności.

Była jedną z tych postaci, które budzą zaufanie od pierwszego spojrzenia.

Po wybuchu wojny zgłosiła się do pracy w Oddziale Wywiadowczym I-ej Brygady i pracowała tu przez parę miesięcy. W nadzwyczajnie trudnych warunkach pojechała przez front do Warszawy i wróciła tą drogą do Krakowa. Zmarła w Krakowie w 1918 r.

W 1922 r. była w Warszawie, gdzie wzięła udział w wyjazdach artystycznych, zdobywając na wielkie sukcesy. Prace artystyczne i literackie, które wzięła do siebie, były znowu wielką trudnością do pracy idealnej.

kursu łączności zdobywa łatwo, wśród słomianych sobie nawet kole-
żanek, powszechne uznanie i sympatię.

Sama zgłasza się, oczekując do służby nieprzyjacielskiej i do
pracy kwatermistrzowskiej na terenie straci nieprzyjacielskiej.
Przez długi czas okoliczności nie pozwalają jej wyjechać z terenu.

W podziemiach pracuje w kombinacie piotrowskim. Jakże do-
łbka jest ta praca od jej dotychczasowego oddziały się sprawi. Ciepło-
to w tym społeczeństwie wydarzeń nie jest pożyteczna. Zostawia w swej
wartości (nie doznała się do niej) tylko do swojego własnego

ZOFJA KOSSUTH-LORECOWA

(SONKA)

Córka inż. Kossutha i Aleksandry z Piotrowiczów, urodzona w Ra-
domsku. Średnie wykształcenie pobierała w Warszawie i w Kielcach—
wyższe na Wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie, gdzie z zamiło-
waniem studiowała nauki przyrodnicze, pod kierunkiem prof. Racibor-
skiego. Jednocześnie pracowała w szkole malarskiej.

Szczere poczucie obowiązku obywatelskiego pociągnęło ją w szeregi
Strzelca, a potem Legionów. W Strzelcu krakowskim pracowała w la-
tach 1912/13 i 1913/14, należąca do plutonu Marysi Kornilowiczówny.
W chwili mobilizacji stanęła do czynnej służby od dnia 30/VI 1914 r.

Przez pierwsze dni po wybuchu wojny pracowała w dziale propa-
gandy, zajmując się szerzeniem idei niepodległości wśród chłopów b.
Kongresówki. Następnie przydzielono ją do polskiego Skarbu Woj-
skowego K. S. S. N., gdzie w ciągu kilku dni pracowała z nadzwyczaj-
nym wytężeniem w charakterze komisarza podatkowego w okręgu
krakowskim. Od 7/VIII zaczęła stałą pracę w intendencji, w dziale
darów.

Na własną prośbę przydzielono ją do oddziałów intendencji
w Kielcach, gdzie przybyła w dniu 10/IX — na dwa dni przed odwo-
tem stamtąd oddziałów strzeleckich. Wobec wydarzeń na froncie po-
wróciła do pracy w Krakowie. W chwili ewakuacji Krakowa i prze-
niesienia się instytucji legionowych na Śląsk — służyła dalej swą
pracą na terenie Jabłonkowa i Trzyńca do 3 lutego 1915 roku.
Z Trzyńca została przeniesiona wraz z biurami likwidacyjnymi do
Żywca, gdzie pracowała od 3/II do 15/X 1915 r. Jesienią 1915 r. za-
częła pracę w Krakowie, w Biurze Prasowym Delegacji Krakowskiej,
potem w Bibliotece, wreszcie w Centralnym Biurze Wydawniczym
N. K. N-u gdzie załatwiała sprawy Centralnego Biura Szkolnego.
W Krakowie należała do Ligi Kobiet. Od 1917 roku przestała praco-

wad w instytucjach legionowych i w Warszawie już zajęła się wyłącznie pracą artystyczną, zdobywając nią wielkie uznanie. Przejęła powołaniem swym i sztuką, umiała się od niej oderwać, gdy znowu stanąć trzeba było do pracy ideowej.

W 1920 r. talent swój ofiarowała na usługi Centralnego Komitetu Propagandy Związków Artystycznych. Cierpiała bardzo nad tem, że zdrowie nie pozwalało jej już służyć inaczej poza działalnością artystyczną.

Zmarła w 1922 r. 14 lutego, dając życie synowi, któremu pozostała tradycją swojej jasnej i ofiarnej duszy.

Wśród grona koleżanek, Sonka należała zawsze do tych cichych, pracowit, które umiały z prostotą i pogodą wiele z siebie ofiarować: służbis czystej, wiele siły i wiary w przyszłość dodać towarzyszykom, bez narzucania zewnętrznego swej indywidualności, co właściwe jest tylko naturom głębokim i szlachetnym, pełnym wewnętrznej kultury ducha.

W Warszawie już zaczęła się wojna. W instytucjach legijonowych i w Warszawie już zaczęła się wojna. W instytucjach legijonowych i w Warszawie już zaczęła się wojna. W instytucjach legijonowych i w Warszawie już zaczęła się wojna.

W 1930 r. talent swój poświęciła na rzecz Centralnego Komitetu Propagandy Armii Legijonów. Ciężko ją było nad tym, że zdrowie nie pozwalało jej już stać na nogach, a jednak.

Zmarła w 1933 r. 14 lutego, mając tylko syna, którego pozostawiła.

STANISŁAWA WAROCZEWSKA

Wśród kobiet, które walczyły z Niemcami, była Stanisława Waroczewska „Ewa”. Jak ją nazywaliśmy wszyscy, była wewnętrzną powstanką. W 1863 r. Walka o niepodległość była zatem tradycją jej domu.

Ewa stała się bojowniczką jeszcze na szkolnej ławie: w roku 1905 bierze udział w strajku szkolnym, który ją skazuje na zagraniczne studia. Uzyskuje w Paryżu dyplom „Licencié des Lettres”. W roku 1913 wraca do kraju. W całym świecie odczuwano wtedy przybliżanie się wielkich wypadków. Polski ruch wojskowy rozwijał się ze wzmożoną siłą. Uchwyciwszy bacznie uchem odgłosy niezwykłych przygotowań, Ewa bez chwili wahania wstępuje do zakonspirowanego oddziału Związku Strzeleckiego w Warszawie. Po wybuchu wojny staje gotowa do pracy w Polskiej Organizacji Wojskowej. Jest komendantką sekcji sanitarnej, biorąc równocześnie udział w pracach sekcji wywiadowczej.

Wśród licznych prac organizacyjnych i mimo pracy zawodowej znajduje czas na gromadzenie wraz z E. Chwałewikiem dokumentów, dotyczących sprawy polskiej. Tą drogą powstaje niezwykła w swym ujęciu i formie „Tęcza Księga Polaków”.

Po zajęciu Warszawy Ewa bierze udział w tworzeniu się poczty, mającej na celu utrzymywanie łączności Legionów z Warszawą oraz utworzenie komunikacji między obu okupacjami (austriacką i niemiecką), na którą okupanci nie pozwalali. Organizuje wtedy sekcję pocztową powiadzek, które regularnie, jak listonosze, roznoszą korespondencję po całym mieście. W czasie istnienia obozów w Benjaminowie i Szczepiornie organizuje dla nich pocztę lotną, zakonspirowaną doskonale przed Niemcami.

W lipcu 1919 r. wchodzi do sekcji kurierskiej Naczelnego Dowództwa i tu, jako zastępczyni kierowniczką, czuwa nad wyjeżdżającymi kurierkami, które odpowiednio do ich funkcji poszła.

Gdy Moskale opuścili Warszawę, opuściła ją i Okrzejowa, aby wziąć udział w pracy dywersyjnej na tyłach wojska rosyjskiego.

Niech tych słów parę wystarczy. Kto szczegółowo nie zna historii walki o niepodległość, niczego z nich nie doclepie. A kto znał Okrzejową, niech sobie wyobrazi chwilę, w której patrzy na odznakę 1-ej Brygady, leżącą na jej szerokiej dłoni, niech sobie wyobrazi jej spojrzenie, uśmiech, znowu uśmiech wiedeńskości.

Okrzejowa opuściła nasze szeregi na zawsze. Nie ma jej... Nie żyje ta, która tak kochana przez rodzinę, nie zaznała szczęścia w życiu osobistym.

Kiedy Komendant wrócił z Magdeburga, przemówił do Komendy Naczelnej P. O. W., rozpoczynając słowami: „Kochani koledzy”. pośród tych szczęśliwych ludzi nie było podówczas Okrzejowej. Nie mogła być li tylko, zdaniem mojem, ze względów formalnych. Gdyż w istocie rzeczy ta cicha kobieta, która walczyła o Polskę niepodległą, wytrwałe, wierna, z bronią w ręku, z narażeniem życia — będzie zawsze obecna i przytomna w „kołateckim” krosie Komendanta.

MARJA Z BITNERÓW BÓŻYCKA

Marysia Bittnerówna nie należała do Strzelca. Dlaczego? — nie wiem. Może nie pozwalało jej na to wątłe, niezmierne zdrowie, a może też jej buntownicza natura nie umiała się wtłoczyć w ramy subordynacji wojskowej. Zналиśmy ją jednakże wszystkie i w Strzelcu i w „Promieniu”, gdyż jej ofiarny stosunek do zagadnienia walki zbrojnej pomimo nie należenia do Strzelca, nie ulegał nigdy najmniejszej wątpliwości. Samogratnie uczestniczyła zawsze zarówno w pracach organizacyjnych, jak w zbieraniu potrzebnych funduszy. Wiedzieliśmy więc na pewno, że kiedy przyjdzie „chwila osobliwa” Marysia znajdzie się wśród nas. I rzeczywiście, gdy wojna się zaczęła, Marysia, którą wielkie wypadki zastały na terenie zajętym przez wojsko rosyjskie znalazła się natychmiast w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej. Robiła posłusznie wszystko, czego od nas, niewiast, wymagało. Pełniła służbę wywiadowczo-kurierską, zajmowała się kolportażem, wyszukiwaniem lokali i całą żmudną robotą techniczną... Brała udział w pracach Oddziału Lotnego. Na parę dni przed wyjściem Rosjan z Warszawy omal nie wpadła w ręce policji rosyjskiej i tylko dzięki niezwyklej przytomności umysłu zdołała się uratować. Uciekla od drzwi własnego mieszkania, w którym gospodarowali już tendarci.

Po zajęciu Warszawy, Marysia nadal pracowała w P. O. W. Wyjazdy z transportami „kibuly”, praca w Kole Pomocy dla legionistów, szereg robót organizacyjnych, które trudno określić w kilku słowach, a które wypełniały długie godziny i wymagały nieustannej czujności wobec niemieckiej „Feldpolizei” — oto, co zajmowało cały jej wolny czas. Jednocześnie brała czynny udział w pracach Komisji Zająć Pozaszkolnych przy Magistracie m. st. Warszawy. Praca wychowawcza, zwłaszcza w zakresie obywateli pozaszkolnej pociągala ją oddawna. Już przed wojną pracowała w Uniwersytecie Ludowym im. Ad. Mickiewicza.

kiewiczza w Krakowie — a teraz całym sercem zabrała się do takiej samej pracy na naszym terenie.

Komisja Zająć Pozaszkolnych obejmowała kilkanaście tysięcy dzieci ze szkół powszechnych w Warszawie; przebywając z nimi na wycieczkach czy podczas gier i zabaw, można je było uczyć miłości i czci dla nieśmiertelnych porywów duszy narodu. Marysia żyła idea Wolnej Polski, praca jej więc w tym kierunku wśród dzieci była naprawdę ładna i twórcza.

Przyszł rok 1917, mówiąc rozbitcie Legionów i aresztowanie Komendanta. Marysia nie zatamowała się, ale ciężkie przeżycia moralne, związane z temi smutnymi wypadkami podkopały jej wątłe bardzo zdrowie. Wytrwała w pracy aż do chwili rozbiorzenia okupantów; potem jednak nastąpiło rozprężenie sił, tak, że na dłuższy czas musiała się od wszystkiego usunąć, aby wypocząć. Odczuła tę konieczność usunięcia się bardzo tragicznie, co znowu pogorszyło stan jej zdrowia. Skoro tylko trochę przyszała do siebie, natychmiast powróciła do pracy. Nie nastąpiło to jednak prędko. Dopiero w r. 1923 widzieliśmy ją w Związku Strzeleckim. Przez jakiś czas pracowała w referacie kulturalno-oświatowym Zarządu Głównego, prowadząc poradnię oświatową, i była czynna w bibliotece oraz w świetlicy. Szło jej jednak o bardziej bezpośrednią łączność z ludźmi, o bardziej bezpośrednią pracę wychowawczą. Objęła więc referat kulturalno-oświatowy w oddziale praskim Związku. Pracy jednak nie zdążyła już w nim rozpocząć. W kwietniu 1924 r. krótka i nagła choroba zakończyła to pracowite, ofiarowane Polsce życie. Odeszła, nie wyczerpując wszystkich swych twórczych wartości — odeszła w chwili, kiedy Polska dopiero naprawdę zaczęła przygotowywać się do budowania swej przyszłości.

I to właśnie, że odeszła w takiej chwili było najboleźniejsze.

1894-1895, 1896, 1897	1898-1899, 1900, 1901
1902-1903, 1904, 1905	1906-1907, 1908, 1909
1910-1911, 1912, 1913	1914-1915, 1916, 1917
1918-1919, 1920, 1921	1922-1923, 1924, 1925
1926-1927, 1928, 1929	1930-1931, 1932, 1933
1934-1935, 1936, 1937	1938-1939, 1940, 1941
1942-1943, 1944, 1945	1946-1947, 1948, 1949
1950-1951, 1952, 1953	1954-1955, 1956, 1957
1958-1959, 1960, 1961	1962-1963, 1964, 1965
1966-1967, 1968, 1969	1970-1971, 1972, 1973
1974-1975, 1976, 1977	1978-1979, 1980, 1981
1982-1983, 1984, 1985	1986-1987, 1988, 1989
1990-1991, 1992, 1993	1994-1995, 1996, 1997
1998-1999, 2000, 2001	2002-2003, 2004, 2005
2006-2007, 2008, 2009	2010-2011, 2012, 2013
2014-2015, 2016, 2017	2018-2019, 2020, 2021
2022-2023, 2024, 2025	2026-2027, 2028, 2029
2030-2031, 2032, 2033	2034-2035, 2036, 2037
2038-2039, 2040, 2041	2042-2043, 2044, 2045
2046-2047, 2048, 2049	2050-2051, 2052, 2053
2054-2055, 2056, 2057	2058-2059, 2060, 2061
2062-2063, 2064, 2065	2066-2067, 2068, 2069
2070-2071, 2072, 2073	2074-2075, 2076, 2077
2078-2079, 2080, 2081	2082-2083, 2084, 2085
2086-2087, 2088, 2089	2090-2091, 2092, 2093
2094-2095, 2096, 2097	2098-2099, 2100, 2101
2102-2103, 2104, 2105	2106-2107, 2108, 2109
2110-2111, 2112, 2113	2114-2115, 2116, 2117
2118-2119, 2120, 2121	2122-2123, 2124, 2125
2126-2127, 2128, 2129	2130-2131, 2132, 2133
2134-2135, 2136, 2137	2138-2139, 2140, 2141
2142-2143, 2144, 2145	2146-2147, 2148, 2149
2150-2151, 2152, 2153	2154-2155, 2156, 2157
2158-2159, 2160, 2161	2162-2163, 2164, 2165
2166-2167, 2168, 2169	2170-2171, 2172, 2173
2174-2175, 2176, 2177	2178-2179, 2180, 2181
2182-2183, 2184, 2185	2186-2187, 2188, 2189
2190-2191, 2192, 2193	2194-2195, 2196, 2197
2198-2199, 2200, 2201	2202-2203, 2204, 2205
2206-2207, 2208, 2209	2210-2211, 2212, 2213
2214-2215, 2216, 2217	2218-2219, 2220, 2221
2222-2223, 2224, 2225	2226-2227, 2228, 2229
2230-2231, 2232, 2233	2234-2235, 2236, 2237
2238-2239, 2240, 2241	2242-2243, 2244, 2245
2246-2247, 2248, 2249	2250-2251, 2252, 2253
2254-2255, 2256, 2257	2258-2259, 2260, 2261
2262-2263, 2264, 2265	2266-2267, 2268, 2269
2270-2271, 2272, 2273	2274-2275, 2276, 2277
2278-2279, 2280, 2281	2282-2283, 2284, 2285
2286-2287, 2288, 2289	2290-2291, 2292, 2293
2294-2295, 2296, 2297	2298-2299, 2300, 2301
2302-2303, 2304, 2305	2306-2307, 2308, 2309
2310-2311, 2312, 2313	2314-2315, 2316, 2317
2318-2319, 2320, 2321	2322-2323, 2324, 2325
2326-2327, 2328, 2329	2330-2331, 2332, 2333
2334-2335, 2336, 2337	2338-2339, 2340, 2341
2342-2343, 2344, 2345	2346-2347, 2348, 2349
2350-2351, 2352, 2353	2354-2355, 2356, 2357
2358-2359, 2360, 2361	2362-2363, 2364, 2365
2366-2367, 2368, 2369	2370-2371, 2372, 2373
2374-2375, 2376, 2377	2378-2379, 2380, 2381
2382-2383, 2384, 2385	2386-2387, 2388, 2389
2390-2391, 2392, 2393	2394-2395, 2396, 2397
2398-2399, 2400, 2401	2402-2403, 2404, 2405
2406-2407, 2408, 2409	2410-2411, 2412, 2413
2414-2415, 2416, 2417	2418-2419, 2420, 2421
2422-2423, 2424, 2425	2426-2427, 2428, 2429
2430-2431, 2432, 2433	2434-2435, 2436, 2437
2438-2439, 2440, 2441	2442-2443, 2444, 2445
2446-2447, 2448, 2449	2450-2451, 2452, 2453
2454-2455, 2456, 2457	2458-2459, 2460, 2461
2462-2463, 2464, 2465	2466-2467, 2468, 2469
2470-2471, 2472, 2473	2474-2475, 2476, 2477
2478-2479, 2480, 2481	2482-2483, 2484, 2485
2486-2487, 2488, 2489	2490-2491, 2492, 2493
2494-2495, 2496, 2497	2498-2499, 2500, 2501
2502-2503, 2504, 2505	2506-2507, 2508, 2509
2510-2511, 2512, 2513	2514-2515, 2516, 2517
2518-2519, 2520, 2521	2522-2523, 2524, 2525
2526-2527, 2528, 2529	2530-2531, 2532, 2533
2534-2535, 2536, 2537	2538-2539, 2540, 2541
2542-2543, 2544, 2545	2546-2547, 2548, 2549
2550-2551, 2552, 2553	2554-2555, 2556, 2557
2558-2559, 2560, 2561	2562-2563, 2564, 2565
2566-2567, 2568, 2569	2570-2571, 2572, 2573
2574-2575, 2576, 2577	2578-2579, 2580, 2581
2582-2583, 2584, 2585	2586-2587, 2588, 2589
2590-2591, 2592, 2593	2594-2595, 2596, 2597
2598-2599, 2600, 2601	2602-2603, 2604, 2605
2606-2607, 2608, 2609	2610-2611, 2612, 2613
2614-2615, 2616, 2617	2618-2619, 2620, 2621
2622-2623, 2624, 2625	2626-2627, 2628, 2629
2630-2631, 2632, 2633	2634-2635, 2636, 2637
2638-2639, 2640, 2641	2642-2643, 2644, 2645
2646-2647, 2648, 2649	2650-2651, 2652, 2653
2654-2655, 2656, 2657	2658-2659, 2660, 2661
2662-2663, 2664, 2665	2666-2667, 2668, 2669
2670-2671, 2672, 2673	2674-2675, 2676, 2677
2678-2679, 2680, 2681	2682-2683, 2684, 2685
2686-2687, 2688, 2689	2690-2691, 2692, 2693
2694-2695, 2696, 2697	2698-2699, 2700, 2701
2702-2703, 2704, 2705	2706-2707, 2708, 2709
2710-2711, 2712, 2713	2714-2715, 2716, 2717
2718-2719, 2720, 2721	2722-2723, 2724, 2725
2726-2727, 2728, 2729	2730-2731, 2732, 2733
2734-2735, 2736, 2737	2738-2739, 2740, 2741
2742-2743, 2744, 2745	2746-2747, 2748, 2749
2750-2751, 2752, 2753	2754-2755, 2756, 2757
2758-2759, 2760, 2761	2762-2763, 2764, 2765
2766-2767, 2768, 2769	2770-2771, 2772, 2773
2774-2775, 2776, 2777	2778-2779, 2780, 2781
2782-2783, 2784, 2785	2786-2787, 2788, 2789
2790-2791, 2792, 2793	2794-2795, 2796, 2797
2798-2799, 2800, 2801	2802-2803, 2804, 2805
2806-2807, 2808, 2809	2810-2811, 2812, 2813
2814-2815, 2816, 2817	2818-2819, 2820, 2821
2822-2823, 2824, 2825	2826-2827, 2828, 2829
2830-2831, 2832, 2833	2834-2835, 2836, 2837
2838-2839, 2840, 2841	2842-2843, 2844, 2845
2846-2847, 2848, 2849	2850-2851, 2852, 2853
2854-2855, 2856, 2857	2858-2859, 2860, 2861
2862-2863, 2864, 2865	2866-2867, 2868, 2869
2870-2871, 2872, 2873	2874-2875, 2876, 2877
2878-2879, 2880, 2881	2882-2883, 2884, 2885
2886-2887, 2888, 2889	2890-2891, 2892, 2893
2894-2895, 2896, 2897	2898-2899, 2900, 2901
2902-2903, 2904, 2905	2906-2907, 2908, 2909
2910-2911, 2912, 2913	2914-2915, 2916, 2917
2918-2919, 2920, 2921	2922-2923, 2924, 2925
2926-2927, 2928, 2929	2930-2931, 2932, 2933
2934-2935, 2936, 2937	2938-2939, 2940, 2941
2942-2943, 2944, 2945	2946-2947, 2948, 2949
2950-2951, 2952, 2953	2954-2955, 2956, 2957
2958-2959, 2960, 2961	2962-2963, 2964, 2965
2966-2967, 2968, 2969	2970-2971, 2972, 2973
2974-2975, 2976, 2977	2978-2979, 2980, 2981
2982-2983, 2984, 2985	2986-2987, 2988, 2989
2990-2991, 2992, 2993	2994-2995, 2996, 2997
2998-2999, 3000, 3001	3002-3003, 3004, 3005
3006-3007, 3008, 3009	3010-3011, 3012, 3013
3014-3015, 3016, 3017	3018-3019, 3020, 3021
3022-3023, 3024, 3025	3026-3027, 3028, 3029
3030-3031, 3032, 3033	3034-3035, 3036, 3037
3038-3039, 3040, 3041	3042-3043, 3044, 3045
3046-3047, 3048, 3049	3050-3051, 3052, 3053
3054-3055, 3056, 3057	3058-3059, 3060, 3061
3062-3063, 3064, 3065	3066-3067, 3068, 3069
3070-3071, 3072, 3073	3074-3075, 3076, 3077
3078-3079, 3080, 3081	3082-3083, 3084, 3085
3086-3087, 3088, 3089	3090-3091, 3092, 3093
3094-3095, 3096, 3097	3098-3099, 3100, 3101
3102-3103, 3104, 3105	3106-3107, 3108, 3109
3110-3111, 3112, 3113	3114-3115, 3116, 3117
3118-3119, 3120, 3121	3122-3123, 3124, 3125
3126-3127, 3128, 3129	3130-3131, 3132, 3133
3134-3135, 3136, 3137	3138-3139, 3140, 3141
3142-3143, 3144, 3145	3146-3147, 3148, 3149
3150-3151, 3152, 3153	3154-3155, 3156, 3157
3158-3159, 3160, 3161	3162-3163, 3164, 3165
3166-3167, 3168, 3169	3170-3171, 3172, 3173
3174-3175, 3176, 3177	3178-3179, 3180, 3181
3182-3183, 3184, 3185	3186-3187, 3188, 3189
3190-3191, 3192, 3193	3194-3195, 3196, 3197
3198-3199, 3200, 3201	3202-3203, 3204, 3205
3206-3207, 3208, 3209	3210-3211, 3212, 3213
3214-3215, 3216, 3217	3218-3219, 3220, 3221
3222-3223, 3224, 3225	3226-3227, 3228, 3229
3230-3231, 3232, 3233	3234-3235, 3236, 3237
3238-3239, 3240, 3241	3242-3243, 3244, 3245
3246-3247, 3248, 3249	3250-3251, 3252, 3253
3254-3255, 3256, 3257	3258-3259, 3260, 3261
3262-3263, 3264, 3265	3266-3267, 3268, 3269
3270-3271, 3272, 3273	3274-3275, 3276, 3277
3278-3279, 3280, 3281	3282-3283, 3284, 3285
3286-3287, 3288, 3289	3290-3291, 3292, 3293
3294-3295, 3296, 3297	3298-3299, 3300, 3301
3302-3303, 3304, 3305	3306-3307, 3308, 3309
3310-3311, 3312, 3313	3314-3315, 3316, 3317
3318-3319, 3320, 3321	3322-3323, 3324, 3325
3326-3327, 3328, 3329	3330-3331, 3332, 3333
3334-3335, 3336, 3337	3338-3339, 3340, 3341
3342-3343, 3344, 3345	3346-3347, 3348, 3349
3350-3351, 3352, 3353	3354-3355, 3356, 3357
3358-3359, 3360, 3361	3362-3363, 3364, 3365
3366-3367, 3368, 3369	3370-3371, 3372, 3373
3374-3375, 3376, 3377	3378-3379, 3380, 3381
3382-3383, 3384, 3385	3386-3387, 3388, 3389
3390-3391, 3392, 3393	3394-3395, 3396, 3397
3398-3399, 3400, 3401	3402-3403, 3404, 3405
3406-3407, 3408, 3409	3410-3411, 3412, 3413
3414-3415, 3416, 3417	3418-3419, 3420, 3421
3422-3423, 3424, 3425	3426-3427, 3428, 3429
3430-3431, 3432, 3433	3434-3435, 3436, 3437
3438-3439, 3440, 3441	3442-3443, 3444, 3445
3446-3447, 3448, 3449	3450-3451, 3452, 3453
3454-3455, 3456, 3457	3458-3459, 3460, 3461
3462-3463, 3464, 3465	3466-3467, 3468, 3469
3470-3471, 3472, 3473	3474-3475, 3476, 3477
3478-3479, 3480, 3481	3482-3483, 3484, 3485
3486-3487, 3488, 3489	3490-3491, 3492, 3493
3494-3495, 3496, 3497	3498-3499, 3500, 3501

SKOROWIDZ NAZWISK.

Ablona p. Ryglówna J.
 Aleksandrowicz K. 10.
 Andrzej 250, 264.
 Andruszkowiczówna Wł. 292.
 Antoniewiczówna Janina dr. 61. 30, 31,
 44, 59, 138, 140.
 Armak p. Barhut T.
 Arnsztajnowa 265.
 Artur 260, 267.
 Askenazy Szymon prof. 10.
 Bader 169.
 Bagiński Kamiliarz 248, 259, 261, 264.
 Bakunichowa 282.
 Balaigierowa Maria dr. 146, 149.
 Banasiński Bolesław ks. 187.
 Baranowski dr. 167.
 Baranowski Zygmunt 24.
 Baraki p. Żaliński.
 Barthel de Weydenthal Jadwiga 207,
 211—12, 229, 237, 242—4, 250, 259.
 Barthel de Weydenthal Maria 28, 311,
 214, 250, 259, 261.
 Benedekowicz 107.
 Bedenskiówna p. Krawalska Janina.
 Bellart dr. 66.
 Belina-Pratowski Wł. 60, 62, 78,
 87—8 173, 183, 276.
 Berbecka generałowa 187.
 Berbecki gen. 60, 66, 190.
 Biernacka Anna 7, 11, 46.
 Biernacka Zofia 213, 214.
 Biernacki Wacław ppłk. 8.
 Bilewska 148.
 Bilyk Alfred msc. 156, 160.
 Bilińskówna p. Różycka.
 Błońska Leona 28.

Błotnicka M. T. 169.
 Bobowska Stenia 213.
 Bobrowski Tadeusz mjr. 126—8.
 Bochar ppłk. 43, 161, 245.
 Bogdanowa 45, 146.
 Bogna p. Rokicka.
 Borkowska Wacława 213—15, 235, 245.
 Borowska Maria 301.
 Borucki dyr. 172.
 Breichen Raul 26.
 Bródowski 141.
 Broniński J. 262, 268.
 Brzeska p. Barthel de W. Jadwiga.
 Brzostkówna Zofia 237.
 Brzostowska 289.
 Brzozowski Emil 259, 253.
 Budziński p. Biernacka Z.
 Buja p. Libicki.
 Bułwid Oda prof. 45.
 Buszówna p. Lisowska.

Cekiera Jacek 166.
 Ceylingertówna Helena 274.
 Chelliński 260.
 Chelniczka p. Jaroszewiczowa.
 Chwałewicz E. 246.
 Chylińska Halina 213.
 Cichowski Jerzy 162.
 Cmilówna Wanda 122—3, 197, 281.
 Czarotczy 184.
 Czochra-Tarkowski ppor. 49.
 Cwiłichówna Regina 237.
 Daniłowski Gustaw 54.
 Dąpiśówna p. Fleknerowa.
 Daszkowska 177.
 Daszyński Ignacy 102, 162, 168.

- Dąbrowa p. Antoniewiczówna.
 Dąbrowska E. 187.
 Dąbrowska Maria 194, 199, 234.
 Dąbrowska Z. 121—3.
 Dąbrowski Marjan mjr. 155.
 Dybalski Aleksander 164—8, 195.
 Długoszowa Stawa 34, 83, 99, 101, 183.
 Długos Stanisław 141.
 Dziubiński Janusz ppłk. 84, 86—7, 97.
 Dzięciński Roman 246.
 Dobaczewski E. dr. 285.
 Dobaczewska Wanda 283.
 Dobijanka Zofia 28, 30, 33, 139, 141.
 Dobrowolska Anna. 147.
 Domańska Bogumiła 54—5.
 Domańska Maria 47—8, 196.
 Domańskie (siostry) 290.
 Dominowa M. 70.
 Domaniewicz Stanisław 200—61.
 Dresner C. p. Orlica-Dresner.
 Dresner p. Słomka-Dresner.
 Dulębianka Maria 11, 47, 299.
 Dułbowski 265.
 Duńska Tekla 151.
 Durak gen. 126.
 Dyląganka Maria 15, 16.
 Eła p. Stefanowska Maria.
 Ermit Kara 55.
 Eydziałowicz 150.
 Fabrycy gen. 70.
 Falkowska Jadwiga 30.
 Fanka p. Fickówna.
 Fiedkowiczowa Stefania 46.
 Ferencowiczówna L. 182.
 Filipkowska W. p. Polczyńska.
 Filipkowska Z. 177.
 Filipkowski Włodzimierz 237.
 Filipowiczowa Wanda 164.
 Filipowicz Tytus 162—4, 195.
 Fickówna Stefania 98.
 Fleszar Albin mjr. 14, 48, 100.
 Fliszarowa Regina dr. fil. 8, 46, 50, 141.
 Flork p. Baginski.
 Frankowska Maria 53.
 Friszówna J. St.
 Furgalski T. p. Wywra-Furgalski.
 Furgalski Teodor 17, 20.
 Gacki 267.
 Gadomscy 95.
 Galskie 246.
 Gargas dr. 161.
 Gasiorowski Janusz ppłk. 31—3, 34—5.
 Gieyator Maria 208, 213, 214, 235, 242.
 Glihowski Janusz płk. 201.
 Golińska Walerja 83, 94, 113, 183, 235, 299.
 Golińska Stanisława 208, 235, 237.
 Goliński Witold 237.
 Gorczyński (siostry) 292.
 Gorzechowski Jan płk. 10, 70.
 Górka 49.
 Grabowska 231.
 Grabowska Maria 47, 49.
 Grudzińska 167.
 Grutowska Helena 274.
 Grudziński-Pekaryc-Franciszek ppoc. 28, 202.
 Grubaszówna Cecylia 15.
 Gruszcówna 175, 177.
 Grzesiński płk. 201.
 Gruszkówna 142.
 Gruszkowska Nelly 155, 164.
 Gułńska Zofia 158.
 Gumpowicz Władysław 56.
 Gustaw p. Stawek.
 Hanicka Zofia 195—10, 112—13, 183.
 Hanna p. Kudełska.
 Hempel Stanisław, 84, 89, 90, 92.
 Hempel Zygmunt 97.
 Hempelowie pp. 84, 87.
 Herfurtowa Zofia 250, 251.
 Herfurt Tadeusz kpt. 257—8.
 Herwin-Piątek kpt. 68—9.
 Hetti 78.
 Hirsfeldowa dr. 56.
 Hołowcówna Helena 208, 228, 241.
 Horowiczowa Sydonia 158—6.
 Iwanowska Maria 231.
 Isdebski Witold inż. 54.
 Jadwiga p. Jaworowska.
 Janicka Maria 135, 137—9.
 Janiszewska Zofia 51, 240.
 Jankowski Paweł dr. 265—6.
 Januszajtis Marjan gen. 88.
 Jarecki 259.
 Jarmakiewicz Cecylia 45.

- Jarczewiczówna Halina 6, 16, 248, 250, 264, 264.
- Jaroczyńska Henryka 211, 212, 222, 228, 228.
- Jaskiewiczowa Stanisława 185.
- Jastrzębiec p. Papłowska.
- Jastrzębowska Steliana 309, 309.
- Jaworowska Konstancja 82, 84, 182, 215, 275, 280.
- Jaworowski Rajmund, 81, 84—8, 95—9, 100.
- Jaworska Stanisława 126.
- Jemilewski Tytus 106, 179, 199.
- Jezierskowna N. 43.
- Jedko-Narkiewicz Witold dr. 132, 162, 168.
- Jedkowa Maria 132—3, 135, 180.
- Kaden Juliusz 155, 197, 248.
- Kadzińska p. Kosiłkowska J.
- Kamińska Jadwiga 189, 190.
- Kaplicki dr. 201.
- Karaszewicz-Tokarczewski Michał gen. 20, 41, 73—4, 76, 7, 79, 80, 192.
- Karłowicz M. 282.
- Kasparowicz inż. 231.
- Kasparowiczówna Maria dr. 253.
- Kasperczyk 176—7.
- Kaszkowska (bracia) 257.
- Kaszkówna Leonia 57.
- Kaszbabski-Król por. 141.
- Kasiński Jan por. dr. 4.
- Kiernowska 16.
- Kijewski dr. 225.
- Kiniewski Zygmunt 132, 134.
- Klepińska p. Jaworowska.
- Kłodowski wst. 1863 r. 173.
- Knoll R. 288.
- Koc Adam pfr. 239.
- Komarnicka 187.
- Kondolewiczówna Lili 155—6.
- Konopacka Maria 28.
- Konopacki Mirosław dr. 70.
- Konopiński dr. 46.
- Kondowa Helena 7.
- Kopycińska Zofia 28.
- Kordian-Manastercki Stanisław 11, 14.
- Korobowiczówna p. Stróżka.
- Korobowicz Rafał 232, 234—5.
- Korupczyńska Regina 245.
- Kosińska Gabejela 12.
- Kosma ks. 78.
- Kosowska Irena 279.
- Kosuth-Lorenowa Zofia 17, 73, 146, 204—5.
- Kosuthowa Al. 84.
- Kosuthówna Barbara 50, 16, 17, 22, 86, 136, 172.
- Kosteł p. Biernacki.
- Kotarbińska Janina 27.
- Kościłkowska Anna 208, 231, 237.
- Kościłkowski-Zydrum M. por. 339, 251.
- Kościuszko dr. 6.
- Kot Stanisław dr. 153, 157—8, 162, 166—7.
- Kowalczykówna 282.
- Kowalczykówna J. 23.
- Kowalscy 182.
- Kowalska Irena 132—3.
- Kowalska Janina 6, 12, 17, 43, 84, 87, 97, 102, 117—19, 182, 210.
- Kowalski Władysław 182.
- Kozłowska Bronisława 16.
- Kozłowska Lucyna 172.
- Kozłowska Zofia 16, 231—2.
- Krajewska Irena 47, 48.
- Krajewski Marcellin 94.
- Kraśnickie (siostry) 293.
- Krauska Stanisława 51, 211.
- Krak-Paszkowski pfr. 245.
- Krukowska Henryka 231.
- Krysińska Anna p. Kotciłkowska.
- Krygowska Jadwiga 28.
- Krynicki-Tyrkiewicz Stanisław 4, 7.
- Kudowska Steliana s. 2, 3, 6, 11—19, 41, 101, 150.
- Kukiel Marjan gen. 12.
- Kukielowa Stanisława 7.
- Kulczycki Jerry kpt. 75.
- Kulwiec Andrzej 25.
- Kuryłowski Józef 287.
- Kuricki Robert dr. 126—7, 135.
- Kuricki dyr. 264.
- Kurowski Karmel 150.
- Kurdański 142.
- Kurkiewiczówna Helena 114, 241.
- Kurmanowiczówna Helena 288.
- Kurp 182.
- Kwiatkowska M. p. Stefanowska.

- Kotłakowska Jadwiga 7, 10, 24-9, 301.
 Kotłakówna St. 24, 26.
 Lach dr. 77.
 Landau Marci 132.
 Lantaska Maria 30, 135.
 Libicki Karol 121, 124.
 Limanowski Zygmunt 97.
 Lipińska D. p. Wypyska.
 Lipińska Wanda 224.
 Lipiński Wachaw mjr. 179.
 Lipska dr. 227-8, 230.
 Loeblowa 177.
 Lisowska Wanda 7, 11.
 Litwinowiczowa Maria 3.
 Litwinowicz gen. 175.
 Lorel 167.
 Ludka p. Madzulewska.
 Ludwik p. Piskor.
 Lustgartenówna Walerja dr. 70.
 Łaniewski Tadeusz 292.
 Łapinski-Nileki Stanisław H.
 Łasicka J. 24.
 Łazowska Józefa 149.
 Łętkowna Janina 132-3, 201.
 Lesiński biskup 187.
 Łukowska Urszula 13, 48.
 Makowska Jadwiga 233-34.
 Makówna Kazimiera 143, 145.
 Malinowski Aleksander 145.
 Malinowski Marian poseł 180-81, 85.
 Malinowski 132.
 Malgorzata p. Jaroszyńska H.
 Mały p. Setrum de Setrum T.
 Manaszyńska St. 31.
 Manastercki Stanisław p. Kordjan-
 Manastercki.
 Marciniowska Jadwiga 231, 250, 274.
 Marchowa Ada dr. 149.
 Markus 164, 167.
 Marta p. Rychlerówna M.
 Martynowiczówna Wanda 28, 303.
 Marusia p. Gruszcówna.
 Marusiński pła. 24.
 Marysia p. Strońska M.
 Matczewska Maria 21-2, 24, 26-7.
 Mączyński Jerzy rad. 265.
 Modyński Eugeniusz por. 52-3.
 Moroska H. 24.
 Michalska Wanda 47, 49, 155.
 Michalski 94.
 Micheida pastor 138, 143.
 Mickiewicz Władysław 164.
 Mieszkowski Jan 31.
 Mikita 249, 250, 264, 266-7.
 Miljanówna Katarzyna 43, 49.
 Millerówny (Idostry) 153.
 Minkiewiczowa Stefania 102, 193.
 Minkiewicz Stanisław prof. 35.
 Minkowska Anna dr. Hl. 57, 143, 155,
 157.
 Miodzianowska J. 188.
 Młot-Praspekowski Zygmunt 245.
 Modzelewska Ludmiła 42, 45, 46, 72.
 Moraczowski Jędrzej młd. 175, 181, 187.
 Mostowska 16.
 Mowczowska - Rzepiecha Iza 172, 274.
 Motas Stanisław 164.
 Muzalski 12.
 Muzalski dr. 136, 138, 143, 145.
 Miziński p. Stępczyński.
 Nakoneczni pp. 194.
 Narbutt-Lucyński gen. 41, 63.
 Narutowicz Gabriel prof. 24-6.
 Neudziłówna dr. 48.
 Neugebauer Jerzy 181.
 Neugebauer M. p. Norwid.
 Neumann 160.
 Niemcewska Halina 274.
 Niemcewska J. 274.
 Niemcewska 177.
 Nike p. Łukowska H.
 Niziska 146.
 Norwid-Neugebauer Mieczysław gen.
 37, 80, 83.
 Nowosielski Iza 265.
 Nowicka p. Borowska M.
 Okolewicz Józef int. 146-7.
 Okrzejowa p. Antczakowska S.
 Ols p. Piluska Aleksandra.
 Olędka J. 177.
 Olczakowska J. 84.
 Opłociewiczówna Maria 250, 254, 256-7.
 Orland 183.
 Orlicz-Draxler Gustaw gen. 201.
 Orwid p. Kotłakowski.
 Ostńska Stanisława 155.
 Ostrowski dr. 142.
 Ostrowska 183.

- Pażyńska T. 136, 139, 140, 141, 143, 145.
 Pandor p. Furgalski.
 Pannicki Tadeusz 10.
 Pansowski Marjan 141.
 Patek Stanisław mł. 165.
 Pawłowicz K. 243.
 Pawłowiczówna Krystyna 243.
 Pawlikiewiczówna Maria 33.
 Pełczyńska Wanda 83, 87, 90, 98, 103, 113, 123-4, 183, 201, 210.
 Per Feliks dr. 132, 134, 193.
 Pestowa Teresa 47, 99, 134.
 Piakarska Wanda 31, 89, 99, 282.
 Pietruszkiewiczówna 284.
 Pilecka Helena 55.
 Pilarska Aleksandra 8, 47, 81, 84, 93-9, 100, 101, 125-4, 163, 183, 193.
 Pilarska Maria 102, 132-3, 172, 195, 197.
 Piotrowska Janina 31.
 Piotrowska Maria 31.
 Piskor Tadeusz gen. 8.
 Piwowarowa W. 187.
 Pławitka Z. p. Smidowiczowa.
 Pocięcha p. Piskarska W.
 Pogębowska Jadwiga 246.
 Podgórscy 268.
 Pohoska Hanna dr. 48, 57, 21, 23, 132, 151, 153-4.
 Pohoski Jan 25.
 Popielówna Maria 31.
 Popławska Wanda 4, 44, 73, 181, 192, 194-5.
 Poradzówna 70.
 Podgórski inż. 148.
 Proser St. 164.
 Pross Kasper, senator 185, 188.
 Prusowska Zofia, postanka 193-5.
 Prądzyńska Anna S. 7, 12.
 Protasiewicz-Szuchowski 150.
 Przybyłowski 107, 108.
 Przybyłowska Leona 186.
 Przyjemna Maria 299.
 Psternicka Józefa 16.
 Pytkowska-Szydłowska Alina 68.
 Radlińska Helena 43, 73, 154.
 Rakowienka Pola 212, 244-5.
 Ramułtowa 71.
 Rehandelówna Irena 213.
 Relidziński Józef 184.
 Rej p. Perł Foksa.
 Romanowa p. Sładky M.
 Roman p. Żelazki T.
 Romówna Zofia 174.
 Rokicka Antonina 212, 214-15, 237, 243.
 Rouppert Stanisław dr. gen. 78, 190.
 Rowińska Jadwiga 178.
 Różycka Maria 213, 310, 311.
 Rutkiewicz 147.
 Rutkowska Stanisława 3, 11.
 Rybasiiewicz Karol 259, 260-4.
 Rybiński Edward 239.
 Rychterówna Maria 7, 9, 51, 83, 94, 113, 121, 183, 193, 209.
 Ryzek 299.
 Rydz-Smigły Edward gen. 68, 78.
 Ryglówna Janina 51, 125.
 Ryka p. Prusowska Z.
 Rył p. Trojanowski E.
 Rytwia inż. 75.
 Rząpecka p. Pohoska H.
 Rzewuska p. Frankowska M.
 Salingerówna Maria 11, 231.
 Samko prof. 136, 137.
 Sawczuk Kajetan 280.
 Sarnat p. Szyrowski.
 Sater p. Fleissar A.
 Sawicka Halina 15 i 16.
 Sawicka M. p. Stuchiewiczowa.
 Sawicka (pani) 104.
 Sawicki Kazimierz plk. 98, 104, 182.
 Szczerba-Wieczorkiewicz gen. 59.
 Schrenkówna Klara 146.
 Seidlerówna 155.
 Sep p. Działochiewicz.
 Sienkiewiczówna Irena 24.
 Sikorowska Zofia 54.
 Sikorska Zofia 136, 139.
 Sikorski Władysław gen. 147, 197.
 Sieroszewski Wacław 70, 197, 243.
 Skokowska Halina 291.
 Skrzyżnowska Zofia 96, 98.
 Skwarczyński Adam 4, 11-12, 93-3, 100, 102, 112, 168, 183, 299.
 Sładky Nora 5, 46.
 Słobosówna B. 142.

- Stawek Walery ppłk. 124, 143, 172.
 Stawoj-Skłodkowski gen. 74, 76, 37, 79, 175.
 Staw-Zwierzyński Stanisław kpt. 59, 61, 66, 182.
 Stenka-Dreszer por. 50.
 Smolińska Wanda 3, 17, 46, 132-3, 135.
 Socha dr. mjr. 61.
 Sokolnicki Michał 6, 132, 135, 162, 167-8.
 Sokolowska Janina 290, 291.
 Sokółska-Szczyrek Julia dr. 41, 8, 13, 47, 49, 51, 94, 104, 115, 119, 121, 143.
 Solomowiczówna 245.
 Solomowiczówna Michałina 214.
 Soska p. Kosiuth-Loraszowa.
 Sosnkowski Kazimierz gen. 41, 51, 52, 277.
 Stachiewicz Julian gen. 15, 156, 160, 197.
 Stachiewiczowa Maria S. 15, 16.
 Stanisławowska 205.
 Stanczewski Eugeniusz 288.
 Stanczyńska Zofia 290.
 Staryńska J. 155.
 Staszewska Eugenia 70.
 Staszewski mjr-dr. 70, 71.
 Stefankowska Maria 28, 32, 205, 211, 226, 231, 234, 244, 262.
 Steinówna Zofia 213, 214.
 Stodolska Maria 214.
 Stronger Henryk 44.
 Stróżka Maria 17, 24, 26-7, 83, 121, 196, 201, 212, 214, 285, 304.
 Stróż Andrzej 88.
 Strzałkowska Zofia 15.
 Strzalec (bracia) 101.
 Strzalec pp. 194.
 Strzałka Helena 211-2.
 Studnicka J. 284.
 Studnicka S. 158.
 Stwercyński Stanisław por. 95, 97.
 Sujkowska Helena 186, 274.
 Sukkiewicz Michał 113.
 Szam p. Kosiuth.
 Szczęśliwa Helena 284.
 Szczęśliwa Julia 83, 172, 174.
 Szczyński D. 288.
 Szczerbińska p. Piłsudska A.
 Szczepa p. Pełuska H.
 Szulpa 141.
 Świątowski Jerry 179.
 Świątowska p. Długoszowa W.
 Świątowska 155.
 Świątowska Zofia S.
 Świątowska Zofia dr. 81, 90-2, 210.
 Świątowska Helena 257, 266-7.
 Świątowska Janina 213, 214, 224.
 Świątowska Maria 70.
 Świątowski-Samrat Mikołaj 4, 61.
 Szturm de Szturm Tadeusz 252-3, 265.
 Szturm de Szturm Z. p. Hosiutowa.
 Świątowska Lucja 237, 246.
 Świątowski Marian inż. 148, 150.
 Świątowska ka. 138.
 Świątowska Leokadia 271.
 Świątowski Artur 276.
 Świdowiczowa Zofia 58.
 Świątowski p. Jaworski R.
 Świątowska Julia dr. med. 136, 138, 143, 145.
 Tarchalska Róża 29.
 Telińskówna dr. 10, 48.
 Telińskówna Janina 7.
 Teluski 239.
 Tęchowski p. Karasiński.
 Tomaszewski 214, 215, 220, 221-2.
 Tor 4.
 Trojnowski Ryszard gen. 20, 43, 45, 113, 259, 261.
 Trzcińska Helena 94, 121, 165-6.
 Tułacz 18.
 Tungus por. 46.
 Turyna-Witkowska Maria 81, 299.
 Tyńkówna Bronisława 47-8, 51, 101, 182.
 Tyrchał 141.
 Ulysch Julian ppłk. 34-5.
 Weiss Maria 45.
 Wągorówna Wanda 71.
 Wagner Witold 140.
 Walch 249, 264, 266.
 Warocześna Stanisława 226, 266-7.
 Wąrowska Zofia 24-5, 201, 213, 259.
 Wasilewska Wanda 46.
 Wasilewski Leon 84.
 Waszyńska Izona 209, 259.

- Wądołowski B. 243.
 Wąsowicz-Danin rolniczka 166.
 Wąsowicz-Danin Wl. mjr. 196.
 Węta p. Minkiewiczowa.
 Weyshert-Szymonowska Wl. 185.
 Wieniawa-Długoszowski plk. 70.
 Wilczyński prof. 265.
 Wier-Kanas plk. 74, 76, 78.
 Wiślicka Wanda dr. med. 74, 77.
 Wisniewski 292.
 Witczyńska dr. 70.
 Włoszowiczowa 155.
 Wojciechowska Halina 233, 245.
 Wojciechowski Bronisław 198-9.
 Wojczyńska dr. 70.
 Wojniczowie pp. 169.
 Wojniczowiczowa 155.
 Wojtek p. Malinowski.
 Wolszewska Maria 231-2, 234-5.
 Wolkowiczówna Z. p. Janiszewska.
 Wolkowska Zofia 214.
 Woyno Tadeusz dr. 54.
 Wójcicka-Chylewska Zofia 55.
 Wróblewska Ewelina 199.
 Wróblewska Jadwiga 185.
 Wrzesni p. 96, 98.
 Wyszakowska Wanda 57, 99.
 Wyczyńska Maria 28.
 Wywra-Fargalski Tadeusz mjr. 4, 21, 23, 75, 86, 88, 133, 141, 301-2.
 Wyrytkowski 237.
 Wyrytkowa Dioniza 97-8, 178, 195.
 Zaświllichowski 149.
 Zagłucka Aleksandra 8.
 Zakrzewska Janina 28.
 Zaleska Janina 291.
 Zarecki dr. 68.
 Zawadzki Bd. 97-8, 101.
 Zawadzka 188.
 Zawianka p. Zawiana-Kernowa.
 Zawiana-Kernowa Z. 2, 1, 28, 31-2, 34, 84, 88, 102, 194, 198.
 Zgorzelski Jan 292.
 Zgorzelski Tadeusz 292.
 Zieliński dr. 70.
 Zieliński Stanisław 56, 160, 165.
 Ziemiańska Bronisława 292.
 Zienkiewiczówna Floja 290, 291.
 Ziolk - Tassara gen. 21, 22, 41, 132, 151 i 245.
 Zwierzyński p. Sław Zwierzyński.
 Żegota p. Jarmuzińska.
 Żeliński Tadeusz por. 105, 113, 121-2, 183, 214, 218, 239, 242, 246, 249, 252-3, 264, 277.
 Żubowski Jerzy 132, 151.
 Żychalsówna Michalina 96, 102, 191.

Dzieje martyrologii polskiej z lat 1914-1939
 Wzrost i rozwój polskiej literatury
 Wzrost i rozwój polskiej literatury

Wzrost i rozwój polskiej literatury
 Wzrost i rozwój polskiej literatury
 Wzrost i rozwój polskiej literatury

Jednocześnie z publikacją, poświęconą udziałowi kobiet polskich w walkach o Niepodległość, ukazał się i tom zbiorowych wspomnień, obrazujących dzieje b. więźniów ideowych z lat 1914 — 1921. Piękną tę książkę p. t.:

ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW

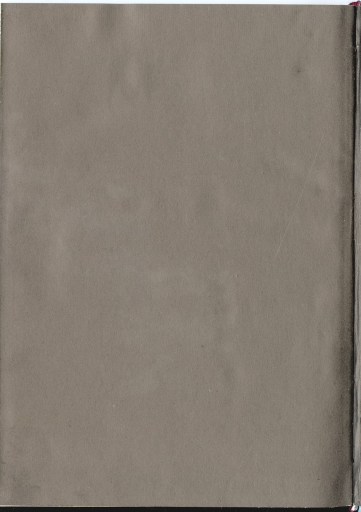
Zebrał i opracował Komitet redakcyjny:
mjr. dr. Wacław Lipiński, kpt. Roman Ślęzak
i por. Bolesław Kusinski pod przewodnictwem
gen. bryg. Juliana Stachewicza.

Dzieje martyrologji polskiej z lat 1914 — 1921
winien poznać każdy pilsudczyk, każdy
obywatel.

SKŁAD GŁÓWNY:

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA
WARSZAWA, ULICA NOWY-SWIAT Nr 68.

10,000. -



1955.1

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



4452

